

Cezary
Zbierzchowski
Distortion



powergraph

Cezary
Zbierzchowski
Distortion



powergraph

Warszawa 2019

Cezary Zbierzchowski
Distortion

ISBN: 978-83-66178-07-6

Wydawca:

Powergraph

ul. Ceglowska 16/2

01-803 Warszawa

tel. 22 834 18 25

e-mail: powergraph@powergraph.pl

www.powergraph.pl

Copyright © 2019 by Cezary Zbierzchowski

Copyright © 2019 by Powergraph

Copyright © 2019 for the cover illustration by Rafał Kosik and zabelin (via iStock)

Copyright © 2019 for the endpaper by Rafał Kosik

Copyright © 2019 for the cover by Rafał Kosik

Wszelkie prawa zastrzeżone.

All rights reserved.

Redaktor prowadząca serii: Kasia Sienkiewicz-Kosik

Redakcja: Michał Cetnarowski

Korekta: Maria Aleksandrow

Skład i łamanie: Powergraph

Ilustracja na okładce: Rafał Kosik

Na okładce wykorzystano fragment grafiki: zabelin (via iStock)

Projekt graficzny i opracowanie: Rafał Kosik

Wyłączna dystrybucja:



Dressler Dublin sp. z o.o.

ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Mazowiecki

tel. 22 733 2519

e-mail: dystrybucja@dressler.com.pl

www.dressler.com.pl

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie Zecer

Spis treści

Prolog

Wtorek, 12 lipca, godz. 22.30

Część pierwsza. Wejście

Rozdział pierwszy

Rozdział drugi

Rozdział trzeci

Rozdział czwarty

Rozdział piąty

Rozdział szósty

Część druga. Kontakt

Rozdział pierwszy

Rozdział drugi

Rozdział trzeci

Rozdział czwarty

Rozdział piąty

Rozdział szósty

Część trzecia. Zniekształcenie

Rozdział pierwszy

Rozdział drugi

Rozdział trzeci

Rozdział czwarty

Rozdział piąty

Rozdział szósty

Posłowie

Słowniczek pojęć i skrótów

*Rafałowi i Weronice,
moim ukochanym dzieciom*

Nad ranem, w szarym bezruchu, wydało mu się, że już nie żyje,
że ktoś go podmienił między jednym a drugim uderzeniem zegara.

Michał Cetnarowski, *Pustynia rośnie*

Uwielbiam to miejsce nocą. Gwiazdy... nie ma w nich dobra ani zła.

One po prostu tam są.

sierżant Elias Grodin, *Pluton* (reż. Oliver Stone)

Prolog

Wtorek, 12 lipca, godz. 22.30

Wysunięta Placówka Distortion, pustynia Saladh, południowy Remark

Muszę to powiedzieć, drogi synku: nie spotkamy się więcej. Nie wrócę do wielkiego miasta, by odnaleźć cię w ludzkim mrowisku. Nie zrobimy tylu rzeczy, które ojcowie i synowie robią zwykle razem. Nie naprawimy zepsutego kranu, nie obejrzymy filmu o kosmosie i nie pójdziemy na spacer po lesie. Nie opowiesz mi o swojej pierwszej bójce i pierwszej miłości. Nie rozbijemy namiotu nad jeziorem ani nie rozpalimy ogniska. Zostanę tutaj, na tej parszywej pustyni, która oddycha ciężko po gorącym dniu.

Wszystko się rozpada, mój kochany, świat od dawna nie jest już całością. Wszystko istnieje osobno: przedmioty, zjawiska i ludzie, jak kawałki różnych układanek. Niemal mechanicznie rejestruję ciepły wiatr owiewający mi twarz, przesypujące się ziarna żwiru i łopot flagi na maszcie. Czuję zapach tej spalonej ziemi wpełzający pod ceramiczną kamizelkę, czuję ciężki od upału zylonowy hełm i stygnące bagno w moich butach.

Stoimy tego wieczoru na warcie – twój tata i czterech milczących mężczyzn, pilnujących głównej bramy do bazy Distortion, pilnujących siebie nawzajem i błękitnego piekła pod swoimi stopami; potwór, ukryty pod ziemią, obserwuje nas cierpliwie jak doświadczony drapieżnik. Poprzednia zmiana zeszła o dwudziestej drugiej, zmęczona czekaniem na atak partyzantów albo na freniczny ogień. Jestem dowódcą, mój mały, więc zajęłem miejsce dowódcy pod drewnianym dachem oklejonym folią, z lewej strony bramy.

Mamy tu wielki i szybkostrzelny karabin. Naszego MUG-a kaliber 7,62 mm obsługuje szeregowy Gaus, barczysty chłopak z Bilden. Pali papierosa i stuka obcasem w kawałek betonu, który odłupał z podłogi miniaturowego bunkra. Miarowy ruch wyraźnie go uspokaja, tak jak ciebie, gdy nie mogłeś zasnąć.

Po przeciwnej stronie drogi w bliźniaczym gnieździe siedzi starszy szeregowy Puric i starszy szeregowy Dafny, na którego wołamy Rozwielitka. Wiem, kochany, że to głupia ksywka, ale jego nazwisko skojarzyło nam się z dafnią. Ostatni z drużyny, starszy szeregowy Ballard, znajduje się znacznie wyżej, w szoferce ciężarówki Kaukaz, zaparkowanej w poprzek bramy. Kilkunastotonowy potwór jest fajniejszy nawet od twoich zabawek. Wypełniliśmy go po brzegi piachem, jak dzieciaki w piaskownicy, służy nam za wrota bazy. Pomiędzy kaukazem a ponaddwumetrowym murem zostawiamy tylko szparę, przez którą może się przecisnąć człowiek.

Albo to, co z człowieka pozostało.

* * *

Reflektory na narożnych masztach omiatają okolicę ostrym światłem, wyłuskując z mroku zapory na drodze. Trzeba kluczyć między nimi, kiedy ruszamy na patrol. I trzeba uważać, żeby nie pomylić trasy, bo saperzy zaminowali prawie cały teren, na wypadek szturm partyzantów. Droga wiję się pomiędzy niewielkimi pagórkami i trzy kilometry dalej dochodzi do zniszczonej autostrady prowadzącej z Harmanu do Fizy.

Myślę o tym miejscu i o swoich ludziach. Jesteśmy na misji od siedmiu miesięcy, spędziliśmy razem setki godzin. Przychodzili do mnie i mówili o swoich sprawach, a ja robiłem, co mogłem, by zasłużyć na ich zaufanie. I wiedziałem od początku, że muszę ich poznać, bo od tego będzie kiedyś zależało nasze życie. Ale teraz otacza nas cisza. Szaleństwo, które kryje się pod naszymi stopami, rozlewa się po całej bazie i zamyka nam usta.

Zadawaliśmy już dziwne pytania, kłóciliśmy się i próbowaliśmy walczyć. A teraz boimy się jak skurwysyn i nie wstydzę się tego powiedzieć: spokój jest grą, w którą gramy, żeby nie rzucić karabinów i nie uciec na pustynię.

— Brama, zgłóście się — rozlega się w słuchawce głos Janga, oficera dyżurnego.

— Kapral Trent — wołam w odpowiedzi. — Słucham, panie poruczniku!

— Jadą do was dwa skorpiony z trzeciego plutonu. Przepuście ich szybko, wiozą rannych dezertów. Zwiad przygotowuje drona, który zaraz przeleci nad wami.

— Zrozumiałem, panie poruczniku. Bez odbioru.

Wychodzę z bunkra i przecieram swoje gogle z pustynnego pyłu.

— Ballard!

— Tak, Markus?!

— Melduj, co widzisz na drodze.

Chris przykłada lornetkę do oczu i lustruje otoczenie, używając nocnej wizji. Potrzebuję jego opanowania i uporów, które zazwyczaj udzielają się reszcie.

— Dwa skorpiony wyjechały właśnie zza prawego Sutka. — Tak nazywamy dwa bliźniacze wzgórza na wprost. — Będą tutaj za około trzy minuty.

— Dobrze, odpalaj samochód i czekaj na mój znak.

— Tak jest!

Kiwam na Purica i wyjaśniam krótko sytuację. Nad naszymi głowami przelatuje bezzałogowy sokół i znika w ciemnościach nocy. Maszerujemy w kierunku pierwszej zapory i czekamy na pojawienie się samochodów. Gaus i Rozwielitka siedzą w bunkrach i trzymają palce na kabłąkach spustów swoich MUG-ów. Po chwili widać światła pozycyjne, na których jeżdżą kierowcy SSARR, i czerwone „pipacze” na masztach. Nie ma wątpliwości, że to nasi, ale i tak musimy ich sprawdzić. Pierwszy skorpion hamuje przed zaporą, wyrzucając w górę tuman kurzu. Z szoferki wychyla się zmęczony sierżant Sewerin.

— Panowie, przepuszczajcie. Wieziemy ciężko rannych. — Puric świeci do wnętrza LED-ową latarką. — Kurwa, człowieku, nie po oczach!

Zaglądamy do drugiego wozu, a tam, na tylnym siedzeniu, leżą trzy spalone kukły,

trzej poparzeni żołnierze. Wyglądają tak, że wzrok sam ucieka w ziemię. Strzelec na dachu opiera głowę o karabin i wydaje się nieobecny. Pod zapyłonymi szmatami rozpoznaję Lukasa. Chłopak się załamał, jest jak wizytówka naszego oddziału.

Wydaję Ballardowi rozkaz przez radio. Opancerzony kaukaz z rykiem odsłania wjazd do bazy i patrol mija nas w pośpiechu, żeby jak najszybciej dotrzeć do punktu szpitalnego. Tam czekają już na nich kapitan Sauber i chorąży Gilde. Na wszelki wypadek trzymają pod stołem plastikowe worki na zwłoki. W chłodni, z tego co pamiętam, leży sześciu innych uciekinierów oraz siódmy, rozerwany na kawałki.

— I co ty na to? — pytam Purica, żeby przerwać ciszę.

— Na nas też przyjdzie kolej. Wolałbym zginąć w walce niż w ten sposób.

* * *

Wracamy na swoje stanowiska. Idziemy wolno, bo obraz poparzonych ludzi przesłania nam wszystko. Sięgam do kieszeni po zgniecioną paczkę papierosów, gdy rozlega się głośny okrzyk Gausa. Z malejącej szpary pomiędzy ciężarówką a murem wybiega jakiś żołnierz i pędzi prosto na nas, machając karabinem. Widocznie skorzystał z zamieszania podczas przejazdu patrolu i zakradł się do wyjścia. Postanowił uciec z bazy pieszo, przebijając się przez wartowników. Jeśli mogę tak się wyrazić, bardzo ryzykowny plan.

Mierzymy do niego z MBS-ów, ale pędzi dalej z głową wysuniętą do przodu. Ma na nosie okulary, na głowie przekrzywiony hełm. To kapral Norman z naszego plutonu, o którym zawsze myślałem, że na pewno zwariuje ostatni. „Wszystko płynie – jak pisał Heraklit – i nic nie pozostaje takie samo”. Zaraz zastrzelimy Normana albo on postrzeli nas, i będzie to kolejna sprawa do kolekcji. Kolejny z serii incydentów, nad którymi głowi się kapitan Beck.

Przykładam broń do ramienia, zgrywam przyrządy celownicze i czuję, że nie potrafię zabić swojego przyjaciela.

— Zatrzymaj się, sukinsynu! — krzyczy nieregulaminowo Puric.

— Norman, stój, bo strzelam!

Ale dla Larsa Normana to, że go zastrzelimy, jest wyraźnie mniejszym złem niż pozostanie w bazie. Nie teraz, gdy dzieje się to, co się dzieje. Naciera na nas w pełnym biegu, więc rozstępujemy się na boki i Puric wystawia delikatnie nogę, podcinając go fachowo. W cywilu był piłkarzem w okręgowej lidze i doświadczenie z boiska daje o sobie znać. Kapral upada jak długi, upuszcza broń i koziółkuje po piasku, uderzając w najbliższą zaporę. Kiedy próbuje się pozbierać, na jego plecach ląduje pancerna pięść Gausa, wyciskając oddech z płuc. Vim Gaus jest zawsze tam, gdzie można komuś przypierdolić, i załatwia szybko takie sprawy.

Okrażamy leżącego jak wilki. Gaus podnosi karabin, hełm i pęknięte okulary, a Puric przewraca delikwenta na plecy i świeci latarką. Z rozbitego czoła płynie krew, twarz

wygląda jak po tarzaniu się w żużlu. Norman zasłania się przed światłem podrapanymi dłońmi. Oczy, wytrzeszczone z przerażenia, nie mogą się skupić na żadnym obiekcie. Trzęsie go adrenalina, aż szcękają zęby. Ma kłopoty z mówieniem i coraz mniej przypomina gościa, z którym lubił pogadać w kantynie o starych filmach. Całkowita rozsypka.

— Odjebało ci, Norman? — pyta rzeczowo Puric. — Chciałeś zginąć?

— Wypuście mnie stąd, wypuście... Ja nie chcę być martwy. — Oszalały kapral skamle jak pies. — Wszyscy tam umrzemy! — Wyciąga rękę w stronę bazy.

— Zamknij się, Lars! — Uderzam go otwartą dłonią w twarz i odwracam się do bramy. — Ballard! Połącz się z sierżantem, niech go stąd zabierze. I nikomu ani słowa, panowie, nie potrzebujemy większej paniki.

Część pierwsza

Wejście

Rozdział pierwszy

Środa, 6 stycznia, godz. 20.40, pół roku wcześniej

Granica rammańsko-remarska, okolice Tironu, Republika Rammy

Kochany synku, jestem już bardzo daleko, chociaż to zaledwie sześćset kilometrów od twojego domu. Tak jak wszyscy, zastanawiam się ciągle, czy to jest bilet w jedną stronę. Prześlada mnie myśl, że nie zdążę naprawić swoich błędów. Piszę więc do ciebie i będę pisał w każdej wolnej chwili. Jedziemy w potężnym konwoju, który zbliża się do granicy z Remarkiem, a ja stukam zawzięcie w swój komunikator. Głowką co chwila uderzam o burą plandekę i rozcieram dłonie, bo nie jest najcieplej, kochany. Na początek napiszę ci o tym, jak doszło do tego wyjazdu.

O dziesiątej rano trzydziestego grudnia żandarmeria doręczyła mi wezwanie do Sił Stabilizacyjnych. Kiedy przyjechałem pożegnać się z rodzicami, twoja babcia, której nie poznałeś, zaczęła płakać i kręcić się w kółko, dziadek udzielał ostatnich wskazówek, a ja musiałem wracać, spakować się migiem i załatwić parę spraw. Zawiozłem Kraksa, mojego wilczura, do ciotki Belli. Myślę, że polubiłbyś ciotkę, jest naprawdę sympatyczna. Pożegnałem się z nią i z wujem, zwróciłem kuzynowi Erniemu kilka stów, które byłem mu winny, i odebrałem odkurzacz z naprawy. Na ekspres z Miasta Ramma do Bilden zdążyłem w ostatnim momencie. Biegłem z wywieszonym językiem jak jakiś zwierzak z kreskówki, wyobrażasz to sobie? Pociąg odjeżdżał o piątej trzydzieści w sylwestrowy poranek. Kiedyś zobaczysz, synku, że ludzie lubią się bawić. Na peronie i w przedziałach panował świąteczny nastrój, a ja, siedząc w pociągu, odwoływałem udział w noworocznej imprezie.

Niedaleko Bilden, w bazie Syrakus, odbywało się zgrupowanie Piątego Kontyngentu SSARR. Zanim wszedłem na komisję, młody porucznik przeprosił mnie za ekspresowe tempo mobilizacji. Jakiś kapral złamał rękę na ćwiczeniach i musieli znaleźć zmiennika. Służyłem w Wojskach Obrony Terytorialnej i zgłosiłem gotowość do misji. Wszystkie papiery mieli u siebie od roku, a więc padło na mnie, mój mały. Cholerne trójdziestego grudnia.

Potem były badania i tygodniowe szkolenie, a jeszcze później przydział do Pierwszego Pułku. Inni ćwiczyli tu od miesiąca, więc czułem się trochę nieswojo. Jakbym wyprowadził się do innego miasta i zmienił szkołę. Przez te kilka dni poznałem zaledwie paru chłopaków. Cześć, cześć! Skąd jesteś, stary? I niewiele więcej. Przeczytałem rozkaz wręczony przez chorążego: Trzeci Batalion Piechoty, Dziewiąta Kompania, Pluton

Szybkiego Reagowania, Drużyna Trzy. Przydzielono mi czterech ludzi – Purica, Gausa, Dafnego i Rota, ostatniego dnia szkolenia zamieniłem z nimi kilka słów. Musiałem to szybko nadrobić.

Sierżant Gola, który objął nasz pluton, wydaje się rozsądnym gościem. Koledzy mówią o nim: „Mały”, bo ma metr sześćdziesiąt parę wzrostu, ale ludzie słuchają go bez zbędnych dyskusji. Może sprawia to złamany nos albo szramy na policzkach po walkach bokserskich. W każdym razie budzi zaufanie i dobrze mieć takiego faceta za sobą. Pamiętaj, synku, że mężczyzny nie poznaje się po oczach ani po uścisku dłoni. Poznaje się go po tym, czy mówi prawdę i dotrzymuje obietnic.

* * *

Sierżant dosiadł się do nas na postoju i opowiada ciekawe historie. Mówi, że brał udział w wyzwaniu Remarku, a potem w pierwszej i drugiej misji stabilizacyjnej, na której został ranny i odesłany do kraju. Teraz jedzie trzeci raz i nie ma złudzeń, że to brudna wojna.

— Uważajcie na kleszcze. To jest najgorsze kurestwo — powtarza zachrypniętym głosem. — Nie ma łażenia po dziurach bez zakłócaczy. Jeśli kogoś na tym złapię, będzie, kurwa jego mać, czyścił kible gołymi łapami.

— Tak jest, panie sierżancie — odpowiadamy bez entuzjazmu.

Ktoś mówi, że na południu Remarku żyją podobno dzicy ludzie, którzy zjadają swoich wrogów. Ktoś inny dodaje, że czytał o przeklętych miejscach, które tubylcy omijają w panice albo oddają im cześć. Można zabłądzić na pustyni i nigdy nie wrócić do domu. Mam tego dość, więc żeby nie słuchać pieprzenia, zakładam na uszy słuchawki.

Konwój utyka w strasznym korku, musimy się zatrzymać. Zeskakujemy z samochodu kilka kilometrów przed przejściem granicznym. Kuchnia wydaje nam gorącą zupę, a w oddali, za kępami drzew, widzę prawdziwe miasto z namiotów, oświetlone gęsto latarniami. Obóz przejściowy dla uchodźców, którzy mieli szczęście i przedostali się do Rammy.

Niektórzy z nich mieszkają tutaj już pięć lat. Na początku pomagała im Nina, matka mojego Tomasa. Nienawidzę jej za to, że odebrała mi syna, chociaż nie jestem bez winy. Spieprzyłem to perfekcyjnie. Nina była wolontariuszką w Fundacji Pokój i współczułem jej szczerze tej pracy. Ale Tiron ma jedną zaletę: przyjemny klimat, w środku zimy kilka stopni ciepła. Kiedy wyjeżdżałem ze stolicy, zegnał mnie mróz i brudny śnieg na chodnikach.

Czwartek, 7 stycznia, godz. 6.05

Okolice Jonu, prowincja Qumran, północny Remark

Przespaliśmy kilka godzin na granicy, a teraz stoimy na przedmieściach Jonu i znów czekamy jak idioci. Sierżant mówi, że saperzy od godziny wydłubują coś z wiaduktu

przed nami. Poza tym system dowodzenia naszej armii nie jest doskonały. Oznacza to prawdziwy chaos, kiedy sprawy mają się inaczej, niż życzyliby sobie dowództwo.

Wściekamy się, że nie użyto samolotów do naszego transportu. Generał Dominik Salte, głównodowodzący SSARR, ogłosił jednak Doktrynę Widoczności i wprowadza ją z zapalem w życie. Mamy być jak najbliżej cywilów, a nasz widok ma wywoływać panikę wśród wrogów. Samoloty zabierają czwarty kontyngent do domu, a w konwojach przez okupowany kraj jedzie piąta zmiana. Dzięki temu wydaje się, że jest nas więcej.

Konwój ciągnie się przez wiele kilometrów i zajmuje połowę dziurawej ekspresówki. Ciemny wąż składa się z ciężarówek, terenowych skorpionów, lekkich transporterów i działek Cormax wiezionych na długich naczepach. Samochodów zaopatrzenia i cystern z paliwem, które przemalowano na zielono, nawet nie liczę. Gdzieś widać też furgonetki firmy ochroniarskiej TigerClaw i pick-upy ze specjalistycznym sprzętem.

Ruch lokalny odbywa się drugą stroną drogi. Remarczycy jeżdżą starymi samochodami, które noszą często ślady wojny. Niektóre mają potłuczone reflektory i wgniecioną karoserię. Wzdłuż konwoju krążą patrole ochrony, nie dopuszczając do nas gapiów, którzy zbiegli się z okolicznych wiosek. Przez bure pola i pastwiska ciągną grupki dzieci, licząc na coś do jedzenia. Są ubrane w łachmany, wiele z nich utyka, inne nie mają dłoni albo całego ramienia.

— Takie okaleczenia powodują wiciowce — odzywa się kapral Lotty. — Dzieciaki dłubią w ruinach, żeby znaleźć coś do żarcia, albo chodzą do lasu po drewno. Myny są wszędzie, Gottanie siali tu kleszczami jak głupi. Do tej pory pełno tego ścierwa w okolicznych lasach.

— Przecież mamy zakłócacze i pułapki, możemy je rozstawić — mówi Gaus.

— Kto będzie marnował na nich taki sprzęt? — Klepię go w plecy. — Zastanów się, chłopie, czy nasz rząd wyda miliony, żeby mali Remarczycy mieli wszystkie rączki.

— No to, kurwa, po co tam jedziemy?

— Bo dostaliśmy rozkaz — odpowiada spokojnie sierżant. — Jak nie zaprowadzimy porządku w Remarku, to dalej będą zalewać nas uchodźcy. Remarczycy uwielbiają się wyrzynać, więc ci bardziej przedsiębiorczy uciekają. Chcecie mieć u siebie tłumy tych brudasów?!

Jego pytanie wisi w powietrzu. Odzywają się gwizdki dowódców i ci, którzy zdążyli wysiąść z ciężarówek, pospiesznie wskakują do środka. Krzątanie trwa zaledwie kilka minut i ruszamy dalej, na południowy zachód. Część konwoju zostanie w Portsailu, aby wzmocnić Siły Stabilizacyjne w stolicy Remarku. Ale większość żołnierzy i sprzętu, w tym moja kompania, pojedzie dalej na południe, do miasta Harman.

Dwa bataliony piechoty, pierwszy i trzeci, które stacjonują w bazie Erde, na wschodzie Harmanu, poniosły do tej pory największe straty i były najczęściej uzupełniane. Nie napawa to optymizmem. Kilku chłopaków po otrzymaniu przydziału przeżyło małe załamanie nerwowe. Jednak większość jest w bojowych nastrojach, śpiewają piosenki albo grają w strzelanki na komunikatorach. Potem przechwalają się

przed sobą, ile headshotów zaliczyli i jaki mają zajebisty level. To jakaś paranoja, myślę sennie. Od przekroczenia granicy czuję pustkę w głowie, jakbym łyknął leki uspokajające.

Na szczęście im dalej na południe, tym cieplej. O tej porze roku w Harmanie jest co najmniej piętnaście stopni powyżej zera. A ja tak bardzo nienawidzę zimy, że wolę znosić upały i gorący wiatr pustyni, niż czuć, jak przemarza mi dupsko. Sierżant Gola, który stacjonował na południu, nie podziela mojego zachwytu. Powtarza też, że najwięcej tam rebeliantów i – ogólnie – jest raczej przesrane. Widziałem w Syrakus filmy instruktażowe o partyzantach Garcii i hadejczykach samobójcach, więc domyślam się, o czym mówi.

Niedziela, 10 stycznia, godz. 8.00

Harman, prowincja Saladh, południowy Remark

Stoimy na baczność na placu apelowym. Baza Erde jest ogromna. To właściwie kawałek przedmieścia, które zostało otoczone murem, umocnione i przerobione na siedzibę naszych wojsk. Zajmujemy starą fabrykę ciągników rolniczych, kilkanaście domów, dawną szkołę zawodową i salon wystawowy, w którym mieści się sztab. Dowódca Pierwszego Pułku Piechoty – siwy, ale potężny w barach, spalony słońcem pułkownik Herbst – przemawia donośnym głosem. Za nim stoją wszyscy oficerowie, dowódcy trzech batalionów, szefowie kompanii oraz specjalistycznych pododdziałów. Sztandar pułku powiewa na maszcie. Miecze skrzyżowane na granacie i coś w rodzaju srającego orła.

Pułkownik Herbst wita nas w imieniu dowództwa Sił Stabilizacyjnych Armii Republiki Rammy, dziękuje za patriotyczną postawę i życzy sukcesów w kraju naszego sąsiada. Mówi o lokalnej społeczności, która z pewnością docenia nasze starania, oraz o wielkiej odpowiedzialności za pokojowy rozwój Remarku. Ciekawe, kto mu pisał te pierdoły?

Na koniec przechodzi do naszego wroga, czyli pospolitych bandytów i partyzantów Evana Garcii – głównie hadejczyków i arejczyków, walczących o wycofanie rammańskich wojsk i utworzenie niezależnej Rady Kapłanów.

— Żołnierze! Jestem przekonany, że jadąc tutaj, widzieliście ogrom szkód, jakie wojna z Gottanami wyrządziła temu krajowi. Bezwzględny wróg, kierowany przez komunistyczną dyktaturę, zaatakował słabe i skłócone wewnętrznie Księstwo Remarku, aby zawłaszczyć jego bogactwa naturalne i wielowiekowy dorobek. Gottanie, po przełamaniu obrony Remarczyków, bombardowali miasta i wsie, używając broni konwencjonalnej i broni masowego rażenia. Stawiali sobie za cel eksterminację remarskiej ludności. Nasze wojska, walcząc bohatersko, pokonały ich i wyparły z tego kraju, aż za pustynię Saladh. Przywróciliśmy Remarczykom godność i daliśmy im szansę na spokojne życie. I choć zapłaciliśmy za to wysoką cenę, zapłaciliśmy krwią naszych

żołnierzy, jesteśmy dumni, że Republika Rammy stoi od wieków na straży pokoju i demokracji. — *Ekhem*, odkasłuje flegmę. — Jednak są w Remarku kultury i organizacje przestępcze, które w imię mafijnych interesów podburzają miejscową ludność przeciwko nam. Obecnie wojska Gotto, którym przetrąciliśmy kręgosłup, nie stanowią już wielkiego zagrożenia. Głównym problemem są terroryści, ukrywający się wśród przychylniej nam społeczności, których zwalczamy z całą stanowczością. — Efektowna pauza. — Kiedy spojrzycie im w twarz, nie wahajcie się zapytać, gdzie byli, gdy prawdziwy wróg zapukał do ich bram. Co zrobili dla swojego narodu, kiedy Gottanie strzelali do kobiet i dzieci, a ich samoloty zrzucały na szpitale i szkoły pociski z bronią chemiczną i zasypywały miasta homeostatycznymi minami. Zapytajcie, czy chwycili wtedy za broń i uderzyli na wroga, czy raczej ukryli się w świątyniach, modląc się do bogów o swoje nędzne życie? — Pułkownik rozgląda się po placu. — Albo nie, żołnierze! Nie próbujcie zrozumieć pobudek, którymi kierują się terroryści. Kiedy staną na waszej drodze, powalcie ich na ziemię i wgniećcie w piach. A kiedy trzeba, zastrzelcie skurwysynów bez litości. Nie wahajcie się użyć karabinów i pięści, bo występujecie w obronie uciskanych ludzi i w obronie demokracji!

— Tak jest, panie pułkowniku! — ryczy prawie tysiąc gardeł.

W powietrzu czuć elektryczność, podekscytowanie misją. Od żołnierzy bije pewność, że zwyciężą i że zabijanie wroga jest szlachetne. Nie widziałem tej pewności w oczach weteranów, którzy opuszczali bazę w dniu naszego przyjazdu. Dostrzegłem zmęczenie i skórę wysmaganą wiatrem.

Myślę o tych ludziach, słuchając następnych wystąpień. I chce mi się pić.

Poniedziałek, 11 stycznia, godz. 10.40

Ten dzień jest wyjątkowy. Po raz pierwszy jedziemy na patrol. Cztery skorpiony, cały pluton Szybkiego Reagowania Dziewiętej Kompanii, stłoczony w opancerzonych pojazdach, wyrusza z bazy Erde, kierując się w stronę centrum miasta.

Wcześniej nie mieliśmy szansy przyjrzeć się temu krajowi, więc gapimy się dosłownie na wszystko. Celem misji jest sprawdzenie wybuchu na stacji benzynowej w dzielnicy Saho. Ktoś podłożył ładunek w jednym z samochodów czekających w dwudniowej kolejce. Na pewno zginęli cywile, straty materialne są znaczne, a tłum ogarnęła panika. Sytuacja jest raczej poważna, ale moją uwagę przyciągają śmieci.

Na przedmieściach Harmanu jest ich pełno, zwąły papierów, kartonów, plastikowych opakowań i biologicznych odpadów oblepiają pobocza i place, wypełniają rowy, zakrywają czerwień ziemi. Miejscami śmierdzi tak straszliwie, że musimy podnosić szyby, chociaż sierżant Gola kazał jechać przy otwartych oknach i mieć oczy dookoła głowy.

W mojej drużynie strzelcem ściskającym kolbę MG2 na dachu pojazdu jest Daniel Puric. Obwiązał sobie chustą prawie całą twarz. Zerkam w górę i widzę, jak co parę

minut przeciera gogle i potężnie kicha. Musi się niestety przyzwyczaić, wszyscy musimy przywyknąć do syfu.

Skorpioną prowadzi Rot, a ja siedzę obok niego. To miejsce szczególnie niebezpieczne, mówiono nam o tym na szkoleniu. Większość ajdików wybucha z tej strony samochodu, na wysokości przednich drzwi, i pomimo pancerza rozrywa pasażera na strzępy. Dlatego nie siedzę z tyłu. Przynajmniej na początku misji muszę pokazać chłopakom, że mam jaja. Pocę się ze strachu i gadam przez radio.

Rozwielitka i Gaus siedzą z tyłu. Wlepiają wzrok w każdy kamień na poboczu, w każdego mijanego człowieka. Trzymają kurczowo MBS-y, zaciskają zęby. Są gotowi strzelać do dziadka pchającego wózek z kapustą i do kozy skubiącej trawę przy drodze. To dobrze, muszą być tacy. Wracam do obserwacji.

Remark to dziwaczne połączenie pięknych domów i byle jak skleconych chałup. Chaos zabudowy potęgują rozstawione wszędzie stragany z warzywami, ubraniami, skórą, narzędziami, rybami i nie wiadomo czym. Harman nie ucierpiał podczas wojny tak bardzo jak Portsail, ale ciągle spotykamy ruiny, których mieszkańcy nie zdążyli uprzętnąć od końca wojny. Czasem widać potrzaskany słup latarni lub spalone drzewo, czarny kikut strzelający w górę. Mijamy blok mieszkalny bez jednej szyby w oknie i wysoką na trzy metry kupę gruzu.

Ludzie są ubrani bardzo różnie: w ciemne długie płaszcze, w kolorowe kurtki lub swetry albo w coś w rodzaju wyszywanych chust. Niekiedy błysnie też biały lub purpurowy chiton kapłana. Jedziemy dość szybko, więc jeszcze nie rejestruję szczegółów, ale wszystko jest tu trochę popieprzone i nie układa się w całość.

* * *

Im bliżej centrum, tym robi się ciasniej i musimy torować sobie drogę klaksonami. Samochody, w większości kilkunastoletnie trupy, zjeżdżają posłusznie na bok, a grupki ludzi pierzchają w popłochu.

Pierwsze, co rzuca się w oczy, to mnóstwo pieszych idących ulicą, przechodzących na ukos i przebiegających przed pojazdami. Można dostać oczopląsu i zwymiotować od ciągłego hamowania. Ale, z drugiej strony, nie mogą korzystać z chodników, bo zastawiają je stragany i poprzewracane kubły ze śmieciami.

— Ale burdel! — odzywa się Gaus. — Trzeba uważać, żeby nie złapać tu jakiegoś świństwa. Normalnie, Markus, syf, kiła i mogiła.

— A co, nastawiasz się na dymanie? — pyta Rozwielitka.

— Skupcie się, kurwa, na drodze! — ucinam rozmowę. — Już się wyluzowaliście? Mordy w kubę i prowadzić obserwację.

Sierżant Gola podaje przez radio, że w jednej z bocznych ulic słyhać strzały, ale rozkazuje jechać dalej. Nie będziemy teraz sprawdzać, kto strzelał i do kogo, bo mamy inne zadanie. Zajmie się tym regularny patrol, chłopaki z Trzeciego plutonu.

Skrećamy w aleję Goździków, jedną z głównych ulic miasta, i widzimy długi na kilometr sznur aut czekających na benzynę. Z jeszcze większym trudem przeciskamy się przez ten „pas postojowy”, coraz więcej ludzi wchodzi nam pod koła. Ale w końcu docieramy do małego placu, na którym stoją trzy dystrybutory i rozwalony kontener obsługi.

Paliwo ma przyjechać jutro, tak mówi napis na łańcuchu zagraudzającym podjazd. Dobrze, że Puric zna trochę remarski i umie przekrzyczeć warkot silnika. Sierżant rozkazuje, aby ze skorpionów wysiadły drużyny Dwa i Trzy. Pierwsza i ostatnia załoga mają czekać na rozwój wypadków.

Drużyna Dwa to prawie sami weterani. Nie rozumiem, dlaczego nie przemieszano nas bardziej. W mojej drużynie tylko starszy szeregowy Rot jest drugi raz na misji, pozostali nie mają doświadczenia. Co innego turlać się na poligonie i czytać instrukcje, a co innego zrozumieć ten świat i nie oszaleć. Nigdy nie zrozumie armii.

Sierżant wyławia z grupki gapiów remarskiego policjanta i podchodzi do niego z tłumaczem. Rozmowa staje się nerwowa i widzę, że nasz dowódca coraz mocniej wymachuje rękami. Kiedy wraca, jest porządnie wkurwiony.

— Nie było żadnego zamachu — mówi, czerwony ze złości. — Te cymbały z policji myślały, że to bomba, a to tylko jakiś palant z obsługi stacji wysadził się niechcący w kontenerze. Miał nieszczelną butlę z gazem i zapalił papierosa. Trupa już zabrało pogotowie.

— No to pięknie. — Kapral Norman pluje na ulicę, chociaż w Remarku to chyba zakazane. — Dlaczego zwiad nie puścił drona?

— Bo stare pojechały na przegląd z Czwartym Kontyngentem, a nowych, kurwa, jeszcze nie uruchomili — odpowiada Gola i każe nam się pakować.

— Jak to dobrze, że te brudasy nie mają benzyny — zauważa ktoś z Drużyny Dwa. — Wszystko wyleciałoby w powietrze.

Pierwszy patrol okazuje się pomyłką. Nie będzie się czym chwalić po powrocie do bazy, ale nie mamy o to żalu. Wracamy inną trasą, żeby nie kusić losu i objechać korki. Pierwszy skorpion potrąca zdziczałego psa. Widzę, jak kościste zwierzę ucieka pomiędzy domami, kulejąc na złamanej nodze.

Wtorek, 12 stycznia, godz. 20.25

Wieczorami wszyscy dostają pierdolca. Tak właśnie muszę to nazwać. To dzwonienie, czatowanie, pisanie długich maili: do dziewczyn, narzeczonych, żon, rodziców, dzieci, krewnych i znajomych królika, kumpli z osiedla i kochanek z pracy albo innych zropaczonych dusz, które najbardziej na świecie potrzebują wiadomości o tym, co dzisiaj robiliśmy, co jedliśmy na obiad, ile jest stopni ciepła i czy pachwiny nam się nie otarły. Żołnierze siedzą przy komputerach i stukają w klawiaturę, ze słuchawkami na uszach pociągają nosem albo krążą z komunikatorem po korytarzach,

szukając odrobiny prywatności.

Po takich rozmowach zastanawiają się pewnie, czy dziewczyna ich nie zdradza, dzieci nie zaczęły wagarować, a żona nie przepuściła forsy, którą trzymali na czarną godzinę, i czy pies, chorujący na żołądek, naprawdę wyzdrowiał. W ciągu kilku dni może się zdarzyć tak wiele, kurwa mać.

Kręcę głową z niedowierzaniem, nie piszę listów i nie dzwonię. Powiedziałem ojcu, że odezwę się po przyjeździe do Harmanu, i wysłałem mu krótką wiadomość.

— Przejdzie im — mówi sierżant Gola, siedząc pod daszkiem kantyny; popija ze mną i kapralem Usilem bezalkoholowe piwo, którego jedyną zaletą jest niska temperatura. — To znaczy, przejdzie, ale nie wszystkim. Niejednego trafi szlag, gdy ktoś życzliwy prześle mu fotkę przyjaciela z jego osobistą narzeczoną. Zaraz będzie chciał urlopu na żądanie. Ale większość wystygnie na tym słońcu, mówię wam.

— A pan żonaty, sierżancie, jeśli można spytać?

— Od piętnastu lat z tą samą jędzą — odpowiada Gola z krzywym uśmiechem. — Tylko czeka, kiedy zrobią nabór na kolejną misję, żebym pojechał i przywiózł trochę forsy. Założyła salon fryzjerski, ale uwierzcie mi, chłopaki, że ta zdzira zna się tylko na goleniu z kasy. Obie córki takie same, a syn jeszcze gorszy, bo siedzi na tłustej dupie i gra. W ogóle, kurwa, nie wychodzi z domu, jak mnie nie ma.

— A na ilu był pan misjach? — pyta Usil.

— Ta jest piąta. Jeśli liczyć zesły rok, bo siedziałem zaraz za granicą, w Jonie, i ochraniałem konwoje z pomocą humanitarną. Dwa razy byłem lekko ranny, raz mi chcieli nawet urznąć nogę, ale jakoś się wylizałem. Ale chuj z tym, nie chcę o tym mówić. Teraz to jest bajka, chłopaki. Trzy lata temu mieliśmy na wyposażeniu hecklery, którym trzeba było taśmą przyczepiać magazynki do korpusu, bo potrafiły wypaść w biegu.

— Coś o tym czytałem. — Kiwam głową.

— A ja, Markus, widziałem takie przypadki. Oklejaliśmy karabiny, z silikonu robiliśmy uszczelki do gogli, bo przepuszczały pył, a skorpiony setki to był taki chłam, cienki jak papier, że spawaliśmy do nich blachę wyciętą z kontenerów na śmieci. A potem się modliliśmy, żeby nam ajdiki dupy nie urwały.

— Ja pierdolę! — komentuje Usil i idzie po kolejne siki zero procent.

— Ale dwusetki i dwieście pięćdziesiątki też nie są bezpieczne. Trzydzieści poszło na złom po zamachach w trakcie czwartej misji — mówię zdecydowanie, bo jeszcze w Rammie sprawdzałem statystyki wymiany sprzętu.

— Zorientowany jesteś, synu. — Sierżant Gola patrzy mi w oczy. — Ale nie wychylaj się z takimi rewelacjami. Ktoś może pójść do Ostina albo do Mullera i im elegancko przykablować. Rozumiemy się, kapralu?

— Tak jest.

— Dobrze. — Sierżant pociąga ostatni łyk i rozgląda się za Usilem. — Gdzie ten Peter, kurwa jego mać? Nie widzę go przy barze.

— Chyba poszedł się odlać.

— To ja też idę, miło się gawędziło. Muszę coś poczytać przed snem. W przyszłym tygodniu mam z wami taktykę, bo się porucznikowi nie chce gębą popracować. Pierdołę Ostina, Mullera i tych wszystkich oficerów wyciągniętych z dupy.

Patrzę za odchodzącym sierżantem i czuję się lekko pijany. Słońcem, zmęczeniem i napięciem, które nie opuszcza nas nawet na chwilę. Usil wraca po kilku minutach i dziwi się, że zostaliśmy sami. Gadamy o wczorajszym patrolu, ale rozmowa się nie klei. W końcu podnosimy tyłki i dołączamy do Larsa Normana, który zmierza w kierunku dawnego internatu. Szeregowcy i niżsi rangą podoficerowie mają tam swoje koszary.

Rozdział drugi

Piątek, 15 stycznia, godz. 5.35

Harman, prowincja Saladh, południowy Remark

Piszę do ciebie, ukochany synku, i do nikogo innego. Piszę te listy w przyszłość, zupełnie jakbym wierzył, że przyszłość nadejdzie. Nie wysyłam wiadomości od razu, bo jesteś jeszcze za mały, żeby to wszystko zrozumieć. Odkładam je do specjalnej skrzynki, która potem odszuka cię w sieci. Kiedy skończysz piętnaście lat, przeczese fora, profile i co tam jeszcze wymyślą brodaci czarodzieje, i jeśli cię odnajdzie, zaczniesz je dostawać, kawałek po kawałku.

Firma FutureBox zapewnia, że będą aktualizować algorytmy i za dziesięć lat narzędzie nadal zachowa swoją sprawność. Muszę w to wierzyć, zwłaszcza teraz, kiedy wiara jest mi szczególnie potrzebna.

Wczoraj zginął pierwszy żołnierz z naszego kontyngentu, kapral z Trzeciego Batalionu. Nie było to nic spektakularnego, facet zwyczajnie nie miał szczęścia. Jego skorpion trafił na ajdika, pierdolnęło i odłamek rozorał mu szyję. Pewnie nawet nie wiedział, co się stało. Wykrwawił się, zanim ktokolwiek zdążył udzielić pomocy. Drugiemu chłopakowi urwało dłoń, a strzelec na wieżyczce ogłuchł. Żadnego z nich nie znałem osobiście.

Bomby drogowe to skuteczna broń: prosta i trudna do wykrycia. To zwykle kawałek rury, wypełnionej żelastwem i materiałem wybuchowym. Na przedzie ma metalową płytę, która wygina się po detonacji, przyjmuje kształt stożka i wali w pancierz pojazdu. Rozpieprza go, choćby nie wiem co gadali konstruktorzy i dowódcy. Taka rura leży sobie, zamaskowana, przy drodze, i odpalają ją zazwyczaj za pomocą długiego kabla.

Nieraz idąc wzdłuż takiego kabla, da się wytropić sukinsyna, który zdetonował ładunek. Ale najczęściej zanim go znajdziemy, zanim ktokolwiek połapie się, o co w ogóle chodzi, jest już za późno.

Mówią nam, kochany, żebyśmy się nie bali, bo jeśli będziemy ostrożni, powinniśmy uniknąć ataku. Przecież większość wraca po roku do domu i uszczęśliwia sobą stęsknioną rodzinę. Ale nawet ty poczułbyś pewnie, że to kłamstwo. Bo choćbyś wypatrzył sobie oczy, nie dostrzeżesz w stercie śmieci dobrze zamaskowanego diabła.

Poniedziałek, 18 stycznia, godz. 7.05

Porucznik Marcel Ostin pofatygował się na zajęcia i zamęcza ludzi ideologiczną

gadką. Powtarza wszystkie slogany, którymi raczył nas wcześniej dowódca pułku. Miała być taktyka, a tymczasem dostajemy prelekcję o wadze naszej misji, o odpowiedzialności za cywilów, którzy są największymi ofiarami tej wojny, oraz o różnicach kulturowych, na które trzeba zwracać uwagę. Nie wspomina o wczorajszym „incydencie” z ajdikiem.

Jednym uchem wpuszczam, a drugim wypuszczam daty remarskich świąt religijnych i państwowych, podział na główne Świątynie, zakaz zbliżania się mężczyźni do niektórych miejsc kultu czy rozmawiania z kapłankami. Nienawidzę tego wszystkiego i myślę, że trzy czwarte kompanii też nienawidzi pieprzenia porucznika. Siedzimy w dawnej hali montażowej, przerobionej byle jak na salę gimnastyczną i miejsce spotkań dla setki żołnierzy. Na zewnątrz pada deszcz i w powietrzu wisi mokra szmata, od której nie można złapać tchu.

W końcu Ostin oddaje głos dwóm sierżantom, dowódcom plutonów, i zaczyna się robić ciekawiej. Szczególnie dla młodych żołnierzy, ale ja również chętnie posłucham wykładu, dłubiąc językiem w zębie dla higieny, szczególnie psychicznej.

Sierżant Sewerin mówi o tym, że wojna przeniosła się na stałe z pól bitewnych do terenów zurbanizowanych i szkolenie żołnierza powinno obejmować specyfikę walki na takim obszarze. Dodaje, że musimy zapomnieć o ćwiczeniach, które przeszliśmy w Syrakus i w swoich macierzystych jednostkach, bo mogą nam tylko zaszkodzić. Nowoczesne pole walki to nie las i pole, ale wąskie ulice i budynki pełne okien, bram i balkonów, z których nieprzyjaciel może prowadzić skuteczny ostrzał poruszającej się kolumny lub pieszego patrolu.

Mówi, że musimy zwrócić uwagę na sposób poruszania się w mieście, prowadzenie obserwacji, pokonywanie przeszkód i murów oraz terenu otwartego, który może stać się dla nas zabójczy, jeśli przyzwyczaimy się do myśli, że zawsze mamy osłonę. Podkreśla też, jak duży nacisk powinno się kłaść obecnie na szkolenie pojedynczego żołnierza piechoty i działanie w małych grupach, drużynach lub sekcjach. Tak, Borys, szczególnie w Garnizonie Koden ten nacisk był tak ogromny, że podczas zajęć młodzi latali po jednostce z kotłem gorącej wody na herbatę albo sprzątali okoliczne skwerki, bo miał przyjechać ktoś ze sztabu.

Gola każe nam rozwiesić płachty szarego papieru na ścianach. Nie wiem, skąd go wytrzasnął, ale płachty są ponumerowane i zarysowane sylwetkami ludzi oraz kształtami budynków, ulic i skrzyżowań. Jeśli zrobił te plansze samodzielnie, muszę przyznać, że ma odrobinę talentu.

— Panowie, w tym pierdolniku nie mamy rzutnika, o dużym ekranie nie wspominając, więc skupcie się na tych rysunkach — zaczyna spokojnie, ale w głosie czuć delikatną groźbę. — Nie po to się tak męczyłem, żebyście wy tam, z tyłu, plotkowali teraz o jakimś gównie. — Sala momentalnie zamiera. — Ustaliliśmy z sierżantem Sewerinem, że poduczymy was podstaw poruszania się po ulicy. Obserwujemy was od przyjazdu i nadal chodźcie na patrolu jak baby na zakupach. Dzisiaj w nocy chłopak z Siódmej Kompanii dostał postrzał centralnie w czoło, bo nikt

go nie ubezpieczał.

— A my nie mamy zamiaru ładować was w worki i dzwonić po rodzinach — dodaje od niechcenia Sewerin.

Zapada taka cisza, że słyszę bzyczenie komara, który lata gdzieś nad moją głową. Krople deszczu uderzają o blaszany dach.

Sierżant Gola zaczyna od wysiadania z samochodu. Zakazuje oddalania się od niego bez potrzeby, bo wiadomo – skorpion zawsze daje jakąś osłonę. Zakazuje też grupowania się w jednym miejscu i stania na wyprostowanych nogach. Nawet kiedy jest cicho i spokojnie, musimy zająć pozycję w przykłęku i zabezpieczać swoją ćwiartkę, przyklejeni do karoserii.

— A jeśli macie dodatkową osłonę, bierzcie dupę w troki i idźcie w kierunku celu. Jak ktoś trafi z RPG w skorpiona, może zabić was wszystkich — dodaje sierżant Sewerin; porucznik Ostin odbiera w tym czasie telefon i opuszcza salę.

— Właśnie tak. — Gola pokazuje pierwszy rysunek. — Będziecie tutaj podchodzić drużynami i oglądać schemat wyjścia z samochodu. Każdy kapral jest odpowiedzialny za to, żeby go przećwiczyć i pilnować na patrolu. I chuj mnie to obchodzi, że go zna na pamięć czy nie ma kiedy pogadać z rodziną. — Wodzi wzrokiem po sali. — Potem nauczycie się szyku podczas marszu wzdłuż budynków, pokonywania załomów i skrzyżowań i znajdowania osłony. Każdy ma wiedzieć, po kim idzie, który sektor zabezpiecza i co należy do jego obowiązków.

— Za dwa tygodnie macie już o tym nie myśleć — potakuje Sewerin. — Wtedy przejdziemy do walki wewnątrz budynków, poruszania się po schodach, wchodzenia do pomieszczeń, użycia zestawów sygnalizacyjnych, i tak dalej. Potem będzie sekcja o pracy z samolotami bezzałogowymi.

Młodzi żołnierze, chłopaki z plutonów Pierwszego i Trzeciego, mają skamieniałe twarze. A ja myślę, że starzy dowódcy postanowili napędzić im stracha, żeby zmobilizować do ćwiczeń.

Poniedziałek, 18 stycznia, godz. 14.25

Drużyna Trzy zajmuje w internacie pokój na pierwszym piętrze, drugie drzwi po prawej. Tapczany i półki są stare, zachowały się chyba sprzed wojny. Armia przez pięć lat nie zdołała wymienić tu mebli. Nikt nie odnowił ścian, pogryzmołonych przez słuchaczy szkoły zawodowej. Przepiękne rysunki, głównie penisy i cucky, i niezrozumiałe napisy po remarsku. Nad łóżkiem Gausa wisi wielki plakat z rozebraną panienką, jego osobisty wkład w wystrój tego wnętrza. Długie blond włosy, silikonowy biust i okulary przeciwsłoneczne.

Siadam na krześle pod oknem. Trzej żołnierze, którzy dotąd leżeli, siadają na łóżkach i patrzą wyczekująco. Dafny niechętnie odkłada szmatkę, którą czyścił swojego MBS-a. Podśledzałem w stołówce rozmowę Rota z chłopakami z Jedyńki i postanowiłem

wyjaśnić to od ręki.

— Dobra, Jim — odzywam się wreszcie. — O co chodzi z tymi magazynkami?

Rot jest – po mnie – najstarszy wiekiem w drużynie. Zawodowy kierowca i niezły cwaniak, ma za sobą osiem lat służby. Myślę, że już w Syrakus stał się nieformalnym przywódcą grupy i reszta chłopaków słucha go, mniej lub bardziej.

— Z jakimi magazynkami?

— Nie rób ze mnie wała. — Patrzę mu w oczy. — Wyjmij magazynek z karabinu i wyłuskaj przy mnie naboje.

— Nie ma takiej potrzeby.

— Słucham?

Rośnie mi gula w gardle.

— Nie trzeba, panie kapralu. W środku są tylko dwa smugowe, piętnasty i dwudziesty piąty. Poradziłem chłopakom, żeby zrobili tak samo, a smugowe dali do dwóch ostatnich zapasów.

— Możesz nie pajacować z tym „kapralem”? I powiedz mi, po jakiego chuja tak robisz? W regulaminie jest jasno napisane, że co piąty ma być smugowy, żeby zwiększyć celność.

— Regulamin jest do dupy — odpowiada spokojnie. — Nie można dawać tyle smugowych, bo się zdradza wrogowi pozycję. Nauczył mnie tego sierżant Malik na poprzedniej misji, u niego wszyscy tak robili. Zaznaczali środek magazynka i pięć sztuk przed końcem. Jak ktoś strzela, za przeproszeniem, jak cipa, to i smugowe mu nie pomogą. Mam rację, Markus?

Towarzyszy mu potakujący pomruk. Od tego, co teraz powiem, może sporo zależeć. Gdybym przyszedł nieprzygotowany, pewnie bym go opieprzał. Kazał mimo wszystko wyciągnąć te naboje albo zrobił coś równie głupiego. Ale przewidziałem rozwój sytuacji.

— Masz rację, Jim — mówię, wstając z krzesła. — Ale powinniście mi o tym powiedzieć, powinniśmy się uczyć od siebie. Nie wspominając, kurwa, o regulaminie. Muszę wiedzieć, kiedy go łamiemy.

— Myślałem, że się nie zgodzisz. — Rot po raz pierwszy traci pewność siebie.

— To źle myślałeś, żołnierzu. — Patrzę na Dafnego, który gładzi delikatnie lufę karabinu. — A słyszałem, że ty, Rozwielitka, zawsze strzelasz ogniem pojedynczym?

— No jasne, Markus, seria jest niecelna.

— I podobno liczysz strzały. Taki z ciebie aptekarz?

— Taki nawyk, jeszcze z cywila. — Dafny się uśmiecha. — Lubiłem chodzić na strzelnicę, cztery razy z rzędu wygrałem zawody.

— To wyrzucić wszystkie smugowe, nie są ci potrzebne. — Kiwam głową, żeby podkreślić te słowa. — A ja zrobię tak, jak pozostali, to niegłupi pomysł. Odpocznijcie, panowie. O dwudziestej mamy wartę na wschodniej bramie.

Środa, 20 stycznia, godz. 12.00

Mówią, że Pluton Szybkiego Reagowania to gówniana robota.

Zazwyczaj mówią tak w przenośni, bo PSR pozostaje w ciągłej gotowości bojowej. Jeśli nasza kompania ma wyznaczoną służbę alarmową, w razie wezwania musimy w ciągu piętnastu minut zapakować się do skorpionów i zapieprzać na miejsce zdarzenia. Oznacza to, że nie możesz znajdować się dalej niż pięć minut od punktu skoszarowania, a potem w dziesięć minut ubrać się w kamizelkę, ochraniacze, hełm i całe oprzyrządowanie i lecieć na złamanie karku. Cały dzień chodzisz napięty. Masz to mdlące, nefajne wrażenie, że ciągle trwa cisza przed burzą. I odliczasz kolejne godziny – nieważne, co robisz w tym czasie.

Ale tym razem służba jest gówniana dosłownie. Z Harmanu przyjechały dwa pojazdy asenizacyjne, żeby wybrać szambo z naszej bazy. Zaraz po nich pojawiły się kolejne samochody, które opróżniają przenośne latryny, ustawione szeregiem na końcach placu apelowego i w każdym kącie jednostki. Dwie drużyny z naszego plutonu zostały oddelegowane do pomocy wartownikom przy sprawdzaniu ciężarówek, a potem – jako asysta kierowców.

Jesteśmy naprawdę szczęśliwi.

Pojazdy warkoczą i stękają, śmierdzi, jakby się szatan zesrał, a na to wszystko pada drobny deszcz. Peter Usil obwiązuje nos remarską chustą, a potem krzyczy do mnie, że nie najmował się na szambiarza. No cóż, wszyscy cierpimy z powodu złej kanalizacji w mieście i ciągłych usterek technicznych.

W palarni natykam się na sierżanta Sewerina. Śmieje się z mojego wkurwienia; rechocze, że po powrocie do domu będziemy mieli w ręku nowy fach. Ale potem dodaje poważnie, że baza Erde ma ogromny problem z wywozem nieczystości, nawet zwykłych śmieci. Kierowcy śmieciarek i pojazdów asenizacyjnych są zastraszeni przez bojówki Garcii, a w grudniu partyzanci zastrzelili właściciela jednej z firm.

— Możliwe, że niedługo utoniemy w gównie — kończy swój wywód.

— To skurwysyny — mówię, przypalając drugiego papierosa. — Zabijają swoich za takie pierdoły, nie wiedziałem o tym.

— Traktują ich jak kolaborantów. Porozmawiaj, Markus, z którymś tłumaczem, to ci powie, jaka to niebezpieczna robota. Właściwie każdy, kto się godzi na tę pracę, ma przyznany automatycznie azyl. Ale już z rodzinami bywa różnie.

Przypominają mi się słowa naszego sierżanta, który powtarzał, że to brudna wojna. Tak brudna, że dotyka nawet śmieci i cystern z odchodami. Ci ludzie wyrzynają się nawzajem, wyrzynają nas, a my, rzecz jasna, wyrzynamy ich, jeśli tylko nadarzy się okazja.

Trzy miesiące temu w Portsailu został zaatakowany patrol. Żołnierze w odwecie otworzyli ogień do samochodu, którym jechali partyzanci. Zginął jeden z naszych, czterech napastników i sześciu cywilów, w tym matka z dwuletnim dzieckiem. Chłopaki spanikowali trochę, walili do auta w centrum miasta, nie zważając na tłum dookoła. Potem przez kilka dni w stolicy Remarku trwały zamieszki. Żeby je uspokoić, trzeba było

wprowadzić godzinę policyjną. Takie rzeczy są tutaj normalne.

* * *

Piątek, 22 stycznia, godz. 19.00

Od trzech dni ćwiczymy wysiadanie z samochodu. Zeszliśmy poniżej pięciu sekund – od symulowanego zatrzymania pojazdu do zajęcia pozycji strzeleckich. Jestem już spokojniejszy, bo każdy wie, jaki sektor ma kryć ogniem, ludzie nie wpadają na siebie jak połamancy, powtarzają manewr automatycznie. Wiem, że sytuacja zmieni się na polu walki, kiedy kule będą latały nad naszymi głowami, ale na to nie ma rady. Im lepiej nauczą się zasad, tym mniej będą się mylić na akcji.

Wymyślałam im różne kombinacje: ogień nieprzyjaciela z przodu, z tyłu i z boku pojazdu, problem z wyjściem z jednej strony, pozostawienie strzelca na wieżycze i ewakuacja całą piątką z płonącego wraku. Po dwóch godzinach wsiadania i wysiadania ze skorpioną mają mnie zazwyczaj dosyć i coraz jawniej się buntują. Wtedy im odpuszczam i idziemy napić się tego pseudopiwa w kantine, która sąsiaduje z Punktem Szpitalnym.

Na ekranie wiszącym nad barem widać protestujące tłumy, transparenty, flagi i oddziały policji. Ktoś nie zdążył przełączyć kanału. Plac przed siedzibą parlamentu w Mieście Ramma zajęły matki i żony rammańskich żołnierzy wysłanych do Remarku. Wspierane przez mieszkańców stolicy, ekologicznych aktywistów, socjalistyczną opozycję z Partii Pracy i różnej maści zadymiarzy, żądają zakończenia wojny, która pochłania kolejne ofiary. Chłopaki siedzą tyłem do telewizora i zajmują się innymi rzeczami.

Gaus pokazuje palcem czterdziestoletnią blondynkę w stopniu kapitana, która pije kawę przy małym stoliku i czyta gazetę. W bazie Erde kobieta to wielka rzadkość, ponieważ generał Salte twierdzi, że kobiety na misji to same problemy. Faceci głupieją w ich obecności, a one bardzo pragną udowodnić, że mają testosteron we krwi. Generał serdecznie olewa zarzuty, którymi ciskają w niego feministki, i pozostaje nieugięty. Na stu żołnierzy przypada mniej niż jedna kobieta.

— Trochę stara, ale niezła dupa — mówi Gaus scenicznym szeptem do Rozwielitki.

— Zamknij japę! — ucisza go Puric. — To jest oficer, człowieku. Chcesz iść do pierdła?

— Właśnie, Vim! — Pukam się znacząco w czoło. — To jest doktor Linda Sauber, dowódca Punktu Szpitalnego, zajebista chirurg. Przyszła kiedyś koleśowi dłoń, którą urwał mu ajdik. Teraz zrobiła to samo z tym kierowcą z Trzeciego Batalionu.

— Ze mną by zrobiła co innego — śmieje się Gaus.

— Jesteś debilem — stwierdza Puric.

— Co powiedziałeś? — Olbrzym robi się czerwony na twarzy i wstaje z krzesła.

— Czy mógłbyś powtórzyć, Danielku?

Kilka głów odwraca się w naszą stronę. Kątem oka dostrzegam, że kapitan Sauber także przerwała czytanie i rozgląda się po sali. Rot odchylił się na krześle i udaje, że śpi, Dafny próbuje coś powiedzieć, a Puric podejrzanie mocno trzyma szklanę.

— Szeregowy Gaus, siad na krzesło i ani słowa więcej! Bo narobisz problemów kolegom — syczę przez zaciśnięte zęby.

Gaus niespodziewanie opada na plastikowy stołek i głośno wypuszcza powietrze. Rozwielitka klepie go po plecach i powtarza, żeby nie ścirował, bo rzeczywiście narobi nam smrodu. Puric po prostu wstaje i wychodzi z kantyny. Za to Rot przechodzi sam siebie: naprawdę zaczyna chrapać i chwieje się na krześle. Czas wracać.

Sobota, 23 stycznia, godz. 2.15

Alarm. W samym środku snu o niebieskim świetle. Snu o milczącym potworze.

Podrywam się z łóżka jak oparzony, chwytam rzeczy, nie wiedząc jeszcze, o co chodzi. Usil również zaczyna się ubierać. Wpada do nas sierżant Gola, który wygląda tak rześko, jakby wcale się nie kładł do łóżka. Wskazuje na mnie palcem.

— Markus, zapieprzaj do swoich, wyjeżdżacie z bazy za pięć minut!

— Co jest, panie sierżancie? — pytam gdzieś pomiędzy naciąganiem spodni na tyłek a zapięciem kamizelki.

— Macie sprawdzić, co się dzieje po drugiej stronie drogi. Wartownicy coś wypatrzyli na polu. Ruchy, kurwa, kapralu!

Chwytam broń, biegnę przez korytarz. Otwieram drzwi do pokoju chłopaków. Ruszają się jak na przyspieszonym filmie. Wskakują w buty, dopinają paski hełmów i po kolei meldują gotowość. Rozwielitka trochę się guzdra, bo nie jest demonem szybkości, ale w końcu wszyscy biegniemy do skorpiona, wskakujemy do wozu, Rot odpala silnik. Oficer dyżurny odzywa się w słuchawce, podaje meldunek z obserwacji wschodniej bramy.

Opuszczając bazę, wiem już, że w pobliżu kręci się jakiś człowiek. Wartownicy uznali, że może mieć wrogie zamiary, i wszczęli alarm. Okolica bazy Erde jest częściowo niezabudowana. Na wprost bramy, zaraz za drogą prowadzącą do miasta, znajduje się spory teren porośnięty rzadką trawą, na którym miejscowi wypasają kozy. Wiatr przegania śmieci po ugorze, pełno tu kamieni i kawałków gruzu, który został po budynkach zburzonych podczas wojny. W zasadzie nic ciekawego. Po cholere ktoś miałby tutaj chodzić w środku nocy?

Przecinamy drogę. Nie jedziemy szybko, bo facet nie ma szans, by uciec. W lornetce z noktowizorem widzę zieloną postać. Podjeżdżamy na pół kilometra, może trochę mniej, kiedy Rot włącza reflektory na przedzie skorpiona. Wyłuskują z mroku mężczyznę okutanego w szare łachy, który kuca za murkiem i grzebie w piachu. Schwytany w snop światła, podrywa się nagle i chowa przed nami. Zza sterty kamieni wystaje tylko czubek głowy.

— Włączyć zakłócacze!

Chłopaki naciskają przełączniki na pasach, czarne skrzynki migają zieloną diodą. Skronie przeszywa mi znajomy ból wywołany impulsami elektromagnetycznymi. Zaciskam zęby, ból staje się mniejszy.

— Strzelec na stanowisku! — melduje Puric, chwytając kolbę MG2.

— Dafny za mną! — krzyczę niepotrzebnie. — Bierzemy go z prawej, Gaus i Rot zachodzą z lewej. Uważajcie, może mieć na sobie bombę! Włączyć oświetlenie.

Odpalamy latarki taktyczne pod lufami karabinów, wyskakujemy ze skorpiona. Ostrożnie, ale bardzo sprawnie otaczamy gościa z obu stron. Jesteśmy już za kupą gruzu. Nasze światła krzyżują się na zarośniętej twarzy Remarczyka, który naciąga głęboko na czoło czapkę i wyje z przerażenia.

Rot pyta go łamanym remarskim, co tu robi. Gość wyje dalej i skrywa twarz w dłoniach. Stoimy w odległości kilkunastu metrów i mamy ochotę coś zrobić. MBS-y odbezpieczone, palce prawie dotykają spustu. Rozwielitka z tej odległości może odstrzelić mu dowolną część ciała. Rot zaczyna krzyczeć, żeby ściągnął kurtkę i pokazał, co ma pod spodem, więc mężczyzna trzęsącymi się rękami rozpina suwak.

Pod wacianą kurtką ma tylko dziurawy sweter. Na nogach spodnie dresowe, wypchane na kolanach. Sportowe buty, które nosi, były pewnie białe w poprzednim wcieleniu.

— Gaus, przeszukaj go!

Vim w kilku susach dopada nieszczęśnika, chwyta go za kark jak szmacianą kukłę i obmacuje ubranie. Wyciąga z kieszeni kurtki pomietą reklamówkę, ale niczego więcej nie znajduje. Ze złości rzuca cywilem o ziemię i sprzedaje mu naprawdę solidnego kopa. Czuję, że nogi drżą mi z podniecenia. Najchętniej podbieglibyśmy wszyscy i zatłukli faceta na śmierć. Potem by się powiedziało, że wykonał niebezpieczny gest.

Nasz niedoszły terrorysta okazuje się lekko niedorozwinięty. Mówi, że coś zgubił wieczorem, kiedy szedł tędy do domu. Rot nie jest pewien, czy chodzi o zegarek, czy o jakąś religijną bransoletkę. Koleś nie mógł w nocy zasnąć i wrócił tutaj, żeby szukać swojej zguby. Znakomity pomysł, zwłaszcza że od razu padła mu latarka, a teren przylega do bazy. A na koniec, jeśli dobrze rozumiemy, dorwało go sranie i właśnie zagrzebywał kupę w piasku, kiedy go oświetliliśmy. Bohatersko zwalczamy pastuchów na obsranym polu.

Każę mu spieprzać do siebie i dziękować bogom, że wraca w jednym kawałku. Wydaje mi się, że zrozumiał, bo podrywa się gwałtownie i biegnie w stronę majaczących w oddali budynków. Składam meldunek do bazy i ładujemy się z powrotem do skorpiona.

Nic tu po nas.

Sobota, 23 stycznia, godz. 17.00

Tym razem szkolenie prowadzi tylko sierżant Sewerin. Dwa plutony, Pierwszy i Trzeci, pod komendą jego i sierżanta Goli, mają niewesołe miny. Borys Sewerin zaczyna tradycyjnie od krótkiego opierdolu, przy czym jedzie sprawiedliwie po wszystkich: po kapralach i szeregowych, ludziach odpowiadających za szkolenie w garnizonach oraz po kadrze obozu w Syrakus, czyli „leśnych dziadkach” i „starych złamanych kutasach”. Powtarza, że to, co widzi na patrolach, jest zwykłą amatorszczyzną.

Rozwiesza na ścianie ilustracje przygotowane przez Golę, pokazujące z góry patrol w szyku pieszym, poruszający się po ulicy. Zaczyna od ustawienia drużyny i wskazuje na rysunkach, jak mają zorganizować się żołnierze w pojedynczej kolumnie.

— Kurwa jego mać! — zaczyna sierżant. — Kto wam wbił do głowy, że wszyscy macie się gapić przed siebie? Tacy jesteście ciekawscy, że zapominacie o swojej własnej dupie! — Uderza pięścią w stół. — Zapamiętajcie raz na zawsze to, co teraz powiem!

A więc chłopaki zapamiętują posłusznie:

Żołnierz numer jeden prowadzi ubezpieczenie na wprost i odpowiada za sprawdzenie okien, drzwi i narożników po swojej stronie ulicy.

Żołnierz numer dwa prowadzi ubezpieczenie na wprost i lekko na skos, kontrolując okna i drzwi na poziomie parteru w budynkach po drugiej stronie.

Żołnierz numer trzy kontroluje przeciwną stronę ulicy, okna i drzwi powyżej parteru.

Żołnierz numer cztery kontroluje wyższe kondygnacje po swojej stronie ulicy.

Żołnierz numer pięć przemieszcza się do przodu, z głową, korpusem i karabinkiem zwróconym do tyłu.

— I nie ma, kurwa, inaczej! — mówi sierżant.

Najbardziej przechlapane ma ostatni w kolumnie, i trzeba to zadanie przydzielać wysportowanym żołnierzom. Trzeba też zmieniać ich regularnie, żeby nie padli ze zmęczenia i nie dostali skurczu mięśni.

Potem mamy widok dwóch, trzech i czterech drużyn, które idą w kolumnach po obu stronach ulicy. Pododdział szturmowy i ubezpieczenia, pododdział wsparcia i ewentualnie zespół dowodzenia, jeśli nie został przy pojazdach. Informacji jest dużo, a my niewyspani i rozdrażnieni nocnym wypadem. Nawet Dafny przestał dowcipkować i tylko zakrywa dłonią usta, kiedy ziewa. Gaus wierci butem dziurę w posadzce i cały intelekt rzuca na front naukowy. Rot ma zblazowaną minę, a Puric klepie bezgłośnie różaniec.

Czwartek, 28 stycznia, godz. 21.00

Armagedon wygląda mniej więcej tak jak cała reszta.

Godzinę temu baza została ostrzelana z moździerzy. Zaraz po ataku zwiad poderwał drony, sokoły znalazły plac, z którego padły strzały, a feniksy otworzyły ogień do znajdujących się tam rebeliantów. Gola powiedział nam, że wszystkie patrole operujące

w pobliżu oraz PSR z Pierwszej Kompanii otoczyły grupę religijnych fanatyków i wystrzelały ich co do nogi. Łącznie jednaście osób. Trwało to niecałe pół godziny, dwóch żołnierzy zostało lekko rannych w czasie akcji. Dowódcy żałowali pewnie, że nie wzięto jeńców, ale to już nie nasze zmartwienie.

Krajobraz po bombardowaniu opisuje lepiej naszą misję niż tysiące słów. Pociski moździerzowe spadły na budynek, w którym znajduje się nasza kuchnia, i na plac apelowy. W kuchni zginęli starszy kucharz i jego pomocnik, gdy porządkowali zapasy i przygotowywali jutrzejszy posiłek. Nie zdążyli pobiec do schronu. Jeden pocisk trafił w niebieski rząd latryn i zabił szeregowego Fielda, korzystającego właśnie z wychodka. Wszędzie wala się połamany plastik, a gejzer gnojówki obryzgał ścianę najbliższego domu. Chodzimy jeszcze po placu i szukamy szczątków kolegi, który poległ bohatersko, siedząc na desce klozetowej.

Sierżant Gola podchodzi do mnie, przypalając papierosa trzęsącymi się rękami. Pokazuje mi miejsce, gdzie znalazłem but zabitego żołnierza. W bucie tkwiła zakrwawiona stopa. W uszach słyszę coś, jakby pisk fal radiowych. Jakby śmierć przeleciała przez plac apelowy. Ale to nie moja śmierć.

— Możecie ćwiczyć, opanować wszystko, czego was uczymy, a jakiś pierdolony dzikus zabije was na kiblu — odzywa się sierżant. — Czy to takie dziwne, że nie mogę się z tym pogodzić?

— Kapitan Beck zadzwoni do rodziców i przekaże im pewnie, że syn zginął bohatersko w walce — mówię, trzymając w rękach ten pierdolony but.

— Nie ma większego frajerstwa, Markus, niż dać się zabić. Nie ma, kurwa, większego frajerstwa, rozumiesz?

— Tak jest, panie sierżancie.

— Jak ty to robisz, że jesteś taki spokojny?

— Przyjechałem tutaj, żeby umrzeć — odpowiadam zgodnie z prawdą.

Gola patrzy mi w oczy, jakby nie zrozumiał tych słów. Przeżył już tyle misji, że toczy z wrogiem swoją prywatną wojnę, by jego podkomendni wrócili do domów. Nienawidzi partyzantów, ale jeszcze bardziej nienawidzi rządu i dowódców, którzy nas tutaj wysłali. A ja, zwykły partacz z obrony terytorialnej, rozwalam mu cały świat.

Nie zna mnie. Nie wie, co w przeszłości próbowałem sobie zrobić. I nie pojmie tego, o czym mówię, choćby najbardziej się starał. Myślę, że to go przerasta, i że właśnie dzisiaj sięgnie po butelkę przeschmugłowanego bimbru. Jest tak wściekły na mnie i na cały świat, że zapomina o krzyku.

Niesiemy znalezisko do Punktu Szpitalnego, gdzie leżą pozostałe szczątki Brunona Fielda. Pierwszy Batalion Piechoty, Druga Kompania, Trzeci Pluton, Drużyna Dwa. Same puste słowa, które nic nie znaczą.

Cześć jego pamięci!

Rozdział trzeci

Poniedziałek, 1 lutego, godz. 4.05

Harman, prowincja Saladh, południowy Remark

Kochany synku, pierwszy miesiąc remarskich wakacji już za mną. Nie będę ci opowiadał o kolegach, którzy zginęli w tym czasie, bo i tak nie skojarzysz ich nazwisk i żołnierskich stopni z twarzami, dziwnymi anegdotami i całym tym drobiazgiem, który odróżnia jednego człowieka od drugiego. Rozwieją się w twojej pamięci następnego dnia.

Opowiem ci za to historię Zorana, naszego tłumacza, którego starsi żołnierze znali jeszcze z poprzedniego kontyngentu. Spotkałem się z nim jeszcze w piątek po służbie; byłem ciekaw, jak wygląda tutaj życie, o czym rozmawiają Remarczycy w domu albo na zakupach.

Zoran miał dwadzieścia osiem lat i żonę w tym samym wieku. Poznali się jeszcze w liceum i ich miłość przetrwała okres, kiedy studiował architekturę w Mieście Ramma. Tam nauczył się naszego języka, chociaż musiał przerwać studia, gdy wybuchła wojna.

Wrócił do kraju, do swojej żony i małego synka, udało mu się zaciągnąć do wojska, walczył z Gottanami. Rodzina jakoś przetrwała to piekło. Potem pracował dorywczo, trochę jeździł jako kierowca, z trudem zarabiał na życie. Kiedy nasi poszukiwali tłumaczy do Czwartego Kontyngentu, zgłosił się i przeszedł weryfikację. Bo widzisz, synku, każdego kandydata sprawdza Wywiad Wojskowy i nie wystarczy dobrze mówić po rammańsku. Trzeba jeszcze mieć krystaliczną przeszłość, inaczej nie dostaniesz tej pracy.

Przez ostatnie dwa lata Zoran nie mógł się przyznać najbliższym, nawet ojcu i matce, że pracuje dla SSARR. Tylko żona wiedziała o wszystkim i umierała ze strachu. Partyzanci polują na tłumaczy i ich krewnych. W tym kraju, kochany, ludzie wierzą w różnych bogów, jest siedem dużych Świątyń. Najgorsza z nich to Świątynia Aresa. Jej wyznawcy ogłosili, że każdy, kto z nami współpracuje, jest zdrajcą, a za zdradę arejczycy karzą śmiercią.

Wszyscy w rodzinnym miasteczku pod Portsaiem myśleli zatem, że Zoran pracuje w Harmanie jako kierowca. Nie odwiedzał żony zbyt często, bardzo starał się zmienić wygląd, kiedy z nami jeździł. Zapuścił brodę, owijał twarz chustą i zakładał gogle. Noc zawsze spędzał w koszarach, nie wychodził na miasto. Ale ktoś musiał go rozpoznać i donieść, gdzie trzeba.

Wczoraj wieczorem dowiedział się, że jego dom odwiedzili partyzanci i wywlekli żonę i synka z domu. Na szczęście nie torturowali ich, po prostu zastrzelili na środku ulicy, na

oczach innych mieszkańców. Sąsiedzi powiadomili rodzinę, a ojciec chłopaka zadzwonił do niego, żeby przekazać tę straszną wiadomość. Dowiedzieliśmy się o tym po fakcie.

Zoran nie powiedział nikomu, co się stało. Długo krążył po bazie w poszukiwaniu żołnierza, który byłby wystarczająco niedbały, by nie zabezpieczyć broni. W końcu wyrwał karabin jakiemuś żółtodziobowi, który wrócił z patrolu, przyłożył sobie lufę do brody i nacisnął spust. I tak się kończy ta historia, synku. Historia chłopaka, który przetrwał wojnę z Gontanami, a potem, w pewnym sensie, zginął z rąk swoich rodaków. Za to, że tłumaczył nam ich język i pomagał załatwiać codzienne sprawy. Popęłnił zbrodnię, której tu się nie wybacza.

Wtorek, 2 lutego, godz. 14.55

Porucznik Ostin i porucznik Muller siedzą ze skwaszonymi minami pod ścianą świetlicy. Nagłe zebranie zepsuło im jakieś plany, a może nawet zmusiło do zrobienia czegoś więcej niż zazwyczaj. Sierżant Zemek, dowódca Drugiego Plutonu, podchodzi do nich i tłumaczy coś szeptem, wskazując na drzwi wejściowe.

Po chwili staje w nich kapitan Beck i obcy oficer w stopniu majora. Szczupły, niewysoki facet z zarostem na twarzy, co w naszej armii zdarza się niezwykle rzadko. Zdejmuje przyciemniane okulary i lustruje zgromadzonych. Stoimy na baczność, nie wiedząc właściwie, o co chodzi.

— Spocznij! — wydaje komendę.

Siadamy znowu na rozklekotanych krzesłach, a Beck i obcy major zajmują miejsca na przedzie sali, obok poruczników. Szmer rozmów przybiera na sile. Lars Norman nachyla się w moją stronę i stwierdza, że to na pewno ktoś z wywiadu. Godzinę temu przyleciał śmigłowiec z kilkoma oficerami. Wygląda na to, że samobójstwo naszego tłumacza wywoła poważne konsekwencje.

— Panowie! — zaczyna Beck, stając przed nami. — Przedstawiam wam majora Ralfa Wilmotsa z Wywiadu Wojskowego, który chciałby powiedzieć wam kilka słów.

— A nie mówiłem? — szepcze Norman.

— Kompania, proszę o ciszę! — kontynuuje kapitan. — Pan major opowie wam krótko o sytuacji bieżącej i nakreśli zadanie do wykonania. Jeśli będziecie mieli pytania, proszę zadawać je później swoim dowódcom.

Gość zdejmuje czapkę, kładzie ją na stoliku i zajmuje miejsce Becka.

— Żołnierze — odzywa się lekko zachrypniętym głosem. — Wywiad Wojskowy odnotował wzmożony ruch rebeliantów na terenie Harmanu i okolic. Szczególnie zagrożone są tereny zachodniego i południowo-wschodniego Harmanu oraz obszar od miejscowości Saddra aż do podnóża Gór Wilczych. — Wilmots wskazuje kilka miejsc na mapie prowincji. — Również na pustyni Saladh obserwujemy konwoje pojazdów cywilnych, które potencjalnie przemycają broń dla bojowników Evana Garcii i innych grup ekstremistów. Oznacza to, że w najbliższych tygodniach możemy się spodziewać

ofensywy nieprzyjaciela i krwawych ataków na patrole Sił Stabilizacyjnych. Niedawny ostrzał waszej bazy, jak również próba zasadzki na konwój zaopatrzenia, zmierzający do bazy Centaur, potwierdzają tę wersję. Macie zatem wzmóc jeszcze swoją czujność i po każdym patrolu składać szczegółowe meldunki o podejrzanych zachowaniach mieszkańców. — Major patrzy na nas zimnym wzrokiem. — To wszystko, co chciałem wam powiedzieć. Zadanie przedstawię w węższym gronie. Dowódca kompanii wyczyta teraz kilka nazwisk.

Kapitan Beck staje na środku z kartką papieru w dłoni i zaczyna czytać:

— Starszy sierżant sztabowy Ian Gola, starszy sierżant Edward Krell, starszy sierżant Borys Sewerin, starszy kapral Robert Lotty, starszy kapral Markus Trent — robi mi się cieplej — starszy kapral Samuel List, kapral Peter Usil, kapral Jonas Born, starszy szeregowy Jurgen Kulme, starszy szeregowy Wiktor Satt, starszy szeregowy Daniel Puric, starszy szeregowy Goran Lukas i starszy szeregowy Jared Dafny zostają na sali. Reszta, rozejść się!

* * *

Kilka minut później siedzimy w pokoju narad dowództwa bazy Erde. Oprócz majora Wilmotsa jest tu jeszcze trzech oficerów Wywiadu Wojskowego – kapitan i dwóch poruczników – oraz major Giggs, dowódca Trzeciego Batalionu Piechoty, kapitan Beck, porucznik Ostin, porucznik Muller i podporucznik Jang. No i, co oczywiste, wszyscy żołnierze wyczytani przez dowódcę kompanii.

Major Wilmots przechadza się między nami, ściśniętymi jak sardynki w oleju, przygląda się każdemu z osobna, patrzy w oczy, jakby miał dokonać trudnego zakupu. W końcu siada u szczytu stołu, zbitego byle jak z płyty wiórowej, i zaczyna odprawę przed misją. Dowiadujemy się wreszcie, do jakiego zadania zostaliśmy przydzieleni.

Wywiad namierzył dziś rano miejsce, w którym prawdopodobnie ukrywa się Jozua Kalman, jeden z dowódców Evana Garcii. To niewielki dom na południu Harmanu, dobrze utrzymany piętrowy budynek. Od kilku godzin wisi nad nim dron, który przekazuje transmisję do centrali w Seegardzie. Jeśli podejrzenia potwierdzą się i Kalman zostanie zidentyfikowany, będziemy mieli za zadanie otoczyć posesję, wejść do środka i schwytać lub zabić terrorystę. Nie może uciec, to priorytet operacji „Jukka”.

Wilmots tłumaczy nam, że standardowo za schwywanie celu odpowiedzialny byłby jeden z Oddziałów Specjalnych, jednak chwilowo „osy” nie mogą zostać przerzucone na południe Remarku, wykonują inne zadania. Dlatego zostaliśmy wyselekcjonowani do tej misji, którą zrealizujemy razem z oficerami wywiadu. Jest to dowód, że armia obdarzyła nas szczególnym zaufaniem.

Czujemy się cholernie zaszczytzeni.

— Mogę o coś spytać, panie majorze? — odzywa się Jonas Born.

— Tak, kapralu?

— Dlaczego właśnie my zostaliśmy wybrani?

Wilmots patrzy na niego, jakby zobaczył skrzyżowanie karalucha z pajakiem. Nie kwapi się z odpowiedzią. Głos zabiera major Giggs, który pełni tutaj rolę gospodarza.

— Wasi bezpośredni dowódcy wskazali żołnierzy, którzy odznaczają się zaangażowaniem i zimną krwią. Nie skierujemy do ujęcia Kalmana osób, które mogą zawieść. Pełnicie swoją służbę od początku misji bez zastrzeżeń oraz macie cechy, które będą przydatne podczas wykonywania zadania.

Sierżant Gola i sierżant Krell są starymi wyjadaczami, a Sewerin, chociaż młodszy od nich o kilka lat i mniej doświadczony, ma na koncie kilka trudnych akcji. Lotty i List – podobnie, zabili kilku terrorystów w obławie urządzonej dwa lata temu w okolicach Portsailu. Dafny, Satt i Lukas strzelają najlepiej w kompanii, a Puric i Kulme mają przeszkolenie medyczne i znają remarski. Ale Usil, Born i ja nie wyróżniamy się niczym szczególnym; naprawdę trudno powiedzieć, dlaczego trafiliśmy do tej grupy.

Otrzymujemy rozkaz, by nie rozmawiać o szczegółach odprawy z kolegami. Mamy zabrać broń i wyposażenie z koszar, a potem wrócić do świetlicy. Tu będziemy oczekiwać na dalsze rozkazy.

To, że coś się dzieje, wprawia niektórych w wyśmienity nastrój. Ale sierżant Gola wydaje się nieobecny, nie odpowiada na moje pytania, a Lotty nerwowo drapie się w głowę. Usil i ja zabieramy cały majdan z pokoju i meldujemy się porucznikowi Ostinowi.

Smród ze zniszczonych latryn ciągle wisi w powietrzu.

* * *

Ostatnia odprawa. Jest kwadrans po dwudziestej pierwszej, a my czekamy już tak długo, że każde szczeknięcie psa czy głośniejsze pierdnięcie może spowodować wybuch. Usil twierdzi, że zgrzytam bezwiednie zębami.

Major Wilmots sformował z nas cztery drużyny i każdej przydzielił zadania. Trafiłem do jednego z dwóch pododdziałów szturmowych; będziemy wchodzić do budynku od frontu, drugi oddział ma zaatakować willę od strony tylnego wejścia. Chorąży Garmont wydaje nam dodatkowe wyposażenie: dostajemy kamizelki IR z kodem „koło-krzyż-kwadrat” oraz gogle PNVG, w których wyglądamy jak zmutowane owady.

Jest nas łącznie dwudziestu. Porucznik Moerstem będzie prowadził drużynę, w której oprócz sierżanta Goli i mnie znajdują się też Puric i List. Wiem tylko, że Rozwielitka ma zabezpieczać posesję od strony ogrodu z karabinem wyborowym, a Usil jest w drugim oddziale szturmowym. Chciałbym, żeby wreszcie namierzyli tego gnoja, Kalmana. Chciałbym zrobić cokolwiek, żeby tylko skończyło się to czekanie. Właśnie dopinam kamizelkę, kiedy pada rozkaz do wyjazdu.

„Jukka” zaczyna się na dobre.

Jedziemy czterema dwusetkami, ale bez strzelców przy MG2. Skorpiony gnają szosą w stronę centrum, a potem nagle skręcają w prawo, na zniszczoną obwodnicę. Jestem ciekaw, czy biblijne ciemności, które panują w południowych kwartałach miasta, to zwyczajna przerwa w zasilaniu, czy ktoś celowo wyłączył oświetlenie.

Nasz pojazd jedzie jako pierwszy. Gola, List i ja siedzimy ściśnięci z tyłu. W pewnej chwili czuję głucho uderzenie, podskakujemy lekko na wyboju, a Puric, który prowadzi skorpiona, żegna się szybkim ruchem i spluwa pod nogi.

— Co jest, Daniel? — pytam trochę nerwowo.

— Melduję, że kogoś potrąciłem — odpowiada Puric. — Wlazł mi pod koła, Markus. Kurwa mać.

— Nie myśl o tym — odzywa się Gola. — Następni mu na pewno poprawili.

— Skupcie się na misji, żołnierzu — mówi porucznik Moerstrem, patrząc w sufit. — Zjeżdżamy następnym zjazdem.

Przed oczami latają mi niebieskie płatki, wirują jak śnieg. Okruchy czyjejś obecności, zawieszane w tym gorącym śnie na jawie. Ktoś mnie woła, przyzywa do siebie. Przecieram zmęczone powieki i wpatruję się w noc, z której reflektory skorpiona wycinają kawałek ulicy.

Dzielnica Harmanu, gdzie ukrywa się Kalman, to raczej spokojne miejsce. Od początku stycznia tylko raz wysłali tutaj PSR, gdy na jednym z podwórek rozległy się strzały. Okazało się, że to wesele córki bogatego sklepikarza. Pan młody i jego koledzy strzelali na wiwat, a tchórzliwa remarska policja bała się wejść na posesję. Norman opowiadał, że jego drużyna stała się atrakcją wieczoru. Ojciec panny młodej częstował ich wódką i pikantną fetiją. Musieli posiedzieć chwilę przy stole, żeby nie urazić gospodarzy. Wrócili w świetnych humorach.

Teraz jest ciemno i ponuro, zaczyna siąpić deszcz. W okolicznych budynkach życie jakby zamarło. Miasto potrzebuje elektrycznej krwi, która przenosi światło i informację. Gdzieniegdzie pod zadaszeniami stoją grupki młodzieży, chłopaki na skuterach i dziewczyny świecące latarkami w naszą stronę. Musimy się spieszyć, zanim ktoś ostrzeże Kalmana. Porucznik Moerstrem powtarza to zdanie jak mantrę.

Na ostatnim skrzyżowaniu rozdzielamy się. Dwa skorpiony podjeżdżają od frontu pod dom terrorysty, dwa okrążają jego działkę z drugiej strony. Kiedy kierowcy zatrzymują samochody, my wyskakujemy już na zewnątrz, włączamy gogle i system łączności. Wszystko tonie w zielonkawym świetle, zaczęło padać i strugi deszczu wyglądają jak folia. Gówno widać, ale zaczynamy działać.

„Cofaj, cofaj, jeszcze cofaj. Stop!”.

Skorpion, którym jechał Wilmots, podjeżdża tyłem do bramy. Chłopaki podpinają metalową linę do jednego skrzydła. Po obu stronach wjazdu, pod kamiennym murkiem, przykłęka po dwóch żołnierzy. Nasz pododdział czeka w pogotowiu, schowany za

patrolowiec. Broń odbezpieczona, serce łomocze jak głupie.

„Wszystkie drużyny! Włączyć znaczniki IR!”.

W nocnej wizji żołnierze zaczynają błyskać trzema figurami, sekwencja koło-krzyż-kwadrat, co sekundę, w tym samym tempie, precyzyjnie dostrojone do siebie. Koło-krzyż-kwadrat, koło-krzyż-kwadrat. Od tej chwili kto nie nosi znaku bestii, jest potencjalnym wrogiem i stanowi nasz cel.

„Ruszaj!”.

Skorpion szarpie bramę i wyrywa skrzydło razem z prawym słupkiem. Przy okazji przewraca się część ogrodzenia i przygniata jednego z żołnierzy. Zdaje się, sierżanta Krella. Piękne, kurwa, rozpoczęcie misji. Wilmots daje rozkaz do ataku.

Biegniemy gęsiego za porucznikiem Moerstrem. Mamy nie zbaczać ze ścieżki; wywiad podejrzewa, że w trawie wokół domu zakopane są pułapki. Saper zakłada ładunek wybuchowy na masywne drzwi wejściowe. Drugi robi to samo na zakratowanych drzwiach balkonowych z tyłu domu – po chwili słyhać meldunki:

„Jedynka gotowa!”.

„Dwójka gotowa!”.

Schodzimy minimalnie z osi uderzenia, zatykamy uszy. Dwa wybuchy rozlegają się prawie równocześnie. Drzwi wejściowe wiszą na jednym zawiasie i zapraszają do środka.

Nie znamy rozkładu pomieszczeń, od tej pory nie wiemy zbyt wiele. Pierwszy wbiega Gola i już w przedsionku wpada stopą w garnek z zupą. „Kurwa mać!”. Koło-krzyż-kwadrat. Za nim Puric, jako jedyny uzbrojony w strzelbę. Z rozpędu uderza lekko w plecy sierżanta. Koło-krzyż-kwadrat. Potem ja, a zaraz po mnie porucznik Moerstrem i List.

Po prawej wejście do łazienki. „Czysto!”. Po lewej szafa wnękowa. Puric prawie wyrywa drzwi, kiedy je odsuwa. Kolejne drzwi po prawej. Naciskam klamkę i otwieram je kopnięciem. W pokoju stoi mężczyzna; opiera się o kanapę i mierzy do mnie z pistoletu.

W lewym górnym rogu wizji mam zdjęcie Kalmana, ale to nie on. Przesuwam się cicho w bok. Facet strzela po omacku, kula uszkadza futrynę. Dwa kroki do przodu i uderzam kolbą karabinu w jego twarz. Tryska krew, czarna w zielonej poświacie. W pokoju pojawia się Moerstrem, podnosi z podłogi pistolet i każe mi biec dalej. Wsparcie dostaje rozkaz, żeby przysłać kogoś po tego człowieka.

W domu krzyki i histeryczny płacz dzieci. Ktoś z drugiej drużyny napierdala grubą kobietę po głowie. Pięść opada szybko, raz za razem, kółko-krzyż-kwadrat. W głębi słyhać hałas przewracanych mebli. Spotykam Usila, zastygłego na środku salonu. Wbiegamy po schodach na piętro. Drzwi na końcu korytarza są zamknięte, więc Puric strzela w zamek z shotguna. Wpadamy do środka, kiedy ktoś zeskakuje z balkonu. Wyglądam na zewnątrz.

Mężczyzna biegnie do ogrodu. Jeden strzał od strony ogrodzenia.

Upada na ziemię.

„Góra czysta!”. „Dół czysty!”.
„Czwórka! Sprawdzić tożsamość uciekiniera!”.
Schodzimy z powrotem na parter.

W kuchni leży martwy chłopczyk, na oko może z sześć lat. Wycie dziewczynki, która pochyla się nad nim, jest głośniejsze od krzyków w słuchawce. Rozkaz wycofania się z budynku trafia do mnie z pewnym opóźnieniem.

Środa, 3 lutego, godz. 2.00

Nie pozwolili nam jeszcze iść spać. Major Wilmots wzywa po kolei wszystkich uczestników misji do gabinetu Giggsa. „Jukka” okazała się sukcesem, mężczyzna zastrzelony pod domem to Jozua Kalman. Ale major nie składa nam gratulacji, wypytuje o szczegóły zdarzeń. Myślę, że chodzi o zabite dziecko. A dokładnie, o naszą dyskrecję, bo każdemu żołnierzowi powtarza, by zachować „incydent” dla siebie.

Wchodzę jako jeden z ostatnich. Staję na baczność naprzeciwko Wilmotsa, który za biurkiem dowódcy bazy Erde czuje się jak u siebie. Major Giggs i kapitan Beck palą papierosy przy oknie. Wilmots wpatruje się we mnie szarymi oczami.

— Panie majorze! — odzywam się regulaminowo. — Kapral Markus Trent, Dziewiąta Kompania, Pluton Szybkiego Reagowania, Drużyna Trzy, melduje się na rozkaz.

— Spocznij. Jak długo służycie w wojsku?

— Dwa i pół roku, panie majorze. I półtora roku w obronie terytorialnej.

— Przyczyniliście się, kapralu, do schwytania jeńca. Podejrzewamy, że to kuzyn tego skurwysyna, Evana Garcii. — Wilmots dalej przewierca mnie wzrokiem. — Porucznik Moerstem zameldował mi, jak wyglądała wasza akcja. Czy to prawda, że mężczyzna był uzbrojony, kiedy weszliście do pokoju?

— Tak jest, panie majorze.

— Dlaczego nie strzeliliście do niego, tylko postanowiliście go ogłuszyć?

— Melduję, że kiedy wszedłem do pokoju, było ciemno. Terrorysta był zdezorientowany, prawdopodobnie obudził go wybuch. Celował zupełnie na ślepo.

— Każdy normalny żołnierz, widząc wycelowaną w siebie broń, wpakowałby w niego serię z karabinu. Dlatego powtarzam pytanie: dlaczego go nie zabiliście?

— Oceniłem sytuację i stwierdziłem, że spróbuję podejść.

— I nie baliście się o swoje życie?

— Nie pamiętam, panie majorze.

— To wszystko, kapralu. Odmaszerować.

Piątek, 5 lutego, godz. 8.20

Prysznic po porannej zaprawie. Jared Dafny stoi pod strumieniem wody i kiwa się jak autystyczne dziecko. Chłopaki klepią go w plecy. „Rozwielitka, nie śpij!”. Po kolei

wychodzą do szatni. Ubieramy się w milczeniu, bo wieczorny patrol nas wykończył.

Siadam na ławce obok Dafnego. Drżą mu ręce, kiedy wiąże buty. Czekam, aż reszta plutonu pobiegnie do koszar. Krzykliwe wieśniaki.

— Co jest, Jar?

— Nic takiego, Markus.

— Kurwa, mów mi zaraz, co się z tobą dzieje.

— Zabiłem człowieka. — Dafny obejmuje głowę dłońmi i zastyga.

— Strzeliłeś jak snajper, w samo pierdolone serce. Zabiłeś Joszua Kalmana, będziesz odznaczony na najbliższym apelu.

— Nie chciałem go zabić. — Zaczyna płakać. — To moje ręce i oko. One same się złożyły, żeby dobrze trafić. Taki odruch, szefie. Wycelowałem i trafiłem, i kurwa, sam nie wiem dlaczego w serce. Chciałem go tylko zranić.

— Ten śmieć nie zasłużył na proces. Słyszałeś o rodzinie Zorana? Wiesz, dlaczego chłopak popełnił samobójstwo?

— Nie wiem, Markus.

— Kalman wydał rozkaz, żeby zabić jego żonę i dziecko — kłamię bez zajknięcia, bo nikt nie wie, kto wydał ten rozkaz. — Kazał wywlec oboje i zastrzelić ich na środku wioski.

— Naprawdę? — Rozwielitka patrzy na mnie zażawionymi oczami.

— Tak. I właśnie takich skurwysynów posyłamy do piachu. Uratowałeś wielu ludzi, Jared. Powinieneś być dumny, a nie użalać się nad gnojem.

Szeregowy podnosi się spokojnie, dopina pas, idzie swoim kaczym chodem do drzwi. Ale potem odwraca się do mnie i uśmiecha, chyba pierwszy raz od akcji „Jukka”. To dobry znak. Rozluźniają mu się mięśnie twarzy.

— Dzięki — mówi po prostu i wychodzi.

Poczekam jeszcze trochę, muszę go poobserwować. Każdemu żołnierzowi w takiej sytuacji przysługuje opieka psychologa. Ale facet chodzący do „psycho” to w naszej armii straszny obciach, sierżant Gola stanowczo odradza wizytę. A ja wiem coś o życiu wariata. Wiem, że lepiej poradzić sobie samemu i nie korzystać z pomocy uzdrowicieli.

Czasem jednak nie masz wyjścia, kiedy dusza pęknie aż do kości.

Niedziela, 7 lutego, godz. 10.00

Usil i ja nie mamy służby. Grzebiemy trochę w sieci i rozmawiamy o bzdurach, bo Peter nie należy do geniuszy. Lubi motocykle, szczególnie ścigacze, a w wolnych chwilach ogląda wypadki samochodowe i śmieszne filmiki, które inni podobni mu myśliciele wrzucają z nudów do Synetu. Ale takie poranki są dobre, pozwalają przez chwilę odetchnąć.

Sierżant Gola wchodzi do naszego pokoju. Coś tam mruczy, żebyśmy się ogarnęli, bo musimy wyjść z nim na spacer.

— Chcę wam kogoś przedstawić — mówi już na korytarzu.

— Co pan taki uśmiechnięty, sierzancie? — pyta Usil.

— Zobaczysz.

Wychodzimy z koszar, na zewnątrz jest ciepło, ponad piętnaście stopni. Niebo niebieskie jak latem, słońce porządnie przygrzewa. Kierujemy się do długiego budynku obok Dowództwa Bazy, gdzie mieszkają pracownicy cywilni i tłumacze. Przed drzwiami stoi sierżant Krell. Rozmawia z jakimś żołnierzem i opierdala go z werwą, chociaż prawa ręka buja mu się na temblaku. Zwichnął ją, kiedy zawałił się cholerny murek podczas akcji. Kapral Born ucierpiał jeszcze bardziej – stracił dwa zęby od uderzenia cegłą.

Krell jest znany w kompanii z krewkiego usposobienia. Nikt nie zazdrości chłopakom z Czwartego Plutonu, kiedy coś spieprzą i próbują się wymigać, bo doświadczony trep nie bawi się z nimi w podchody. Od razu odpowiednio nazywa ich matki, a chuje, które im posyła, mają rozmiar raczej afrykański.

— Co tam, Ed? Jak ręka? — zagaduje Gola.

— A nic, kurwa, jakoś leci. Jutro mają mi ściągnąć to gówno.

W budynku cywilów pachnie dużo ładniej niż u nas. Część mieszkańców to kobiety pracujące w kuchni, obsługujące pocztę i sprawy kadrowe. Myślę, że to one tutaj rządzą, chociaż jest ich może z dziesięć, i nie pozwalają facetom zaświnić tego miejsca. Na jednym ze stolików stoi nawet wymizerowany kwiatek.

Wchodzimy na piętro, skręcamy w prawo. Pamiętam, że Zoran mieszkał w drugim skrzydle budynku. I już zaczynam podejrzewać, co wywołało tajemniczy uśmiech na twarzy sierżanta. Tego się nie spodziewałem.

Gola puka do drzwi. Otwiera je drobna brunetka, metr sześćdziesiąt wzrostu, ostrzyżona prawie na zero. Ciemny meszek na głowie, ciemne brwi nad dużymi oczami. Błada twarz, jakby trochę zmęczona, sugerująca niewyspanie. Przygląda nam się z ciekawością.

— Dzień dobry, Nemi. — Gola kłania się uprzejmie.

— Dzień dobry, sierzancie. — Dziewczyna ma przyjemny, niski głos. — Wejdziecie panowie na chwilę?

— Bardzo chętnie. — Ładujemy się do małego, ale czystego pokoju; siadamy, gdzie popadnie, ja na rogu tapczanu. — Przyprowadziłem dwóch dowódców drużyn. Będiesz z nimi współpracować podczas akcji. Pozostałych poznasz po południu, kiedy skończą służbę. Mam nadzieję, że się dogadacie.

— Nemi Seelberg — przedstawia się tłumaczka.

— Kapral Markus Trent.

— Kapral Peter Usil, bardzo mi miło. — Mój kolega zaraz zaślini podłogę.

Okazuje się, że Nemi pochodzi z okolic Jonu i długo czekała na swoją szansę w SSARR. Mówi wolno, jakby zastanawiała się nad każdą myślą. To pewnie dlatego, że nie posługuje się ojczystym językiem. Ale jest otwarta i lubi rozmawiać.

Dowiadujemy się, że jej ojciec był Rammańczykiem, inżynierem na budowie

Wschodniej Autostrady. W Jonie poznał jej matkę, zakochali się w sobie, ale nie wzięli ślubu. Potem wyjechał, kiedy miała pięć lat. Postanowiła nauczyć się rammańskiego i przeprowadzić kiedyś do Seegardu albo do Miasta Ramma, dlatego bardzo chciała pracować jako tłumacz. Teraz to jedyna pewna opcja.

Opowiadamy jej trochę o sobie, ale raczej zdawkowe pierdoły. Gola nie ma czasu albo nie chce nadużywać gościnności, bo w końcu każe nam się zbierać i wychodzimy z pokoju. Peter jest wyraźnie podekscytowany.

— Niezła sztuka — gada jak najęty. — Nie wiedziałem, kurde, że armia zatrudnia tłumaczki. Ile ona ma lat, panie sierżancie? Z dwadzieścia pięć?

— Dwadzieścia osiem, kapralu. I wstrzymajcie konie, kurwa mać.

— Ale panie sierżancie, wreszcie coś pozytywnego. — Nie rezygnuje Usil. — Może da się z dziewczyną umówić. Człowiek jest młody i przystojny, rozumie pan.

Stajemy na chwilę.

— Peter, co ty pierdolisz? — Gola puka się w głowę. — Po pierwsze, żadnych głupich tekstów, bo jak się komuś poskarży, to żetony dobiorą ci się do dupy. Po drugie, to jest miejscowa, czyli potencjalny wróg. Niby zweryfikowana, ale na tłumaczy trzeba mieć oko. Zapomnij o tym od razu.

Myślę, że generał Dominik Salte ma rację: kobiety na misji oznaczają problemy. Wystarczyło kilka minut, a Usilowi odbiła palma. Nic dziwnego – wokół śmierdzi męskim potem i widać tylko zakazane ryje. Ale nie sądziłem, że aż tak zgłupieje. Dzisiaj pewnie posiedzi na kiblu, żeby sobie ulżyć.

Co nie zmienia tego, że Nemi Seelberg jest naprawdę sympatyczna.

Czwartek, 11 lutego, godz. 9.05

Porucznik Ostin odbiera od obu sierżantów raport o zaliczeniu ćwiczeń taktycznych. Nie znalazł czasu, żeby sprawdzić osobiście, jak poruszamy się po ulicy, ale Gola i Sewerin są zadowoleni z postępów. A my, dowódcy drużyn, mamy satysfakcję, że nie daliśmy ciała.

Teraz przychodzi czas na działanie wewnątrz budynków. To jest cała masa wiedzy, którą w teorii, po wszystkich szkoleniach, powinniśmy mieć w małym palcu. Trzeba wybrać to, co najważniejsze, więc sierżant Gola rozwiesza swoje artystyczne plansze. Potem wspólnie z Sewerinem omawiają oznaczanie ścian domów kolorami, wchodzenie do środka budynków i pokonywanie klatki schodowej.

Mówią o pozycji wyjściowej i procedurach rozpoznania, a potem o metodach wejścia do pomieszczeń: krzyżowej, hakowej i kombinowanej. Wszystko trzeba zapamiętać: kto w grupie szturmowej rzuca granat przy „gorącym” wejściu, jaki wpływ na wybór metody ma szerokość drzwi oraz to, czy są otwarte, zamknięte, czy zwisają byle jak z futryny. Mam wrażenie, że moi ludzie nigdy tego nie opanują, ale pilnie zapisuję wszystko, co może się przydać podczas akcji.

W przerwie biegnę na papierosa. W budynku, gdzie znajduje się świetlica, nikt nie przewidział palarni. Właśnie układam sobie w głowie, jak powinniśmy wchodzić do mijanych pomieszczeń, kiedy słyszę za sobą głos Purica. Czuję w nim jakieś wahanie.

— Markus, mogę na chwilę?

— Co się stało, Daniel?

— Nie wiem, jak to powiedzieć. Nie chcę być kapusiem. — Puric przestępuje z nogi na nogę. — Pan wie, że jestem religijny i nie wszystko mi się podoba.

— Mów wprost, Daniel. Potem pomyślimy, co z tym zrobić. — Przypalam papierosa; przerwa zaraz się skończy i zostanę ze ssaniem w żołądku.

— Chodzi o alkohol, i może o narkotyki.

— O jaki alkohol?

Puric zawiesza się na chwilę.

— Ja wiem, że to głupio zabrzmiało, ale nienawidzę picia. — Naprawdę ma problem z mówieniem. Może myśli właśnie o dzieciństwie i o ojcu, który wszczywał awantury.

— Niektórzy żołnierze kupują bimber od miejscowych i przemycają go na teren bazy. Tego jest coraz więcej. Chłopaki piją wieczorami.

— Nasi też? W naszym plutonie?

— Tak, nasi też. — Zastanawia się przez chwilę. — To znaczy, czasami. I nie wszyscy.

— A w naszej drużynie?

— Markus, nie chciałbym...

— Dobrze. To nie ma znaczenia. — Patrzą mu prosto w oczy. — Powiedz mi, kto załatwia wodę i towar od miejscowych. Który skurwiel jest taki obrotny? Muszę to wiedzieć, żeby coś z tym zrobić.

Starszy szeregowy wygląda jak nieszczęście. Wbija wzrok w ziemię.

— Tylko nie mów nikomu, że to ja...

— Nie powiem! — Staram się, by zabrzmiało to odpowiednio mocno.

— ... bo potem miałbym przesrane.

— Kurwa, Daniel, nie jestem kretynem. Zaraz skończy się przerwa. Więc jeśli zacząłeś mówić, wykrztuś to z siebie i miejmy sprawę za sobą. Powiedz tylko, kto kupuje i przemyca to ścierwo.

— Jim Rot i Robert Lotty — mówi Puric i głośno wypuszcza powietrze.

A ja czuję, że uśmiechnęło się do mnie szczęście. Zobaczymy, Rot, czy teraz będziesz taki cwany.

Sobota, 13 lutego, godz. 13.20

Zbliżamy się do budynku ratusza, w samym centrum Harmanu. Musimy się przebić przez tłum, który okrążył siedzibę władz miasta. Ludzie falują, krzyczą histerycznie, lecą butelki i cegły ze zniszczonej kamienicy. Wezwał nas komendant tutejszej policji, kiedy

stwierdził, że jego siły samodzielnie nie opanują sytuacji.

Funkcjonariusze rozpychają napierających mieszkańców, żebyśmy mogli przejechać. W ruch idą pałki i armatki wodne. Tłum chce się dostać do drzwi budynku, bo w jednym z jego skrzydeł składowane są leki z pomocy humanitarnej i pokarm dla niemowląt. Ktoś zdradził poufną informację i w mieście rozpętało się piekło. Oderwali nas od obiadu, pomiędzy jednym kęsem a drugim. Na dodatek PSR z bazy Centaur, który miał najbliżej, wpakował się na ajdika i został ostrzelany przez partyzantów.

Dobry kwadrans przeciskamy się skorpionem. Jestem już prawie pewien, że zrobimy z kogoś mielonkę, gdy wjeżdżamy na plac imienia Pułkownika Baltazara, przy którym mieści się ratusz. Kordon policji zasłania się tarczami i ustępuje powoli, cofając się w stronę budynku. Remarczycy w „żółwiach” i kaskach z osłoną twarzy wydają się zupełnie wyczerpani. Stajemy więc za nimi, parkujemy w półokręgu i wysypujemy się z wozów. Dwa plutony Szybkiego Reagowania z batalionów piechoty Pierwszego i Trzeciego, łącznie ponad czterdziestu ludzi.

Strzelcy zostają na wieżyczkach, trzymając w dłoniach kolby MG2. Na razie celują w powietrze, ponad głowami rozwścieczonych ludzi. To powinno trochę uspokoić tłum, jednak nie widzę różnicy. Z naszej dwieście pięćdziesiątki wysiada sierżant Gola i Nemi Seelberg. Porucznik Ostin też jest na miejscu; podchodzi do remarskiego oficera z tłumaczem z Dowództwa Bazy. Potem biegnie do nas i wydaje sierżantom rozkazy. Kapitan Beck idzie w tym czasie do ratusza w asyście dwóch żołnierzy. Policjanci cofają się znowu o krok, opierają się już niemal o nasze pojazdy.

Nemi dyskretnie wskazuje sierżantowi ukrywających się w tłumie kapłanów Aresa. Podczas jazdy tłumaczyła nam, że zamieszki nie są przypadkowe. Jest niemal pewna, że za takimi zrywami stoją właśnie arejczycy i hadejczycy, którzy wspierają terrorystów i zrobią wszystko, by obalić cywilne władze. Kiedy podchodzi z Golą do kordonu policjantów, wygląda jak miniatura żołnierza. Jest ubrana w hełm, połowy mundur i kamizelkę taktyczną, ale jej wzrost i postura sprawiają, że się uśmiecham.

— Drużyny Dwa i Trzy za mną! — woła Gola.

Lars Norman i ja odklejamy się od skorpionów i biegniemy ze swoimi ludźmi za sierżantem. Broń jest odbezpieczona, przestajemy udawać pokojowo nastawionych turystów. Celujemy do tłumy. Policjanci rozstępują się w jednym miejscu, żeby dać nam przejście. Ludzie, widząc lufy karabinów i nasze wkurwione twarze, odruchowo przestają napierać.

— To ten?! — pyta sierżant Gola.

— Tak.

Sierżant łapie brodatego faceta za sweter i przyciąga do siebie. Dopiero teraz dostrzegam, że ma na piersi medalion w kształcie głowy psa. Jest chyba zaskoczony; krzyczy rozpaczliwie i próbuje się wyrwać. Ścisk utrudnia mu ruchy, a Gola ma się imadła.

— Powiedz skurwysynowi, że go zaraz zastrzelę! — ryczy sierżant, aż ślina pryska

mu z ust. — Rozwalę mu łeb, jeśli nie zadzwoni do swoich koleżków. Mają natychmiast uspokoić tych ludzi. Dawaj, dziewczyno!

Tłumaczka, przekrzykując tłum, przekłada słowa brodacowi. Facet kręci głową, jakby próbował zaprzeczyć. Ktoś łapie go za ramię i próbuje odciągnąć, potężny chłopak z ogoloną głową. Mówię Gausowi, żeby mu przypierdolił, więc od niechcienia uderza pięścią w nos napastnika. Chłopak zalewa się krwią i pada do tyłu, jakby trafił go taran.

— Nóóóó! — krzyczy stojący obok mnie starszy szeregowy Kulme.

Z drugiej strony kapłana pojawił się chudy mężczyzna z czymś błyszczącym w ręku. Przez chwilę nasze oczy spotykają się. W jego wzroku widzę czystą nienawiść.

— Rzuć to! Gleba, skurwysynu! — Celuję prosto w wymizerowaną twarz.

Nóż leci na ziemię, facet wycofuje się.

— Dzwon, pierdolona pizdo! — sierżant Gola krzyczy dalej, jakby nie zauważył, co się dzieje dookoła. — Dzwon albo cię, kurwa, zajebię!

Nemi tłumaczy z wypiekami na twarzy. Brodacz wyciąga telefon, wybiera szybko numer i mówi coś w gardłowym dialekcie. W tym czasie od strony bazy Erde nadlatują dwa ciężkie od amunicji bezzałogowe feniksy. Wiszą nad placem, ponad naszymi głowami, a lufy działek przesuwają się co chwila z lewej strony na prawą i z powrotem. Chłopaki z obsługi dronów też urządzają czasem pokaz siły.

— Przekazał? — pyta Gola.

— Tak, ale mówi, że to nic nie da. Ci ludzie wymknęli się spod kontroli! — Nemi jest coraz bardziej zdenerwowana, pierwsza akcja okazała się koszmarem.

Tłum znowu napiera. Kilkadziesiąt metrów dalej dochodzi do szarpaniny. To sektor zabezpieczany przez PSR z Pierwszego Batalionu. Sierżant zerka w tamtą stronę i nagle uderza kolbą MBS-a w brzuch arejczyka. Mężczyzna gniewnie się wpełza i kłęka na ziemi.

— No to, kurwa, porozmawiamy inaczej.

Gola pyta przez radio porucznika Ostina, czy możemy oddać strzały ostrzegawcze. W odpowiedzi słyszę jakby wahanie. I myślę, że to strasznie złe, kiedy tacy ludzie trafiają na misję. Bo Muller, chociaż gnoi ludzi, przynajmniej szybko podejmuje decyzje. A Marcel Ostin to po prostu zwykły biurokrata, wyciągnięty z prowincjonalnego garnizonu. W końcu jednak pada rozkaz. Mamy tylko nie zranić naszych „przyjaciół”.

— Chyba twoich, do chuja — mówi w słuchawce sierżant Sewerin; raczej nie ma świadomości, że włączył nadawanie.

Podnosimy w górę karabiny i oddajemy krótką salwę w powietrze. Na placu zaczyna się kotłować. Pierwsze szeregi ludzi odwracają się i próbują uciec. Co najmniej kilka osób upada. Mogę się założyć, że nasza akcja będzie miała ofiary śmiertelne. Jutro remarska telewizja pokaże stratowane kobiety i dzieci i rozpoczną się nowe zamieszki.

Kilkanaście tysięcy mieszkańców zgromadzonych na placu zaczyna się cofać. Policjanci wyczuwają to i odpychają ich coraz mocniej od budynku. W pewnym momencie przed drzwiami ratusza pojawia się burmistrz Harmanu z kapitanem Beckiem. Staje na podwyższeniu i krzyczy przez wielki megafon. Gdyby ktoś chciał go teraz

zastrzelić, stanowi doskonały cel. Ale na razie nie ma chętnych.

Nemi tłumaczy nam, że władze obiecały wydać dzisiaj niektóre leki i odżywki dla dzieci. Cała akcja ma się zacząć za około pół godziny. Jedyne warunki jest uspokojenie sytuacji i sformowanie kolejek.

Sierżant Sewerin przynosi wiadomość, że policjanci rozmieszczą bariery, wzdłuż których ustawią się ludzie, a my będziemy ich osłaniać. Zapowiada się wspaniałe popołudnie, a może nawet i wieczór. Nogi wleżą nam w tyłek. Mamy nieśmiałą nadzieję, że major Giggs przyśle kogoś, żeby nas potem zluzować, albo przynajmniej dostaniemy coś do żarcia.

Rozdział czwarty

Niedziela, 14 lutego, godz. 12.25

Harman, prowincja Saladh, południowy Remark

Ukochany synku, myślę teraz o tobie i o wszystkim, co mi ciebie zabrało. O wydarzeniach z przeszłości, wyglądających teraz tak logicznie, ale kiedyś – rozsypanych niczym pył na ulicach Harmanu. Dopiero z perspektywy lat poznajesz siebie, dlatego całe życie błędzisz.

Dzisiaj jest święto zakochanych. Nie obchodziliśmy go z twoją mamą, niby żadnemu z nas nie zależało, chociaż myślę, że w głębi serca cierpiała z tego powodu. Zrobiłem bardzo wiele, żeby sprawić jej ból, bo taka jest moja natura. Próbowałem nawet popełnić samobójstwo. Ale domyślasz się pewnie, że kiedyś byliśmy szczęśliwi.

Spotkaliśmy się w dziwnym miejscu, trzy lata przed twoim narodzeniem. Malowaliśmy razem obrazy, słuchaliśmy muzyki, paliliśmy miętowe papierosy, a przede wszystkim godzinami rozmawialiśmy. Słuchaliśmy naszych terapeutów jak aniołów, którzy zeszli z nieba. Mówili nam, że czerń, która przelewa się w środku, to zwykła choroba i że można ją z siebie wypłukać. A my im wierzyliśmy i bardzo chcieliśmy wyzdrowieć.

Niektórym pacjentom, tak jak twojej mamie, udało się rozpocząć nowe życie. Ale innym wyczerpały się pokłady wiary, kiedy opuścili mury ORO. Musiałem prawie umrzeć i cię stracić, synku. Rzucić wszystko i wtłoczyć się w obcy ład, by odnaleźć spokój. Wiele razy próbowałem cię zobaczyć, ale twoja mama nie wybaczyła mi próby ucieczki. I myślę, że miała rację, bo poznała mnie o wiele lepiej niż ja sam.

„Gnóthi seauton”, „poznaj siebie”, ironiczny napis na ścianie Świątyni Apolla.

* * *

Przeżywamy jeszcze sobotnią interwencję na placu Pułkownika Baltazara. Wieczorem Usil, Norman i ja siedzimy w kantynie i opowiadamy sobie o tym, co się wczoraj działo. Opowiadamy ze szczegółami. Zupełnie jakbyśmy nie spędzili razem tych siedmiu godzin i nie sycili oczu tym samym rozhisteryzowanym tłumem. Jest to rozmowa z cyklu „a pamiętasz, jak”, która służy wyłącznie poklepaniu się po plecach.

Potem Lars Norman pokazuje zdjęcie swojej żony. Uśmiechnięta brunetka patrzy w aparat z miłością. Mają za sobą pierwszy rok małżeństwa, ale znali się od liceum. Lars mówi, że kiedy wróci z misji, postarają się o dziecko. To bardzo spokojny gość. Trafił do

wojska, bo w jego okręgu nie było innej pracy. Na północy Rammy rzeczywiście słabo z fabrykami i firmami; jeśli ktoś po znajomości nie załapie się do wytwórni kiełbasek lub jogurtów, musi sobie jakoś radzić.

Peter Usil jest przeciwieństwem Larsa. Co chwila zmienia „narzeczone”, kupuje modne ciuchy i lubi imprezować. Opowiada nam, jak kiedyś obudził się w pociągu, sto kilometrów za stacją docelową, bez grosza przy duszy. Wsiadł wtedy na najbliższej stacji i zagadał do motocyklistki, która ładowała swoją hondę na pobliskim parkingu. Spotykali się potem pół roku, bo Peter uwielbia dziewczyny tak samo jak motocykle. Czyta wszystko, co mu wpadnie w ręce o ścigaczach; już dwa razy potłukł się podczas popisów. Ale o armii marzył od małego i stara się przykładać do roboty. Zresztą, dla niego to coś więcej niż praca. To kolejny „sport ekstremalny”, tak mówi.

Kiedy przychodzi moja kolej, pojawia się Lotty i porywa ze sobą Usila. Lars Norman przeciera okulary i patrzy na mnie takim wzrokiem, jakby zastanawiał się, co tu robimy. Dopada go zmęczenie; sobota wypruła z nas flaki i obaj powinniśmy odpocząć. Pyta jednak, co u mnie słyhać. Wiem, że koledzy z kompanii uważali mnie za dziwaka. Nie pomogła mi też służba w obronie terytorialnej. Dopiero po akcji „Jukka” ludzie nabrali respektu.

— Co mam ci powiedzieć, Lars? — Uśmiecham się krzywo. — Próbowałem studiować, ale rzuciłem to w cholerę. Trochę jeździłem po kraju, nie wiedziałem, co ze sobą zrobić. Założyłem firmę, która pomagała ludziom likwidować szkody, i splajtowałem po roku. Pracowałem kilka lat w urzędzie pracy. W międzyczasie poznałem swoją żonę i po trzech latach się rozwiódłem. Takie tam, zwyczajne gównno. Nic ciekawego.

— Masz dzieci?

— Mam syna, Tomasa. Skończy niedługo pięć lat, ale nie pokażę ci zdjęcia, bo widziałem go tylko raz w życiu.

— Co ty gadasz?! Musiałeś nieźle nabroić, że żona tak cię odcięła.

— Można to tak nazwać, ale wolę o tym nie rozmawiać — mówię spokojnie, chociaż żal ściska mi gardło. — Trochę jak ty, Lars, trafiłem do armii z braku laku.

— I co, spodobało ci się?

— Pewnie by się spodobało, ale miałem w garnizonie w Koden takiego chuja, sierżanta sztabowego. Nazywał się Malcolm Vett i przypieprzył się do mnie, bo nie chciałem kryć jego lewizny. Poprosiłem w końcu o przeniesienie do WOT i wróciłem do Miasta Ramma. Szkoliłem rekrutów, generalnie niewiele się działo, dlatego złożyłem papiery do SSARR. A i tak wzięli mnie tylko dlatego, że jakiś kapral złamał rękę.

— No, to nadstawiasz karku za kogoś innego.

— Wszyscy nadstawiamy karku za ludzi, którzy teraz wysyłają dzieciaki na ferie. Bogatsi jadą w góry poszaleć na nartach, a biedniejsi oglądają telewizję. A my siedzimy w tym zasranym kraju i nie wiemy, co się stanie jutro.

— Tego nigdy nie wiemy — stwierdza filozoficznie Lars. — Wiesz, Markus, mówisz

trochę jak Gola. I to jest właściwie komplement. Jak go zobaczyłem pierwszy raz, to się prawie zesrałem ze strachu, ale mamy fart, że pod nim służymy.

— Chyba tak. — Kiwam głową. — W każdym razie cieszę się, że tu trafiłem. Mam trzydzieści trzy lata, jestem najstarszym kapralem. Utknąłem jako instruktor w obronie terytorialnej i, szczerze mówiąc, miałem wszystko w dupie.

Gawędzimy tak dobrą godzinę, ale musimy w końcu wstać i wracać do koszarów. W drzwiach mijamy Nemi Seelberg. Wydaje się zestresowana, wpadła do kantyny kupić papierosy. Mówię Normanowi, że przypomina mi jakąś aktorkę, i zaczynamy rozmawiać o filmach. Mamy na swoich laptopach dużo spiraconych plików. Możemy się nimi wymienić.

Jestem okropnie zmęczony. Robię obchód na autopilocie, a potem wracam do siebie. Nawet nie wiem, kiedy kładę się do łóżka i zasypiam.

Wtorek, 16 lutego, godz. 14.20

Pukam do drzwi sierżanta Goli. Po zajęciach z taktyki powinien być u siebie.

— Wejść!

Siedzi przy małym biurku i czyta książkę owiniętą w gazetę. Nad łóżkiem wisi flaga i drewniany krzyż. Mam wrażenie, że facet ciągle się dokształca, żeby radzić sobie jak najlepiej w tym remarskim syfie. Jego prywatna wojna nigdy się nie kończy.

Każdy sposób jest dobry.

— Można na chwilę, panie sierżancie?

— To ty, Markus? — Rzuca krótkie spojrzenie. — Siadaj i mów, co się stało.

Układałem sobie wszystko w głowie, ale i tak nie jest najprościej. Mówię mu, że dowiedziałem się przypadkiem o przemyśle alkoholu do bazy. Być może też innych używek. Są żołnierze, którzy zrobili sobie z tego niezły biznes. I powinniśmy chyba zareagować, zanim dojdzie do jakiejś tragedii. Tak przynajmniej mi się zdaje.

Powoli odkłada lekturę i wygląda na korytarz. Kiedy siada z powrotem przy biurku, ma nieprzenikniony wyraz twarzy.

— Dobrze, że przyszedłeś z tym do mnie. — Kiwa głową.

— To oczywiste, panie sierżancie.

— I co chciałbyś zrobić, Markus?

— Myślę, że trzeba zbadać sprawę i wyciągnąć konsekwencje.

Gola wyjmuje z biurka flaszkę wódki i stawia ją obok książki.

— Widzisz, synu. Tam, gdzie wcześniej służyłeś, picie było luksusem. I należało za nie karać bez wyjątku. Ale tutaj to jedyny lek, żeby nie oszaleć. Ludzie żyją w takim stresie, że muszą go z siebie wywalić, bo nie pojechaliby na patrol. Muszą czasem zalać pałę. Nie każdy jest tak odporny jak ty.

— Wcale nie jestem odporny.

— To nieważne. — Wstaje i pochyla się nade mną. — Postąpisz, jak uważasz,

Markus. Porucznik Ostin będzie zachwycony twoją informacją. Ale radziłbym ci zapomnieć o wszystkim i odpuścić. Żołnierze piją, bo inaczej się nie da. A regulamin jest chujowy, w kantynie nie ma nawet piwa i ktoś musi to picie załatwić.

— A jeśli któryś będzie skacowany i coś spierdoli na akcji?

— Wtedy go zajebimy gołymi rękami. Możesz im to przekazać.

Czwartek, 18 lutego, godz. 11.35

Sen o niebieskim świetle powtarza się regularnie, odkąd przyjechałem do Harmanu. Dzisiaj kolejny raz, tuż nad ranem, widziałem wielki rozbłysk, jakby ktoś zdetonował bombę. Kula niebieskiego ognia pochłonęła wszystko dookoła, a na końcu mnie. Czułem też czyjąś obecność, basowy pomruk dochodzący spod ziemi, na granicy infradźwięków. Obudziłem się, zlany potem. Usiła nie było w pokoju, o północy pojechał na akcję.

Myślę o tym świetle podczas porannej zaprawy, jedząc śniadanie i szperając w Synecie. Czytam o zaginięciach na południu kraju, w okolicy wzgórza Otorten, i myślę o tym, kiedy ruszamy na kolejne wezwanie. Alarmy są coraz częstsze. Major Wilmots miał rację, w powietrzu wyczuwa się napięcie. Drużyny Jeden i nasza zostały wysłane na miejskie targowisko; ktoś podpalił jeden ze straganów. Kiedy parkujemy przy ogrodzeniu z desek, z daleka widać smugę dymu.

Lotty i ja zostawiamy po jednym żołnierzu przy wozie. Reszta, w sumie ośmiu ludzi, rusza w wąskie przejście pomiędzy budami. Znowu siąpi deszcz; klepisko, na którym odbywa się targ, rozmiękło i glina klei się do butów. Ludzie niechętnie rozstępują się przed nami. Sprzedawcy krzyczą. Śmierdzi ziołami, skórami zwierząt i spalonym tłuszczem. Na jednym ze stoisk wisi rząd bawełnianych koszulek, ozdobionych przekreśloną rammańską flagą.

Lotty pokazuje ją Rotowi. Teraz widzę, że dobrze się znają. Ale mam większe zmartwienia na głowie. Wokół spalonego stoiska z pieczywem i ciastami domowej roboty zebrała się grupa gapiów. Na miejscu jest trzyosobowy patrol z Drugiego Plutonu, który został wezwany przez remarskich policjantów. Dowódca patrolu, kapral Oleg Eldon, wita się z nami, przy okazji objaśniając sytuację.

— Zostaliśmy zaalarmowani około jedenastej przez posterunek policji. Chcieliśmy potraktować zdarzenie jak pospolite przestępstwo, ale właściciel twierdzi, że zrobili to terroryści.

— Który to? — pytam, rozglądając się w tłumie.

— Ten stary facet w czapce z nausznikami. — Wskazuje palcem mężczyznę, który macha pięścią i złorzeczy swoim bogom. — Nie możemy się z nim dogadać. Z policjantami zresztą też nie bardzo. Mieli załatwić tłumacza, ale nie zdążyli.

— Puric, porozmawiaj z nimi. Spróbuj się czegoś dowiedzieć.

— Tak jest. — Starszy szeregowy idzie w kierunku pary mundurowych, przypalających właśnie papierosa.

— Lotty, zabezpiecz pogorzelnisko. Niech nikt się do niego nie zbliża.

Kapral podchodzi do mnie i syczy do ucha:

— Opuść, Trent. To, że sierżant wyznaczył cię na dowódcę, gównu mnie obchodzi.

— Wykonać! — odpowiadam krótko.

Zaczyna ze swoimi ludźmi przeszukiwać zgliszcza, chociaż nie było rozkazu. Chce mi udowodnić, że coś znaczy podczas akcji. Wołam do siebie Rota i Rozwielitkę. Każę im rozglądać się uważnie po zebranych ludziach. Tłum przerzedził się znacznie, odkąd się pojawiliśmy. Zaczyna mi świtać w głowie nieprzyjemna myśl. Musimy być bardzo ostrożni.

* * *

Po kilku minutach wraca Puric i mówi coś, co tylko utwierdza mnie w podejrzeniach. Policjanci twierdzą, że właściciel stoiska jest hadejczykiem, związanym mocno ze Świątynią. Mieli z nim w przeszłości problemy, bo drukował ulotki wzywające do rewolucji. To, że terroryści spalili mu stoisko, wydaje się mało prawdopodobne. Patrzę na twarze kupców i ludzi kręcących się pomiędzy straganami. Mam wrażenie, że są przerażeni.

Kilka bud nawet opustoszało; handlarze ulotnili się gdzieś, nie zabierając towaru. Wywiesili tylko zalaminowane kartki, „zaraz wracam” albo coś w tym stylu. To ostatecznie przekonuje mnie, że powinniśmy się zbierać.

Podchodzę do Dafnego, który też ma niewesołą minę.

— Widzisz coś, Jar?

— Nie wiem, Markus. Coś jest nie tak. — Szeregowy pociera policzek. — Jakoś za mało tu gapiów. Normalnie byłoby ciężko przejść.

— Za chwilę stąd spieprzamy — mówię bardziej do siebie niż do niego.

Lotty i jego drużyna odwalają nadpalone deski. Jeden podtrzymuje daszek z dykty, a pozostała trójka wywraca roztopione tace z towarem i tłące się szmaty – szary koc, kilka toreb z materiału, jakieś ścierki. Policjanci pytają przez Purica, czy mogą zabrać mężczyznę. Sam poszkodowany uspokoił się wyraźnie i obserwuje sytuację.

Biorę wszystkich na stronę. Przy pomocy Daniela wypytyuję handlarza, co zaszło. Odpowiada w taki sposób, że nawet policjantom trudno go zrozumieć. Przydałaby się Nemi albo inny tłumacz. Kurwa, jaki burdel, myślę ze złością. Dowiaduję się jedynie, że ktoś rzekomo wyciągnął mężczyznę na zewnątrz, oblał wszystko benzyną i podpalił. I że chodziło o haracz dla lokalnego oddziału Garcii.

Rozkazuję swoim ludziom, żeby pilnowali handlarza i odsunęli się od straganu. Sam idę w kierunku Lottego. Pod butami chlupocze woda przemieszana z popiołem.

— Robert, to może być pułapka. Wycofujemy się! — krzyczę z daleka.

— Czeka, kurwa, jeszcze nie skończyliśmy. Coś tu jest, pod tymi deskami.

— To jest rozkaz! Zabierajcie dupy do pojazdów. Natychmiast!

Kątem oka widzę, że właściciel straganu wyrywa się policjantom i znika w najbliższej uliczce. Szeregowy Dorman odrzuca kolejną deskę i pokazuje coś Lottemu.

— Zobacz, Robert, metalowa skrzynia!

Odwracam się od pogorzelniska i zaczynam biec przed siebie.

— Padnij!

Potworny wybuch powala mnie na ziemię. Dostaję czymś w głowę i w plecy, aż dudni mi w środku. Upadam twarzą w kałużę, przez chwilę niczego nie widzę. Kamizelka chyba uratowała mi życie, ale z trudem łapię oddech. W uszach huczy sztorm, wszędzie fruwa sadza i drobiny błota. Kręci mi się w głowie, nie mam siły wstać.

Puric czołga się, żeby sprawdzić mój stan. Widzę jego brudną twarz – porusza ustami, ale słowa nie docierają do mózgu. Bardzo staram się nie stracić przytomności. Mówię, żeby objął dowództwo i wycofał drużynę do skorpionów.

— Markus, a co z rannymi z Jedyńki?

— Nie ma rannych, są tylko zabici. Wyprowadź ludzi i wezwij posiłki z bazy.

Dafny i Puric biorą mnie pomiędzy siebie i ciągną w kierunku wyjścia. Rot i patrol Eldona torują przejście. Nie widzę obu policjantów, nie wiem, co się z nimi stało. Wybuch rozwalil wszystko w promieniu dziesięciu metrów. Mijamy kilka trupów, ciała leżą w błocie jak kukły. Przejście jest zaważone różnymi rzeczami, a ludzie błagają nas o pomoc. Głos dociera do mnie jak gdyby zza ściany. Młody chłopak chwyta Rota za rękę i dostaje kolbą MBS-a w twarz. Docieramy wreszcie do pojazdów.

Gaus i Ballard, jedyni ocalały z drużyny Lottego, wychodzą nam na spotkanie. Ostatnie, co pamiętam, to otwarte drzwi wozu bojowego i czyjeś ręce, które wciągają mnie do środka. Jeszcze nie tym razem, skurwysyny, myślę sennie. A potem po prostu odpływam.

Czwartek, 18 lutego, godz. 17.05

Pierwszą osobą, którą widzę poza personelem medycznym, jest sierżant Gola. Wchodzi ostrożnie na salę, staje obok łóżka i kładzie na szafce mój telefon. Podłącza ładowarkę, a potem przynosi jeszcze nowy kubek i butelkę wody.

— Cieszę się, że już ci lepiej — mówi bez żadnych wstępów.

— Dziękuję, panie sierżancie — chrypię przez zaschnięte gardło.

Unoszę się na łóżku, biorę parę łyków wody. Jeszcze czuję się oszołomiony, ale to może być wina leków przeciwbólowych, które mi wstrzyknęli. Byłem nieprzytomny przez około godzinę. Okazało się, że uderzenie kawałkiem metalowej skrzyni zostawiło mi wielki siny ślad na plecach, a przez hełm nabiło mi niezłego guza. Doktor Sauber i doktor Deresz zapewniają, że nie muszę się martwić. Najwyżej będę trochę naćpany ketonalem.

— Potrzebujesz czegoś?

— Chyba nie, jutro powinienem być na nogach.

— O tym zdecyduje doktor Sauber. — Sierżant siada na krześle. — Dobrze się spisałeś, Markus, wyczułeś zasadzkę. I tylko dzięki temu nie zginęło więcej naszych. Wiem od chłopaków, że kapral Lotty nie wykonał rozkazu. Ale nie będziemy tego pisać w raporcie, żeby rodzinie nie zabrali odszkodowania.

— Tak jest, panie sierżancie. — Opadam ciężko na poduszkę. — Co tam się stało?

— Ktoś odpalił bombę przez radio. Do zamachu przyznała się bojówka Świątyni Hadesa. Trwają poszukiwania właściciela straganu, a PSR-y okrążyły siedzibę hadejczyków i aresztowały starszyznę. Doszło do wymiany ognia, ale nikt nie został ciężko ranny; tylko same draśnięcia.

— W przeciwieństwie do Drużyny Jeden.

— Z chłopaków nie było czego zbierać. Kurwa mać! — Gola zaciska pięści. — Oprócz nich zginęło trzynastu cywilów i jeden policjant.

— Ale masakra. — Nie mogę tego pojąć. — Dlaczego zabijają swoich?

— Ofiary należały do innych Świątyni. Hadejczycy spierdolili tuż przed wybuchem, ktoś musiał im dać cynk. Oni nienawidzą reszty kultów. W Synecie opublikowali oświadczenie, że to jest kara za kolaborację z nami. Upiekli dwie pieczenie na jednym ogniu, skurwysyny.

— Co robimy, panie sierżancie?

— Teraz chwycimy terrorystów za ryj i będziemy ich cisnąć. A oni będą nas atakować. Zabawa się rozkręca, synu, ale nie myśl o tym. Musisz odpocząć. Zabroniłem chłopakom z drużyny tu przychodzić.

— Nic im się nie stało?

— Są pewnie w szoku. I mają w dupie kilka drzazg, nic takiego. Masz od nich pozdrowienia. — Gola zbiera się do wyjścia. — Jeśli wszystko będzie w porządku, jutro napiszemy raport. Rozmawiałem z porucznikiem Dereszem. Zaraz robią obchód. Tę noc spędzisz tutaj.

* * *

Wypytują mnie o wszystko. O bóle głowy, o problemy z oddychaniem, o stan pleców. Pytają też o mroczki przed oczami, więc odpowiadam szybko, że ich nie mam i nigdy nie miałem. Niebieskie płatki się nie liczą. I nie, nie czuję mdłości, i chciałbym jak najszybciej opuścić szpital, powrócić do służby. Chcę odpłacić sukinsynom, którzy stoją za zamachem.

Porucznik Deresz wychodzi. A kapitan Sauber przygląda mi się uważnie, trzymając w ręku duży tablet. Marszczy brwi, kiedy go odpala i przesuwa palcem po ekranie. Przy każdym ruchu głowy jej włosy spięte w blond kucyk skaczą na boki. Kiedyś musiała być naprawdę ładną kobietą. Teraz twarz przecinają głębokie zmarszczki.

Przeogląda fotografie. Nie widzę z daleka, co na nich jest. Wyobrażam sobie, że podczas wybuchu doznałem ciężkiego urazu i zaraz się o tym dowiem. Ale boję się zadać

pytanie, więc milczę uparcie i czekam.

— Zanim pokażę wam zdjęcie, kapralu, chcę zapytać, czy macie mi coś do powiedzenia — odzywa się wreszcie doktor Sauber. — Na przykład o przebytych w przeszłości operacjach?

— Nie rozumiem, pani kapitan.

— Nie rozumiesz? — Linda Sauber przygryza mocno usta. — Kiedy byłeś nieprzytomny, zrobiliśmy ci najlepszą diagnostykę, jaką możemy tu wykonać. Mamy w bazie przenośny tomograf. Proszę więc o wyjaśnienie, czym jest ten podłużny obiekt, który tak pięknie świeci w twojej głowie.

Podtyka mi pod nos zdjęcie z tomografu. Widać na nim długą białą kreskę z przodu czaszki, która wrasta w mózg. Czuję, jak oblewa mnie zimny pot.

— To elektroda — mówię cicho.

— A więc dobrze myślałam. — Kapitan Sauber uśmiecha się z satysfakcją. — Poddaliście się w przeszłości zabiegowi DBS, kapralu. I nie raczyliście o tym wspomnieć ani w formularzu przyjęcia do służby w WOT, ani w aplikacji SSARR. Przejrzałam całą waszą dokumentację medyczną. Ani słowa na ten temat!

— Nie przyjęliby mnie do armii — odpowiadam wprost; nie mam już nic do stracenia. — Odrzuciliby moje podanie bez mrugnięcia okiem. Przecież pani wie.

— Dlatego zatailiście prawdę.

— Tak, pani kapitan. Zrobiłem to świadomie.

Doktor Sauber podchodzi do okna. Wpatruje się w plac apelowy za szybą, jakby znalazła tam coś niezmiernie ciekawego. Tak właśnie wygląda mój koniec: nie odłamek ajdika, nie kula snajpera czy kleszcz zagrzebany w ziemi. Moją służbę przerwie zamazane zdjęcie z pierdolonego tomografu.

— A więc, kapralu, macie elektrodę umieszczoną w korze zakrętu obręczy, zwanej również polem Brodmanna — podsumowuje po chwili. — A gdzie, w takim razie, znajduje się rozrusznik, jeśli można zadać tak niedyskretne pytanie?

Jej głos ocieka sarkazmem.

— Jest tutaj. — Podciągam koszulkę i wskazuję na niewielkie zgrubienie w okolicy lewej pachy. — Mogę regulować moc impulsów. Bateria wystarcza na około dziesięć lat. Tak mi powiedziano.

— Bardzo interesujący przypadek. — Uspokaja się, siada obok mnie na rozchwianym krześle, gdzie godzinę temu siedział sierżant Gola. — Cierpiałeś na ciężką depresję?

— Tak, pani kapitan, od młodości. Mam za sobą próbę samobójczą. Zrezygnowałem też w ostatniej chwili z zabiegu dewitalizacji. Zgodziłem się wtedy na stymulator, to była ostatnia szansa.

— A dlaczego nie na zabieg stereotaktyczny, który nie zostawia śladów?

— Nie miałem pieniędzy. DBS przeprowadził zespół badawczy z Koden w ramach eksperymentu. Zwrócili mi pieprzone życie.

Sauber przymyka oczy. Myślę, że lekarz i naukowiec walczy w niej z wojskowym trepem. Może jest w tym jakaś szansa – czepiam jej się rozpaczliwie. Nienawidzę takich sytuacji, zsranej nadziei. Niech wreszcie coś powie, cokolwiek.

— Jak reagujesz na zakłócacze przeciw minom homeostatycznym?

— Trochę boli mnie głowa. Poza tym wszystko w normie.

— No tak. — Pomiar mojego tętna wskazałby pewnie miliard. — Rozmawiałam dziś z porucznikiem Ostinem. Wyraził się bardzo pozytywnie o przebiegu twojej służby. Potrzebujemy rozsądnych ludzi, nawet po takich przejściach. Dlatego postanowiłam dać wam szansę, kapralu.

— Dziękuję — tylko tyle jestem w stanie wykrztusić.

— Ale widzimy się w każdy piątek na wizycie kontrolnej, do odwołania. Ustalisz grafik z porucznikiem Dereszem. Oficjalny powód to obserwacja po urazie głowy.

— Tak jest.

— Nie dziękujcie, kapralu. Robię to z własnych powodów.

Wtorek, 23 lutego, godz. 11.45

Kapitan Beck boi się zamachu. Postawił na nogi cały PSR Dziewiątej Kompanii, żeby zapewnić sobie eskortę w drodze do ratusza. Nie mam pojęcia, co załatwia z burmistrzem Harmanu, ale to bez znaczenia. Zajęliśmy pozycje na korytarzu, na pierwszym piętrze, pod samym gabinetem Eframa Zoli. Stoimy w pełnej gotowości. Broń odbezpieczona, palce wskazujące ułożone wzdłuż komory, nad spustem.

Moja drużyna stanowi bezpośrednią obstawę dowódcy kompanii i porucznika Mullera. Sierżant Gola stoi z drużyną Normana na dole, u podnóża schodów, i nie pozwala nikomu wejść wyżej. Przed drzwiami magistratu, przy pojazdach, został Usil ze swoimi ludźmi oraz drużyna kaprała Talko. Nowe mięso armatnie, przerzucone z Jonu. Tylko Ballard ma w tym zespole doświadczenie bojowe, ale ponieważ stracił wszystkich kumpli, musi być w niezłej rozsypce.

Czuć napięcie wśród pracowników urzędu i petentów, którzy przyszli załatwić swoje sprawy. Remarczycy rzucają niepewne spojrzenia. Wychylam się przez drewnianą barierkę i obserwuję ludzi kręcących się po głównej sali. Zadzierają głowy do góry, a ja najchętniej splunąłbym im w twarz. Już wiem, że nienawidzę tego kraju, jego mieszkańców i wojny domowej, którą sobie zafundowali. Jeśli o mnie chodzi, mogliby się powyrzynać.

Sterczymy tu ponad godzinę, w prawie zupełnym milczeniu. Czuję, że od akcji na targowisku chłopaki zachowują się inaczej, jakby bali się w czymś mi przeszkodzić. Wieczorem Puric, czołowy abstynent, wyczarował skądś flaszkę i tylko Rot nie wypił powitalnej lufy po moim powrocie. Akurat poszedł wtedy do kantyny i spóźnił się na imprezę w koszarach.

Drzwi toalety na końcu korytarza uchylają się. Pewnie poruszył je przeciąg, musimy

jednak sprawdzić, czy nie ukrywa się tam jakiś wredny sukinsyn. Kiwam więc na Rota i ruszamy w stronę małego pomieszczenia oznaczonego trójkątem. Wszyscy pracownicy powinni opuścić to piętro, ale ostrożności nigdy dość. Zaglądamy do środka – pusto.

Rot gapi się na mnie nienawistnym wzrokiem, przestępując z nogi na nogę.

— No co tam, szeregowy? Chcesz mi powiedzieć coś miłego? — pytam.

— Lotty i jego ludzie zginęli przez ciebie — odpowiada szeptem. — Przez to, że nie potrafisz dowodzić, Trent. Gdyby Robert dowodził na akcji, wszystko byłoby inaczej.

— Tak? — Uśmiecham się złośliwie. — Gdyby twój Robert dowodził, pedale, leżałbyś teraz w kawałkach w metalowej trumnie.

— Nie będę służył patałacha z WOT. Mam na to wyjebane. — Mruży szare oczy. — I gównu możesz mi zrobić.

— I tu się mylisz, szeregowy Rot. Podczas każdej akcji będziesz szedł na szpic, ku chwale ojczyzny.

— Ty skurwysynu!

— Udowodnisz wszystkim, jaki jesteś odważny — mówię i wracam do reszty, bo słyszę już głosy za drzwiami. — No, panowie! Wyprostować się ładnie. Za moment będą wychodzić.

Minutę później kapitan Beck i porucznik Muller opuszczają gabinet. Wygląda na to, że nie dogadali się z władzami miasta, bo obaj mają zacięty wyraz twarzy. Muller jeszcze bardziej niż zwykle, chociaż to właściwie niemożliwe. Obrzuca nas krótkim spojrzeniem i schodzi po schodach. Gola rozpędza Remarczyków, pakujemy się szybko do pojazdów i opuszczamy plac Baltazara.

Jim Rot siedzi za kierownicą z zaciśniętą szczęką. Jeszcze trochę i połamię sobie zęby.

Czwartek, 25 lutego, godz. 23.10

Sierżant Gola wzywa dowódców drużyn do małej salki z piłkarzykami i dartem, gdzie czasem urządza odprawy. Lars Norman i ja zastanawiamy się pod drzwiami, co znowu zrobiliśmy źle i za co dostaniemy opieprz, ale szybko okazuje się, że to chyba nie to, bo w środku siedzi już porucznik Ostin, sierżant Sewerin i jego kaprale. Salutujemy Ostinowi, który macha lekceważąco ręką i każe nam zająć miejsca. Przed nim na stoliku leżą jakieś papiery i zdjęcia, zanoszą się na coś grubszego.

— Co to za cyrk o tej porze? — zastanawia się Norman. — Nocna taktyka?

— Kurwa, nie zdążyłem się odlać. Właśnie szedłem do kibla — szepcze Usil.

— Cisza! — zrząda sierżant Gola. — Pan porucznik ma do was kilka słów.

Wszyscy wiedzą, że Marcel Ostin nie cierpi przemawiać. Należy do gości, którzy najchętniej zamknęliby się w pokoju i stamtąd prowadzili wirtualną wojnę. Dlatego zbiera się do wystąpienia długo, uważnie przegląda zdjęcia i podaje je obu sierżantom.

— Panowie, sprawa jest krótka, ale bardzo ważna. Dostaniecie za chwilę fotografie,

które godzinę temu zrobiła Żandarmeria Wojskowa. Kapitan Beck przekazał je, żebyście mogli się dobrze przyjrzeć i wyciągnąć wnioski. A potem uprzedzić swoich ludzi, żeby nie popełniali takich błędów.

Już nie mamy wątpliwości, że stało się coś bardzo chujowego.

Na zdjęciach, które przekazują nam sierżanci, widać ciała leżące na ziemi i zbliżenia na spuchnięte twarze. Dwaj żołnierze, których nie mogę rozpoznać, z pewnością są martwi. Skonali w męczarniach. Wybałuszone oczy i ciemne języki wyglądają jak charakterystyka z kiepskiego horroru. Na sali powstaje głośny szmer.

— Co to jest, panie poruczniku? — nie wytrzymuje kapral List.

— To są chłopcy z Pierwszego Batalionu. — Marcel Ostin zastanawia się przez chwilę. — O ile pamiętam, z Czwartej Kompanii. Mogliście mijać się wiele razy na placu apelowym, w stołówce czy gdziekolwiek indziej. Ich koszary znajdują się na północy bazy, w starym kompleksie produkcyjnym. To, co zdążyliśmy ustalić, wskazuje na brak dyscypliny w ich oddziale. Ciała kaprała i starszego szeregowego znalazł wieczorem patrol w pobliżu drogi dojazdowej do Harmanu. Trafili na miny homeostatyczne, wstrzykujące neurotoksynę w ciała ofiar. W tym wypadku agonია jest bardzo bolesna i trwa ponad godzinę.

— O, kurwa — szepcze za moimi plecami kapral Talko.

— Śmierć tych żołnierzy jest wynikiem zaniedbań i skandalicznego naruszenia regulaminu — kontynuuje porucznik. — Samowolnie oddalili się z jednostki do położonego na przedmieściach motelu z pokojami na godziny. Zamówili sobie prostytutki. Służba wartownicza i dowódcy ofiar zostaną pociągnięci do odpowiedzialności. Ale dla was najważniejsze są dwie rzeczy: po pierwsze, macie bezwzględnie przestrzegać zasad, a po drugie, w żadnym wypadku nie wolno się poruszać pieszo i bez zakłócaczy po słabo zaludnionym terenie.

— Jak wiecie, to nowoczesny i drogi sprzęt, wydawany tylko na akcję — dodaje sierżant Gola, korzystając z ciszy. — Żołnierze na samowolce nie mogli z niego skorzystać, dlatego doszło do tragedii. Wbijcie do głowy swoim ludziom, że trwa wojna i takie debilne pomysły kończą się śmiercią.

— Dokładnie tak — mówi porucznik Ostin. — Najchętniej zostawiłbym wam zdjęcia, żebyście patrzyli na nie codziennie, ale regulamin na to nie zezwala. Mam nadzieję, że zapamiętacie ten widok. Dowódcy plutonów zbiorą teraz fotografie, a wy przed poranną odprawą zrobicie pogadankę w swoich drużynach. To rozkaz.

— Tak jest, panie poruczniku — rozlega się głos ze ściśniętych gardeł.

Porucznik Ostin wstaje, więc my również podrywamy się z krzeseł.

— Jeśli nie ma pytań, możecie się rozejść.

Sobota, 27 lutego, godz. 18.50

Dzwonię do ojca raz na dwa tygodnie, żeby pogadać o niczym. Zawsze pyta mnie,

czy wszystko w porządku, czy nic mi się nie stało. A ja powtarzam, że jest znośnie, żeby się nie martwił. Potem opowiada o problemach matki z kręgosłupem. O tym, jak drętwieją jej ręce i ciągle boli ją głowa. Spędza życie w kolejkach do lekarzy. O sobie nie mówi nic, jakby zniknął po rozmowie ze mną. Wygenerowany cyfrowo głos w słuchawce.

Jednak tym razem jest inaczej. Odbiera telefon i mówi ściszym głosem:

— Markus, ja wiem, że nie mówisz mi prawdy. Codziennie oglądam wiadomości i czytam o tej wojnie. Liczę zamachy i ofiary śmiertelne. W tym tygodniu w samym Harmanie wybuchło sześć bomb.

— Osiem, tato. Nie o wszystkim informuje się media.

— Mama jest u pani Loewe, możemy chwilę normalnie porozmawiać. Zawsze podsłuchuje, kiedy dzwonisz.

— To dlaczego teraz szepczesz? Słabo cię słychać.

— Chyba z przyzwyczajenia. — Śmieje się raczej smutno. — Boję się, Markus, że nie wrócisz.

— Nie będę cię oszukiwał — mówię niepotrzebnie. — Od początku misji zginęło dwudziestu dwóch naszych. Remarczycy atakują coraz częściej. Każdego dnia może cię trafić kawałek żelastwa. Ale będąc tutaj, kombinujesz bez przerwy, jak uniknąć śmierci. Najważniejsze to nie nosić pożyczonych ciuchów ani hełmu.

— O czym ty mówisz?

— Taki żołnierski przesąd, nieważne. — Patrzę na zegarek. — Wiesz, muszę zaraz kończyć, za pięć minut zaczyna się odprawa.

Oddycha głośno w słuchawce. Mam wrażenie, że chce mi powiedzieć coś ważnego.

— Ja też muszę kończyć — odzywa się wreszcie. — Mama wraca, słyszę ją na klatce.

— Tato, nie bój się o mnie. Mieszkanie z mamą jest bardziej niebezpieczne.

Rozłącza się nagle, bez pożegnania.

Przyzwyczałem się do jego dziwactw przez te wszystkie lata. Potrafił wstać od stołu w środku obiadu i sięgnąć po książkę, bo coś mu się nagle przypomniało. Jestem takim samym dziwakiem jak on, albo nawet gorszym, bo dodatkowo sporo odziedziczyłem po matce. Nie wiem czemu, ale przypominam sobie, jak w pierwszej klasie uczył mnie pływać. Brodził w mulistym jeziorze i z cierpliwością znosił moje krzyki.

Nienawidzę telefonów do domu, niepotrzebnie zabierają spokój. Gdybym był dowódcą bazy Erde, zabroniłbym dzwonienia do rodziny, i w ogóle zabroniłbym wspomnień. Powinno istnieć tylko tu i teraz. Cała reszta jest jak kamień, który ktoś przywiązał ci do nogi.

Rozdział piąty

Poniedziałek, 29 lutego, godz. 0.15

Harman, prowincja Saladh, południowy Remark

Nie mogę spać, kochany synku. Ciągle śni mi się, że spadam w dziurę wypełnioną światłem. Coś tam jest, na samym dnie, coś groźnego, ogromnego jak cholerny meteoryt i równie obcego jak on. Podrywam się na łóżku i wydaje mi się, że krzyczę, ale z mojego gardła wydobywa się jęk. Peter chrapie dwa metry ode mnie, rozwalony na wznak na swoim tapczanie. Przewracam się z boku na bok, walczę z tym jego rżeniem, a gdy udaje mi się zdrzemnąć, znowu spadam w otchłań. Od zamachu na targowisku, w którym zginęli moi koledzy z plutonu, mój stan się pogorszył. Ale nie mówię o tym doktor Sauber. Mogłaby mnie stąd odesłać.

Pewnie zastanawiasz się, dlaczego tu jestem. Trudno mi to wyjaśnić, bo żadne uzasadnienie nie wyda ci się przekonujące. To prawda, że mając dość swojego życia, chciałem zrobić coś innego i sprawdzić się w trudnej sytuacji. Ale wystarczyłoby pojechać w nieznane, ruszyć w podróż dookoła świata. W Synecie pełno jest ogłoszeń, w których szukają ludzi chętnych do takich wypraw. Nie trzeba się pchać na wojnę.

Chodzi więc pewnie o Rammę. O tę absurdalną pewność, że jeśli wszyscy zlekceważymy zagrożenie, stracimy swój dom. Bo cały świat nie jest naszym domem, tak samo jak domem nie jest ulica, na której mieszkasz. Możesz być, synku, mile widziany u swoich kolegów, możesz mieć dziewczynę z sąsiedniej dzielnicy, ale dom masz tylko jeden. Ja wiem, że dla pokoleń wychowanych w luksusie brzmi to abstrakcyjnie i cokolwiek patetycznie. Jednak każdy ma swoją prawdę i swoje obowiązki.

Czasem myślę też, że przyjechałem tu z innego powodu. Że do Harmanu przywiódło mnie moje szaleństwo. Przyjechałem, bo coś mnie wezwało. I to coś jest znacznie większe niż moje powinności, większe nawet niż miłość do ciebie. Jeszcze nie umiem tego nazwać, ale mam to na końcu języka. To coś jest bardzo podobne do śmierci, ale jest czymś bardziej skomplikowanym niż śmierć. Szukam tego bezustannie, ale wiem, że kiedy przyjdzie czas, to na pewno odnajdzie mnie samo.

Wtorek, 1 marca, godz. 10.10

Parkujemy przed posterunkiem policji w śródmieściu. Policjanci są zdziwieni liczbą żołnierzy i pojazdów, które zatarasowały plac, więc zadają porucznikowi Ostinowi mnóstwo pytań przez naszą tłumaczkę. Kiedy Nemi rozmawia z tubylcami, brzmi

zabawnie, jakby się z nimi kłóciła. Remarski jest krzykliwy i sprawia, że spokojna dziewczyna przechodzi metamorfozę. Staje się energiczną, trochę arogancką miniaturką żołnierza.

Ze względu na podobieństwo do amerykańskiej aktorki, Donny Hawthorne, Lars i ja ochrzciliśmy ją ksywką „Gwiazda”. Ma duże ciemne oczy, szczupłą twarz i dołek w brodzie. Oraz delikatny neurotyzm wypisany na czole. Usił przestał podrywać Nemi, kiedy odburknęła mu coś po remarsku, a Puric usłużnie przetłumaczył: „Z wieśniakami nie tańczę”. Dziewczyny bywają bezwzględne w każdym kraju.

Mam z nią kłopot, bo rozmowa raczej się nie klei, a dość często trafiamy na siebie. Tak jak teraz, maszerując wąskimi uliczkami w kierunku Świątyni Afrodyty. Nemi idzie krok przede mną. Nie mogliśmy podjechać skorpionami na wzgórze; Świątynia leży wysoko i zewsząd otaczają ją stare kamienice. Są miejsca, gdzie pomiędzy budynkami z trudem może się minąć dwóch żołnierzy. Strasznie tu ciemno, a ściany pachną wilgocią.

Dotykam palcami mchu porastającego elewację.

— Te mury wyglądają, jakby całkiem zgniły.

— To najbardziej zabytkowa część miasta. Nie znoszę jej — odpowiada dziewczyna.

Idziemy pośrodku kolumny. Drużyna Jeden maszeruje jako pierwsza, Drużyna Cztery zamyka pochód, moi ludzie mogą się odrobinę rozluźnić. Zrównuję się z tłumaczką i próbuję pociągnąć rozmowę.

— O co chodzi? Nie podobają ci się te budynki?

— Są okropne, Markus. — Uśmiecha się do mnie. — Ale ja po prostu nie cierpię kultu Afrodyty. To połączenie religijnego fanatyzmu i kurwienia się. Uwierz mi, wiem coś na ten temat.

— Byłaś w młodości kapłanką? — próbuję zażartować.

— Tak, byłam adeptką w Portsailu. Każdy popełnia błędy. — Nemi rusza do przodu, łamiąc szyk, a mnie opada szczęka.

Zwalniam wyraźnie, przez co Puric prawie wpada mi na plecy. I znowu myślę, że generał Salte miał rację. Takie rozmowy nie zdarzają się, kiedy nie ma kobiet. Bardzo łatwo się zdekoncentrować i zrobić coś głupiego, a to przecież tylko chemia i rytuały godowe. Nie warto ginąć z takiego powodu – jeśli można całkiem bez powodu.

* * *

Na terenie świątyni znajduje się mały budynek, zwany altaną Karola. Kimkolwiek był Karol, nie cieszył się powodzeniem u kapłanek, bo jego domek stoi tuż przy murze. Puric i Ballard mają z tego niezłą polewkę. Dopiero Nemi uświadamia nas, że to wyjątkowe wyróżnienie spotkało księcia Karola II, fundatora całego skrzydła. Żadnemu mężczyźnie poza nim nie wolno było przebywać na wzgórzu. A na czas remontu kapłanki Afrodyty opuszczały siedzibę i przenosiły się w góry.

Do obsadzonej różami altany Karola może wejść tylko porucznik Maja Budny oraz Nemi Seelberg. Wywiad Wojskowy specjalnie przysłał kobietę, żeby mogła swobodnie rozmawiać z kapłankami. Porucznik Ostin i towarzyszący mu porucznik Moerstrem zostają za bramą. Sierżant Gola rozmieszcza nas w strategicznych miejscach i każe zachować czujność.

Widać stąd panoramę Harmanu – zabytkowy ratusz i wieżę solarną na zachodzie miasta, obok bazy Centaur. Nad nami wisi feniks, my przycupnęliśmy za kilkoma kamieniami. Nie spodziewamy się raczej ataku, ale ostrożności nigdy dość.

Świątynia Afrodyty, którą mamy za plecami, jest wielkości wiejskiego kościoła (jeśli nie liczyć budynku, w którym mieszkają kapłanki). Niewielki portal, cztery kolumny przed wejściem. Szczerze mówiąc, widziałem ciekawsze budynki.

W chaotycznej panoramie miasta, pośród dachów o różnych kształtach i domów różnej wysokości, nawet Świątynia Zeusa nie wyróżnia się niczym szczególnym. Rozmawiam o tym z Puricem i Rozwielitką, patrząc na skwaszoną minę Rota. W pewnym momencie wtrąca się Ballard, żeby zrobić nam darmowy wykład.

— Remarczycy nie modlą się w środku. Zbierają się zawsze na placach albo w gajach oliwnych przy świątyniach. Budynki są domem bogów, dlatego przypominają raczej nasze kaplice niż kościoły.

— No, zaimponowałeś mi Chris — mówię szczerze.

— Do usług, panie kapralu! — wygłupia się Ballard. — Trochę o tym czytałem, zanim przyjechałem na misję. Trzeba wiedzieć takie rzeczy.

— Masz rację. Staram się robić to samo.

Próbuję przypomnieć sobie, co wiem o kulcie Afrodyty.

Charakterystyczna jest różnica pomiędzy ścisłą regułą świątyni a zachowaniem kapłanek poza jej murami. O ile żaden mężczyzna nie może się zbliżyć do domu bogini, jeśli znajduje się w niej święty posąg, o tyle kapłanki, szczególnie młode adeptki, znane są z rozwiązłości podczas wizyt w mieście. Wybierają sobie partnerów, czasem nawet kilku jednej nocy, i kopulują z nimi, oddając cześć swojej pani. Do służby w świątyni przyjmowane są tylko młode i najbardziej urodziwe panny.

Myśląc o Nemi, nie widzę Córy Koryntu. Ta drobna dziewczyna nie kojarzy mi się z religijną prostytutką, ani w ogóle z niczym bzdurnym związanym z kultami. Ale co ja wiem o Remarku, żeby wydawać takie sądy? Swoje wyobrażenie o kapłankach Afrodyty opieram na stereotypach z filmów podróżniczych i portali porno.

Porucznik Budny, która rozmawia z Najwyższą Kapłanką, na pewno wie znacznie więcej. Będzie musiała użyć nie lada argumentów, żeby przekonać zakon do udostępnienia wzgórza naszym wojskom. Dowództwo wymyśliło sobie, że ulokuje tutaj wysuniętą placówkę. Idealny strategicznie punkt pozwala kontrolować duży kwartał miasta. Burmistrz odmówił zgody z religijnych powodów i odesłał nas do Świątyni. A sierżant Gola tak podsumowuje sytuację, zerkając w stronę bramy:

— Gówno z tego będzie, panowie, ale przynajmniej nie pada.

Wizytę na Wzgórzu Afrodyty traktujemy jak poobiedni spacer. Zadanie do odhaczenia na liście. Za trzy dni jedziemy do Wysuniętej Placówki Admirum i to może być prawdziwe wyzwanie. Będziemy konwojować zapas amunicji i wyposażenia dla chłopaków z Pierwszego Batalionu, którzy stacjonują u podnóża Gór Wilczych. Prawie codziennie są atakowani przez partyzantów, a załogę stanowią tylko dwa, raczej słabo wyszkolone, plutony.

Siedzą tam i czekają na śmierć.

Czwartek, 3 marca, godz. 20.15

Lubię takie wieczory. Siedzę z Rozwielitką, Puricem i Gausem w kantynie i gramy w pokera na drobne pieniądze. Ze względu na jutrzejszy wyjazd nie mamy dzisiaj służby; na wezwania odpowiada PSR z Drugiego Batalionu, stacjonującego w bazie Centaur. Dawno nie mogłem pogadać spokojnie ze swoimi chłopakami. Tylko Rot się gdzieś zapodział, jak zwykle. I, kurwa, krzyżyk na drogę. Dwa stoliki dalej siedzi Usil ze swoją drużyną.

Oficerowie pojawiają się raczej na chwilę i nie przeszkadzają nam w zabawie, z wyjątkiem kapitana Becka. Szef kompanii kupuje cygaro i długo nie wraca do siebie. Przegląda uważnie gazetę, zamawia kolejną herbatę, a potem woła Petera i mnie; sadza przy swoim stoliku i mówi ściszym głosem:

— Panowie, uważajcie na autostradzie. Zaopatrzenie dla Admirum jest kluczowe, ale nie chcę bezsensownych strat w mojej kompanii.

— Tak jest, panie kapitanie — odpowiadam za nas obu.

— Uczulam wszystkich dowódców, żeby mieli oczy dookoła głowy, bo ofensywa terrorystów przybiera na sile. Macie dowieźć sprzęt i wrócić w jednym kawałku. Zrozumiano?

— Tak jest! — Zastanawiam się przez chwilę. — Dostaniemy jakieś wsparcie, jeśli można spytać?

— Dostaniecie jednego drona zwiadowczego. Z chęcią dałbym wam więcej, ale zasięg jest słaby, partyzanci zakłócają sygnał. Straciliśmy w lutym mnóstwo sprzętu. Unikajcie bezpośrednich starć i wracajcie do bazy.

Kiedy kapitan wychodzi, Peter i ja patrzymy na siebie ze zdumieniem. Nigdy nie zachowywał się w ten sposób. Nie rozmawiał z podoficerami, z wyjątkiem oficjalnych spędów. Sytuacja nie wygląda dobrze, jeśli postanowił wydać nam instrukcje osobiście. Na wszelki wypadek ustalamy, że nie przekażemy tej wiedzy chłopakom.

Wracam do swoich i mówię, że Beckowi zebrało się na pogaduchy. Wypytywał, jak się nam służy w jednostce i inne takie. Oficerowie czasami tak mają. Ale w sercu czuję niepokój i nawet kareta z króli, którą wykładam w następnym rozdaniu, nie cieszy tak bardzo jak zwykle. Humor poprawia mi dopiero Gaus, który odzywa się nagle, całkowicie bez związku:

— Ja przypierdolę wreszcie temu Rotowi!

W głowie szeregowego Gausa musiały przebiec procesy myślowe, do których nie mieliśmy dostępu.

— A może powiesz nam coś więcej, Vim? — pyta Rozwielitka.

— Ballard mówił mi, że gnojek łązi do Zana Talko, tego nowego kaprała, i pierdoli mu, jaką mamy zjebaną drużynę. I że nasz kapral, za przeproszeniem, jest złamanym chujem.

— A to skurwysyn — komentuje krótko Puric, nie odrywając wzroku od kart.

— I co tam jeszcze opowiada? — podpytuję.

— Mniej więcej tyle. — Vim Gaus drapie się w głowę. — A ja go miałem za kolegę, piłem wódkę z tym pedałem. Przypierdolę mu i tyle w temacie.

— Posłuchajcie. — Odkładam na chwilę karty. — Nie chcę żadnych bójek, zwłaszcza dzisiaj. Macie być porządnie wyspani i jutro osłaniać się nawzajem. A z Rotem sobie pogadam, obiecuję wam.

— A nie moglibyśmy załatwić z sierżantem, żeby Rot się zamienił z Ballardem? — pyta Rozwielitka. — Ci nowi z drużyny Chrisa to straszne moški.

— Są nowi, dlatego Rot do nich chodzi i urabia po swojemu. Pamiętajcie, jak to było u nas na początku?

Chłopaki spuszczaają głowy. Chyba się jeszcze wstydzą, że słuchali takiego dupka.

Chętnie bym wziął Chrisa i sprzedał tego cwaniaka do Jedyunki, ale to nie koncert życzeń. Musimy sobie odpuścić. Jeszcze trochę i szeregowy Rot sam poprosi o zamianę.

Gramy do dwudziestej pierwszej, do zamknięcia kantyny. Potem przenosimy się do koszar i teoretycznie powinniśmy iść spać. Teoretycznie, bo wszyscy mamy złe przeczucia. Coś wisi w powietrzu, a mnie dodatkowo męczą wyrzuty sumienia, że nie powiedziałem chłopakom całej prawdy o niebezpieczeństwie.

Piątek, 4 marca, godz. 7.55

Przed wyjazdem muszę stawić się u doktor Sauber. Pani kapitan wyznaczyła wizytę na rano, kiedy kończy nocną służbę, i nie zgodziła się na zmianę terminu. Pasuje mi to jak dziura w moście, ale ma mnie w garści. Nie mogę jej się sprzeciwić.

— Mówiłam, że zdążysz, Markus — wita mnie w gabinecie. — Jak samopoczucie?

— Dobrze, pani kapitan. Nie narzekam.

— Szczerze mówiąc, nie wyglądasz kwitnąco. Coś się stało, kapralu?

— Mamy dzisiaj wyjazd do Admirum, jedziemy w teren nasilonych działań. Cały pluton jest zdenerwowany, ale to chyba normalne.

— Tak, to normalne. — Linda Sauber uśmiecha się delikatnie i pstryka czymś pod biurkiem.

Robi mi się ciemno przed oczami, a potem widzę niebieskie światło i duchy – gęste ludzkie cienie, przesuujące się po pokoju. Szepczą do mnie, śmigając po ścianach.

Chwytam się za głowę, żeby nie odpadła. Mam wrażenie, że mózg wycieknie mi zaraz uszami. Albo wypocę go z siebie każdym porą skóry. Białe tłuste gliny na skroniach.

— O, kurwa. — Zsuwam się z plastikowego krzesła. Jestem pewien, że za chwilę oszaleję i odgryzę sobie język, ale wszystko mija równie nagle, jak się pojawiło.

Leżę na podłodze i oddycham ciężko. Jestem mokry, przepociłem w jednej chwili cały mundur. Ręce mi się trzęsą, kiedy wspinam się na krzesło. Kapitan Sauber nie wydaje się zaskoczona, lecz raczej zadowolona z przebiegu eksperymentu.

— Jezu, pani kapitan... Co to było?

— Musiałam ci to pokazać, bo byś nie uwierzył — odzywa się łagodnie. — To był zakłócający min homeostatycznych, włączony na cały regulator. Musisz uważać, kiedy będziesz z niego korzystał. Im bardziej go podkręcisz, tym bardziej będziesz cierpiał.

— Nigdy nie przekroczyłem połowy skali. Za bardzo bolała mnie głowa.

— A więc byłeś świadom zagrożenia? To dobrze. — Kiwa głową z uznaniem. — Pamiętaj, że urządzenia pozostałych żołnierzy też mają na ciebie wpływ. To wszystko, co chciałam ci dzisiaj przekazać. Możesz się odmeldować.

Wychodząc z gabinetu, potykam się o krzesło i wieszak na ubrania. Po drodze skręcam do toalety i dopiero soczysty rzyg przywraca mnie do życia. Pani kapitan wybrała sobie świetny moment na edukację medyczną, tuż przed poważną akcją.

A jednak nie miałem pojęcia, że fala elektromagnetyczna może tak mocno skrobnąć elektrodę w moim mózgu. Na swój psychopatyczny sposób Linda Sauber troszczy się o mnie. Próbuje mi pomóc, chociaż powinna wydalić ze służby. I nadal nie wiem dlaczego. Staram się więc, by inni nie zauważyli, że kilka minut temu tsunami wyrzuciło moje ciało na brzeg. A potem dowiadujemy się wszyscy, że nasz wyjazd został odwołany. Dowództwo przesunęło go na „najbliższą przyszłość”.

Poniedziałek, 7 marca, godz. 12.05

Znowu stoimy na warcie. Rano mieliśmy ćwiczenia, a potem objęliśmy służbę na Bramie Wschodniej i kontrolujemy samochody, sprawdzamy papiery. Nie dzieje się nic szczególnego. Największym wydarzeniem jest pojawienie się Zołzy, czarno-białej kotki, która tydzień temu przyplątała się do bazy.

Swoje imię zawdzięcza wrednemu usposobieniu. Niby ociera się o nogi i daje się głaskać – jak teraz Puricowi – ale zaraz potem próbuje strzelić go łapą, zaczyna fukać i syczeć. Ma trochę nie po kolei w głowie, co nie przeszkadza nam się cieszyć z jej widoku. Stanowi miłą odmianę w tym skurwiałym świecie. Dlatego nikt jej nie przegania i nawet porucznik Muller uśmiecha się krzywo na jej widok. Pracownicy kuchni i żołnierze dokarmiają ją codziennie resztkami z obiadu.

Gaus woła Zołzę i kotka podbiega do niego. Powinienem opieprzyć chłopaków za zajmowanie się kotem na służbie, jednak widok wielkiego faceta, który głaszcze małe

zwierzę i przemawia do niego z uczuciem, jest bezcenny. Dzisiaj zauważyliśmy, że kotka pozwala się Gausowi wziąć na ręce. Kiedy go widzi, podbiega z wyprężonym do góry ogonem i naprawdę się wita. *This is kind of magic*, jak mawia Rozwielitka.

— Tylko się nie zakochaj — przygaduje swojemu kumpłowi.

— Jared, weź się ode mnie odpiardol — odpowiada Gaus.

— Ona ma dla ciebie za małe narządy — nie rezygnuje Dafny.

— Jesteś jebnięty. — Vim nawet na niego nie patrzy. — To jest bardzo fajny kot. Zabiorę go ze sobą, jak będę wracał do domu.

Mam w mózgu delikatne przepięcie. W takich chwilach chciałbym zacząć krzyczeć, że nigdy stąd nie wyjedziemy. Czuję to od momentu, kiedy postawiłem stopę na remarskiej ziemi. To nie mgliste przeczucie, lecz zimna pewność. Ale, oczywiście, nie mogę tego zrobić. Nie mógłbym nawet wtedy, gdybym był zwykłym szeregowcem.

Pozostaje czekać na rozkazy i liczyć na to, że kolejny raz nam się uda. Sierżant Gola twierdzi, że wywiad zalecił zmianę terminu wyjazdu do Admirum ze względu na zagrożenie atakiem. Wczoraj nasze śmigłowce ostrzelały rakietami szoah pozycje partyzantów w okolicy Gór Wilczych. Potem pojawiły się „krowy” BG-77 i zrzuciły bomby. Pewnie po takiej akcji pozwolą nam jechać; czekanie jest zawsze najgorsze.

Środa, 9 marca, godz. 4.25

Ruszamy przed wschodem słońca. Dwie ciężarówki ze sprzętem i drużyną uzupełnienia są osłaniane tylko przez nasz pluton. Ostatecznie PSR z Trzeciego Batalionu został skierowany do rutynowych działań, bo w mieście nasiliły się ataki po zbombardowaniu oddziałów Garcii. Patrole na ulicach bez przerwy proszą o wsparcie.

Samochody wytaczają się z bazy i kierują w przeciwną stronę niż zwykle – oddalamy się od Harmanu. Po kilkunastu minutach wjeżdżamy na ekspresówkę, a potem na autostradę do Fizzy, miasta na południowej granicy Remarku, okupowanego przez Gotta. Od Fizzy oddziela nas Wyżyna Harmańska, łańcuch Gór Wilczych oraz pustynia Saladh. Autostrada omija góry i właśnie w tym miejscu, na wysokości węzła drogowego Mokha, powstała Wysunięta Placówka Admirum.

Gola, który jedzie w naszej dwieście pięćdziesiątce, opowiada o początkach misji stabilizacyjnej. Sporo z tego przeżył osobiście, trochę słyszał od swoich kolegów. To, co najbardziej zapada mi w pamięć, to stwierdzenie, że na początku było krwawo, ale jakoś bardziej „normalnie”. Miejscowi cieszyli się, kiedy zajmowaliśmy nowy teren i wypychaliśmy najeżdżcę na południe. Ale sytuacja się skomplikowała. Nie jednego dnia – to działo się miesiącami. Z wyzwolicieli zmieniliśmy się w okupantów, którzy tkwią w Remarku i nie potrafią zaprowadzić tu porządku ani się wycofać.

— Czuję się strasznie chujowo — kończy Gola. — Nawet nie wiem, po co tu jesteśmy.

— Nie boi się pan tego mówić, sierżancie? — pytam. — Ktoś może donieść

porucznikowi Ostinowi albo komuś z dowództwa bazy.

— Już ci mówiłem, Markus, gdzie ich mam. Zresztą, oni myślą tak samo, tylko rozmawiają o tym w swoim gronie.

Rot prowadzi pewnie, jak zwykle, i właściwie się nie odzywa. Siedzę obok niego i gapię się w ekran tabletu, na którym widać obraz przesyłany przez sokoła; dron leci nad nami i lustruje otoczenie w promieniu kilku kilometrów. Niebo nad polami i skalistymi pagórkami zmienia kolor, zapala się na różowo od słonecznych promieni. Zapowiada się piękny dzień.

Dwa skorpiony, Jedyńka i Czwórka, jadą przed ciężarówkami, dwa następne za nimi – nasz zamyka kolumnę. Zachowujemy kilkunastometrowe odstępy na wypadek wybuchu ajdika. Ale nie dzieje się nic specjalnego, nawet cywilnych pojazdów mijamy niewiele.

Po niecałej godzinie i przejechaniu pięćdziesięciu kilometrów docieramy do posterunku remarskiej policji, wzmocnionego jednym transporterem SSARR. Tutaj autostrada się urywa; dalej jest dziesięć kilometrów zniszczonej nawierzchni i zerwany most na Redzie, którego nie udało się odbudować przez ostatnie pięć lat. Musimy się kierować objazdem przez miejscowość Kardam. Lokalna przeprawa ocalała podczas gottańskich bombardowań.

Mamy okazję przyjrzeć się głębokiej prowincji. Za oknami przesuwały się pola, głównie piaszczyste ugory, oraz małe skupiska domów. Co jakiś czas widać przy drodze budynki, ziejące czarnymi oknami i dziurami po kulach w popękanych ścianach. Bieda aż piszczy w tym kraju, płoty w napotkanych wsiach chylą się ku ziemi. Nie widać nowoczesnych narzędzi, lecz jedynie stare zardzewiałe sprzęty zaprzęgane w konie.

Nadal stoi tutaj wiele chat pokrytych strzechą i połatanych byle jak – kamieniami i kawałkami drewna. Czasem trudno znaleźć w nich wyraźną linię, o kątach prostych nie wspominając. Z kominów sączy się czarny dym; ludzie palą czym popadnie, ogrzewając swoje domostwa. Po polach wałęsają się psy.

Poraża mnie pustka i brzydota tych terenów. Rozwielitka mówi, że okolica wygląda jak po zarazie albo po ataku zombie. Może mieszkańcy chowają się przed nami, a może uciekli podczas wojny i nigdy nie powrócili. W jednej z dużych wiosek tylko dwie chaty wydają się zamieszkane. Białe i czarne kury uciekają z drogi, kiedy nasz konwój przejeżdża w pośpiechu przez tę pozostałość po apokalipsie.

Mijamy jeszcze kilka sadów, które już nigdy nie zakwitną. I całkowicie spaloną świątynię ze zburzoną wieżą w Kardamie. Stary samochód zjeżdża gwałtownie z drogi, żeby nas przepuścić, a na skrzyżowaniu ulic stoi dwóch obszarpanych mężczyzn; jeden z nich podpira się rowerem. Odprowadzają nas wzrokiem przydrożnego kundla.

Wkrótce potem docieramy do wąskiego mostu, który drży pod kołami. Pokonujemy go pojedynczo, a potem skręcamy w drogę dojazdową do autostrady i wracamy do znajomego krajobrazu. W skorpionie ucichły rozmowy, jakby widok za oknami odebrał nam ochotę do dzielenia się bzdurnymi myślami.

Na szczęście to już rzut beretem do Admirum. Po dwudziestu minutach dojeżdżamy do węzła na autostradzie, przy którym znajduje się placówka, i wszyscy robimy głębszy wdech. Połowa misji za nami.

* * *

Baza graniczy jednym bokiem ze stromą skałą, od zachodu ma naturalną osłonę. Z trzech stron otacza ją ogrodzenie SOM-Bastion, wykonane z metalowej siatki i poliuretanowej powłoki. Każdy moduł wypełniony jest kamieniami i piaskiem. Nawet prowizoryczne budynki i stanowiska strzeleckie zostały wzniesione z tych koszy.

Za żelazną bramą stoi transporter, który odjechał na czas naszej wizyty. Trudno mi ocenić wielkość Admirum, ale może mieć około dwóch tysięcy metrów kwadratowych. Placówkę obsadza pięćdziesięciu żołnierzy pod dowództwem porucznika Lumstina.

Sześciu młodych, przywiezionych przez nas rekrutów odcina się wyraźnie od miejscowej załogi. Wydają się przerażeni, gdy zeskakują z paki na ubite klepisko. Ich mundury są czyste, a twarze niepokryte pyłem. Ludzie z Admirum nie mają przepisowego umundurowania. Niektórzy chodzą bez hełmów, inni noszą rozpięte bluzy i amulety na szyi. Zawiązane fantazyjnie remarskie chusty czy pomalowane twarze nie należą do rzadkości.

Kierowcy ciężarówek parkują w rogu bazy; mają tu zostać przez kilka dni, żeby wypełnić jakieś zadania. My ustawiamy skorpiony za bramą i korzystając z zamieszania, wymieniamy szybko uwagi.

— Rozejrzyj się, Markus, tak wygląda zsyłka — szepcze mi do ucha Gola.

— Tak, panie sierżancie. Mają bardziej przejebane od nas.

— Tamten gość, który idzie w naszą stronę, to Gert Lumstin, szef placówki. — Sierżant wskazuje ruchem głowy. — Twardy sukinsyn.

Jeśli coś łączy porucznika Ostina z dowódcą Admirum, to tylko pewne podobieństwo nazwisk. Kiedy się witają, patykowaty Ostin ledwie sięga do brody potężnemu Lumstinowi. Oficerowie znikają w budynku dowództwa, a my rozmawiamy z żołnierzami, którzy nie są na służbie. Wypakowują sprawnie przywiezione zapasy amunicji, żywności i wody pitnej, ale wykorzystują każdą okazję, by zagadać. Trochę im pomagamy, a trochę handlujemy: papierosami, czekoladą z kantyny, a może nawet czymś mocniejszym. Tak mi się wydaje, bo Rot zniknął gdzieś jak kamfora.

— Gdzie jest Jim? — pytam Rozwielitkę.

— Poszedł do latryny.

— Daniel! Znajdź go i powiedz temu leserowi, że skrzynie same się nie przeniosą.

— Tak jest, Markus. — Puric biegnie na drugi koniec bazy.

W ciągu pół godziny udaje się rozładować zapasy. Rot dostaje opierdół, a sierżant Gola woła dwóch kaprali i sierżanta z Admirum i zaszywamy się w kilka osób za stanowiskiem strzelniczym, żeby trochę porozmawiać. Chłopaki zrobili tutaj zadanie

z brezentu i ustawili kilka stołków i drewnianych palet. To taki miejscowy odpowiednik naszej świetlicy. Nazywają go po prostu klubem.

* * *

Sierżant Michalic, dowódca Pierwszego Plutonu, i kapral Jome nie są zbyt wylewni. Dopytują głównie o sytuację w Harmanie; chcą wiedzieć, jak często zdarzają się zamachy i czy jest niebezpiecznie na ulicach. Rozmawiamy o ofensywie arejczyków, o bombardowaniu ich pozycji w Górach Wilczych i o kłopotach z zaopatrzeniem. Gola, Norman i ja odpowiadamy cierpliwie na wszystkie pytania. Dla tych gości spotkanie z nami to prawdziwa atrakcja.

Tylko Usil drzemie w kącie, bo strasznie kiepsko znosi niewyspanie. Zaczyna chrapać po kilku minutach, więc dostaje od sierżanta Goli z otwartej dłoni w hełm. Kapral Jome wybucha głośnym śmiechem, co dodatkowo oburza Petera.

W pewnej chwili Gola i ja odchodzimy na bok, żeby zapalić papierosa z drugim kapralem z placówki. Adam Werner ma czerwone oczy, a pustynny pył i zwykły brud dosłownie wżarły się w jego skórę. Kiedy przypała fajka, drżą mu ręce. Wydaje się, że chce nam coś powiedzieć, więc Gola delikatnie zachęca go do rozmowy. Pyta, jak bardzo jest ciężko i czy wiedzą już, kiedy przyjedzie zmiana. Kapral zaciąga się łapczywie dymem.

— Nie wiemy, porucznik nic nam nie mówi — wyrzuca z siebie wreszcie. — Podobno jest tutaj za karę, bo podpadł komuś z dowództwa. I dopóki on tu będzie, my też zostaniemy. Kurwa, mamy przejebane po całości!

— Nie wiem, czy to cię pocieszy, ale u nas też jest chujnia. Sam słyszałeś, że te sukinsyny ze Świątyni Aresa bez przerwy atakują patrole. A hadejczycy organizują zamachy bombowe.

— Panie sierżancie, z całym szacunkiem, ale my codziennie mamy kontakt ogniowy. A raczej, parę razy na dzień. Jak nie pierdolną z granatnika z przejeżdżającego samochodu, to podchodzą w nocy i zaczynają ostrzał z karabinów. Widział pan uzupełnienia? W ciągu dwóch tygodni straciliśmy czterech ludzi. Jak tak dalej pójdzie, to załoga wymieni się sama.

— Co tu właściwie robicie? — pytam, żeby zmienić temat.

— Wszystko, kurwa mać. — Kapral jest naprawdę wkurzony. — Głównie trzepiemy cywilne samochody i nękamy tubylców. Tam dalej — wskazuje ręką na południe — jest punkt kontrolny z zasiekami i transporterem opancerzonym. Ale zdarza się, że satelita coś wypatrzy i każą nam zapierdalać do jakiejś dziury. Partyzanci obserwują nas z okolicznych wzgórz; można się zesrać ze strachu na patrolu.

— To jest ważna placówka — mówi Gola. — Dzięki wam trochę mniej tego dziadostwa przenika do Harmanu.

— Gównno tam, panie sierżancie. Oni przerzucają broń i ludzi górskimi szlakami.

Autostradą jeżdżą tylko cywile, najwięksi frajerzy i samobójcy.

Myślę o Doktrynie Widoczności i jej fatalnych skutkach. Załoga Admirum została wystawiona na ataki partyzantów jako potwierdzenie, że SSARR kontroluje te tereny. Oczywiście, tylko w teorii, bo pustyni i gór nie kontroluje nikt, nawet ludzie Garcii. Każdy ma jakieś gniazda, w których się umocnił, a reszta jest ziemią niczyją. Nie zapominajmy, że wśród Remarczyków jest kilka wrogich grup, które zwalczają się nawzajem. Gdyby Admirum dostało chociaż kilka samolotów bezzałogowych, mogłoby patrolować większy teren, ale z tym też nie jest za dobrze.

— Mieliśmy dwa sokoły — opowiada Werner. — Jeden zepsuł się miesiąc temu. Drugiego rzadko wypuszczamy, bo rebelianci prawie go uprowadzili. Z trudem przywołaliśmy go z powrotem. Nie lata dalej niż kilka kilometrów od placówki, i tylko tam, gdzie mamy dobry zasięg.

— Więc musicie patrolować sami. — Naprawdę, żal mi tego faceta.

— Najgorsze są wyjazdy na pustynię. Ostatnio było kilka takich akcji i przedwczoraj stało się coś dziwnego. — Kapral przypala już trzeciego cudzesa. — Jeden ze skorpionów zjechał z autostrady, żeby sprawdzić jakiś wrak, który stał w szczerym polu. Kiedy chłopaki podeszli do niego, coś wybuchło, nie wiem, chyba jakaś bomba. Niebieskie światło poraziło Szczura, to znaczy szeregowego Hynka. Facetowi odpieprzyło, zaczął się miotać i krzyczeć, że umarł. Koledzy ledwie go zgarnęli do pojazdu.

— I co z nim? — Gola wyraźnie nadstawia ucha.

— Leży w kontenerze szpitalnym. Medyk naćpał go prochami, a wy podobno macie go zabrać do Harmanu. Tak słyszałem.

Nie możemy dłużej rozmawiać, bo sierżant Michalic wzywa kaprala i każe się zbierać swoim ludziom. Mają natychmiast jechać do punktu kontrolnego, przy którym wybuchła większa awantura. Nagle zostajemy sami i nie wiemy, co powiedzieć. Lars tylko kręci głową z niedowierzaniem.

Puric i Rozwielitka pytają, czego się dowiedzieliśmy, więc streszczam im krótko, jak bardzo mają tu przesrane. Gola przekazuje nam wiadomość, że za kwadrans ruszamy z powrotem. Posilamy się szybko, złapiemy wodę z manierek i biegniemy do latryny, jeśli kogoś złapała potrzeba. Punktualnie o siódmej trzydzieści jesteśmy gotowi.

Porucznik Lumstin z miejscowym sanitariuszem prowadzą do naszego skorpionia półprzytomnego żołnierza. Wiktor Hynek zajmuje miejsce Goli z tyłu samochodu. Bardziej leży, podtrzymywany prowizorycznymi pasami, niż siedzi na krześle. Spod przymkniętych powiek błyskają wywrócone białka, a z ust cieknie ślina.

Wiem, że chłopaki czują się nieswojo, i trudno się dziwić. Jest trochę tak, jakbyśmy mieli na pokładzie trupa, a nie rannego szeregowca. W myślach błogosławię sierżanta za to wątpliwe wyróżnienie.

Środa, 9 marca, godz. 7.55

Okolice Kardamu, prowincja Saladh, południowy Remark

Vim Gaus zerka przez ramię na nieprzytomnego żołnierza. Rozwielitka próbuje żartować, odwrócić jego uwagę, ale mam wrażenie, że nasz mocarz zaraz się porzyga. Wyjątkowo nie pasuje mu towarzystwo Hynka. Nic nie mówi, ale z jego twarzy odpłynęła chyba cała krew. Wygląda to nawet zabawnie.

Nie mam zbyt wiele czasu na obserwację. Wgapiam się w ekran swojego tabletu. Sokół leci spokojnie nad nami, kiedy zjeżdżamy z autostrady, i później, kiedy pełzniemy wyboistą drogą do mostu na Redzie. Zajęliśmy miejsca w kolumnie zgodnie z numeracją drużyn; nasz skorpion jedzie jako trzeci. Drewniana konstrukcja wydaje się bardziej rozchybotana niż poprzednio. Może naruszyły ją wojskowe ciężarówki.

Przecinamy puste skrzyżowanie, mijamy spalony sad i docieramy do zabudowań Kardamu. Droga omija miasteczko; widzę zakurzony drogowskaz do centrum. Kiedy przenoszę wzrok na ekran, na sekundę chwytą mnie paraliż.

To, co się dzieje, wymaga decyzji. Muszę coś zrobić, natychmiast.

Ruszaj się, Markus, skurwielu! Uderzam prosto w jaja Purica, który stoi na stanowisku strzelca. Daniel składa się wpół i osuwa z jękiem do środka.

Ja pierdołę, mija kolejna sekunda.

— Hamuj! — wrzeszczę Rotowi do ucha.

Jim instynktownie wciska hamulec w podłogę, rzuca nami jak na rollercoasterze. Gaus i Dafny wpadają na Purica, a ja walę hełmem w przednią szybę. Po chwili uderza w nas czwarty skorpion. Uderza raczej niemrawo, bo Truman zareagował od razu. Usił zawsze go chwalił, że jest niezłym kierowcą.

Za oknami unosi się pył, a w słuchawkach słyszę nieludzkie wycie.

— Czterech z wozu! — wydaję rozkaz. — Ostrzał z obu stron!

Chłopaki uchylają drzwi i rzucają się od razu na drogę. Zajmują pozycje tak, jak trenowaliśmy, nie zadają pytań. W środku zostaje tylko Puric, który mimo obolałych jaj wraca do swojego MG2. Nie ma czasu na myślenie, leżymy na asfalcie i każdy bierze swój sektor. Ale z żadnej strony nie rozlegają się strzały. Tylko ten kurewski krzyk w słuchawkach. Rozwielitka leży obok i patrzy na mnie pytająco.

— Meldować! — woła sierżant Gola, który jechał w czwartym skorpionie.

— Tu Jedyńka, straciliśmy strzelca — odzywa się Ballard zamiast swojego kaprała.

— Dwójka, straciliśmy strzelca — melduje Lars Norman.

— Trójka, bez strat — podaję jako ostatni.

Z chałupy po prawej stronie wybiega facet w ciemnym stroju. Pędzi przez zdziczałe pole w stronę lasu. Puric puszcza serię z karabinu i chyba przecina go wpół. Uciekinier upada na ziemię, jakby został porażony piorunem. Poza tym nic się nie dzieje. Możemy wstać i ostrożnie oszacować straty.

Ktoś z Jedyńki leży omdlały na drodze, ale jestem pewien, że zabici pozostali w samochodach. Starszy szeregowy Romer i starszy szeregowy Blint.

— Co to, kurwa, jest? — pyta szeregowy Inka, strzelec z Czwórki, który został w wozie.

Na wysokości jego twarzy błyszczy w słońcu cienki drut, rozciągnięty pomiędzy drzewami. Cichy zabójca z Kardamu.

* * *

Sokół zarejestrował wszystko, beznamiętnie obserwując trasę. Cofam zapis z kamery drona i pokazuję sierżantowi moment, gdy Romerowi odpadła głowa. Drut, a właściwie długa fortepianowa struna, oddzielił głowę od tułowia bez żadnego problemu. Potoczyła się na bok razem z hełmem, a ciało dopiero po chwili osunęło się do środka wozu i siknęło krwią. To dlatego kapral Talko zemdłał, wysiadając z samochodu.

Drugi strzelec, starszy szeregowy Blint, był nieco niższy i nie „pompował” wysoko swojego podestu. Struna trafiła go w usta, odgięła głowę do tyłu i – szarpiąc za szczękę – złamała kręgi szyjne. Wyrwała mu kilka przednich zębów, obcięła górną wargę i nos. Gdyby nie pęknięty kręgosłup, przeżyłby jako okaleczony potwór. Może miał szczęście, że umarł.

Uderzyłem Daniela sekundę po tym, jak zginął Romer. Rot prawie od razu rozpoczął hamowanie. Obliczam szybko w głowie: jechaliśmy po wyboistej drodze z prędkością czterdziestu kilometrów na godzinę, czyli jedenastu metrów na sekundę, w luźnej kolumnie, pojazd co dwadzieścia metrów. Pierwszy samochód od ostatniego dzieliło więc około sześćdziesięciu metrów. Gdybyśmy nie zahamowali, a Puric nie schowałby głowy, w ciągu pięciu i pół sekundy stracilibyśmy wszystkich strzelców. To cud, że Olaf Inka przeżył. Rozciągnięcie tego drutu było genialnym skurwysyństwem.

Sierżant Gola myśli chyba o tym samym. Spogląda z niedowierzaniem na ekran, zaciska pięści, a potem pyta mnie zdławionym głosem:

— Jak to zrobiłeś, Markus?

— Co, panie sierżancie?

— Jak zareagowałeś tak szybko?!

— Nie wiem. Po prostu zauważyłem niebezpieczeństwo i zareagowałem.

— Kurwa, nie jesteś człowiekiem. — Patrzy na mnie rozszerzonymi źrenicami; ewidentnie jest w szoku. — Uratowałeś dwóch kolegów.

— Ale dwóch zginęło — odpowiadam.

Przeszukujemy okoliczne domy. Wszędzie pusto, powybijane okna, zdewastowane i okradzione ze wszystkiego wnętrza. Nawet krany powykręcane ze ścian. Drużyna Larsa Normana sprawdza faceta, którego zabił Puric. Po powrocie mówią, że seria trafiła go na skos, dziurawiąc plecy i odrywając kawał czaszki. Nie znaleźli przy nim dokumentów.

Ktoś trzęsącymi się rękami podnosi z rowu głowę Stefana Romera, ktoś przecina drut nożycami, ktoś cuci kaprala Talko. Gaus puszcza pawia, ociera usta wierzchem dłoni i opiera się o karoserię. Sierżant Gola każe nam wracać do skorpionów i ruszać dalej.

Zachowuje spokój, ale widzę, że coś dzieje się z naszym dowódcą. Nie wygląda normalnie. W niecałe trzy tygodnie stracił sześciu ludzi, przegrywa swoją wojnę.

Jedziemy w ciszy, przerywanej tylko jękami rannego szeregowca z Admirum. Odkładam swój tablet, bo i tak nie potrafię się skupić. Nurtuje mnie pytanie, dlaczego Remarczycy nie urządzili większej zasadzki. Mogliby nas powystrzelać na tej drodze.

Może drut był pomysłem samotnego terrorysty. Albo to przypadkowy świadek, mieszkający w opuszczonej ruinie; wystraszył się tym, co zobaczył, i postanowił biec przed siebie, byle dalej od tej cholernej drogi. W tym kraju nigdy nie wiesz, czy to, co widzisz, jest złudzeniem, czy rzeczywistością.

Piątek, 11 marca, godz. 15.10

Harman, prowincja Saladh, południowy Remark

Czekam na wizytę u doktor Sauber. Siedzę w szpitalnym budynku pod gabinetem na końcu korytarza, gapiąc się w komunikator; zza uchylonych drzwi docierają strzępki zdań. Kapitan Sauber i porucznik Deresz naradzają się w sprawie pacjenta. Chodzi o Wiktora Hynka, tak przynajmniej wnioskuje z rozmowy.

Wychwytyję zespół stresu pourazowego oraz zespół Cotarda. Lekarze zastanawiają się nad przyczyną zwiększonej aktywności płatów skroniowych mózgu. Wygląda na to, że silne wyładowanie elektryczne lub pole magnetyczne wywołało u żołnierza z Admirum halucynacje. Deresz wspomina coś o „hełmie boga”. Potem wychodzi, nie zaszczycając mnie nawet spojrzeniem.

Pukam niepewnie do drzwi. Linda Sauber przegląda dokumentację medyczną i gestem każe mi usiąść na krześle. Czekam, aż skończy lekturę. Myślę o sierżancie Goli, który od wypadku w Kardamie pije każdego dnia i pozostaje głuchy na nasze prośby, żeby wziął się w garść.

Ani ja, ani Usil i Norman nie potrafimy go powstrzymać. Jeśli się szybko nie pozbiera, dowództwo odeśle go do kraju. Cała nadzieja w Sewerinie – może przemówi swojemu kumpłowi do rozsądku.

— Ile słyszałeś z naszej dyskusji? — pyta niespodziewanie doktor Sauber.

— Trochę słyszałem. — Nie ma sensu udawać głuchego. — Jeśli wolno spytać, co to jest „zespół Cotarda”, pani kapitan?

— Rzadkie zaburzenie, Markus, tak zwany syndrom żywego trupa. Chory cierpi na urojenia nihilistyczne i uważa się za zmarłego. Ma zmniejszone odczuwanie bólu, twierdzi, że jego wnętrzności zgniły, jest wydrażony w środku, i tak dalej. Zespół Cotarda towarzyszy ciężkiej depresji. Ale nie będziemy o tym rozmawiać.

— Przepraszam.

— Nie przepraszaj, jeszcze nie nauczyliśmy się zapominać na rozkaz. — Patrzy mi głęboko w oczy. — Zakazuję ci mówić komukolwiek o tym, co usłyszałeś.

— Tak jest.

— Ostatnie, czego teraz potrzebujemy, to panika. Jeśli dowiem się, że po bazie krąży plotka na temat diagnozy szeregowego Hynka, poniesiesz surowe konsekwencje. Za wszystko, łącznie z implantem.

— Tak jest, pani kapitan. — Po plecach spływa mi kropla potu.

— Możesz się odmeldować. Nie mam teraz czasu na bzdury.

Wycofuję się rakiem z pokoju. Jedyne, czego pragnę, to zniknąć z oczu zdenerwowanej lekarki. Kotłują się we mnie obrazy okaleczonych strzelców, pijanego sierżanta i jęczącego szeregowca, który twierdzi, że umarł na pustyni Saladh. To wszystko tonie w pamięci, wpada niczym kamień w błękit snów. Dzieje się coś, czego jeszcze nie rozumiem i nie potrafię połączyć w całość. Wiem tylko, że powinniśmy uciekać, ale jednocześnie zdaję sobie sprawę, że angażujemy się w tę wojnę coraz bardziej.

Dlatego muszę zrozumieć, dowiedzieć się jak najwięcej.

Wtorek, 15 marca, godz. 8.30

Cywilni pracownicy pod okiem sierżanta Krella zabezpieczają skorpiony. Samochody wjeżdżają do blaszanego hangaru, a technicy spawają do przednich zderzaków metalowe rury; mają około półtora metra wysokości i górę zakrzywioną w kierunku jazdy. Powinny chronić strzelców przed dekapitacją, zrywając drut rozciągnięty w poprzek drogi.

Obserwujemy całą operację – Puric, Rozwielitka i ja – stojąc pod zadaszeniem przy wejściu do stołówki. Nasz PSR ma nadal coś w rodzaju nieformalnego urlopu. Kapitan Beck zdecydował, że przedłuży nam zwolnienie z wezwań. Wykonujemy mniej istotne zadania, pewnie ze względu na problemy „zdrowotne” naszego sierżanta.

— Słyszałeś, Markus, że w Harmanie tego samego dnia przeprowadzili zamach z użyciem struny? — pyta Dafny. — To była skoordynowana akcja.

— Tak, słyszałem. Zginął żołnierz z Centaura.

— Patrole boją się wyjeżdżać z bazy ze strzelcami na wieżyczkach.

— Maszty załatwią sprawę. To był sposób na raz.

Puric zaczyna płakać. Łzy spływają mu po policzkach. Dziękuje mi za uratowanie życia. Mówi, że w pierwszej chwili nie rozumiał, co się dzieje. Chciał mi oddać, myślał, że to głupi żart. Powtarza to samo bez przerwy, przez ostatnie pięć dni. Staram się nie reagować; nie chcę zrzucać wszystkiego na szczęśliwy zbieg okoliczności.

Będziemy jeździć z rurami sterczącymi w niebo. Nie damy się zastraszyć tym gnojom. W drzwiach koszar pojawia się sierżant Gola i rozgląda uważnie po placu. Nareszcie jest trzeźwy i ma na twarzy ironiczny uśmiech, do którego przywykliśmy od początku misji. Chciałbym wierzyć, że sytuacja wraca do normy.

To, co się stało w Kardamie, zmieniło coś w naszych głowach, a nienawiść do terrorystów jeszcze nigdy nie była tak wielka. Chłopaki chcą ich mordować,

rozszarpywać gołymi rękami. I doskonale ich rozumiem. Musimy mieć cel, choćby najniższy i najprostszy.

Rozdział szósty

Środa, 16 marca, godz. 14.05

Harman, prowincja Saladh, południowy Remark

Dzisiaj jest słonecznie. Dwadzieścia jeden stopni ciepła, lekki wiatr z południa, ptaki obsiadły okoliczne drzewa i świergołą jak opętane. Sprawdziłem rano prognozę pogody dla Rammy. U was też świeci słońce, chociaż jest o wiele chłodniej, synku. Pewnie mama zabrała cię na spacer. Może huśtasz się na placu zabaw albo jeździsz po osiedlowej alejce. Jeśli odziedzyczyłeś po mnie zamiłowanie do dwóch kółek, możesz już nieźle szaleć.

Geny to potężna siła. Tasują się w każdym pokoleniu, przekazując cechy, o których czasem chciałoby się zapomnieć. Jeśli będziesz, mówiąc delikatnie, nastawiony sceptycznie do życia, a każdy człowiek, który gada głupstwa, wyda ci się śmieciem, odziedzyczyłeś to po mnie. Podobnie jak skłonność do kataru, niezły słuch, zamiłowanie do słodczy i lęk wysokości. Zawsze lubiłem też jeździć szybko samochodem, więc proszę – uważaj na siebie.

Twoja mama uwielbia kolory. Szczególnie połączenie jasnych barw z lawendą, która kojarzy jej się z polami Prowansji. Przetarte, lekko podniszczone meble i ściany, dwuskrzydłowe drzwi, belki na suficie, kamienna podłoga. Napatrzysz się na to przez lata. Ale mama to również ostre przyprawy, eksperymentalna muzyka, paralizujący lęk przed oceną innych oraz podróże do dalekich miast.

Chciałbym wiedzieć, ile ze mnie pozostanie w tobie. To zwykła egoistyczna ciekawość. Czy będziesz lubił piłkę nożną, i czy kobiety będą dla ciebie tak wielką zagadką, jak dla mnie. Czy, pomimo wrodzonej niechęci do zmian, będziesz rzucał się w wir zdarzeń, żeby coś osiągnąć i spełnić swoje marzenia.

Teraz jesteś moim małym synkiem. To wszystko kiełkuje w tobie i rozwija się powoli. Mam nadzieję, że któregoś dnia, gdy dorośniesz, wypijesz ze mną drinka. Zawsze lubiłem wychylić wieczorem szklaneczkę burbona. I nie daj sobie wmówić, że whisky jest lepsza. Ten posmak nafty, który pozostawia na języku, nie ma w sobie niczego wspaniałego.

* * *

Stoję z Nemi przed sklepem Johanna Masira. Zielona tabliczka z napisem „Bezcenne skarby Johanna” cierpi na zaawansowaną łuszczycę. Puric miał trudności z odczytaniem tekstu. Za to tłumaczka zrobiła swoje. Wmówiła policji i właścicielowi magazynu staroci,

że walczyliśmy z terroryzmem, więc mogliśmy w majestacie prawa wyciągnąć go z lady i zacząć przeszukiwać sklepik, pięć na pięć metrów. To bardzo przyjemne zajęcie, chociaż niektóre rozkazy wydają mi się zupełnie bezsensowne.

Chłopaki z drużyny Usila robią tam teraz demolkę, przewracają towar w odwecie za krwawe zamachy i straconych kolegów. A ja czekam przy samochodzie i gapię się na Nemi. Podziwiam regularność jej rysów i czuję się dobrze. Wiosenne słońce, które nie daje się zakryć chmurami, wprawia mnie w leniwy nastrój. Znajduję nawet temat, o którym możemy pogadać.

— Opowiedz mi o Świątyniach.

— Co chciałbyś wiedzieć, Markus?

— Nie chcę rozmawiać o kulcie Afrodyty. O niczym, co jest dla ciebie przykre.

— Na wszelki wypadek uderzam się w piersi.

— Niepotrzebnie się wtedy wściekłam.

— No właśnie. — Muskam jej rękę. — Nie chciałem cię urazić.

— Nie lubię swojej przeszłości — mówi spokojnie. — Unikam tego tematu.

— Nie będę o to pytał. — Nasłuchuję brzęku przewracanych naczyń i przekleństw żołnierzy. — Powiedz mi, wy naprawdę wierzycie w różnych bogów?

— W pewnym sensie. — Dziewczyna odsuwa się delikatnie. — Kiedyś wierzyliśmy w mity, traktowaliśmy to wszystko dosłownie. Ale kapłani mówią od wieków, że bóstwa to manifestacja Boga. Określają je jako „aspekty Jednego”.

— Możecie wybrać sobie świątynię?

— Zwykle pozostajesz w kulcie, który czciła twoja rodzina. Jeśli młodzi ludzie w Remarku zawierają związek małżeński, ich dzieci zostają powierzone bóstwu matki.

— To ciekawe. Mężczyźni wydają się tutaj bardziej uprzywilejowani.

— W tym sensie panuje matriarchat. — Nemi puszcza do mnie oko.

Coś dzieje się w środku, słychać okrzyki radości. W drzwiach sklepu staje sierżant Gola i każe nam przytrzymać mocniej właściciela rupieciarni. Zostawiam go pod opieką Gausa, który jedną ręką może wycisnąć z Johanna Masira wnętrzości. Zaglądam przez okno wystawowe, żeby sprawdzić, co znalazła Drużyna Cztery. Chłopaki otworzyli metalową klapę za ladą i wyciągają stamtąd prawdziwe „bezcenne skarby” – karabiny, granaty i skrzynki z amunicją.

Gola daje mi znak, przykładając dłoń do ucha. Wzywam przez radio okoliczne patrole i resztę naszego plutonu. Taka jest procedura w przypadku znalezienia fantów. Do czasu nadejścia posiłków musimy zachować czujność, na wypadek gdyby partyzanci próbowali odbić swój arsenał.

Puric przesuwając lufę MG2 wzdłuż okolicznych domów. Reszta drużyny schowała się za pojazdem i czeka w napięciu. Sklepiarz modli się bezgłośnie.

— To hadejczyk — szepcze mi do ucha Nemi, wskazując na Masira.

— I co z tego?

— Lepiej na niego uważać.

Po kilku minutach zjawia się pierwszy skorpion, zaraz po nim następny. Kwadrans później cała ulica roi się od naszych żołnierzy, którzy chętnie spuściliby komuś łomot. Ale jedynym kandydatem jest podstarzały właściciel sklepu, którego wkrótce przesłucha wywiad. Nie wypada robić mu krzywdy. Dostaje więc tylko kilka szturchnięć i kopniaków w dupę przed upchnięciem do samochodu. Kolumna rusza, wzbijając tuman kurzu.

Ale gdy dojeżdżamy do bazy, mężczyzna jest już martwy. Podobno zaczął się krztusić i skonał tuż przed bramą. Peter wybiega ze skorpiona, krzycząc coś niezrozumiale. Dopiero potem dociera do mnie, że woła lekarza. Facet musiał mieć przy sobie truciznę. I kiedy zrozumiał, że pomoc nie nadejdzie, zażył ją bez wahania.

Piątek, 18 marca, godz. 19.05

Śmigłowiec Cassabian podrywa się z lądowiska. Światła sygnalizacyjne migają na wieczornym niebie, znacząc drogę powrotną Wiktora Hynka. Od kolegów z Pierwszego Batalionu dowiedzieliśmy się, że żołnierza z Admirum wyprowadziło ze szpitala trzech sanitariuszy i wsadziło na pokład jak kukłę. Coś mu się całkiem pomieszało pod czaszką.

Wczoraj transportowy C-515 zabrał trumny ze szczątkami żołnierzy, którzy zginęli w ostatnich zamachach. Do kraju powrócili między innymi starszy szeregowy Romer i straszny szeregowy Blint. Drużyny Pierwsza i Druga dostały już uzupełnienia, czyli chłopaków z list rezerwowych. Stan osobowy się zgadza, możemy dalej wypełniać rozkazy.

Po kolacji mamy czas wolny, więc zaglądam do swoich ludzi, żeby podpytać o samopoczucie. Siadam na krześle i obserwuję ich w milczeniu. Wszystkie MBS-y znajdują się w stojaku pod oknem, tylko Dafny, jak zwykle, poleruje swój karabin. Gaus i Puric grają w karty, a Rot leży, wyciągnięty na swoim tapczanie. Niespodziewanie odzywa się pierwszy. Reszta przerywa pasjonujące zajęcia.

— Markus, rozmawiałem z chłopakami i chciałbym cię prosić o przysługę.

— Usiądź przynajmniej, jak ze mną rozmawiasz, Jim. Słucham.

— Chodzi o przeniesienie. — Niechętnie siada i patrzy mi w oczy. — Nie dogadujemy się trochę i może będzie lepiej, jeśli poprosisz sierżanta o zamianę.

— Jaką zamianę?

— No, żeby Ballard przeszedł do nas — odzywa się Gaus.

— Poczekaj, nie wtrącaj się — gani go Rozwielitka.

— Chodzi o twoje przeniesienie, tak? — pytam Rota.

— Tak. — Zaciska zęby; musi go wiele kosztować ta sytuacja. — Chciałem cię jutro oficjalnie poprosić o zgodę. To nie ma sensu, żebyśmy sobie skakali do oczu.

— A wy, co na to powiecie? — Rozglądam się po pokoju.

— No, byłoby zajebiście, gdyby Chris służył u nas — potakuje Puric; Gaus i Rozwielitka są tego samego zdania.

— Widzisz, wszyscy będą szczęśliwi. — Uśmiecha się bezczelnie Rot.

— Możesz złożyć jutro swój wniosek, Jim — mówię powoli. — Ale wiedz, że go odrzucę.

W pokoju zapada cisza.

— Jak to, kurwa mać? Dlaczego?! — wyrywa mu się z gardła.

— Dlatego, kurwa, starszy szeregowy Rot, że jesteś coś winny swojej drużynie. Namąciłeś w garnku, skurwysynu. Napierdoliłeś o nas głupot, gdzie się tylko dało, więc teraz musisz spłacić dług.

— Jaki dług?!

Podrywa się do góry i chwyta mnie za mundur. Przez chwilę widzę jego wykrzywioną twarz, a potem niespodziewanie odskakuje do tyłu. Gaus ciska nim z powrotem na łóżko jak szmatą. Przy okazji Rot uderza potylicą o drewniane wezglowie.

— Pamiętasz, jak ci obiecałem, że będziesz chodził na szpicy? Pójdiesz trzy razy i pozwolę ci odejść. Nie wcześniej.

— Ty chuju — jęczy Rot, trzymając się za obolałą potylicę.

— Uważaj, co mówisz, bo za każdy wybryk dostaniesz jedną akcję więcej.

Drań odkręca się do ściany i kuli na łóżku. A ja rozmawiam dalej z chłopakami, jakby przed chwilą nic się nie stało. Nie komentują mojej decyzji, nie pytają o powód. Zaakceptowali ją od razu i tak powinno być.

Gausowi, który skarży się na otarcia stopy, każe iść rano do gabinetu zabiegowego i poprosić o talk i plaster. Lepiej, żeby nie ruszał podręcznego zapasu, bo może mieć problem z wydaniem nowego; chorąży Garmont jest stary i chytry. Z Puricem i Rozwielitką rozmawiam o urodzinach Goli, które zbliżają się szybkimi krokami. Nasz dowódca urodził się w prima aprilis, i to jest chyba najlepsza data, jaką mógł sobie wybrać, żeby przyjść na ten świat.

Ciężko o kupno prezentu w Bazie Erde, więc uzgadniamy, że dostanie od nas jakąś chustę, którą przy okazji kupimy na mieście. No i litr dobrego bimbru, jeśli uda się go załatwić. Jedno i drugie trzeba będzie zrobić w konspiracji. Ale od czego mamy samodzielne wezwania i różnych cwaniaków w kompanii. Zgadzamy się, że sierżant zasłużył na to, co najlepsze.

Niedziela, 20 marca, godz. 9.35

Borys Sewerin łapie Usila i mnie na korytarzu w koszarach. Pyta o pozostałych dowódców drużyn, ale obaj są na wezwaniach. Interweniujemy codziennie, zwykle po kilka razy. W Harmanie kotłuje się teraz jak w diabelskim młynie. W większości to niegroźne incydenty, przeradzające się jednak dość łatwo w zamieszki.

Sewerin prowadzi nas do Goli. Towarzyszą mu kaprale List, Mastalik i Sotter; zabrał ze sobą prawie wszystkich, szykuje się więc poważniejsza narada. Sierżant Gola, widząc

tłum w drzwiach swojej kanciapy, puka się w głowę, bo nie ma szans, żebyśmy się tam pomieścili. Idziemy więc do świetlicy z piłkarzykami, gdzie oglądaliśmy niedawno zdjęcia ofiar nocnego wypadu. Siadamy w ciasnym kręgu i zaczynamy rozmawiać o planowanej akcji „Pustynna Pięść”. Informacje są świeże, tusz na rozkazach jeszcze nie wysechł.

Dziewiąta Kompania ma wesprzeć Wysuniętą Placówkę Admirum, która właściwie przestała patrolować okolicę. Chłopaki siedzą w bazie i starają się nie zginąć, odpierając ataki partyzantów. Trzeba zaangażować więcej sił na pustyni Saladh i za wszelką cenę przeciąć kanały zaopatrzeniowe partyzantów. Najbardziej niesamowite jest to, że Gottanie, którzy urządzili w Remarku krwawą rzeź, wspierają teraz religijnych fanatyków. To kolejny dowód na to, jak łatwo na wojnie zmieniają się sojusze.

Gola nie kryje wkurwienia. Mówi, że jeśli w akcjach z użyciem śmigłowców będą brały udział dwa plutony, zwiadu i PSR, to tylko dlatego, że porucznik Ostin jest słaby. Muller robi wszystko, żeby ochronić swoich ludzi przed wycieczkami na pustynię. Służba w mieście, chociaż niebezpieczna, przy działaniach bojowych wydaje się bajką.

— Nie wiem, jak dowództwo bazy Erde chce zapewnić porządek w Harmanie, wycofując nas z bieżących operacji — kończy Sewerin.

— Widocznie mają jakiś pomysł. — Gola dalej krzywi się na samą myśl o zmianie. — Ostin przyjmie wszystko, co mu wepchną do gardła. Wykona każdy rozkaz. Pewnie nawet nie czuł zażenowania, kiedy ci o tym mówił?

— Wydawał się niespokojny. Ale twierdził, że powierzono nam ważną funkcję i musimy się wykazać, dlatego informuje mnie nieoficjalnie. Odprawa odbędzie się jutro, a potem szkolenia z topografii i inne bzdury.

— Kiedy zaczynamy latać? — pyta przytomnie kapral List.

— Od początku kwietnia. Będziemy latać Cassabianami CAS-10, po dwie drużyny na pokładzie. Trzęsie w tym kurestwie jak chuj — denerwuje się dowódca Trzeciego Plutonu. — I jeszcze nas zestrzelą po drodze.

Zaczynamy bezładną dyskusję. Każdy ma coś do powiedzenia i mnóstwo pytań, na które sierżanci nie znają odpowiedzi. Może więcej dowiemy się jutro, kiedy porucznik Ostin i kapitan Beck ogłoszą dobrą nowinę. Najbardziej ciekawi nas, jak to będzie wyglądało. Jak często będziemy latać, z jakim wyposażeniem i czy będą to akcje prewencyjne w ramach „widoczności”, czy konkretne uderzenia w rebeliantów.

— Ciekawe, ile czasu będziemy tak zasuwać — zastanawia się Usil.

— Aż do odwołania. — Gola klepie go mocno w plecy; widać już trochę ochłonął.

— Z patrolowania z powietrza gówno wynika — mówię ze złością. — Tylko, kurwa, straty własne, nic więcej.

— Masz rację, Markus — potakuje Sewerin. — Chuja to jest wszystko warte. Jeśli tak im zależy na tamtej stronie gór, powinni zbudować nową bazę i normalnie kontrolować teren. Placówka Admirum jest za mała i za daleko od Trygelu.

— Na pustyni, koło wzgórza Otorten, zaraz po wojnie była baza — odzywa się Eryk

Mastalik. — Zajmowały ją wojska Sojuszu Ameryki Północnej. Ale po ich wycofaniu nikt jej nie obsadził. Systemy łączności wariowały tam od zaburzeń pola magnetycznego.

Słucham uważnie jego słów, natknąłem się wcześniej na tę nazwę. To w okolicy Otorten miały miejsce niewyjaśnione zaginięcia, o których czytałem w Synecie miesiąc temu.

Eryk to stary wyjadacz. Podobnie jak obaj sierżanci i jego imiennik, Eryk Sotter, brał udział w wojnie przeciwko Gottanom i w kilku misjach stabilizacyjnych. Sierżant Gola potwierdza jego rewelacje i dodaje od siebie coś jeszcze.

— Pamiętam, przejeżdżałem przez tę bazę zaraz po wyjeździe wojsk sojusznicznych. Zostawili nam trochę sprzętu, musieli się szybko zbierać. Ze względu na zakłócenia przyrządów ciężko tam stacjonować. Dlatego nazwali ją Distortion, tak mi się zdaje.

— Trzeba więc obsadzić Distortion i czesać okolicę do upadłego. — Sierżant Sewerin przypala papierosa, chociaż nie wolno tu palić. — Dron za dronem, patrol za patrolem. Wykurzymy tych skurwieli, jeśli tylko im się skończą zapasy.

— Ja tam, sierżancie, wolałbym zostać w Harmanie — stwierdza List.

— Ja też bym wolał, synek, ale nikt nas nie pyta o zdanie.

— No to sobie ponarzekaliśmy, panowie — podsumowuje Gola. — Przekażcie wiadomości pozostałym dowódcom drużyn, ale nie rozmawiajcie z żołnierzami. Niech to się nie rozniesie przed jutrem.

— Tak jest! — odpowiadamy.

— A wy — zwraca się do mnie i do Petera — bądźcie w pełnej gotowości, bo jeszcze dzisiaj możecie wyjeżdżać. Jest niespokojnie na mieście, patrole ciągle przesyłają meldunki o zamieszkach.

Dwunasta niedziela tej misji nie zapowiada się zbyt dobrze.

Niedziela, 20 marca, godz. 13.05

Sierżant ewidentnie wykrakał. Znowu alarm przerywa nam posiłek i na łeb, na szyję ruszamy do centrum miasta, gdzie w galerii handlowej Hermes terroryści podłożyli ładunek wybuchowy. Gnające ulicą skorpiony są niebezpieczne dla przechodniów i gapowatych remarskich kierowców, ale szczerze mówiąc, mamy to głęboko w dupie. Ściskamy tylko mocniej MBS-y i rozglądamy się na boki.

Pod wielkim budynkiem galerii zrobiło się granatowo od policyjnych patroli. Pomiędzy radiowozami stoją dwa skorpiony i specjalistyczny samochód saperów. Nie wchodzimy do środka, mamy inne rozkazy.

Melduję się przez radio porucznikowi Townsenowi, który dowodzi tu akcją. Parkujemy przed głównym wejściem i patrzymy groźnie na zebrany tłum. Mamy nie dopuścić do zakłócenia porządku przez spanikowanych ludzi. Policjanci wygarnęli już ze środka klientów, a saperzy z Centaura czynią swoją powinność.

Przyglądam się z nudów Hermesowi. Nowoczesna budowla pasuje do okolicznych

kamienic niczym pięść do oka. Jak wszędzie w Harmanie, zabudowa jest tu chaotyczna, nie widać żadnego planu. Nemi wspomniała kiedyś, że mieszkańcy są dumni z tego przybytku luksusu. Ale dla mnie wygląda to raczej jak wiejska podróbka naszych centrów handlowych. Elewacja z plastikowego sidingu, lekko odrapane, chromowane wykończenia i przyciemniane szyby. Na ścianach oczojebne tablice reklamowe. Słowem, ogromna rudera.

Na szczęście Remarczycy boją się podchodzić bliżej. Niektórzy z nich trzymają w rękach koszyki lub opierają się o wózki sklepowe, z którymi wybiegli na zewnątrz. Ciekawe, jak duże będą straty sprzedawców. Policjanci próbują zapobiec kradzieżom. Biegają we wszystkich kierunkach i zaczepiają ludzi, robiąc więcej zamieszania niż porządku.

Po kwadransie masywny robot na gąsienicach ukazuje się w otwartych drzwiach. Saperzy meldują w słuchawkach, że alarm był fałszywy. W podejrzanej torbie jakiś debil zostawił pudełko z butami. I to by było na tyle, jeśli chodzi o zamach w galerii. Townsen zezwała nam na opuszczenie posterunku, więc ruszamy z powrotem do bazy.

* * *

Pierwszy dostrzega ją Puric. Schyla się do wnętrza samochodu i pokazuje dziewczynkę w bramie na wpół zawalonego domu. Jesteśmy niedaleko bazy, zostały może ze trzy kilometry. Wybraliśmy dłuższą trasę ze względu na prace drogowe. Z tej strony Harmanu budynki są w strasznym stanie. Cała ulica została zbombardowana, ale widać jak na dłoni, że nawet przed wojną Erde była dzielnicą biedoty.

Dojeżdżamy do skrzyżowania w kształcie litery T. Naprzeciw naszego pojazdu znajduje się rumowisko z betonu i cegieł, fragment ocalałej bramy i jedna ściana z pustymi oknami, przez które prześwieca niebo. Dziewczynka w szarej sukience, pięcio- albo sześćioletnia, trzyma w rączce różowy balonik. Musi być wypełniony helem, bo unosi się wesoło nad jej głową i kiwa na wietrze.

— Zatrzymaj się — rozkazuję Rotowi.

Skorpion staje na środku skrzyżowania. Okolica wygląda na wymarłą, chociaż kilometr dalej znajduje się spory bazar, do tego kilka sklepów i warsztatów samochodowych. Tutaj po asfalcie przewalają się tylko stare śmieci – foliowe torebki i kartki powyrywane z książek.

Puric sięga po lornetkę i lustruje najbliższe ruiny.

— Czysto — melduje po chwili, ale jakoś bez przekonania. — Mała jest chyba sama. Pewnie zabłądziła, czy coś.

— Co robimy? — pyta Rozwielitka.

— Pójdę po nią — zgłasza się Gaus. — Nie może zostać bez opieki.

— Zaczekaj. — Odwracam się do niego.

— Ale Markus! Musimy ją zabrać.

— Czekaj, mówię! — Rozważam przez chwilę, czy nie wezwać z bazy sokoła, żeby sprawdził okolicę. — Dobra, Jim! Podjedź bliżej tej bramy, stań przy krawężniku.

Rot wypełnia rozkaz. Nie możemy zatrzymać się na wprost wjazdu, bo w ulicy ziele głęboka wyrwa. Ale do stojącej nieruchomo postaci mamy tylko kilkanaście metrów.

— Dobra, a teraz podnoś dupsko z fotela. Idziesz po dzieciaka.

— Co?!

— Szeregowy Rot, zapierdalaj po dziecko! Ja siadam za kierownicą.

To jest właśnie ten moment, kiedy dopada go prawdziwy strach. Nie gniew, lecz paniczny strach. Złamałem człowieka i jest mi z tym dobrze. Otwiera drzwi, włącza odruchowo zakłócacz i idzie na sztywnych nogach. Czuję niewidzialne fale – jedna za drugą, metaliczne implozje pod czaszką. I wsłuchuję się w oddech Rota, w miarowy szum w słuchawkach. Szepcze coś niezrozumiale. Być może się modli.

Puric celuje z MG2 w stronę kamienicy, Gaus i Dafny uchyliłi drzwi i ubezpieczają przeciwnie krańce drogi. Byliśmy już w bardziej niebezpiecznych miejscach, ale te ruiny i spękana brama do piekła, w której stoi dziewczynka, mogą postawić włoski na skórze.

Rot staje nad dzieckiem. Mała wypuszcza balonik, który unosi się powoli i odlatuje w nieznane. Stojący nad nią żołnierz ma przyspieszony oddech i patrzy na coś w głębi bramy.

— O ja pierdołę!

— Co widzisz, Jim? Melduj!

— W bramie leży kobieta, pewnie matka, całkowicie zmasakrowana. Chyba pocięły ją kleszcze. Kilka metrów dalej coś rusza się w śmieciach.

— Zabieraj dziecko i biegiem do wozu! — krzyczę. — Drużyna, włączyć zakłócacze!

Robi mi się granatowo przed oczami, ale tylko przez chwilę. Rot chwyta małą pod pachę i pędzi w naszą stronę. Wskakuje do środka, podaje dziecko Gausowi i z trudem łyka powietrze. Właśnie zaliczył pierwszą „szpicę”. Po twarzy ścieka mu pot, chociaż nie ma upału. Naciskam pedał gazu i ruszam z szarpnięciem na zachód, w stronę bazy Erde.

Dziewczynka zaczyna krzyczeć, jakby wreszcie wypluła z ust knebel. Wysoki pisk przewierca nam uszy i rani do kości, aż gotuje się szpik. A potem mała osuwa się beładnie na kolana Gausa i nastaje cisza.

— O, ja pierdołę, ja pierdołę — powtarza cicho Rot.

— Kurwa mać! — dodaje Rozwielitka.

Nic innego nie można powiedzieć.

Wtorek, 22 marca, godz. 17.15

Spotykam Nemi Seelberg w przejściu między dwoma budynkami. Uśmiecha się do mnie z daleka i pyta o dziewczynkę. Sprawa stała się głośna w jednostce. Chyba nawet

bardziej niż nocna wycieczka dwóch kretynów, amatorów płatnego seksu. Do ludzi dociera wreszcie, że wszędzie czai się to mechaniczne ścierwo. Tysiące kleszczy.

— Ale co masz na myśli? — pytam.

— Czy ktoś się zgłosił po małą?

— Jakaś kobieta, chyba ciotka, odebrała ją dziś rano ze szpitala.

— Biedne dziecko. — Nemi jest naprawdę przejęta.

— To prawda.

Wiem, że powinienem pociągnąć ten temat, ale strasznie mi się spieszy. Jestem spóźniony na zajęcia z topografii pustyni Saladh i Gór Wilczych. Dlatego nie pozwalam jej rozwinąć skrzydeł.

— Masz dla mnie to, o co prosiłem?

— Przejrzałam chyba cały Synet, ale w końcu coś znalazłam. Tylko że remargesz, wszystko po remarsku. Przetłumaczę tekst i podeślę ci jak najszybciej. Może jutro wieczorem.

— Wspaniale. — Z rozpędu całuję ją mocno w policzek. — Jestem twoim dłużnikiem.

— Daj spokój. — Nemi rumieni się lekko, ale nie protestuje. — Widzę, że masz dobry humor.

— Muszę już iść — przeciągam sylaby, patrząc na jej wargi.

A potem oddalam się szybkim krokiem, żeby nie zrobić czegoś głupiego. Oglądanie zdjęć satelitarnych i wojskowych map okolic Trygelu otrzeźwi mnie doskonale. To jest znacznie lepsze niż kubeł zimnej wody ze studni. Tylko nie wiem, na ile wystarczy.

— Jak ty to wytrzymujesz, Markus? — woła za mną. — Tę koszmarną wojnę?

Odwracam się do niej. Z tej odległości wydaje się jeszcze bardziej krucha.

— Mam specjalny przełącznik — mówię o rozruszniku pod pachą; i tak mi nie uwierzy.

— Jesteś niemądry.

Elektroda w mojej głowie pracuje pełną parą.

Piątek, 25 marca, godz. 16.20

Wyjeżdżamy dzisiaj trzeci raz. Pierwszy był całkowicie chybiony – sprawdziliśmy furgonetkę stojącą niedaleko bazy. Zwyczajny przerdzewiały samochód, któremu padł akumulator. Za drugim razem tłum otoczył pieszy patrol w centrum miasta. Chłopaki wezwali pomoc, ale prawdę mówiąc, sami sprowokowali to zajście. Jeden kopnął posążki rozstawione na chodniku. Musiały być święte albo wykonane z cennego materiału.

Teraz, dla odmiany, szukamy drona. Podobno zawadził o antenę telewizyjną i spadł na jedno z podwórek w dzielnicy Gabra. Poszukiwania trwają od dwudziestu minut. Mamy sprzęt do namierzania sygnału z lokalizatora. Każdy samolot bezzałogowy jest zaopatrzony w czarną skrzynkę, w której przechowuje dane. Brniemy więc przez

zaśmieczone przejścia pomiędzy kamienicami, sznury z praniem i świąteczne wstążki, rozwieszane tu i ówdzie na cienkich listewkach. Z okien obserwują nas pomarszczone staruszki w kraciastych chustach. Dziadek na zabytkowym krześle ćmi cygaretkę przy bramie.

Dzieciarnia na kolejnym podwórku biegnie za rudawym kundlem. Zwierzę trzyma w pysku gumową piłkę i ucieka ile sił w nogach. Kiedy dzieciaki wpadają na nasz oddział, stają jak wryte. A potem robią w tył zwrot i z wrzaskiem uciekają do domu.

Idziemy w ośmiu, z drużyną Usila – oni rozglądają się wysoko i mierzą w okna, a my szukamy niżej i zabezpieczamy drzwi. Dokładność sygnału nie jest idealna, ale sokół musi być blisko.

— Tędy! — wyrokuje Peter, który trzyma urządzenie z niebieskim ekranem.

Wchodzimy w kolejną bramę, śmierdzącą uryną, kotami i czymś słodkim. Za ostatni zapach odpowiadają białe kwiatki, które rosną na trawniku zaraz za przejściem. Tutaj na każdym murze widać graffiti; ktoś uwielbia mazać po ścianach. Mijamy rząd starych aut i kobietę, która robi pranie w balii. Nie wszystkie domy mają łazienki i działającą kanalizację. Praczka nie zwraca na nas uwagi, ugniata pościel w mętnej wodzie.

— Widzę go — woła Rozwielitka.

— Gdzie?

— Tam, na dachu gołębnika.

Rzeczywiście, na blaszanym dachu leży nasza zguba. Dafny ma świetny wzrok, ale i tak trudno pojąć, jak dostrzegł ramię drona, które ledwie wystaje poza krawędź. Trzeba wspiąć się po drzewie, żeby ściągnąć sokoła na dół. Albin Hocke, mały, zwinny chłopak z drużyny Usila, skacze po konarach jak mała i po chwili strąca sprzęt na ziemię. Melduję sierżantowi, że wykonaliśmy zadanie.

Wtedy w drzwiach domu po lewej staje chudy mężczyzna i wyciąga rękę w naszą stronę. Coś błyszczy w jego dłoni, odbija promienie popołudniowego słońca. Puric, który idzie obok mnie, natychmiast bierze go na muszkę.

— Rzuć to! — krzyczy, kładąc palec na spuście.

Reszta oddziału reaguje spokojnie. Chwytam lufę MBS-a Purica i kieruję w dół. Ja pierdołę, tylko tego brakowało, żebyśmy zastrzelili niewinnego cywila.

— Uspokój się, Daniel. To telefon!

— Ja jebię. — Puric aż dygocze z emocji.

Błyska flesz i przerażony facet cofa się w panice do środka. Potrzeba uwiecznienia oddziału SSARR na własnym podwórku mogła doprowadzić do tragedii. To nie byłby pierwszy przypadek, kiedy ktoś wyciągnął gadżet z kieszeni i dostał kulkę w łeb. Nasze nerwy przepaliły się już dawno. Lepiej nie prowokować pomyłki.

Na ulicy dołączamy do reszty plutonu, która sprawdzała drugi rząd budynków. Sierżant Gola warczy, żebyśmy się pospieszyli, bo nie chce stracić najlepszego meczu w tym sezonie. Piłkarze stołecznej Victorii podejmują dziś u siebie FC See. Zostało pół godziny do rozpoczęcia spotkania, więc naprawdę musimy się sprężyć.

Nemi podchodzi do mnie i przeprasza, że dopiero dzisiaj przesłała mi plik. Delikatnie pukam się w głowę. Mam nadzieję, że zrozumie ten uniwersalny gest. Jestem bardzo ciekaw tego, co znalazła. I naprawdę wdzięczny za pomoc.

Niedziela, 27 marca, godz. 12.00

Punktualnie w południe odbywa się losowanie urlopów. Każdy pluton dostaje tyle losów, ilu żołnierzy wchodzi w jego skład. Zaplombowane koperty przynoszą sierżanci w miejsca uzgodnione wcześniej ze swoimi ludźmi. My zgromadziliśmy się na dole koszar, gdzie stoi kilka podartych foteli i drewniane ławy.

Na początku misji stabilizacyjnych osiemdziesiąt procent żołnierzy mogło brać rotacyjnie dwutygodniowe urlopy. Potem odsetek szczęśliwców spadał sukcesywnie, aż do pięćdziesięciu procent w Piątym Kontyngencie. Czas też skurczył się podejrzanie: najpierw do dziesięciu dni, a w tym roku – do tygodnia. Przegrani otrzymują ekwiwalent w żołdzie, a niektórzy szczęśliwcy handlują przepustkami, chociaż jest to zabronione.

Teraz w kącie zebrały się cztery drużyny, dwudziestu jeden podekscytowanych mężczyzn, łącznie z sierżantem, i każdy czeka niecierpliwie na regulaminowe losowanie. Sięgamy po kolei do szarej tekturowej koperty, wyciągamy stamtąd kartkę z numerem i wspólnie patrzymy na listę, gdzie zaznaczone są zwycięskie losy. Okazuje się, że na cały pluton przypada dziesięć przepustek, z czego moja drużyna wylosowała dwie: wygrał Puric i ja. Reszta chłopaków jest wyraźnie zawiedziona.

Zaraz po największym zamieszaniu biorę na bok Gausa i pytam otwarcie, czy chce skorzystać z przepustki. Losów nie można sprzedawać, ale przełożeni tolerują zamiany, czasem nawet do nich zachęcają. Inaczej czuje się człowiek, na którego czeka rodzina, a inaczej samotnik, który zostawił w kraju tylko kota czy psa.

— No co ty, Markus! Nie mogę cię o to prosić.

— Daj spokój. Wiem, że twoja matka jest chora i chciałbyś ją odwiedzić. Ja nie muszę jechać do rodziców, a z synem się nie widuję.

— Ale słuchaj...

— Nie pierdol, stary. Powiem sierżantowi, że przekazuję ci mój los. Nie wyjeżdżaj tylko w ciągu dwóch tygodni. Chcę mieć pełny skład na początku kwietnia.

— Jasne! Kurwa, dziękuję ci, Markus. — Gaus ma w oczach łzy.

— To rozumiem. — Klepię go po ramieniu. — Nie rozklejaj się za bardzo.

Oczywiście, przepustki nie rozłożyły się po równo. Drużyna Jeden wylosowała aż cztery, co strasznie wkurzyło resztę oddziału. Otrzymali je wszyscy zmiennicy, którzy uzupełnili stan osobowy po zamachu na targowisku. Tylko Ballard nie dostał urlopu. Chłopaki dopiero co przyjechali i już mogą się cieszyć z możliwości odwiedzenia domu. Sierżant pewnie wrzuci ich w kolejkę z odległymi terminami, ale u Larsa – tak jak u mnie – jest tylko dwóch szczęśliwców, a u Petera jeden. Tak wygląda właśnie ślepy los.

Ostatnią przepustkę wylosował dowódca plutonu, jednak nie sądzę, żeby z niej

skorzystał. Sierżant Gola nienawidzi swojej żony. Ja, gdybym miał wybrać się na urlop, pojechałbym pewnie do bazy w Portsailu. Jest tam hotel dla żołnierzy, którzy nie chcą podróżować do kraju. Mają kasyno, fajne dziewczyny i chłanie prawie za darmo. Piłbym do upadłego przez tydzień i wrócił skacowany do Harmanu. Ale, prawdę mówiąc, wcale mi na tym nie zależy.

Środa, 30 marca, godz. 20.25

Kładę sierżantowi na biurko plik papierów. Ostatnio byliśmy tak zajęci, że nie mieliśmy kiedy porozmawiać. Liczba wezwań spadła, ale przygotowania do operacji „Pustynna Pięść” idą pełną parą. Odrywam Gołę od studiowania jakichś materiałów.

— Co to jest? — pyta trochę nieprzytomnie sierżant.

— Prośba o wymianę karabinu dla Purica, bo ciągle mu się zacina. Dostał spieprzony egzemplarz.

— Jasne, podpiszę ci. — Bez zbędnej dyskusji wypełnia swoje rubryczki formularza.
— A ta cała reszta?

— Wydrukowałem panu coś do poczytania, sierżancie. Nemi znalazła w Synecie materiały o pustyni Saladh i bazie Distortion.

— Nie mam czasu na pierdoły, Markus.

— To nie są pierdoły. — Wskazuję palcem jedną ze stron, na której zazaczyłem fragment tekstu. — Tutaj piszą na przykład, że przed wojną obok wzgórza Otorten, gdzie znajduje się baza, działał instytut badawczy uniwersytetu w Jonie. Pracowali tam razem geolodzy i fizycy. — Przewracam kartkę. — Jeszcze dwieście lat temu za Górami Wilczymi rozciągała się żyzna równina, ale potem, po trzęsieniu ziemi, odkryto tam złoża srebra i miedzi. Teren był mocno eksploatowany i zaburzona została gospodarka wodna. Wszystko wyschło i wyjałowilo się. Pewnie pan nie wie, że „Saladh” po remarsku znaczy „liściasty”. Nietypowa nazwa dla pustymi.

— Po co mi to wszystko mówisz?

— Bo nie daje mi spokoju, co się stało z żołnierzem z Admirum. Teren jest niestabilny geologicznie, a na dodatek w tym instytucie badawczym naukowcy wykryli źródło promieniowania. Pracował nad tym niejaki profesor Meyer, ale prawie nic o nim nie ma w sieci. To dziwne, bo facet publikował prace naukowe, a instytut zamknięto rok przed wojną. Dziennikarz wspomina o nim raz, pod koniec artykułu.

— Markus, ja wiem, że jesteś oryginalny i lubisz dziwne rzeczy. Ale teraz mam większe zmartwienia na głowie niż twoje teorie spiskowe. Więc proszę cię grzecznie: wyjdź i nie zwracaj mi dupy.

— Jasne, panie sierżancie. Ale spojrzysz pan na to?

— Spojrzę, jak będę miał chwilę.

— Chcę, żeby pan wiedział, że lekarze nie mają pojęcia, co się stało z Wiktorem Hynkiem. Podśledzałem przypadkiem, jak rozmawiali. A ponieważ będziemy pojutrze

w tym rejonie, chciałem się czegoś dowiedzieć.

— Kurwa, Markus, wypierdalaj.

— Tak jest!

Wychodzę, zadowolony, że sierżant Gola nie wyrzucił materiałów do kosza. Być może zrobi to za kilka minut, ale przynajmniej próbowałem coś wyjaśnić. Chciałbym wierzyć, że rozbłysk, który poraził Hynka, to nieznana bomba albo piorun kulisty. Ale to, o czym mówił Mastalik – problemy z łącznością i działaniem przyrządów w okolicach bazy – wydaje mi się dziwne.

Postanawiam wciągnąć w tę sprawę więcej osób. Szkoda, że Petera nie interesują moje rewelacje. Ma głęboko w dupie odkrycia naukowe i abstrakcyjne problemy. Tylko że ten problem nie jest abstrakcyjny. Nasz kolega z Wysuniętej Placówki Admirum zwariował kilkadziesiąt kilometrów stąd i nikt nie potrafił mu pomóc.

Czwartek, 31 marca, godz. 23.40

Leżę w łóżku i gapię się w sufit. Przez uchylony lufcik wpada rześkie powietrze, które pachnie wiosną. W dzień słupek na termometrze wskazywał dwadzieścia trzy stopnie, teraz jest pewnie z piętnaście. Patrzę w ciemność i nasłuchuję skrzeków ptactwa za oknem. Co jakiś czas ciszę koszar zakłóca trzaśnięcie drzwiami albo ciężkie kroki wartowników.

Myślę, że Peter też nie śpi, bo nie słychać chrapania. Wierci się na swoim łóżku i tak samo jak ja myśli o jutrzejszej akcji. Będziemy lecieć około czterdziestu minut cassabianami, wylądujemy koło wioski Baleh i wejdziemy do niej, żeby przeszukać wszystkie domy. Jeśli dobrze pójdzie, to po kilku godzinach zabiorą nas śmigłowce.

Nie potrafię zdusić w sobie mdlącego uczucia, że coś jest nie w porządku. I nie chodzi tu wcale o zagrożenie atakiem. Nie o strach przed lataniem i możliwość zestrzelenia. Mam wrażenie, że zbliżam się do czegoś, co od początku tutaj na mnie czeka. Zimne prądy przebiegają mi po plecach, kiedy o tym myślę. A niebieskie światło rozlewa się we krwi, tak samo we śnie, jak na jawie.

Możliwe, że przez ostatnie trzy miesiące staliśmy się miejskimi szczurami. Przyzwyczailiśmy się do myśli, że w zasięgu wzroku zawsze stoją jakieś domy, że poruszamy się ulicami, a w niewielkiej odległości czeka skorpion. Tym razem musimy sobie poradzić na pustkowiu i może staniemy się nawet przynętą dla rozproszonych wokół Trygelu bojówek Garcii. Może taki jest cel „Pustynnej Pięści”. Jeśli wykonamy zadanie i znajdziemy zapas broni albo zaopatrzenie dla partyzantów, będzie z tego niezła rzeźnia.

Czasem żałuję, że nie jestem religijny. Puric na pewno pomodlił się wieczorem, przesunął palcami po paciorkach różańca, i teraz przewraca się na drugi bok, smacznie śpiąc. Też chciałbym mieć niewidzialnego przyjaciela, do którego mógłbym zwrócić się w takiej chwili i znaleźć pocieszenie. Ale jestem sam, tego się nie wybiera. Mogę tylko

kalkulować prawdopodobieństwo, szukać wyjścia z sytuacji i liczyć na łut szczęścia. Może więc poczucie, że gdzieś na pustyni czai się zagrożenie, to tylko reakcja pobudzonego stresem umysłu. Zwyczajne potwory, które wyłazą na wierzch, kiedy zdajesz sobie sprawę, że za kilka godzin możesz stracić życie. Wojskowy rodzaj stłumionej hysterii, podsuwającej najczarniejsze i najbardziej krwawe scenariusze.

Dowiem się tego jutro albo za kilka miesięcy. W końcu wszyscy się tego dowiemy. Ale teraz muszę przestać myśleć, wyczyścić umysł i natychmiast zasnąć. Zanim Usil rozpocznie swój koncert, a w oknie, wysoko nad głową, zacznie szarzyć niebo. Od tego, czy będę wyspany, może zależeć jutro czyjeś życie. A więc, Peter, nie bądź sukinsynem. I nie wąż się dzisiaj zasypiać przede mną.

Część druga

Kontakt

Rozdział pierwszy

Piątek, 1 kwietnia, godz. 6.55

Okolice Baleh, pustynia Saladh, południowy Remark Operacja „Pustynna Pięć”

Lecimy nad pustynią, synku. Cztery śmigłowce Cassabian kwadrans temu minęły Góry Wilcze i powoli zbliżają się do wioski, gdzie mamy dokonać przeszukania. Jej mieszkańcy podejrzewani są o współpracę z rebeliantami, ale prawda jest taka, że nawet gdyby byli wykonani z pluszu i czyści jak łąza, złożylibyśmy im wizytę. Chodzi o pokaz siły i zastraszenie tych upartych ludzi, którzy nie chcą przystać na naszą obecność w Remarku.

Gdybym umarł cztery lata temu, nie patrzyłbym teraz na porośnięte kępami trawy, kamienisto-żwirowe bezdroża Saladh. Nie zastanawiałbym się, czy zza jednej ze skał nie wynurzy się postać z RPG i do nas nie wyceluje. Ale zamiast terrorysty widzę stadko górskich kóz, które zapędziły się tutaj w poszukiwaniu pożywienia. Po piaszczystej ścieżce jedzie stary pick-up, wzbijając za sobą tuman kurzu. Gdybym wtedy umarł, nie zobaczyłbym wodnego oczka odbijającego niebo i nie myślał teraz o tobie.

Pamiętam dzień, w którym pojechałem do Seegardu, do kliniki dewitalizacji Omega. Dopełniłem wcześniej formalności, załatwiłem wymagane zgody i zarezerwowałem wizytę, z której się nie wraca. Zasnąłem w pociągu i przyśniło mi się, że dotarłem na miejsce: wszedłem do budynku, rozmawiałem z personelem medycznym, z urzędnikiem DKD i z księdzem, który chciał zmienić moją decyzję. A potem przywiązali mnie do krzesła, wstrzyknęli truciznę i umarłem – linia życia przecięła asymptotę, liczby podzieliły się przez zero. Jednak kiedy otworzyłem oczy, dalej siedziałem w wagonie. Stara kobieta, drzemiąca naprzeciwko, szeptała przez sen, że czyściec to nie przedsiónek raj, ale drzwi do życia lub śmierci.

To wszystko wydaje się nierealne i teraz myślę, że nigdy się nie zdarzyło. Chciałem się zabić, to prawda, odszedłem od twojej mamy, ale nie pojechałem do Seegardu. Zgłosiłem się na zabieg wszczepienia elektrody i wykorzystałem swoją szansę. Dzięki temu jestem dziś w Remarku, z zaciśniętymi zębami lecę ciężką wojskową maszyną, bo rzuca nami niemiłosiernie, i przeładowuję swoją broń, tak jak moi towarzysze. Za chwilę lądujemy.

Wierzę, że powinienem kontynuować walkę, na miarę swoich możliwości. Kiedyś przekonasz się, synku, że wszyscy ją toczyliśmy. Nawet jeśli nie trzymamy w rękach MBS-a, a nasz wróg jest niewidzialny i nie ma imienia. Zwłaszcza wtedy.

Śmigłowce zwalniają magnetyczne zaczepy i cztery łaciate cerastesy lądują miękko na piaszczystej hałdzie. To przez te graty rzucało tak nami całą podróż, aż zamroczony Puric zatoczył się przy zeskakiwaniu na ziemię i uderzył głową w lufę MG300. Strzelec z załogi śmigłowca popukał się znacząco w hełm, ale odpuścił komentarz. Musi być przyzwyczajony do podobnych wpadek.

Gaus obejmuje Daniela za szyję w żelaznym uścisku, który pewnie ma mu dodać sił, chociaż może się skończyć utratą przytomności. Cassabiany podrywają się do góry, obsypują nas rdzawym pyłem i lecą w szyku na północ.

Część oddziału wsiada do pojazdów: czterech kierowców, porucznik Ostin, jego adiutant z radiem i jedna drużyna obstawy, obaj sierżanci, tłumacze – Nemi i Raul ze sztabu kompanii – oraz dwóch saperów z bazy Centaur. Reszta formuje kolumnę i biegnie za „ceratami”, w kamizelkach, z pełnym oprzyrządowaniem i z plecakami na garbie. Truchtamy wytrwale, żeby jak najszybciej dotrzeć do wioski, która właśnie wyłania się zza niewielkiego wzniesienia. Dwa tuziny białych domów, stojących ciasno przy żwirowej drodze, głównie z prawej strony, gdzie wokół stawu rosną drzewka oliwne i biała trawa.

— Tak sobie myślę, kurde, że to bez sensu mieszkać w takim miejscu — sapie Rozwielitka, bo bieg nie jest jego ulubionym zajęciem.

— Kiedyś płynęła tędy Reda. To były urodzajne tereny, zanim tego nie spieprzyli. Ludzie mieli pastwiska i plantacje oliwek — odpowiadam.

— No dobrze, ale teraz?

— Teraz mają trochę kóz i parę krzaków. Nikt normalny nie chciałby tu zostać, prawda? Z każdym rokiem ziemia się wyjaławia.

— Ziemia ojców — odzywa się z tyłu Ballard. — Armajowie nie chcą jej opuścić.

— Kochają to pustkowia, Chris. — Odwracam się do niego. — Nawet Gottanom nie chciało się niszczyć ich wioski, przetrucili po prostu swoje wojska. Wbrew pozorom, ci ludzie są tutaj bezpieczni i niezależni od władz prowincji.

Tak sobie gaworzymy, pocąc się od pięćdziesięciu kilogramów ekwipunku. Sama kamizelka i broń to dwadzieścia kilo, a każdy plecak Cobra zawiera mnóstwo ciężkiego ustrojstwa: amunicję upchaną w każdym kącie, jeszcze więcej amunicji (na wszelki wypadek), dwa litry mineralnej, puszki z żarciem, sprzęt do gotowania, baterie i pałatkę, zapasowy mundur, saperkę i apteczkę, śpiwór, linki, worki na śmieci, tabletki do uzdatniania wody, i jeszcze parę rzeczy.

A nad tym wszystkim, żeby było weselej, pod samą klapą znajduje się mały plecak ucieczkowy PPU, w którym upchane jest to, co konieczne, by przeżyć. A więc dodatkowa woda i jedzenie, twarde batony, polar, duży plastikowy worek, taśma izolacyjna, klej, zipy do kabli, sznurek, zapasowa bielizna, srajtaśma, nożyk, talk i światła chemiczne oraz mała apteczka z folią NRC. Zgodnie z wytycznymi karimatę

troczymy pionowo do cobry, żeby nie zawadzała przy przechodzeniu przez wąskie szczeliny. To ważne, zwłaszcza na pustyni, gdzie – jak wszyscy wiemy – potrafi być naprawdę ciasno.

Objuczeni jak woły i tak mamy lepiej niż Gaus i koledzy, dźwigający karabiny MUG oraz amunicję do nich, lepiej niż radiowiec z fantazyjnie kiwającą się antenką. Medycy niosą sporo sprzętu do łątania i znieczulania swoich kumpli, a saperzy – ja pierdolę – nie chcę wiedzieć, co mają saperzy. Tylko oni i radiowiec pojechali „ceratami”; samochody osiągnęły właśnie wioskę i stanęły gwałtownie na drodze, kurząc niemiłosiernie.

My zbliżamy się do pierwszych zabudowań, witani przez chude psy, oszalałe z nadmiaru emocji. Dzieciaki i kobiety pierzchły dawno temu do domów, a z jednego z nich, najwyższego w wiosce, właśnie wyruszyła w naszą stronę pięcioosobowa delegacja.

Rozglądamy się uważnie. Małe budynki z kamienia i wapna, kryte strzechą i splekanym eternitem, nie wydają się z bliska takie białe. Podobnie jak stroje nadchodzących mężczyzn – coś w rodzaju długich płaszczy skrzyżowanych z chitonami. Wszystko jest brudne i zapyłone rdzawym kurzem. Zarośnięte twarze sprawiają wrażenie, jakby nie widziały wody od tygodni. A w ich płaszcze i kraciaste chusty nie chciałbym wytrzeć nawet butów.

Starszy wioski, wysoki siwy mężczyzna, wysuwa się przed pozostałych i rozmawia z sierżantem Sewerinem. Towarzyszy im Raul Kempes, tłumacz wypożyczony z kancelarii Mullera, i nasza mała Nemi. Tutejszy dialekt nie jest prosty, nawet dla rodowitych Remarczyków, więc negocjacje trwają dobry kwadrans, zanim dochodzą do sedna.

Po kilku chwilach starszy wioski zaczyna krzyczeć i wygrażać pięściami, a sierżant Sewerin – rozczarowany – ciska w niego butelką wódki, którą przygotował jako zwyczajowy podarunek. Wraca do samochodu i jego cerastes o mało nie potraça jednego z cywilów. Nie zaczyna się to najlepiej. Tubylcy nie opuszczą domów, żebyśmy mogli spokojnie je przetrząsnąć i pójść dalej.

Musimy bardzo uważać, żeby nie zaliczyć gdzieś kosa pod zebro.

* * *

Zajęliśmy dwa budynki na posesji, która sąsiaduje z domem starszego wioski. Gospodarstwo należy do jego rodziców, którzy użytkują tylko małą chatę stojącą przy drodze. Lekko zrujnowana stodoła i obora nie wymagały dużego sprzątnięcia. Nikt tam nie był od lat. Znieśliśmy więc trochę desek, drewnianych skrzynek i palet, żeby zrobić z nich prowizoryczne siedziska dla sztabu. Najważniejsze, że pozbyliśmy się wreszcie plecaków.

Dostałem na początek spokojne zadanie – ochraniam z drużyną sztab i magazyn, w którym złożyliśmy ekwipunek. Ogranicza się to głównie do stania przed drzwiami

i pokrzykiwania na dzieciaki, jeśli podejda zbyt blisko. Jak na taką małą wioskę, jest ich tutaj dużo. Pewnie ze dwudziestka, albo nawet więcej; notorycznie podchodzą do rozchwanego płotu na tyłach, żeby pogapić się na przybyszów. A młodsze i mniej odważne siedzą pod opieką matek. Z uchylonego okna sąsiedniej chaty dobiega płacz niemowlęcia.

Kilka drużyn rozpełzło się po całym Baleh i przeszukuje gospodarstwa. Dom po domu, pokój po pokoju, zagląдают pod łóżka, do szaf, skrzyń i innych zakamarków w poszukiwaniu ukrytej broni i zapasów żywności dla partyzantów. Wchodzą do obór, na strychy, otwierają klapy do piwniczek. Z meldunków, które płyną przez radio do porucznika Ostina, wynika, że mieszkańcy zachowują się spokojnie. Ale to może się w każdej chwili zmienić.

Rozmawiam właśnie z sierżantem Golą, który wrócił z obchodu posterunków ustawionych wokół wioski, kiedy słycać serię z karabinu. Kapral Mastalik podaje przez radio, że mają problem z jednym z gospodarzy. Trzy chałupy dalej, niebieskie drzwi ze złuszczoną farbą. Gola rzuca butelkę z wodą Puricowi.

— Markus, za mną!

— Dafny, przejmij dowodzenie — rzucam krótko i biegnę za sierżantem.

Poprawiam w biegu lekko przekrzywiony hełm. Kiedy docieramy do ogrodzenia, odbezpieczam MBS-a i czuję, jak po plecach ścieka mi strużka potu. Na pustyni jest gorąco nawet wiosną. Przełykam ślinę i rozglądam się uważnie.

Na podwórku, oparty o studnię, stoi postawny mężczyzna w koszulce na ramiączkach; ściska w rękach długie widły i kieruje je kolejno w stronę naszych żołnierzy. Otaczają go ludzie z Drużyny Dwa, z Trzeciego plutonu. Mężczyzna ma zakrwawioną głowę. W drzwiach obory widzę jego żonę z dzieckiem na rękach i z drugim, uwieszonym u spódnicy. Kobieta krzyczy coś gardłowo. Pies na łańcuchu na przemian warczy i szczeka.

Eryk Mastalik drze się jeszcze głośniej, że zapierdoli zaraz wszystkich skurwysynów. Szeregowy Eldon trzyma się za ramię, które krwawi znacznie mocniej niż głowa gospodarza. A reszta chłopaków celuje w mężczyznę, przy czym Goran Lukas mierzy pewnie gdzieś pomiędzy oczy. Sukinsyn, strzela równie dobrze jak Rozwielitka.

— Facet jest szczęściarzem, że nie ma tutaj Olega — komentuje sierżant.

Oleg Eldon, kapral z Drugiego plutonu, jest starszym bratem rannego Alana. Wiemy, że martwi się o niego jak cholera; często widać ich razem w kantine. Starał się o przydział młodego do swojej drużyny, ale mu się nie udało. I teraz rozumiem, że tak może jest lepiej.

— Co się dzieje, kapralu? — pyta Gola.

— Parchatemu się nie spodobało, że otworzyliśmy jakiś kufer — melduje Mastalik. — Zaczął się z nami szarpać, uderzył Kranca stołkiem i dostał kolbą w łeb. Potem wyskoczył przez okno, chwycił widły i dźgnął Eldona w rękę. Strzeliłem w powietrze, ale skurwiel nie chce się poddać.

— Niech ktoś zabierze rannego — mówi sierżant. — I sprowadźcie mi tutaj tłumacza.

Mastalik wydaje rozkaz. Szeregowy Pattel bierze pod ramię krwawiącego kolegę i holuje go w stronę sztabu. Sytuacja nie zmienia się – gospodarz nadal wymachuje widłami, a kobieta krzyczy aż do ochrypnięcia. Okrążamy faceta, żeby się nie wymknął, ale nie zbliżamy się do niego.

Wiem, że jeśli nas zaatakuje albo pobiegnie do żony, może to oznaczać jego koniec.

Gola patrzy na błyszczące ostrza wideł jak zaklinacz węży. Myśli nad czymś intensywnie, po czym nachyla się do mnie i pyta półgłosem:

— Jeśli będzie trzeba, zastrzelisz cywila?

— Tak jest, panie sierżancie.

— Jesteś pewien, Markus? — pyta, odkładając broń na ziemię i zdejmując ciężką kamizelkę. — Tobie ufam najbardziej, będziesz mnie ubezpieczać.

— Na tej wojnie nie ma cywili — odpowiadam.

Gola tylko kiwa głową i rusza zygzakiem w kierunku mężczyzny.

Czarne kury, dziobiące wypaloną trawę, rozbiegają się przed nim. Idzie wolno, na ugiętych nogach, balansując ciałem, jakby znowu tańczył na ringu. Słyszę okrzyki za plecami: „Sierżancie, niech mu pan dowali”. Podnosi się też wrzawa po remarsku, czy może po armajsku. Gównu mnie to obchodzi, nie rozróżniam tych prymitywnych języków. Nie patrzę zresztą na ludzi stojących za ogrodzeniem – mieszkańców wioski i gromadzących się tłumnie żołnierzy. Mrużę oczy i śledzę każdy ruch sierżanta oraz jego przeciwnika.

Facet w podkoszulce tymczasem cofnął się jeszcze bardziej i przywarł plecami do betonowej cembrowiny. Oparł widły o ziemię i skierował ostrze w stronę sierżanta. Widać, że się boi. Chyba zrozumiał, że nie odpuścimy i że nie dostanie bohatersko kulki w pusty czerep. Z odległości kilkunastu kroków widzę, że trzęsą mu się ręce, a krople krwi ściekają po czole. Staram się mierzyć dokładnie w potężną klatkę piersiową. Kiedy sierżant przesłania mi cel, zmieniam pozycję, żeby móc w każdej chwili nacisnąć spust.

Nie jestem tak celny jak Lukas, ale nie zawaham się strzelić. Nie obchodzi mnie, że gość ma żonę i dzieci. Nie współczuję mu ciężkiej doli ani wrednej sytuacji, kiedy pięciu okupantów pakuje się do jego domu. Nie jestem bez serca, ale pomyślę o tym później, jeśli będę miał czas. Teraz obserwuję taneczny krok starego boksera i trzęsące się widły. Patrzę, jak przeciwnicy zbliżają się do siebie. Dwaj gladiatorzy z Baleh – jeden uzbrojony i wielki jak słoń, drugi niski i potwornie wściekły.

Ale wściekłość sierżanta jest kontrolowana. Ani na chwilę nie spuszcza wzroku z metalowych szpikulców, odruchowo podnosi gardę i czeka na atak. Ten następuje po chwili. Pierwsze pchnięcie mija go o dobry metr. Gdy Remarczyk kończy wymach, Gola jest już kilka kroków z prawej. Bez trudu zszedł z linii uderzenia.

Facet ponawia atak. Potem jeszcze raz. Za każdym razem chybia, i za każdym razem nie może wyjść ze zdziwienia, że ten krępy, stary żołnierz znajduje się w innym miejscu.

Krzyki za płotem rozlegają się przy wszystkich uderzeniach. Potem milkną.

— Strzelać? — pyta Lukas trzęsącym się głosem.

— Goran, kurwa, zaczekaj! — syczy Eryk Mastalik.

— Spokojnie — cedzę słowa. — Strzelać tylko na mój rozkaz.

Taniec na podwórku trwa w najlepsze. Wydaje się, że będą tak krążyć bez końca, ale nagle coś zmienia się w ruchach sierżanta. W pewnej chwili nabieram pewności, że zaatakuje, napiął się jak sprężyna i za chwilę pęknie. Kiedy po raz kolejny widły wędrują w jego stronę, robi mniejszy unik niż poprzednio. Odchyła się, chwyta za drzewce i bez trudu wyrywa narzędzie z rąk mężczyzny. Remarczyk traci równowagę i upada na twarz.

Gola skraca dystans, pozwala mu stanąć na nogi, a potem prawym podbródkowym posyła z powrotem na ziemię. Wielkie cielsko upada z łomotem. Klasyczny nokaut.

— Kurwa, mistrz — szepcze Sewerin, który stanął za moim plecami.

To koniec walki, wystarczyło jedno trafienie.

Lukas, Kranec i Mastalik podbiegają do sierżanta Goli, żeby mu pogratulować. Odpychają żonę nieprzytomnego Remarczyka i ciągną faceta z powrotem do chaty. Dopiero teraz opuszczam MBS-a i zabezpieczam broń. Dowódca patrzy w moją stronę i unosi rękę.

Wracam do swoich chłopaków z uczuciem ulgi.

* * *

Pod wieczór porucznik Ostin organizuje odprawę, żeby podsumować pierwszy dzień naszych działań. Oprócz niego i chorążego Pastera, smutnego radiowca, w pomieszczeniu znajduje się dwóch sierżantów i sześciu kaprali – wszyscy, którzy nie mają akurat służby poza wioską. Brakuje tylko Zana Talko i Eryka Sottera.

Porucznik podkreśla, jak ważna dla sytuacji w Remarku jest „Pustynna Pięść”, serwuje nam porcję przydziałowego bullshitu, ale potem trochę się rozluźnia. Chwali wszystkich za opanowanie, a szczególnie Gole, który rozbroił szaleńca bez jednego wystrzału. Niespodziewanie wyciąga z plecaka małą butelkę burbona z koślawo zawiązaną kokardką i wręcza sierżantowi, życząc mu wszystkiego najlepszego z okazji urodzin.

Podnosi się ogólna wrzawa. Gola jest zaskoczony i mówi, że to przesada i że nienawidzi obchodzenia urodzin. Dobijamy go jeszcze chustą, którą dostaje od całego PSR-u. Lars Norman, który wręcza prezent, zostaje ściśnięty przez jubilata tak mocno, że oczy wychodzą mu z orbit.

Ostin z pewnym trudem zaprowadza porządek na sali i objaśnia krótko, jak będzie wyglądała dalsza część naszej akcji. Jego zdaniem istnieje szansa, że nikt się nas nie spodziewa w Dormie, następnej wiosce, położonej piętnaście kilometrów na południe. Na pustyni Saladh nie ma linii telefonicznych ani zasięgu telefonii komórkowej. A pilnowaliśmy bardzo skrupulatnie, żeby nikt nie opuścił Baleh od naszego przybycia.

Nie wracamy więc od razu do Harmanu, ktoś w ostatniej chwili zmienił rozkaz. Mamy sprawdzić kilka miejscowości i po pięciu dniach dotrzeć do przedmieść Trygelu. Tam dołączy do nas reszta Dziewiątej Kompanii. Śmigłowce dostarczą pojazdy i uzupełnią zapasy, a potem przez kolejne trzy dni będziemy stacjonować w budynku trygelskiego magistratu. Jeśli nie natrafimy na opór wroga, wrócimy do bazy Erde na zasłużony odpoczynek, czyli codzienne patrolowanie miasta.

— Z całym szacunkiem, panie poruczniku, ale to nasze kręcenie się po pustyni wygląda jak zaproszenie do tańca — zauważa Borys Sewerin. — Jeśli partyzanci jeszcze nie wiedzą, że tu jesteśmy, to dowiedzą się o tym jutro, kiedy opuścimy Baleh.

— Właśnie tak, panie poruczniku. — Kapral List jak zwykle wierci się nerwowo. — Jeśli trafimy na duży oddział, będzie straszna rzeźnia.

— A nie można by tego zwiadu załatwić dronami, a śmigłowce przerzuciłyby nas prosto do Trygelu? — pyta kapral Bernstein.

— Nie, nie można! — mówi niespodziewanie mocno Marcel Ostin. — Nie siejcie mi tu paniki, żołnierze, tylko przyjmijcie do wiadomości, że wysłali nas na rozpoznanie. Musimy pokazać wrogowi, że jesteśmy obecni na tym terenie, a przy okazji sprawdzić, jak zareagują mieszkańcy. Dowództwo SSARR uznało, że to równie ważne jak utrzymanie Harmanu. Rozkaz przyszedł z samej góry.

— Ale, panie poruczniku... — nie rezygnuje Bernstein.

— Henrik, kurwa, stul dziób! — jednym warknięciem usadza go sierżant Sewerin.

Porucznik wędruje wzrokiem po naszych twarzach.

— Panowie, misja nie jest łatwa, wszyscy o tym wiemy. W każdej chwili możemy się spodziewać kontaktu ogniowego i – w przypadku napotkania przeważających sił wroga – musimy utrzymać pozycje przez około dwie godziny. Takie są rozkazy. — Popija wodę z blaszanego kubka. — Nasza liczebność wystarczy na przeciętny oddział rebeliantów. Nie poruszają się w większych grupach niż kilkunastoosobowe. Tyle mogą wam powiedzieć na pocieszenie.

— Ktoś musi odwalić czarną robotę — podsumowuje sierżant Gola.

Potem porucznik pokazuje nam na mapie planowaną trasę przemarszu i rozdziela zadania pododdziałom. Mojej drużynie przypada patrolowanie wioski od dwudziestej do dwudziestej czwartej. A potem możemy iść spać i o szóstej rano robimy wymarsz do Dormy. Wszystko byłoby w porządku, gdyby nie to, że jestem cholernie spocony. I gdyby nie nawracające, głęboko mdlące przecucie, że stoimy nad przepaścią. Jeden krok i pochłonie nas światło.

Niedziela, 3 kwietnia, godz. 14.05

Pałac Gorga, pustynia Saladh, południowy Remark Operacja „Pustynna Pięść”

Zmiana warty. Drużyna Larsa Normana opuszcza posterunek przy drodze wylotowej na Kumisz, a moi ludzie zajmują miejsca przy cerastesie. Puric klepie bezgłośnie

różaniec, Rot wygląda, jakby miał w dupie „Pustynną Pięść” i połowę wszechświata, a Gaus i Rozwielitka pochłonięci są ustawianiem karabinu maszynowego na pace samochodu.

Szeregowy Walic z Drużyny Dwa złożył już podstawę swojego MUG-a, zarzucił go na ramię i drepcze w stronę zabudowań. Kulme, Urgiel i siwy Frank Hinte podążają za nim, bez hełmów na głowach i w porozpinanych kamizelkach. Słońce przypieka porządnie.

Kolejna warta, kolejnego dnia, w kolejnej wiosce. To już trzecia miejscowość, po Baleh i Dormie, którą zaszczycamy swoją obecnością. Strach zastąpiła rutyna i frustracja, bo jak dotąd niczego nie znaleźliśmy i nie spotkaliśmy wroga, chociaż łazimy po pustyni jak ćmy. Partyzanci na pewno o nas wiedzą i mają to gdzieś albo – wręcz przeciwnie – boją się stanąć oko w oko z połową kompanii.

— Można się wkurwić, nie? — mówi Norman do moich myśli. — Przeszukiwanie brudnych chałup jest gorsze od patroli w Harmanie. Chyba lepiej stać na posterunku i pierdzieć na świeżym powietrzu.

— Nic się nie działo na zmianie?

— Wszystko masz w raporcie. — Lars uśmiecha się, wręczając mi służbowy tablet. — Zupełnie nic. Żadnego człowieka, samochodu, nawet kozy.

— Może coś im się pojechało w tym sztabie i nie ma tu żadnych rebeliantów? — Kręcę głową z niedowierzaniem. — Idź już, stary, bo ci ludzie uciekną.

— Nie martw się, trafią do koryta. — Mruży oczy za szklami okularów; sprawia wrażenie, jakby swędziały go plecy i nie mógł się podrapać.

— Chcesz mi coś powiedzieć?

— Chodź, przejdziemy się kawałek. — Bierze mnie pod ramię. — Nie było jak pogadać, a coś zauważyłem przez te trzy dni.

Odchodzimy kilka kroków od samochodu i obaj ściszymy głos.

— No, co jest?! — pytam zaciekawiony.

— Słuchaj, u Petera jest ten mały Hocke. Kojarzysz?

— Ten dzieciak, który zdjął drona z gołębnika.

— Ten sam, nawet fajny gość, tylko taki raczej „ciepły”. Nie ma dziewczyny, trochę się wstydzi chodzić z innymi pod prysznic. Tak mi gadał Yuri Truman; wczoraj go wypytałem. Ale to nieważne, chuj nam do tego. Ważne, żeby sierżant się nie dowiedział, bo on nie przepada za takimi.

— Nie wiedziałem.

— No, to teraz wiesz. Ale nie chodzi o Golę. — Lars przełyka ślinę. — Najgorsze jest to, że ten wielki koks z ich drużyny, Oskar Benesz, straszenie się do tego Albinka przyjebał i go dręczy. A Peter przymyka na to oko.

— Wiesz, jaki jest Usil. Chce sobie postrzelać i pojeździć na motorze.

— I zaliczyć młodą dupę, wiem — uśmiecha się Lars. — Ty masz z nim najlepszy kontakt, więc mu powiedz, żeby coś zrobił, bo skurwiel zamęczy chłopaka. To jest wielki

bydlak, prawie jak twój Gaus. Wczoraj zwróciłem mu uwagę, że gnębi młodego, to powiedział, żebym wypierdalał. Dla niego szarża to chuj, a już na pewno taki okularnik jak ja.

— Załatwię to, obiecuję. — Klepię Normana po ramieniu. — Idź do swoich, bo zaraz będzie afera. I nie martw się o Albina.

— Dzięki, Markus.

Doskonale wiem, co zrobię. I nie muszę nawet zastanawiać się zbyt długo. Na pewno nie pójdę z tą sprawą do Usila, który oleje wszystko ciepłym moczem, ani do sierżanta Goli, który nie przepada za gejami. Tu na scenę wkracza trudna sztuka dyplomacji; trzeba tylko znaleźć odpowiedni czas i miejsce. A potem skutecznie ponegocjować.

* * *

Dafny przykłada lornetkę do oczu. Gapi się na coś na horyzoncie, a potem podaje mi ją bez słowa. Służba trwa już kilka godzin. Wskazuje ruchomy punkt, mniej więcej na południowym wschodzie.

Reguluję zoom i widzę jasny samochód, prawdopodobnie furgonetkę. Jedzie szybko na przełaj albo po wyboistej drodze, bo nawet stąd mogę stwierdzić, że cholernie podskakuje. Widnokrąg oddalony jest od obserwatora stojącego na ziemi o około pięć kilometrów. Jeśli pojazd skręci w naszą stronę, za kilka minut tu będzie. Przekazuję meldunek do sztabu.

Mówię chłopakom, żeby się przygotowali. Rozkazuję ustawić dwieście metrów od nas znak „Stop”, a pięćdziesiąt metrów bliżej – kolczatkę. Gaus wyciąga ją z samochodu i pędzi wykonać rozkaz. Zblazowany Rot ku mojemu zaskoczeniu biegnie za nim z blaszanym znakiem, rozkłada teleskopowe nóżki i wbija je w ziemię. Pod znakiem przyczepiona jest tablica z symbolem SSARR i napisem po remarsku informującym o kontroli.

Drużyna Dwa przez całą zmianę nie zrobiła tego, co teoretycznie należało zrobić od początku. Poprzednia warta – podobnie. I my, prawdę mówiąc, również. Nikt nie spodziewał się rozpędzonego samochodu na tym pustkowiu. Nawet sierżant Sewerin podczas obchodu posterunków nie nakazał rozstawienia gratów. Może to fałszywy alarm i komuś naprawdę się spieszy. Może niepotrzebnie robimy przedstawienie z posterunkiem. Ale tutaj nie istnieje „niepotrzebnie”. Daliśmy się uśpić, straciliśmy czujność.

Furgonetka znika za łagodnym wzniesieniem, a potem wyłania się nagle, jadąc drogą od strony Kumiszu. Zbliża się szybko, będzie u nas za około trzy minuty. Przyglądam jej się przez lornetkę – jest stara, w jasnożółtym kolorze. Wygląda trochę jak samochód firmy kurierskiej ExPert. W szoferce majaczy mi tylko postać kierowcy. Zakładam, że to mężczyzna, chociaż nie widzę zbyt dobrze.

Od strony wioski biegną dwie drużyny, ale nie próbuję nawet sprawdzać, kogo

wysłał sierżant. Nie mam na to czasu. Nasz cerastes stoi w poprzek drogi; Gaus ustawia dokładniej MUG-a, żeby przyłożyć serią prosto w nadjeżdżające auto. Każe Rozwielitce przygotować się do strzału, a reszcie chłopaków załadować podlufowe granatniki.

— Strzelać bez rozkazu, jeśli minie znak.

— Tak jest! — odpowiadają Puric i Rot.

— Jeśli zaliczy kolczatkę, użyć wyrzutni granatów. — Czuję narastające napięcie. — Nie pozwólcie mu podjechać, może być wypakowany plastikiem albo innym gównem.

Samochód nie zwalnia, chociaż z odległości kilometra kierowca musi widzieć zaporę. Przyklękam przy przednim zderzaku, gotowy do strzału i skoncentrowany. Rozwielitka dyszy cicho obok mnie, oparty o maskę. Chłopaki ze wsparcia rozstawiają się szerokim łukiem. Sierżant Gola, który właśnie do nas dotarł, każe im paść na ziemię i strzelać z pozycji leżącej.

Furgonetka skraca dystans i chyba jeszcze przyspiesza. Mniej więcej trzysta metrów od nas, na wysokości suchego drzewa, kierowca dostrzega kolczatkę i ostro skręca w prawo, na pobocze, żeby ją ominąć.

— O, skurwysyn — szepcze do siebie Dafny.

Samochód objeżdża zaporę i przy okazji schodzi z linii ognia. Podskakuje na białych kamieniach, potem skręca w naszym kierunku. Czuję, że chłopaki nie powinni dłużej czekać. Kiedy mam już krzyknąć „Ognia!” i pociągnąć za spust, furgonetka wylatuje w górę na większej nierówności i wybucha. Jakies dwieście metrów od nas, w pobliżu rozstawionego znaku.

Huk jest potworny, fragmenty karoserii fruują wysoko. Znak „Stopu” zostaje zdmuchnięty. Pojazd staje w płomieniach i przechyla się na bok. Dym i kurz mieszają się w powietrzu.

Dzwoni mi w uszach jak cholera, a szeregowy Gaus, który przestawił wreszcie karabin, posyła w stronę wraku długą serię.

* * *

Kilka minut później na miejscu zdarzenia zbiera się cały sztab. Porucznik Ostin relacjonuje przez radio Beckowi, jak wygląda sytuacja. Saperzy podchodzą do palącego się auta, żeby sprawdzić, czy jest bezpiecznie. Borys Sewerin, który przyprowadził starszego wioski, zasypuje go pytaniami i wydziera się na małego człowieczka, klnąc co drugie słowo. Nemi ledwie nadąza z tłumaczeniem, a facet o nazwisku Rabo Lamada bije się w piersi, zapewniając płaczliwie, że nigdy nie widział tego samochodu.

Adrenalina łupie nam jeszcze pod czaszką. Musimy się pozbierać po ataku. Kapral Mastalik wypuszcza drona, żeby sprawdzić, czy w pobliżu nie znajduje się grupa rebeliantów, ale sokół nikogo nie namierza. Ich baza musi mieścić się dalej, może nawet za Kumiszem, do którego udajemy się jutro. Niech to wszystko szlag!

Najbardziej na świecie chciałbym się teraz napić drinka.

Zamiast tego po skończonym przesłuchaniu podchodzi do mnie Nemi. Staje blisko i patrzy mi w oczy. Ma trochę zbyt duży mundur i twarz pokrytą pyłem, ale wygląda pięknie. Nie mogę się opanować i gapię się na jej wargi, kiedy pyta, czy wszystko w porządku. Widzę białe ząbki i język. Myślę wyłącznie o tym, że chciałbym ściągnąć z niej ciuchy.

— Bałam się, Markus, że coś ci się stało.

— Niepotrzebnie. Rozwaliłem ciężarówkę siłą woli. — Głupi żart.

Muska moją dłoń, aż robi mi się gorąco.

— Co ci powiedział ten Remarczyk? — pytam, żeby zmienić temat.

— Nic nie wie albo dobrze udaje. — Nachyla się do mnie. — W zasadzie trochę żałuję, że nie odniosłeś lekkich obrażeń.

— Co? — mówię nieprzytomnie.

— Mogłabym się tobą opiekować — śmieje się i odchodzi, bo woła ją sierżant Gola.

W zasadzie nie wiem, dlaczego staram się unikać jej od początku misji. Od trzech dni codziennie wyobrażam sobie, że się z nią umówię. Ale ukrywam to nawet przed sobą. Dopiero stres wywołany atakiem sprawił, że uświadomiłem to sobie wyraźniej. Moją głowę wypełniało coś w rodzaju zasmarkanej waty.

Nie powinienem dłużej czekać. Nie wiadomo, co się stanie jutro, i nie warto odkładać wszystkiego na potem. Jeśli gdzieś na świecie maksyma *carpe diem* ma zastosowanie, to na pewno w miejscu, gdzie toczą się walki. Na pewno tutaj, w Remarku, a zwłaszcza na pustyni Saladh, która nie grzeszy urodą. W przeciwieństwie do Nemi Seelberg.

* * *

Wieczorem musimy odreagować. Może sposób, który sobie wybraliśmy, nie jest dobry, ale przynajmniej czemuś służy. Myślę, że gdybym po południu zobaczył partyzantów Garcii wysypujących się z furgonetki i zastrzelił kilku w walce, byłoby lepiej. A tak sama świadomość, że mogli nas po prostu wysadzić w powietrze, potęguje wkurwienie. Ta kumulująca się frustracja wreszcie nas zabije. Brudna, popieprzona wojna.

Stoimy naprzeciw wychodka, za dziurawą stodołą, z której zrobiliśmy koszary. Olaf Inka pali papierosa na czatach, za rogiem budynku, a Truman, Gaus, Rozwielitka i ja wpatrujemy się w drewniane drzwi obite dyktą, za którymi siedzi starszy szeregowy Benesz, oprawca małego Albina. Mamy w rękach kije i kawałki desek, z których powyciągaliśmy gwoździe; zebraliśmy je wcześniej i poczekaliśmy na okazję.

Każdy kiedyś musi iść za potrzebą.

Widzę, że Gaus nie może się doczekać. Jest przejęty akcją i na pewno wyobraża sobie, że za chwilę oklepie komuś mordę w imię lepszej sprawy. Kiedy dowiedział się, że chodzi o Benesza, uśmiechnął się bardzo szeroko. Nie z takimi chojrakami sobie radził. Ale, na wszelki wypadek, jest nas tutaj czterech.

Na mój znak Vim chwyta za rozklekotane drzwi i szarpie je, wyrywając haczyk. Prawie burzy przy tym konstrukcję wychodka. Na drewnianym tronie siedzi Oskar Benesz, trzymając w rękach rolkę papieru toaletowego. Łysa głowa i twarz czerwona od słońca, której nie skaził wirus intelektu. Gapi się na nas z otwartymi ustami, a opuszczone gacie sprawiają, że nawet gdyby chciał, nie poderwie się do biegu.

— Co jest, kurwa? — wydusza z siebie z trudem.

— Srasz, czy już skończyłeś? — zagaduje uprzejmie Rozwielitka. — Kolejka jest.

— Mamy pewną sprawę, szeregowy — mówię, patrząc w świńskie oczy Benesza. — Sprawa jest pilna i nie mogła poczekać, aż skończysz. Ale nie przeszkadzaj sobie.

Naprawdę nie wie, co zrobić. Wykonuje ruch, jakby chciał się podetrzeć, ale zaraz porzuca tę myśl i gapi się tępo przed siebie.

— Dobra, kurwa, więc będę się streszczał. — Podchodzę do niego. — Widzisz te kije, skurwysynu? Zaraz dostaniesz od nas wpierdol. I to taki, że nie będziesz mógł chodzić przez tydzień. Domyślasz się za co?

Chwila ciszy.

— Panowie, ja nic nie zrobiłem — mówi niespodziewanie piskliwym głosem. — To jakieś nieporozumienie.

— Co ci mówił wczoraj kapral Norman?

— Kto, kurwa? — Jest potężnie przerażony. — O co wam chodzi?! Ja nic nie zrobiłem, przysięgam!

— Zastanów się przez chwilę, Benesz. To nie jest trudne pytanie.

— Ten wybuch pojechał wam w głowach...

— Truman, Gaus! Wyciągnijcie gnoja ze sracza. I na glebę z nim.

Walka z Beneszem trwa krótko. Po chwili ląduje na ubitej ziemi z opuszczonymi gaciami i brudną dupą. Rolka papieru turla się na bok, rozwijając w szarą wstęgę. A my bierzemy go pod buty i trochę pracujemy kijami.

Staram się to kontrolować, a szczególnie Gausa, który najchętniej zatłukłby gnoja na śmierć. W odruchu paniki Benesz kuli się jak dziecko i zasłania głowę. Dawno nie widziałem takiego ścierwa przed sobą. Jednak już po chwili każę chłopakom przestać, bo cała impreza może się skończyć tragicznie.

Parę ciosów doszło celu. Pieprzony sadysta ma zakrwawione wargi i chyba nieźle posiniaczone plecy i tyłek. Wydaje z siebie cichy dźwięk, coś pomiędzy łkaniem a kwikiem zwierzęcia, ale dla mnie to nie ma znaczenia. Oby tylko nie odniósł wewnętrznych obrażeń, bo wtedy sierżant nas nie wybroni.

Nachylam się nad nim i mówię szeptem:

— Kapral Norman poprosił cię wczoraj, bydlaku, żebyś dał spokój młodemu. Nie posłuchałeś jego rady, dlatego do ciebie przyszliśmy. — Klepię go w potylicę; kuli się jeszcze bardziej. — Jeśli krzywo spojrzysz na szeregowego Hockego albo się poskarżysz, znowu przyjdziemy do ciebie. Pamiętaj o tym, jebańcu.

Wyrzucamy kije i oddaliśmy się wolno do koszar. Myślę, że Albin Hocke jest

bezpieczny, chociaż błagał nas, żebyśmy tego nie robili. Gdyby ktoś zapytał mnie, czy boję się konsekwencji, odpowiedziałbym mu, zgodnie z prawdą, że boję się czegoś innego. Moje koszmary nie mają związku z wieśniakiem leżącym na ziemi, starającym się podciągnąć spodnie. Jestem jakby bardziej wyciszony. Chociaż zyskałem śmiertelnego wroga, nie mam żadnych wątpliwości.

* * *

Mój konflikt z Rotem jest niczym w porównaniu z nienawiścią, z jaką patrzy na mnie Oskar Benesz. Godzinę później mijamy się w przejściu do pomieszczenia przerobionego na sypialnię. Benesz doprowadził się już do porządku i nie poszedł na skargę do Petera. Siedzący pod ścianą Albin Hocke ma wreszcie spokój i drzemie, oparty o swój karabin. Ale gdyby wzrok mógł zabijać, padłbym trupem pod spojrzeniem tego gnoja.

Wiem, że zaczeka na dogodną okazję i strzeli mi w plecy. Albo zadusi gołymi rękami, bo jest o wiele silniejszy i cięższy ode mnie. Ale liczyłem się z tym od początku i muszę mu to przynajmniej porządnie utrudnić. A jeśli znajdę sposobność, z pewnością załatwię go pierwszy w jakimś zamieszaniu. To jest dla mnie takie oczywiste, że staje się przerażające.

Odkąd trafiliśmy na pustynię, poziom agresji w oddziale wzrósł gwałtownie. Chwilę temu dwóch chłopaków od sierżanta Sewerina pobiło się o jakąś bzdurę, za co dostali tęgi wpierdol od dowódcy i po pięćdziesiąt pompek do zrobienia. Do tej pory takie rzeczy prawie się nie zdarzały, a przynajmniej o nich nie słyszałem. Ludzie warczą na siebie jak psy i niedługo zaczną gryźć. Nawet starszy szeregowy Hinte, oaza spokoju, cisnął puszką fasoli o ścianę, kiedy złamał otwieracz do konserw.

Poniedziałek, 4 kwietnia, godz. 7.15

Kumisz, pustynia Saladh, południowy Remark Operacja „Pustynna Pięć”

Po nieudanym zamachu w Palat Gorga niektóre rzeczy się zmieniły. Już nie podróżujemy wygodnie do następnej wioski. Wcześniej porucznik Ostin, naginając procedury, przerzucał nas „na dwa razy”. Najpierw wysyłał sokoła, sprawdzał drogę przed nami, a potem połowa oddziału ładowała się do „cerat”, jechała do punktu zbiórki i czekała, aż kierowcy wrócą po resztę. Najniebezpieczniejszy był, oczywiście, powrót samochodów po drugą grupę. Czterech żołnierzy w czterech pojazdach mogło się stać łatwym celem.

Dawało nam to jednak większą mobilność, a samolot bezzałogowy cały czas czuwał nad kolumną. Odległości pomiędzy wioskami nie przekraczają dwudziestu pięciu kilometrów, więc chłopaki kierujący cerastesami jechali bez obstawy nieco więcej niż kwadrans. Teraz nasz dowódca zrezygnował z dzielenia sił. Pokonaliśmy drogę do Kumiszu częściowo pieszo, wymieniając się co kilka kilometrów z ludźmi w samochodach.

Pomysł, żeby dać nam tylko cztery auta, jest, moim zdaniem, zdrowo popieprzony. Można to było załatwić inaczej i puścić więcej śmigłowców albo wysłać nas drogą lądową. Po około trzygodzinnym marszu do kolejnej wioski jesteśmy naprawdę zmęczeni; tym bardziej że musieliśmy dźwigać na sobie cały osprzęt, plecaki PPU i broń. Tylko cobry poszły na pakę samochodów i do wnętrza zatłoczonych kabin.

Kumis� to największa miejscowość ze wszystkich, które są na naszej trasie. Według informacji liczy około dwustu mieszkańców i leży na wzniesieniu, u którego stóp znajduje się jezioro Pomad. To właściwie pozostałość po Redzie, coś w rodzaju starorzecza. Około pięćdziesięciu kilometrów na południowy wschód od Kumiszu położone jest miasto Trygiel, a trzy kilometry na wschód – opuszczona baza Distortion. Dzisiaj pogoda nam sprzyja. Niebo jest zachmurzone, a słońce nie przypieka od rana. Tyle jestem w stanie stwierdzić jako domorośli meteorolog.

* * *

Tuż przed wioską konwój zatrzymuje się i natychmiast przestajemy myśleć o głupotach. Na drodze leży człowiek – mężczyzna w ciemnym swetrze i drelichowych spodniach. Tkwi nieruchomo na środku jezdni, na brzuchu, z rozrzuconymi rękami i twarzą uwalaną piaskiem. Krążący nad nim sokół pokazuje dość wyraźny obraz.

Wyskakujemy z samochodów, a nasi saperzy, osłaniani przez drużynę Sottera, sprawdzają, czy pod ciałem nie znajduje się ładunek wybuchowy. Po chwili dają znać, że jest bezpiecznie, więc zbliżamy się do tego miejsca. Sierżant Gola obraca ciało na plecy. Facet ma na oko czterdzieści parę lat. Ciemna skóra, krzaczaste brwi i wąsy, zamknięte powieki pokryte rdzawym pyłem; widać zacieki od potu albo od łez. Ale żyje, oddycha miarowo i po kilku minutach udaje się go ocucić.

Stoimy w gotowości bojowej w pobliżu pojazdów, kiedy porucznik i sierżant Gola starają się czegoś dowiedzieć. Nasz tłumacz, Raul, gimnastykuje się straszliwie, żeby dogadać się z półprzytomnym Armajczykiem. Zadaje mu pytania po kilka razy. Strzępy tej rozmowy docierają do mnie i do Nemi, która stoi parę kroków dalej.

— Co się dzieje? — nie wytrzymuję wreszcie.

— Nie jestem pewna. — Nemi wydaje się przejęta, a może nawet przestraszona. — Straszliwie bełkocze po armajsku.

— Ale musisz coś z tego rozumieć.

— Oczywiście. Tylko to, co zrozumiałam, nie trzyma się kupy. — Zbliży się do mnie, tłumiąc nerwy; mam wrażenie, że bardzo się stara, aby inni jej nie usłyszeli.

— No więc, o co chodzi? — pytam szeptem.

— Markus, ten facet twierdzi, że jego wioskę coś zabiło. Powtórzył słowo *daimos* chyba z dziesięć razy. Oznacza ono wielkie nieszczęście. Mówi, że wszyscy ludzie umarli, a potem zostali zabrani. Nic z tego nie pojmuję.

— Mówił, co to było? Partyzanci użyli jakiejś broni?

— Raul próbował się tego dowiedzieć na wszelkie sposoby, ale ten człowiek zachowuje się tak, jakby coś zżarło mu mózg. Może jest chory, nie wiem.

Przypomina mi się baza Admirum i przypadek szeregowego Hynka. Proszę Nemi, żeby podeszła do Remarczyka i zadała mu jedno pytanie. Może wydawać się dziwne albo nawet niedorzeczne, ale w tej sytuacji jest ważne.

Dziewczyna nie dyskutuje. Po prostu podchodzi do Raula i sierżanta, który właśnie poi mężczyznę z marnym skutkiem. Tłumaczka nachyla się nad cywilem, siedzącym teraz na poboczu, trąca go w ramię i rozmawia chwilę. Porucznik pyta głośno, o co chodzi, Raul odpowiada, że nie ma pojęcia. Robi się z tego małe zamieszanie, ale w końcu Nemi wraca, jakby trochę zeszywniała, i już wiem, jaka jest odpowiedź.

— Zapytałam o to, co kazałeś — mówi cicho. — Zapytałam go, czy żyje.

— I co ci odpowiedział, Nemi?

— Powiedział mi, Markus... — Trzęsie jej się broda. — Powiedział, że jest martwy. Umarł razem ze wszystkimi w wiosce.

Zagryzam mocno wargi. Właśnie wyśniłem swój najgorszy sen.

* * *

Wioska rzeczywiście jest pusta. Nikt nie wyszedł nam na spotkanie, w zagrodach meczą głodne kozy, po podwórkach biegają kury i kaczki, a psy siedzą w budach i innych dziurach. Zachowują się dziwnie, nie szczekają na nas. Chłopaki mówią, że mają ciarki na plecach, chodząc od jednego pustego domu do drugiego. Kumisz jest miejscowością bogatszą od Baleh, Dormy i Palat Gorga. Domy z cegły i kamienia, tylko gdzieś drewniane i zapuszczone. Większość kryta dachówką.

Zatrzymaliśmy się na skraju wioski, zjedliśmy szybki posiłek i rozpełzliśmy się po zagrodach w poszukiwaniu – nie tyle broni czy innych podejrzanych rzeczy, co – samych mieszkańców. Póływy facet, którego znaleźliśmy na drodze, siedzi w jednym z mieszkań pod opieką sanitariuszy. Słyszałem, jak Sewerin mówił do Goli, że boi się, czy to gówno nie jest zaraźliwe.

Domy nie są zamknięte, wchodzimy wszędzie jak do siebie. Zaglądamy do pokoi, wywracamy materace, wyrzucamy jakieś graty z szafek. Robimy to jednak bez przekonania. Nawet Gaus, który lubi demolkę w takich chwilach, strąca tylko dla kurazu wazon ze stołu. Szkło rozpryskuje się na podłodze, a ja rysuję kółko na czole.

Znajdujemy puste kołyski, na stołach niedojedzone żarcie i zimne kubki z herbatą. W niektórych miejscach widać nieporządek, jakby mieszkańcy uciekając, sami zrobili trochę zniszczeń. Garnek z zupą zrzucony na podłogę i przewrócona lampa na nóżce, tarasująca wejście do sypialni. W jednym z domów na białym blacie widać odcisk buta. Okno nad stołem jest wybite, a na odłamkach szkła została krew i strzęp materiału.

Mniej więcej w środku wioski mijamy Drużynę Jeden. Kapral Talko wygląda na przestraszonego i idzie dalej bez słowa. Ale Chris Ballard chwyta mnie za rękaw i mówi

cicho, z dziwną pewnością w głosie:

— Markus, ty dobrze wiesz, że to nie wygląda na akcję partyzantów.

Nie pytam nawet, dlaczego zwraca się z tym do mnie.

— Nie, Chris, to wygląda jak Mary Celeste. Wdepnęliśmy w niezłe gówno.

— Zwróć uwagę na ciemne smugi na niektórych ścianach. Przypominają ślady, które zostawia piorun kulisty po przejściu przez pomieszczenie.

Żołnierz znika za rogiem, a ja zaczynam uważniej przyglądać się tynkom w następnych domach. I rzeczywiście, Ballard ma rację. Praktycznie wszędzie dostrzegam ciemne smugi, jakby coś okopciło mur lub deski. Nie wiem, czy chłopaki też to widzą, ale na wszelki wypadek nie pytam, żeby nie siać paniki. Ona w wojsku jest gorsza od zarazy i ciężkiego ostrzału.

Żadna z sześciu drużyn biorących udział w przeszukaniu nie natyka się na ludzi. Słyszę meldunki, które spływają do sierżanta Goli, a on informuje nas o postępach Trzeciego plutonu. Około jedenastej do sprawdzenia pozostaje nam jedynie duży budynek stojący na uboczu. Nemi twierdzi, że to wiejska szkoła podstawowa. Kumisz to duża miejscowość, mająca własny sklep i punkt pocztowy; stanowiła centrum życia okolicznych mieszkańców.

Wracam do sztabu, żeby złożyć meldunek i zapytać o dalsze rozkazy. Ale przede wszystkim chcę pogadać z sierżantem. Mam wrażenie, że zarówno on, jak i Marcel Ostin po raz pierwszy od początku misji nie wiedzą, co robić dalej. Odpowiedni raport trafił już na pewno do bazy Erde, ale sytuację trzeba ocenić na miejscu.

— Panie sierżancie, mogę na słowo? — pytam Golę w drzwiach domu.

— Czego chcesz, Markus?

— Pamięta pan Wiktora Hynka, tego szeregowca z Wysuniętej Placówki Admirum? — zagajam, kiedy chowamy się za rogiem budynku. — Pamięta pan, co się z nim stało?

— O czym ty znowu gadasz?

— Poraził go wybuch, tak twierdzili koledzy z patrolu. Jakby rozbłysk światła. A potem chłopak bredził, że jest martwy, że zginął w tym wybuchu. To samo mówił ten Remarczyk znaleziony na drodze.

— Markus, nie obchodzi mnie to teraz, kurwa mać. Tutaj zniknęło kilkuset cywilów. Widzisz jakąś różnicę? Bo ja tak!

— Ale objawy są te same — nie pozwalam się spławić. — Być może tamten patrol zapędził się gdzieś w okolice Kumiszu, w pobliże bazy Distortion. Słyszał pan przecież, że coś dziwnego dzieje się w tym miejscu.

— Jesteście przesądni jak pierdolone stare baby! — mówi Gola.

— Chcę tylko powiedzieć, że powinniśmy się stąd wynosić jak najszybciej. — Patrzę mu w oczy twardo i nie spuszczam wzroku. — Nie wiemy, co tu się stało, a ludzie zaczynają svirować. Proszę, niech pan porozmawia z porucznikiem, żeby zarządził wymarsz do Trygelu. Najlepiej jeszcze przed południem. Być może mamy do czynienia z bronią masowego rażenia.

Sierżant po raz pierwszy wsłuchuje się w to, co mówię. Przewierca mnie wzrokiem i mieli w głowie decyzję. Musi wiedzieć, że nie proszę go o opuszczenie Kumiszu ze zwykłego strachu. I być może zaczyna rozumieć, w jak poważnym niebezpieczeństwie się znaleźliśmy.

— Dobrze, Markus, porozmawiam z porucznikiem.

— Dziękuję, panie sierżancie.

— Zan! — woła do przechodzącego ulicą kaprała Talko. — Weź swoich ludzi i sprawdźcie duży budynek na końcu wioski.

— Tak jest.

— Markus, miej na nich oko — rzuca Gola i idzie z powrotem do chaty.

Wołam chłopaków i ruszamy za Drużyną Jeden. Mówię im, że sierżant zastanawia się nad opuszczeniem tej dziury. Ta perspektywa zdecydowanie poprawia im humor. Nie wspominają nic o zmęczeniu ani zagrożeniu atakiem rebeliantów.

* * *

Szkoła podstawowa to szeroki parterowy budynek w bladoniebieskim kolorze. Jeden z najnowszych w Kumiszu, przynajmniej na pierwszy rzut oka. Szara blachodachówka i nowe okna; wszystko wykonane dużym nakładem sił i środków jak na tutejsze standardy. Jedyne dysonans i ostrzeżenie dla naszego oddziału stanowią wyrwane drzwi.

Leżą z kawałkiem futryny naprzeciw otworu wejściowego.

Zan Talko i jego ludzie wyraźnie wahają się, czy wejść do środka. Ciemne wnętrza nie zachęca do zrobienia kolejnego kroku, a pokusa, żeby sobie odpuścić, jest z pewnością ogromna. Ballard i towarzyszący mu chłopak, Artur Martins, obchodzą dom, zaglądając do środka przez okna. Talko, Person i Kolberg zajęli pozycje przy wejściu. Mierzą w mrok z karabinów i śmierdzą strachem. Coś ich przeraziło, a mnie, prawdę mówiąc, też nastroszyło włoski na skórze. Czuję to i jestem pewien, że powinniśmy natychmiast uciekać.

Rozkazuję Puricowi i Rozwielitce, żeby obeszli szkołę z drugiej strony. Po chwili chłopaki meldują, że w środku widać dwie sale lekcyjne i jakieś mniejsze pomieszczenia. Budynek wygląda na pusty, chociaż w jednej z sal panuje wyraźny chaos – powywracane ławki i krzesła oraz wybite szyby w kilku oknach. Ballard twierdzi, że tablica lekcyjna jest okopcona; nie mam pojęcia, jak to stwierdził, ale obdarzony świetnym wzrokiem Dafny potwierdza jego rewelacje.

Podchodzę do kaprała Talko i pytam krótko, co zamierza. Mówi, że sprawdzą to zaraz i szybko wracamy do naszych. A najlepiej gdybym go zostawił i zabrał swoją drużynę, bo możemy im pomóc, jedynie wykombinowując skądś zimne piwo. Sukinsyn, nie chce przyznać się do strachu; za wszelką cenę próbuje zachować twarz.

— Zan, nie świruj. Coś jest ewidentnie nie tak z tym miejscem. — Wskazuję na wyrwane drzwi. — Nie wiem, czy powinniśmy tam wchodzić bez dokładnego

rozpoznania.

— Wy nie musicie, my to załatwimy. — Nadal udaje cwaniaka. — Person i Kolberg, sprawdź salę po prawej! Ballard i Martins, wy sprawdźcie po lewej! I meldować się zaraz z powrotem.

Nie podoba mi się to, że ich wysyła, a najbardziej to, że sam nie wchodzi do środka. Nie chcę podważać rozkazu, który jest rozkazem Goli, ale sierżant nie był świadom całej sytuacji. Mógłby podjąć inną decyzję, gdyby zobaczył to, co my. Gdyby to poczuł.

Chłopaki już weszli do szkoły, więc przestaję to analizować. Rozkazuję swoim ludziom, żeby rozdzielili się i obserwowali Drużynę Jeden przez okna. Sam idę za Ballardem, przecinam niewielki hol i stoję w drzwiach mniejszej klasy. Obaj szeregowcy meldują, że pomieszczenie jest czyste. Oprócz poprzewracanych mebli niczego podejrzanego nie widać. Tylko tablica wisi osmalona; bardziej brudna niż te zafajdane ściany w domach w samej wiosce.

Wtedy słyszę krzyk, który dochodzi gdzieś z zewnątrz. Krzyczy Puric, wzywając nadaremno swego Boga i okraszając to przekleństwami. Wybiegam zdezorientowany, z karabinem gotowym do strzału. Bardzo staram się nikogo nie postrzelić.

— O Jezus Maria! Kurwa pierdolona mać! — wrzeszczy Puric.

— Kurwa mać! — powtarza Rot.

Chłopaki zgromadzili się przy oknach z jednej strony budynku. Dopiero teraz rozumiem, że zaglądamy tam, gdzie weszli Person i Kolberg. Drzwi do tej klasy minąłem w pośpiechu, nawet nie zaglądamy. Byłem pewien, że coś się stało przed szkołą. Ale tu znalazłem tylko swoich ludzi, całych i zdrowych, oraz Zana Talko, który ściska dłońmi hełm i chyba zaraz się rozpłacze.

— Co się dzieje? — Chwytam go za mundur. — Co się, kurwa, dzieje?!

— Ja nie wiem, Markus — odpowiada drżącym głosem. — Oni upadli.

— Szefie! — drze się Dafny. — Zgodnie z rozkazem cały czas patrzyłem do środka. Coś błysnęło przy tablicy, strasznie ostre światło, i obaj upadli na ziemię.

— Jakie światło? — pytam.

— Bardzo jasne, niebieskawe. Cholernie mnie oślepiło.

— Co mamy robić?! — woła Gaus.

Nie czekając na ciąg dalszy ani na reakcję kaprała Talko, wpadam z powrotem do szkoły. Każę Martinsowi i Ballardowi wypierdalać na zewnątrz i prawie wyciągam ich za fraki, zabraniając wejścia do klasy naprzeciwko. Potem zaglądam do niej sam — najostrożniej jak umiem — wołając Persona i Kolberga po imieniu.

Nie odpowiadają i nie dają znaku życia; leżą na podłodze pomiędzy ławkami, trzęsąc się niemilosiernie. Drgawki są na tyle duże, że trzeba natychmiast im pomóc. Każda sekunda jest cenna.

* * *

Chwilę później szeregowy Rot i ja stoimy w drzwiach wejściowych, obwiązani w pasie mocnymi linkami. Związaliśmy razem wszystkie, które znaleźliśmy, upchane w plecakach patrolowych. Rot jest tak przerażony, że nawet nie protestuje. Ogarnęła go rezygnacja.

Końce obu sznurów leżą na ziemi, zwinięte w szerokie kręgi.

— To ostatni raz, Jim. Możesz potem zmienić drużynę — mówię do niego.

Nie odpowiada. Nawet nie mruga powiekami.

— Zan, powiadom sierżanta! — krzyczę, głośniej, niż powinienem. — Reszta, obserwować rozwój sytuacji. Jeśli coś nam się stanie, ciągnijcie za linki i spróbujcie nas wydostać. Pod żadnym pozorem nie wolno wam tam wchodzić. To rozkaz!

— Tak jest — mówi bez przekonania Puric. — A jak nam się nie uda was wyciągnąć?

— Czekajcie na sierżanta, bo ten gość się zupełnie rozkleił. — Wskazuję na Zana Talko. — Jared, w razie czego obejmiesz dowodzenie.

— Tak jest — potwierdza Rozwielitka.

Patrzę w przerażone oczy Rota. Po raz pierwszy jest mi go trochę żal.

— Dobra, Jim. Musimy im, kurwa, pomóc. — Klepię go w plecy.

Przemierzamy korytarz i wchodzimy do klasy. Biorę głęboki wdech, powietrze pachnie ozonem. Wszystko wydaje się normalne: równo ustawione rzędy ławek, pięknie zasunięte krzesła i wyczyszczona tablica. Na biurku nauczyciela stoją w doniczce fioletowe kwiaty, których nazwy nie znam. Na ścianach zdjęcia remarskich naukowców. Byłaby to perfekcyjna wiejska klasa, gdyby nie dwa ciała, drgające przed nami.

Marco Kolberg upadł na brzuch i uderza twarzą o deski podłogi. Johann Person jest w lepszej sytuacji, jeśli tak mogę to nazwać – leży na boku i na przemian zgina się i rozpręża. Obaj są nieprzytomni i sprawiają wrażenie podłączonych do niewidzialnej aparatury.

W oknach widzę twarze kolegów, którzy z wytrzeszczonymi oczami czekają na rozwój sytuacji. Doskonale wiedzą, że może stać się najgorsze. Gdyby ktoś powiedział mi rano, że dzisiaj zginę, ratując kogoś z oddziału, byłoby to dla mnie abstrakcyjne. I może gdybym miał więcej czasu, podjąłbym inną decyzję. Poszedłbym sam lub nie poszedł wcale. Ale widzę chłopaków z Jedyunki i muszę postąpić w ten sposób.

Posuwamy się wolno do przodu. Noga za nogą, jakby pod nami nie było podłogi, tylko kruchy lód, a głębiej przepaść wypełniona światłem. Czuję przeszywające fale zimna, ale staram się je ignorować. Cały czas wpatruję się w Kolberga i Persona, których ledwie znam – w lutym zastąpili kolegów zabitych na targowisku – i których nawet nie lubię, ale za których jestem dziś odpowiedzialny.

— Markus, spójrz na to — odzywa się cicho szeregowy Rot.

Wypuszcza z rąk MBS-a, karabin zawisa na pasku. Wyciąga przed siebie obie dłonie i unosi w górę palce, a z ich koniuszków płynie coś jakby świetlisty dym. Blade strużki światła, ledwie widoczne w półcieniu szkolnej klasy. Ognie św. Elma. Kiedy pojawiają

się na przedmiotach albo ludzkim ciele, to znak, że w powietrzu występuje duża różnica potencjału elektrycznego. A więc najgorsze się zbliża, już tego nie zatrzymamy.

Robię krok w kierunku końca sali, potem jeszcze jeden. Ratunkowa lina pełźnie po podłodze jak wąż. Rot też podąża za mną, oddzielony wąskim rzędem ławek. Z naszych ramion, hełmów i twarzy wydobywa się światło. To zjawisko jest na swój sposób piękne i pewnie otworzyłbym usta z podziwu, gdyby nie zwiastowało śmierci.

Spoglądam na Rota, szczękając zębami i myśląc sennie, że to właśnie z nim stoję tutaj, z tym pustym człowiekiem. Wszystko jest paradoksem i bezustannym tasowaniem kart. A w mojej głowie suną korowody duchów i pędzą przed siebie niczym wiatr niosący liście. I przez sekundę próbuję ich dotknąć, złapać za podłużne cienie, których nie rzucają, złapać za nieistniejące cienie z gęstego eteru. Aż nagły błysk zabiera nas w ciemność.

Daimos, daimos, daimos!

Rozdział drugi

Sobota, 9 kwietnia, godz. 7.15

Harman, prowincja Saladh, południowy Remark

syneczku nie mam jeszcze siły pisać widziałem koniec świata byłem w piekle i wróciłem stamtąd do swojego ciała teraz przygniata mnie wiedza że wszystko co znamy zniknie jutro albo za sto lat jeszcze nie wiem nie widziałem daty ale nicość czai się za progiem

tak bardzo cię kocham tak bardzo

Niedziela, 10 kwietnia, godz. 9.30

— Musieli mi coś podać, chyba stracili cierpliwość. Wybudzam się nagle, jakby ktoś wyciągnął mnie za włosy ze snu, i widzę kroplówkę, jasny płyn sączący się do żył. Kapitan Sauber i porucznik Deresz stoją w nogach łóżka i rozmawiają szeptem. Patrzą na mnie jak na egzotycznego pająka.

— Nareszcie! Odzyskał przytomność — mówi porucznik, zapisując coś w tablecie.

— Zostaw nas samych, Harald. Chcę porozmawiać z pacjentem. — Linda Sauber zamyka drzwi izolatki, zerka na wskazania przyrządów i siada na pustym łóżku obok; zakłada nogę na nogę. — Jak się czujesz, Markus?

— Nie wiem, pani kapitan. Strasznie szumi mi w głowie.

— Chcesz napić się wody?

— Nie, dziękuję. — Przymykam oczy, bo jest mi kurewsko niedobrze. — Chyba będę wymiotował. Mam wrażenie, jakbym siedział na zepsutej karuzeli.

— Obok łóżka stoi miska, nie krępuj się. — Od szefowej szpitala aż bije empatia.

— Ile czasu byłem nieprzytomny?

— Od wypadku upłynęło około sześciu dni. Jest niedziela rano dziesiątego kwietnia. Wczoraj też na chwilę odzyskałeś świadomość. Nawet sięgnąłeś po telefon.

— Nie pamiętam.

— Nie przejmuj się tym.

Pani kapitan otwiera szeroko okno i przypala długiego redsa. Dym dolatuje do mnie momentalnie, ale nie potęguje mdłości. Wywołuje za to znajome ssanie w żołądku. Jestem jednak zbyt słaby, by poprosić o papierosa. No i jestem w szpitalu.

— Co się stało? — zadaję wreszcie najbardziej oczywiste pytanie.

— Muszę stawić się w dowództwie bazy. Nie zdążę ci wszystkiego opowiedzieć ani

wyjaśnić paru spraw, które mnie nurtują. Zostałeś czymś porażony; na razie nie znamy przyczyny, ale opis wskazuje na łuk elektryczny. Twojemu życiu nie zagraża już niebezpieczeństwo. Najbardziej obawiałam się o uszkodzenie mózgu. — Patrzy na mnie przenikliwym wzrokiem, raczej psychiatry niż chirurga. — Musisz wiedzieć, że Person i Kolberg zmarli przed przybyciem MED-u, a stan Rota określiłabym jako ciężki.

Dotykam swojej twarzy, jakbym chciał się przekonać, że pozostała na miejscu. Skóra pod opuszkami palców jest zimna i lekko spocona. Przesuwam dłonią po czole, zarośniętym policzku i brodzie. Potem wkładam palce pod lewą pachę, gdzie wyczuwam zgrubienie opatrunku. Krzywię się z bólu. Kapitan Sauber widzi to i każe zabrać ręce.

— Twój rozrusznik eksplodował podczas wypadku, musiałam go usunąć — mówi spokojnie, jakby to była zwykła informacja. — Nikt o tym nie wie.

Wyrzuca niedopałek przez okno szerokim męskim gestem. Staje nade mną i próbuje się uśmiechnąć, ale bez powodzenia. Smutek dawno wyżarł jej mięśnie mimiczne, sparaliżował jak jad kiełbasiany. Pytam o szeregowego Rota, chociaż wiem, co odpowie. Przenika mnie zimna pewność, że jego umysł nie mógł wyjść z tego cało.

— Miał znacznie mniej szczęścia od ciebie. Leży w sali obok, związany pasami.

— Pani kapitan, czy on zachowuje się jak Wiktor Hynek?

Nie powinna mi udzielać takich informacji, moje pytanie jest kurewsko nie na miejscu. Byłoby znacznie lepiej, gdybym wychylił się z łóżka i zrzygał do miski.

— Tak, kapralu, te same objawy. Nie możemy mu pomóc.

Odwraca się gwałtownie i idzie w kierunku drzwi. Wychodzi bez pożegnania. Wściekła na mnie i na cały świat.

* * *

Środki uspokajające nie działają. Od sześciu dni spalony rozrusznik DBS nie drażni impulsami elektrody w moim mózgu. Już nie chroni mnie chemiczno-elektryczna peleryna, nie wytrawia otoczenia w znajome i bezpieczne wzory. Czuję, jak podziemnymi kanałami, wyżłobionymi w litej skale, cieknie żywa informacja. Wielka, czarniejsza od nocy maszyna przesuwana się o milimetr w czeluściach piekieł. A każdy ruch, nawet małe drgnięcie, tworzy zmarszczkę na rzeczywistości.

Potwór jest ranny, być może umiera powoli, i za każdym razem, gdy próbuje się podźwignąć, wylewa się z niego świetlista krew. Błękitna krew potwora wywołuje szaleństwo, magnetyczne zjawy śmigają w powietrzu. Jest tak wielki, że mógłby przykryć „hełmem boga” całe miasto. Zaciskam pięści, aż trzeszczą kostki palców, bo czekałem na tę chwilę całe życie. Przeczucie silniejsze niż świadectwo zmysłów.

— Kurwa, kapralu! Śpicie z otwartymi oczami?!

Odruchowo podskakuję do góry. Siedzę na łóżku, stopy spuszczone na zimną posadzkę. Dopiero teraz dostrzegam majora Wilmotsa – stoi w drzwiach, wkurzony jak diabli. Musiał coś do mnie mówić, ale nie słyszałem ani słowa. Próbuję wstać.

— Nie podnoś się, Trent — mówi o pół tonu ciszej. — Chciałem sprawdzić, czy jesteś przytomny. Musimy porozmawiać o twoim wypadku.

— Tak jest.

Zagryzam zęby i czekam. W głowie gasną obce myśli i wykrzywione obrazy.

Wilmots przystawia sobie krzesło oparciem w moją stronę. Siada na nim okrakiem i wbija we mnie te wodniste oczy, które mówią ci: na pewno kłamiesz. Nawet jeśli wyspowiadałeś się właśnie ze wszystkiego, łącznie z onanizmem w podstawówce, podpierdalaniami kolegów, byciem lesbijką i paleniem brauna.

— Twoi kumple wracają dzisiaj z Trygelu, będzie niezłe zamieszanie. Dlatego musimy porozmawiać teraz. — Pstryka czymś w kieszeni, pewnie włącza zapis rozmowy. — Gotów, kapralu?

— Muszę wiedzieć. Co z moim plutonem, panie majorze?

— Nikt z PSR-u nie odniósł poważnych obrażeń poza waszą czwórką w Kumiszu. Szeregowy Eldon z Trzeciego Plutonu jest lekko rany w rękę, ale to widziałeś. Wczoraj wieczorem twoja drużyna została ostrzelana na patrolu. Na szczęście obyło się bez strat. — Marszczy brwi. — Myślę, że to wszystko, co powinienesz wiedzieć na tę chwilę.

— Tak jest, panie majorze.

— Dobrze. — Kiwa głową. — Zacznijmy od początku, Trent. Opisz mi, jak doszło do wypadku. Kto wydał rozkaz wejścia do budynku szkoły i jak wyglądało przeszukanie?

Skupiam się i opisuję zdarzenia minuta po minucie. Nie wspominam, rzecz jasna, o swoich przeczuciach ani o rozmowie z sierżantem Golą, zanim wydał rozkaz. Wracam za to do Remarczyka spotkanego na drodze i do pustej wioski, ale Wilmots macha ręką ze zniecierpliwieniem, jakbym mówił o oczywistościach.

Moim zdaniem to wszystko jest powiązane – zniknięcie mieszkańców i nasz wypadek w szkole. Ale dla oficera wywiadu liczą się tylko ostatnie minuty. Jak wyglądały ciała Kolberga i Persona, jakie zjawiska poprzedzały rozbłysk i co czułem przed utratą przytomności.

Mam zajebisty dysonans. Pamiętam przesłuchania po akcji „Jukka”; wtedy czułem wyraźnie, że major spotykał się z nami oficjalnie, jakby urzędowo. Inaczej zadawał pytania i inaczej słuchał odpowiedzi. Tak naprawdę miał głęboko w dupie, co stało się w kryjówce Kalmana. Przyjmował nas za biurkiem szefa kompanii i rządził niepodzielnie.

Tym razem przyszedł sam, pofatygował się do zwykłego żołnierza, a każdemu pytaniu towarzyszy napięcie. Dopytuje o szczegóły, wychwytuje nieścisłości.

Po godzinie maglowania jestem cholernie zmęczony.

Major widzi to i w pewnej chwili odpuszcza. Wyłącza nagrywanie, wykrztusza z siebie „Dziękuję” i wręcza mi wizytówkę. Na szarym kartoniku widnieje nazwisko „Wilmots” i numer telefonu; nawet na imię zabrakło tu miejsca.

— Gdyby coś ci się przypomniało, Marcus, dzwoń bez względu na porę.

— Ale co, panie majorze?

— Jakiś szczegół, który pominąłeś, cokolwiek. Może dowiesz się czegoś w rozmowie z kolegami. Twardy z ciebie żołnierz i bystry dowódca, nie wahałeś się ruszyć z misją ratunkową. — Zastanawia się nad czymś przez chwilę. — Pomysł z linami był świetny i myślę, że właśnie dlatego przeżyłeś.

Chciałbym krzyknąć, że liny nie uratowały Rota, ale przecież nie wiem tego oficjalnie. Nie wiem nawet, czy chłopaki wyciągnęli Jima razem ze mną. I jaki wpływ na mój stan miał krótszy czas ekspozycji, a jaki – metalowy pręt, który miałem w mózgu.

Muszę się tego dowiedzieć, poskładać wszystko w całość.

Poniedziałek, 11 kwietnia, godz. 10.05

Nie spotkałem się z chłopakami od razu. Kapitan Sauber podała mi środki nasenne i wczoraj przespałem ich przyłot – wrócili późno, krótko przed północą. Dopiero rano sierżant Gola, Puric i Rozwielitka przyszli do szpitala, żeby zabrać mnie na wypis. Witaliśmy się serdecznie, jakby upłynął rok od rozstania; uściski i poklepywania po plecach. Chwiałem się jeszcze na nogach, ale było dobrze. Teraz siedzę ze swoją drużyną w koszarach, przy tak zwanej recepcji, pijemy bezalkoholowe siki i rozmawiamy o ostatnich dniach.

Co jakiś czas ktoś z plutonu podchodzi do nas, przystaje na chwilę i pyta mnie o zdrowie. Ja wypytuję o wydarzenia z Trygelu. Czułbym się nie najgorzej, gdyby sytuacja nie była tak trudna. Nastroje chłopaków wahają się od radości, że wrócili cało, do zupełnego załamania i wkurwienia, że stracili kolegów. Nie w otwartej walce, lecz w dziwnym wypadku.

Dowiaduję się przede wszystkim, że kiedy Rot i ja zostaliśmy porażeni, Gaus i Puric natychmiast nas wyciągnęli. Byliśmy w bardzo kiepskim stanie, ale Jim nie stracił nawet przytomności. Bełkotał coś do nich bez sensu. Podobnie zresztą jak kapral Talko, który całkowicie się rozkleił i przestał wydawać rozkazy.

Nie mogli pomóc chłopakom z Drużyny Jeden, więc zaczęli na sierżanta. Rozpętało się prawdziwe piekło, część oddziału ogarnęła panika. Ostin, Gola i Sewerin zarządzili przeszukanie wioski, żeby znaleźć coś, czym dałoby się wyciągnąć Persona i Kolberga. Na jednej ze stodół wisiał stary bosak, ale z bazy Erde spłynęły rozkazy, żeby czekać. Pod żadnym pozorem nikomu nie było wolno wchodzić do budynku. Po godzinie przyleciały trzy śmigłowce – jeden MED-u i dwa Oddziałów Specjalnych. Razem z „osami” zjawił się kapitan Max Basky i porucznik Maja Budny z Wywiadu Wojskowego, którą zdążyliśmy poznać.

— Wszystko wyglądało na zaplanowaną akcję — mówi Gola, który właśnie przysiadł się do nas. — OS-owcy mieli grube hełmy, na moje oko wykonane z ołowiu, i coś w rodzaju kombinezonów z folii aluminiowej. Weszli w tym ustrojstwie do budynku i wyciągnęli ciała chłopaków. Obaj byli martwi.

— Chuja tam, nie przebicie instalacji! — odzywa się nagle Puric. — Mam rację,

panie sierzancie?

Patrzę na nich pytająco.

— Oficjalna wersja głosi, że w szkole spieprzyła się instalacja wysokiego napięcia, zasilająca w zimie ogrzewanie. Podobno poszło po zbrojeniu w ścianach i w podłodze — wyjaśnia Gola. — Powiedzieli coś na odpierdol, żeby zamydlić nam oczy, bo nie udało się ukryć interwencji OS-ów.

— Pierdolone skurwysyny. — Gaus strzyka śliną pod nogi.

— Ostin prawie rzucił się na kapitana Basky'ego. Kurwił jak szewc, wrzaski było słychać przez ścianę budynku — kontynuuje sierżant. — Nigdy go takiego nie widziałem. Myślę, że mało brakowało, a nie wykonałby dalszych rozkazów. W końcu zapakowaliśmy się do cassabianów i poleciliśmy do Trygelu. Reszta oddziału pojechała w konwoju. Waszą czwórkę, kaprała Talko i szeregowego Martinsa, którzy się posypali, wraz z naszą Nemi załoga MED-u zabrała do bazy Erde.

— A co z Ballardem?

— Drugi raz skasowało mu drużynę. — Gola kiwa głową. — Poleciał z nami do Trygelu, przydzieliłem go do was. Siedzi od rana w dowództwie bazy, a te złamane chuje z wywiadu wypytyują go w kółko o to samo.

— I co teraz, panie sierzancie? — pyta Norman, który stoi za moimi plecami.

— Wszyscy, którzy byli na akcji, otrzymali trzy dni odpoczynku od służby. Czekamy na rozkazy i uzupełnienia. W czwartek wrócimy pewnie do regularnych patroli. Markus, dasz radę objąć swoją drużynę?

— Myślę, że tak, panie sierzancie. Powinno być dobrze.

— Cieszę się. — Gola wstaje ciężko z fotela. — Idę się teraz czegoś napić. Czegoś, kurwa, normalnego z prądem, a nie tych szczochów z kantyny. Odpoczywajcie panowie i pomódlcie się za kolegów.

Lars i Peter zarządzają koniec posiedzenia i zabierają mnie do pokoju. Rzucam się ciężko na łóżko, bo nie jestem jeszcze w formie. Chce mi się rzygać, w głowie lata helikopter. Lars odpowiada na niezadane pytanie i informuje obojętnie, że Nemi bardzo przeżyła mój wypadek. Dostała od dowództwa tydzień urlopu i powinna wrócić jutro.

* * *

Nie brałem udziału w popołudniowych ćwiczeniach. Zjadłem lekką kolację i stanąłem pod budynkiem kantyny. Palę papierosa, patrząc na czerwieniące się wieczorne niebo. Dzisiaj trochę padało, w zagłębieniach terenu stoją ciemne kałuże, ale przed chwilą chmury popłynęły dalej; jest przyjemnie i rześko, dwadzieścia stopni ciepła.

Od strony koszar zbliża się Ballard, macha do mnie i uśmiecha się szeroko. Nie wiem, czy tak cieszy go mój widok, czy po prostu jest szczęśliwy, że przesłuchanie z majorem Wilmotsem dobiegło wreszcie końca. Nie wytrzymałbym na jego miejscu aż tyle. Tłumaczenie setki razy, dlaczego wszedł do budynku i co sądzi o zachowaniu

kaprala Talko, może człowieka zabić skuteczniej niż największa anomalia. Wszedł, bo mu kazano, a jego dowódca to nieprzygotowany do służby amator. Co więcej można tu dodać?

— Markus! Dobrze cię widzieć — woła z daleka i wita się serdecznie.

— Ciebie też, Chris. — Klepię go po plecach aż dudni. — Dali ci wreszcie spokój?

— Dwie godziny temu, jebani formalisci. Ale musiałem pozałatwiać sprawy związane z przydziałem i zdać parę gratów należących do Jedynki. — Nagle poważnieje. — Wiesz o wszystkim, co się stało, prawda?

— Wiem. — Częstuję go papierosem, bo trudno wymyślić coś mądrego. — Dobrze, że trafiłeś do nas. Co więcej mogę ci powiedzieć?

— Kurwa, Markus... — Zaciąga się mocno. — Czuję się, jakbym był przeklęty. Najpierw Lotty i kumple na targowisku, potem Romerowi upieprzyło głowę, a teraz to: dwóch zginęło, dwóch wysłali do szpitala.

— Słyszałem, że Martins wrócił. Ma dołączyć do chłopaków z Admirum. — Nie wczuwam się w rozkminy Chrisa. — Likwidują wysuniętą placówkę i jedna drużyna trafi do naszego plutonu. Sierżant wspomniał o tym przy kolacji.

Opowiadam Ballardowi, czego dowiedziałem się w Admirum o wypadku Wiktora Hynka. Słyszał o nim, nie jest zaskoczony. Rozmowa schodzi od razu na Kumisz i dziwne ślady na ścianach. Zastanawiamy się, co nas spotkało w tej zasranej szkole, a przede wszystkim, gdzie się podzieli mieszkańcy. To niemożliwe, żeby satelity i drony tego nie zarejestrowały. Dowództwo musi coś wiedzieć, tylko nabrało wody w usta.

Żołnierska podejrzliwość.

Chociaż nie znam Chrisa zbyt dobrze, ufam mu w tej sprawie jak nikomu innemu. On też czuje, że coś jest nie tak. Na pustyni Saladh od dawna dzieją się rzeczy, o których nikt nie wspomina oficjalnie, jestem tego pewien. Może nawet od samego początku, od Pierwszego Kontyngentu. To, że Oddziały Specjalne zjawily się w pełnym rynsztunku, tylko potwierdza moją teorię.

— Nie mieli czasu, żeby polować na Joszuję Kalmana, ale do zapyziałej wiochy na pustyni przylecieli od razu.

— Właśnie tak. — Chris kiwa głową. — Wpadliśmy centralnie w szambo.

— Trasa przemarszu była z góry ustalona. Nie wiem, co o tym myśleć.

Mówię mu, że prowadzimy z Nemi małe śledztwo. I jeśli nawet niczego się nie dowiemy, lepiej robić cokolwiek, niż stać z założonymi rękami. Nie muszę zachęcać Ballarda do współpracy. Ma zajebistą paranoję, może nawet większą od mojej.

Środa, 13 kwietnia, godz. 21.50

Wysunięta Placówka Admirum padła dziesiątego kwietnia. Partyzanci Garcii przypuścili na nią wściekły atak, ostrzelali z RPG i z moździerzy. Zanim zjawily się feniksy i śmigłowce, zginęła połowa załogi. Jako jeden z pierwszych poległ porucznik

Lumstin, który wracał z punktu kontrolnego; potem również sierżant Michalic i kapral Jome. Rozmawialiśmy z nimi miesiąc temu, na początku marca. Doktryna Widoczności zbiera krwawe żniwo.

Opowiada o tym Adam Werner, który zameldował się właśnie w koszarach ze swoimi ludźmi. Zaprosiliśmy go do „małej świetlicy”, żeby powitać w plutonie na miarę naszych skromnych możliwości. Na stole pojawiła się mętna remarska wódka i krakersy. Lars, Peter i ja patrzymy na spieczoną twarz kaprała, po której przebiegają nerwowe tiki, i pewnie wszyscy zastanawiamy się teraz, czy w Kumiszu naprawdę spotkał nas tak straszny los.

Podczas ataku na Admirum zginęło szesnastu ludzi, a kapral Dreyfuss przepadł bez wieści; być może trafił do niewoli arejczyków. Biorąc pod uwagę wcześniejsze straty i koszmarną sytuację przez ostatnie trzy miesiące, można powiedzieć, że kapral Werner wrócił z piekła. Powinien zostać odznaczony Krzyżem Walecznych i odesłany do domu, a nie trafić do PSR-u. Tak czy owak, chociaż widzę trzęsące się dłonie i słyszę pojedyncze zacięcia, gdy mówi, cieszę się, że właśnie on obejmie Drużynę Jeden, a nie kolejny patałach z łapanki.

Po kilku głębszych uspokaja się trochę i rozluźnia. Dziękuje za przyjęcie i prosi nieśmiało, żebyśmy pomogli mu w najbliższych dniach, bo cały czas służył na prowincji. Patrowanie dużego miasta to dla niego nowość. Aż mi się nie chce wierzyć, że ten zaprawiony w boju żołnierz może czuć się mniej doświadczony od nas.

— Jeszcze będziemy się od ciebie uczyć — wyraża głośno nasze myśli Lars. — A w ogóle, to powinieneś dostać ze dwa tygodnie urlopu po tej rzeźni.

— Nie chciałem wolnego — mówi cicho Werner. — Rozleciałbym się, kurwa, na kawałki. Moje chłopaki też zrezygnowali. Nie umiem wam tego wytłumaczyć.

— Niczego nie musisz tłumaczyć — dodaję od siebie. — Chcemy tylko, żebyś wiedział, że możesz na nas liczyć, i tak dalej.

— Dzięki, panowie. Muszę się trochę ogarnąć i będzie OK.

— Ogarniaj się, ile chcesz! — wołam wylewnie, bo na stole stoi trzecia flaszka.

W tym momencie otwierają się drzwi i wszyscy zamieramy. Do pokoju wchodzi sierżant Gola. Patrzy na nas z krzywym uśmiechem, a potem każe zamknąć ryje i wypierdalać do łóżek. I to chyłkiem, pod ścianą, żeby nas służba wartownicza nie podkablowała.

Jeśli ma o coś pretensje, to o głośne zachowanie i o to, że jutro rano będziemy skacowani na mieście. Obiecuje wpierdol na porannej zaprawie, żebyśmy wypocili z siebie tę głupotę. A potem sam wypija szybko dwa kieliszki.

Piątek, 15 kwietnia, godz. 9.35

Na pierwsze wezwanie wyruszamy dopiero w piątek. Wczoraj obstawialiśmy transport zaopatrzenia i kontrolowaliśmy wywóz śmieci. Korowód odrapanych,

pomarańczowych śmieciarek wymagał dokładnego sprawdzenia przed bramą i eskorty wewnątrz bazy. Sierżant załatwił nam dzień służby w Erde, żebyśmy doszli do siebie. Chodził od rana porządnie wkurwiony, więc na wszelki wypadek stawaliśmy się przezroczyści, kiedy się pojawiał.

Przy okazji dał czas Wernerowi i jego ludziom na krótką aklimatyzację. Pozałatwiali formalności, pobrali nowe mundury, broń i wyposażenie. Ernst Haller i Bartos Polok to starzy żołnierze, ogarnęli się bardzo szybko. Trochę gorzej było z Grimmem – jednym z szóstki chłopaków przywiezionych w marcu w ramach uzupełnień, i jedynym, który pozostał z niej przy życiu. Nie wydaje mi się, żeby był w dobrej formie. Do tej czwórki dołączył Artur Martins i Drużyna Jeden została skompletowana. Armia załatała dziurę.

W Harmanie od kilku dni panuje względny spokój, ale dzisiaj ktoś postanowił go zakłócić. Zostaliśmy wezwani do awantury na placu Przymierza, niedaleko ratusza, z którą nie radzi sobie lokalny patrol policji. Kiedy podjeżdżamy dwoma skorpionami, pierwsze, co zauważam, to płonąca osobówka zaparkowana na chodniku. Banda kibiców obrzuca kamieniami rammańskich funkcjonariuszy; dwóch policjantów kryje się za radiowozem.

Samo pojawienie się SSARR wywołuje wśród napastników panikę. W życiu nie widziałem tak szybko uciekających gówniarzy. Wystarczyło, że przeładowaliśmy MBS-y. Jeden z nich potyka się w pełnym biegu i uderza głową o betonowy śmietnik. Zalanego krwią i mocno ogłuszonego chuligana Gaus odstawia policjantom z wyrazem zadowolenia na pysku. Lars wchodzi do narożnego sklepu, żeby zrobić niewielkie zakupy. Wraca stamtąd z siatką wypełnioną łuskanymi orzechami, którą dostał za przepędzenie łobuzów. Właściciel warzywniaka był podobno bardzo wdzięczny za pomoc.

Kontyngenty Pierwszy i Drugi wyglądały właśnie w taki sposób. Chłopaki musieli rozbierać miny, likwidować niewybuchy i czyścić całe połączenie ziemi z kleszczy, ale miejscowi zachowywali się przyjaźnie. W końcu wyrzuciliśmy z ich kraju najeźdźców i zaprowadziliśmy względny spokój. Teraz przejawy sympatii zdarzają się coraz rzadziej. Ataki na patrole mnożą się, a pospolita przestępczość kwitnie. Myślę, że już dawno powinniśmy wynosić się z tego kraju. Najwyżej zawali się pod własnym ciężarem.

Dostajemy rozkaz przez radio, żeby jechać kilka przecznic dalej; trwa tam przeszukanie jakiegoś budynku. Pakujemy się szybko do wozów i pędzimy na miejsce, gdzie dotarły wcześniej drużyny Usila i Wenera. Zamykamy ulicę z dwóch stron, podczas gdy patrol żandarmerii wyciąga z kamienicy kilku mężczyzn. Nie mam pojęcia, co robią tutaj żetony, ale widzę, że popisują się przed nami ustawianiem aresztowanych pod ścianą. Towarzyszy temu dużo wrzasków, rzucanie wszystkich na glebę i podnoszenie ich do przeszukania. Ja bym załatwił to szybciej i o wiele ciszej.

Moje myśli odpływają do naszej tłumaczki. Nie wróciła po tygodniu; musiałem zapytać sierżanta, czy coś wie. Okazało się, że przedłużyła urlop „z ważnych powodów rodzinnych”. Coś musiało się wydarzyć, może nawet coś złego. W tym cholernym

i nieobliczalnym kraju bardzo łatwo stracić bliskich. Albo to zwykły wypadek, złamanie nogi przez matkę, długi i bolesny poród siostry. Tak myślę i uświadamiam sobie, że chciałbym wreszcie spotkać Nemi Seelberg.

(Widzę gwałtowny ruch w grupie aresztantów. Głowę przeszywa mi ból, błękitne płatki wirują przed oczami. Jeden z Remarczyków podrywa się nagle z nożem w rękę. Facet w czerwonej bluzie i w czarnym bezrękawniku doskakuje z krzykiem do najbliższego żandarma i podcina mu gardło szerokim chłaśnięciem. Czas spowalnia i krzepnie jak krew, stojący wokół ludzie nie zdążyli zareagować. Nożownik biegnie w kierunku kolejnego żołnierza. Właśnie bierze zamach, by wykonać cięcie. Zgrzytam głośno zębami).

Błękitne płatki roztapiają się i realistyczna wizja znika. Facet w czerwonej bluzie leży nadal wśród swoich kompanów, zadzierając głowę. Teraz wiem, że czeka na nadarzącą się okazję. Obserwuje otoczenie, by zaatakować.

Podbiegam do sierżanta żandarmerii o nazwisku Mauser, który kieruje całą akcją, i wskazuję Remarczyka. Proszę, żeby go porządnie przeszukali.

— Nie ma potrzeby, kapralu — mówi zarozumiały sukinsyn z białą obwódką na hełmie. — Już przeszukaliśmy go dokładnie. Znamy się na swojej pracy.

— Ja wiem, panie sierżancie, ale ten facet przypomina mi bandytę, którego zdjęcie gdzieś widziałem — wymyślam na poczekaniu. — To kawał chuja i nożownik. Co panu szkodzi przetrzepać go jeszcze raz?

Żandarm patrzy na mnie z ironicznym uśmiechem. Czuję, że spojrzenia jego ludzi oraz chłopaków z mojego plutonu skupiają się na nas. Teraz wszyscy czekają, co powie. Czy każe mi się odpieprzyć, czy wręcz przeciwnie, posłucha rady zwykłego kaprala z piechoty.

— Tylman, przeszukaj jeszcze raz tego gnoja! — woła do jednego ze swoich. — A ty, mądralo — zwraca się do mnie — wisisz nam paczkę fajek za fatygę, jeśli nic przy nim nie znajdziemy.

Doskonale wybrnął z sytuacji, wojskowy filozof.

— Bardzo chętnie — mówię spokojnie, patrząc mu głęboko w oczy.

— O, kurwa! — woła kapral Tylman, który właśnie wytrząsnął z rękawa aresztanta długi nóż. — Jak on schował taką kosę?

Chwila ciszy.

— Który żołnierz przeszukiwał tego skurwysyna? — Sierżant Mauser nagle traci wybitne opanowanie. — Co za jebany upośledzony patałach?!

— Ja — odzywa się któryś z żetonów.

Wolnym krokiem wracam na swoją pozycję. Nie chcę ponizać sierżanta i udowadniać, że się mylił. Ani komentować całej sytuacji. Najbardziej obawiam się pytań o to, skąd wiedziałem o nożu, ale Mauser zachowuje się normalnie. Sprzedaje Remarczykowi potężnego kopa w brzuch, pakuje wszystkich do więźniarek i na koniec podchodzi do mnie.

— Dziękuję — mówi po prostu, ściskając mi dłoń.

— W porządku — odpowiadam.

Samochody zandarmerii omijają nasze skorpiony i kierują się w stronę bazy Centaur. Dopiero kiedy znikają za rogiem, moi kumple odzyskują głos i zadają to niewygodne pytanie:

— Na jakim zdjęciu go widziałeś, Markus?

— Coś mnie tknęło. — Wzruszam ramionami. — Nie widziałem go na żadnym zdjęciu.

— Jesteś pierdolonym jasnowidzem — woła Usil, wskakując do wozu.

Niedziela, 17 kwietnia, godz. 15.05

Zaszywam się w świetlicy i wybieram numer rodziców. Czekam długo, aż ojciec podejdzie do aparatu i raczy odebrać. Mam wrażenie, że przerwałem mu jakąś ważną czynność. Nie zdziwiłbym się chyba, gdyby mnie nie poznał.

— A, to ty, Markus — mówi trochę nieprzytomnie. — Wiesz, trochę się zdrzemnąłem. Mama zresztą też. Oglądaliśmy właśnie serial w telewizji i tak nas jakoś zmoгло. To chyba ta pogoda, dzisiaj jest niskie ciśnienie.

Przygotowuję w głowie wielkie łgarstwo, które może się okazać prawdą.

— Tato, chciałem ci powiedzieć, że cofnęli nam urlopy. Mówiłem ci wcześniej, że pewnie przyjadę na waszą rocznicę, ale się nie uda. Za dużo się teraz dzieje.

— Oj, to szkoda, mama będzie bardzo zawiedziona.

— No, niestety. — Wzdycham do telefonu. — Może za jakiś miesiąc, dwa.

— A powiedz mi jeszcze, synku, jak się czujesz. Bo u nas wszystko po staremu. Mamę boli w krzyżu, stara się o sanatorium i chyba doktor Schmidt jej wreszcie wypisze skierowanie. Na razie chodzimy na masaże, trzy razy w tygodniu.

— U mnie też po staremu, tato. Wszystko w porządku.

— No, to dobrze, bardzo się cieszę. Przekażę wszystko mamie, kiedy się obudzi.

— To trzymaj się, tato. Uściskaj mamę i do usłyszenia.

— Do usłyszenia. — Szybko odkłada słuchawkę.

Kiedy kończymy rozmawiać, znowu mam gulę w gardle.

Poniedziałek, 18 kwietnia, godz. 12.25

Dzieci są najbardziej wkurzające i trudne do opanowania. Zapędziliśmy się na skwerek na zapleczu szkoły podstawowej, gdzie podobno widziano samochód z Muratem Haszija, numerem dziesięć na liście naszego wywiadu. Oczywiście, samochodu ani śladu, ale czekamy aż do odwołania akcji. Słyszę dzwonek, dzieciaki właśnie wybiegają na przerwę.

Od razu zauważają trzy skorpiony za siatką boiska. Biegają do nas ile sił w nogach. Lars byłby zachwycony, jest bardzo rodzinnym facetem, ale akurat wysłali go w innym

kierunku. Są tu trzy pozostałe drużyny. Mam wrażenie, że od tego wrzasku, który rozlega się kilka metrów dalej, Adam Werner zaraz dostanie apopleksji. Kilkudziesięciu spalonych słońcem uczniów krzyczy do nas i macha rękami za ogrodzeniem.

Najsprytniejsi wpadli na manewr ominięcia. Niczym inteligentne ośmiornice. Nie ruszyli w stronę siatki, lecz przebiegli szkolnym korytarzem albo znaleźli jakąś dziurę i teraz pędzą chodnikiem w naszą stronę. Po chwili otaczają patrol ciasnym kręgiem.

— Pan daje cukierki, daje czekolada.

— Ty nasz przyjaciel, jest dobry.

— Oni mówią po rammańsku? — dziwi się Norbert Grimm.

— Znają kilka wyrazów, nie więcej — odpowiada Puric.

Tymczasem rozzuchwalone dzieciaki podchodzą jeszcze bliżej. Klepią w blachę samochodów, łapią nas za rękawy. Werner robi wielki błąd i wyciąga z kieszeni kamizelki batonik; wręcza go małej dziewczynce. Wybuchają istne pandemonium, teraz wszyscy chcą go dostać. Albo dostać coś innego, nieważne, byle tylko nie wrócić z pustymi rękami.

— Nie mam więcej, naprawdę, nie mam — tłumaczy im Werner.

— Pan daje, pan daje!

— Da pieniądze, dziesięć vianów! — żąda chłopak z przodu grupy.

— Nie ma mama, nie ma tata, ty przyjaciel.

— Dobra, kurwa jego mać, dosyć tego! — denerwuje się Gaus.

Zarzuca karabin na ramię, wyciąga ze spodni wojskowy pas i strzela nim mocno o błotnik skorpiona. Huk jest tak głośny, że przebija się nawet przez wrzaski. Dzieci momentalnie odskakują na odległość kilku kroków i zaczynają pluć w naszą stronę.

— Ty chuja! — krzyczy chłopak od vianów.

— Twoja stara pierdoli się dupa.

— Ssij kulasa!

Aż się zataczamy ze śmiechu.

— Chyba „kutasa”, malutki? — woła Usil.

— Ssij kulasa, ssij kulasa! — niesie się chóralny okrzyk.

Wtedy rozbrzmiewa dźwięk dzwonka i cała gromada przepada w ciągu kilku sekund. Tak jak wcześniej biegli na złamanie karku do nas, tak teraz uciekają z powrotem na lekcje. Trzeba przyznać, że poczucie obowiązku zwyciężyło przez nokaut. Albo te zajęcia są takie ciekawe, albo remarscy nauczyciele nie szczędzą dzieciakom dyscypliny.

Jeszcze przez chwilę nie możemy ochłonąć po najeździe Hunów. Sierżant Gola, który całe zamieszanie przetrwał w samochodzie, wychyla się przez okno i woła nas do siebie. Przekazuje informację, że Murat Haszija został zastrzelony na drugim końcu miasta przez oddział sierżanta Sewerina, z którym była drużyna Normana. Zginęło trzech terrorystów, żaden z naszych żołnierzy nie odniósł obrażeń.

A więc nic tu po nas. Wracamy do skorpionów i ruszamy z powrotem do bazy. Nikomu już nie jest do śmiechu. Nastroje w Remarku bardzo szybko ulegają zmianie,

toczymy tutaj wojnę maniakalno-depresyjną.

* * *

Wieczorem Usil nie robi mi dzikiej awantury. Po prostu, rzuca kilka przekleństw i odwraca się do ściany na swoim tapczanie. Jest wściekły, że w Palat Gorga pobiliśmy Oskara Benesa, zamiast przyjść z tym do niego. Co ciekawe, to nie Benesz poskarżył się dowódcy; mały Albin, którego chroniliśmy przed prześladowaniem, wygadał się dzisiaj przypadkiem. Kuriozalna sytuacja, ale nie mam żalu do Hockego. Nie prosił nas o interwencję, sami podjęliśmy tę decyzję.

— Peter, nie przyszedłś wtedy do ciebie, bo sam nie dałbyś rady. To kawał bydlaka.
— Próbuję załagodzić sytuację.

— Spierdalaj, Markus. Myślałem, że jesteście kumplami.

— Dobrze wiesz, że to nie było przemyślane. Czasem człowiek działa w stresie i robi rzeczy, których potem żałuje.

— Nie zrobiliście tego przypadkiem. Przygotowaliście się.

— Odjechało nam na tej pustyni. — Osiągam tyle, że odwraca się do mnie i patrzy złym wzrokiem. — Zresztą, nic mu się nie stało. Może tańczyć i fikać fikołki.

— Powinienem pójść z tym do sierżanta i powiedzieć mu o wszystkim.

Coś głęboko we mnie przeskakuje, jakby niewidzialna ręka wyłączyła światło.

— Peter, kurwa mać, powiem ci, co powinienes! Powinienes zareagować, a nie udawać, że nie ma problemu. Dobrze, że Lars coś zauważył, bo bydlak by zamęczył młodego. Gdzie ty miałeś oczy, w dupie?

— Nie pouczaj mnie, kurwa!

— Nie mam zamiaru. Idę się przewietrzyć. — Wstaję z łóżka, naciągam spodnie i buty. — Nie żałuję tego, że spuściliśmy mu wpierdol. Tylko tego, że ci nie powiedziałem.

Wychodzę z pokoju i w pierwszej chwili skręcam do swoich chłopaków. Ale potem schodzę na parter, przecinam hol i przypalam papierosa przy wejściu do koszar. Zaraz będzie cisza nocna i wartownicy zaczną gonić kręcących się maruderów.

Myślę, co bym zrobił, gdyby Oskar Benesz zaczął się tutaj na mnie. Czy walczyłbym w milczeniu i poległ z jego ręki, czy zaczął się drzeć jak ostatnia łajza. Nie jestem pewien, bo człowiek nigdy do końca nie wie, jak się zachowa w obliczu zagrożenia. Na razie sukinsyn unika spotkania jak ognia. Ale doszły mnie słuchy, że groził Trumanowi i Ince ze swojej drużyny. O tym pewnie Peter też nie ma pojęcia.

Benesz nie poskarżył się nikomu. Wstyd i wściekłość nie pozwoliły mu szukać ratunku; musiałby się przyznać, że wyciągnęliśmy go z kibla z gołym tyłkiem i upodliliśmy na całego. Ale mogę się założyć, że każdego dnia planuje zemstę. Ludzie tacy jak on nigdy nie zapominają upokorzeń. Teraz pomysł, żeby załatwić sprawę po swojemu, nie wydaje się już taki dobry jak wtedy podczas akcji. Będzie trzeba w końcu

coś z tym zrobić.

Słowami Petera nie przejmuję się tak bardzo, bo po pierwsze, mam większe zmartwienia, a po drugie, sierżant Gola raczej opieprzyłby jego niż nas. Co innego, gdyby Beneszowi stało się coś poważnego. Wtedy mielibyśmy przechlapane i wylądowali w pace.

— Markus? — kobiecy głos wyrywa mnie z zamyślenia.

Odwracam się i widzę Nemi, która wyszła właśnie zza rogu budynku.

— Wróciłaś!

Podbiegam do niej i ściskam mocno, z całej siły, aż brakuje jej tchu.

* * *

Chłopaki, trzymający wartę przed budynkiem personelu cywilnego, tylko uśmiechają się znacząco. Na wszelki wypadek odchodzą gdzieś dalej, żeby nie zadawać głupich pytań. Ilu z nich zagląda do pokoiów dziewczyn? Na pewno niejedną. Słyszałem o sierżancie, który upił się w Bazie Omah w Jonie i rano nie stawił na zbiórkę. Znaleźli go w łóżku młodej pielęgniarki, miss szpitala. Wielki przypał i jeszcze większe kłopoty, ale sława do grobowej deski.

Wchodzimy na pierwsze piętro, Nemi ciągnie mnie za sobą do pokoiku na końcu korytarza. Zamyka drzwi i ściąga ze mnie koszulkę. Nic nie mówi, tylko mruczy cicho, co doprowadza mnie do szaleństwa. Pozbywamy się ubrań w ekspresowym tempie i spleceni ze sobą lądujemy na tapczanie. Coś trzaska pod nami, ale kto by się tym martwił. Trwa wojna i straty są nieuchronne. Cały drzę, kiedy wchodzę w dziewczynę i zalewa mnie mdląca przyjemność.

Najpierw leży pode mną na plecach. Potem przekręca się na brzuch i wypina kształną pupę. Uderzam w jej pośladki z taką zawziętością, jakbym chciał wejść do środka całej. Nie jęczy teatralnie, jak wiele innych kobiet, raczej wzdycha. I ten niski, koci pomruk. Zaciska palce na prześcieradle i porusza się rytmicznie. Mam wrażenie, że zwariuję z podniecenia.

Kiedy jest po wszystkim, leżymy w pomiętej pościeli. Ja, spocony i zdyszany jak pies, i ona, pachnąca i ciepła. Przytula się do mnie, mówiąc rzeczy, które tak bardzo pragnąłem usłyszeć: że martwiła się każdego dnia i że długo czekała na tę chwilę.

Strasznie boję się odezwać, nie chciałbym wszystkiego zepsuć. Boję się nawet poruszyć, chociaż trochę drętwieje mi ręka. Chciałbym zabrać stąd Nemi i wyjechać gdzieś, na drugą stronę kuli ziemskiej. Albo przynajmniej otoczyć ją niewidzialną barierą. Wiem, że teraz będzie mi jeszcze trudniej tu być.

Pijemy wodę z pogniecionej butelki i palimy papierosy w oknie, chociaż to surowo zabronione. Nemi opowiada o pobycie w domu i pogrzebie ukochanej babci. Urlop przedłużyła jednak, żeby pojechać do Portsailu, do Centralnej Biblioteki Publicznej.

Znalazła jakiś materiał dotyczący Filipa Meyera i pustyni Saladh. Wybrała się w tę

ryzykowną podróż dla mnie, żeby wyjaśnić wypadek w Kumiszu. Nie wspomina o tym, ale to oczywiste i jestem jej bardzo wdzięczny. Nasze cienie połączyły się ze sobą. I nawet jeśli rozdzieli nas życie lub śmierć, w jakiejś części będziemy należeć do siebie.

W końcu wymykam się do koszar z ciężkim sercem, a jednocześnie – lekki jak piórko.

Piątek, 22 kwietnia, godz. 11.05

Droga wylotowa na Saddrę znajduje się na południu Harmanu i nie różni zasadniczo od innych dróg wylotowych, poza północną obwodnicą miasta. Jednopasmówka, spękany asfalt, niska zabudowa, w której przeważają połatane blachą magazyny, puste hurtownie i punkty usługowe. Po obu stronach rosną karłowate sosny i palmy. Ruch wyłącznie lokalny, bo dalej na południe, oprócz kilku wiosek, znajdują się góry i nie przechodzi tędy żaden tranzyt.

Pędzimy po dziurawej nawierzchni, drużyna Larsa i moja; policyjny konwój wpadł pół godziny temu w zasadzkę i został ostrzelany. Zaszli się w jakimś przydrożnym zajeździe. Mają rannych i boją się ruszyć dalej. Zostaje nam do pokonania jeszcze parę kilometrów, kiedy przychodzi rozkaz powrotu. Krzyczę przez radio, że zaraz będziemy na miejscu, ale oficer dyżurny nie chce dyskutować. Coś stało się w bazie Centaur, rebelianci przypuścili atak. Mamy natychmiast tam jechać i wesprzeć inne oddziały.

Daję sygnał, żeby stanąć na poboczu. Naradzam się chwilę z Normanem.

— Chuja tam! — mówię do Ballarda po powrocie do skorpiona. — Jedź dalej. Za kilka minut pojedziemy pod hotelik. Zabieramy Remarczyków i prujemy z powrotem.

— Tak jest. — Chris kiwa głową.

Puricowi każę po dotarciu na miejsce przekazać dowódcy konwoju, że mają dosłownie pięć minut. Jeśli nie zdążą się zebrać, następny patrol może przyjechać po nich jutro albo wcale. W tym burdelu nigdy nie wiadomo, co się stanie.

Kiedy wjeżdżamy na parking, widzę policyjne samochody – dwa radiowozy i jedną furgonetkę – zaparkowane przed wejściem do budynku. W naszą stronę biegnie siwy kapitan, dowódca oddziału. Okazuje się, że mówi trochę po rammańsku, więc nie muszę korzystać z pomocy Daniela. Jakoś się dogadujemy.

— Straszne, straszne — powtarza Remarczyk. — Nasi koledzy ranne. Cieszy się bardzo, że wy tutaj jesteście.

— Macie pięć minut! — krzyczę, pokazując na zegarek. — Pięć minut, kapitanie. Musimy zaraz wracać do Harmanu. Rozumie mnie pan?!

— Tak, rozumie. — Potrząsa energicznie głową.

— Co wy tutaj robiliście? — pytam, biegnąc za nim do odrajanego hotelu.

— Atak na pieniądze z Saddra.

— Ilu napastników?

— Cztery auto. Dużo ludzi, ale uciec na południe.

Może ktoś ich ostrzegł, że nadciąga odsiecz, dlatego się wycofali. To nie musieli być rebelianci, tylko zwykli zasrani bandyci. Jeśli ktoś puścił farbę, że konwój z pieniędzmi jedzie z miasta do miasta, można było się tego spodziewać.

W restauracji widzę kilkunastu funkcjonariuszy. Ściskają w dłoniach pistolety i stare karabiny maszynowe. Trzej ranni, mocno zakrwawieni, leżą na podłodze. Właściciel, starszy facet z wyraźną łysiną, siedzi z dziećmi w kącie, patrząc na to przerażonym wzrokiem. Kapitan wydaje pośpieszne rozkazy i w pomieszczeniu robi się spore zamieszanie. Policjanci biegną do samochodów, potrącając się nawzajem. Wynoszą rannych i kilka worków z pieniędzmi, które zabrali ze sobą.

Moi ludzie pomagają im zapakować wszystko do pojazdów. Drużyna Dwa kontroluje sytuację na drodze. Do tej pory przejechały dwie osobówki i skuter. Jeden z radiowozów na parkingu okazuje się niesprawny, ma opony i chłodnicę podziurawione przez kule, więc policjanci muszą go zostawić. Upychają rannych i część oddziału do furgonetki.

— Gdzie jest najbliższy komisariat?

— Tak — odpowiada kapitan.

— Co „tak”?! Pytam pana, gdzie komisariat policji?

— A, rozumie. Tylko niedaleko, wy mijali na drodze.

— Tam się rozstaniemy, kapitanie. Rozumie pan? Nie możemy was zabrać do centrum, bo mamy inne rozkazy. W ogóle nie powinno nas tu być!

Na wszelki wypadek proszę, żeby Puric to przetłumaczył. Tkwimy tutaj prawie dziesięć minut i nie możemy zmarnować więcej czasu.

— Dobrze, ja bardzo dziękuję. — Remarczyk ma łzy w oczach. — Nas uratowali.

Formujemy kolumnę na drodze. Drużyna Normana jedzie jako pierwsza, potem policyjne samochody, a na końcu my. Lars narzuca szybkie tempo, więc podskakujemy na wybojach, ale w pół godziny dojeżdżamy do skrzyżowania, gdzie radiowóz i furgonetka skręcają do komisariatu. Samochody wyją przez chwilę i migają światłami na pożegnanie. Nie rozumiem, dlaczego inni policjanci nie ruszyli im na pomoc. Mieli stąd znacznie bliżej niż my z bazy Erde. Ale to nieważne, przebijamy się do Centaura.

* * *

Ma na imię Ester. Pamiętam to imię.

Obracam je w pamięci wiele razy, żeby nie zapomnieć. Wiem, że wysysa z ziemi ciepło, dzięki któremu istnieje, ale nie robi tego wyłącznie dla siebie. Opiekuje się kimś wielkim jak bóg. Karmi wędrowca, który przemierza inne światy. Chce uwolnić go z czarnego więzienia.

— Markus, co się dzieje? — Ballard odrywa wzrok od drogi i trąca mnie w ramię.

— Nie wiem, zamroczyło mnie na chwilę.

— Zamknąłeś oczy i zacząłeś bełkotać. Zupełnie jakbyś gadał przez sen.

— Już dobrze — uspokajam i jego, i siebie. — To tylko zmęczenie.

Skrećamy w lewo i wjeżdżamy na wąski plac, a może szeroką ulicę, przed główną bramą bazy Centaur. Pełno tu skorpionów, transporterów opancerzonych i innych pojazdów SSARR. Gdyby zebrać do kupy wszystkich żołnierzy, uzbierałaby się co najmniej kompania. Nad głowami ludzi unosi się dym, w powietrzu śmigają drony, a w tle widać dziurę po rozwalonej bramie i płonąca ciężarówkę typu Kaukaz.

Podjeżdżamy, jak możemy najbliżej, i wyskakujemy z samochodów. Powoli dociera do nas, że zamachowiec samobójca staranował zapory przed wjazdem i uderzył kilkunastotonowym potworem w ogrodzenie Centaura. Ogromna wywrotka musiała być po brzegi wypełniona materiałami wybuchowymi. Gdy eksplodowała, przewróciła część muru oddzielającego ulicę od bazy; szyby wyleciały z okien budynków w promieniu kilkuset metrów. Pod stopami chrzęści szkło.

Przedzieramy się do bramy, by zobaczyć ogrom zniszczeń. Zdeformowana część ładunkowa kaukaza wygląda tak, jakby nastąpił na nią olbrzym. Szoferka praktycznie zniknęła, nie widać też skrzydeł bramy, za to wszędzie wała się gruz i ludzkie szczątki. Wszystkich żołnierzy, którzy pełnili wartę przed Centaurem, zdmuchnęło albo rozerwało na strzępy. Zginęło też mnóstwo cywili, ustawiających się tradycyjnie w kolejce do konsulatu.

Baza Centaur była pierwszym miejscem, gdzie stacjonowały jednostki sił stabilizacyjnych w Harmanie. Od początku misji mieściło się tu przedstawicielstwo rządu Republiki Rammy, dowództwo Pierwszego Pułku Piechoty, jednostki specjalistyczne i duże lądowisko dla śmigłowców – wykorzystano stary stadion piłkarski i okoliczne boiska. Całkiem spory kwartał miasta został otoczony murem i wyłączony spod jurysdykcji remarskich władz. Ale i tak w miarę rozwoju sytuacji i wysyłania na południe kolejnych batalionów trzeba było utworzyć nową bazę na obrzeżach. Tak powstała baza Erde.

Terroryści wiele razy odgrązali się, że zaatakują Centaura. Do tej pory jednak, oprócz pojedynczych prób ostrzału z moździerzy i kilku samobójczych ataków pieszych oddziałów, nie stało się nic poważnego. To miejsce wydawało się najlepiej umocnioną i strzeżoną placówką SSARR w całym południowym Remarku. Aż do dzisiaj.

Porucznik Ostin pojawia się w tłumie i wydaje rozkazy pododdziałom, które jeszcze nie mają przydzielonego zadania. Nasza rola polega przede wszystkim na wyprowadzeniu z rejonu zagrożenia resztek mieszkańców i odgrodzeniu placu od ulicy Schoenfelda. Rozstawiamy barierki, które dowozi tutaj remarska straż pożarna. Reszta PSR-u znajduje się dalej, tworząc zewnętrzny pierścień, który oddziela ruch samochodowy od placu. My pracujemy z ludźmi sierżanta Sewerina – drużyny Sottera i Mastalika zabezpieczając teren obok nas, drużyna Bernsteina i Lista trochę dalej.

— Jak to jest, kurwa, możliwe, że taki wielki pojazd wjechał aż do centrum?!

— zastanawia się głośno kapral Sotter. — Ta ich chujowa policja powinna go zatrzymać kilka razy po drodze.

— Niedaleko jest plac budowy — mówi szeregowy Lukas. — Przejeżdżaliśmy

tamtędy i widziałem jeszcze dwa kaukazy. Robią jakiś nasyp czy coś.

— Kurwa mać. — Remmy Kranec trze osmaloną twarz dłońmi. — W życiu nie widziałem takiej rzeźni. Flaki wiszące na drzewach. Nogi i ręce walające się po placu. Wszędzie krew.

— Przestań, kurwa! — Mastalikowi trzęsie się broda. — Skupcie się na robocie.

Dobrze, że mieliśmy zadanie do wykonania i spóźniliśmy się z interwencją. Ci, którzy znaleźli się tu jako pierwsi, w tym pluton sierżanta Sewerina, będą mieli koszmary jeszcze przez wiele dni. Nie chciałbym, żeby dotknęło to moich chłopaków.

Nad placem przelatuje śmigłowiec MED-u, wyją syreny, z węży gaśniczych leje się woda na płonące szczątki samochodu. Jeśli ktoś zrobiłby zdjęcie tego miejsca, uchwyciłby na nim twarz remarskiej wojny. Ale nikomu nie przychodzi to jakoś do głowy.

Poniedziałek, 25 kwietnia, godz. 14.30

Mój pierwszy trup leży na chodniku. Jeszcze żyje i drży pod ortalionową kurtką, którą Puric narzucił mu na twarz i na piersi, ale naprawdę jest martwy.

Wyszedł z bramy, kiedy poruszaliśmy się ulicą w stronę posterunku policji. Biegliśmy w pośpiechu, wezwani do schwytanego terrorysty. Uliczka była zbyt wąska, żeby wjechać tu skorpionem, więc drużyna Wenera została przy pojazdach na skrzyżowaniu. My minęliśmy właśnie wjazd na szare podwórko i uszliśmy kilka kroków, kiedy chłopak wychynął z cienia. Ballard, który zabezpieczał tyły, zauważył ruch i zaalarmował resztę.

Czuję jeszcze ten dreszcz: idę w środku i odwracam się gwałtownie, gdy młody facet wyciąga pistolet z kieszeni spodni. Robi to na tyle wolno i nieporadnie, że zanim zdąży wycelować, przykładamy karabiny do ramion. Chris strzela pierwszy, ale chybia, chociaż jest najbliżej. Chłopak podnosi rękę i mierzy mu w twarz. Wtedy naciskam spust i pakuję trzy kule prosto w klatkę piersiową. Wstrząsa mną ten zimny skurcz.

Remarczyk upada na ziemię, nie wydając z siebie jęku. Pistolet wypada mu z dłoni. Puric podbiega i odkopuje go pod ścianę. Kilka kobiet przechodzących w pobliżu zaczyna krzyczeć i zawodzić, z okien wyglądają ludzie. Ballard staje obok mnie i kiwa głową z niedowierzaniem.

— Kurwa, Markus, nie trafiłem.

— Może stałeś za blisko — mówię szeptem. — Łatwiej jest strzelać z daleka.

Dołączam dzisiaj do „czarnego klubu”, do grona kolegów, którzy zabili człowieka. Do Rozwielitki, Purica, Ballarda, Wenera i wielu innych. Czasami widzisz twarz ofiary, czasami nie masz pewnego trafienia. Ten młody facet, który leży u naszych stóp, chciał się pewnie zemścić za coś, co zrobiliśmy w przeszłości, może za śmierć ojca lub aresztowanie brata. Popełnił coś w rodzaju samobójstwa, obciążając tym moje sumienie.

Teraz jeszcze mam we krwi adrenalinę, ale mdlący ciężar będzie wpełzał do żołądka.

Zatruje mnie tak jak pozostałych. Jedyne, co mogę zrobić, to skrócić cierpienie ofiary. Dlatego, chociaż powinniśmy udzielić mu pomocy lub zwyczajnie czekać, aż się wykrwawi, podchodzę bliżej i dobijam go strzałem w serce.

Puric żegna się w milczeniu, za nas wszystkich.

— Ruszamy, panowie — wydaję rozkaz. — Potrzebują nas na posterunku.

— A co z nim? — pyta Gaus.

— Niech go sobie zabierają. To jest pierdolona wojna.

W Remarku nikt już nie liczy na litość. Po tym, co się stało w bazie Centaur, dowódcy półsłówkami dali nam do zrozumienia, że w miarę możliwości mamy nie brać jeńców. Musimy złamać morale tych fanatycznych skurwysynów, zanim oni złamią nas. Nawet jeśli są to zmanipulowani przez kapłanów młodzi chłopcy, którym dopiero sypnął się zarost.

Rozdział trzeci

Wtorek, 26 kwietnia, godz. 13.30

Harman, prowincja Saladh, południowy Remark

Wczoraj zabiłem człowieka, synku. Można powiedzieć, że działałem w samoobronie; gdybym tego nie zrobił, on zabiłby albo ciężko zranił mojego przyjaciela, a może również mnie. Nadal jeszcze nie nazwałem uczucia, które we mnie krąży, i nie wiem, kochany, w jakiej formie osiadzie w sercu i pozostanie na zawsze.

Najgorszym hasłem, jakie wymyślono w historii, jest: „Niech żyje śmierć!”. To czyste zaprzeczenie życia, czarny nekrofilny stempel. Jak powiedział kiedyś profesor Miguel de Unamuno y Jugo: „Ja, który całe życie spędziłem na ukuwaniu paradoksów, wywołujących gniew u tych, którzy nie chwyтали ich sensu, muszę wam powiedzieć, jako doświadczony autorytet, iż ten barbarzyński paradoks budzi we mnie odrazę”^[1].

Synku, powinieneś wiedzieć, że chociaż otacza mnie śmierć i będę musiał zabić jeszcze wielu ludzi, nigdy nie stanę po jej stronie. Bo śmierć jest brakiem możliwości i brakiem wyboru, brakiem czasu, który możesz wykorzystać albo stracić. Możesz myśleć o niej jak o wybawieniu od cierpienia, ale kto będzie czuł ulgę, gdy umrzesz?

* * *

Chłopaki wołają mnie do telefonu na końcu korytarza. Dzwoni sierżant z wartowni na dole z wiadomością, że kapitan Sauber czeka przy wejściu, prosząc o pilną rozmowę. Ogarniam się trochę po drodze, poprawiam rozchełstany mundur i zbiegam po schodach. Szefowa naszego szpitala zabiera mnie na zewnątrz, żeby zamienić kilka słów bez świadków.

— Jak się czujesz, Markus?

— Wczoraj zabiłem człowieka, pani kapitan, trzęsie mnie jeszcze w środku.

— Wiesz, że nie o to pytam. Chociaż takie rzeczy są ważne. — Przypala sobie papierosa, po chwili częstuje również mnie. — Dobrze, że cię trzęsie. Gdyby cały ten brud zbierał się bezobjawowo, w końcu urwałoby ci głowę.

Oczami wyobraźni widzę głowę w hełmie, która toczy się po betonowym placu.

— Chodzi o wypadek w Kumiszu?

— Tak, kapralu. Chcę wiedzieć, czy masz jakieś omamy albo inne zaburzenia świadomości. Opowiedz mi o wszystkim, co możesz określić jako niezwykle.

Kalkuluję szybko, jaki cel ma doktor Sauber, prowadząc ze mną ten dialog. Może to

ciekawość naukowca, szansa na duże odkrycie, a może współpracuje z Wilmotsem i zbiera dane dla wywiadu. Ale wiem, że gdyby chciała mi zaszkodzić, zrobiłaby to dawno temu.

W zasadzie jestem zdany na jej łaskę i niełaskę. Wielu ludzi na moim miejscu ucieszyłoby się pewnie, że ktoś wykrył elektrodę, i uciekłoby z tego przeklętego miejsca, nawet do więzienia. Ale dla mnie to coś w rodzaju wyzwania, czuję ból podrażnionej ambicji. Do czego miałbym wracać?

Opowiadam więc o niebieskim świetle przed oczami i ponurych obrazach, które widziałem w szpitalu. O potworze, który krwawi głęboko pod ziemią. O słowach pochodzących znikąd albo z najdalszych zakątków pamięci. O tym, że przez całe życie ocierałem się o szaleństwo, które tutaj istnieje fizycznie. A na koniec dokładam proroczą wizję z aresztowania rebeliantów przez oddział żandarmerii. Wykładałam karty na stół.

Pani doktor słucha z zainteresowaniem, nie przerywa mi. Dochodzimy do drzwi szpitalnego budynku i stajemy pod niewielkim zadaszeniem. Zaczyna siąpić drobny deszcz, którego pewnie nawet bym nie zauważył, gdyby nie głośnie stukanie o blachę.

Linda Sauber uśmiecha się do mnie.

— Doceniam szczerą, kapralu. Czy teraz wiesz, że możesz mi zaufać?

— Tak, pani kapitan. Ale dlaczego robi pani dla mnie to wszystko?

Na chwilę przymyka oczy i bierze głęboki wdech.

— Kilka lat temu mój syn odebrał sobie życie. Skoczył z okna w dniu dziewiętnastych urodzin, ponieważ oblał egzamin na studia medyczne. Mój mąż chce wierzyć, że to był wypadek, ale ja wiem, że zabiła go depresja. Kiedy dowiedziałam się, że miałeś zabieg DBS, nie mogłam przejść obojętnie. Trochę mi go przypominasz.

— Przepraszam za to pytanie. — Nie wiem, gdzie uciec wzrokiem.

— Nie przepraszaj, Markus. Z powodu osobistej tragedii jestem wyczulona na pewne sytuacje; obserwuję cię uważnie od lutego, a teraz próbuję zrozumieć, co cię spotkało w Kumiszu. Rozmawiałam już z porucznikiem Ostinem. Mam zamiar porozmawiać z kapitanem Beckiem i majorem Giggsem. Wiem, że zrobisz wszystko, żeby wyjaśnić swój wypadek, i oferuję ci pomoc. Możesz z niej skorzystać lub nie.

— Dziękuję, pani kapitan. Skorzystam z niej, na pewno.

— To dobrze. — Sauber przygryza nerwowo wargę. — Poszperałam trochę w dokumentacji medycznej. Przypadek Wiktora Hynka i twoich kolegów z plutonu nie był odosobniony. Coś podobnego zdarzyło się przynajmniej raz w trakcie Piątego Kontyngentu. Dwaj żołnierze z Trygelu podczas patrolowania pustyni zostali porażeni przez coś, co świadkowie opisali jako rozbłysk światła.

— Nie wiedziałem o tym.

— Wychodzi na to, że każdy kontyngent miał swoje wypadki i niewyjaśnione zniknięcia na pustyni Saladh, zamiatane pod dywan przez dowództwo. A nasi koalicjanci wycofali się z Wysuniętej Placówki Distortion w podejrzanym pośpiechu. Spróbujmy wyjaśnić tę sprawę, zanim wyślą tam znowu naszą kompanię. Bo to, że tak się stanie,

jest tylko kwestią czasu.

Czwartek, 28 kwietnia, godz. 2.30

Budzę się zeszytywniały ze strachu i nie mogę się poruszyć. Chciałbym wstać albo zawołać Petera, ale ciało nie słucha rozkazów. Otwieram szeroko oczy i nie widzę zarysów mebli ani poświaty na ścianie, rzucanej przez lampy na placu apelowym.

Zegar na półce wskazuje wpół do trzeciej. Tylko tyle udaje mi się dostrzec i zapadam jeszcze głębiej w ten gorący niesen, w którym nie śnię o błękitnym świetle, przenikającym mózg i płynącym wzdłuż kręgosłupa. Wykręcającym każdy nerw.

Znowu leżę na podłodze szkoły w Kumiszu. I zgrzytam zębami, widząc poprzez nogi ławek i krzeseł, jak Rotem szarpie niewidzialna siła. Uderza jego głową o posadzkę, a z ust żołnierza cieknie piana. Tim gapi się na mnie i chyba próbuje coś powiedzieć. Ale słowa, które słyszę, nie wypływają z jego ust. Sączą się we mnie wraz ze światłem.

Stałem się białkowym światłowodem, przez który pędzi informacja. Nie mogę sobie przypomnieć treści, chaotyczne zdania nie układają się w całość. Ale pamiętam barwę głosu: ciepłą i metaliczną, zdecydowanie kobiecą. I pamiętam, że istota, która przemówiła do mnie, miała na imię Ester i z pewnością nie była człowiekiem.

Paraliż nagle ustępuje, więc rzucam się na łóżku tak gwałtownie, że ląduję z hukiem na podłodze. Usil budzi się i zapala lampkę nad głową. Patrzy nieprzytomnym wzrokiem, jak wdrapuję się z powrotem na swój przepocony tapczan.

— Co się stało, Markus?

— Uuuch... — Biorę głęboki wdech. — Nic takiego, przyśnił mi się koszmar.

Gasi światło i odwraca się do ściany, a ja powtarzam w myślach jedno imię, jakbym dzięki temu mógł więcej zrozumieć.

Wtorek, 3 maja, godz. 18.05

Mój komunikator ożył. Od rana dostałem kilka wiadomości, ale nie wszystkie otworzyłem. Odpowiedziałem tylko ojcu, który pisał krótko, że życzy mi zdrowia i szczęśliwego powrotu do domu. „Dziękuję, tato”. Jakoś nie mam nastroju do celebrowania trzydziestych trzech urodzin. Nie przyznaję się nikomu, że to właśnie ten dzień. Nie lubię sztucznych uprzejmości i poklepywania po plecach.

Sierżant Gola zarządził po obiedzie, że musimy zrobić przegląd pojazdów, trochę je wyczyścić i uzupełnić płyny. Podjechaliśmy więc na koniec bazy, pod hangar mechaników. Kilku chłopaków, którzy interesują się motoryzacją, grzebie razem z nimi pod maską i zagłąda pod spód. Prym wiodą Usil i Gaus, którzy ze znanstwem opowiadają młodym żołnierzom, jak ważne jest ukształtowanie podwozia w literę V, co osłabia siłę rażenia min drogowych. Może to prawda, ale powiedzmy sobie szczerze: konstrukcja nie daje zbyt wiele, jeśli ajdik przywali ci z boku.

Reszta zajmuje się przecieraniem szyb, czyszczeniem karoserii za pomocą myjek

ciśnieniowych i wysypywaniem piachu z wnętrza. Robimy to co kilka tygodni, ale syfu zebrało się w środku co niemiara. Przy okazji Lars znajduje ulubiony breloczek, który wpadł mu w jakąś szczelinę. Pokazuje z dumą zawieszkę w kształcie pocisku z wygrawerowanym sercem i imieniem swojej żony. Maria Norman dała mu ją w prezencie przed misją. Nic mnie to nie obchodzi, ale cierpliwie słucham tej historii, bo lubię faceta.

Kiedy mamy już opuszczać warsztat, pojawia się sierżant i woła mnie na stronę. Wychodzimy z budynku i stajemy niedaleko beczki, w której czasem palimy własne gówna. W Erde nie zawsze działa kanalizacja, a latryny są opróżniane na czas.

— O co chodzi z Beneszem? — pyta Gola. — Coś ty, kurwa, zrobił?!

— Ale co, panie sierżancie?

— Markus, nie rób ze mnie wała, bo cię wsadzę, kurwa, do tej beczki. — Sierżant jest naprawdę wściekły. — Wiem, że dostał wpierdol w Palat Gorga i że to był twój pomysł. Mam w żandarmerii kumpla, który dał mi cynk, że dziś rano Benesz przyszedł złożyć skargę. Czy wy jesteście pierdolnięci, że bawicie się w samosądy?

Opowiadam więc Goli, co się stało. Mówię o prześladowaniu Hockego i o tym, że szeregowy Benesz nie reagował na ostrzeżenia. Nie próbuję się wyłgać i przyznaję się do winy, ale myślę, że nie samo zajście jest dla sierżanta najgorsze. Nie może znieść tego, że o niczym nie wiedział i że Usil dopuścił do tej sytuacji. To dowódca drużyny powinien zauważyć problem i rozwiązać go pierwszy. A psim obowiązkiem Larsa i moim było zameldowanie o sprawie dowódcy plutonu.

— Daj mi papierosa — mówi Gola, który zazwyczaj nie pali.

Częstuję go i podaję ogień. Jakoś nie mam odwagi, by mu towarzyszyć.

— Panie sierżancie, nie myślałem, że on pójdzie do żetonów. Byłem pewien, że zachowa się jak facet.

— Markus, ty masz chyba nasrane we łbie. Zawiodłeś mnie strasznie, że się tak podkładasz. Chciałem cię zgłosić do awansu. Jesteś moją prawą ręką, a zachowujesz się jak debil. Jeszcze raz zrobisz coś takiego i nie będę ratował twojej dupy. I żadne zasługi ani inne rzeczy tego nie zmieniają, zrozumiałeś?

— Tak, panie sierżancie.

— Załatwimy to po cichu, bo skurwiel nie ma żadnych świadków i zgłosił zajście po miesiącu. Mój kumpel go opierdolił, a potem wyrzucił za drzwi. Ale z takimi sprawami masz przychodzić do mnie!

— Tak jest!

— No! — Klepie mnie mocno w ramię. — Myśl, co robisz, synu. I nie ryzykuj wszystkiego dla jakiegoś pedałka, bo nie warto.

Kiwam tylko głową, bo nie wiem, co powiedzieć.

— A tak przy okazji: słyszałem, że mieszkańców Kumiszu znaleziono, całych i zdrowych, następnego dnia po twoim wypadku. Wygląda na to, że mieli coś na sumieniu, bo ukryli się przed nami. W okolicy jest dużo starych szybów i innych dziur po

kopalniach. Przeczekali, aż sobie pójdziemy, i wypełzli z nor jak zwierzęta.

Mam w głowie niezły mętlik, kiedy kończymy rozmowę. Na dodatek, mijam w przejściu Oskara Benesa, który patrzy na mnie z zimną nienawiścią. Usta same składają się do słowa „konfident”, ale odwracam się w ostatniej chwili. Nie chcę prowokować bójk. Teraz i tak myślę głównie o tym, że powód zniknięcia mieszkańców okazał się tak banalny.

Oczywiście, jeśli sierżant Gola powiedział mi prawdę.

Czwartek, 5 maja, godz. 20.00

Krótkie zebranie na tyłach budynku personelu cywilnego. Natłok rozkazów i zadań do wykonania nie pozwolił nam spotkać się wcześniej. Za dużo dzieje się w Harmanie. Ciągłe wybuchają bomby, bez przerwy ktoś ginie w potyczkach z partyzantami lub zostaje ranny. Ale moja rozmowa z sierżantem sprzed dwóch dni zmobilizowała nas wreszcie do działania.

Ballard, Werner i ja czekamy na Nemi, żeby dowiedzieć się dokładnie, co znalazła w bibliotece w Portsailu. Dziewczyna schodzi do nas z wydrukiem i rozdaje każdemu jedną kopię. Pękam z dumy, bo pomyślała o wszystkim; wygląda jeszcze bardziej pociągająco niż zwykle. Ale szybko o tym zapominam.

Przebiegam wzrokiem kartkę, na której znajduje się tłumaczenie wywiadu z remarskim fizykiem, Filipem Meyerem. Mówię chłopakom, że pracował w instytucie badawczym na terenie późniejszej bazy Distortion i na prośbę geologów z Jonu badał fenomeny występujące na pustyni Saladh. Ktoś wymazał z sieci większość jego prac, ale wywiad jakimś cudem ostał się w archiwach. Może dlatego, że ukazał się na łamach znanego magazynu „Rocket Science”, trafił do wielu odbiorców i nie miał formy cyfrowej.

Z każdym przeczytanym zdaniem dociera do mnie, że mam rację. To, co się stało w Kumiszu, i wszystkie wypadki, o których wspomniała doktor Sauber, muszą mieć wspólną przyczynę. Adam i Chris też to czują, chociaż powiedziałem im wcześniej o „cudownym” powrocie mieszkańców wioski. Nie podejrzewam, żeby sierżant Gola świadomie wprowadzał mnie w błąd. Ale ktoś mógł mu sprzedać lipne informacje.

— Musimy coś z tym zrobić — odzywa się wreszcie Werner. — Spróbuję się czegoś dowiedzieć, mam nawet jakiś pomysł. Ale musimy powiadomić też dowódcę batalionu, że na pustyni czyha na nasze oddziały niebezpieczeństwo.

— Oficerowie nie będą cię słuchać — mówi Ballard. — Nie rozumiesz tego? Mają swoje cele i nie zmienią ich z powodu jakiegoś tekstu napisanego przez Remarczyka. Doktryna Widoczności będzie realizowana aż do zwycięstwa.

— Możliwe też, że od dawna wiedzą o zagrożeniu i mają to gdzieś. — Nemi uśmiecha się smutno. — Weźcie to pod uwagę.

— Albo wysyłają nas specjalnie w rejon anomalii, żeby zobaczyć, co się stanie.

— Daj spokój, Markus, chyba nie są aż takimi kretynami.

— Zaręczam ci, Adam, że są. — Ballard spluwa na beton. — Z tego, co mówił Markus, wynika, że tylko kapitan Sauber rozumie powagę sytuacji. Ale ona akurat, poza swoim szpitalem, niewiele znaczy. Jest przede wszystkim lekarzem.

— Tak czy inaczej, jeśli wyślą nas z powrotem na pustynię Saladh, mamy naprawdę przesrane — podsumowuję dyskusję.

* * *

Po powrocie do koszar jeszcze raz zaglądam do wywiadu, który krzyczy do mnie chwytliwym nagłówkiem.

Czy mamy do czynienia z przełomowym odkryciem w dziedzinie fizyki? Czy ostatnie badania, prowadzone na pustyni Saladh, wstrząsną całym światem naukowym, a podręczniki do fizyki, chemii i matematyki będą musiały ulec zmianie?

Dziś na łamach naszego czasopisma mamy zaszczyt gościć profesora Filipa Meyera, jednego z najwybitniejszych fizyków teoretycznych naszych czasów. Wielokrotnego laureata nagród w dziedzinach fizyki i matematyki, autora ponad dwustu publikacji w najbardziej renomowanych czasopismach naukowych, między innymi w „Physical Review”.

Tomas Koch: Panie profesorze, nasze drogi skrzyżowały się wiele lat temu, kiedy obaj studiowaliśmy fizykę na Uniwersytecie Jońskim. W przeciwieństwie do mnie, zawsze uchodził pan za genialnego studenta. Po studiach został pan na uczelni i kontynuował pracę naukową w Katedrze Fizyki Teoretycznej.

Od tego czasu minęło wiele lat, ale korzystając z naszej starej znajomości, poprosiłem pana o spotkanie i krótki komentarz do wydarzeń, które miały miejsce kilka tygodni temu na pustyni Saladh, w okolicach wzgórza Otorten.

Jak to się stało, że w miejscu, gdzie prowadzi się rutynowe prace geologiczne, jak dowiadujemy się z relacji świadków, zaobserwowano liczne i bardzo silne anomalie elektromagnetyczne, a wkrótce potem zjawił się tam jeden z najwybitniejszych fizyków świata?

Filip Meyer: Dzień dobry, panie redaktorze. Tak, zostałem zaproszony do udziału w badaniach nad, jak się do tej pory wydawało, niespotykanymi anomaliami w rozkładzie pola elektromagnetycznego, które skutkują miejscowymi wyładowaniami elektromagnetycznymi.

T.K.: „Jak się wydawało”? Czy to oznacza, że nie chodzi o anomalie w rozkładzie pola elektromagnetycznego?

F.M.: Badania jeszcze trwają. Na tę chwilę z dużą dozą pewności mogę stwierdzić, że wspomniane anomalie występują, ale są one skutkiem innego zjawiska. Obserwowane wyładowania elektromagnetyczne to zaledwie wierzchołek góry lodowej.

T.K.: To bardzo intrygujące stwierdzenie, panie profesorze. Czy zechciałby pan

opisać nieco bliżej, jakie to zjawisko?

F.M.: Jak wspomniałem, badania trwają i nie mamy jeszcze pewności, co jest bezpośrednią przyczyną wyładowań. Zauważyliśmy jednak niezwykle ciekawą rzecz. Otóż w niektórych miejscach spontanicznie i lokalnie pojawia się dymorfizm promieniowania neutrinowego.

T.K.: Czy mógłby pan wyjaśnić naszym czytelnikom, co to oznacza?

F.M.: Jak wiadomo, jesteśmy nieustannie bombardowani przez cząstki elementarne, zwane neutrinami. Są to cząstki z rodzaju leptonów, które są emitowane przez Słońce i rozchodzą się w przestrzeni kosmicznej. Docierają one również do Ziemi. Promieniowanie to jest bardzo intensywne – w ciągu sekundy przez centymetr kwadratowy powierzchni Ziemi przelatuje $6,5 \cdot 10^9$ neutrin. Ten typ promieniowania jest badany od wielu lat, natomiast na pustyni Saladh zaobserwowaliśmy, jak już wspomniałem, dymorfizm, czyli pojawianie się neutrin o różnej – w stosunku do cząstek wypromieniowanych przez Słońce – liczbie kwantowej.

T.K.: Mówił pan, że to promieniowanie jest bardzo intensywne. Czy w takim razie jest ono dla nas niebezpieczne? I drugie pytanie: czy wiecie już, z jakimi neutrinami mamy do czynienia?

F.M.: Samo promieniowanie nie jest niebezpieczne. Neutrino są leptonami, więc mamy tu do czynienia z tak zwanym oddziaływaniem słabym i grawitacyjnym. Po prostu, neutrino przelatują przez nas i przez całą Ziemię z minimalnym i praktycznie niezauważalnym oddziaływaniem na inne cząstki.

Jednak zaburzenia w rozkładzie pola elektromagnetycznego i towarzyszące im wyładowania mogą być niebezpieczne dla zdrowia człowieka – i powodować rozległe poparzenia, jak również bardzo negatywnie wpływać na układ nerwowy. Szczerze mówiąc, właśnie dlatego zostałem wezwany przez kolegów.

Odpowiadając na drugie pytanie, jeszcze nie wiemy, z jakimi neutrinami mamy do czynienia. Musimy sprowadzić dużo większe i czulsze detektory oddziaływania słabego lub wykorzystać naturalny zbiornik wodny, zlokalizowany pod wzgórzem Otorten, aby stwierdzić, o jaką liczbę kwantową chodzi. Na razie hipoteza jest taka, że neutrino różnią się spinem, czyli są to neutrino lewoskrętne.

T.K.: A skąd te inne neutrino się tam biorą? Czy ma pan już jakąś teorię na ten temat?

F.M.: Dopóki nie będziemy mieć lepszych detektorów i nie potwierdzimy, czy rzeczywiście są to neutrino lewoskrętne, trudno mówić o teorii. Ale gdyby moje założenia okazały się słuszne, trzeba będzie rozważyć wpływ jakiegoś nieznanego dotychczas oddziaływania.

T.K.: Co pan profesor rozumie przez „nieznane oddziaływanie”?

F.M.: Jak wiadomo, w fizyce, jakiej obecnie się uczymy, mamy do czynienia z czterema oddziaływaniami: elektromagnetycznym, słabym, silnym oraz grawitacyjnym. Każde z nich występuje pomiędzy różnymi cząstkami elementarnymi i każde z nich ma inne nośniki. Na przykład bozony podlegają oddziaływaniu silnemu, którego nośnikami

są gluony. Dzięki nim istnieją jądra atomowe.

Wiadome jest, że jądro atomu składa się neutronów i protonów. Neutrony są obojętne elektrycznie, ale już protony mają ładunek dodatni. Wiemy również, że cząstki o tym samym ładunku odpychają się, ale jądro atomowe mimo to pozostaje w skupieniu. Dzieje się tak właśnie dzięki oddziaływaniu silnemu, którego nośnikiem są gluony.

Żadne cząstki nie mogą spontanicznie zmieniać swoich liczb kwantowych, podobnie nie może tego zrobić żadne z powyższych oddziaływań. Dlatego właśnie trzeba będzie rozważyć istnienie innego oddziaływania, któremu podlegają cząstki elementarne, takie jak neutrino. Ale, jak zastrzegłem, nie jest to nawet hipoteza, dopiero przypuszczenie.

T.K.: Gdyby jednak okazało się ono prawdziwe, byłoby to prawdziwa sensacja i rewolucja w fizyce.

F.M.: Oczywiście, panie redaktorze. Gdyby przypuszczenia się potwierdziły, mielibyśmy pole do nowych badań nad zupełnie dotąd nieznanymi reakcjami między cząstkami elementarnymi. Gdyby udało się zbadać charakter tego oddziaływania oraz znaleźć jego nośnik, moglibyśmy tworzyć nowe cząstki elementarne oraz zmieniać charakter już istniejących poprzez manipulacje ich liczbami kwantowymi.

Na przykład poprzez zmianę jednego kwarku „up” na „down” w protonach zmienilibyśmy je w neutrony i w ten sposób otrzymalibyśmy niestabilne jądra atomowe. Na przykład poprzez zmianę protonów w neutrony w jądrze atomowym moglibyśmy otrzymywać niestabilne atomy. Można byłoby w ten sposób rozrywać struktury związków chemicznych. Tak więc, nie ukrywam, że byłaby to rewolucja w dotychczasowym stanie wiedzy. Nie tylko w fizyce, ale również w innych dziedzinach nauki, na przykład w chemii.

T.K.: Panie profesorze, bardzo dziękuje za rozmowę i wprowadzenie nas w fascynujący świat fizyki kwantowej. Życzę panu, w imieniu swoim oraz naszych czytelników, owocnych badań i dalszych sukcesów w pracy naukowej.

F.M.: Dziękuję za zaproszenie i możliwość podzielenia się z czytelnikami najnowszym stanem badań. Obiecuję, że kiedy dowiemy się więcej, z przyjemnością opowiem o tym przy okazji następnego spotkania.

Sobota, 7 maja, godz. 10.20

Zdarzają się lepsze dni, czy też raczej – lepsze godziny w tym miejscu. Wspólne posiłki i wolne wieczory, kiedy gram z Normanem w bilard albo w rzutki ze swoim plutonem. Ukradkowe spotkania z Nemi. Albo takie chwile przed burzą: siedzę z chłopakami w ich pokoju, sącząc piwo z plastikowego kanistra, który ktoś przytargał z miasta. Nie pytam nawet, kto to zrobił. Mamy trzy litry ciepłego napoju na pięciu chłopa, ale i tak jest przyjemnie.

Czarno-biała kotka, Zołza, śpi na kolanach Gausa. On i ja siedzimy przy stoliku, a reszta drużyny zajęła miejsca na dolnych pryczach dwóch piętrowych łóżek. Robienie

nielegalnych rzeczy spaja ludzi mocniej niż oficjalne rozrywki.

Rozmawiamy trochę o bieżących sprawach, a trochę o tym, co będziemy robić, kiedy skończymy służbę w SSARR. Raczej nie myślimy już o pozostaniu w armii. Puric chce otworzyć sklep z militariami, a Rozwielitka zatrudnić się na strzelnicy jako instruktor, dodatkowo, oprócz zwykłej pracy. Ballard, niespokojny duch, mówi o wyprawie do Australii, gdzie chce się osiedlić. Gaus drzemie, oparty głową o framugę okna, i zaczyna chrapać.

Przypominam sobie, jak w styczniu ostrzelano bazę Erde z moździerzy. Trzymałem w rękach zakrwawiony but szeregowego Fielda, który zginął w toalecie, i mówiłem sierżantowi, że przyjechałem tu po śmierć. Wiem, że wtedy naprawdę tak czułem i że rezygnacja z życia dawała mi spokój. Ale teraz chciałbym, żebyśmy wszyscy przetrwali. Zależy mi na tych ludziach, z którymi zetknął mnie przypadek i wybory dokonane dawno temu.

Postanawiamy wreszcie, że na którymś patrolu zaopatrzymy się w wentylatory. Robi się coraz cieplej i choćby najmniejszy wiatrak może dać odrobinę ochłody. Przydałaby się też woda, jakiś staw albo basen, w którym można by się wykąpać od czasu do czasu. Na to Puric – pewnie po to, żeby nas pocieszyć – opowiada o swoim lęku przed wodą. O tym, jak się topił dwa razy w dzieciństwie i że woli mieć grunt pod nogami.

Nie jest nam od tego chłodniej, ale na pewno weselej. Już widzę żarty pod prysznicem i rzucanie Danielowi koła ratunkowego, kiedy ktoś odkręci kran. Opowiadanie o swoich słabościach stanowi zawsze formę zaufania.

* * *

Po wyjściu od chłopaków proszę Nemi, żeby znalazła kontakt do kapitana remarskiej policji, którego oddział eskortowaliśmy dwa tygodnie temu. Pamiętam, że miał na imię Salomon, a jego posterunek znajdował się w centrum miasta. Dziewczyna, jak zwykle, działa szybko i po niecałej godzinie przekazuje mi numer telefonu.

Salomon Ahari jest bardzo zaskoczony, gdy do niego dzwonię, ale w głosie policjanta czuję radość. Pytam, co u niego słyhać. Śmiesznie wymawiając słowa, opowiada, że pojechał właśnie z żoną do rodziny na wieś, ale chętnie mi pomoże i ma dla mnie mnóstwo czasu. Myślę, że wdzięczność miesza się tu z tradycyjną uprzejmością i nie chcę jej nadużywać.

Proszę tylko kapitana, żeby spotkał się ze mną, jeśli znajdzie chwilę. Chciałbym się dowiedzieć więcej o pustyni Saladh i bazie Distortion. Może słyszał coś o wypadkach w tej okolicy? Może ktoś zaginął tam ostatnio w niewyjaśnionych okolicznościach? Policjant dopytuje, czy stało się coś złego – mnie albo komuś z oddziału. Nie mogę odpowiedzieć wprost, ale powtarzam uparcie, że to bardzo ważne, i zostawiam namiary do siebie.

Wywiad Wojskowy na pewno podsłuchuje tę rozmowę, ale muszę się jak najszybciej

zobaczyć z Remarczykiem. Nie będę narażać Nemi i prosić jej o znalezienie kolejnych materiałów o Meyerze. Myślę, że nawet jeśli kapitan Ahari nie pomoże mi wyjaśnić śmierci Kolberga i Persona, dowiem się czegoś o tym dziwnym kraju.

Pomiędzy wyznawcami kultów dochodzi ostatnio do gwałtownych starć. Na ulicach Harmanu słychać strzały. Z każdym tygodniem mam coraz silniejsze wrażenie, że zwykli mieszkańcy są zastraszeni i boją się wychodzić z domów. Ruchliwe deptaki pustoszeją, a ogromne targowiska przypominają porzucone miasteczka.

Wtorek, 10 maja, godz. 7.30

Tak wczesne wezwanie nie wróży niczego dobrego. Prawie cała kompania zebrała się w świetlicy: szeregowcy, dowódcy plutonów i drużyn, obaj porucznicy, kapitan Beck i jakiś oficer, którego nie mogę rozpoznać z daleka. Rozwielitka mówi, że to porucznik Gregor Osko, jeden z ludzi Wilmotsa. Muszę mu wierzyć na słowo, bo siedzimy na końcu sali, a poza tym nie mam pamięci do twarzy.

Sierzanci krążą pomiędzy rzędami i uciszają gwar rozmów. Mam wrażenie, że trudniej nas opanować niż na początku misji. Sam nie mówię zbyt wiele. Kleją mi się oczy, nie spałem zbyt dobrze tej nocy. Prawdę mówiąc, zabawiłem trochę u Nemi, a potem nie mogłem zasnąć. Puric mruczy pod nosem, że to będzie jakaś umoralniająca gadka i że on tego nie zniesie.

To jednak coś zupełnie innego. Sierżant Krell rozstawia na stole laptopa i rzutnik i celuje światłem w prześcieradło przybite do ściany. Kiedy Beck podnosi się z krzesła, rozmowy nagle zamierają. Powietrze wydaje się gęste i bardzo wilgotne.

— Panowie, to, co zobaczycie, jest potworne i właściwie nie wymaga komentarza — mówi dowódca kompanii. — Pamiętajcie o tym filmie, kiedy będziecie mieli tak zwane dylematy moralne. — Nigdy nie widziałem, żeby Mikel Beck był aż tak zdenerwowany. — Nagranie zostało udostępnione w sieci dzisiaj w nocy. Przekazał je nam Wywiad Wojskowy. Sierzancie, proszę włączyć sprzęt.

Edward Krell uruchamia odtwarzacz plików wideo.

Trzech zamaskowanych rebeliantów siedzi w pomieszczeniu bez okien, prawdopodobnie w piwnicy, za drewnianym stołem. Z sufitu zwisa żarówka w drucianej oprawie. Mężczyźni ubrani są w wojskowe bluzy i bawełniane czapki z trójkątem skierowanym do dołu, znakiem kultu Hadesa. Twarze zasłaniają kraciastymi chustami. Barczysty facet, zajmujący miejsce pośrodku, odzywa się niespodziewanie czystym i płynnym rammańskim:

— Żołnierze SSARR, nazywam się Evan Garcia. To ja zadaję wam codziennie ból za to, że okupujecie nasz kraj. To ja i moi ludzie, w imię naszej wiary i pamięci przodków, zabijamy was każdego dnia.

W świetlicy rozlega się głuchy pomruk.

— Wzywam was, żołnierze SSARR, żebyście opuścili nasz dom. Nie czyńcie

waszych dzieci sierotami, a żon – wdowami. Nie czekajcie, aż zabiorą was samoloty w metalowych trumnach. — Garcia wpatruje się nieruchomo w kamerę. — Mordujecie nas i gwałcicie, zabieracie nam wolność, znieważacie świątynie i bogów. Będziemy was za to zabijać i nie pomogą wam samoloty, rakiety i czołgi. Znajdziemy was wszędzie, kiedy nie będziecie się tego spodziewać, a wasza krew wsiąknie w remarską ziemię. A teraz przypatrzcie się dobrze, co spotka was za występki przeciwko naszej ojczyźnie.

Następne ujęcie pokazuje mężczyznę w rammańskim mundurze, z czarnym workiem na głowie. Siedzi na krześle, przywiązany drutem kolczastym do oparcia. Rebelianci polewają worek wodą; mężczyzna dusi się i wygina rozpaczliwie ciało. Potem biją go drewnianymi pałkami i znowu polewają wodą. Zbliżenie na zakrwawioną naszywkę na piersi: Dreyfuss.

— Boże... — z ust Wenera wydobywa się jęk. — To Dawid!

Nie musi mówić nic więcej. Już wiem, że na filmie widzimy kaprała, który zaginął podczas ewakuacji Admirum. Dawid Dreyfuss nie trafił w ręce arejczyków, którzy pewnie zabiliby go od razu. Na nieszczęście pojmał go osobiście największy skurwysyn, Garcia.

Kolejne kadry pokazują bicie, przypalanie zapalniczką i nacinanie nożem. Robi mi się słabo, czuję w gardle kanapki z szynką, które zjadłem w pośpiechu przed chorym seansem. Trwa to kilka minut, podczas których słychać głównie krzyki torturowanego; potem sadystyczna orgia przenosi się na zewnątrz.

Zakrwawiony i nieprzytomny żołnierz ciągnięty jest za terenowym samochodem po piaszczystej drodze. Obija się o wystające kamienie i jestem pewien, że lina, do której został przywiązany, wyrwała mu ręce ze stawów. Pojazd toczy się wolno, kamera trzęsie się i podskakuje, wokół ciała przesuwają się i tańczą zamaskowani bandyci. Trzymają w dłoniach karabiny. Czasem któryś odda salwę w powietrze albo wzniesie bojowy okrzyk. Słychać wycie i gwizdy. Kierowca terenówki raz po raz naciska klakson.

Pochód dociera wreszcie do niewielkiego wzgórza. Na ziemi leży krzyż, zбитy z dwóch masywnych desek. Oprawcy cucą kaprała, podtykając mu pod nos jakąś fiolkę. Potem przybijają jego ręce do krzyża i przewiązują sznurem ramiona i nogi, żeby nie spadł. Jedyne, co może być pocieszeniem – Dreyfuss bardzo szybko ponownie traci przytomność.

Kolejne ujęcie zrobiono o zmierzchu. Krzyż stoi wkopany w ziemię, a wokół niego zgromadziło się kilku hadejczyków. Po muskularnej posturze rozpoznaję Garcia, który macha ręką do kogoś poza kadrem. Kolejny bandyta pojawia się z pochodnią i podchodzi do miejsca kaźni. Drewno i ciało umęczonego żołnierza musiały zostać polane benzyną, bo po dotknięciu pochodni zajmują się w kilka sekund. Krzyż płonie, aż słychać skwierczenie. Ubrane w moro upiory wymachują w górę pięściami. Znowu słychać okrzyki i wycie.

W tym momencie ktoś wykonał stop-klatkę. Na ścianie świetlicy widać nieruchomy obraz, ukazujący bestialstwo rebeliantów. Myślę, że Dawid Dreyfuss stał się naszym

męczennikiem i bohaterem narodowym. Po policzkach ciekną mi łzy. Ktoś z tyłu nie wytrzymał napięcia i wymiotuje głośno na podłogę. Szeregowy Gaus podrywa się, podnosi krzesło i roztrzaskuje je z dzikim okrzykiem.

Czwartek, 12 maja, godz. 8.10

Twarze moich ludzi są posępne. Mam wrażenie, że już nigdy nie pojawi się na nich uśmiech. Tak jakby cały czas mieli przed oczami ten film. Przemierzyliśmy właśnie Stare Miasto i ponownie zawitaliśmy do świątyni Afrodyty. Przed nami przybyła tu remarska policja i niewielki oddział skleconej z trudem remarskiej armii. Obstawiają wyłamaną bramę, ale nie wchodzi do środka, tak wielkie tabu stanowi dla remarskich mężczyzn miejsce kultu bogini.

Drony śmigają nad nami, kiedy – spoceni i źli – wchodzimy do budynku. Wszędzie leżą zwłoki kapłanek, bardzo młodych dziewczyn i dojrzałych kobiet. Niektóre mają podwinięte suknie, inne – całkiem zdarte ubranie. Z ułożenia ciała widać, że walczyły z napastnikami, zanim zostały zgwałcone i zabite. Mają roztrzaskane głowy i plamy krwi na białych szatach. Dźgnięte nożem, zastrzelone, zatłuczone na śmierć.

Posąg Afrodyty, stojący na środku świątyni, strącono z postumentu i oblano czymś śmierdzącym. Wypatrujemy rannych. Puric i inni ratownicy przytykają palce do szyi każdej ofiary, szukając najsłabszego pulsu. Wreszcie znajdują dziewczynę, która daje oznaki życia, zawijają ją w prześcieradło i wynoszą na zewnątrz. Gniotę butami rozsypane kwiaty i opieram czoło o kamienną ścianę, żeby trochę je schłodzić.

Podobno Najwyższa Kapłanka, za namową władz miasta, zgodziła się wreszcie na stworzenie wysuniętej placówki na wzgórzu. Córy Koryntu miały opuścić świątynię w przyszłym tygodniu, ale nie zdążyły. Sierżant Gola zaciska pięści i powtarza bez przerwy:

— Takie ładne dziewczyny, takie młode.

— To musieli być hadejczy. Nikt poza nimi nie odważyłby się tu wejść i zamordować kapłanek — mówi Ballard.

— Co za pierdolone było — wzdycha sierżant.

Nemi płacze w bocznej nawie. Podchodzę do niej i przytulam na chwilę, nie zwracając uwagi na spojrzenia innych. Trzęsie się w moich ramionach. Nie może pojąć tego okrucieństwa; czuje też szczególny związek z ofiarami. Mówię jej, że dorwiemy drani, którzy to zrobili, chociaż wcale nie jestem tego pewien.

Potem wychodzimy na plac, gdzie lądują helikoptery MED-u. Po kolei wynosimy zabite kobiety w szczelnie zamkniętych czarnych workach. Nie wiem, dokąd trafią – czy ktoś będzie robił sekcję, czy od razu zostaną pochowane. Wypełnia mnie zimna nienawiść, która eksplodowała dwa dni temu, podczas porannego seansu.

Najpierw atak na bazę Centaur, potem torturowanie Dawida Dreyfussa, a teraz jeszcze to wstrętne, bestialskie morderstwo. Każdy z nas, nawet niewierzący, musi się

teraz modlić o to samo: mały uśmiech losu, który sprawi, że te skurwysyny wpadną w nasze ręce. Musimy jakoś wyładować gniew, inaczej zwróci się przeciwko nam. Walka z niewidzialnym wrogiem doprowadza wszystkich do szaleństwa.

Coraz bardziej rozumiem też ludzi, którzy zostawiają wszystko i ruszają na północ. Ciągną całymi rodzinami do centralnej prowincji Sailan albo dalej, do prowincji Qumran. Wielu z nich próbuje za wszelką cenę przedostać się do Rammy. Znoszą głód i niewygody, byle tylko uciec z tego piekła. Mieszkańcy Harmanu znajdują się przynajmniej pod naszą ochroną. Nie zawsze możemy im pomóc, ale sama bliskość baz daje odrobinę poczucia bezpieczeństwa. Ludzie z mniejszych miast i wiosek na południu zostawieni są sami sobie. Zdani na łaskę i niełaskę rebelianckich band.

Nemi mówiła mi, że młodzi chłopcy opuszczają rodziców i garną się masowo do radykalnych Świątyń. Umiarkowane kultury, Zeusa, Afrodyty czy Ateny, które współpracują z rządem, tracą wyznawców i coraz częściej stają się celem ataków. Za każdym razem, kiedy ktoś traci życie w bratobójczej walce, hadejczycy i arejczycy powtarzają, że to przez naszą obecność. Wystarczy, że się stąd wyniesiemy, a zapanuje ład i porządek.

Na życie Eframa Zoli, burmistrza Harmanu, było już kilka zamachów. Przeżył wszystkie i stara się opanować sytuację, ale to kwestia czasu, kiedy go wreszcie dopadną. Najważniejsze to nie dać się zastraszyć, nie zwątpić w swoją misję. Kapitan Beck powtarza to przy każdej okazji. Ale jak nie zwątpić w sens tego, co robimy, kiedy widzisz tyle ciał zabitych kobiet, a na białej elewacji budynku widnieje wielki czerwony napis po rammańsku „Zdradzieckie dziwki”. Jak nie zacząć strzelać na oślep?

* * *

Pod wieczór znalazłem chwilę, żeby spotkać się z Nemi. Wartownicy już mnie znają, przemykają oczy, kiedy wchodzę do budynku cywilnego. Ich dowódca, sierżant Popper, regularnie dostaje karton fajek albo butelkę burbona. Zależy, co akurat wpadnie mi w ręce. Handel z Remarczykami rozkwitł w bazie na dobre. Ich waluta jest głównie warta, więc za kilka vianów sprzedaliby z uśmiechem swoją babkę i psa. Najbardziej bogacą się na tym kierowcy śmieciarek.

Siedzę z dziewczyną na jej maleńkim tapczanie, oparty plecami o ścianę, i głaszczę ją po krótkich, lekko zmierzwionych włosach. Są miękkie, wręcz aksamitne w dotyku. Wtuliła się w moją pierś i oddycha szybko. Boję się, że zaraz wybuchnie płaczem.

Okazało się, że znała wiele kobiet zabitych w świątyni Afrodyty. Nie powiedziała mi o tym wcześniej. Żałuję, że zabraliśmy ją na tę akcję, ale porucznik Ostin nie zdawał sobie sprawy z ogromu bestialstwa i zniszczeń, które spotkamy na miejscu. Nie wiedział, że wszystkie kapłanki nie żyją lub są nieprzytomne i nie będzie czego tłumaczyć. Do kontaktu z policjantami wystarczyłby Raul i kilku żołnierzy, którzy, jak Puric, znają trochę remarski.

— Nie zostawisz mnie, Markus? — pyta nagle Nemi. — Kiedy to wszystko się skończy, zabierzesz mnie ze sobą?

— Zabiorę cię, kochanie, dokąd będziesz chciała. — Ściskam ją bardzo mocno. — Przestań o tym myśleć.

— Boję się, że nigdy stąd nie wyjadę. Że coś się nie uda i już zawsze zostanę w tym potwornym kraju. Boję się wszystkiego.

— Wiem, że to było straszne. Nie powinnaś tego oglądać.

— Kiedy wybuchła wojna, miałam dwadzieścia dwa lata. Chciałam stąd uciec, ale matka, ojczym i moje siostry nie chcieli. Mówili, że musimy zostać, to nasz obowiązek. Jeśli wszyscy wykształceni ludzie wyjadą z Remarku, zostaną prostytutki i ekstremiści. I ten kraj upadnie do końca. Ale ja już nie chcę tu żyć, już nie kocham tego kraju.

— Posłuchaj, Nemi. — Siadam prosto i patrzę jej w oczy. — Jeśli nawet coś by mi się stało, gdybym nie wrócił do Rammy...

— Nawet o tym nie mów!

— Ale gdyby coś się stało, i tak masz prawo wyjechać po roku służby. Dostaniesz azyl i armia zapewni ci transport. Zadzwońię do rodziców. Nie są fajni, szczerze mówiąc, nawet ich nie lubię, ale przyjmą cię na pewno, jeśli o to poproszę.

Bije mnie z całej siły w ramię swoimi drobnymi piąstkami.

— Przestań, Markus. Przestań w ogóle tak mówić!

— Uspokój się, Nemi. — Chwytam ją za ręce. — Muszę myśleć o każdej ewentualności, ale nie szykuję się na śmierć. Chcę zrobić coś ze swoim życiem. A gdybyś nie mogła opuścić Remarku, zostanę tutaj z tobą. Tylko nie płacz, bo nie mogę tego znieść.

Uspokaja się trochę. Wstaje, włącza czajnik elektryczny i robi nam herbatę. Patrzę na zegarek i powtarzam, że niedługo muszę iść. Popołudniowa przerwa dobiega końca. Ta herbata to próba zatrzymania mnie na kilka minut. Nie lubię aromatycznego, remarskiego naparu, ale herbata parzona przez Nemi smakuje jakoś inaczej.

— Chłopaki żartują, że nie ma takiej broni, która mogłaby mnie zabić — mówię, siorbiąc gorący napój. — Po wybuchu na targowisku i wypadku w Kumiszu zaczynam im nawet wierzyć. — Chciałbym, żeby się uśmiechnęła. — W bazie chodzą słuchy, że niedługo znowu pojedziemy na pustynię. To może być bardziej niebezpieczne niż to całe piekło tutaj, dlatego musimy się przygotować.

— Umówiłeś się jakoś z Aharim?

— Tak, mamy się niedługo spotkać. Spróbuję się dowiedzieć więcej o bazie Distortion. Może obito mu się coś o uszy. Jeśli w okolicy wzgórza Otorten miały miejsce jakieś dziwne wypadki, policjanci powinni o tym słyszeć.

— Ja też postaram się czegoś dowiedzieć. Popytam swoich znajomych.

— Uważaj na siebie. Wywiad Wojskowy interesuje się tą sprawą. Aż dziwne, że nie nachodzą mnie ostatnio. Nie wiadomo, czy źródło promieniowania, o którym wspomniał Filip Meyer, jest naturalne, czy to nie jakaś broń, nad którą pracowali na pustyni. Nie

wiadomo, co naprawdę wydobywano w tym miejscu.

— Ale gdyby to była broń, profesor nie mówiłby o tym tak otwarcie w wywiadzie dla gazety. Musiałby się zobowiązać do zachowania ścisłej tajemnicy.

— No właśnie, to mi się jakoś nie składa. — Kiwam głową i odstawiam filizankę. — Wygląda na to, że nie wiedział, z czym mają do czynienia.

Całuję ją na pożegnanie. Smakuje owocami, sokiem z czerwonej porzeczki.

— Nie martw się, wszystko będzie dobrze. Za miesiąc, pod koniec czerwca, upłynie połowa naszej misji. Potem będzie z górki.

— Markus, ty też uważaj na siebie. Chcę, żebyś wiedział, że to nie jest wojenna przygoda. Ja cię kocham i nie mogę cię stracić.

Poniedziałek, 16 maja, godz. 10.05

Wracamy z wezwania do awantury, która wybuchła przed Poczta Główną w Harmanie. Dzisiaj jest dzień wypłaty wynagrodzeń dla urzędników i nauczycieli. System bankowy Remarku nie podniósł się jeszcze po wojennych zniszczeniach, więc większość pensji płacona jest w kasach zakładów pracy lub na poczcie. Ktoś podburzył tłum, rozpowszechnił plotkę o braku pieniędzy i ludzie zaczęli szturmować niewielki budynek w pobliżu ratusza.

Samo pojawienie się wojska uspokoiło sytuację, ale normalny poranek szlag trafił. W tamtą stronę pędziliśmy na złamanie karku, ale teraz wracamy spokojnie do Erde. Dwa skorpiony, Drużyny Jeden i naszej, toczą się uliczkami ubogich przedmieść, żeby uczynić zadość Doktrynie Widoczności. Dać tubylcom poczucie bezpieczeństwa, czy też raczej nastraszyć rebeliantów. Kiedy wjeżdżamy do dzielnicy Gabra, Ballard hamuje za pierwszym zakrętem, wskazując ciężarówkę na końcu ulicy.

Wokół samochodu, oklejonego logo firmy meblarskiej, biega kilku młodych ludzi. Wygląda na to, że oblewają go benzyną. Nie zauważyli jeszcze naszego przybycia. Mówię przez radio Wernerowi, że podjedziemy bliżej i w razie potrzeby otworzymy ogień. Musimy jednak uważać, żeby nie spowodować wybuchu.

— Ta firma, Aldi Kalini, miała nam dostarczyć nowe łóżka — mówi Dafny. — Stare się już całkiem rozwalają. Skurwysyny atakują dostawców.

— Ruszamy, Chris! — wydaję rozkaz i przekazuję meldunek do bazy.

Ballard wciska pedał gazu i po chwili znajdujemy się przy ciężarówce Huawei. Wysypujemy się na ulicę z bronią gotową do strzału, Puric chwyta mocniej kolbę MG2, a drugi skorpion staje kilka metrów za nami.

Pierwsze, co dostrzegam, to ciało kierowcy, przewieszane przez drzwi szoferki. Musiał się wychylić i krzyknąć na bandytów, kiedy dostał postrzał w głowę. Silnik nadal pracuje. Napastnicy rzucają kanistry i to, co mają w rękach, i zaczynają uciekać. Są całkowicie zaskoczeni. Jeden z nich okrąża huawei i biegnie w stronę, z której przybyliśmy. Po chwili trafia go seria z karabinu pokładowego drużyny Wenera.

Drugi znika w przejściu między budynkami po lewej. Pozostała czwórka wskakuje do pick-upa, zaparkowanego przed ciężarówką. Teraz widzę, że to on blokował przejazd. Słysząc pisk opon, kiedy ostro ruszają przed siebie.

— Gaus, Dafny, do wozu! — krzyczę, machając do Drużyny Jeden, żeby jechała za pick-upem. — Puric, Ballard, za mną! Włączyć zakłócacze!

Daniel zsuwa się błyskawicznie z wieżyczki, chwytając po drodze karabin. Zabieram ze sobą najszybszych chłopaków z drużyny. Przepuszczamy rozpędzonego skorpiona Jedyński i biegniemy za uciekinierem. Wpadamy w rozwaloną bramę, a potem na podwórko przysypane gruzem i śmieciami. Cienka reklamówka tańczy od podmuchów wiatru. Wokół nas spalone mury, które straszą otworami okien.

Bandyta ukrył się gdzieś na podwórku albo przebiegł przez pęknięcie w jednym z domów. Rozglądamy się pobieżnie, czy nie ma tu jego kompanów. Sam nie jest uzbrojony w długą broń. Może mieć nóż albo pistolet, ewentualnie granat. Ale nie wolno go lekceważyć – może gryźć jak szczur zapędzony w ślepej uliczce.

Sprawdzamy wysokie rumowisko i resztki altanki śmietnikowej. Jeden z domów zachował się w lepszym stanie. Trzypiętrowa kamienica z betonowymi balkonami. Już mamy tam wejść, zajrzeć do ciemnego wnętrza, kiedy słyszę odgłos potrąconej puszkii. Dobiega gdzieś z przeciwnej strony podwórka.

Wskazuję kierunek chłopakom i każe im okrążyć cel. Sam idę na wprost, z kolbą przystawioną do ramienia. Palec nad spustem lekko drży. Staram się wyrównać oddech, ale krople potu ściekają mi po plecach. Ballard skrada się z prawej strony do ceglastej ściany, która pozostała po komórce na narzędzia. Puric podchodzi zwierzynę z lewej, napięty jak struna. Pokonujemy dystans kilkadziesiąt metrów na ugiętych nogach.

Nagle ciemna postać wybiega zza murku i pędzi w kierunku dziury, za którą znajduje się spory plac. Puric mierzy do mężczyzny ubranego w bawełniany dres, ale potem zmienia zdanie i zaczyna za nim biec. Wypada na drugą stronę, Ballard rusza za nim. Próbuje nadążyć za chłopakami, jednocześnie kontrolując otoczenie.

Obaj są piekielnie szybcy i po mniej więcej stu metrach dopadają bandytę. Dostaje cios karabinem w głowę i upada na ziemię. Kiedy podchodzę do nich, krępują już zipem ręce Remarczyka, wykręcone na plecach. Puric chwytą go za włosy i pokazuje mi przerażoną, brudną twarz z wybałuszonymi oczami.

— Kurwa! — dyszy Daniel. — Mamy go, Markus.

— Całkiem wam odjechało. — Kręcę głową. — Powinniście strzelać!

— Nie było rozkazu — uśmiecha się Chris. — Skurwiel nie był uzbrojony, a może wywiad coś jeszcze z niego wycisnie.

— Skąd wiedziałeś, że nie był uzbrojony?! Wściekam się trochę, ale nie za mocno, bo rzeczywiście, nie wydałem rozkazu, a żołnierze świetnie się spisali.

Prowadzimy gnoja do skorpiona. Krępujemy mocniej, związujemy nogi i upychamy w części ładunkowej pojazdu. Jeśli się udusi po drodze, jego strata. Żaden z nas nie będzie po nim płakał. Wściekłość pulsuje mi w uszach, aż huczy.

* * *

W oddali słychać terkot broni maszynowej i po chwili Rozwielitka, który siedzi za kółkiem skorpiona, przekazuje krótki meldunek: drużyna Wenera dopadła uciekinierów. Pick-up uderzył w latarnię i nasi ludzie wystrzelali ich jak kaczki. Myślę, że to bardzo dobry dzień.

Podjeżdżamy dwa kilometry dalej i na bocznej, pustej drodze widzimy wrak, który obejmuje maską betonowy słup. Jest cały podziurawiony pociskami z MG2. Ciała bandytów, którzy próbowali się bronić, leżą zakrwawione na ulicy, obok starych gottańskich karabinów. Kierowca i pasażer z przodu zginęli chyba w wypadku, ale ich też dosięgły kule.

Werner pochyła się nad jednym z trupów i wycina mu na czole litery „DD” – czci w ten sposób pamięć Dawida Dreyfussa. A kiedy podnosi się z klęczek i spogląda na mnie, w jego oczach błyszczy coś ciemnego. Pewnie to samo co w moich, ale nie mam przy sobie lusterka.

Podjeżdżają pozostałe wozy z naszego PSR-u. Z pierwszego wyskakuje sierżant Gola i upewnia się, że nic nam się nie stało. Klepie chłopaków po plecach i mówi, że jest dumny z naszej akcji. Wołam go na chwilę do pojazdu i uchylam klapę z tyłu.

— Mamy prezent dla pana sierżanta. — Pokazuję skulonego Remarczyka.

— Ja pierdolę. — Gola szczerzy się szeroko. — No, to major Wilmots będzie miał zabawę. Zrobi ci laskę ze szczęścia.

— To zasługa Daniela i Chrisa — mówię, zatrzasnąwszy więźnia.

— Im też zrobi. Macie to jak w banku!

Drużyny Usila i Normana zostają, żeby zabezpieczyć ciężarówkę do przyjazdu policji. My zabieramy sierżanta i wracamy do bazy Erde. Nie mamy daleko, kilkanaście minut jazdy. Przypominam sobie, że mniej więcej w tym miejscu znaleźliśmy dziewczynkę z różowym balonikiem. Ile minęło już czasu? Dwa miesiące, może trochę mniej. Ten kraj wyżera nam pamięć i resztki wyrzutów sumienia.

Zabiliśmy właśnie pięciu ludzi, a szóstego wieziemy z tyłu, związanego jak zwierzę. Jesteśmy w doskonałych humorach. Żartujemy i śmiejemy się razem, jakbyśmy właśnie wygrali tę wojnę i mieli wracać do domu. Myślę, że dzisiaj w nocy będziemy spać jak dzieci.

Rozdział czwarty

Środa, 18 maja, godz. 20.55

Harman, prowincja Saladh, południowy Remark

Chciałbym ci opowiedzieć, synku, o kimś ważnym. Ważniejszym dla mnie od ludzi, o których zwykle ci opowiadam. Ale gdy usiadłem do pisania, zdałem sobie sprawę, że właśnie tym listem mogę dotknąć cię najmocniej. Bo jestem pewien, że kochasz swoją mamę. Kochasz ją teraz, kiedy to piszę, miłością małego dziecka, i będziesz kochał w przyszłości, czytając te słowa.

Mimo wszystko opowiem ci o Nemi Seelberg. O dziewczynie, którą poznałem tutaj przez przypadek. Tak jak poznaje się większość ważnych osób. Jest taki czas, gdy nie istnieją dla ciebie, możesz bez nich żyć i odczuwać szczęście albo smutek, a potem trafiasz na kogoś i wszystko się zmienia. Szczęście i smutek są inne, nawet jeśli nazywasz je tak samo.

Nemi to świetna dziewczyna, chociaż w młodości była kapłanką i religijną kurtyzaną. Ludzie w Remarku wierzą w dziwne rzeczy, bardzo trudno to zrozumieć. Ale Nemi rzuciła to wszystko, bo jej umysł jest zbyt racjonalny. Szuka prawdy, jak ja, i jest odważna w tym, co robi. Właśnie dlatego ją kocham, chociaż nie umiem jej tego powiedzieć.

Jest piękna w subtelny sposób, to nieoczywiste piękno. Jej duże ciemne oczy i drobna sylwetka podkreślają łagodność podszytą ironią. Mam wrażenie, że gdyby nie zrobiła pierwszego kroku, nie byłibyśmy razem. Kobiety wybierają mężczyzn według klucza, którego nie zrozumiesz, synku, nawet jeśli zdobędziesz się na odwagę i zadasz im setki pytań. Nemi wybrała mnie i trwa przy mnie niewzruszenie, ofiarując najlepszą rzecz, jaką człowiek może ofiarować drugiemu człowiekowi – cierpliwą akceptację.

Jeśli kiedykolwiek poczujesz, że wiesz, o czym mówię, będzie to oznaczało, że też znalazłeś kogoś, kto jest ważny. Ciesz się każdą chwilą, którą spędzasz z tą osobą, i nie oglądaj się za siebie. Bo świat nie jest dobry ani zły. To po prostu scenografia, brzydka albo piękna, w której nie liczy się nic, poza drugim człowiekiem.

* * *

Elektroda w głowie przestała pracować i wieczorami, po dniu pełnym strachu, pojawia się to napięcie, które spala mózg na jałowym biegu. Myśli płyną ciemnymi nurtami, by przeciągnąć zmęczone ciało do świtu, który potem rozlewa się w dzień, wywołując mdłości. Błękitne niebo nad głową staje się coraz bardziej szare.

Wychodzę na korytarz i mówię wartownikowi, że muszę zadzwonić. Prosi mnie o zachowanie ciszy i wraca do czytania gazety. Zamykam się w toalecie, wybieram numer ojca i czekam w napięciu. Rodzice kładą się spać raczej późno, jeśli ucieli sobie poobiednią drzemkę, ale nie zawsze tak jest. W Harmanie zaraz będzie północ, u nich, w Mieście Ramma, dochodzi dwudziesta trzecia.

— Słucham? — odzywa się zmęczony głos.

— To ja, tato.

— Ale nas przestraszyłeś, Markus. Coś się stało?

— Nic strasznego. Przepraszam za późną porę, ale muszę ci coś powiedzieć. — Biorę głęboki wdech. — Poznałem tutaj dziewczynę, ma na imię Nemi. Jest Remarką, tłumaczką w naszej kompanii. Może zamieszkamy razem, kiedy to wszystko się skończy. Myślę, że ci się spodoba.

Ojciec ożywia się nagle. Już dawno nie słyszałem, żeby coś go tak poruszyło. Dopytuje o Nemi: ile ma lat, co robi, jak wygląda. Mówię więc po namyśle, że przypomina mi Donnę Hawthorne, amerykańską aktorkę, która grała Winonę Horowitz w filmie *A Scanner Darkly*.

Wiem doskonale, że ojciec, pośród wielu swoich dziwactw, bardzo lubi ten film i oglądał go wiele razy. Może nie znać nazwiska aktorki, ale skojarzy dziewczynę głównego bohatera. Film zrealizowano techniką animacji rotoskopowej. Na zdjęcia żywych aktorów nałożono komiksowe rysunki. To trochę utrudnia sprawę. Donna ma tutaj jasne długie włosy, inaczej niż poza ekranem, ale rysy twarzy i sylwetka są bardzo podobne.

— Gratulacje, synku. Przepiękna dziewczyna. — Ojciec śmieje się z dumą w głosie.

— Wiem, tato, i bardzo miła, naprawdę. Dlatego mam do ciebie prośbę. — To najtrudniejsza część rozmowy. — Nasi tłumacze, jeśli złożą wniosek, dostają azyl po zakończeniu służby. Nemi wróci pewnie do Rammy z Piątym Kontyngentem. Przyjedziemy razem. Ale gdyby coś się stało albo przedłużyliby mi kontrakt...

— O czym ty mówisz? Co miałyby się stać?!

— Nic, tato, tak tylko mówię, na wszelki wypadek. Chodzi o to, żebym nie musiał się o nią martwić. Tu nie jest zbyt bezpiecznie, zwłaszcza dla młodych kobiet.

— Markus, nie mów, że coś ci się stanie! Mama by tego nie przeżyła.

— Dobrze, jasne. — Zaciskam zęby, aż trzeszcza. — Ale gdyby, powiedzmy, wyjechała wcześniej albo przyjechała oddzielnie, przyjmiecie ją do siebie, prawda?

— Wiesz, że ją przyjmiemy, chociaż nie opływamy w luksusy. Oczywiście, synu. Tylko nie mów więcej takich rzeczy.

— Bardzo ci dziękuję.

— Zrób jakieś zdjęcia i prześlij mi w wolnej chwili.

— Oczywiście. Jeszcze raz ci dziękuję.

Nigdy wcześniej nie prosił mnie o zdjęcia z misji. Wystarczało to, co widział w telewizji i w Synecie. Myślę, że chce pokazać Nemi matce. I cieszy się po swojemu,

głupią ojcowską radością, że po kilku latach samotności nareszcie kogoś znalazłem.

Piątek, 20 maja, godz. 14.40

Ten tydzień kończy się tragicznie, śmiercią Albina Hockego. Około jedenastej drużyny Usila i Normana dostały wezwanie do miasta i wszyscy ruszyli do pokojów po sprzęt. Chłopak zamarudził trochę, więc śpieszył się bardziej niż inni i kiedy reszta schodziła na parter, z pokoju Drużyny Cztery dobiegł odgłos wystrzału.

Pierwszy wpadł do środka jeden z wartowników, potem Werner i ja. Hocke leżał w kałuży krwi, z raną w klatce piersiowej. Postrzelił się śmiertelnie; trudno nawet zrozumieć, jak do tego doszło. Werner twierdzi, że musiał mieć nabój w komorze i niezabezpieczoną broń.

Pojechaliśmy zamiast drużyny Petera, żeby przepędzić tłum szturmujący supermarket w Gabrze. Płonął śmietnik stojący pod ścianą, pracownicy i ochroniarze zabarykadowali się w środku. Musieliśmy oddać strzały ostrzegawcze, żeby zapanować nad demolką. Ktoś został aresztowany za podpalenie, ktoś inny za wybicie szyb i kradzież. Nie ma już dnia w Harmanie, żeby nie zdarzył się jakiś incydent.

Kiedy wracamy do koszar, pokój, w którym zginął żołnierz, jest już wysprzątnany, a Usil wlecze się noga za nogą ze spotkania z kapitanem Beckiem i porucznikiem Ostinem. Siada na łóżku, półprzytomny ze zmęczenia i potwornie zdołowany, a ja nie wiem, jak mu pomóc. Klepię go w ramię, wyciągam spod tapczanu zakamuflowane piwo i wręczam Peterowi ciepłą puszkę. Pije bez przekonania, patrząc tępo w ścianę.

Był czas, że w rammańskiej armii ponad sześćdziesiąt procent śmierci i ciężkich uszkodzeń ciała spowodowanych było przez nieszczęśliwe wypadki. Teraz ten wstydlivy wskaźnik spadł podobno poniżej pięćdziesięciu procent. Ale i tak zostały poligony, ćwiczenia, brak kontroli w jednostkach, wiele misji, w których uczestniczą żołnierze. To może się zdarzyć wszędzie. Chciałbym to powiedzieć mojemu kumplowi. Przekonać go, że to, co spotkało Hockego, jest prawie normalne. To zwyczajna śmierć w porównaniu z ukrzyżowaniem kaprała Dreyfussa i porażeniem naszych kolegów w Kumiszu. Tylko jak zważyć ciężar śmierci?

Czuję się tak, jakby ktoś wbijał mi w czaszkę długie gwoździe i wyciągał je powoli, a potem wbijał na nowo. Prawie słyszę zgrzytanie metalu o kość. Ale najgorsze jest to, że nie rejestruję bólu. Nie drżą mi ręce i nie zaciska się gardło. Kładę się na wznak i patrzę w sufit, upstrzony grzybem i starymi zaciekami. Po wszystkim, co tutaj przeszliśmy, przypadkowa śmierć młodego żołnierza nie robi już na mnie wrażenia.

Nad dachami bazy Erde unosi się czarne słońce. Ciepły wiatr uderza w popękane szyby.

Słyszę cię, Ester.

Sobota, 21 maja, godz. 14.15

Stoimy na rogu alei Róż i ulicy Świętego Charona. Ubezpieczamy trasę przejazdu ważnych osób, trojga polityków ze stolicy, którzy przylecieli do bazy Centaur obejrząc straty po ataku, a teraz przemieszczają się w kolumnie do bazy Erde.

Gaus stoi na wieżyczce z MG2 w dłoni. Przydzieliłem mu stanowisko strzelca, żeby zmienić zmęczonego Purica. Opieramy się o skorpiona i próbujemy kontrolować sytuację, której nie da się kontrolować. Mijają nas rowery, rozklekotane samochody, furgonetki i wózki z warzywami. W każdej chwili ktoś może wyciągnąć broń albo odpalić ładunek.

Staram się o tym nie myśleć. I chociaż nie wolno jarać na służbie, przypalam sobie papierosa, a potem częstuję Ballarda. Rozwielitka rozmawia o czymś z Danielem. Docierają do mnie tylko strzępy zdań, bo chłopaki stoją po przeciwnej stronie wozu, obserwując swój sektor.

— Nie opłaciło się ratować Hockego przed Beneszem — odzywa się nagle Chris.

— Co masz na myśli?

— To był gość skazany na porażkę, a Benesz to tylko narzędzie. Miał wyeliminować najsłabsze ogniwo dla dobra całego stada.

— To bardzo ryzykowna teoria.

— Prymitywny darwinizm, Markus. Ale trudno go obalić i myślę, że o tym wiesz. Chłopak nie powinien się tu znaleźć. Był jak tykająca bomba zegarowa. Szczerze mówiąc, nie chciałbym, żeby stał za moimi plecami z odbezpieczonym MBS-em.

— Nie chodziło mi o młodego. — Patrzę Ballardowi w oczy. — Chciałem ukrócić zapędy tego wielkiego bydlaka. Nie mogłem pozwolić, żeby w oddziale rządził taki gnój, jak Benesz. Musiałem go złamać, zanim poczuje się pewnie.

— I co, złamałeś go?

— Dwa tygodnie temu sukinsyn poszedł do biura żandarmerii i próbował złożyć skargę, ale został wykopany za drzwi. To oczywiście nie oznacza, że nie będzie się mścił. Ale myślę, że jest w czarnej dupie.

— Jak my wszyscy. — Ballard uśmiecha się kącikiem ust. — Około siedmiuset pięćdziesięciu lat świetlnych od Ziemi znajduje się planeta TrES-2B. Jej powierzchnia i atmosfera odbija tylko jeden procent światła, dlatego panują tam nieprzeniknione ciemności. Nie byłbyś w stanie rozjaśnić ich żadnym reflektorem. Mniej więcej w czymś takim tu siedzimy.

— Kurwa, Chris, jak ty się tu znalazłeś? Co powoduje takim człowiekiem, że zaciąga się do armii i jedzie do Remarku, gdzie może dostać kulkę w łeb?

— To samo co tobą, Markus. Tylko ja bardziej nienawidzę ludzi. Normalnie ta pogarda i nienawiść jest tłumiona przez normy społeczne, ale na wojnie to nasze paliwo. Tutaj nie musimy udawać przed sobą.

Dostaję komunikat przez radio.

Wyrzucamy niedopałki do rynsztoka, a trzy minuty później aleją Róż przejeżdża konwój z delegacją Ministerstwa Obrony. Możemy wsiadać do skorpiona i wracać do

bazy, ale marudzimy jeszcze chwilę. Niech oficjele przekroczą bramę i odbiorą honory od podnieconych dowódców. To będzie teatr polowy naprawdę kiepskich aktorów.

Wtedy wpada mi do głowy pomysł, żeby pojechać kilka przecznic dalej, do komisariatu policji, w którym pracuje Salomon Ahari. Wczoraj zadzwonił do mnie, ale nie miałem głowy do składania wizyt. Śmiertelny postrzał Hockego rozwalił nam dzień.

To zaledwie półtora kilometra stąd. Chłopaki nie protestują, tym bardziej że nie dostaliśmy jeszcze rozkazu powrotu. Zawsze można zdać raport z bohaterskiej interwencji i przerwania chuligańskich wybryków; nie pierwszy raz urwiemy sobie godzinę. Ballard zawraca więc na skrzyżowaniu i ruszamy do centrum Harmanu.

* * *

Budynek komisariatu okazuje się nadspodziewanie duży. Dwupiętrowy, z solidnym podpiwniczeniem, każda kondygnacja to kilkaset metrów kwadratowych. Większość okien jest zakratowana.

Najważniejsze, że znajduje się za solidnym ogrodzeniem i linią betonowych zapór. Kiedy wjeżdżamy za bramę, możemy wysiąść z wozu i wejść spokojnie do środka; nie zostawiam nikogo przy MG2. Chłopaki rozglądają się ciekawie po wnętrzu komisariatu, a kapitan Ahari, który powitał nas w progach, dwoi się i troi, żeby odpowiednio podjąć „drogich gości i przyjaciół z Rammy”.

Najpierw pokazuje pomieszczenie oficera dyżurnego, potem pokoje przesłuchań. Na koniec prowadzi nas do podziemi, gdzie w ciasnych celach siedzi kilku aresztantów z zarośniętymi gębami. Komentuje wszystko głośno i żywo gestykuluje. Nie zawsze go rozumiem i czekam cierpliwie, aż całe przedstawienie się skończy. W pokoju odpraw żołnierze dostają skromny poczęstunek, a dowódca komisariatu idzie ze mną do swojego gabinetu.

— Szklaneczka? — pyta, wskazując na pękatą butelkę whisky.

— Nie mogę, kapitanie. Mamy wyrywkowe kontrole, kiedy wracamy do bazy.

— Wy-ryw-kowe — powtarza.

— To znaczy, że nie zawsze i nie każda drużyna. Ale można mieć poważny problem.

— Ja rozumiem. — Kiwa głową. — Nie może namówić, panie Trent. Zadzwonił od razu, kiedy spisał informacje. Tego jest trochę kartek, ale spisał wszystko, co znalazł w archiwum i rozmowy z kolegami. Czterdzieści zaginionych na Saladh podczas ostatnie trzy lata. Zgłoszenia o światła i wszystko, co było dziwne. Pisane to cały remargesz, bo ja nie mówię tak dobrze. A pisać gorzej od mówić.

Biorę od kapitana plik kartek wypełnionych równym, okrągłym pismem. Nemi znowu będzie miała kluczowe zadanie, ale przynajmniej nie ryzykuje podróżą do innego miasta. Chowam notatki do kieszeni na udzie i ściskam mocno dłoń Ahariego.

— Dziękuję, kapitanie. Przetłumaczmy to sobie. To dla mnie bardzo ważne, żeby się czegoś dowiedzieć, bo nasze wojska patrolują pustynię i ludzie widzą czasem różne

rzeczy. Zdarzają się nawet wypadki śmiertelne.

— Nie wiedzieli, aż tak dużo rzeczy było. Trudno wiedzieć na raz, trzeba specjalnie poszukać. Jakie jedno wydarzenie może być normalne, bo wojna tutaj, panie Trent. Każdy może zostać zaginiony. Ale tego dużo rzeczy, nienormalnie dużo.

— Tak, zdaję sobie z tego sprawę. Dlatego prosiłem o pomoc.

— W swoje języki Armaje nazywali ta góra, gdzie stoi stara baza, Otorten.

— Wiem, kapitanie. Baza Distortion została zbudowana na terenie dawnej placówki badawczej u podnóża Otorten. Tyle udało mi się dowiedzieć z sieci. Nasza tłumaczka pomogła mi szukać informacji.

— Ale może nie mówi, panie Trent, że Otorten znaczy „nie idzie tam”. Armaje na Saladh boi się tego miejsca. Od dawna się boi. Opowiada dzieciom bajki, że to brama prosto do Hadesa. Nikomu tam nie chce chodzić.

Po skórze przebiega mi dreszcz.

— A pamięta pan ewakuację wojsk z bazy? Słyszałem, że żołnierze Sojuszu opuszczali Distortion w pośpiechu. Dowiedział się pan czegoś na ten temat?

— Ja pamięta, ale nie wie dużo, bo tajemnica wojenna. Zapisał wszystko na kartki.

— Jasne, kapitanie. Jeszcze raz bardzo panu dziękuję.

Kiedy wracamy do Erde, mam głowę nabitą myślami. Chłopaki pytają mnie, o czym rozmawiałem z Aharim, ale nie zdradzam im teraz wszystkiego. Muszą trochę poczekać, aż Nemi przeczyta notatki, a ja ułożę z tych pieprzonych puzzli spójny obraz. Na razie mówię im, że pytałem o sytuację w Harmanie i że partyzanci szykują uderzenie.

To zresztą prawda, kapitan jest tego pewien. Od początku maja aresztowali kilkunastu bojowników, z których wycisnęli nieco informacji. Zbliży się czas prawdziwej walki. Niektórzy z nas pewnie polegną lub zostaną ranni, ale reszta odczuje ulgę, że oto wreszcie stajemy oko w oko z wrogiem. To czekanie, aż ktoś wsadzi ci nóż w plecy, jest po prostu nie do wytrzymania.

* * *

Moja mała Nemi wchodzi do kantyny. Czekam tu na nią wieczorem, chociaż gruby sierżant Petry już dwa razy rzucił w moją stronę, że zamyka budę. Teraz jeszcze bardziej się rozsierdzi, widząc wchodzącą dziewczynę.

— Panienko, restauracja zamknięta!

— Ja nie do restauracji, ja do tego pana — uśmiecha się Nemi, wskazując na mój stolik.

— Człowiek nie może posprzątać w spokoju — zrzędzi Petry, krzątając się za barem.
— Za dziesięć minut macie mi stąd zniknąć.

— Tak jest, panie sierżancie. — Macham do niego ręką.

Nemi nie może się opanować i kiedy stary nie patrzy, całuje mnie mocno w usta. Aż przez chwilę zapominam, po co tu przyszliśmy. Ta dziewczyna smakuje najlepiej na

świecie. Mógłbym się żywić wyłącznie tym smakiem.

— Dobrze już, Markus, bo nie zdążymy porozmawiać. — Sprowadza nas wreszcie na ziemię, rozsądna jak każda kobieta.

— Tak, przepraszam. Już zamieniam się w słuch.

— Przejrzałam kartki, które mi dałeś po kolacji. Zapiski są trochę chaotyczne, ale wyłania się z nich obraz, którego się spodziewaliśmy: coś dziwnego dzieje się w tym miejscu. Ahari napisał, że od kilkuset lat krążą legendy o Otorten, a autochtoni nigdy się tam nie osiedlali. Dopiero Armajowie, którzy przybyli z południa, zbudowali kilka wiosek, wtedy jeszcze nad Redą. Być może dlatego, że nie znali ludowych podań.

— Czyli wcześniej za górami mieszkali rdzenni Remarczycy?

— Tak, ale raczej nieliczni, głównie w okolicach Trygelu. I to nie była pustynia, lecz rozległa, dość żyzna równina. Dlatego tym bardziej się dziwię, że było tam mało osiedli. Kapitan wspomina o tym na początku, opierając się na opowieści swojej matki. Dalej pisze, że około dwustu lat temu odkryto złoża srebra i miedzi i zaczęło się wydobywanie. Potem wydobywano też krótko rudę uranu. Dokumenty z kopalń wspominają o zaginięciu wielu górników i niespodziewanych zawałach. Zobacz, tutaj wypisał kilka źródeł i dane tych pracowników. Łącznie czternaście osób wymienionych z imienia i nazwiska. — Wskazuje fragment tekstu. — Teren był niestabilny geologicznie, a złoża niewielkie, więc pięćdziesiąt lat temu zamknięto ostatni szyb. Od tej chwili cały region podpadł, z wyjątkiem Kumiszu, który stał się miastem targowym.

— Ale przecież Kumisz leży najbliżej, jakieś trzy kilometry od wzgórza.

— Tak, i to jest trochę bez sensu. — Nemi kiwa głową, przeglądając kartki. — Ale to nie koniec. Ahari sprawdził, że w ciągu ostatnich dwudziestu lat nie zgłoszono zniknięcia żadnego mieszkańca wioski. Tutaj jest wykaz zaginionych z innych miejscowości, czasem nawet oddalonych o kilkanaście kilometrów i więcej, w sumie ośmiu osób. Tu z kolei masz listę dwudziestu nazwisk ludzi, którzy przejeżdżali w pobliżu albo wędrowali po pustyni Saladh i słuch po nich zaginął. Niektórzy próbowali pewnie wyjaśnić tajemnicę wzgórza. W ubiegłym stuleciu to był modny temat w Remarku.

— A co z pracownikami placówki badawczej?

— Nie ma wzmianki, żeby któryś z nich zaginął. Chociaż znalazłam ciekawy fragment. — Nemi patrzy mi w oczy. — Kapitan pisze, że ze względu na zagrożenie wybuchem gazów zgromadzonych w dawnych szybach kopalnianych baza naukowa została ewakuowana. W notatkach straży pożarnej wspomniano o językach ognia wydobywających się z gruntu. To było ostatecznym powodem zakończenia badań.

— Oficjalnym powodem.

— I jeszcze wisienka na torcie: kilku ewakuowanych naukowców „zdradzało objawy załamania nerwowego”. Rozumiem, że zaczęli się zachowywać jak ten człowiek, którego spotkaliśmy przed wjazdem do wioski albo jak szeregowy Hynek.

— Wiesz, nie mogę pojąć, jak to się stało, że nie słyszałem wcześniej o tym miejscu.

W tym momencie sierżant Petry wyprasza nas z kantyny i zamyka ją na cztery

spusty. Odprowadzam Nemi do drzwi budynku cywilnego, prosząc, by na razie zachowała to wszystko dla siebie. Najpierw chciałbym porozmawiać z dowództwem, a dopiero potem poinformować żołnierzy.

Dziewczyna streszcza mi po drodze pozostałą część notatki, poświęconą zjawiskom zaobserwowanym w okolicy Otorten. Kapitan Ahari zebrał relacje świadków o tajemniczych światłach na pustyni, o dziwnych awariach pojazdów, które tamtędy przejeżdżały, o problemach z łącznością i tym podobnych sprawach.

Na przykład jeden z patroli policyjnych kręcił się w kółko przez dwie godziny na niewielkim obszarze, nie mogąc znaleźć drogi, z której zjechał. Dwaj policjanci byli już porządnie przestraszeni, kiedy natknęli się wreszcie na któregoś z mieszkańców. Pasterz wskazał im kierunek, ale nawet wtedy mieli trudności z trafieniem na autostradę do Fizzy.

Podczas przelotu nad pustynią Saladh awarii uległ też helikopter remarskiej telewizji i rozbił się w pobliżu wzgórza. Nikt nie zginął, ale dwie osoby zostały ciężko ranne. Pilot twierdził podczas śledztwa, że najpierw stracił kontakt radiowy z Harmanem, a potem urządzenia pokładowe odmówiły mu posłuszeństwa.

Nasz informator spisał się wyjątkowo dobrze, gromadząc mnóstwo faktów i opatrując je przypisami. Gdybym mógł, wyściskałbym kapitana z wdzięczności, chociaż wiem, że to on czuje się zobowiązany. Podziękuję mu osobiście przy najbliższej okazji i zapytam o kilka szczegółów. Tymczasem żegnaj się z Nemi i pędem wracam do siebie, bo zrobiło się cholernie późno.

Po drodze do pokoju zaglądam do Larsa Normana, prosząc o nowy dysk z filmami. Ostatnio nie mogę spać i kiedy Peter chrapie na swoim pościu, zakładam słuchawki i oglądam na laptopie wszystko, co wpadnie mi w ręce. Łagodne środki nasenne, które dostałem od doktor Sauber, przestały już działać. Muszę załatwić coś mocniejszego.

Niedziela, 22 maja, godz. 10.40

Gola puka do drzwi porucznika Ostina. Widzę, że ma duże wątpliwości, czy postępujemy słusznie, zawracając mu głowę w niedzielę. Uległ wreszcie moim prośbom, a porucznik zgodził się nas przyjąć – na dodatek u siebie, w czasie wolnym od służby.

Po raz pierwszy jestem w czyjejs kwaterze w budynku oficerskim, ale muszę powiedzieć, że nie ma mu czego zazdrościć. To kanciapa niewiele większa od tej, w której urzęduje nasz sierżant. Różni się tym, że na kilku metrach kwadratowych zmieścił się przystawiony do ściany stolik. Stoją przy nim trzy dębowe krzesła, akurat dla naszej trójki. Ostin proponuje nam herbatę, a my uprzejmie odmawiamy.

Porucznik nalewa sobie wrzątku z elektrycznego czajnika, miesza zaparzoną herbatę, celebryje wyrzucenie ekspresowej torebki. Potem podchodzi do półki z książkami i lustruje jej zawartość. Naprawdę nie wiem, jak powinniśmy się zachować. Na wszelki wypadek milczymy i spoglądamy na siebie pytająco. To jeden z tych oficerów, których

trudno rozgryźć, bo zamiast krzyczeć i rzucać wyzwiskami, wciąż analizuje sytuację.

— Przepraszam, panowie, coś mi się właśnie przypomniało — odzywa się nagle Ostin. — Ale to może poczekać. Rozumiem, że przyszlście tutaj, żeby mnie ostrzec i powiedzieć o niebezpieczeństwie czyhającym na pustyni?

— No tak, panie poruczniku. — Gola wierci się na krześle. — Kapral Trent dowiedział się kilku ważnych rzeczy i chciałby je panu przekazać.

— W pewnym sensie przyszlście niepotrzebnie — stwierdza Ostin i milknie.

Czuję, jak ulatuje ze mnie nadzieja, że coś wskóram.

— Przyszlście niepotrzebnie — kontynuuje — ponieważ zdaję sobie sprawę, że to, co się zdarzyło w Kumiszu, nie jest normalne i nie jest odosobnionym przypadkiem. Widziałem skutki tego zjawiska i rozmawiałem kilka razy z kapitan Sauber. To dobrze, Markus, że po wypadku jesteś w dobrej kondycji. Masz cholerną wolę życia.

— Dziękuję, panie poruczniku — mówię, dziwiąc się jego słowom.

— Mogę was zapewnić, panowie, że to, co wiem o pustyni Saladh, wystarczy, żebym zdawał sobie sprawę z zagrożenia. Ale jeśli dowiem się więcej, spróbuję przekonać innych oficerów. Dlatego chętnie was wysłucham.

Ponaglony wzrokiem przez sierżanta, opowiadam krótko o wypadku i o tym, że skłonił mnie do bliższego przyjrzenia się sprawie. Właściwie interesowałem się nią wcześniej, po porażeniu szeregowego Hynka z Admirum, ale po akcji w Kumiszu po prostu musiałem rozpocząć dochodzenie. Trochę się zapętlam w tym przydługim wstępie, brnę jednak dalej, jakbym czołgał się w gęstym błocie na poligonie w Koden.

Streszczam wywiad z profesorem Meyerem, zamieszczony w „Rocket Science”. Nie mówię, od kogo dostałem tłumaczenie, a porucznik na szczęście nie pyta. Może się trochę domyśla, a może nie kojarzy Nemi. Potem relacjonuję spotkanie z kapitanem Aharim oraz treść notatek, które przekazał mi wczoraj. Dla dobra sprawy zdradzam nawet, że byliśmy na komisariacie. Zwracam uwagę porucznika na zapiski w policyjnych statystykach, które są bardziej wiarygodnym źródłem niż podwórkowe plotki. Na koniec dodaję, że wojska Sojuszu wycofały się z Distortion w pośpiechu, porzucając nawet część wyposażenia.

— Macie jakieś pomysły, co może być przyczyną tych zjawisk? — pyta Ostin.

— Pierwsze podejrzenie, panie poruczniku, było takie, że wojska Sojuszu testowały jakąś nową broń — odzywa się Gola. — Ale to, że ludzie ginęli w tym miejscu już dawniej, zaprzecza tej teorii.

— Właśnie tak, panie poruczniku. Jeśli w bazie Distortion coś się działo, to raczej kontynuowano tam badania Remarczyków nad naturalną anomalią. Zupełnie się na tym nie znam, ale może przyczyna tkwi w złożach, które tu wydobywano? Trudno stwierdzić, brakuje nam fachowej wiedzy. No i nie ma czasu, żeby się tym zająć.

— Wiem, Markus, i tak dużo ustaliłeś. Kto oprócz was wie o tych faktach?

— O artykule z magazynu naukowego słyszało kilka osób, ale o notatkach kapitana Ahariego rozmawiałem tylko z sierżantem. — Nie mijam się mocno z prawdą.

— I niech tak na razie zostanie. — Ostin kiwa głową. — Wiecie, że wywiad interesuje się tą sprawą, a Oddziały Specjalne pojawiły się w Kumiszu natychmiast. Po pierwsze więc, musicie dbać o własne bezpieczeństwo, a po drugie, nie wolno wywoływać paniki.

— Tak jest! — odpowiadamy prawie równocześnie.

— Mogę was zapewnić, że będę o tym pamiętał i porozmawiam z dowódcą kompanii. Dołożę wszelkich starań, żeby w planowaniu uwzględniono potencjalne zagrożenie. Wszyscy wiemy, że w Kumiszu nie doszło do zwykłego porażenia prądem.

— Dziękujemy, panie poruczniku — mówi Gola.

— A ja dziękuję za zaufanie, panowie. Spełniście swój obowiązek.

Marcel Ostin ściska nam dłonie i daje do zrozumienia, że skończyliśmy spotkanie. Wracając do koszar, mam wrażenie, że zrzuciłem z pleców kilka kilogramów. Sierżant też wygląda na rozluźnionego. Zakładamy, że porucznik jest po naszej stronie i rozumie powagę sytuacji. Oczywiście, równie dobrze może natychmiast zadzwonić do Wilmotsa i nasłać na nas wywiad, ale nie chcę tracić resztek wiary.

Gola rzuca na odchodne, że nie mamy wpływu na decyzje dowództwa. Najprawdopodobniej i tak nie stanie się nic szczególnego, a całą wiedzę przemielią po prostu tryby wojskowej maszyny – ktoś podniesie róg remarskiego dywanu i zamiecie pod niego resztki.

* * *

Gdybym miał powiedzieć, komu oprócz swoich ludzi ufam najbardziej w plutonie, byłby to z pewnością Lars Norman. Nie widzimy się może zbyt często, ale to porządny gość i zawsze zachowuje się fair. Tym dziwniej czuję się, słysząc pod wieczór, że rozmawia o mnie z Peterem Usilem. W pierwszej chwili trudno mi w to uwierzyć.

Nie domknęli drzwi do naszego pokoju, a ja wróciłem właśnie z zasranego miasta, po dwugodzinnym krążeniu w okolicy ratusza. Szukaliśmy zamachowca, który poinformował telefonicznie, że podłożył bombę gdzieś w urzędzie. Telefon został namierzony przez policję, ale człowieka nie udało się odnaleźć. Bomby również. Po drodze do koszar wziąłem bulion z automatu i z parującym kubkiem stanąłem na korytarzu, przed wejściem.

— Ale co dokładnie dzieje się z Markusem? — dochodzi z wnętrza głos Normana.

— Kurwa, Lars, facet zmienił się po Kumiszu. Nie może spać, tłucze się pół nocy po pokoju, a czasem, jak się przebudzę, widzę, że siedzi na łóżku i patrzy przed siebie.

— I co mówi?

— Nic nie mówi. Wygląda, jakby czegoś nasłuchiwał. Aż mi ciary przechodzą po plecach. Raz go nawet o to zapytałem, ale rano nie pamiętał sytuacji.

— Wiesz, on w tej wiosce doznał poważnego urazu. Nie mam pojęcia, jak to się stało, że w porównaniu z resztą wyszedł prawie bez szwanku. Ale i tak się martwię,

chciałbym mu pomóc, cholera.

— Wczoraj w nocy zachciało mi się łać — kontynuuje Usil, ścisząc trochę głos.
— Obudziłem się i zobaczyłem, że leży w kącie pokoju, skulony na podłodze. Trochę jęczał przez sen, ale dał się normalnie zaprowadzić do łóżka. To dlatego chciałem z tobą dziś pogadać. Nie wiem, kurwa, kogo się poradzić.

— Trzeba go namówić, żeby poszedł do lekarza. Porozmawiamy, jak wróci.

Zastanawiam się, co zrobić. Jestem trochę zaskoczony tym, co usłyszałem. Odruchowo chciałem się wycofać i przyjść tu jeszcze raz, wszczynając dużo zamieszania. Udawać, że o niczym nie wiem. Ale to przecież bez sensu, trzeba zmierzyć się z rzeczywistością.

— Cześć, chłopaki — mówię, otwierając drzwi.

W pokoju zapada niezręczna cisza.

— Cześć, Markus! — Norman podaje mi rękę. — Rozmawialiśmy właśnie o tobie.

— Wiem, coś tam słyszałem. — Rzucam graty na łóżko, a karabin odstawiam do stojaka pod oknem. — Jestem zjebany po patrolu, więc może wrócimy do tematu później?

— Jasne, jak chcesz.

— Nie musicie się o mnie martwić. Dam sobie radę sam albo pójdę do doktor Sauber, tylko potrzebuję trochę czasu.

— Pamiętaj, że chcemy ci pomóc. Trzymaj się! — Norman wychodzi z pokoju.

Ściągam przepocony mundur, przebieram się w koszulkę i spodnie dresowe. Poprawiam trochę posłanie i siadam naprzeciw Usila. Patrzy na mnie, jakby widział ducha. W jego oczach pełza chyba strach albo przynajmniej niepokój.

— Mogłeś mi powiedzieć o tych sytuacjach.

— Próbowałem, Markus! Ale ty mnie, kurwa, w ogóle nie słuchasz. — Potrząsa głową, podkreślając własne słowa. — Wiem, że jestem prostym chłopakiem bez szkoły.

— Nie pierdol, Peter.

— Chuj, to nieważne, stary! Musisz coś ze sobą zrobić, bo zwariujesz.

— Wielu ludzi nie sypia zbyt dobrze, jeśli codziennie widzi jebane koszmary. Adam Werner każdej nocy budzi się z krzykiem. I jakoś Lars nie jest w stanie mu pomóc.

— Ale u ciebie to chyba coś innego.

— Nie, Peter. Dokładnie to samo, tylko objawia się inaczej.

Oczywiście kłamię – to jest coś zupełnie innego.

To poczucie czyjejs obecności, jakby przezroczyista postać stała za moimi plecami. Albo cień widziany kątem oka. Nie mogę tego znieść, zwłaszcza w nocy, kiedy obecność się nasila. Mam wrażenie, że Ester próbuje skontaktować się ze mną, ale jest zbyt daleko. Lecz właśnie wtedy, kiedy szum jest mniejszy, a mózgu nie bombarduje tyle bodźców, udaje jej się trochę zbliżyć. Tylko że nadal nie rozumiem, czego chce ode mnie mechaniczny kobiecy głos.

Aby go zagłuszyć tej nocy, włączam komunikator i znów próbuję rozgryźć słowa

profesora Meyera. Czytam o cząstkach elementarnych i oddziaływaniach między nimi, o liczbach kwantowych i dymorfizmie, i nie potrafię tego pojąć. Nowoczesna nauka brzmi dla zwykłego człowieka zupełnie jak alchemia. Kolory i spiny cząstek, leptony, gluony i neutrino, te matematycznie wywiedzione byty, zaprzeczające zdrowemu rozsądkowi. To dlatego staliśmy się tak przesądni i podatni na manipulację.

Poniedziałek, 23 maja, godz. 8.30

Staję w drzwiach znajomego gabinetu. Doktor Sauber podnosi głowę i przygląda mi się uważnie. A przynajmniej tak mi się wydaje, bo siedzi na tle jasnego okna i nie widzę szczegółów jej twarzy, raczej zarys sylwetki.

— Pani kapitan, ja chyba wariuję.

— O co chodzi, Markus?

Nie pytam o pozwolenie. Po prostu wchodzę do środka i siadam po drugiej stronie biurka, a potem wylewam to z siebie. Opowiadam doktor Sauber o dławiającym lęku, o niebieskim świetle i o mechanicznym głosie, który słyszałem podczas wypadku. Opowiadam też o czarnym słońcu i zmęczeniu, które zwała mnie z nóg. Mówię wszystko, jakbym się spowiadał.

— Nie mogę spać. A kiedy zasnę, lunatykuję, chodzę po pokoju i potem tego nie pamiętam. Czasem kapral Usil, z którym mieszkam, musi mnie zbierać z podłogi. To się zaczęło krótko po wypadku w Kumiszu. Od kilku tygodni mam wrażenie, że się nasila, i chyba zaczynam się bać. Wczoraj zdałem sobie sprawę, że inni też to widzą.

— Czego się boisz najbardziej?

— Że zostanę odesłany do domu. Nie chcę wracać, chcę dosłużyć do końca kontyngentu. — Myślę o Nemi, której nie mogę zostawić w Remarku. — Wiem, że zrobię tutaj więcej dla swojego kraju niż w macierzystej jednostce.

— To bardzo szlachetnie, kapralu, ale czasem dzieje się inaczej, niż sobie życzymy.

— Co to znaczy, pani kapitan?

— Tego typu zaburzenia snu są charakterystyczne dla dzieci poniżej dwunastego roku życia i najczęściej przemijają z wiekiem. U dorosłych występują rzadko, a przyczyną może być stres pourazowy. Tak to wygląda u ciebie, zwłaszcza w połączeniu z innymi objawami. Szok, którego doznałeś, pozostawił w mózgu trwałe ślady. Nie można też wykluczyć mikrouszkodzeń w okolicach elektrody.

— Błagam, niech mi pani pomoże. Nie chcę zostać odesłany do Rammy.

— Wiesz, co powinnam zrobić? — Linda Sauber sięga przez blat i kładzie dłoń na mojej zaciśniętej pięści. — Powinnam natychmiast skierować cię na badania, z których już byś tu nie wrócił. Twój przypadek od początku prowokuje mnie do łamania zasad, których do tej pory trzymałam się w żelazny sposób.

Czuję narastającą panikę. Zaczynam się trząść.

— Markus, mówiąc szczerze, spodziewałam się tej sytuacji. Podejmiemy próbę

ratowania cię, ale musisz dokładnie wypełniać moje zalecenia. I zachować dyskrecję, bo w przeciwnym wypadku narobisz mi strasznych kłopotów. Będę musiała zaprzeczyć większości tego, o czym tu rozmawialiśmy. Rozumiemy się?

— Tak, pani kapitan.

— Dostaniesz ode mnie lek, który powinien ci pomóc. Po kilku dniach będziesz lepiej spał, a częściowo zastąpi też działanie uszkodzonego stymulatora. Przyjmuj rano pół tabletki przez pierwsze cztery dni, a potem jedną dziennie. Przed snem nie rób niczego, co pobudzi twój mózg. Staraj się oczyścić umysł z całego dnia, choćby spotkały cię nie wiem jak straszne rzeczy.

Otwiera dolną szufladę biurka i wyjmuje stamtąd nieoznakowaną fiolkę. Wewnątrz znajdują się białe, podłużne tabletki z podziałką pośrodku. Są cienkie i z jednej strony widnieje na nich cyfra „50”. Przerobiłem w życiu wiele leków antydepresyjnych, ale tych tabletek nie znam. Być może to coś nowego albo środek innego rodzaju.

— Lek jest delikatny, podawany również dzieciom i starszym osobom. Nie powinien mieć skutków ubocznych, ale mimo wszystko sporo ryzykujesz. Schowaj go dobrze w pokoju i zażywaj tylko wtedy, kiedy będziesz sam. Nie noś go przy sobie.

— Oczywiście.

— Masz tu zapas na sześćdziesiąt dni. Do mnie zgłaszasz się równo co tydzień. Jeśli ktoś go znajdzie, to pamiętaj, że nie dostałeś tych tabletek ode mnie.

Wzruszenie odbiera mi głos.

— Pani kapitan, nie wiem, jak się mam odwdzięczyć. Jeśli jest coś, co mogę dla pani zrobić, proszę mi o tym powiedzieć.

— Jest coś takiego. — Linda Sauber się uśmiecha. — Trzymaj się moich zaleceń.

Środa, 25 maja, godz. 9.45

Porucznik Ostin od ósmej trzydzieści prowadzi z nami odprawę. Na sali obecni są obaj sierżanci oraz sześciu dowódców drużyn: Sotter, List, Bernstein, Werner, Usil i ja. Mastalik zatrzał się wczoraj jakimś syfem i leży w koszarach, rzygając do miski, a Norman dostał wezwanie do holowania skorpiona, który zepsuł się trzy kilometry od bazy. Porucznik opowiada nam o ostatnich ruchach rebeliantów i przedstawia plan kolejnego wypadu do Trygelu. Po prostu można umrzeć ze szczęścia.

Przejąłbym się pewnie zamiarami dowództwa i tak jak pozostali narzekał na swój los, gdyby nie wibracja, którą wyczuwam w kieszeni. Czarno-białe zdjęcie Nemi wyświetla się na komunikatorze. Za trzecim razem przeproszam przełożonych i pod pozorem skorzystania z toalety wychodzę na korytarz. Nemi jest ostrożna i nie dzwoni bez ważnego powodu.

— Cześć, mała. Co się stało?

— Markus! — Chlipie do słuchawki. — Żandarmeria zabrała mnie do bazy Centaur.

— Jak to, zabrała cię żandarmeria?!

— Powiedzieli, że potrzebują tłumacza z remarskim i armajskim, ale po drodze jeden żeton powiedział mi, że chodzi też o coś więcej. Ktoś złożył na mnie donos, tylko ten żołnierz nie wiedział w jakiej sprawie.

— O kurwa. — Uderzam się dłonią w czoło. — Myślisz, że chodzi o nas?

— Nie wiem, naprawdę nie wiem.

— Ktoś cię przesłuchiwał? Rozmawiał z tobą po przyjeździe?

— Nie, nikt ze mną nie rozmawiał. Siedzę w jakimś pokoiku, a dyżurny powiedział mi tylko, że mam czekać na wezwanie. Podobno będę potrzebna mniej więcej za godzinę.

— Posłuchaj... — Nie wiem, co powiedzieć, jak zwykle w takich sytuacjach. — Uspokój się, Nemi, wszystko będzie dobrze. Muszę wracać na odprawę, ale odezwę się do ciebie, jak tylko się czegoś dowiem. Napisz mi parę słów.

— Markus, ja nie wiem, co ze mną będzie.

— Nic się nie stanie. Naprawdę, przyrzekam ci. Jeszcze dzisiaj wrócisz do Erde.

— Ale to jest strasznie dziwne. — Znowu zaczyna płakać.

— Słuchaj, przepraszam cię, muszę wracać. Niedługo zadzwonię.

Co się, kurwa, dzieje?! Wracam wściekły na salę, ale muszę wytrzymać jeszcze kwadrans z nogą drżącą pod krzesłem. Gdy tylko odprawa dobiega końca, łapię Golę przy wyjściu i odciągam na bok. Pytam, czy coś wie albo czy mógłby się czegoś dowiedzieć. Obiecuje, że zadzwoni do swojego kumpla z żandarmerii, i zostawia mnie z czarnymi myślami.

To jest jak pieprzony koszmar, w którym nogi śpiącego, zanurzone w gęstej mazi, odmawiają posłuszeństwa. Mam wrażenie, że nie mogę się poruszyć. Ta bezsilność dobija najbardziej. A przecież Nemi liczy na mnie, tak jak ja liczę od dawna na kapitan Sauber, a teraz na pomoc sierżanta. Skomplikowany łańcuszek zależności i pokładanych nadziei.

— Co masz taką minę? — pyta Ballard.

— Nemi zabrała żandarmeria.

— Co, kurwa?!

Opowiadam mu w dwóch słowach o rozpaczliwym telefonie dziewczyny. Najpierw myśli, że to głupie żarty, i zaczyna się śmiać. Potem łapie się za głowę, przeklina bezgłośnie i biegnie po schodach na górę.

— Zaczekaj tu na mnie! — woła już z daleka.

Siadam na krześle pod ścianą, ale nie mogę wytrzymać, więc wychodzę przed budynek zapalić. Po kwadransie Chris wraca z telefonem w rękę. Jest czymś wyraźnie przejęty.

— Posłuchaj, Markus, mój kumpel pracuje w bazie Centaur. Ma zajebiste znajomości, chociaż to zwykły operator drona. Poprosiłem, żeby się czegoś dowiedział, i zaraz do mnie oddzwonił. Ktoś złożył donos, że Nemi była karana i zataiła to przy naborze.

— To znaczy, że była w więzieniu?

— W poprawczaku jako nastolatka, za drobne kradzieże. Mają ją dzisiaj przesłuchać. Podłoga chwieje mi się pod nogami.

— Mówił ci, kto złożył donos? — pytam po chwili.

— Nie mógł się tego dowiedzieć. Ale jak myślisz, kto mógł to zrobić?

Myślę o Beneszu, aż bolą zaciśnięte zęby.

— Kurwa, zabiję go, przysięgam!

— Uspokój się, nikogo nie zabijesz. — Ballard chwytą mnie za bluzę i potrząsa.

— Nie mamy pewności, że to on, a poza tym musisz ochłonać. Po pierwsze, sprawa rozejdzie się po kościach, Nemi dostanie tylko opierdziel. Po drugie, wojsko naprawdę potrzebuje tłumaczy z trzema językami, a ona jest dobra. Niejeden z nas coś ukradł w życiu i jakoś tutaj jesteśmy.

— Ale ona jest Remarką. Wystarczy byle pretekst, żeby zrobić jej krzywdę.

— Świrujesz, bo ci się podoba. Nikt jej tutaj nie skrzywdzi. — Patrzy mi w oczy.

— Dowiemy się, czy to Benesz i skąd miał takie informacje. A teraz weź głęboki wdech i wracaj do swojego pokoju. Za chwilę mamy ćwiczenia.

Pół godziny później sierżant Gola potwierdza rewelacje Chrisa. Pocieszająco klepie mnie w ramię i mówi, żebym się nie martwił. Gdyby Nemi zrobiła coś gorszego, wyrzuciliby ją pewnie z pracy, ale za kradzież w wieku szesnastu lat nie zostanie wydalona. Co najwyżej otrzyma nagane i zabiorą jej miesięczną pensję.

Dzwonię kilka razy, ale nie odbiera. Najgorsze jest oczekiwanie. Na szczęście już za moment biegamy w kółko po placu i robimy inne durne rzeczy, które trochę odwracają uwagę. Pot spływa mi po twarzy, a myśli krążą wokół absurdalnej sytuacji – zbiegów okoliczności i prawa serii. Jeszcze kilka dni temu rozmawiałem z Nemi o wspólnym powrocie, a teraz oboje martwimy się o to, czy nie wyrzucą nas z SSARR. Cholerny los wycina nam numery, które trudno byłoby wymyślić. Przynajmniej ja nie mam takiej wyobraźni.

Poniedziałek, 30 maja, godz. 4.50

Najpierw alarm rozlega się w głowie, a dopiero potem na zewnątrz. Śpię trochę lepiej po tabletkach doktor Sauber. Może to efekt placebo, a może naprawdę pomagają się wyciszyć. Ale za to trudniej mi otworzyć oczy nad ranem, wstać w pięć sekund, wskoczyć w całe oprzyrządowanie i biec do skorpiona. Ledwie nadążam za swoją drużyną.

— Ja pierdolę, ale miałem piękny sen — narzeka Usil, który biegnie obok mnie.

— Co ci się śniło?

— Dwie dziewczyny robiły mi dobrze na plaży.

Na miejscu spotyka nas niemila niespodzianka. Sierżant Gola oznajmia z wyraźnym zadowoleniem, że to alarm ćwiczebny i że mamy ustawić się w szeregu – po dwie drużyny naprzeciw siebie. Rzuca nam pod nogi zwinięte plandeki, każe je rozłożyć

i czekać na dalsze rozkazy. Płachty mają rozmiar co najmniej pięć na trzy metry. Zastanawiam się sennie, czy będziemy robić na nich fikołki. Co dowódca plutonu wymyślił tym razem?

— No dobrze, panowie. Teraz przeszukam dowódców drużyn i sprawdzę, co mają w kieszeniach. A wy stoicie na baczność i ani mi się, kurwa, ruszyć! — mówi Gola.

I rzeczywiście, podchodzi do każdego z kaprali, każe rozpiąć wszystkie kieszenie, wyciągnąć ich zawartość i pokazać. Na plandece ląduje breloczek Normana i zdjęcie jego żony oraz jakiś notes wyłuskany z kieszeni Usila. Adam Werner i ja nie mamy przy sobie nic, co zaciekawiloby sierżanta. Potem każe nam zrobić to samo ze swoimi drużynami. Chodzi o prywatne drobiazgi, które żołnierze zabrali na akcję wbrew regulaminowi.

Trochę tego znajdujemy w niecałe dziesięć minut. Na ziemi ląduje kilka komunikatorów, zdjęcia, listy i pocztówki, mosiężna figurka Jezusa (to oczywiście Puric), a nawet prezent od dzieciaka, mały pluszowy misiek, którego Norman wydłubuje z kieszeni Jurgena Kulme. Sytuacja jest na tyle śmieszna, że chłopaki nie potrafią zachować powagi.

Sierżant rozkazuje nam stanąć z powrotem na baczność, przechadza się pomiędzy rzędami i ogląda niektóre z leżących na plandekach fantów. Mam wrażenie, że jego spokój budzi większy respekt niż tradycyjny opierdziel. Wreszcie zatrzymuje się na końcu szpaleru i przemawia donośnym głosem:

— Przedwczoraj straszy szeregowy Kranc z naszego batalionu został porwany w Harmanie przez rebeliantów. Zawinęli go z placu Kohlera, gdzie pieszy patrol próbował uspokoić tłum. Następnego dnia żona porwanego otrzymała telefon z żądaniem okupu i groźbą zabicia dzieci. Mam nadzieję, że rozumiecie powagę sytuacji?

— Tak jest, panie sierżancie!

— Żołnierz miał przy sobie komunikator. Te skurwysyny bez problemu znalazły namiar do jego rodziny. Nie wolno wam pod żadnym pozorem zabierać prywatnych drobiazgów. Żadnych zdjęć, listów, notesów, a przede wszystkim telefonów i komunikatorów. Dzisiaj jeszcze nie wyciągnę konsekwencji, ale następnym razem zatłukę na miejscu. Zrozumiano?

— Tak jest, panie sierżancie!

— To zabierajcie te gówna z moich oczu i wracać do koszar. Koniec ćwiczeń!

Trochę huczy mi w głowie, kiedy kładę się z powrotem do łóżka. Głuchy odgłos krwi pompowanej do tętnic. Myślę znowu o Nemi, która została w Bazie Centaur. Na razie nic jej nie zrobili, ale potrzebują naszej tłumaczki przez kilka najbliższych tygodni. Myślę o zadaniu, które wykonuje w centrum Harmanu, i czuję się bardziej samotny niż kiedyś. Teraz wiem na pewno, że generał Salte nie jest szowinistą. Ma cholerną rację w sprawie kobiet w armii.

Rozdział piąty

Środa, 1 czerwca, godz. 11.00

Harman, prowincja Saladh, południowy Remark

Tęsknię za tobą, mój synku. Oczywiście, koledzy z oddziału też tęsknią za swoimi rodzinami i ciężko przeżywają rozłąkę, ale ja chyba tęsknię inaczej. Oni wiedzą, że jeśli uda im się przeżyć, zobaczą swoje dzieci i przywiozą im nawet jakąś pamiątkę z Remarku – ja nie mogę tego zrobić. Nie spotkam się z tobą w naszym domu, nie posadzę na kolanach i nie przytulę cię mocno, żebyś od nowa przyzwyczał się do mnie.

Oczywiście, tęsknię też za Nemi, której nie widziałem od tygodnia, tęsknię za twoją babcią i dziadkiem, ale to całkiem inna tęsknota – normalna i zdrowa, niewyżerająca tak bardzo wnętrzości. Nie mogę sobie wybaczyć, że w pewnym momencie straciłem kontrolę nad życiem i dałem się ponieść rwącej rzece. Niewiele brakowało, bym utonął. Pozostało mi teraz wysyłanie listów w przyszłość.

Nie chcę ci przez to powiedzieć, żebyś zawsze kontrolował to, co robisz. To najprostsza droga, żeby stracić spontaniczność i zwyczajną radość życia; według planu można stawiać domy i budować mosty, ale nie marzyć i przekraczać siebie. Jeśli jednak poczujesz kiedyś, że wszystko wymyka ci się z rąk, musisz poszukać pomocy. Nie polegaj wyłącznie na sobie.

Życzę ci, synku, żebyś był na tyle silny, aby ufać ludziom. Życzę ci, żebyś uczył się na błędach, nie tylko własnych, ale również otaczających cię osób i swojego ojca, który zanudza cię starymi mądrościami. Bądź szczęśliwy, bo tylko w ten sposób możesz dawać szczęście. Wszystkiego najlepszego z okazji Dnia Dziecka, kochany!

* * *

Pod koniec marca losowaliśmy urlopy. To było zaledwie dwa miesiące temu, ale pamiętam ten dzień jak przez mgłę. Tyle rzeczy wydarzyło się po drodze i tylu ludzi przepadło w Remarku. Czas biegnie tu inaczej, jest jak lina, na której ktoś zawiązał grube supły. Żaden z nas od tamtej pory nie pojechał na przepustkę. Nawet ci, którzy – jak Vim Gaus – bardzo chcieli odwiedzić rodzinę, nie dostali pozwolenia od dowództwa.

Tym dziwniejsza wydaje się informacja, z którą przychodzi do nas sierżant. Dziesiątego czerwca cała kompania otrzyma tygodniowy urlop, plus czas na dotarcie do domu. Gola przekazuje to dowódcom drużyn ze skwaszoną miną, jakby zawiadamiał właśnie o wybuchu epidemii grypy i krachu na rammańskiej giełdzie.

— Co się dzieje, panie sierżancie? — pyta Lars.

— Doczekaliście się wreszcie. Możecie powiadomić swoich ludzi i rodziny.

— Ale dlaczego właśnie teraz?

W kącie korytarza zapada głucha cisza. Chyba wszyscy domyślamy się powoli, o co chodzi. Ten niespodziewany urlop musi mieć drugie dno.

— Panowie, nie chcę być złym prorokiem, ale to mi pachnie większą operacją — odzywa się wreszcie sierżant. — Puszczają nas, żebyśmy trochę odpoczęli, a potem dostaniemy wpierdol.

— Porucznik wspominał coś o Trygelu — zauważa Werner.

— No właśnie, wyślą nas na pustynię. — Gola wyraźnie nie ma ochoty na rozmowę. — Pijcie, obracajcie dziewczyny, czy co tam chcecie robić, i wracajcie w dobrej formie. Przepustka za dziewięć dni.

Odprawiamy go wzrokiem aż do załomu korytarza.

— To jest, w sumie, zajebisty news — cieszy się głupio Usil.

— Zaszra pustylnia — mówi cicho Werner. — Przeklęty, zaszra kraj.

Jakoś nie chce mi się z nimi dyskutować.

Piątek, 3 czerwca, godz. 10.00

Znajduję wreszcie czas, by zadzwonić do kapitana Aharięgo. Tak naprawdę namówiła mnie do tego Nemi, z którą właśnie rozmawiałem przez telefon. Usłyszałem, że czuje się lepiej, największy strach minął po rozmowie z porucznikiem Moerstremem. Litościwe wojsko nie odeśle jej do domu, więc zasypała mnie plotkami z bazy Centaur i różnymi drobiazgami, które przeczytała w sieci. Kończę rozmowę trochę skołowany, ale z szerokim uśmiechem na twarzy. Potem wybieram numer Remarczyka.

Komórka długo nie odpowiada. Już mam przerwać połączenie, kiedy w słuchawce rozlega się lekko zachrypnięty kobiecy głos. Pytam o kapitana, bardzo powoli i wyraźnie wymawiając jego nazwisko, ale kobieta krzyczy po remarsku i niczego nie mogę zrozumieć. Wreszcie naciskam czerwoną słuchawkę i wywołuję z pokoju Purica.

Daniel niechętnie podejmuje się zadania. Nie przepada za pogawędkami z tutejszymi, których rozumie piąte przez dziesiąte. Ale radzi sobie świetnie, bo kiedy kobieta ponownie odbiera, rozmawia z nią dobre pięć minut. Potem oddaje mi komunikator, garbi się i wbija wzrok w podłogę.

— No, mów, czego się dowiedziałeś.

— Salomon Ahari zginął dwa dni temu. Wpadł w zasadzkę, jeśli dobrze usłyszałem, niedaleko swojego posterunku. Jego żona, to znaczy, wdowa po nim — Daniel przerywa na chwilę — ta kobieta powiedziała, że kula trafiła go w skroń.

— Nie umierał godzinami, nie męczył się?

— Tak, nie męczył się.

— To dobrze.

Czuję pustkę. Jakby ktoś wydlubał mi dziurę w mózgu i przepuścił przez nią zimne światło. Chciałem jeszcze zapytać kapitana o tyle rzeczy i odwdzińczyć się za okazaną pomoc. Myśl, że nie usłyszę więcej jego śmiesznej mowy, jest bardziej gorzka, niż się spodziewałem.

Oczywiście, zdawałem sobie sprawę, że każdego dnia może dosięgnąć nas kula albo odłamek ajdika. Wszyscy tutaj w jakimś stopniu jesteśmy gotowi na śmierć. Ale, mimo wszystko, nie potrafię pogodzić się z tym, że zginął kolejny człowiek, którego znałem. Dobry człowiek i dobry policjant, chociaż Remarczyk z krwi i kości.

Charon wiezie go teraz swoją łajbą do bram Hadesu. Stare kobiety czuwają przy zmarłym i płaczą. Słodka woń kadzidła unosi się w pomieszczeniu. Komórki ciała rozpadają się powoli, a tworzące je niegdyś atomy wyruszają w dalszą podróż. Salomon Ahari, patrząc w ciemne wody Styksu, wreszcie zdaje sobie sprawę, że żaden Hades nie istnieje, podobnie jak Styks, łasy na obole Święty Charon i jego zapleśniała łódź.

Niedziela, 5 czerwca, godz. 18.15 Operacja „Emil”

Ballard biegnie do mnie, jakby uciekał przed diabłem albo przed rojem szerszeni. Palę papierosa w kucki na tyłach budynku, ale gdy dostrzegam Chrisa, od razu wracam do pionu. Nogi zdrętwiały mi od niewygodnej pozycji, a teraz, dla odmiany, drętwieje mi serce.

— Markus, nie słyszałeś opaski?!

— Nie. — Patrzę na czarną bransoletkę na prawym nadgarstku; zielona dioda nie miga. — O cholera, chyba się rozładowała.

— Szukamy cię z dziesięć minut! Jest alarm, jakieś straszne gównno w centrum.

Razem biegniemy do koszar. Już przy wejściu widzę spore poruszenie: drużyna Normana wypada na plac, za nią drużyna Wenera. Ballard krzyczy mi do ucha, że rebelianci przypuścili atak na pałacyk, w którym bawiła się elita miasta. Zastrzelili ochroniarzy i kilku policjantów, w ich ręce wpadł burmistrz Zola z żoną i najbliższą świtą.

Na schodach taranuje nas pluton sierżanta Sewerina. Trudno iść pod prąd, bo chłopaki są w pełnym rynsztunku i pędzą na złamanie karku. Jeśli na miejsce zdarzenia wysyłają też inne oddziały, nie tylko PSR, musi być naprawdę źle.

Na piętrze moi ludzie czekają z Usilem i jego drużyną. Łapię tylko złośliwy uśmieszek Benesza, skaczę do pokoju, narzucam na siebie kamizelkę, łapię hełm i MBS-a i wszystko dopinam po drodze. Do samochodów docieramy jako jedni z ostatnich i pakujemy się do „dwieście pięćdziesiątki”. Sierżant Gola siada z tyłu, za moim fotelem.

— Kurwa, Markus, gdzie ty byłeś, do jasnego chuja?!

— Panie sierżancie, melduję, że zepsuł mi się pager.

— Ja pierdolę! Nieważne. Ruszamy, panowie. Formować kolumnę.

Po chwili w słuchawkach rozlega się głos porucznika Ostina:

— Mówi dowódca. Jedziemy do centrum, w kierunku skweru Bohaterów Remarku. Musimy być na miejscu za kwadrans, więc wciskajcie gaz do dechy. Nie wjeżdżamy na sam plac, przegrupujemy się na ulicy Rogga przy budynku teatru. Więcej szczegółów przekażę wam na miejscu.

Gdybyśmy mieli koguty na dachu, lecielibyśmy ulicami na sygnale. W niedzielę panuje tu na szczęście mniejszy ruch, ale i tak cywilne samochody w panice zjeżdżają nam z drogi. Tuż po opuszczeniu bazy Erde jakiś Remarczyk skręca zbyt gwałtownie i zsuwa się do rowu. Potem na ostrym zakręcie nasz pierwszy pojazd potrąca skrzynki z owocami ustawione na chodniku. Dojrzałe truskawki wylatują w powietrze i giną pod kołami patrolowców. Ludzie krzyczą, machają rękami i chowają się do bram.

Kiedy hamujemy ostro przed teatrem pośród kilkunastu innych patrolowców, mija dokładnie piętnaście minut od startu. Pada rozkaz „z wozu”. Wysypujemy się na zewnątrz i ustawiamy przy swoich skorpionach. Żołnierze z innych kompanii biegają wokół nas – jedni w stronę skweru, przy którym stoi pałacyk, inni w przeciwnym kierunku.

Podoficerowie wykrzykują rozkazy, drony latają w powietrzu. Słychać terkot broni maszynowej i pojedyncze wybuchy. Przez chwilę wisi nad nami cassabian, ale oddala się szybko na zachód. Panuje tutaj większe zamieszanie niż po ataku na Bazę Centaur. Tylko cywili, na szczęście, strach wymiół z całej okolicy.

Gaus wyciąga w naszym kierunku wielką pięść i przekręca ją spodem ku górze. Potem rozkurcza palce, a w środku widzimy dorodną czerwoną truskawkę, którą złapał podczas jazdy, stojąc na wieżycze. Pakuje ją sobie do ust. Bezapelacyjnie wygrywa tym konkurs na największy absurd dnia.

* * *

Porucznik Ostin wraca do nas po rozmowie z majorem Giggsem koordynującym operację „Emil”, żeby podać więcej szczegółów. Sytuacja wygląda następująco:

Skwer Bohaterów Remarku odchodzi od ulicy Rogga i kończy się ślepo Pałacem Księcia Emila, białym dwupiętrowym budynkiem wzniesionym na skarpie, schowanym za kamiennym murem i wysoką bramą. Po prawej i lewej stronie stoją trzypiętrowe zabytkowe kamienice ze spadzistymi dachami i rzeźbionymi balkonami. Pośrodku placu znajduje się szpaler palm, półmetrowe kamienne donice, przy których ustawiono ławki, oraz wysoka fontanna, będąca jednocześnie pomnikiem Posejdona. Od ulicy Rogga do pałacu jest około trzystu metrów, z czego tylko pierwsze kilkadziesiąt pozostaje stosunkowo bezpieczne.

Na razie wiemy, że można dostać się do dwóch kamienic po prawej, korzystając z bocznych okien i osłony, jaką daje wrak transportera trafionego przez rebeliantów na początku walk. Trochę dalej, po lewej, płoną cztery policyjne samochody, a jeszcze dalej stoi ogromna koparka, używana do prac drogowych w ubiegłym tygodniu.

Naturalne przeszkody i unieruchomione pojazdy sprawiają, że nie da się podjechać bliżej niż do połowy placu. Nikt zresztą nie próbuje takiego manewru, ponieważ rebelianci są dobrze uzbrojeni i strzelają z ciężkich karabinów maszynowych oraz wyrzutni rakiet do wszystkiego, co zbliży się do nich zbyt mocno.

Dostajemy mapę skweru z zaznaczonymi obiektami: czerwone krzyże pokazują miejsca, gdzie sokoły namierzyły stanowiska wrogów. Zajęte są na pewno po trzy kamienice najbliżej Pałacu Księcia Emila, po obu stronach placu. Gniazda karabinów maszynowych zlokalizowano w bramie oraz w trzech miejscach za kamiennym ogrodzeniem. Partyzanci kryją się też za koparką, kioskiem z pamiątkami przy pomniku oraz za samochodem dostawczym, zaparkowanym na prawo od bramy. Doskonale przygotowali się do tej akcji.

Na zdjęciach wykonanych przez drony widać mnóstwo trupów. Kilkudziesięciu zabitych i rannych leży w różnych miejscach skweru – są wśród nich policjanci, ochroniarze i cywile, w tym kobiety i dzieci. Jest pewnie również kilku napastników. Co jakiś czas bojownicy wyprowadzają z pałacu zakładnika i zabijają go przed wejściem.

— Panowie, nie będę wam mówił, że operacja jest łatwa — kończy Marcel Ostin. — Mamy zająć pozycję w drugiej kamienicy po prawej i oczekiwać na rozkaz ataku. Pobrać z wozów dwa zestawy torujące. Ruszamy za pięć minut.

— Drużyny Trzy i Cztery, pobrać zestawy i do mnie! — krzyczy sierżant.

Biegniemy do skorpionów, a nogi i ręce aż dygoczą z napięcia. Twarze moich ludzi stężały, a oczy uciekają w bok. Zapinamy MBS-y na paskach, chwytamy żelastwo w dłonie i wracamy do punktu zbiórki. Gaus i Benesz, najsilniejsi w plutonie, dźwigają z tyłu metalowy taran. Muszą teraz współpracować.

* * *

Większość naszego oddziału dostaje się do pierwszej kamienicy przez okno od strony Rogga. Otwór jest wysoki i po podstawieniu drewnianych palet żołnierze wchodzi bez problemu. Ja prowadzę drużyny Trzy i Cztery wzdłuż budynku; mamy wejść od razu do kolejnej kamienicy. Niesiemy ciężki sprzęt, który trudno byłoby dźwignąć do góry i podawać sobie na wysokość dwóch metrów.

Na chodniku leży ciało zabitego rebelianta. Mężczyzna, ubrany w spodnie dresowe i t-shirt, ma ciemną, zarośniętą twarz. Wygląda, jakby na chwilę się zdrzemnął. Tuli się jak dziecko do wysokiego krawężnika; wokół głowy zakrzepła plama krwi. Musimy uważać, żeby nie nadepnąć na trupa i nie potknąć się.

Przyklękam, opieram się barkiem o ścianę i wyglądam za róg. Unieruchomiony transporter rzeczywiście stanowi niezłą osłonę. Ktoś rzucił na niego kilka worków piasku, dzięki czemu można przemknąć do następnego budynku. Gdyby partyzanci Garcii mieli strzelców wyborowych, mogliby nas łatwo zdjąć z okien po drugiej stronie placu. Ale porucznik twierdzi, że do tej pory strzelają na tę odległość wyjątkowo

niecelnie.

— Peter, weźmiesz swoich ludzi i zasuwaszcie do transportera — mówię do Usila.

— Dobra. Zostawię wam tylko Benesza, żeby pomógł nieść taran.

— Jak będziecie na miejscu, rzuć granat dymny. Wtedy my ruszamy do drugiej kamienicy. — Odwracam się do Rozwielitki. — Jared, zajmij pozycję przy tamtym drzewie. Ubezpieczamy ich.

Dafny czołga się do rozłożystego kasztanowca, który rośnie przy ulicy Rogga, na wprost skweru. Chwilę później mierzy już w kierunku stanowisk partyzantów.

— Na mój znak! — woła Usil do swoich ludzi. — Niska sylwetka!

Ruszają biegiem do transportera. Gdzieś w głębi placu rozlega się terkot karabinu maszynowego, ale cała czwórka bezpiecznie dociera do opancerzonego pojazdu. Szeregowy Wass, który zastąpił Albina Hockego, rzuca granat dymny za transporter. Biała chmura unosi się z sykiem ku górze.

Chłopaki Usila otwierają ogień. Raczej na oślep i wyłącznie po to, żeby jakoś odpowiedzieć rebeliantom, a my, korzystając z zamieszania, biegniemy ile sił w nogach do bramy drugiej kamienicy. Dopadamy jej w kilka sekund i skręcamy w lewo, na klatkę schodową. Gaus i Benesz aż dyszą z wysiłku.

— Boję się, kurwa — szepcze mi do ucha Puric.

— Damy radę — odpowiadam mu niemal bezgłośnie.

W kamienicy znajduje się około dwudziestu ludzi z Pierwszego Batalionu oraz jeden żołnierz z kompanii wojsk inżynieryjnych. Na korytarzu i w trzypokojowym mieszkaniu na parterze panuje niezły ścisk. Wycofujemy się na klatkę schodową, a po kilku minutach dołącza do nas porucznik Ostin, obaj sierżanci i dwa plutony z naszej kompanii.

Możemy ruszać dalej.

* * *

Sierżant z Pierwszego Batalionu przekazuje Ostinowi dowództwo i zabiera swoich ludzi. Porucznik naradza się przez radio z majorem Giggsem; każe nam przejść do pokoju, który staje się chwilowo punktem dowodzenia. Idziemy korytarzem do skromnego salonu z zielonymi tapetami na ścianach. Chłopaki dostają rozkaz, żeby przesunąć błyszczący regał na bok. Szklane naczynia sypią się z półek na podłogę. Mała doniczka, wypełniona ziemią, spada Olafowi Ince na hełm. Pod ciężkim butem Trumana chrupią kieliszki do wódki.

— Uważać na okna! — krzyczy Gola. — Nie stawać naprzeciwko otworów.

Sierżant Sewerin przekazuje szybko informację, że budynki przy skwerze zostały zburzone podczas nalotów Gottan na Harman. Zawaliły się lub spłonęły. Remarczycy odbudowali je po wojnie, zastępując stare murowane kamienice nowymi, opartymi na drewnianym szkielecie. Bardzo zależało im na szybkim odtworzeniu tego miejsca. Sewerin określa te konstrukcje pogardliwie „remarską tandetą”.

— To jest gówno, a nie budynki.

— Dobrze, panowie — wtrąca się porucznik Ostin. — Zostawmy architekturę na później. To jest dla nas sprzyjająca okoliczność: sforsowanie poszczególnych ścian może być łatwiejsze ze względu na materiał, z którego zostały wykonane. Musimy przebić się do kolejnych kamienic i zabezpieczyć tę stronę placu.

— Jak to „przebić się”, panie poruczniku? — pyta kapral Sotter.

— Wyrąbimy sobie przejście — odpowiada Ostin. — Zwiad ustalił, że następny budynek nie jest zajęty przez partyzantów. Ale kolejne — już tak. Dlatego podczas operacji musimy być bardzo ostrożni.

— Do roboty! — wydaje rozkazy Gola. — Jedna drużyna pracuje, druga ubezpiecza. Potem zmiana, i następne. Kapral Brener będzie nadzorował wszystko od strony technicznej.

Inżynier kiwa do nas głową. Wyjaśnia zwięźle, jak należy zdemontować ścianę, i że musimy uważać na belki tworzące konstrukcję, które na tej kondygnacji mogą mieć grubość dwudziestu centymetrów i być rozstawione co pół metra albo nawet gęściej. Jeżeli utrudnią nam przejście, będziemy musieli wyciąć jedną z nich.

— Ale to już moje zadanie — pokazuje piłę spalinową leżącą na stole.

— No to jedziemy! — woła Gaus, przystępując do tłuczenia młotem w wyznaczony punkt.

Załatwia nam w ten sposób pierwszą zmianę. Zdzieramy tapety i rąbiemy siekierami płyty gipsowe. Potem za pomocą metalowych prętów odrywamy znajdujące się pod nimi te grubsze i twardsze — wiórowe. Rozdzieramy przy tym izolację z folii. Naszym oczom ukazują się dwie belki i szklana wata upchana nierówno pomiędzy nimi. W wielu miejscach ziejże pusta przestrzeń.

— Ale fuszerka — mędzi Sewerin.

— Nie martwiłbym się izolacją, ale belki nie są dobrze ostrugane, mogą zgnić albo się łatwo zapalić — przyznaje mu rację Brener, wodząc palcami po drewnie. — Wyciągnijcie watę i zróbcie mi trochę miejsca.

— Ruszać się! — poganiam swoich ludzi, ciągnąc jednocześnie za gąbczastą masę.

Kapral Brener, tak jak zapowiadał, wycina pionową belkę. Demontujemy zewnętrzną warstwę i pięciocentymetrową dylatację ze styropianu, oddzielającą obie kamienice, a potem drużyna Normana przystępuje do rozwalania drugiej ściany.

W ruch idą siekiery, młoty i łomy. Pot spływa nam wszystkim po plecach. Ktoś przytomny podaje pracującym wodę w metalowych manierkach. Kiedy następna belka zostaje przecięta, a warkot piły cichnie, stajemy w pełnym pogotowiu. Gaus i Benesz łapią za uchwyty tarana, a Puric i Ballard na mój rozkaz ładują granatniki.

Gola każe nam zająć pozycje wokół otworu. Po czwartym uderzeniu metalowego drąga ściana pęka. Pojawia się spora dziura, do której najpierw Daniel, a potem Chris strzelają granatami. Dla pewności pakują jeszcze w środek serię z MBS-a.

Przechodzimy przez duży pokój, zdemolowany od wybuchów, i biegniemy dalej.

Wszędzie leżą potłuczone kawałki talerzy i szklanego stołu, fragmenty mebli oraz obrazy, które spadły ze ścian; w powietrzu unosi się pył.

Przeszukujemy kolejne mieszkania, w dwóch przypadkach Gaus wykopuje drzwi z zawiasów. Kilku żołnierzy ubezpiecza wejście do budynku, a reszta wspina się coraz wyżej po schodach – długi wąż uzbrojonych ludzi, gotowych strzelać do własnego cienia. Drewniane stopnie trzeszczą, a tupot nóg zagłusza rozkazy dowódców.

Jestem już na drugim piętrze, kiedy słyszę strzały dochodzące z dołu. Przez słuchawki dostajemy komunikat, że ludzie Mastalika zabili właśnie dwóch partyzantów, którzy weszli od frontu, żeby sprawdzić, co się dzieje w kamienicy. Po chwili okna w szybach zaczynają się sypać od serii z karabinów maszynowych. Wróg już wie o naszej obecności, ale nie znajdujemy go wewnątrz. Cały budynek jest pusty.

* * *

Do następnej kamienicy musimy wejść znacznie ostrożniej. Porucznik Ostin rozkazuje Sewerinowi, aby jedna z drużyn Trzeciego plutonu kuła ścianę na parterze, robiąc przy tym jak najwięcej hałasu, a reszta oddziału ubezpieczała budynek. Potem prowadzi PSR na trzecie piętro, gdzie pod okiem kaprała Brenera demontujemy w ciszy kolejne warstwy płyt. Belki górnej kondygnacji rozmieszczone są rzadziej, więc nie musimy ich ciąć. Wypychamy ostatnią warstwę taranem i wpadamy na bliźniacze poddasze. W niewielkiej sypialni leżą ubrania powyciągane z szaf, jakby ktoś pakował się w pośpiechu. Sierżant Gola pokazuje nam gestami, które pokoje mają sprawdzić poszczególne drużyny. Nie znajdujemy nikogo, więc z największą ostrożnością wyglądamy na klatkę schodową – Puric, Dafny i ja.

Naprzeciwno znajdują się drzwi do drugiego mieszkania. Czuję nagłe zimno, które przeszywa mnie do kości, a w uszach rozlega się wysoki pisk. Dreszcze są tak mocne, że aż zataczam się na ścianę.

— Co się stało? — pyta Rozwielitka.

— Tam ktoś jest. — Wskazuję mieszkanie po drugiej stronie holu.

— Co mówiłeś? — szepcze Usil, który stoi za mną.

— Ktoś jest w tym mieszkaniu. — W ustach mam pustynię, z trudem wypowiadam słowa. — Musimy to sprawdzić. Powiedz sierżantowi.

Słyszę, jak Peter cofa się w głąb korytarza i przekazuje wiadomość Goli. Słyszę też pokrzykiwania rebeliantów na parterze i mnóstwo innych dźwięków: skrzypienie drewna, stłumione oddechy, krzyki ptactwa kołującego nad placem i bicie serc dwojga ludzi ukrywających się za drzwiami. Jakby właśnie aktywował mi się dodatkowy zmysł albo słuch wyostrzył się kilkakrotnie. Pęka mi od tego głowa.

— Skąd on może o tym wiedzieć? — pyta Gola.

— Nie wiem, panie sierżancie, ale kilka tygodni temu też coś przewidział na akcji — odpowiada Usil. — Namierzył nóż u aresztanta, którego zatrzymały żetony.

— Kurwa, ja pierdolę — komentuje Gola i przepycha się do wyjścia. — Markus, weźmiesz swoich ludzi i sprawdzisz, kto tam jest. Tylko, kurwa, nie róbcie hałasu. Peter, twoja drużyna ubezpiecza ich i obserwuje schody. Reszta czeka w pogotowiu.

Podchodzimy do mieszkania. Ballard naciska delikatnie klamkę i na mój znak otwiera szybko drzwi. Wpadamy do środka, przeszukując kolejne pomieszczenia. Po prawej jest toaleta, dalej łazienka i niewielki schowek. Po lewej znajduje się spora sypialnia, potem mniejsza, a na końcu kuchnia, częściowo otwarta na salon.

Właśnie tam, pod drewnianym stołem, znajdujemy dwoje dzieci, skulonych i przytulonych do siebie. Staję w wejściu obok Purica, który przytyka palec do ust. Pokazuje chłopcu i dziewczynce, żeby nie krzyczeli. Mają po kilka lat, chyba jeszcze nie chodzą do szkoły. Zasnęły pewnie w prowizorycznym schronieniu, bo teraz patrzą na nas, mrużąc oczy.

Zanim zaczną płakać, skaczę z Ballardem do przodu i wyciągamy znaną dwójkę spod blatu. Zatykamy im usta i biegniemy znowu do mieszkania, z którego przyszliśmy. Tu przejmują je Inka i Wass, żeby przenieść przez dziurę do poprzedniej kamienicy. Kilku chłopaków jest wyraźnie poruszonych znaleziskiem.

— Skąd się tam wzięły dzieciaki? — pyta półgłosem ktoś z tyłu.

— Cisza! — mówi Ostin. — Przygotować się do zejścia na dół.

* * *

Gola macha na mnie i razem schodzimy piętro niżej, trzymając broń w pogotowiu. Mam za plecami moich ludzi, potem drużynę Wenera. Stawiamy z rozwagą każdy krok, żeby nie zaalarmować przeciwnika. Głosy na parterze są coraz wyraźniejsze. Rebelianci zgromadzili się prawdopodobnie w pokoju, do którego pozoruje wejście pluton Sewerina. Co jakiś czas słychać też strzały na zewnątrz.

Drzwi do obu mieszkań na drugim piętrze są zamknięte. Sierżant patrzy na mnie pytająco. Traktuje mnie teraz jak pieprzonego wróżbitę.

— I jak, Markus?

— Moim zdaniem, czysto — mówię szeptem.

— Nie ma czasu, żeby je wyważyć. — Gola podejmuje decyzję. — Nie możemy narobić hałasu. Za mną!

Idziemy dalej tak ostrożnie, że mięśnie aż bolą z napięcia. Na pierwszym piętrze drużyna Wenera wchodzi do mieszkania po lewej. Nikogo tam nie ma, ale brązowe drzwi naprzeciwko nie dają mi spokoju. W głowie rozlega się pisk, jakby ktoś podłączył do elektrody DBS gitarowy przester, pieprzone distortion. Aż zaciskam zęby i wykrzywiam z bólu twarz. Pokazuję sierżantowi, że musimy to koniecznie sprawdzić. Gola macha na Usila, żeby wszedł ze swoimi ludźmi do środka.

Peter naciska klamkę, potem znika w ciemnym korytarzu. Za nim wchodzi Truman, Inka, Wass i Benesz. Pisk nasila się jeszcze, przed oczami wiruje mi błękitny śnieg.

Zaglądam do przedpokoju. W głębi szeroka postać Benesza zasłania resztę drużyny.

Drzwi szafy wnękowej po prawej przesuwają się bezszelestnie i wychyla się z nich mężczyzna z karabinem w dłoni. Przykłada broń do ramienia, mierzy w kierunku chłopaków. Przez chwilę czuję pokusę, żeby pozwolić mu strzelić. Istnieje szansa, że tylko Benesz oberwie i zakończy niepotrzebne życie. Ale potem naciskam spust i trafiam Remarczyka w plecy.

Huk wystrzału niesie się po całym domu. Chłopaki ruszają w dół, słysząc tupot nóg na klatce schodowej i krzyki dowódców. Chowam się w mieszkaniu, żeby nie tamować ruchu. Mój wzrok krzyżuje się na chwilę ze wzrokiem ocalonego skurwiela. Małe oczka w świńskiej twarzy aż świecą ze strachu. Usił staję za Beneszem i szepcze mu coś do ucha. Nie ma czasu na dalsze obserwacje. Kiwam na nich i biegnę za resztą oddziału.

Poniedziałek, 6 czerwca, godz. 3.25 Operacja „Emil”

W szturmie na oddział rebeliantów zginął Bartos Polok z drużyny Wenera, weteran z Admirum. Dostał postrzał w twarz od jednego z arejczyków, których przygwoździliśmy w mieszkaniu na dole. Drużyna Jeden weszła jako pierwsza i wykonała swoją robotę – sześciu wrogów wyeliminowanych, jeden wzięty do niewoli. Mogliśmy zameldować, że kolejna kamienica jest czysta.

Kapral Henrik Bernstein i starszy szeregowy Alan Eldon z Trzeciego Plutonu polegli około północy, kiedy rebelianci próbowali odbić budynek. Znaleźliśmy się pod ciężkim ostrzałem, karabiny maszynowe wyrzygały w naszą stronę tysiące pocisków. Nie mogliśmy posuwać się dalej, ale utrzymaliśmy pozycję. Związaliśmy wroga na tyle mocno, że chłopaki z Centaura zdobyli dwie kamienice po drugiej stronie placu.

Ostatecznie terroryści wycofali się za ogrodzenie pałacyku, w pośpiechu podpalając porzucone budynki. Gęste kłęby dymu spowiły niebo nad skwerem Bohaterów Remarku.

Z bazy wojsk pancernych w Lubei, sto pięćdziesiąt kilometrów na północ od Harmanu, przybyły lekkie czołgi typu Dragon, używane do walk w miastach. Kilka minut po drugiej nad ranem rozpoczął się atak. Dostaliśmy rozkaz, by osłaniać prawą flankę, przeczesując bramy i zgliszcza po naszej stronie. Szósta Kompania z Drugiego Batalionu, wspierana przez załogi dragonów i klucz feniksów, dosłownie starła rebeliantów z powierzchni ziemi.

— Nadali komunikat, że szturm zakończył się powodzeniem — mówi porucznik Ostin z twarzą umazaną sadzą; ze zmęczenia trzęsą mu się ręce, ma trudności z utrzymaniem słuchawki i skupieniem wzroku na jednej osobie.

— Czy ktoś z zakładników przeżył? — pyta Gola.

— Tak. — Porucznik rozgląda się długo po bramie spalonej kamienicy. — Ludzie z Oddziałów Specjalnych przypuścili atak od strony skarpy. Burmistrz Zola został uwolniony, ale partyzanci zamordowali jego żonę i syna.

Siada na kamiennym schodku prowadzącym do stróżówki. Otacza nas nienaturalna

cisza. Nie słyszeć strzałów i wybuchów, nikt nie krzyczy na nikogo, żeby ruszył ciężką dupę i biegł naprzód. Umilkł nawet gwizd przelatujących dronów.

— Panowie, gratuluję wam odwagi i wykonanego zadania. — Ostin opiera się plecami o okopane drzwi i przymyka oczy, w które ktoś zaświecił latarką.

Gola kuca przy nim i melduje coś ściszym głosem. Dołączają do nich sierżant Sewerin i kapral Sotter. Wzdrygam się, kiedy Norman dotyka mojego ramienia, pokazując z żalem pęknięte okulary. Obie szybki są stłuczone, ktoś podeptał je ciężkim buciorem.

Stoimy w głębokiej studni wewnętrznego podwórka. Ostaniamy kamienica jest znacznie większa niż poprzednie i wzniesiona na innym planie. Gaus i Rozwielitka prowadzą pod ścianę Purica, który dostał powierzchowny postrzał w udo. Nic groźnego, ale boli jak diabli, kiedy adrenalina wietrzeje ci z krwi. Kilku żołnierzy z naszego oddziału odniosło lekkie obrażenia: Truman ma policzek zakrwawiony od szklanych odłamków, Haller naderwane ucho, Frank Hinte wymiotuje w kącie od dymu, którego nałykał się po drodze. Albo ze zmęczenia.

Zaraz padnie rozkaz wycofania się do bazy. Czekamy na niego z utęsknieniem, chociaż najchętniej położylibyśmy się tutaj, na brukowanym podwórku, i zapadli w sen. Wszystko miesza mi się w głowie i pokrywa smołą. Jakby ktoś ogromną dłonią zmiażdżył pamięć i uformował z niej kulę. Ostanie godziny zgęstniały, nałożyły się na siebie.

Ballard przypala obok papierosa. Zaciąga się kilka razy i podaje mi połowę.

— Chyba jednak dożyjemy do pieprzonego urlopu — mówi cicho.

— Chyba tak.

— Wpadnij któregoś dnia do Palavii. Napijemy się wódki. Moja żona robi całkiem niezłe żarcie.

Nie wiedziałem, że jest żonaty. I nie wiem, czy będę chciał oglądać kogoś z plutonu podczas pobytu w Rammie. Nawet jeśli to Chris, którego lubię i szanuję. Najchętniej zniknąłbym na dziesięć dni, rozpuścił się w tłumie.

Myślę o rodzicach i o swoim synu, którego powinienem odnaleźć. To może być ostatnia szansa na spotkanie, ale jednocześnie nie wyobrażam sobie powrotu do domu. Taka wizyta przypomina wizytę w teatrze, w sztucznym świecie chrupiących bułek z piekarni i czystych oświetlonych ulic. Przechodnie są jak statyści, a samochody – jak wykonane perfekcyjnie rekwizyty.

W pewnym sensie, właśnie tutaj jest prawdziwe życie.

Środa, 8 czerwca, godz. 10.00

Dowództwo wydało nam zgodę na wizytę w centrum handlowym. Tylko ja nie kupuję prezentów, nie mam dziś do tego głowy. Zabrałem się z pocztą kurierską do bazy Centaur, żeby zobaczyć się z Nemi. Sierżant Gola powiedział krótko, że jeśli nie wrócę

do obiadu, to zamiast do Rammy, do domu, trafię do jebanego aresztu. To uczciwe postawienie sprawy.

Jadę do Nemi, żeby przypomnieć sobie, jak wygląda. Moja pamięć jest jak pamięć płaza – po kilku dniach zapominam rysy twarzy, zapominam głos i gesty bliskich osób. Niebieskawy śnieg, padający w głowie, przykrywa wszystko miękką płachtą. Mam wrażenie, że widziałem Nemi całe wieki temu.

— Masz potem transport do bazy? — pyta sierżant Silva, dowódca wozu pocztowego.

— Przyjadą po mnie chłopaki, kiedy będą wracać z Hermesa.

— Pojechali na zakupy w środku dnia? Jedzicie do domu?

— Dostaliśmy kilka dni urlopu. W piątek mamy wylot.

— O kurwa, ale wam zazdroszczę.

Gdyby wiedział, że po przepustce trafimy na pustynię Saladh, nie plółby takich głupot. Ale nie mam zamiaru wchodzić z nim w dyskusję. Jestem wdzięczny, że zgodził się mnie podwieźć, wracając do Centaura. Karton fajek to marna zapłata za ryzyko wpadki. Wjechać do bazy bez pisemnego rozkazu jest znacznie trudniej, niż się z niej wydostać.

Przynajmniej teoretycznie.

Kwadrans później mijamy bramę i zmęczonych wartowników. Nawet nie zdążyłem się spocić ze strachu. Silva wysadza mnie przed bocznym wejściem do budynku personelu cywilnego. Serce bije szybciej, czuję lekki ucisk w gardle. Szklane drzwi uchylają się i Nemi macha do mnie z uśmiechem na twarzy. Pokonuję kilka schodków, wpadam na korytarz.

Włosy odrosły jej od ostatniego spotkania, głowy nie porasta ciemny meszek. Chyba umalowała się nawet z okazji moich odwiedzin. W tradycyjnie za dużym mundurze i kraciastej chustce na szyi wygląda jeszcze ładniej, niż zapamiętałem. Gdybym nie zakochał się wcześniej, na pewno zrobiłbym to teraz. Dziewczyna jest szczęśliwa, naprawdę szczęśliwa.

Prowadzi mnie do pomieszczenia, które biorę za jej pokój. Okazuje się czymś w rodzaju podręcznego magazynku. Stoją tu jakieś paczki, worki i sterta pudeł z papierami. Nemi obejmuje mnie mocno i wgryza się w usta. Na początku jestem trochę odrętwiały, ale miękkie ciepło rozpuszcza suchy lód. Miotamy się po tej komórce, dwa na dwa metry, w łagodnym półmroku, którego nie rozprasza lufcik pod sufitem.

* * *

Pół godziny później wychodzimy z budynku. Poprawiamy dyskretnie ubrania i poruszamy się jak konspiratorzy. Nemi upomina nas rozsądnie, żeby nie przesadzać, bo poza koszarami nikt nie zwróci uwagi na dwoje ludzi w mundurach. Po chodnikach i ulicach przecinających bazę Centaur porusza się mnóstwo żołnierzy i pojazdów. Każdy

gdzieś się spieszy i nikt nie sprawdza nikomu naszywek na ramieniu.

Siadamy przy plastikowym stoliku, jednym z wielu wystawionych przed tutejszą kantiną. Szara płachta rozpięta na drągach chroni nas przed słońcem. Wzięliśmy zimną lemoniadę, tak jak większość pracowników bazy. A ja znowu mam napięte mięśnie, mój kark chrupie przy najmniejszym ruchu.

— Co się dzieje, Markus? — pyta Nemi.

— Pojutrze wyjeżdżam do Rammy. Mam urlop do dziewiętnastego czerwca, a tydzień po powrocie skierują nas do Wysuniętej Placówki Distortion.

Ta informacja na chwilę odbiera jej mowę.

— Dlaczego nie powiedziałeś mi wcześniej?!

— Nie chciałem, żebyś się martwiła na zapas, sam nie byłem pewien. Ale wczoraj porucznik Ostin przekazał nam oficjalnie rozkaz dowódcy kompanii.

— Wiesz, co to oznacza? — Nemi patrzy na mnie z niepokojem. — Ja też dostanę przydział. Już rozumiem, dlaczego naciskali tak mocno, żebyśmy odświeżyła armajski.

— Kto naciskał?

— Major Wilmots z wywiadu. Widzę się z nim prawie codziennie.

Chciałbym jej powiedzieć, że cholernie się cieszę, że będziemy służyć razem na pustyni. Będę ją częściej widywał i mógł chronić, jeśli stanie się coś złego. Ale w głębi serca wiem, że to, co tam na nas czeka, przekracza możliwości każdego żołnierza. Przekracza możliwości całej Armii Republiki Rammy. Nemi znajdzie się w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

— Jeśli dostaniesz rozkaz wylotu na pustynię, nie zgódź się. Wymów się zdrowiem albo zrezygnuj z tej roboty. Nie możesz tam jechać. Jesteś na cywilnym kontrakcie i w każdej chwili możesz odejść.

— Nie mogę odejść, Markus. Muszę zapracować na wyjazd do Rammy.

— Nemi, do cholery, pieprzyć Rammę. Jakoś to załatwimy. W Distortion jest zbyt niebezpiecznie, więc przepraszam, ale nie mogę ci na to pozwolić.

— Nie masz nic do gadania.

— Słucham?

— Pojadę tam, Markus. Pojadę do samego piekła, żeby się stąd wyrwać. Mam wrażenie, że nie rozumiesz, jak bardzo mi na tym zależy. Mam wrażenie, że w ogóle mnie nie znasz. — W jej oczach kręcą się łzy.

— Nemi, dobrze wiem, jak ci na tym zależy. Ja po prostu martwię się o ciebie.

— A myślisz, że ja, siedząc za tymi murami, nie martwię się o ciebie każdego dnia? Wszystko się może zdarzyć i trzeba być na to gotowym.

— Tylko że to jest coś innego. Coś zupełnie innego.

Potem rozmawiamy jeszcze kilka minut, ale słowa jakoś się nie kleją. Dobrze, że chłopaki dzwonią do mnie, zbliżają się właśnie do bazy. Czuję ulgę, kiedy idziemy wreszcie do bramy Centaura. Ulgę przemieszana z żalem.

Nemi mówi coś do młodego strażnika i żelazna furka otwiera się z elektrycznym

bzyczeniem. Długo ściskam jej rękę, bo nie mogę uściskać jej całej. Jakie to wszystko jest rozpaczliwe, myślę sennie, jakie popierdolone jest życie. Kiedy znajdziesz kogoś, kogo kochasz, każdego dnia możecie zginąć i nie zostanie po was nawet ślad.

* * *

Po kolacji chłopaki przeglądają kupione prezenty. Każdy chwali się tym, co znalazł dla swojej rodziny – kiczowate kubki, remarskie narzuty, t-shirty i drobna biżuteria leżą na posłaniach. Udaje mi się namówić Normana, żeby sprzedał mi szczyryk dla ojca i glinianą misę, którą wręczę matce. Ma tyle drobnego towaru, że mógłby obdzielić kilka osób. Potem Usil zdradza w pokoju, że Lars specjalnie kupił więcej, żeby się ze mną podzielić.

Ballard wpada do nas ze szklanym posążkiem Afrodyty i wciska mi go do ręki. Mówi, że będę miał prezent dla jakiegoś geja albo ukochanej ciotki. Chłopaki są zajebiste. Wieczorem Peter przerywa czytanie komiksu i patrzy na mnie ze swojego łóżka.

— Coś się stało? — pytam odruchowo.

— Nic takiego, stary. Co u Nemi?

— Już w porządku, już się od niej odpieprzyli. Ale wszystko wskazuje na to, że wyślą ją z nami na pustynię. Potrzebują tłumacza z armajskim.

— To niedobrze.

— Kurewsko niedobrze. Nawet się o to pokłóciliśmy.

— Rozumiem cię, Markus. Też bym nie chciał, żeby moja dziewczyna pakowała się w takie gówno. — Milczy przez chwilę. — Chciałbym cię przeprosić, że gadałem o niej na początku, no wiesz, że chciałem ją zaliczyć. Nie miej mi tego za złe.

— Co ci przyszło, kurwa, do głowy?! Nawet nie byliśmy wtedy razem.

— Nie byliście, ale mówię na wszelki wypadek. W każdym razie, masz cholerne szczęście, stary. Naprawdę ci zazdroszczę.

— Daj spokój, Peter, to tylko większe problemy. Martwię się bez przerwy, co z nią będzie, zamiast martwić się o siebie.

— Ech, pierdolisz, że aż przykro słuchać.

Usil ma rację, to kiepska zasłona dymna. Jeśli coś dobrego spotkało mnie na tej wojnie, to właśnie Nemi. Chciałbym ją zabrać ze sobą i pożegnać Harman na zawsze. Nawet jeśli przez pierwsze tygodnie nie mógłbym się odnaleźć w Rammie.

Niech to wszystko się wreszcie skończy. Niech chociaż raz coś się uda.

Piątek, 10 czerwca, godz. 11.05

Portsail, prowincja Sailan, środkowy Remark

Na wojskowym lotnisku w Portsailu wita nas upał jeszcze większy niż w Harmanie. Ponad trzydzieści pięć stopni w cieniu, pot leje się z nogawek spodni. Dopóki lecieliśmy

cassabianami, miły chłodek owiewał twarz. To nic, że całą drogę huczało nam w głowie od łopat wirnika, przynajmniej było czym oddychać.

Teraz, na lekko spękany beton, czuję się jak na patelni. Wyskakujemy rzędem ze śmigłowca, a obsługa kieruje nas do budynku, przy którym stoi żandarmeria. Wielkie psy obwąchują każdego przed wejściem do poczekalni. Podobno zdarzają się próby przemytu Pytii, miejscowego narkotyku ze sproszkowanych wodorostów. Dlatego jesteśmy kontrolowani, a Gausowi nadgorliwy żeton zagląda nawet do podróznego worka.

— Pierdolony chuj — komentuje Vim, kiedy siadamy na ławce.

— To wszystko pic na wodę — odzywa się Rozwielitka. — Nawet gdybyś przemycał kilo tego proszku, psy niczego nie wyczują. Podobno nie są wyszkolone.

— A wiecie, że o tym nie słyszałem? To znaczy, o tym narkotyku — mówi Puric.

— Taki tam mózgojeb — kwituje Rozwielitka. — Nic szczególnego.

Ja słyszałem od Nemi coś zupełnie innego. Remarczycy kultywują zażywanie Pytii od wieków, ma ona dla nich znaczenie religijne. A przynajmniej miała kiedyś, w czasach świetności ich kraju. Niektórzy twierdzą, że narkotyk wywołuje wizje, w których widać przyszłość. Jeśli wprowadzisz się w trans, możesz zajrzeć za zasłonę czasu.

Mamy dwie godziny do odlotu. Transportowe C-515 zabiorą nas w kilku grupach. Jeden poleci do Miasta Ramma, jeden do Koden, jeden całkiem blisko, do Tironu, a ostatni chyba na zachód, do Bilden. To wszystko w trosce o nasz komfort i bezpieczeństwo – tak mówił nam pułkownik Herbst na apelu przed odlotem z Erde. Tak naprawdę chodzi o to, żeby nie było pustych przelotów, bo samoloty zabierają z wielu miejsc zaopatrzenie dla SSARR.

Po poczekalni kręci się mnóstwo chłopaków z różnych pułków, placówek i rodzajów wojsk. Puric wdaje się w rozmowę z dwoma pancerniakami z Lubei, potem dołączają do nich Ballard i Sotter. Szeregowcy z miejscowej bazy szarpią się w rogu z żandarmami. Nie gapię się na to, jak inni, przysypiam na chwilę, marząc o chłodnym prysznicu.

Nie dzwoniłem do rodziców, że przyjadę. Chcę im zrobić niespodziankę. Oczywiście, w środku czai się cień strachu, że nie zastanę ich w domu. Może wyjechali na wakacje albo w odwiedzinach do znajomych. Ale oni prawie nie ruszają się z Rammy, od kilku lat przestali podróżować dalej niż do galerii handlowej. Ludzie nie zmieniają się tak bardzo przez pół roku, uspokaja mnie głos rozsądku. A jeśli już, to na gorsze.

Rozwielitka, który zniknął gdzieś na dłużej, przynosi w plastikowej siatce kilka piw. Napój jest zimny, syczą otwierane puszki. W tym momencie jest pieprzonym bohaterem. Norman pije tak łapczywie, że biała piana aż cieknie mu po brodzie. Tak smakuje limitowana wolność i radość ze zbliżających się spotkań.

— Jakoś dziwnie się czuję bez broni — mówi nagle Ballard.

Kiwam głową i znowu przysypiam. Niedługo musimy się zbierać.

Rozdział szósty

Sobota, 11 czerwca, godz. 8.20

Miasto Ramma, Prowincja Centralna, Republika Rammy

Czuję, synku, że jestem bliżej ciebie niż kiedykolwiek wcześniej. Krążę po wąskich i niezbyt czystych ulicach dzielnicy Zachem ze słuchawkami na uszach. Dyktuję komunikatorowi ten list, szukając twojego śladu w tym mieście. Liczę na szczęście, na ślepy traf. A może twoja mama pojawi się nagle na ulicy i zobaczę, gdzie mieszkasz?

Rozpytywałem wczoraj o ciebie znajomych. Dziwili się bardzo, że wróciłem z Remarku i zamiast „robić coś miłego”, próbuję cię odnaleźć. Dzwoniłem i pisałem do wszystkich, którzy przyszli mi do głowy. Aż w końcu pewna pani, znajoma moja i mamy z dawnych lat, powiedziała, że mieszkaliście gdzie indziej, ale na wiosnę wróciliście do Rammy. „Podobno Nina kupiła mieszkanie w Północnym Zachem, niedaleko placu Wolności”. Tak mi powiedziała w zaufaniu ta pani, więc przyszedłem.

Nie mogłem spać, chociaż byłem zmęczony po podróży. Przeszkadzał mi zaduch pustego mieszkania, przeszkadzała cisza, wygodny tapczan i nadmiar bezpieczeństwa. Trzęsły mi się ręce, kiedy brałem tabletkę na sen, ale nawet ona nie pomogła. Zerwałem się o piątej rano i nie mogłem zasnąć. Może dlatego, że miałem złe sny albo za dużo myślałem o naszym spotkaniu.

Krążę już po tej dzielnicy od dwóch godzin i powoli tracę nadzieję. Ale sama świadomość, że jesteś za jednym z ciemnych okien, za pomalowaną sprayem betonową ścianą, sprawia mi przyjemność. Chcę, żebyś wiedział, że zawsze o tobie pamiętam, nawet jeśli ludzie powiedzą ci, że zapomniałem. Chcę, żebyś czuł się kochany.

* * *

Po południu jem z ojcem obiad kupiony w supermarkecie. Siedzimy w kuchni nad kotлетem mielonym, puree z ziemniaków i marchewką z groszkiem. Nie są złe, ale nie smakują też jakoś szczególnie – czuje się w mięsie tekturę. W sam raz, żeby dwóch gości, którym nie chce się gotować, zaspokoilo pierwszy głód i mogło spokojnie porozmawiać.

Ojciec przeprasza chyba setny raz, że nie zjawił się wczoraj na lotnisku. Wiadomość o moim przylocie odebrał nad jeziorem Grenie, gdy odwoził matkę do sanatorium. Nie powiedział jej, że przyjechałem na przepustkę. Zdziwiła się bardzo, kiedy stwierdził, że ma coś ważnego do zrobienia i nie może spędzić z nią nawet kilku godzin. Bo co

ważnego może mieć mój ojciec? Chyba tylko nową serię znaczków pocztowych.

Po posiłku przenosimy się przed telewizor, w którym leci powtórka meczu. Trzymamy w dłoniach puszki piwa i sączymy wolno brunatnego stronga, łyk po łyku. Kiedy ściszam głos komentatora, stary zegar z kukułką zaczyna tykać niemiłosiernie. Trochę piwa wylewa się na obrus haftowany w kwiaty, więc podrywam się po ścierkę.

— Zostaw, Markus! — Ojciec chwyta mnie za rękę.

— Ale tato, będziesz miał kłopoty przez tę plamę. Mama nie da ci żyć.

— Mamy tutaj nie ma — mówi z pewną satysfakcją w głosie. — Możemy wreszcie robić, co nam się podoba.

Jakoś to do niego nie pasuje. Aż otwieram usta ze zdziwienia.

— Opowiadaj lepiej, jak tam jest. Powiedz wszystko, na co masz ochotę. Chciałbym wiedzieć, jacy są ci Remarczycy. Jaka jest twoja dziewczyna i twoi koledzy. Czy bardzo jest wam ciężko, kiedy idziecie na patrol?

— To skomplikowane, tato. Nawet nie wiem, od czego zacząć.

— Domyślam się, synu. Ale opowiadaj, żebym choć posłuchał twojego głosu.

Każdy, z kim rozmawiam, pyta, jak tam jest. A ja mówię półsłówkami, że gorąco i że trochę dziko, że mieszkańcy Remarku są krzykliwi, ale nawet sympatyczni, i że walczą ze sobą zajadle, a my przeszkadzamy im wyrzynać się nawzajem. Nie zdradzam szczegółów, nie przywołuję z pamięci obrazów, które czają się pod powiekami. Ale teraz jest inaczej.

Staram się, by ojciec zobaczył góry śmieci przy drodze, usłyszał śpiewy dochodzące ze świątyni Apolla, poczuł zapach ziół, pustyni i miejskiego targowiska. Opowiadam o porwaniu burmistrza Harmanu i o naszej akcji ratunkowej, gdy przebijaliśmy się przez ściany. Mówię o masakrze kapłanek, o wzburzonym tłumie przed ratuszem, który chciał wydrzeć zapasy z magazynu, i o zabiciu Joszuy Kalmana w domu kuzyna Garcii. Wszystko płynie trochę chaotycznie, ale ojciec słucha mnie z uwagą i nie zadaje głupich pytań.

Prosi tylko, żebym pokazał mu zdjęcia. Nie mam ich zbyt wiele w komunikatorze, żaden ze mnie reporter wojenny, przez pół roku zrobiłem niecałe pięćdziesiąt. Na kilku są ulice Harmanu i przypadkowi przechodnie, ale na większości – moi koledzy z plutonu oraz Nemi. Pokazuję ojcu grubo ciosaną twarz Gausa, skupionego Rozwielitkę, trzymającego swój karabin, i wywalony język Usila, którego poprosiłem, żeby się uśmiechnął. Na fotografii, z której jestem dumny, zachodzące słońce odbija się w okularach Normana. Na innych stoimy w grupie na tle zakurzonego skorpiona, na tle wejścia do koszar i w paru innych miejscach. Ale dla ojca najciekawsze są zdjęcia dziewczyny. Ogląda je po kilka razy, powtarzając głośno, że jest bardzo ładna i że nie może się doczekać, kiedy wreszcie ją pozna.

Po kolacji próbuje mnie zatrzymać. Chce posłać tapczan w moim starym pokoju, pędzi do szafy po kołdrę. Odkąd się wyprowadziłem, nie czuję się zbyt dobrze, nocując u rodziców. Czarna pokręcona przeszłość chwyta mnie za gardło.

— Wiesz, że nie lubię być sam w domu — wyznaje ojciec z rozbijającą szczerością.
— Najlepiej, kiedy coś sobie dłubię, a ktoś bliski siedzi za ścianą.

— Wiem, tato, ale nie mogę zostać na noc. Potrzebuję spokoju, muszę odpocząć.

— Rozumiem — mówi trochę rozczarowany. — Nie będę cię zatrzymywał.

— Jutro też cię odwiedzę. Pójdziemy do ciotki Belli na obiad.

— Dobrze, synku. Dobrze.

Z mieszkania rodziców do mojej kawalerki jest niecałe dwie godziny marszu. Ciepły wieczór sprawia, że nie zamawiam taksówki ani nie łapię tramwaju. Idę wolno, wdychając zapach miasta, a po plecach przechodzą mnie dreszcze. Nigdy nie sądziłem, że spaliny i rozgrzany asfalt mogą mieć w sobie coś pozytywnego.

W domu odpalam komputer, żeby znaleźć informacje o pustyni Saladh. Moje łącze może więcej niż publiczny szajs, z którego korzystamy w bazie. Jest szybsze i nieograniczone filtrami. Męcę wyszukiwarkę kluczowymi słowami, które przychodzą mi do głowy, przechodzę od profesora Meyera do bazy Distortion, wzgórza Otorten i Kumiszu. Nie trafiam jednak na nic sensownego. Zmęczony i zniechęcony, kładę się wreszcie do łóżka i od razu zanurzam się w błękit, pomiędzy jedną myślą a drugą.

Niedziela, 12 czerwca, godz. 3.00

Ten sen wraca każdej nocy, choć nieraz ucieka z pamięci – śni się w pierwszej fazie REM i potem nadpisuje go pustka. Ale jeśli nagle budzisz się nad ranem i widzisz czerwone cyfry zegara przy łóżku, pamiętasz, że leżałeś właśnie na podłodze wiejskiej szkoły i patrzyłeś na swojego kolegę z drużyny. Widziałeś wyraźnie, jak po jego twarzy skaczą łuki elektryczne, z ust toczy się piana, a szare oczy, wytrzeszczone w zwierzęcym zdumieniu, próbują cię odnaleźć.

Widziałem, Ester, mechaniczna suko, jak po jego twarzy skaczą łuki elektryczne.

Przepełniona kołdra zmieniła się w kokon. Odrzucam ją z obrzydzeniem, wychodzę na balkon. Papieros żarzy się w ciemności, kiedy siadam w wiklinowym fotelu. Wiatr szeleści kikutami suchych roślin w doniczkach i chłodzi rozpalone czoło.

Powinienem zlecić profesjonalście, prawnikowi lub detektywowi, odnalezienie syna. Pewnie nie jest to trudne zadanie, ale nie starczy mi czasu. I chyba nie starczy odwagi, żeby pójść tam teraz, gdyby się nawet udało. O ile łatwiej wrócić do Harmanu, pojechać na pustynię i umrzeć. Przechodzi mi przez głowę, że marzenia są dla tchórzy. Odważni ludzie nie tracą czasu na marzenia, odważni ludzie mają plany.

* * *

W galerii handlowej panuje zwykły weekendowy ścisk. Żałuję, że tu przyszedłem,

kiedy tylko mijam obrotowe drzwi. Głośna muzyka, kolorowe wystawy i gwar rozmów wiszących w powietrzu męczą, wytrącają z równowagi. W jednej z alejek stoi klaun w pomarańczowej peruce i z wielkim czerwonym nosem. Wręcza dzieciom balony na sznurku, zachęcając rodziców do zakupów. Galeria obchodzi właśnie pięciolecie działalności. A ja widzę w wyobraźni dziewczynkę z dzielnicy Erde, trzymającą różowy balonik i pilną matkę zabitej przez kleszcze.

Zgrzytając zębami, wchodzę do sklepu z elektroniką, żeby znaleźć słuchawki bezprzewodowe, które sparuję z komunikatorem. Stare wciąż zahaczają o coś kablem, przewód wygiął się niebezpiecznie przy jacku. Długo krążę pomiędzy półkami, wybieram wreszcie popularny model Sony i płacę przy kasie.

Zmierzam do wyjścia z budynku, gdy za moimi plecami rozlega się huk. Odruchowo kulę się i chowam za drewnianą ławką przy fontannie. Młoda matka, trzymająca na kolanach niemowlę, patrzy na mnie z przerażeniem. Nie panuję nad swoimi odruchami.

Rozglądam się w poszukiwaniu źródła dźwięku. Kilka metrów dalej w powietrzu wiruje chmura niebieskich pasków folii. Kilkuletni chłopczyk płacze, trzymając w ręku sznurek po pękniętym baloniku. Paski musiały być w środku. Rodzice próbują uspokoić malca, a w ich kierunku biegnie już dziewczyna w kolorowym stroju, pomocnica klauna. Trzyma kolejny balon, który wręcza zmartwionemu dziecku.

— Przepraszam, jeśli panią przestraszyłem — mówię do kobiety na ławce. — Wróciłem z misji w Remarku, trochę jestem nieprzyzwyczajony.

— Tak, rozumiem — odpowiada bez śladu zrozumienia w głosie.

Nie czuję złości czy zażenowania. Raczej to, że jestem nie na swoim miejscu. Nie mam nic wspólnego z tymi ludźmi, którzy przyszli na niedzielne zakupy. Całe życie czułem się kiepsko wśród tłumu, ale teraz zdziczałem podwójnie. Lepiej już wrócę do domu, zanim zrobię krzywdę komuś albo sobie.

Poniedziałek, 13 czerwca, godz. 14.50

Droga krajowa D62, Republika Rammy

Okolo południa zadzwonił do mnie Chris. Tym razem zaproszenie do Palavii było prawdziwym wybawieniem. Na nic zdały się protesty ojca, który chciał mnie zatrzymać przy sobie. Prawdę mówiąc, nie wytrzymałbym dłużej w stolicy, coś kazało mi opuścić dom. Nie mogłem się doczekać spotkania z chłopakami z plutonu.

Do Palavii kursuje niewiele pociągów, więc chociaż lubię nimi jeździć, a mój dziadek był kolejjarzem i w dzieciństwie zabierał mnie ze sobą do pracy, wybrałem autobus. Było szybciej pojechać do kogoś, kto zrozumie, jak się czuję. Nie opowiadać ciągle „jak tam jest” i nie wypatrywać zagrożenia za rogiem każdego budynku.

Ballard wspomniał o Wernerze. Podobno Adam znalazł naukowca, który pracował z Filipem Meyerem, ale nie chciał mówić więcej przez telefon. Jeśli to podstęp, żeby wywabić mnie z Miasta Ramma, chętnie dam się nabrać.

Wrzuciłem do plecaka kilka rzeczy i ruszyłem w drogę około czternastej. Teraz z autokaru obserwuję pola i zielone pastwiska, na których pasą się krowy. Słońce świeci bardzo mocno, ale chyba zbiera się na burzę.

* * *

Na peronie dworca autobusowego w Palavii czekają już Ballard i Werner. A więc Chris nie kłamał, rzeczywiście zorganizował naradę. Adam utyka na lewą nogę i śmieje się ponuro, że został oszukany przez los. Przez całą służbę w Remarku nie odniósł żadnych obrażeń, a w drugi dzień urlopu zwichnął kostkę na schodach we własnym domu. Kontuzja nie wydaje się poważna i powinien wydobrzeć do końca przepustki.

— Najwyżej będę strzelał do tych skurwysynów na siedząco — dodaje.

Do mieszkania Chrisa jedziemy taksówką, bo gospodarz wypił wcześniej parę piw. Werner dotarł do Palavii godzinę wcześniej niż ja. Posiedzieli w dworcowym pubie, czekając na autobus z Rammy. Mila, żona Chrisa, przyjmuje nas bardzo serdecznie.

Na stole lądują pyszności, o jakich nie słyszano u ciotki Belli – zupa rybna z krewetkami, kaczka po chińsku i papryka nadziewana mięsną pastą. Są też kukurydziane placuszki, słodkie na początku, ale potem palące podniebienie. Po raz pierwszy na urlopie coś mi naprawdę smakuje. Dokładam sobie jeszcze kawałek mięsa.

— I jak tam, panowie? — dopytuje Mila.

— Niesamowite! — odpowiadam z pełnymi ustami.

— Szkoda, że jest pani żoną Chrisa — mówi Adam. — Natychmiast bym się oświadczył.

— Uważaj, co mówisz. — Ballard kiwa palcem. — Moja żona może w to uwierzyć.

— Już uwierzyłam. — Dziewczyna klepie go w plecy.

— A wiesz, Adam, że ona jest bardziej niebezpieczna niż rebelianci? Oblężenie Admirum to przy niej dziecinna zabawa.

Mila odgarnia blond włosy i robi groźną minę. Podaje nam kruche ciastka i kawę, po czym ulatnia się do koleżanki. Ma wrócić za dwie godziny. Ballard nie ukrywa nawet, że lepiej będzie, jeśli wtedy już sobie pójdziemy. Tolerancja każdej partnerki ma swoje granice.

— Przenocowałbym was — mówi Chris — ale wiecie, jak jest. Przyjechałem na parę dni, więc musimy pobyc trochę razem.

— To jasne. — Kiwam głową.

— Dwie przecznice stąd jest przyzwoity tani hotel. Zatrzymajcie się tam do jutra. Po śniadaniu pojedziemy do Gradu, trzydzieści kilometrów od Palavii, a potem podrzucę was na dworzec.

— Co jest w Gradzie? — pytam zaskoczony.

— Szpital psychiatryczny — odpowiada Werner. — Miesiąc temu poprosiłem brata, zdolnego informatyka, żeby trochę poszperał w sieci i dowiedział się czegoś o ekipie

badawczej z Distortion. Okazało się, że z Meyerem pracował fizyk z Rammy, doktor Bernard Winehouse. Po pobycie na pustyni Saladh wrócił do domu i leczył się psychiatrycznie, aż w końcu trafił do kliniki w Gradzie. To jeden z większych szpitali tego typu w kraju.

— Jeśli facet jest poważnie chory, nie dopuszczą nas do niego. Albo będzie trudno się z nim porozumieć. Nie wiem, czy to ma sens.

— Sprawdziłem to, Markus. Wczoraj rozmawiałem z nim telefonicznie. Szpital psychiatryczny nie jest więzieniem, a nawet w więzieniu przysługują osadzonym widzenia.

— Ale da się z nim dogadać?

— Jak najbardziej. Może i ma urojenia, tego nie wiem, ale nie brzmiał jak ktoś upośledzony. Wydawał się naprawdę inteligentnym i sympatycznym gościem. I powiedział, że chętnie się z nami spotka, jeśli chcemy porozmawiać o Remarku.

— Aż mi się nie chce wierzyć, za dużo szczęścia naraz.

— Też tak pomyślałem — wtrąca Chris. — Ale, w sumie, co mamy do stracenia? Kilka godzin, za które Mila da mi jutro popalić, i tyle.

— Moja stara cieszy się, że wyjechałem — mówi Werner. — To taki wredny typ jak żona naszego sierżanta.

— A moja została w Harmanie.

— No właśnie, Markus, co u Nemi?

— Dzwoniłem do niej kilka razy, ale nie odbiera. — Nagle czuję ciężar. — Pewnie obraziła się, bo nie chciałem, żeby leciała na pustynię. Pokłóciliśmy się o to w Centaurze. Tłumaczyłem Nemi, że może odmówić udziału w tej misji, ale ona cholernie się boi, że przez to straci kontrakt i nie dostanie azylu.

Rozmawiamy tak jeszcze z godzinę. Porównujemy swoje wrażenia z urlopu, trochę użalamy się nad sobą. Jeśli coś wynika z tej pijackiej gadki, to czarny obraz żołnierskiego życia. Krótko mówiąc, mamy przerąbane, nawet po powrocie do ojczyzny. Chyba że ktoś na ciebie czeka i tęskni, tak jak Mila czeka na Ballarda albo Maria na Normana.

Zbieramy się raczej niechętnie. Chris odprowadza nas do drzwi kamienicy, przybijamy piątki na dole i ruszamy we dwóch do hotelu. Werner cały czas utyka, ale jakby trochę rzadziej. W recepcji bierzemy pokoje przez ścianę i na korytarzu umawiamy się na wieczorną wódkę. Nic innego nie przychodzi nam do głowy.

Wtorek, 14 czerwca, godz. 11.15

Grad, Prowincja Centralna, Republika Rammy

Kilka kilometrów przed szpitalem musimy stanąć na poboczu. Wczorajsza libacja z Adamem wyгнаła z mojego żołądka jajecznicę, którą zjadłem na śniadanie. Kiedy rzygam pod ogromnym drzewem, Ballard i Werner dowcipkują przy samochodzie. Łeb mi pęka, nogi drżą z wyczerpania, a świat wiruje jak głupi. Całe szczęście, że

w samochodowym schowku znajdujemy tabletki przeciwbólowe.

Nie ma na ziemi głupszego zwierzęcia niż człowiek.

— Pięknie się załatwiłeś — mówi Chris.

— Nie nadaję się dzisiaj do niczego.

— Musisz się jakoś pozbierać. — Zerka na ekran navixu. — Zaraz będziemy na miejscu.

Podjeżdżamy pod bramę kliniki. Ballard bierze bilet parkingowy, a potem krążymy po placu, szukając miejsca w cieniu. Znajdujemy je gdzieś na skraju parkingu i ruszamy do głównej recepcji. Trzeba przejść kilkaset metrów.

Kompleks jest ogromny. Kilkanaście trzypiętrowych budynków rozrzuconych na terenie parku. Patrząc na nie, można sobie pomyśleć, że połowa społeczeństwa siedzi w psychiatriku. Niekoniecznie ta właściwa, ale zawsze.

Szklane drzwi rozsuwają się przed nami, wchodzimy do chłodnego wnętrza. W głównym holu kręci się personel w jasnoniebieskich uniformach. Na sofach pod ścianami kilkoro pacjentów czeka chyba na swoje wizyty. Za ladą siedzi pięćdziesięciolatka z urzędowym uśmiechem na twarzy.

— Dzień dobry — mówi Chris. — Chcieliśmy odwiedzić znajomego, który przebywa w państwa szpitalu. Nazywa się Bernard Winehouse.

— Oczywiście. — Wstukuje nazwisko do komputera. — Pan Winehouse znajduje się w budynku C. Po wyjściu z recepcji należy skierować się w lewo i iść za drogowskazami.

— Bardzo pani dziękuję. Czy mamy zostawić swoje dokumenty?

— Nie, dopiero na oddziale trzeba wpisać się do rejestru. Ale muszą panowie wiedzieć, że nie wejdziecie tam wszyscy razem.

— Jak to? — pyta Adam. — Nie rozumiem.

— Nasz regulamin stanowi, że na cięższych oddziałach pacjenta może odwiedzać jednorazowo tylko jedna osoba. Chodzi o to, żeby nie zakłócać ciszy i nie stresować innych pacjentów.

— I nic się nie da z tym zrobić? — upewnia się Chris.

— Niestety, personel ma takie wytyczne i nie wpuści panów na oddział. Możecie wejść pojedynczo, jeśli chcecie, co najmniej w odstępie godziny.

— O ja pierdołę! — wyrywa się Wernerowi.

— Przepraszam za kolegę — mówi Ballard pojednawczym głosem. — Jechaliśmy z daleka i nie wiedzieliśmy o tym. Może się jakoś dogadamy?

Uśmiech znika z twarzy recepcjonistki.

— Nie, panowie, nie dogadamy się. A jeśli personel uzna za stosowne, może was wcale nie wpuścić. W dni powszednie odwiedziny zależą od decyzji pielęgniarek.

Wycofujemy się rakiem i stajemy na schodach budynku. Ballard częstuje mnie papierosem. Werner przeklina cicho i spluwa na chodnik. Sytuacja może nie jest patowa, ale wkurwia nas niemiłosiernie.

— I co robimy? — przerywam nieznośną ciszę.

— Musisz tam iść i porozmawiać z pacjentem. My poczekamy w samochodzie.
— Co ty gadasz, Chris? Przecież widzisz, że ledwie trzymam się na nogach.
— Dasz sobie radę. To jest twoje „śledztwo” i to ty zostałeś porażony w Kumiszu. Jeśli ktoś zrozumie tego gościa, to jedynie ty, Markus. Macie, że tak powiem, trochę wspólnego ze sobą.
— Żebyś wiedział — mówię, opierając się o ścianę.
— Adam i ja pójdziemy na parking i poczekamy na ciebie. Idź już na ten oddział, zanim ta baba zadzwoni i narobi nam jakiegoś gówna.
— Powodzenia! — Werner kiwa mi ręką.
Zmierzam do budynku C z tak wielką ochotą, jakby mieli mnie tam zamknąć.

* * *

Dzwonię do drzwi, otwiera je wysoki pielęgniarz z piegami na twarzy. Każe wpisać się do zeszytu, pyta o pokrewieństwo, robi krótką notatkę i prosi o zachowanie ciszy. Sprawdza zawartość reklamówki, którą zabrałem ze sobą – w środku znajdują się słodczyce, kawa rozpuszczalna i elektroniczna łamigłówka. Nie wymyśliłszy niczego lepszego w prezencie.

Potem idziemy korytarzem, po którym snują się pacjenci otumanieni lekami. Lekarz, którego mijamy za zakrętem, przygląda mi się badawczo. Pielęgniarz otwiera drzwi do niewielkiej świetlicy.

— Zaraz przyprowadzę pana Bernarda. Ale uprzedzam, że dzisiaj ma gorszy dzień, więc proszę go długo nie męczyć.

— Oczywiście.

Zostaję sam i z nudów oglądam obrazy na ścianach, namalowane przez pacjentów w trakcie terapii albo w wolnym czasie, żeby wypełnić czymś pustkę. Czarne usta w zakrwawionej twarzy, drzewa z cukierków, tęczowa trawa i dzieci latające w powietrzu. Wielki złoty smok. Samo siedzenie tutaj miesiącami może doprowadzić człowieka do szaleństwa.

Odwracam się nerwowo, kiedy do pokoju wchodzi siwy, szczupły mężczyzna. Trudno określić jego wiek, równie dobrze może mieć czterdzieści parę lub sześćdziesiąt lat. Siada przy najdalszym stole i patrzy na wprost, jakby przenikał wzrokiem ścianę. Po chwili wahania zajmuję miejsce naprzeciwko. Przedstawiam się i kładę reklamówkę na blacie.

— Czy to z panem wczoraj rozmawiałem? — pyta Winehouse.

— Tak — odpowiadam krótko, żeby nie komplikować sytuacji.

— Raczej nie, nie rozmawiałem z panem. — Dopiero teraz kieruje na mnie wzrok.
— Ma pan inny głos.

— Tak, przepraszam za nieściskość. Rozmawiał pan z moim kolegą, ale zdecydowaliśmy, że to ja pana odwiedzę. Obaj jesteśmy żołnierzami. Stacjonujemy na

południu Remarku, blisko miejsca, gdzie pan kiedyś pracował. Chciałem się spotkać, bo niedługo przenoszą nas na pustynię Saladh, jeszcze bliżej wzgórza Otorten.

Po jego twarzy przebiega grymas bólu.

— Proszę nie wymieniać tej nazwy — mówi cicho. — Proszę nie wymieniać żadnych nazw, które śmierdzą spalonym ciałem.

Kiwam tylko głową w milczeniu. Brzmi to trochę inaczej, niż relacjonował Werner. Widać facet musi mieć dzisiaj naprawdę kiepski dzień.

— Jestem doktorem fizyki, nazywam się Bernard Winehouse. Mam to nazwisko po ojcu, który pochodził z Nowego Jorku. Wyemigrował do Rammy, bo nie mógł znieść nowego prawa na amerykańskich uniwersytetach. Tego cholernego zakłamania.

Nie mam pojęcia, o czym mówi, ale na wszelki wypadek dalej potakuję.

— Co dokładnie pana do mnie sprowadza? — pyta po chwili.

— Jak już mówiłem, moja kompania będzie stacjonować niedaleko miejsca, w którym pan pracował z profesorem Meyerem. Podejrzewamy, że to niebezpieczny rejon, dlatego chciałbym się czegoś o nim dowiedzieć.

— Dlaczego pan tak uważa?

— Zaobserwowaliśmy tam pewne zjawiska, prawdopodobnie wyładowania elektryczne. Kilku żołnierzy zmarło w wyniku obrażeń lub zostało ciężko rannych. Słyszałem też o innych anomaliach i zaginięciach ludzi. Nasze dowództwo nie uwzględnia tego faktu, podejmując decyzje. Mam wrażenie, że pchamy się prosto w pułapkę. — Zastanawiam się, ile jeszcze mu powiedzieć. — Panie doktorze, jeśli te wspomnienia są dla pana zbyt traumatyczne, nie chciałbym pana męczyć. Ale od tego, czego się tutaj dowiem, może zależeć życie wielu ludzi.

— Ilu ludzi, panie Trent?

— Około stu — odpowiadam odruchowo.

— To za mało.

Wstaje od stołu i podchodzi do zakratowanego okna. Na zewnątrz świeci wściekłe słońce, ale Bernard Winehouse patrzy prosto w jego tarczę, nie mrużąc oczu. Zaczynam podejrzewać, że jest ślepy albo bardziej szalony, niż sądziliśmy.

— Dlaczego „za mało”?

— To za mało, żeby uratować świat. — Uśmiecha się pod nosem. — Proszę wyjąć z torby kawę i zabrać resztę rzeczy. Nie przepadam za słodyczami, a tę fantastyczną grę na pewno ktoś ukradnie albo zniszczy. Wolę się nie przyzwyczajać.

Nie ma prawa wiedzieć, co jest w środku; torbę wykonano z nieprzezroczystej folii. Ale zaraz uświadamiam sobie, że pielęgniarz sprawdzał jej zawartość i mógł przekazać pacjentowi w drodze do świetlicy, że czekają na niego prezenty. Posłusznie wykonuję polecenie, czując strużki potu między łopatkami.

— Profesor Meyer był geniuszem — mówi Winehouse.

— Profesor nie żyje?

— Nie wiem, co się z nim stało, panie Trent, i mało mnie to obchodzi. — Wyraża się

niezbyt uprzejmie; mam już pewność, że Adam rozmawiał wczoraj z jego innym „ja”. — Ze zjawisk zachodzących na pustyni, w tym zaburzeń elektromagnetycznych, Meyer wysnuł właściwe wnioski. Zaczął poszukiwać cząstek, które zachowują się w sposób odmienny niż oczekiwany. Wykorzystał do badań zbiornik wodny ukryty pod powierzchnią ziemi. Ściągnął też z Japonii najmocniejsze detektory i potwierdził doświadczalnie obecność lewoskrętnych neutrin. Ale później stanął w miejscu, zapętlił się w obliczeniach, więc zaprosił do współpracy kolegów po fachu.

— Pan znalazł przyczynę?

— Tak, znalazłem ją, ale nie dzięki wiedzy czy inteligencji. Nie lubię kwaśnego posmaku słowa „inteligencja”. Tutaj, nad lewym uchem — Winehouse dotyka łysego placka na głowie — mam wstawioną metalową płytkę. W młodości uległem wypadkowi i chirurdzy zrekonstruowali kawałek czaszki. To ten fragment odpowiada za poznanie prawdy o przyczynie badanych zjawisk.

— Chce mi pan wmówić, że dzięki kawałkowi metalu doznał pan objawienia?!

— Ja niczego nie chcę, panie Trent, z wyjątkiem ciszy w mojej głowie. — Opiera jedno z krzeseł o blat stołu w taki sposób, że może się ono ześlizgnąć i upaść na podłogę. — Oto stan metastabilny. Grawitacja Ziemi powoduje, że krzesło „chce” się przewrócić, ale dzielny stół mu to uniemożliwia. Gdyby nic nie wpłynęło na ten układ, mogłyby tak trwać całą wieczność. Niech pan sobie teraz wyobrazi, że cały wszechświat znajduje się w takim stanie. Długo stygł i przeobrażał się, aż jego podstawowy budulec osiągnął metastabilność. Jednak, oddziałując na pole Higgsa z energią przewyższającą sto miliardów gigaelektronowoltów, można wywołać lokalny rozpad próżni. Bańka rozszerzać się będzie z prędkością światła i po kilkunastu miliardach lat nasza czasoprzestrzeń ulegnie zniszczeniu.

— To przerażająca wizja — mówię bez przekonania. — Jak pan do tego doszedł?

— Już tłumaczyłem, że dzięki dziurze w skroni. A właściwie dzięki temu, że lekarze załatali ją metalową płytką.

* * *

Rozmowa z wariatem nie ma sensu. Całe szczęście, że w drzwiach pojawia się znajomy pielęgniarz i pyta, czy wszystko w porządku. Wskazuje przy tym na zegarek. Podrywam się do góry, by podziękować za wizytę i ruszyć do wyjścia, gdy Bernard Winehouse prosi o dodatkowe pięć minut. Obiecuje solennie, że odprowadzi mnie potem do dyżurki.

Nie chcę robić scen. A może tli się we mnie nadzieja, że wysiłek, który podjąłem z Chrisem i Adamem, przyniesie jakieś owoce. Może gdzieś między wierszami bełkotu znajdę coś, dzięki czemu uratuję kilka osób albo chociaż zrozumie, co nas czeka w Remarku.

Kiwnięciem głowy pokazuję pielęgniarzowi, że chciałbym jeszcze zostać.

— Proszę powiedzieć mi prawdę — mówi Winehouse, kiedy drzwi zamykają się za mężczyzną. — Co pana spotkało na pustyni?

Staram się wytrzymać jego wzrok. Teraz jest skupiony i analizuje każdy gest.

— Nikomu o tym nie mówię.

— Chory psychicznie jest najlepszym spowiednikiem, panie Trent. Nawet jeśli naruszy tajemnicę spowiedzi, nikt mu nie uwierzy.

— A więc dobrze, ja również zostałem porażony światłem! Stało się to podczas patrolu w miejscowości Kumisz. — Widzę, że fizyk krzywi się na dźwięk znajomej nazwy. — Dwóch kolegów zmarło, a jeden zmienił się w żywego trupa. Jakoś doszedłem do siebie, ale od tamtej pory słyszę w głowie mechaniczny głos.

— Ma na imię Ester?

Dreszcz przeszywa moje ciało, a przed oczami zapala się niebieska lampa i gaśnie.

— Skąd pan to wie, do cholery?!

— Zanim odpowiem na pytanie, proszę mi jeszcze zdradzić, czy ma pan coś metalowego w głowie?

— Tak. — Mówienie nagle sprawia mi trudność. — Mam wszczepioną elektrodę, pozostałość po zabiegu DBS.

— Nie wiem, co to za zabieg, ale to nieistotne. Myślę, że elektroda pozwoliła Ester skomunikować się z panem. Metalowy element, wprawiony w drgania, przekazywał impulsy wprost do mózgu. Mechanizm jest tak wredny, że wywołuje powracające wizje, które nakładają się na bodźce odbierane później. Ja byłem wystawiony na działanie rezonansu przez wiele tygodni, dlatego mechaniczny głos odzywa się nadal, kilka razy dziennie. Nawet po tylu latach nie mogę zaznać spokoju.

Zapada niezręczna cisza, Winehouse stuka palcami o blat.

— Dlaczego trafił pan tutaj?

— Próbowałem się zabić, panie Trent, bo słyszałem głos, którego nie słyszeli inni. Myślę, że to wystarczający powód. Zdiagnozowano u mnie schizofrenię paranoidalną. Neuroleptyki osłabiają na szczęście moje urojenia, które w istocie nie są urojeniami, lecz koszmarnymi wspomnieniami.

— Czy Ester powiedziała panu, co znajduje się na pustyni Saladh? — zadaję wreszcie fundamentalne pytanie.

— Domyśla się pan, prawda? — jego głos przepętnia smutek. — Głęboko pod ziemią znajduje się ogromny obiekt, którego pochodzenia nie znamy. Próbuje skomunikować się z nami, ale Ester, którą obaj słyszeliśmy, to zaledwie słaba manifestacja. Coś w rodzaju głosowego interfejsu. Zakłócenia powodowały, że trudno mi było połączyć fragmenty rozmów w całość. Zrozumiałem tylko, że w okolicy Otorten może nastąpić kolaps czasoprzestrzeni, jeśli nastąpi obniżenie wartości potencjału pola Higgsa dla energii próżni.

— Co może spowodować taki kataklizm?

— Panie Trent, nie potrafię tego pojąć. A kiedy już wydaje mi się, że zaczynam

rozumieć przyczynę, paraliżuje mnie strach. To jest coś sprzecznego z oficjalną nauką i ze wszystkim, w co zawsze wierzyłem. Coś obcego. Kiedy trafi pan z powrotem na pustynię, proszę zapytać o to Ester. Być może elektroda okaże się lepszym odbiornikiem od metalowej płytki. Jeśli dopisze panu szczęście i przetrwa pan misję, proszę wrócić tu i powiedzieć, czego się pan dowiedział. Czy może mi pan to obiecać?

— Obiecuję — odpowiadam mechanicznie. — Obiecuję, że pana odwiedzę.

* * *

Idę powoli na parking i naprawdę nie wiem, co powiedzieć moim kumplom.

Piątek, 17 czerwca, godz. 9.30

Miasto Ramma, Prowincja Centralna, Republika Rammy

Sypialnia jest zaciemniona. Słyszę wibrację komunikatora, ale nie mam siły obrócić się na łóżku i po niego sięgnąć. Od wizyty w Gradzie rozpadam się na kawałki. Mam wrażenie, że płonie mi mózg, a na szyi zaciska się pętla. Boję się wyjść na ulicę, nie odwiedzam ojca. Ataki paniki pojawiają się nagle i czasem trwają kilka godzin.

Adam i Chris byli rozczarowani. Werner chciał iść na oddział i osobiście porozmawiać z fizykiem, ale Ballard wybił mu to z głowy. Musiał czuć przez skórę, że to, co zdołałem przekazać, było szczytem moich możliwości. Powiedział, że zaczekamy spokojnie, aż wszystko ułoży się w całość. Mamy przecież kupę czasu.

Zzzzzzzzzzzz. Komunikator odzywa się znowu.

Próbuję go znaleźć w półmroku. Odgłos dochodzi z nocnej szafki, na którą rzuciłem ubrania. Wypiłem wczoraj za dużo, upodliłem się ciepłą wódką. W końcu udaje mi się odgrzebać urządzenie spod sterty brudnych ciuchów i natychmiast trzeźwieję.

— Nemi?

— Cześć, Markus! Już się bałam, że nie odbierzesz.

— Jezu, jak dobrze cię słyszeć! Dlaczego się nie odzywałaś? — krzyczę jak dzieciak.

— Miałam zadanie do wykonania. Tydzień temu oddałam swoje rzeczy do depozytu i zakazano mi kontaktu ze światem zewnętrznym, ale to już się skończyło. Zadzwoiłam od razu, kiedy mi pozwolili. Już jestem. — Czuję, że uśmiecha się po drugiej stronie. — A co u ciebie?

— Poczekaj, Nemi. Wróciłaś do bazy Erde?

— Nie, jestem jeszcze w Centaurze. Za kilka dni się zobaczymy.

Delikatnie kłuje mnie serce.

— Czyli decyzja zapadła? Lecisz tam, gdzie my?

— Tak, ale nie z wami, tylko chwilę później – z Wilmotsem i jego ludźmi.

— Naprawdę?

— Tak, Markus, i to jest bardzo dziwne. Ale wiesz, że oni niczego nie mówią. O locie dowiedziałam się właściwie przez przypadek. Nie martw się, wszystko będzie

dobrze.

Jak to możliwe? Nemi pociesza mnie jak jakiegoś kretyna. Prosi, żebym się nie martwił. Policzki palą mnie ze wstydu, że doprowadziłem się do takiego stanu.

I chociaż połączenie z Rammą kosztuje majątek, proszę, żeby zaczekała chwilę. Biegnę do łazienki, obmywam twarz zimną wodą i dopiero wtedy opowiadam o swoim urlopie. Dziwna jest nasza rozmowa. Bo ona nie może mi zdradzić, co robiła w Centaurze, a ja nie mogę opowiadać przez telefon o Palavii i Gradzie.

Ale najważniejsze, że po tylu dniach słyszymy się wreszcie. W takiej sytuacji można recytować książkę kucharską i też jest przyjemnie. Aż z oka spływa ciepła łza. Nieważne są wypowiedziane słowa, nieważny temat rozmowy.

Kiedy kończymy, czuję się inaczej. Biorę prysznic, przygotowuję sobie ubrania na jutro, sprawdzam rachunki przez Synet. Potem dzwonię do ojca, żeby umówić się na kolację. Pytam, na co ma ochotę, i robię szybkie zakupy. Ugotuję mu dzisiaj makaron z sosem pomidorowym, oliwkami i bazylią, za którym przepada. Ugotuję to najprostsze danie świata, aby wynagrodzić staremu człowiekowi kilka dni samotności.

* * *

Ojciec z namaszczeniem nawija spaghetti na widelec. Powoli przeżuwa każdy kęs, jakby nie miał apetytu. Siedzi naprzeciwko i kiwa głową, zatopiony w myślach.

— A więc jutro wyjeżdżasz, synku?

— Tak, tato. Jutro w południe jadę na lotnisko. Wojskowy samolot zabiera mnie do Bilden, a stamtąd lecimy już prosto do Harmanu.

— Jak ten czas szybko biegnie — mówi. — Dopiero co przyjechałeś.

Czuję gorycz w ustach i w końcu odstawiam swój talerz.

— Przepraszam, że nie byłem z tobą dłużej. Nie mogłem, naprawdę nie mogłem.

— Nie przepraszaj, Markus. Czekałem, aż wydobrejesz i sam się do mnie odezwiesz. Nie chciałem mącić ci spokoju. — Dotyka pomarszczoną dłonią mojej ręki. — I tak jestem szczęśliwy, że mogliśmy się zobaczyć.

— Ja też, tato. — Patrzę w jego blade oczy. — Nie sądziłem, że puszczą nas na urlop przed połową misji. Jeszcze w maju nie zanosilo się na to.

— Widzisz, los nam sprzyja. Miłe są takie niespodzianki.

Nie chcę mówić, dlaczego dostaliśmy wolne. Martwiłby się tylko niepotrzebnie.

— A wiesz, że niedawno wspominałem, jak uczyłeś mnie pływać?

— Tak? — Uśmiecha się szeroko. — Ależ to było dawno. Chyba w to upalne lato po zakończeniu drugiej klasy?

— Nie, tato, na pewno po pierwszej. Pamiętam, bo kupiłeś mi wtedy niebieski rower na urodziny. Nad jeziorem Grenie była długa asfaltowa ścieżka i całe dni jeździłem po niej jak szalony. Aż wpadłeś na pomysł, że nauczysz mnie pływać, i strasznie byłem o to wściekły, bo nie mogłem jeździć na rowerze.

— A wody się bałeś jak diabeł święconej. Krzyczałeś jak opętany.

— Tak, pamiętam. Mama przybiegła z ośrodka i wołała, że mnie utopisz.

— Mama zawsze przesadzała — mówi ojciec. — A ty szybko załapałeś o co chodzi. Byłem z ciebie bardzo dumny.

Siedzimy razem aż do późnego wieczora. Oglądamy filmy z zabytkowych plików, które ojciec przechowuje w równie zabytkowej chmurze. Muszę jeszcze raz przeżywać swoje dwunaste urodziny, bal maturalny i ślub z Niną. Ojciec wreszcie zdaje sobie sprawę, że to ostatnie wspomnienie może nie być dla mnie zbyt przyjemne, i wyłącza komputer. Dzisiaj jednak pozwoliłbym mu na wszystko. Ma do tego prawo.

Jednocześnie zastanawiam się, czy widzimy się ostatni raz. Jadąc w styczniu do Remarku, też miałem przecucie, że nie wrócę. Ale przecież jestem tutaj, siedzę w salonie rodziców i piję herbatę z żółto-czerwonego kubka. Tylko czy można to nazwać powrotem?

Kiedy podnoszę się wreszcie i wkładam buty, ojciec ściska mnie mocno, z całej siły. Prosi, żebym uważał na siebie i myślał o przyszłości. Bo on i mama nie są już tak ważni, ale może odnajdę kiedyś Tomasa i będę mu potrzebny. Może kiedyś nauczę go pływać w lekko zamulonej wodzie.

— Synku, wiesz, co jest najważniejsze w życiu? — pyta w drzwiach.

— Co takiego, tato? — Nie kryję zdziwienia.

— Najważniejsze jest samo życie. — Znów ten charakterystyczny uśmiech. — Po tylu latach, wbrew wszystkim idealistom, których książki przeczytałem, śmiem twierdzić, że lepiej żyć byle jak, niż umrzeć nadzwyczajną śmiercią. Nie musisz być bohaterem.

— Będę o tym pamiętał. Do widzenia, tato!

— Do widzenia!

Już wiem, skąd wzięły się słowa, które pisałem w liście swojemu synowi. Wartość prostego przetrwania przechodzi w naszej rodzinie z pokolenia na pokolenie i nie podlega wielkim zmianom. Tak jak stopnie na klatce schodowej rodziców, które z biegiem lat stają się tylko trochę bardziej wydeptane.

Sobota, 18 czerwca, godz. 14.50

Bilden, Prowincja Trzecia-Zachodnia, Republika Rammy

Na wojskowym Lotnisku im. Admirala Waltza zlokalizowano jeden z punktów zbiorczych dla żołnierzy, którzy wracają z przepustek. Spotykam tutaj Gausa, rodowitego bildeńczyka, oraz Purica i Rozwielitkę, którzy dojechali własnym transportem. Ballard przyleciał ze mną z Miasta Ramma, podobnie jak kilkunastu innych chłopaków z plutonu.

Grupa była na tyle liczna, że armii opłaciło się przerzucić nas razem ze stolicy na zachód kraju. W samolocie typu Kairo DH5 o napędzie turbośmigłowym zmieściło się czterdziestu pasażerów. Na pokładzie panował hałas i trochę śmierdziało paliwem, ale

przespałem smacznie większość lotu.

Mam już teraz całą drużynę przy sobie, podobnie jak Lars. Ale na przykład większość ludzi Petera i Adama wyruszy do Harmanu z Koden, na południu Rammy, gdzie znajduje się drugi punkt zbiorczy. Nie rozumiem tej logistyki, trudno to wszystko spamiętać. Łącznie są cztery takie punkty, ale kto i kiedy ma się w nich zameldować, to pozostawiam wojskowym urzędnikom, dbającym o takie rzeczy. Tymczasem idę z chłopakami do kantyny i zamawiamy po litrowym kuflu piwa. Będziemy czekać na wylot jeszcze kilka godzin.

Rozmowa się raczej nie klei. Adam znowu pyta o wizytę w Gradzie, ale zbywam go milczeniem. Wielu chłopaków, w tym Lars Norman, nadal jest głową w rodzinnym domu. Piszą wiadomości albo dzwonią do swoich żon i dziewczyn, czasem do rodziców. Wyczuwam lekkie zmęczenie, może nawet przygnębienie, chociaż wszyscy twierdzą, że urlop to świetna sprawa. Wytrącił nas z remarskiej rutyny, do której teraz musimy jakoś wrócić.

Idę na spacer po blaszanym hangarze, pełniącym tutaj funkcję terminalu.

Przy automacie z napojami spotykam sierżanta Sewerina. Walczy uparcie z maszyną, która nie chce przyjąć monet. W końcu uderza w nią pięścią i rzuca wiązkę przekleństw. Automat właśnie wtedy wypluwa z siebie dwie puszkę.

— Cześć, Markus.

— Co słychać, sierżancie?

— Co za jebana maszyna! Zachowuje się, jakby miała okres.

— Może lepiej w to nie wnikać. — Śmieję się z jego wkurzenia.

— Wiesz, że Gola nie poleciał nawet do Portsailu? Został w bazie Erde, żeby przygotować nasz wyjazd. Porucznik Ostin zresztą też.

— Nie miałem o tym pojęcia.

— Aż mi głupio, że odwiedziłem rodzinę. Teraz tylko czuję większy ciężar — mówi, żłopiąc pomarańczową lemoniadę.

— Jak my wszyscy, Borys. Wszyscy to teraz dźwigamy.

— Pewnie tak. — Nagle zmienia ton. — Myślisz, że się wściekam na tę maszynę bez powodu, co? Nie, Markus, mam zajebisty powód. Samolot do Harmanu z Ostii odleciał godzinę temu. Na pokładzie miał być kapral List, ale nie stawił się na lotnisku.

Samuel jest dowódcą Drużyny Jeden w plutonie Sewerina. To poważny problem, więc już nie dziwię się, że doświadczony żołnierz aż dygocze ze złości.

— Żetony ustalają teraz, co się stało — kontynuuje sierżant. — To może być wypadek losowy, ale coś mi mówi, że jest znacznie gorzej.

— Dlaczego tak myślisz?

— Zadzwoił do mnie w czwartek i mówił, że ma wątpliwości. On zawsze miał wątpliwości, kurwa jego mać. A ja go nie wysłuchałem, bo byłem pijany jak świnia i miałem inne rzeczy na głowie. Boję się, że zdezerterował, a za to czeka go sąd wojskowy i wieloletnie więzienie.

— Przesrane.

— No właśnie. Inaczej tego nie można skomentować. — Sierżant zgniata pustą puszkę. — Wszyscy mamy wątpliwości i czujemy strach, ale coś takiego to jest jebane tchórzostwo.

— Mogę ci jakoś pomóc?

— Nic nie możesz zrobić, Markus. Tylko nie mów o tym nikomu, dopóki ten syf się nie wyjaśni. Musiałem, kurwa, z kimś porozmawiać, boby mnie zaraz rozerwało. Właśnie w ten sposób mi pomogłeś.

Wracam do stolika, gdzie siedzi moja drużyna. Mam chyba skwaszoną minę, bo Puric pyta, co się stało, i znowu muszę unikać odpowiedzi. Na szczęście Rozwielitka ogłasza nam dobrą nowinę: zaręczył się ze swoją dziewczyną, a za pół roku z hakiem, po powrocie z misji, mają wziąć ślub. Oczywiście, zaprasza nas na wesele.

Puric i Gaus mu gratulują, a Ballard próbuje żartować, że na pewno kobitka jest w ciąży, tylko jeszcze nie wiadomo z kim. Chłopaki z innych drużyn też dorzucają trzy grosze. Atmosfera się trochę rozluźnia.

Próbuję zadzwonić do Nemi, ale nie odbiera. Kupuję więc w kantynie lokalny dziennik o wdzięcznej nazwie „Bildn i Okolice” i zagłębiam się w lekturze artykułu o zagrożeniach związanych z emigrantami z Remarku. Dziennikarz wspomina o epidemii odry, która wybuchła w jednym z obozów pod Bilden i rozniosła się wśród okolicznej ludności. Podobno odpowiada za to malejąca liczba szczepień, co stanowi wyzwanie dla lokalnych władz.

Szczerze mówiąc, liczyłem na coś lżejszego, więc szybko przechodzę do kroniki kryminalnej, gdzie królują opisy głupich wpadek złodziei. Jeden z nich zatrzasnął się w mieszkaniu, które chciał obrabować, i wezwał na pomoc sąsiadów. Starzy ludzie mówią na to „palec Boży”, młodszy raczej „instant karma”. A ja myślę, że to zwyczajny idiotyzm.

* * *

Już na pokładzie samolotu, kiedy próbujemy się wpasować w krzesła z twardego plastiku, sierżant Sewerin siada obok mnie i mówi o ucieczce Lista. Dostał przed chwilą wiadomość, że żandarmeria potwierdziła dezercję. Przesłuchali kobietę kaprała.

— Jak to możliwe? — Nie mogę się z tym pogodzić. — Przecież to był jeden z najbardziej doświadczonych dowódców drużyn.

— On i Bernstein zawsze marudzili, zadawali dużo pytań. Teraz Bernstein nie żyje, a List nie wrócił z przepustki. Może nie wytrzymał tego, że Henrik zginął w ataku na pałac? Kumplowali się ze sobą od dawna.

— Coś musiało go rozpieprzyć.

— Ale zobacz, inni też stracili bliskich. Werner widział śmierć swoich kumpli i oglądał film z torturami Dreyfussa. Oleg Eldon stracił na skwerze Bohaterów brata i się

nie poddał. Podobno zabrał się z kompanią inżynierską, która remontuje bazę na pustyni.

— Przygotowują Distortion?

— Tak, pracują tam dzień i noc, żebyśmy mogli przyjść na gotowe. Ochroniają ich dwa plutony z Trygelu i paru narwańców, takich jak Eldon. Całością dowodzi porucznik Ostin.

— Co myślisz, Borys, o naszym poruczniku?

— A co mam myśleć, stary?

— Ja go miałem kiedyś za straszego lamusa, a sierżant Gola nigdy nie przepuścił okazji, żeby go skrytykować. Ale, w sumie, im dłużej go znam, tym bardziej mam wrażenie, że się pomyliłem.

— Gola ma do niego pretensję o jedną sprawę z przeszłości, gównianą pierdołę.

— Sewerin szczyrzy zęby. — Marcel Ostin to jest gość, który więcej robi, niż mówi. I jeśli mam być szczerzy, to pod żadnym oficerem nie służyło mi się tak dobrze.

— Byłem pewien, że powiesz to raczej o Mullerze.

— No, to teraz pojechałeś. — Sewerin potrząsa głową. — Muller to jest ciota do kwadratu i do każdej jebanej potęgi. Jeszcze się o tym przekonasz.

Robię taką minę, jakbym od dzieciństwa żył w tym przekonaniu.

— Dobra, wracając do Sama, rozpuścimy plotkę, że jest chory. — Sierżant patrzy na mnie porozumiewawczo. — Miał atak wyrostka i musiał iść na operację. Nie będziemy teraz bełtać ludziom w głowach jego ucieczką.

— Jasne.

— I bez tego mamy przerąbane. A ja straciłem dwóch dowódców drużyn i muszę sobie z tym poradzić. Kurwa, przed samym wyjazdem!

Zapinamy pasy. Samolot kołuje do startu.

Wtorek, 21 czerwca, godz. 12.00

Harman, prowincja Saladh, południowy Remark

Nieważne są przygotowania do misji: uzupełnianie prowiantu, amunicji i wyposażenia.

Nieważne odprawy z kapitanem Beckiem, który każdego dnia opowiada o tym, jak działać na wrogim terenie, aby utrudnić życie partyzantom i wrócić w jednym kawałku.

Nieważna nawet radość naszego sierżanta, kiedy w sobotę wieczorem ciężarówka przywiozły nas do bazy Erde z nowego lotniska graniczącego z Centaurem. Poklepywanie po plecach i pytanie każdego żołnierza, czy w domu wszystko w porządku.

Dla Vima Gausa traci to nagle znaczenie, gdy w drodze do kantyny natykamy się na Zołę, pełznącą z trudem po betonowym placu. Kotka ma poszarpaną sierść, plamy krwi na białych łatach i najwyraźniej złamany kręgosłup. Ciągnie za sobą tylne łapy, wydając rozpaczliwe dźwięki. Koty nie skarżą się z byle powodu, więc musi strasznie cierpieć.

Gaus pochyla się nad nią i zastyga z całkowitej bezradności.

— Co jest, malutka? Co się stało? — przemawia do futrzastego zwierzęcia.

Rozwielitka stoi obok i nawet nie próbuje się odezwać. Po prostu patrzy na swojego przyjaciela z równie bezradną i żalospną miną. Każdy, kto miał do czynienia z taką sytuacją, wie, że kotka umiera i nic nie możemy zrobić.

— Może zaniosę ją do szpitala? — pyta Gaus.

— Daj spokój, Vim. To już koniec — mówię cicho. — Weźmy jakąś tekturę i przenieśmy ją w cień. Niech nie leży na słońcu.

Puric biegnie do koszar po karton, a Ballard załatwia w kuchni talerz z zimną wodą. Kładziemy Zołzę na twardej powierzchni i przesuwamy pod ścianę. Normalnie podrapałaby już kogoś i prychała na nas groźnie. Ale teraz oddycha tylko ciężko, a oczy powoli zachodzą jej bielmem. Nie ma mowy, żeby wypięła chociaż kroplę wody.

Zabieram swoich ludzi dalej. Mówię też chłopakom Normana, żeby nie podchodzili do Gausa i nie przeszkadzali mu w żałobie. Może dla kogoś jego rozpacz będzie głupia, skoro stracił niedawno kilku kolegów z plutonu. Może widok wielkiego faceta kucającego przy rannej kotce, któremu ciekną łzy i trzęsie się broda, wyda się komuś śmieszny. Ale gdyby ktoś rzucił jakiś głupi żart, nie chciałbym być w jego skórze.

Oddzielam wszystkich od Gausa w trosce o ich zdrowie, nie o jego spokój. Korzystając z tego, że nie słyszy, snujemy różne domysły, co się mogło stać. Dzikie zwierzę? Pies? Zwyródniały człowiek? Kleszcz? A może, po prostu, kotkę potracił samochód i doczołgała się w szoku do naszego budynku. Nie sądzę, żebyśmy kiedykolwiek znaleźli odpowiedź.

— Idziemy na obiad? — pyta wreszcie Puric.

— Ja nie idę — mówi Rozwielitka. — Zostanę z nim na wszelki wypadek.

— To dobrze. — Kiwam głową. — Gdybyś czegoś potrzebował, Jared, wołaj mnie.

— Pochowamy ją za koszarami i przyjdziemy.

W kantine całkiem tracimy apetyt. Przy stoliku, który zajmuje moja drużyna, siada sierżant Gola. Już wie, co się stało, i wypytuje nas o sytuację. Bardzo chętnie dowiedziałby się, kto to zrobił, i obdarł skurwiela ze skóry. Chciałbym, żeby to był Benesz. To rozwiązałoby wiele problemów, ale jednak nie wydaje się możliwe. Drużyna Usila pojechała przed południem do Centaura jako część eskorty ciężarówek z zaopatrzeniem na misję.

Po obiedzie Gola daje nam piętnaście minut odpoczynku i każe się stawić na placu, żeby załadować na pakę kartony ze stelażami łóżek. Włeczemy się do koszar w kiepskich humorach, może z wyjątkiem Ballarda, do którego zadzwoniła żona.

Przedwczoraj dowiedzieliśmy się, że nie polecimy do Distortion śmigłowcami, jak zapowiadało dowództwo. Pojedziemy tam w dużym konwoju, żeby przewieźć naraz cały sprzęt. Ma to tę zaletę, że na miejscu nie zabraknie nam pojazdów.

Droga do wysuniętej placówki zajmuje około czterech godzin i prowadzi przez wrogie tereny. Po likwidacji Admirum partyzanci rozpanoszyli się na dobre za górami,

ale musimy do tego przywyknąć. Przez trzy najbliższe miesiące mamy służyć w samym środku tego szajsu. Przez trzy bardzo długie i bardzo gorące miesiące.

Piątek, 24 czerwca, godz. 9.50

W dniu wyjazdu chaos w naszym kącie bazy Erde osiąga apogeum. Wszyscy biegają, żeby załadować resztę wyposażenia i nie zapomnieć o czymś ważnym. Dowódcy plutonów i my, dowódcy drużyn, zdieramy gardła, starając się zdążyć do południa. Wyjazd zaplanowano na dwunastą, a ja mam ciągle wrażenie, że jesteśmy w czarnej dupie.

Najgłośniej drze się jednak chorąży Garmont, który w zbrojowni odchodzi od zmysłów, wydając kolejne skrzynie amunicji i elektroniczne gadżety. Cały ten dobytek traktuje jak prywatną własność, a my dosłownie rozkradamy go na jego oczach. Powinniśmy zrobić sobie proce i strzelać z nich do rebeliantów. Wtedy byłby święty spokój.

Skorpiony PSR-u i Trzeciego Plutonu po powrocie z przeglądu stoją w rzędzie, zaparkowane pod halą warsztatu. Pluton sierżanta Krella dostał cztery cerastesy, a dwa przydzielono dodatkowo do sztabu kompanii. Pozostali nieszczęśnicy pojedą dwiema „metkami”. Trzy ciężarówki mają przewieźć nasze wyposażenie, a dwie kolejne to cysterny z paliwem i wodą pitną, każda o pojemności siedmiu i pół tysiąca litrów. Konwój będzie więc wyglądał okazale i aż się prosi o trafienie z RPG. Szczególnie beczka z olejem napędowym.

Biegnę właśnie wzdłuż kolumny, żeby jeszcze raz przeliczyć pieprzone skrzynie z prowiantem, kiedy dobiega mnie głos doktor Sauber:

— Kapralu!

Przy jednej z „cerat” widzę szefową szpitala i aż otwieram oczy ze zdziwienia.

— Czołem, pani kapitan!

— Pewnie dziwisz się, że mnie tu widzisz?

— Tak jest — odpowiadam zgodnie z prawdą.

— Jadę z wami, Markus. Zabieram ze sobą dwóch ludzi i zostawiam chwilowo szpital pod opieką porucznika Deresza. — Przypala babskiego papierosa. — Będziecie mieli fachową opiekę medyczną na miejscu. Co u ciebie słychać?

Dawno się z nią nie widziałem, dlatego w krótkich słowach przekazuję jej najważniejsze rzeczy. Niektóre są niewinne, jak wrażenia z urlopu, ale inne dotyczą Distortion. Wspominam o spotkaniu w Gradzie i o rewelacjach, które przekazał mi Bernard Winehouse. Rozglądam się przy tym nerwowo, bo ruch jest spory i ktoś może podsłuchać rozmowę.

Najbardziej ciekawi mnie jednak, dlaczego doktor Sauber ma wyruszyć z nami na pustynię Saladh. Tego się nie spodziewałem i nie mieści się to w żadnych standardach, o których mi wiadomo. Żadna wysunięta placówka nie miała dotąd oficera medycznego,

lecz jedynie przeszkolonych sanitariuszy, latających żołnierzy doraźnie.

Linda Sauber doskonale zdaje sobie z tego sprawę. Każe mi podejść bliżej i mówi cicho, że została poproszona przez dowództwo pułku, żeby nam towarzyszyć. Oboje wiemy, że to nie jest łatwa misja, więc trzeba dmuchać na zimne.

— Czy coś się stało, pani kapitan? — pytam wreszcie.

— Jeszcze nie wiem — mówi tajemniczo. — To się okaże na miejscu.

Odchodzę do swoich zajęć z zamieszaniem w głowie. Zastanawiam się, czy porucznik Ostin skontaktował się z Sauber i przekazał jej coś ważnego. Po raz pierwszy obecność szefowej szpitala nie uspakaja mnie, lecz raczej potęguje strach. Bo jeśli dowództwo zdecydowało się wysłać takiego fachowca w niebezpieczne miejsce, trudno to nazwać dobrą wróżbą.

Dla większości kompanii informacja o stworzeniu Punktu Szpitalnego w placówce będzie bardzo pozytywna. Ludzie nie tyle boją się walki i odniesionych ran, ile tego, że w krytycznej sytuacji nikt im nie pomoże. Wielu żołnierzy, którzy zginęli na misjach, wykrwawiło się w wyniku postrzałów lub straciło ręce albo nogi, bo na miejscu brakowało lekarza z prawdziwego zdarzenia.

A więc kapitan Sauber jedzie dziś z nami w konwoju. Jeśli wierzyć słowom Nemi, wkrótce do oddziału dołączy również major Wilmots. Jednak ktoś na górze zdaje sobie sprawę z powagi sytuacji i podejmuje radykalne kroki. Myślę, że nadchodzi moment, gdy będę musiał ostrzec chłopaków z drużyny. Przez to wszystko kilka razy mylę się w rachunkach i przeklinam pod nosem, gdy potykam się o róg palety.

Czas biegnie nieubłaganie.

Część trzecia

Zniekształcenie

Rozdział pierwszy

Piątek, 24 czerwca, godz. 14.05

Droga z Harmanu do Fizzy, pustynia Saladh, południowy Remark

Wyobraź sobie, synku, że opowieści o piekle są prawdziwe. Wyobraź sobie, że zbliżasz się do miejsca, gdzie czarne Słońce wysyła na Ziemię promienie palącego mrozu. Już czujesz gwałtowne dreszcze i doskonale zdajesz sobie sprawę, że najgroźniejszych rzeczy nie widać gołym okiem. Z każdym pokonanym kilometrem jest gorzej, na mózgu osadza się smoła, a ty wiesz, że to dopiero początek.

Minęliśmy już dawno zjazd na Kardam oraz samą miejscowość, gdzie struna fortepianowa obcięła głowy dwóm strzelcom. Przejechaliśmy przez rozchylony most na Redzie. Zostawiliśmy też za sobą ruiny Wysuniętej Placówki Admirum.

Wyobrażam sobie, co na jej widok czuł Adam Werner, który walczył o utrzymanie bazy przez trzy długie miesiące. Po ewakuacji załogi saperzy wysadzili ją w powietrze, żeby nie służyła naszym wrogom. Zginęło tutaj wielu dobrych żołnierzy, broniąc miejsca, które teraz nie istnieje. Broniąc bramy do przeklętego Hadesu.

Podróż upłynęła nam spokojnie, jeśli nie liczyć ostrzelania partyzantów przez feniksy w okolicy węzła drogowego Mokha. W jednym z cerastesów jedzie dwóch operatorów dronów. Poderwali maszyny z platform zamontowanych na cysternach i przysmażyli ogniem z obrotówek grupkę rebeliantów schodzących z gór. Wywołało to radość wśród naszych żołnierzy. Okrzyki bojowe, które słabo maskują narastający niepokój. Mój przyjaciel, Ballard, spojrział na mnie porozumiewawczo i pokiwał głową.

Muszę kończyć, synku, żeby skupić się na drodze. Mam nadzieję, że ten list dotrze do ciebie, nawet jeśli kolejne zostaną pożarte przez Distortion. Nie wiem, co nas czeka na pustyni tym razem, ale, w pewnym sensie, nigdy tego nie wiemy. Staram się nie poddawać panice i ciągle myślę o tobie. Będę pisał dalej, bez względu na okoliczności.

* * *

Wielka ciężarówka Kaukaz z rykiem odsłania wjazd do bazy i zakurzony konwój parkuje między budynkami. Na zewnątrz, wokół ogrodzenia SOM-Bastion, stoi jeszcze ciężki sprzęt wojsk inżynieryjnych – koparki, wywrotki i lawety – oraz cerastesy żołnierzy z Trygelu, którzy dzisiaj opuszczają Distortion. Wyskakuję ze skorpiona, żeby rozejrzeć się trochę, zanim padnie rozkaz rozładowywania „metek”.

Nad placem, przyczepiony do metalowej platformy, unosi się oculus, wielki biały

aerostat. Puric i Rozwielitka pokazują go sobie palcami. Gaus opiera się o skorpiona i trze policzek, jakby jeszcze nie wierzył, że dotarliśmy do celu, a Ballard biegnie do latryny w kącie placu. Nie wspominał w drodze, że tak bardzo go przypiliło.

Patrząc na budynki oraz konstrukcje z SOM-u i naprawdę jestem pod wrażeniem. Prawie setka ludzi harowała przez ostatnie dziesięć dni, żeby przygotować bazę i otoczyć ją ponad dwumetrowym murem. Tylko że teraz, w przeciwieństwie do nas, opuszczają ją za chwilę i myślę, że są szczęśliwi. Nikt nie lubi nadstawiać karku bez powodu.

Podpytuję napotkanych żołnierzy, co u nich słychać i czy pustynia daje się mocno we znaki. Nie są zbyt skorzy do rozmów; spieszą się z załadunkiem majdanu, żeby przed wieczorem dotrzeć do Trygelu. Podoficerowie biegają jak opętani. Dopiero jeden z kierowców, poczęstowany papierosem, mówi mi, że to nie gorąco i wszędobylski pył były dla niego najgorsze. Do tego już zdążył przywyknąć.

Najtrudniejsze jest odcięcie od reszty kontyngentu i dziwny niepokój w tym miejscu. Rozgląda się czujnie na boki. Ewidentnie ma ochotę się wygadać.

— Jak tu przyjechaliśmy, stary, aż mnie zemdliło z wrażenia.

— Co się stało? — Próbuję dowiedzieć się więcej.

— Te budynki były w świetnym stanie. W aż za dobrym jak na te warunki. Normalnie, miałeś wrażenie, że nikt się tutaj nie kręcił od lat. Ani człowiek, ani żadne zwierzę. Wszystko całe i równiutko przysypane pyłem.

— Bo to w ogóle nie jest chyba zbyt ruchliwe miejsce.

— Ja już robiłem takie placówki. Przygotowaliśmy niejedno zadupie dla naszych, zanim zostało oddane do użytku.

— I widziałeś tam tylko zniszczone budynki?

— Ślady szabrowania były zawsze: powyrywane deski z podłogi, nawet rury i kable wykute ze ścian, wykręcone krany, dosłownie wszystko, co dało się wynieść. A tu elewacje i pokoje jak nowe, większość okien miała jeszcze szyby.

— No, to chyba dobrze, nie?

— Niby dobrze, niby mniej roboty. — Zastanawia się przez chwilę. — Ale, ja pierdołę, strasznie dziwna sprawa.

Przerywam tę pogawędkę, kiedy zjawia się porucznik Ostin – rozebrany do pasa, z wojskową opalenizną na żylastym ciele i niespotykaną nerwowością w ruchach. Pędzi w kierunku doktor Sauber, żeby jak najszybciej przekazać jej informacje. Łapie pod rękę kapitana Becka i obaj podchodzą do cerastesy z czerwonym krzyżem na masce.

Daję nura między ciężarówkami. Mijam „metki” i cysterny od strony prefabrykowanego muru, mijam sterty gratów i kręcących się żołnierzy, żeby zbliżyć się do oficerów. Na wysokości naszego skorpiona dostrzega mnie Dafny. Pokazuję mu na migi, że mnie tu w ogóle nie ma, więc odwraca się do Purica i kontynuuje podziwianie balonu. Mądry chłopak.

Zza pojazdu MED-u dochodzą pojedyncze słowa. Marcel Ostin mówi coś o stanie zdrowia kaprała Eldona. Wychwytyuję „udar” i „nagły wypadek”. Wygląda na to, że

Eldon poczuł się źle podczas rozładowywania sprzętu z przyczepy. Porucznik natychmiast zabrał go z placu, żeby uniknąć zamieszania.

Staram się nie myśleć o gównianej sytuacji, jeśli któryś z oficerów mnie zobaczy. Podejrzenie o szpiegostwo może skończyć się naprawdę źle. Ale ryzykuję jeszcze bardziej, robiąc kilka kroków w ich kierunku.

— Właśnie zginął jego brat — mówi Linda Sauber. — Nie zapominajmy o tym.

— Tak, wiem — prawie krzyczy Ostin. — Chciałbym tylko zauważyć, że jeszcze wczoraj wszystko było w porządku!

— To czasem jest bomba z opóźnionym zapłonem. Chodził z tym przez trzy tygodnie i dopiero teraz go dopadło. Jak to wyglądało, poruczniku?

— Pani kapitan, ja to wszystko wiem. Nagle stracił kontakt z otoczeniem, zaczął wykonywać mechaniczne ruchy i bełkotać. Biegał od budynku do przyczepy z pustymi rękami, jakby coś ładował. Pomyśleliśmy, że dostał udaru słonecznego.

— Miał gorączkę, dreszcze, wymiotował? Skarżył się na bóle głowy?

— Raczej nie.

— Nie wygląda to na udar cieplny, raczej na pobudzenie katatoniczne.

— Co to jest, Linda, do jasnej cholery?! — odzywa się kapitan Beck.

— Objaw ostrego stanu psychotycznego. — Doktor Sauber trzaska drzwiami samochodu. — Robert, znajdź mi szybko haloperydol i zestaw do iniekcji. I przynieś do... Gdzie właściwie trzymacie pacjenta?

— Zamknęliśmy go w pokoju. Po drugiej stronie placu, w budynku inżynierów.

— Nadal jest niespokojny?

— Raczej opadł z sił. Leży w kącie i patrzy w jeden punkt.

— To by się zgadzało. Robert, zanieś torbę do tego budynku. Musimy tam iść jak najszybciej. Niech pan prowadzi, poruczniku.

Wycofuję się w cień cysterny i wracam chyłkiem do swojej drużyny.

Nie znajduję kierowcy z Trygelu, z którym rozmawiałem przed chwilą. Pewnie skończył załadunek i wyjechał za ogrodzenie, żeby zrobić więcej miejsca. Z kolei Ballard nie wygląda najlepiej. Jest blady i trzyma się za brzuch. Rzuca kamizelkę i plecak na ziemię, wściekając się na cały świat. Nie pogadamy teraz o Eldonie.

Jem trochę suchego prowiantu i odkładam nasze MBS-y do skorpiona. Zaczynamy walczyć z paletami – dobrze, że inżynierowie zostawili nam wózek widłowy. Jest gorąco, więc wszyscy zrzucają hełmy, mundury i resztę oprzyrządowania. Wszyscy, z wyjątkiem Czwartego plutonu, który obejmuje służbę wartowniczą o szesnastej.

Sam nie wiem, czy im zazdrościć, że nie noszą ciężarów, czy współczuć stania w tym upale w regulaminowym opakowaniu. Porucznik Muller nie odpuszcza takich rzeczy. Uwijamy się teraz na placu, a poprzednia załoga obserwuje naszą krzątanię. Wreszcie pada rozkaz do wyjazdu i kolumna „trygelczyków” rusza na południe.

Distortion należy już do nas.

I do ciebie, Ester.

Zmęczony i głodny, wieczorem mogę wreszcie odpocząć w nowym miejscu. Mimo wszystko czuję satysfakcję. Przez sześć godzin zdążyliśmy zgromadzić cały zapas amunicji w piwnicy budynku inżynierów. Umieściliśmy prowiant w składziku, a do wielkiego namiotu, który służył chłopakom ochraniającym placówkę, zatargaliśmy swoje rzeczy. Na razie tylko plecaki, zrolowane materace i ozebrowanie łóżek. Ważniejsze od przygotowania sypialni było podciągnięcie prądu tam, gdzie brakowało instalacji.

Pluton Sewerina zajął się stawianiem gniazd karabinów maszynowych na dachach budynków. A potem, w budowniczym szale, zabezpieczył małymi modułami SOM i workami z piaskiem naszą cysternę z paliwem. Sierżant Gola twierdzi, że jej wybuch mógłby zabić połowę załogi placówki. I jest to raczej pozytywny scenariusz.

Musimy się przyzwyczaić do nowych warunków. Do sanitarnej biedy, gorszego jedzenia i spania pod burą plandeką – w dzień w namiocie robi się gorąco, a w nocy przeszywa cię chłód. W Distortion jest też znacznie ciemniej niż w bazie Erde. Kapitan Beck po inspekcji rozkazał doświetlić kilka kątów i upewnić się, że wszystkie generatory działają.

Przez cały ten czas byliśmy wdzięczni za każde narzędzie i materiał, który zostawili nam żołnierze z Trygelu. Okazało się, że wszystko może być przydatne, a my nie mieliśmy pojęcia, jak się przygotować. Na papierze wyglądało to inaczej. Dopiero teraz zaczynamy rozumieć, jak cenne są płyty paździerzowe i dykta, złożone w kącie placu. Jakiś kretyn chciał je na początku wynieść za mur i podpalić.

Gaus, który – oprócz mechaniki – zajmuje się też stolarstwem, aż zaciera ręce, mówiąc o tych płytach. Zrobimy z nich przepierzenia w namiocie, żeby każda drużyna miała trochę prywatności. Jednak na budowę ścianek jest już dzisiaj za późno. Musimy zjeść kolację i odpocząć. Tym bardziej że jeszcze tej nocy czeka nas czterogodzinna warta. Wychodzę przed namiot, żeby zapalić zasłużonego papierosa. Obok staje Ballard, z którym już wszystko w porządku.

— No, to jesteśmy w piekle, Markus. Wcale nie wygląda tak strasznie.

— Mówiłem ci, co się stało z Eldonem. — Podsuwam mu paczkę Inków. — Chcesz jednego, Chris? — Papierosy są na wagę złota.

— Bardzo chętnie. — Rozświetla mrok zapalniczką. — Facet miał konkretny powód, żeby ześwirować. Da się to wyjaśnić bardzo prosto.

Milczymy przez chwilę, trawiąc naszą sytuację.

— Powiedzieć ci coś biblijnym głosem?

— Dawaj, stary — uśmiecha się Ballard.

— Jeszcze tej nocy, zanim kur zapieje, pustynia do nas przemówi.

Mój przyjaciel nagle poważnieje. Bardziej niż inni żołnierze zdaje sobie sprawę, że nasza rzeczywistość jest skorupką jajka, którą łatwo stłuc. I przebić się do czegoś, co

czeka cierpliwie, oddychając w ciemnościach. Czeka na nas.

Czuję smagnięcia obcego umysłu, odkąd przekroczyłem bramę Distortion. Na razie delikatne, na granicy percepcji, ale niedające się pomylić z niczym. Skupienie uwagi na bieżących sprawach pomaga na chwilę. Daje złudne przekonanie, że wszystko jest w porządku. Poczucie bezpieczeństwa. Spokój. Aż do pierwszego zdarzenia, kiedy ze strachu padniemy na ziemię i zdrapiemy sobie skórę z twarzy.

Sobota, 25 czerwca, godz. 0.10

Wysunięta Placówka Distortion, pustynia Saladh, południowy Remark

Instytut badawczy, przekształcony podczas wojny w placówkę wojskową, zbudowano na planie prostokąta o wymiarach czterdzieści na sto dwadzieścia metrów. Brama wjazdowa znajduje się na północy, pośrodku krótszego boku. Za nią, po lewej, stoi „budynek inżynierów”, który zajęło dowództwo. Idąc dalej, w głąb placu, docieramy do „laboratorium”. To raczej barak niż prawdziwy dom. Naukowcy porzucili tam trochę sprzętu, którego nie usunęły wojska Sojuszu ani nasi ludzie.

Jeszcze dalej, na południowym krańcu, prostopadle do obu budynków, stoi szpital. Jego szarą betonową elewację widać na wprost, kiedy wjeżdża się przez bramę. Nie wiem, co mieściło się tu przed wojną, ale teraz zajęła go kapitan Sauber. Z dachu szpitala rozciąga się najlepszy widok na Otorten. Służy jako punkt obserwacyjny, umocniony SOM-em, workami z piaskiem i deskami. Zaczynając zmianę, przejmujemy go od drużyny Sottera, narzekającej głośno na nasze spóźnienie. Oczy zamykają się chłopakom ze zmęczenia.

Urządzamy się jakoś na drewnianych paletach, na które nasi poprzednicy narzucili trochę szmat, żeby było wygodniej. Dla dowódcy drużyny zarezerwowane jest nawet plastikowe krzesło, przytargane ze „składziku”, czyli magazynu. Składzik znajduje się po prawej stronie, naprzeciw laboratorium. To ostatni budynek w bazie. Zgromadziliśmy tam większość zapasów i graty, które przydadzą się później.

Z punktu obserwacyjnego podziwiamy też podłużny namiot w pobliżu bramy wjazdowej, służący nam za koszary. Sierżant Gola twierdzi, że gdyby kapitan inaczej obsadził budynki, można by nas upchnąć w pomieszczeniach, bez konieczności spania pod plandeką. Ale dowództwo ma, jak zawsze, lepsze plany.

Rozwielitka bierze ode mnie lornetkę z noktowizorem i wpatruje się w ciemność. Wodzi nią od prawej do lewej, jakby spodziewał się ujrzeć coś niezwykłego. Wyśledzić grupę szykujących się do ataku rebeliantów albo stado egzotycznych zwierząt.

— Widzisz coś, Jared? — pytam od niechcienia.

— Nie wiem, szefie — odpowiada niespodziewanie; jego wzrok nigdy nie zawodzi.

— Jak to: nie wiesz?

— Na dwunastej, trochę bardziej w górę. — Wskazuje punkt na wprost stanowiska.

Początkowo w gęstym mroku nie wychwytyuję szczegółów. Muszę oswoić oczy

z zieloną poświatą, żeby zrozumieć, o czym mówi Dafny. Dostrzegam wtedy, że po zboczu Otorten pełźnie coś, jakby plama mgły. Błyska słabo i bez przerwy zmienia kształt. Wygląda bardziej na fantazję oka niż realny byt.

Podaję sprzęt Ballardowi, ale ten przecząco kręci głową. Widzi tylko czarną zupę. Podobnie Puric i Gaus. Kiedy lornetka wraca do mnie, nie mam już pewności, czy w ogóle coś tam było. Rozwielitka jest zdenerwowany. Bardzo długo wgapia się w noc, próbując przebić się przez jej zasłonę. Ale w końcu wszyscy dostrzegamy błysk.

* * *

Nad pustynią zapala się kula światła. Trudno ocenić jej rozmiary, bo trudno ocenić odległość. Obiekt przypomina rozżarzoną piłkę. Wisi nieruchomo nad ziemią, by za chwilę ruszyć z miejsca i tańczyć w ciemnościach.

Światło ma raz biały, a raz niebieskawy kolor. Przesuwa się szybko na boki, obniżając lot zygzakami, to znów unosząc się w górę. Łączę się z sierżantem Golą, chociaż wiem, że wyrrywam go ze snu. Odbiera na swoim kanale i bez słowa biegnie do nas z budynku inżynierów. Ma do pokonania około stu metrów.

Jeszcze stojąc na szczycie drabiny, dostrzega „światlika”. Podaję mu lornetkę, ale błyszcząca kula znika równie nagle, jak się pojawiła. Sierżant każe nam wystrzelić flarę. Błysk magnezu wywabia z ziemi niespokojne cienie, długie kształty kamieni i roślin.

W promieniu dwóch kilometrów nie widać żywej duszy.

— Jakieś pomysły, co to mogło być, do kurwy nędzy? — pyta sierżant.

— To samo, panie sierżancie, co wypędziło ludzi z Kumiszu — odpowiadam bez zastanowienia. — Wyglądało jak piorun kulisty. Starszy szeregowy Ballard i ja widzieliśmy smugi na ścianach, które mogły powstać po jego przejściu.

— W Kumiszu?

— Tak, panie sierżancie. Usiłowałem to panu powiedzieć, zanim poszliśmy na zwiad do tej pieprzonej szkoły.

— Wielu naukowców wątpi, czy pioruny kuliste istnieją. Mieliśmy, że tak powiem, kupę szczęścia, to rzadkie zjawisko — wtrąca Chris. — Ale widzę jeden mały problem.

— Jaki problem, Ballard?

— Pioruny kuliste powstają podczas burzy. A niebo raczej nie wygląda na burzowe.

Zapada niezręczna cisza. Wszyscy spoglądają w górę, gdzie na czarnym firmamencie mrugają tysiące gwiazd. Obojętne kropki, w których nie ma dobra ani zła.

— Zostańcie na posterunku i wzywajcie mnie natychmiast, gdyby coś się działo.

— Tak jest, panie sierżancie!

— Mam nadzieję, że to ustrojstwo — Gola wskazuje na oculusa — nagrało całą zabawę. Rano sprawdzimy zapisy z kamer.

Kiedy zostajemy sami, chłopaki wypytują mnie o Kumisz i próbują znaleźć odpowiedź na pytanie sierżanta: co to mogło być, do kurwy nędzy? Nie mówię zbyt

wiele, nie chcę siać paniki i utrudniać im służby, która i tak nie będzie łatwa. A może, choć trudno to przyznać, boję się, że wezmą mnie za wariata i stracę ich szacunek.

— Jestem tchórzem — mówię szeptem do Ballarda.

— Dlaczego, Markus? Bo nie mówisz nam wszystkiego?

— Tak, nie mówię. I robię to, kurwa, ze strachu o swoją reputację.

— Pierdol reputację! — odpowiada Ballard. — Potwierdzą im wszystko, co powiesz. Chłopaki nie są głupi. A jeśli któryś nie uwierzy, to tylko jego strata.

Do końca służby pozostały dwie godziny. Wystarczy mi czasu, żeby zrzucić ciężar.

Zaczynam więc swoją opowieść.

Niedziela, 26 czerwca, godz. 12.20

Prawie cała sobota zeszła nam na urządzaniu się w namiocie. Postawiliśmy ścianki, zrobiliśmy z palet i desek stoliki i szafki, a przede wszystkim skręciliśmy te cholerne stelaże, żeby nie spać na betonie. Wszędzie wiją się teraz kable przedłużaczy. Kto miał lampkę, zamontował ją przy łóżku. Obok wejścia stanął nawet sfatygowany klimatyzator, a w kilku kątach – sporych rozmiarów wiatraki. Da się żyć.

W niedzielę od rana kombinowaliśmy jeszcze z odgrózeniem naszych boksów od wąskiego przejścia, które dzieli namiot na dwie części. Niektórzy odpuścili sobie tę robotę, inni zawiesili bure koce, żeby ich sypialnia nie robiła za teatrzyk dla przechodzących kolegów. Gaus, oczywiście, nie poprzestał na tym. Sklecił dla swojej drużyny trzecią ściankę z drzwiami na zawiasach, a nam, kapralom z Pierwszego plutonu, i jeszcze kilku czwórkom, za odpłatą pomógł wykonać podobną konstrukcję.

— Dobrze, że padliśmy ze zmęczenia pierwszej nocy, bo to chrapanie i pierdzenie było denerwujące — kwituje sprawę Rozwielitka, rozglądając się po nowo postawionym „pokoju”. — Teraz można się trochę wyluzować.

— No i kto jest mistrzem? — pyta Gaus.

— Oczywiście, ty. Co byśmy bez ciebie zrobili?

Uśmiecham się, patrząc na ich przepychanki przez krzywy otwór wejściowy.

W każdym boksie stoją dwa piętrowe łóżka i coś do siedzenia. Gwoździe wbite w płyty robią za wieszaki na ubrania i broń. Gaus zamocował nawet kilka półek. Nad łózkami przykleili sobie to, co było dla nich najważniejsze – zdjęcia bliskich, cycate modelki, Jezusa Chrystusa.

— Jak w was trafi ładunek zapalający, to się nie wydostaniecie i sfajczycie przez te ścianki — mówi sierżant Gola, który stanął za moimi plecami.

— Może nie trafi, sierżancie — odpowiadam.

— Taki z ciebie optymista, Markus? — dziwi się Gola. — Pierwsze słyszę.

— Wręcz przeciwnie.

— Chodź ze mną na zewnątrz, musimy pogadać.

Opieramy się o mur w kącie bazy, niedaleko reflektora oświetlającego w nocy drogę

dojazdową. Sierżant wyjmuję paczkę papierosów, trochę mocniejszych od moich. Na tyle mocniejszych, że wolę się nie częstować. Wyciągam własną, czerwoną.

— Chciałem ci powiedzieć, Markus, że przyznaję się do błędu. Nie słuchałem cię, kiedy próbowałeś mnie uprzedzić o niebezpieczeństwie. — Patrzy mi w oczy. — Może gdybym cię posłuchał, nie doszłoby do wypadku w Kumiszu. Nie straciłbym tylu ludzi.

— Niech pan tak nie mówi, sierżancie. Tego nigdy nie wiemy.

— Masz rację, gdybanie jest dobre dla ciot z telewizji. Ale czuję, że spieprzyłem sprawę, i nie chcę tego powtórzyć, rozumiesz?

— Myślę, że tak.

— Musisz mi meldować o wszystkim. Od tego może zależeć czyjeś życie.

Jestem trochę zdziwiony, ale nie zszokowany. Kiedy byliśmy w bazie Erde z wizytą u porucznika Ostina, Gola starał się mnie wspierać. Nie jest gościem, który lekceważy prawdę. On po prostu nie ma czasu na odcienie szarości.

— Kamery zarejestrowały obiekt, który widzieliśmy pierwszej nocy. To nie była zbiorowa halucynacja, chociaż trudno wyjaśnić, co się stało. Na razie dowództwo zakłada, że świetlik to zjawisko atmosferyczne. Tyle się dowiedziałem.

— Co mamy robić, jeśli sytuacja się powtórzy?

— Jest rozkaz, żeby natychmiast powiadomić dyżurnego. Oficer ma zaalarmować operatorów dronów, a ci wysłać sokoła. Przekażemy to wieczorem na odprawie.

— Dafny widział coś jeszcze. — Opowiadam sierżantowi o plamie na zboczu Otorten. — Może powinniśmy spisywać w raportach wszystkie anomalie? Zakładam, że nie wysłano nas do Distortion bez powodu.

Gola patrzy na mnie pytająco.

— To zabrzmia głupio, panie sierżancie, ale ktoś może wiedzieć więcej od nas.

— Masz na myśli wywiad? Wilmots przylatuje jutro ze swoimi ludźmi. Dopiero będzie cyrk, kiedy zacnie się wpierdalać do wszystkiego.

— Miał chyba przylecieć pierwszego?

— Przyspieszyli akcję, żeby zabrać kaprała Eldona. — Na twarzy sierżanta widać smutek. — Chłopak wróci do Erde śmigłowcem, którym przylatuje major. Do tego czasu wstrzymane są wszystkie patrole. Mamy siedzieć w bazie i czekać na rozkazy.

Poniedziałek, 27 czerwca, godz. 2.35

Budzę się nagle, czując galopujący niepokój. Głowę rozsadza buczenie, odgłos roju pancernych owadów, ocierający się o infradźwięki. Pamiętam, że chwytalem we śnie długie, zaplątane słowa, które teraz zaciskają się na szyi. Jak szorstki sznur, jak stryczek.

Zrywam się z łóżka, żeby zaczerpnąć powietrza. Usił śpi nade mną, Norman i Werner chrapią po drugiej stronie boksu. Rozgarniam gęste ciemności, byle szybciej dostać się do wyjścia, byle szybciej. Po chwili wypadam z namiotu.

W górze gwiazdy tworzą białe linie, pędzą po wściekłych orbitach. W centrum tego

układu znajduje się supermasywna czarna dziura – pień mojego mózgu. Kolana miękną, nie potrafią utrzymać ciężaru. Wciskam się pomiędzy namiot i ogrodzenie SOM, padam na czworakach i dygoczę z zimna. Z ust cieknie mi ślina, a mdłości są coraz większe.

Wymiotuję długo i gwałtownie. Mam wrażenie, że wnętrzności odrywają się od stelażu, na którym wisiały całe życie. Za pierwszą falą przychodzi następna. Niewidzialna siła chwyta mnie za kark i rzuca na spieczony, ostry żwir. Na wznak, twarzą ku niebu. Leżę i boję się mrugnąć, żeby cierpienie znów nie powróciło.

Dobry wieczór — odzywa się Ester.

— Nienawidzę cię! — charczy podrażnione gardło. — Gdybym mógł cię znaleźć i zobaczyć, zdechłabyś w męczarniach.

Te słowa są niepotrzebne. Niedługo zrozumiesz, jak ważne zadanie macie tu do wykonania. I że muszę was do niego przygotować, bo sobie nie poradzicie. — Milczy przez chwilę. — *Cieszę się, że wróciłeś.*

— Nie z własnej woli.

Kontrolujesz wszystko bardziej, niż ci się wydaje. Ale teraz nie będziemy uprawiać filozofii, bo do spotkań ze mną trzeba stopniowo przywyknąć. Zbyt długa ekspozycja mogłaby uszkodzić twój układ nerwowy.

— Jestem ci potrzebny?!

Tak, jesteś mi potrzebny, ale wielu z twoich towarzyszy – nie. Wielu z nich podda się samych, innych zabiję za stawiany opór. Wbrew temu, co myślisz, nie czerpię satysfakcji z ludzkiego cierpienia. Jest mi ono obojętne.

— Powiedz mi, czego chcesz. — Zaciskam z bólu powieki.

Wszystko w swoim czasie, Markus. Obserwuj otoczenie i wyciągaj wnioski. A teraz podnieś się z ziemi, wróć do siebie i odpocznij przed kolejnym dniem.

Pełnę z powrotem jak wąż. Dobrze, że nikt z oddziału nie idzie do toalety, a nasz pokój znajduje się tak blisko wejścia. Dostałem dawkę skoncentrowanego szaleństwa. Elektroda w czaszce rozgrzała się do czerwoności.

Nie jest to halucynacja, jestem tego pewien.

Nie stwierdzono też w Distortion skażenia radioaktywnego.

Wiem tylko, że nie ma ludzkiej siły, która mogłaby się przeciwstawić Ester.

A jednak musimy spróbować.

* * *

Koło południa Rozwielitka zagląda do naszego boksu. Najpierw puka kilka razy, a potem wkłada głowę w szparę w drzwiach. Jest wyraźnie zaniepokojony.

— Co tam, szefie? Nie było cię na śniadaniu, zaraz będzie obiad.

— Przysłali cię na przeszpiegi? — Uśmiecham się do niego, pólżąc na materacu. — Wejdz do środka, Jared.

Rozgląda się po naszym pomieszczeniu, skromniejszym niż Gausowy wypas, ale za

to większym i nie tak zagraconym. Jestem sam, bo drużyna Wenera ma teraz służbę przy garach, a Lars i Peter gdzie się zawieruszyli. Miło, że moi ludzie postanowili sprawdzić, czy żyją. Rozwielitka jest emisariuszem.

— Źle spałem, wolałem trochę poleżeć. Wyjazd mamy dopiero po trzynastej.

— Ja wiem, Markus, ale nie wyglądasz dobrze. Strasznie jesteś blady.

Biorę lusterko ze skrzynki, w której trzymam osobiste drobiazgi. Rzeczywiście: policzki szare i zapadnięte, oczy błyszczące niezdrowo, na gębie ciemniejszy zarost, który – jak na złość – sypie się w upale ze zdwojoną siłą. Żołnierz od siedmiu boleści.

— Czymś się strułem. — Wymyślam na poczekaniu. — Może tym samym co Ballard?

— Pewnie tak. — Raczej mi nie dowierza.

— Co tam słychać na zewnątrz?

— Saperzy rozpoczęli minowanie terenu. Chodzą wokół bazy i robią dziury w ziemi. W takim tempie zejdzie im chyba do Bożego Narodzenia.

— Jest ich tylko dwóch. Trudno spodziewać się cudów.

Po wyjściu Rozwielitki wstaję z trudem i wlokę się pod prysznic. Dumna nazwa dla kilkunastu rur, rozprowadzonych na drewnianych drągach na zapleczu laboratorium. Miejsce nie jest osłonięte z boków, a ścieki spływają na ziemię, bo kanalizacja nie działa. Woda, w której się kąpiemy, pochodzi ze studni. Mamy jej ile dusza zapragnie, ale pić musimy chlorowane dziadostwo z beczki, bo podobno studnia jest zanieczyszczona.

Pod zimnym strumieniem myślę o Nemi. Zobaczę ją za dwie godziny, chociaż pewnie nie porozmawiamy za długo. Radość ze spotkania miesza się z obawą. Nie powinna tu przyjeżdżać – to największy błąd, jaki można popełnić.

Odbieramy dziś ludzi Wilmotsa z nieczynnego parkingu koło autostrady, trzy kilometry od Distortion. Sam fakt, że nie lecą dalej, wydaje się bardzo znaczący. Major woli ryzykować atak rebeliantów, niż lądować blisko bazy. Jedzie po nich cały PSR i szpitalny cerastes, transportujący kaprała Eldona. Jego stan określany jest jako stabilny, co w tym przypadku oznacza „całkowicie do dupy”.

* * *

Czekamy na śmigłowiec z bazy Erde. Porucznik Ostin bez przerwy przykładają lornetkę do oczu i patrzy na północ. Powinni być już piętnaście minut temu. Do serca wkrada się zwątpienie, czy na pewno doleczą szczęśliwie. Staję w ostrym słońcu obok porucznika i sierżanta. Moi ludzie stanowią ich bezpośrednią obstawę.

Drużyna Wenera odcina parking od zniszczonego zjazdu z autostrady. Drużyny Usila i Normana zajęły pozycje na wzniesieniach od strony pustyni. Pilnują ruchu na ścieżkach żwirowych, którymi podróżują lokalsi.

Lars melduje, że do posterunku zbliża się samochód osobowy. Frank Hinte, niewiele myśląc, posyła w jego kierunku serię z MG2 i kierowca w panice zawraca. Podobno

kurz, który unosi się za samochodem, wygląda jak wyrzut spalin z silnika odrzutowego. Chłopaki meldują z zadowoleniem, że jest czysto. Przegonili intruza z łatwością, ale śmigłowca nie widać.

Kwadrans po drugiej porucznik zaczyna się wściekać. Próbuje połączyć się z Beckiem, chociaż równie dobrze mógłby dłubać radiem w uchu. Na pustyni preferowane są spotkania twarzą w twarz, a w okolicy Otorten szczególnie. Ostin musi się do tego przyzwyczaić i opracować alternatywne metody łączności.

— Ale gównu! — mówi Gola, odrobinę za głośno.

— Bez kontaktu jesteśmy udupieni. — Patrzę w stronę bazy. — Musimy przypomnieć sobie znaki dymne albo sygnały lusterkiem.

Sierżant potakuje. Najwyraźniej myśli o tym samym.

* * *

Ogromny Cassabian CAS-20 pojawia się na niebie po kolejnych dziesięciu minutach. Najpierw jako kropka na tle majaczących gór, na wysokim pułapie. Potem schodzi niżej i już widzimy czarny kadłub oraz skrzydła fruwej artylerii. Płaty śmigieł miały gorące powietrze, rotor gwizdże głośno, aż drętwieją uszy.

Po chwili dostrzegam, że pod skrzydłami wiszą dwa feniksy, gotowe odłączyć się od statku matki i wesprzeć go swoim ogniem. Huk potężnieje z każdą sekundą, aż potwór zawisa nad naszymi głowami. Wywołuje tornado ze zgromadzonego tu latami pyłu. Dobrze, że mamy chusty i naciągamy je na twarze, bo nie dałoby się oddychać.

Ballard odjeżdża skorpionem, żeby zwiększyć lądowisko. CAS-20 siada kilkanaście metrów dalej na dziurawym asfalcie, połatany z remarską precyzją – kamieniami, betonem i żuzłem. Chwieje się dostojnie, kiedy z drzwi po naszej stronie wyskakuje dwóch mężczyzn w czarnych uniformach, czapkach z daszkiem i okularach przeciwsłonecznych. Spore zaskoczenie: Wilmots przywiózł ze sobą „specjalsów”. Zagadką pozostaje tylko, czy robią tu za eskortę, czy zostaną dłużej na pustyni.

OS-owcy lustrują otoczenie i pokazują gestami, żeby podjechać po skrzynie, które odbierają z pokładu i wrzucają do przestrzeni ładunkowej obu „dwieście pięćdziesiątek”. Zabraniają nam dotykać sprzętu, sami układają go na pace.

Dużo tego, chyba z dziesięć sztuk. Dopiero kiedy kończą załadunek, pozwalają pasażerom wysiąść ze śmigłowca. Pierwszy zeskakuje na ziemię major Wilmots, za nim porucznik Moerstrem. Potem w drzwiach pojawia się Nemi i porucznik Maja Budny. Wilmots zabrał ze sobą jedyną kobietę w zespole – może to jego kochanka. Ale to zaledwie cień refleksji, całą uwagę skupiam na tłumacze.

Wydaje się wystraszona. Patrzy w ziemię, kiedy staje za plecami majora. Próbuje przyciągnąć ją wzrokiem, szukam najmniejszego kontaktu. Tracę jednak czas i tylko bardziej się wściekam. Dziewczyna tkwi w swoim świecie, jak gdyby za szybą.

Podchodzimy do Wilmotsa – Ostin, Gola, Werner i ja. Skurwiel podaje rękę

wyłącznie porucznikowi. Nas obrzuca szybkim spojrzeniem, choć na mojej twarzy zatrzymuje się sekundę dłużej. Rozkazuje OS-om przenieść półprzytomnego Eldona z cerastesy do śmigłowca. Dopiero teraz widzę, że na pokładzie jest jeszcze dwóch specjalsów, kapitan Basky i jakiś gość w mundurze piechoty. Być może lekarz.

Kapitan Sauber musi nie lubić majora, bo nie wyjechała mu na powitanie. Przysłała tylko swojego pomocnika, chorążego Gildego. Goście pakują się do „ceraty”, chociaż mają tam trochę ciasno. Prowadzi jeden z OS-owców, a my formujemy kolumnę i ruszamy w kierunku bazy.

Za nami ciężki cassabian podrywa się do powrotnego lotu.

Środa, 29 czerwca, godz. 4.10

To dziwne uczucie, jakby większe pudełko znalazło się w mniejszym.

Zrozumiałem dopiero we śnie, o czym śniłem dwa dni temu. Oczywiście, zdaję sobie sprawę, jak to brzmi: analiza czegokolwiek w fazie REM. Nie doświadczyłem wcześniej takiej sytuacji i nie słyszałem, żeby ktoś inny doświadczył. Ale przypomniałem sobie lepkie słowa Ester, które przepadły na jawie.

Pierwsza informacja: Pod wzgórzem Otorten, na głębokości ponad czterystu metrów, znajduje się owalny obiekt o kształcie zbliżonym do spłaszczonej piłki futbolowej. Dwieście dwanaście lat temu wypiętrzył skalne masy, wywołując silne wstrząsy. Jego przybliżone rozmiary to: sześć kilometrów długości, trzy kilometry szerokości i sto metrów grubości. Obiekt zwrócony jest „przodem” w kierunku miejscowości Kumisz. Wioska znajduje się na jego krańcu, a centrum leży pod południowym zboczem Otorten.

Druga informacja: Obiekt nie jest bezimienny, nazywa się „Heart of Darkness”.

* * *

Wychodzę z drewnianej latryny i wpadam prosto na Normana.

— Wszędzie cię szukałem, Markus! — Wzdycha z wyraźną ulgą.

— I musiałeś przyjść za mną aż tutaj?

— Kapitan Sauber prosi, żebyś zgłosił się na wizytę. Natychmiast.

— Na wizytę, teraz? — Jestem cholernie zdziwiony. Nie minęło jeszcze południe.

Lars tylko wzrusza ramionami.

Poprawiam odruchowo mundur, podciągam spodnie i strzepuję pył z nogawek. Buty zaświnione pustynnym brudem, rękawy bluzy zawinięte aż do łokcia. Po chwili wahania ściągam chustę zawiązaną na głowie, żeby choć trochę przypominać żołnierza.

Maszerując przez plac, zastanawiam się nerwowo, czy ktoś zachorował albo może pluton Sewerina, który rano wyjechał na patrol, nadział się na ajdika. Gola twierdzi, że bomb tutaj raczej nie uświadczysz, podobnie jak kleszczy. Jeśli to miejsce ma jakieś zalety, to przede wszystkim małą ilość tego świństwa w ziemi. Dopiero teraz, kiedy zajęliśmy bazę, rebelianci zaczną zastawiać pułapki.

Wchodzę do szpitala. Kapral Hansen i chorąży Gilde grają w karty przy kwadratowym stoliku. Hansen macha ręką, wskazując pokój w głębi korytarza. Nie odrywa wzroku od pokera. Chłopaki nudzą się ewidentnie i oby ten stan trwał jak najdłużej.

Linda Sauber każe mi usiąść na krześle. Potem domyka wszystkie okna i zajmuje miejsce po drugiej stronie biurka. Wydaje się zmęczona.

— Mam dla ciebie wiadomość, Markus.

Dreszcz przebiega mi po plecach. Chociaż w porównaniu z informacjami od Ester żadna wiadomość nie może być zabójcza. A jednak czekam w napięciu.

— Słucham, pani kapitan.

— Była u mnie Nemi Seelberg. Przyszła pod pretekstem kobiecych problemów, ale tak naprawdę chodziło o ciebie.

— O mnie? — Próbuję udawać zdziwienie.

— Przestań robić głupie miny, Markus, bo możesz mnie zdenerwować! — Kapitan Sauer nie jest wzorem cierpliwości. — Rozmawialiśmy o was jeszcze w bazie Erde, dlatego przyszła do mnie po pomoc. Wilmots wycisnął z niej wszystko, co wiedziała o Distortion. Wasze podejrzenia i wyniki poszukiwań. Przez ostatni tydzień siedziała w celi, w piwnicy budynku Wywiadu Wojskowego. Major groził jej wydaleniem z armii i twoim aresztowaniem.

— To skurwysyn! — wrywa mi się z ust. — Przepraszam, pani kapitan.

— Tak, Wilmots to pragmatyczny skurwysyn. Przyleciał tu z konkretnego powodu. Nasze spotkanie powinno wyglądać na rutynową wizytę, dlatego będę się streszczać. Porucznik Maja Budny została zakwaterowana z Nemi w laboratorium, żebyście nie mieli ze sobą kontaktu. Masz być wściekły, dezorientowany. Wywiad będzie próbował cię złamać i zmusić do mówienia.

— Ale po co, skoro wszystko wiedzą?

— Major na pewno zakłada, że masz informacje, o których nie powiedziałaś dziewczynie. Jej izolacja ma zapobiec uzgadnianiu zeznań. Przemyśl swoją wersję, zanim wezwie cię na spotkanie. To, o czym wie Nemi, możesz mu śmiało powiedzieć.

— Wszystko mi się miesza, kurwa mać... — Tym razem nie przepraszam.

— Dlatego dobrze się zastanów, kapralu. Wiem, że rozmawiałeś też z porucznikiem Ostinem. Dzięki temu kapitan Beck uzyskał moje wsparcie i zgodę pułkownika Herbsta na medyczne zabezpieczenie tej misji. Na wasze pieprzone szczęście!

Doktor daje znak, żebym wracał do siebie. Wizyta skończona, postawiono ekspresowo diagnozę i zalecono terapię. Ale wrodzona ciekawość każe mi zadać jeszcze jedno, z pozoru głupie, pytanie.

— Pani kapitan, dlaczego wybrała pani ten budynek? Gdybyśmy zorganizowali to inaczej, mogłoby w nim stacjonować ze trzydziestu ludzi. A może nawet czterdziestu, dwa plutony piechoty.

— Te pokoje są w dobrym stanie i łatwo je zaadaptować na sale szpitalne. A tu, na

parterze, znajduje się chłodnia, w której pracownicy instytutu trzymali zapasy żywności. — Odgarnia z czoła kosmyk włosów. — Nie muszę ci chyba tłumaczyć, do czego można ją wykorzystać. Spodziewamy się strat.

Wychodząc ze szpitala, mam potworny mętlik w głowie. Myślę o tym, co spotkało Nemi, i zaciskam zęby. Zabiłbym Wilmotsa gołymi rękami, gdybym go teraz zobaczył. A raczej, spróbowałbym zabić, bo nigdzie nie rusza się bez ochrony. Przynajmniej jeden OS-owiec zawsze towarzyszy majorowi poza budynkiem dowództwa. Dziwnie to wygląda; chłopaki już zaczynają szemrać, że się boi.

Mechaniczne demony z Kumiszu, myślące światło i pioruny kuliste nie powinny być tajemnicą. Opowiedziałem o nich pierwszej nocy swojej drużynie, a wczoraj wieczorem – pozostałym kapralom z plutonu. Ale nawet Nemi i kapitan Sauber nie mają pojęcia, że rozmawiam z Ester. Pani doktor mogła zapamiętać, że leżąc na podłodze w szkolnej klasie, słyszałem metaliczny głos. Wtedy jednak nie rozróżniałem jeszcze słów, nie nawiązałem prawdziwego kontaktu.

Teraz jest inaczej. Teraz spodziewamy się strat.

* * *

Kantyna znajduje się z boku szpitala. Pomieszczenie jest na tyle małe, że ustawiliśmy pod ścianą jedynie trzy stoły; przy każdym może siedzieć maksymalnie pięć osób. Trzeba więc szybko rotować, żeby ci, którzy przyszli później, nie czekali głodni przed drzwiami. Maruderzy mogą usłyszeć kilka „miłych” słów albo nawet zarobić łokciem pod żebro. A jednak zamarudziłem tu dzisiaj i jest to wina Ballarda.

Chris z tajemniczym uśmieszkiem podsunął mi pod nos kawałek kartki, wydartej ze starej książki. Kartka jest zaplamiona i pożółkła. Znalazł ją pod blatem, kiedy schylił się po upuszczoną łyżkę. Ktoś z niejasnych przyczyn wcisnął papier w jedno z pęknięć w nodze stołu. Tekst wygląda jak rozbudowany przypis:

Uczeni wskazują, że na Ziemi istnieją dwa typy zwierząt: drapieżniki, takie jak koty, psy i tygrysy (mające oczy z przodu głowy, aby móc stereoskopowo zogniskować wzrok na ofierze), oraz ich ofiary, na przykład króliki i jelenie (obdarzone oczami po obu stronach głowy, aby wypatrując drapieżników, mogły obserwować przestrzeń we wszystkich kierunkach). Najczęściej drapieżniki są inteligentniejsze od swoich ofiar. Testy wykazały, że koty są inteligentniejsze od myszy, a lisy od królików. Ludzie też mają oczy z przodu, są więc drapieżnikami. Szukając inteligentnej formy życia w kosmosie, powinniśmy mieć na uwadze to, że obcy, których spotkamy, prawdopodobnie również będą pochodzili od drapieżników^[2].

— Będą mieli oczy z przodu głowy — mówi Chris. — Dobrze wiedzieć.

— Jeżeli, sukinsyny, będą mieli jakieś oczy — odpowiadam.

Musimy uciekać z kantyny, bo nas tu wreszcie zlinczują. I to bynajmniej nie obcy, lecz swoi, którzy kipią słusznym gniewem: dwóch kretynów oddziela ich od pożywienia,

rozmawiając o pieprzonych bzdurach.

Po drugiej stronie kartki znajduje się krótka wzmianka o upadku Azteków, którzy nie wytrzymali konfrontacji z grupą oberwanych konkwistadorów. Nie dlatego, że byli zacofani kulturowo albo mniej rozgarnięci. Czuli raczej obrzydzenie do napychających się złotem białych małp.

Aztekowie przegrali, bo pewne rzeczy nie mieściły im się w głowach, a w dorobku ich cywilizacji zabrakło prochu strzelniczego.

* * *

Pluton Sewerina wjeżdża na plac po czterech godzinach patrolu. Przejechali cerastesami przez kilka małych wiosek, właściwie osad pasterzy, i zatrzymali się na skraju Kumiszu. Eryk Sotter opowiada przed namiotem o dziwnym powitaniu, które zgotowali im mieszkańcy.

— Zachowywali się przyjaźnie. Z wioski wyszło kilkanaście osób, kobiet i dzieci, które podskakiwały w rytm uderzeń małych bębenków. Wszyscy mieli na głowach jakieś zielsko i otoczyli nasze samochody. Zupełnie mnie to rozwalilo — mówi, śmiejąc się do tego obrazu. — A potem pojawili się mężczyźni. Starszy wioski, po ichniemu „saredare”, skłonił się uprzejmie i podał nam dzbanek ze słodką herbatą. W worku mieli kubki i gliniane miseczki do picia.

— Nie bałeś się, że was otrują? — pyta Usil.

— Nie mogliśmy im odmówić. Raul powiedział, że to normalne wśród Armajów. Jeśli mieszkańcy chcą okazać, że goście są mile widziani, witają się z nimi w ten sposób.

— To znaczy, że poprzednio w żadnej wiosce nie byliśmy mile widziani — zauważa Norman. — Jakoś nie pamiętam, żeby ktoś nas w kwietniu częstował herbatą.

— Tak, a ludzie z Kumiszu spierdolili pod ziemię — dodaje Mastalik. — Wypytałiśmy ich dokładnie, co się wtedy stało. Podobno przestraszyli się, że chcemy aresztować młodych mężczyzn. Podobno taką plotkę rozsiewali partyzanci.

— Podobno, kurwa mać! — Werner nienawidzi tu wszystkiego. — Nie wierzę im.

— A zapytaliście ich o szkołę? — pytam z pełnymi ustami, bo właśnie gryzę suchary. — Dowiedzieliście się czegoś?

— Mówili, że zebrali się w klasie właśnie w naszej sprawie. Zastanawiali się, co zrobić. Wtedy okazało się, że coś jest nie tak z instalacją elektryczną i tłum rzucił się do ucieczki. Aż wywalili drzwi z futryną. Ostatecznie postanowili, że ukryją się w starych kopalnianych szybach i przeczekają naszą wizytę.

— A ten człowiek, którego znaleźliśmy na drodze? — nie odpuszczam.

— To tutejszy głupek. Zdaniem „sołtysa” facet spał w jakiejś dziurze i kiedy zobaczył, że wioska opustoszała, wpadł w panikę. Prawdopodobnie poraził go prąd, kiedy szwendał się, żeby znaleźć resztę.

— Widzieliście go?

— No, niestety, leży na cmentarzu. — Sotter kręci głową. — Podobno chorował po wypadku i zmarł na początku maja. Tyle się dowiedzieliśmy.

Chowam się do namiotu i rzucam na swoją pryczę. Nadal czuję wściekłość. Nie wierzę w te opowieści, podobnie jak Werner. Niby wszystko brzmi sensownie i składa się w całość, ale skąd ten facet, porażony prądem, wziął się po drugiej stronie wioski? Jak mu się udało w takim stanie przeczłagać z jednego końca ulicy na drugi?

Nie wspominam nawet o ciemnych smugach na ścianach, które zauważył Ballard. Pewnie gdybyśmy o nie zapytali, wymyśliliby jakąś historię – że robią takie smugi, żeby odegnać demony albo dokuczające im muchy. Mają, gnojki, niezłą wyobraźnię.

Kumisz oddalony jest od Distortion o niecałe trzy kilometry w linii prostej. Jeszcze będę miał okazję zadać im te wszystkie pytania. Będą się musieli wypowiadać z panicznej ucieczki i ze światła, które mnie prawie zabiło.

Czuję, że pustynia wpływa na nas, wywołując rozdrażnienie. Niby żartujemy i śmiejemy się z dowcipów, ale w powietrzu czuć napięcie. Ludzie są nerwowi i na siłę szukają sobie zajęć. Nigdy bym nie przypuszczał, jak wielu ochotników może zgłosić się na patrol albo do gotowania zarcia z puszek i obierania ziemniaków.

* * *

Peter wchodzi blady do pokoju, trzęsą mu się ręce. Yuri Truman zameldował właśnie, że starszy szeregowy Inka stracił na chwilę przytomność. Nie miał dziś apetytu, ledwie trącił swoją porcję obiadową. Olaf, chociaż żyłasty i niski, zawsze lubił dobrze zjeść. Teraz leży na materacu i gapi się w sufit, nie odpowiada na pytania. Aż mnie ściska w gardle, kiedy o tym słyszę. Spodziewam się najgorszego.

Biegnę z Usilem do boksu Drużyny Cztery. Za nami człapie Lars Norman, bazgrząc coś w swoim zeszytcie. Jest tak, jak mówił Yuri, a może nawet gorzej, bo Inka zamyka oczy i pyta, gdzie się znajduje. Kapral każe wszystkim wynosić się z pokoju. Benesz potrąca mnie w drzwiach i idzie do wyjścia. Za nim Truman i Wass.

— Jesteś na pustyni, w bazie Distortion — mówi Usil. — Jak się czujesz?

— Coś się stało — powtarza Olaf kilka razy, głowę ma zroszoną zimnym potem. — Nie pamiętam niczego od rana. — Zanosi się kaszlem.

— Popatrz na mnie! I powiedz mi, czy coś cię boli?

— Nie, nie boli. — Inka powoli odpływa. — Ja nie czuję ciała, Peter.

Jeszcze rozpoznaje twarze. Może powinniśmy wezwać doktor Sauber, ale nie ma czasu. Dźwigamy Inkę do góry, bierzemy pomiędzy siebie i wyprowadzamy z namiotu. Ciągnie nogami po ziemi, zostawiając w piachu długi ślad. Odwracam się do Normana.

— Markus, co mam robić?! — pyta Lars.

— Zawołaj sierżanta, niech przyjdzie prosto do szpitala.

— Zawołaj też porucznika — mówi Usil. — Zawołaj tu, kurwa, wszystkich!

Trafiamy na poobiednią drzemkę. Gilde zaszył się w swojej kanciapie. Robert

Hansen, wyraźnie przestraszony, wskazuje nam jeden z pokoi. Siedzimy Olafa na łóżko, ale opada bezwładnie na bok i od razu zasypia. Kapral Hansen biegnie po doktor Sauber do budynku dowództwa. Zapada grobowa cisza.

* * *

Po chwili na korytarzu zjawia się pani kapitan, porucznik Ostin, podporucznik Jang i sierżant Gola. Zaglądają do pacjenta. Wypytyują nas nerwowo, co się stało, ale szefowa szpitala każe nam wypieprzać na zewnątrz i nie przeszkadzać w badaniu. Posłusznie, jeden za drugim, wychodzimy na plac.

Ci, którzy palą, wyciągają papierosy. Marcel Ostin wytrząsa z pudełka gumę do żucia. Kilku żołnierzy przystanęło niedaleko, gapiąc się na zbiegowisko.

— Nie macie swoich zajęć? — krzyczy Gola. — Leniwe skurwysyny!

— Przestań wrzeszczeć — upomina go Ostin. — Musimy zachować spokój.

— Panie poruczniku — odzywam się cicho — czy to nie wygląda jak choroba Eldona?

Ostin patrzy na mnie takim wzrokiem, jakby zastanawiał się, kim jestem.

— Widziałem szeregowego Inkę przez chwilę, ale bazując na tym, co powiedzieliście, obawiam się, że tak. Powtórzę jeszcze raz: musimy zachować spokój, nie możemy panikować z takiego powodu. Jeszcze dzisiaj, Markus, zostaniesz poproszony do dowództwa, żeby odpowiedzieć na kilka pytań.

— Tak jest.

— Major Wilmots nalegał od rana, żeby cię wezwać — dodaje Jang. — Nie widzieliśmy takiej potrzeby, ale teraz sytuacja się zmieniła. Musimy porozmawiać.

Atak nastąpił szybciej, niż przypuszczałem. Nie minął nawet tydzień od naszego przyjazdu. Jakby potwór, który spoczywa pod nami, uznał nagle, że zdążyliśmy przywyknąć i już dość zabawy w chowanego. Teraz nam pokaże, na co go naprawdę stać.

Bezgłośnie przywołuję Ester, próbuję przyciągnąć jej uwagę, ale ona milczy niestrudzenie. Zostawia mnie sam na sam z czarnymi myślami. Chciałbym jej powiedzieć, że nie możemy grać w tę grę, nie znając zasad. Nie możemy wygrać ani przegrać. Ale zaraz karcę się za tę uwagę: ta kurewska wojna jest taką właśnie grą – prowadzoną połamanymi pionkami na spalonej szachownicy.

* * *

Ester odzywa się wreszcie, kiedy słońce zachodzi za horyzont. Tym razem wiadomość jest krótka i nie wywołuje torsji:

Możesz im przekazać, Markus, że pozbawię was resztek łączności.

Nie biegnę z tym do dowództwa, bo nie jestem pewien, co powiedzieć – że głos w mojej głowie rzuca wyzwanie całemu oddziałowi SSARR? I tak wszyscy wiedzą, że

w okolicy Otorten radio praktycznie nie działa, a łączność satelitarna zależy od sprawności naszych anten i utrzymujemy ją z najwyższym trudem. Co mogłaby jeszcze zrobić?

Nie rozumiem groźby nawet wtedy, gdy w bazie wszczyna się ruch. Strażnicy na bramie wjazdowej wypatrzyli na północnym niebie dwa świetliki. Powiadomili oficera dyżurnego oraz wszystkich, którzy byli w pobliżu. Tak na wszelki wypadek.

Wołam chłopaków z drużyny i biegniemy „na mury”. Przy północnej ścianie SOM, podobnie jak przy pozostałych, ułożyliśmy w kilku miejscach stopnie z palet, żeby w razie potrzeby prowadzić stąd ostrzał. Wskakujemy więc na podwyższenia i gapimy się przed siebie, a świecące kule tańczą nad pustynią jak dwa słońca. Zwiad wysłała sokoła, który pędzi w ich kierunku. Pędzi jak wiatr, na pełnej mocy, i po chwili traci połączenie z bazą.

To tyle, jeśli chodzi o analizę zjawiska.

Jeden ze świetlików zapada się nagle pod ziemię. Nie wiadomo, jak daleko stąd i czy pozostawił jakiś ślad na piasku. Drugi wisi dostojnie na niebie, mieniając się powoli błękitem i bielą. Trwa tak z piętnaście minut, pozwalając nam nacieszyć oczy swym widokiem i zrobić odpowiednio dobre zdjęcia. Rozwielitka kręci film głównianym aparatem.

Kilku chłopaków z innych drużyn dołącza do nas i komentuje widowisko. Przeważają podejrzenia, że to UFO. Ale są też tacy, którzy boją się tajnych broni, w jakie źli Gottanie wyposażyli rebeliantów. Właściwie nikt już nie wierzy, że to, co mamy przed oczami, jest wytworem Matki Natury. Może z wyjątkiem dowództwa.

Ballard opowiada właśnie, że gdyby świetliki były piorunami kulistymi, miałyby czerwony odcień, kiedy coś się zmienia. Kula światła podrywa się nagle do góry i zaczyna puchnąć. Rośnie w takim tempie, że przerażeni ludzie zeskakują na ziemię i kładą się płasko pod murem. Ale ja zostaję, patrzę jak urzeczony na to niezwykle zjawisko. Po chwili świetlisty pocisk przelatuje mi nad głową. Owiewa mnie zapach ozonu, a potem słyszę za plecami straszny huk. Bębunki reagują bólem.

Obracam się w stronę placu, nad którym płonie nasz oculus, trafiony świetlikiem. Wyładowanie elektryczne było tak potężne, że zasilanie padło w całej bazie. Balon skwierczy głośno, stanowiąc teraz jedyne źródło światła. Przyczepione do niego kamery i anteny topią się i odpadają od zaczepów. Po kolei lądują na ziemi, pozbawiając nas kontaktu ze światem. Ktoś dostaje w głowę metalowym sprzętem. Ktoś inny biegnie zygzakiem, żeby odpalić zwijarkę.

Możesz im przekazać, Markus, że pozbawię was resztek łączności.

Teraz wiem, co miałaś na myśli, Ester, i że twoje postrzeżenie świata jest bardziej konkretne niż moje. Będziemy ślepi i głusi, zdani jeszcze bardziej na twoją łaskę i niełaskę. Teraz możesz nas zabijać praktycznie bezkarnie lub wypłoszyć z tego miejsca, jeśli przyjdzie ci na to ochota. Podejrzewam jednak, że masz inne plany.

I że wkrótce je poznamy.

Rozdział drugi

Czwartek, 30 czerwca, godz. 0.25

Wysunięta Placówka Distortion, pustynia Saladh, południowy Remark

Izaak Schenker, twórca pierwszego Ośrodka Rehabilitacji Osobowości, powiedział kiedyś w telewizyjnym wywiadzie, że ludzie cierpiący na depresję są bliżsi prawdy niż tak zwani „zdrowi”. To dziwne zdanie, zwłaszcza w ustach psychoterapeuty, oburzyło wielu kolegów po fachu, ale Schenker miał pozycję, która pozwalała mówić różne rzeczy. Zrobił więcej dla tych, których wypełniła czerń, niż wszyscy jego krytycy razem wzięci.

Kiedy piszę te słowa, synku, ten potężny doktor, z wysokim błyszczącym czołem, orlim nosem i złotymi okularami, nie żyje już od wielu lat. Rok po śmierci Schenkera samobójstwo popełniła jego żona, Maria, również lekarz psychiatra. Nie wytrzymała samotności. W ten sposób osierocili najstarszy ORO i jego pacjentów. Ale pamięć o nich trwać będzie jeszcze długo w umysłach ludzi, którym nieśli pomoc.

Pewnie zastanawiasz się, kochany, co chcę ci przez to powiedzieć?

Tylko zasłony, które stawiamy przed sobą, oddzielają nas od nicości i pozwalają nam przemierzać świat. Małe sukcesy i małe porażki, które stają się udziałem wszystkich, zaprzętają nas każdego dnia. Boimy się paskudnych momentów, kiedy zasłona opada, i nie przepadamy za ludźmi, którzy wyją z przerażenia, dostrzegając prawdę. Staramy się ich lekceważyć lub unikać.

Tu, gdzie się teraz znalazłem, stajemy twarzą w twarz z potworem. I myślę, że wielu z nas nie zniesie jego widoku. Świadomość zbliżającego się kresu odbierze im rozum równie skutecznie, jak fizyczne anomalie. A jeśli przetrwam nieco dłużej, synku, zawdzięczać to będę czerni, którą noszę w sobie od dzieciństwa i z którą nauczyłem się walczyć. Ludzie silni i patrzący w przyszłość z optymizmem zgniją od środka jako pierwsi.

* * *

Czekam na wezwanie majora Wilmotsa, oczy kleją się ze zmęczenia. Porucznik Moerstrem tuż po awarii oculusa – jak to eufemistycznie nazwał – poinformował mnie grzecznie, że zostanę przesłuchany. Zamiany naszego wywiadu pokrzyżował jednak incydent z udziałem grupy rebeliantów.

Muszą obserwować bazę, bo kwadrans po uderzeniu świetlika, kiedy balon jeszcze dogasał, a technikom Janga nie udało się przywrócić zasilania, na drodze dojazdowej

stały dwa pick-upy. Kilku mężczyzn próbowało dojrzeć przez lornetki, co zaszło w Distortion, i być może dać sygnał do ataku. Wartownicy otworzyli ogień. Partyzanci odpowiedzieli kilkoma seriami i użyli granatnika. Kiedy kaukaz otworzył przejście i w bramie pojawił się pierwszy skorpion, omiatając okolicę silnym reflektorem, bojownicy ulotnili się.

Bardzo długo, prawie do północy, toniliśmy w ciemnościach, a służba wartownicza wypatrywała oczy przez noktowizory. Godzinę temu udało się naprawić oświetlenie, jednak ja, w przeciwieństwie do reszty plutonu, nie położyłem się do łóżka. Czekam przed namiotem na ludzi Wilmotsa i chyba czuję coś w rodzaju ulgi, kiedy wreszcie nadchodzi.

Porucznik Moerstrem zabrał ze sobą specjalsa. Nazywamy go Gruby, bo ma wielką grubą głowę, może nawet większą od Benesza. Nie wiem, czy porucznik spodziewał się oporu, czy może myślał, że zacznę uciekać. Jeśli tak – naprawdę nie sądzę, żeby Gruby mnie dogonił.

W głowie kotłują się bzdury, kiedy przecinamy plac.

Wchodzimy do laboratorium, gdzie Wywiad Wojskowy urządził sobie biuro. Porucznik prowadzi mnie do pokoju na końcu korytarza. Siedzą tam Ralf Wilmots oraz Maja Budny, uzbrojona w opancerzony laptop marki J.J. Hardy. Moerstrem ulatnia się po chwili i zamyka za sobą drzwi okute blachą.

Próbuję się zameldować, ale Wilmots wskazuje gestem krzesło przy metalowym stole. Siadam naprzeciwko niego, porucznik Budny mam po prawej stronie. Major jest blady ze zmęczenia i pociera ciemną brodę, jakby myślał nad pierwszym pytaniem.

— Podoba ci się na pustyni, synu? — odzywa się niespodziewanie.

— Nie bardzo, panie majorze. Tak jak większości oddziału.

— Więc uważasz, że Distortion to brama do piekła?

— Myślę, że to niebezpieczne miejsce. — Teraz wiem na pewno, że przeczytał moje listy do syna, i coś gotuje się we mnie, aż syczy.

Oficer przygląda się uważnie swoim palcom.

— Podczas spotkania w szpitalu dałem ci wizytówkę. Dlaczego nie zadzwoniłeś?

— Nie chciałem przeszkadzać panu majorowi.

— Nie masz do mnie zaufania? — Uśmiecha się nieprzyjemnie.

— Tego nie powiedziałem.

— To bardzo źle, kapralu, że nie zadzwoniłeś. Musiałem przez to porozmawiać kilka razy z twoją dziewczyną — wymawia słowo „dziewczyna” w obraźliwy sposób. — Musiałem zapytać panią Nemi Seelberg o szczegóły waszego nielegalnego śledztwa. Dowiedziałem się wielu ciekawych rzeczy. A pani Seelberg wydawała się mocno zdenerwowana, kiedy opowiadała o waszych wyczynach.

Staram się zachować spokój. Nie sprowokujesz mnie, jebany skurwysynu.

— Co pan ma na myśli, panie majorze?

— Wiele rzeczy — powtarza z uśmiechem. — Nieuprawniony kontakt z oficerem

remarskiej policji, kapitanem Aharim. Wykorzystanie informacji pozyskanych z sieci do szerzenia paniki w oddziale. Próby dotarcia do danych medycznych o stanie zdrowia żołnierzy poszkodowanych w Kumiszu. Mam wymieniać dalej? Domyślasz się, co za to grozi, Trent?

— Nie, panie majorze.

— Zostaniesz oskarżony przez prokuraturę wojskową o niesubordynację, a być może również o celowe działanie na szkodę misji, dywersję i szpiegostwo.

— Panie majorze, melduję, że o swoich podejrzeniach i pozyskanej wiedzy wielokrotnie informowałem przełożonych. Pod koniec marca, przed wyjazdem na pustynię, rozmawiałem po raz pierwszy z dowódcą plutonu. W maju udałem się również z sierżantem Golą do porucznika Ostina. Nie korzystałem z tajnych źródeł i nie ukrywałem swoich działań.

— Sąd może mieć inne zdanie na ten temat.

— Tak jest, panie majorze.

Ciemniej mu oczy. Jedynie to zdradza, że Wilmots jest wściekły i przesłuchanie nie idzie po jego myśli. Oczywiście, ma wiele asów w rękawie – może zaatakować Nemi albo wrócić do naszego związku, który koliduje z regulaminem. Ale to są mniej spektakularne środki, dlatego zmienia taktykę.

— W porządku, kapralu. Załóżmy, że działałeś w dobrej wierze i chciałeś o wszystkim poinformować dowództwo. Opowiedz mi po kolei, czego się dowiedziałeś.

Ze zmęczenia miesza mi się w głowie, ale staram się mówić konkretnie. Opowiadam o tym, dlaczego zainteresowałem się Distortion. O ostatnich dniach przed „Pustynną Pięścią”, kiedy rozmawialiśmy w gronie kolegów o opuszczonej bazie na pustyni Saladh, a ja poprosiłem Nemi, żeby znalazła coś na jej temat. Jestem pewien, że przyznała się do tego wcześniej, więc nie wyrządzam jej krzywdy. To zresztą nie jest przestępstwo, że chcesz dowiedzieć się więcej o miejscu, do którego zostajesz wysłany.

Mówię o wizycie u sierżanta Goli i przekazaniu mu wydruków. O tym, że w badaniach na pustyni brał udział słynny fizyk, Filip Meyer, a żołnierze Sojuszu wycofywali się z Distortion w ogromnym pośpiechu. Potem przechodzę już do naszej misji i do śladów na ścianach w Kumiszu. Wilmots wyraźnie ożywa, wypytuje o szczegóły. Maja Budny stuka w klawiaturę. Opisuję ciemne smugi, pozostałość po piorunie kulistym albo podobnym zjawisku.

Strumień słów przerywa zamieszanie na korytarzu. Słysząc tupot nóg i podniesione głosy. Ktoś strasznie opieprza Grubego, który stoi na warcie i próbuje się sprzeciwić. Po chwili do pokoju wpada sam kapitan Beck, celując palcem w stronę zaskoczonego majora.

— Co tu się dzieje, do ciężkiej cholery?! — krzyczy na całe gardło.

Za kapitanem ukazuje się porucznik Ostin, sierżant Gola, Peter Usil, Lars Norman i co najmniej dziesięciu chłopaków z naszego plutonu.

— Rozmawiamy, kapitanie. — Wilmots wstaje i opiera się o stół. — Czy mógłby pan

zabrać stąd swoich ludzi i nie przeszkadzać mi w pracy?

— Nie, majorze, nie mógłbym. Co pan sobie wyobraża?! Co to za barbarzyńskie zwyczaje, że wyciągacie w środku nocy żołnierza, żeby go przesłuchać?

— Mamy takie prawo. I nie panu o tym decydować.

— Gównu macie, a nie prawo! — Kapitan Beck nie próbuje nawet panować nad sobą. — Jesteście w mojej placówce, Wilmots. Ja dowodzę tą bazą i od tej pory masz wszystko konsultować ze mną. I zabierz mi z oczu tych pajaców z OS.

— Uważaj, do kogo mówisz! Złóż skargę w dowództwie batalionu.

— Mam to w dupie! — syczy Beck i klepie mnie po plecach. — Wstawaj, Trent, i wracaj do siebie. Bez mojego pozwolenia nikt nie będzie cię przesłuchiwał.

— Tak jest, panie kapitanie.

— Aha, i jeszcze jedno — zwraca się do Wilmotsa. — Zabieramy stąd naszą tłumaczkę. Od teraz będzie mieszkać z kapitan Sauber w punkcie szpitalnym. Jeśli nie zdążyliście jej o coś zapytać, to macie przyjść z tym do mnie.

W drodze do namiotu dowiaduję się, że Gołę powiadomił Ballard. Zauważył, wracając z latryny, że Moerstrem prowadzi mnie do laboratorium, i natychmiast obudził chłopaków. Potem sprawy potoczyły się szybko, kawaleria przybyła z odsieczą.

* * *

Po ciężkim poranku, rozchybotanym nocnym przesłuchaniem, muszę się pozbierać, przygotować do wyjazdu. Lars Norman proponuje, żebym został w bazie i przekazał dowodzenie drużyną sierżantowi, ale nie chcę tego robić. Moi ludzie muszą mieć poczucie, że będę z nimi do końca, bez względu na okoliczności.

Cztery zatankowane i zaopatrzone w amunicję skorpiony czekają na rozkaz. Porucznik Ostin wysłał PSR do sprawdzenia grupy pojazdów, które przed chwilą wypatrzył nasz sokół. Na zdjęciach, rzuconych na tablety, sytuacja wygląda tak, jakby na wiejskiej drodze, około pół kilometra za Otorten, doszło do awarii busa. Biały dostawczak i samochód osobowy nieokreślonego koloru mają podniesione maski. Być może chodzi tylko o podłączenie kabli do akumulatora albo coś równie banalnego, ale musimy to sprawdzić. Tym bardziej że kilkadziesiąt metrów dalej zaparkowała druga osobówka.

Gorąco daje się we znaki. Kiedy wyjeżdżamy z Distortion, powietrze faluje nad białymi kamieniami. Jesteśmy w pełnym rynsztunku – kamizelki, pyłoszczelne gogle i rękawiczki taktyczne na dłoniach, bez których można poparzyć sobie skórę. Dotyczy to szczególnie Gausa oraz innych chłopaków, którzy stoją na wieżyczkach.

Okrażamy cel szerokim łukiem, kierując się na południowy zachód. Przejeżdżamy szybko przez Kumisz, którego widok wywołuje niepokój. Ballard spluwa nawet przez okno, gdy mijamy szkołę i grupę mieszkańców. Potem, za miasteczkiem, skręcamy bardziej na wschód i zbliżamy się do celu od południa. Gdyby Remarczycy zaczęli przed

nami uciekać, musieliby ruszyć w stronę wzgórza i przejechać drogą w pobliżu placówki. Weźmiemy ich wtedy w dwa ognie. Trzeci pluton czeka w bazie, żeby odciąć im drogę ucieczki.

Drużyna Jeden zatrzymuje się przy pierwszej osobówce. Odrapany stary ford wydaje się pusty. Sierżant Gola rzuca rozkaz przez radio, żeby go przeszukać, a reszta skorpionów parkuje dalej w półokręgu, około trzydziestu metrów od pozostałych pojazdów. Dwóch mężczyzn przy jasnoniebieskim albo srebrnym gracie, pokrytym warstwą kurzu, to prawdopodobnie kierowcy samochodów osobowych. Stają jak zamurowani na widok oddziału.

Trzeci mężczyzna, pochylony nad silnikiem busa, dostrzega nas dopiero po chwili. Reaguje inaczej niż oni, wydaje się odważniejszy. Unosi wysoko ręce, żeby pokazać, że są puste, i idzie wolno w naszą stronę.

Zajęliśmy już pozycje wokół aut, strzelcy ściskają w dłoniach kolby MG2. Remarczyk nie wygląda na terrorystę samobójcę. Ma na sobie tylko jasny t-shirt i luźne bawełniane spodnie. Robię więc dwa kroki z Raulem, Rozwielitką i Golą w jego kierunku. Dafny cały czas trzyma go na muszce; oddycha głośno, ale miarowo i spokojnie.

Mój wzrok przykuwa telefon komórkowy wystający z kieszeni mężczyzny.

— Panie sierżancie — mówię cicho do Goli — niech pan odwoła Jedynekę od forda.

Sierżant patrzy na mnie przez sekundę, a potem wydaje rozkaz, żeby chłopaki dołączyli natychmiast do plutonu. Werner potwierdza w słuchawkach przyjęcie rozkazu. Kiedy wskakują do skorpiona, kierowca busa sięga do kieszeni.

— Strzelaj! — krzyczę do Rozwielitki.

Dafny naciska spust i trafia mężczyznę w czoło. Pozostali Remarczycy zaczynają biec. Pędzą jak szaleni w stronę wzgórza, a Drużyna Jeden rusza za nimi w pościg. Wycofujemy się za pojazdy.

Gola krzyczy „Ognia!” i strzelcy rozpoczynają kanonadę z karabinów maszynowych. Dziurawią busa i stojącą przy nim osobówkę długimi seriami. Żaden z samochodów nie wybucha, ale kufer osobówki otwiera się pod wpływem strzałów. Nie podchodzimy do niego, wzywamy z bazy saperów.

W oddali skorpion Jedyнки podskakuje na wertepach. Rzuca nim straszliwie, ale już po chwili zajeżdża drogę uciekinierom. Nie są uzbrojeni i umierają ze strachu, aresztowanie jest więc tylko formalnością. Słony pot zalewa mi oczy.

* * *

Akcja pod wzgórzem Otorten zakończyła się pełnym sukcesem. Tak przynajmniej ujął to porucznik Ostin, ściskając nam dłonie w budynku dowództwa. Kapitan Beck był bardziej powściągliwy, ale również miał powody do zadowolenia – żaden z żołnierzy nie odniósł obrażeń, a dwaj schwytani Remarczycy zostali przekazani Wilmotsowi.

W ostrzelanym busie znaleźliśmy ciała czterech rebeliantów. Czekali w środku, uzbrojeni po zęby, żeby przypościć atak na nasz oddział. Saperzy ustalili, że stary ford był wypełniony materiałami wybuchowymi, a telefon w kieszeni kierowcy pełnił rolę nadajnika. Potem przeprowadzili kontrolowaną eksplozję. Ostin i Beck podkreślali, że gdyby nie nasza czujność, drużyna Wenera poniosłaby śmierć na miejscu, sprawdzając samochód.

Po wyjściu z odprawy rozmawiamy jeszcze przez chwilę – Werner, Norman, sierżant Gola i ja. Sierżant powtarza uparcie, że podjął właściwą decyzję dzięki mnie. Nie może przeżyć, że poprosiłem o ukrycie tego faktu przed dowództwem.

— Nie rozumiem cię, Markus. — Kręci głową. — Dlaczego jesteś taki pojebany?

— Nie chcę zwracać na siebie uwagi, zwłaszcza teraz. To było zwykłe przeczucie, sierżancie. Nie miałem na to wpływu, to żadna zasługa.

— Nie pierwszy raz miałeś takie „zwykłe przeczucie”. I proszę cię, przestań pierdolić, bo mi się robi niedobrze od tej fałszywej skromności.

— Coś w tym jest — dodaje niezawodny Norman.

— Pewnie skojarzyłem, że oni nie używają komórek, bo na pustyni praktycznie nie ma zasięgu. Dlatego zwróciłem uwagę na telefon. — Słowa brzmią, jakbym się usprawiedliwiał. — Mogę się odmeldować? Chciałbym zobaczyć, co z Inką.

— Byłem tam rano, sytuacja nie zmieniła się od wczoraj. Ale idź, zobacz, co z nim, podpytaj panią kapitan. I przy okazji pozdrów od nas Nemi — mówi Gola.

Prawie biegnę do szpitala. Śpieszy mi się, żeby zobaczyć dziewczynę, więc szybko zaglądam do pokoju Inki, w towarzystwie kaprała Hansena. Chcę się upewnić, że panujemy nad sytuacją, ale to, co widzę, jest jak uderzenie młotkiem w skroń. Kapral tylko kiwa głową, kiedy cofam się do drzwi.

Wspinam się po schodach na piętro i kieruję w prawo, do kwatery Nemi. Padam prosto w objęcia dziewczyny, całując ją i ściskając, jakbyśmy nie widzieli się od lat. Jej ciepło i kwiatowy zapach są jak balsam i najmocniejszy alkohol. Ale w końcu muszę się odsunąć, by zaczerpnąć tchu. I zapytać Nemi, czy słyszała o nowych pacjentach.

— W pokoju Olafa Inki leżą kolejni żołnierze! Mają te same objawy.

— Tak, wiem. — Nemi spuszcza wzrok. — To dwaj szeregowcy z plutonu Krella. Trafili tu o dziesiątej, kiedy byliście na akcji. Dowództwo trzyma to na razie w tajemnicy.

— Ja pierdolę. Co możemy zrobić?

* * *

Grobowy nastrój szpitala i nieprzespana noc sprawiają, że nagle tracę siły. Nemi przytula moją dłoń do policzka i zagląda w oczy, usiłując przekazać mi strach i wątpliwości, które targały nią przez wiele dni. Gładzę jej miękkie włosy i zapewniam tysiąc razy, że nie gniewam się za zeznania. Jak mogła w ogóle pomyśleć, że będę się

gniewał? Jak mogła?

W górze ogromny wentylator miesza powietrze metalowymi łopatom. Dopiero teraz zdaję sobie sprawę, że w pokoju panuje wprost arktyczny chłód. Nawet Remarczycy narzekają na upały, a oni są przyzwyczajeni do wysokich temperatur. W naszym namiocie w dzień nie da się wytrzymać. Dlatego cieszę się, że Nemi wygrała los na loterii. Chociaż nie jest to główna wygrana.

— Nagroda dziesiątego stopnia. — Uśmiecha się dziewczyna.

— Niejeden żołnierz oddałby pół żołdu, żeby tu zamieszkać.

— Ze mną? — pyta z tą szelmowską miną.

— Na mieszkanie z tobą nie stać nawet oficerów. Uwierz mi.

Rzucamy się na łóżko i patrzymy w sufit. Jest słodko i gorzko, jak zwykle. Prawie dokładnie pod nami leży trzech nieprzytomnych kolegów, którym nikt nie potrafi pomóc. A my trzymamy się kurczowo resztek dobra i swoich drżących rąk.

— Życie jest piękne, kiedy mam cię przy sobie — mówię cicho.

— Życie, Markus, nie jest piękne dzięki czemuś, ale mimo wszystko — odpowiada.
— Chciałabym, żebyś to zrozumiał. Byłoby ci znacznie lżej.

— Raczej nigdy tego nie zrozumiem. Musisz mi wybaczyć.

— Może zdążę cię tego nauczyć.

— Może zdążysz — powtarzam, odpływając ze zmęczenia. — Muszę już iść, zanim nas ktoś zobaczy.

* * *

Spać. Nie istnieć. Spać. Nie istnieć. Spać.

Przespać obiad, kolację, śniadanie. Nie wychodzić na papierosa. Nie robić niczego, oprócz wdechów i wydechów, pozbywania się nadmiaru ciepła, tłoczenia krwi do tętnic, cyrkulacji płynów w organizmie, ruchów robaczkowych jelit. Pozwolić, by osobowość umarła. Zamknąć inteligencję i pamięć w czarnym matowym sześcianie.

Przemykam się przez plac. Wchodzę do namiotu, do wielkiego rozgrzanego piekarnika. Rzucam się na posłanie, zamykam oczy i tracę przytomność, uduszony pustynnym upałem.

Trzecia informacja: Współczesne wyobrażenia na temat struktury wszechświata zostały oparte na rozumowaniu, które po raz pierwszy zawarto w teorii Kaluzy-Kleina. Matematyczny opis kolejnych oddziaływań wymagał wprowadzenia wyższych wymiarów przestrzennych. W zależności od użytego języka opisu, a także od celu obliczeń, liczba postulowanych wymiarów czasoprzestrzeni wahała się od pierwotnych pięciu – aż do dwudziestu sześciu wymiarów.

Czwarta informacja: Stan splątania kwantowego dwóch cząstek, który według badaczy miał dowodzić istnienia mostu Einsteina-Rosena lub piątego wymiaru czasoprzestrzeni, w rzeczywistości dowodzi czegoś wręcz przeciwnego. Na

fundamentalnym poziomie wszechświat jest bezwymiarowy. To, czego ludzie doświadczają jako wymiaru przestrzennego, jest bowiem jedynie efektem szczególnie symetrycznego działania sił.

Piąta informacja: W bezwymiarowym wszechświecie wszystko „dzieje się” równocześnie. Upływ czasu jest złudzeniem obserwatora, który aktem obserwacji determinuje stany kwantowe. Inaczej mówiąc, przeszłość i przyszłość są efektem splątania kwantowego.

* * *

Ester chce, żebym oszalał. Ale po co jej przekaźnik, który inni uznają za zepsuty?

Po cholere zgniotła mózg doktora Winehouse'a, a teraz wstrzykuje we śnie truciznę mnie? Od tej wiedzy, do której nie doszedłem krok po kroku, lecz odczułem nagle całym sobą, dostałem drgawek i potwornych torsji. Eteryczne tablice, zapisane gęsto symbolami matematycznymi, zatrzymały mi na chwilę serce. Odgłos krztuszącego się człowieka, który dobiegł uszu moich kumpli, prawdopodobnie uratował mi życie.

Wyciągają mnie na zewnątrz, zarzyganego, z trudem łapiącego oddech. Nie widzę ich, chociaż uchylam powieki. Słońce stoi w zenicie, ale moje źrenice wypala inny blask, wirujące błękitne płatki. Głowa pęka od rosnącego ciśnienia; chwytam się za oczy, żeby mi nie wypłynęły. I krzyczę z całych sił, chociaż z ust wydobywa się jęk.

Docierają do mnie pierwsze słowa:

— Markus, co się dzieje?! Po co wlałeś do namiotu?

— Markus, sukinsynu, ocknij się!

— Szefie?

Patrzę na nich, tym razem naprawdę. Widzę pochylonych nad sobą żołnierzy z mojego plutonu. Chłopaki z drużyny otaczają mnie ciasnym kręgiem, ale dostrzegam też Usila, Normana i jeszcze kilku kolegów, którzy akurat byli w pobliżu.

Rozwielitka trzęsie się wyraźnie, powtarzając „Szefie, szefie” i łapiąc się za głowę, jakby nie mieściło się w niej, że mogę skończyć jak Eldon, Inka i inni, dotknięci zespołem Cotarda. Ballard jest bardziej konkretny. Podaje mi butelkę wody, którą obmywam sobie twarz, a potem piję długimi łykami. Słyszę, jak Puric usiłuje wyjaśnić Goli i Sewerinowi, co się stało. Powstaje z tego niezłe zbiegowisko.

Gola roztrąca zgromadzonych i pomaga mi usiąść w cieniu zadaszenia, które zbiliśmy niedawno z kilku desek i pokryliśmy brezentem. Opieram się o SOM i patrzę przed siebie. Na środku placu wiatr podrywa w górę drobiny pyłu, tworząc z nich miniaturową trąbę powietrzną. Czuję, jakbym wyszedł z ciała i obserwował wszystko z boku. Może za chwilę zapomnę, że żyję, i też trafię do szpitala polowego?

— Już lepiej — uspokajam Golę. — To tylko upał i zmęczenie, panie sierżancie.

— Obaj wiemy, że nie tylko — odpowiada. — Zaraz zaprowadzę cię do doktor Sauber. A kiedy się pozbierasz, złożysz raport kapitanowi Beckowi. Powiesz mu jeszcze

dzisiaj wszystko, co wiesz. Musisz się pospieszyć — przerywa na chwilę.

— Zanim oszaleję?

— Nie, Markus. Zanim to pieprzone gówno zabije nas wszystkich.

Czuję ulgę, myśląc o spotkaniu z dowódcą kompanii. Czekam na tę spowiedź od wielu tygodni. Niech wreszcie przełożeni nazwą mnie wariatem i aresztują za poszukiwanie prawdy albo zaczną działać i zwiększą szansę na przetrwanie. Jestem gotów spełnić prośbę Goli i wyznać wszystkie grzechy. Zrobiłem rachunek sumienia.

Sobota, 2 lipca, godz. 10.00

Podporucznik Jang otwiera drzwi do pokoju kapitana Becka. Zostałem wezwany po raz drugi, po czwartkowym raporcie, który trwał ponad trzy godziny. Spodziewam się czegoś w rodzaju wyroku, bo szef kompanii nie komentował wcześniej moich zeznań. Jang i Ostin notowali wszystko na dwie ręce. Kapitan również, od czasu do czasu, zapisywał coś w skórzanym notatniku, ale głównie zadawał pytania.

W pierwszym przesłuchaniu nie brał udziału major Wilmots. Porucznik Muller również był nieobecny, bo ktoś musiał pełnić służbę oficera dyżurnego. Mikel Beck doskonale zdaje sobie sprawę, kto działa na żołnierzy jak knebel. Dzisiaj też ich nie ma, a zamiast obu poruczników przy biurku siedzi kapitan Linda Sauber. Uśmiecha się na powitanie.

Salutuję oficerom i staję niepewnie na środku pokoju.

— Spocznij, kapralu — mówi Beck. — Zajmij miejsce na krześle.

— Tak jest, panie kapitanie.

— Robert, musisz dopilnować, żeby nikt nam nie przeszkadzał — zwraca się do Janga. — Postaw kogoś przed drzwiami.

— Tak jest. Zaraz się tym zajmę.

Podporucznik wychodzi, a ja splatam mocno dłonie i zaciskam zęby ze zdenerwowania. Gola przekonywał mnie wczoraj, że wszystko będzie dobrze. Kazał czekać cierpliwie na wezwanie i odpocząć w miarę możliwości, ale czuję się jak przestępca. Nawet bardziej, niż siedząc twarzą w twarz z Wilmotsem, bo wtedy wszystko przesłaniała wściekłość.

— Wiesz, że nadal nie mogę tego zaakceptować? — kapitan Beck patrzy na doktor Sauber, kończąc jakąś myśl. — Nie mam pojęcia, jak to nazwać.

— Nazwij to, jak chcesz, Mikel — odpowiada spokojnie pani kapitan. — Niech to będzie kobieca intuicja, ale wolałabym, żebyś uznał tę decyzję za przejaw doświadczenia. Służymy oboje już ponad dwadzieścia lat i musimy zaufać oficerskiemu węchowi.

— Nie jestem służbistą, Linda, ale muszą być jakieś granice.

Dowódca kompanii macha ręką z rezygnacją, a ja przysłuchuję się rozmowie i wodzę wzrokiem od jednej osoby do drugiej. Muszę mieć wyraz twarzy człowieka, który słucha obcego języka i chociaż rozumie wyrazy, nie pojmuje całych zdań.

— No dobrze, kapralu — odzywa się po chwili Beck. — Podsumuję dzisiaj twój czwartkowy raport. Musisz wiedzieć, że gdybyśmy działali w warunkach pokoju albo w bardziej standardowej sytuacji, wyciągnąłbym wobec ciebie surowe konsekwencje. Mam na myśli szczególnie zabieg wszczepienia elektrody. Rozumiesz, że ukrywając ten fakt, popełniłeś przestępstwo?

— Tak, panie kapitanie.

— Nikt przy zdrowych zmysłach nie dopuściłby cię do służby w armii, a szczególnie w SSARR. Pani kapitan powiedziała mi, jaki wpływ na twoją kondycję psychiczną i fizyczną może mieć zwykły zakłócacz min homeostatycznych. — Kładzie metaliczne pudełko na stole. — Mamy tutaj, zupełnie przypadkowo, jedno takie urządzenie.

Wyciągam przed siebie rękę w obronnym geście. Oczy rozszerzają się z przerażenia. Nie spodziewałem się tortur. Nie mogę przechodzić przez to jeszcze raz! Patrzę błagalnie w stronę Lindy Sauber i jestem gotów poderwać się, uciec z pieprzonego pokoju.

— Nie, kapralu, nie będę go używał. — Kapitan odsuwa zakłócacz. — Popełniłeś błąd i powinieneś ponieść karę, ale znajduję też wiele okoliczności łagodzących. — Sięga do swojego notatnika. — Od początku misji byłeś dwukrotnie ranny: osiemnastego lutego w Harmanie oraz czwartego kwietnia w miejscowości Kumisz. Zostałeś również wyróżniony za udział w misji „Jukka”, za zapobieżenie stratom na targowisku oraz w miejscowości Kardam. To wszystko robi wrażenie i biorę to pod uwagę.

— Dziękuję, panie kapitanie. Ja naprawdę chciałem służyć w armii. To jest dla mnie bardzo ważne, jedyne wyjście z sytuacji.

— Wierzę ci, Markus, ale nie przerywaj. — Mikel Beck pozwala sobie na uśmiech. — Po powrocie do Harmanu poinformuję dowódcę batalionu o twoim stanie zdrowia i popełnionym przestępstwie, ale zawniosuję o niewymierzanie kary. Jeśli przejdziesz pomyślnie badania, będziesz mógł służyć dalej na terenie Republiki Rammy.

A więc tak wygląda wyrok? Nie wrócę już do Remarku?

Ten rozdział życia zostanie zamknięty, a ja znowu będę szkolił chłopaków z biednych zaszcanych podwórek na żołnierzy obrony terytorialnej. To naprawdę świetny plan, który jednak nie uwzględnia pewnego drobiazgu – my nie wrócimy nigdy do Harmanu i major Giggs nie dowie się o ukryciu elektrody w mojej czaszce.

— Jesteś pewien, Mikel, tej decyzji? — pyta kapitan Sauber.

— Tak, Linda! Jestem pewien — ucina niespodziewanie ostro Beck. — Mamy jeszcze do pomówienia w tej sprawie.

— Chętnie z tobą porozmawiam. — Pani doktor jest twarda jak stal.

— Bardzo się cieszę — ironizuje dowódca. — A teraz przejdźmy, kapralu, do najważniejszego, czyli złożonego przez ciebie raportu. — Zerka do notesu, potem patrzy mi głęboko w oczy. — Sposoby pozyskania informacji moim zdaniem nie kolidują z regulaminem. Znacznie istotniejszy jest podział na to, co zostało potwierdzone przez inne osoby, oraz na „fakty” znane wyłącznie tobie. Do pierwszej kategorii zaliczam prowadzone tu badania, zaginięcia ludzi w pobliżu Otorten i wycofanie się sojuszników

z Distortion. Obiektywne są też anomalie elektromagnetyczne oraz ich negatywny wpływ na zdrowie ludzi. Nawet jeśli nie znamy przyczyny tych zjawisk, widzimy codziennie ich skutki. — Przekłada kartkę w notesie. — Do drugiej kategorii zaliczam rewelacje na temat obiektu znajdującego się pod ziemią, metalicznego głosu, który słyszysz, jak również tajemniczego celu, w którym zostaliśmy tu ściągnięci. Nadal twierdzisz, że głos o imieniu Ester poinformował cię, że ma dla nas specjalne zadanie? I że właśnie nas do niego przygotowuje?

— Tak jest, panie kapitanie.

— Zdajesz sobie sprawę, jak to brzmi? Wiesz, że takie urojenia to symptomy schizofrenii paranoidalnej? „Urojenia” to doprawdy delikatne określenie.

— Zdaję sobie sprawę, panie kapitanie. Właśnie dlatego tak trudno przekazać dowództwu te rzeczy. Trzymałem je w tajemnicy, żeby nie wyjść na wariata i nie zostać odesłany do kraju.

— Gdybyś porozmawiał z tym fizykiem, Bernardem Winehouse’em, w obecności któregoś z kolegów, gdyby Ballard albo Werner usłyszeli chociaż część z tego, co nam przekazałeś, może byłoby inaczej. Niestety, wnioski, które wynikają z tej rozmowy, a tym bardziej rewelacje przekazane ci przez „głos”, muszę uznać za niewiarygodne.

— Ale panie kapitanie, one są najważniejsze! — podrywam się gwałtownie.

— Pół tonu ciszej — mówi Beck. — Myślę, że wyraziłem się jasno. Zbadamy okolice bazy i wzgórza Otorten oraz spróbujemy przeciwdziałać negatywnym skutkom anomalii. Jeśli będzie trzeba, w ostateczności opuścimy placówkę. Ale nie mogę podejmować decyzji na podstawie urojeń.

— Panie kapitanie, za pozwoleniem, Ester nie da nam opuścić tego miejsca. Jesteśmy jej potrzebni do czegoś, co uważa za szczególnie ważne.

— Szczerze w to wątpię, kapralu. Jak do tej pory poruszamy się swobodnie po pustyni. — Kapitan Beck kręci głową z dezaprobatą. — Jeśli chodzi o twoją osobę, wydałem rozkaz o odsunięciu cię od działań bojowych aż do odwołania. Masz przenieść się z koszar na obserwację do szpitala. Pani kapitan będzie mi zdawać codziennie raporty o twoim stanie zdrowia.

— A jeśli udowodnię, że mówię prawdę?

— Uważam tę rozmowę za zakończoną. Możesz odejść.

— Panie kapitanie, a jeśli to udowodnię?!

— Odmaszerować!

Poniedziałek, 4 lipca, godz. 12.05

Siedzę przed namiotem, pod znajomym zadaszeniem z desek i brezentu, gdzie dwa dni temu cucił mnie sierżant. Czyszczę broń, dziękując w duchu porucznikowi Ostinowi, który wstawił się za mną i wynegocjował u kapitana łagodniejszy wymiar kary. Nie muszę siedzieć w szpitalu, tylko dwa razy dziennie stawiać się u doktor Sauber.

Niewielki z tego pożytek, bo nawet nie miałem okazji zobaczyć się z Nemi. Wczoraj i dzisiaj była na patrolach właśnie wtedy, gdy pani kapitan wyznaczyła mi wizytę. Ale i tak jestem wdzięczny Ostinowi. Zrobił dla mnie wszystko, co mógł. I powinienem odszczekać każde głupie zdanie wypowiedziane na jego temat.

Ktoś przesłania mi słońce. Kapral Born z Drugiego plutonu patrzy w skupieniu na posuwiste ruchy ścierką. I jak zwykle straszy szczerbą po wybitych zębach.

— A ty co, Markus? Wzięłeś urlop? — pyta, przypalając papierosa.

— Przymusowy urlop — mówię ze złością, kombinując jednocześnie, jaką opowieść mu sprzedać. — Problemy z krążeniem. Ciśnienie skacze mi w tym upale.

— No, to masz szczęście. Nie musisz się narażać za murami.

— W dupie mam takie szczęście. Poczęstuj mnie lepiej papierosem.

— Przy problemach z ciśnieniem?! — dziwi się bardzo głośno.

— Poczęstuj, Jonas. Biorę zajebiste leki.

Potem kapral Born opowiada o planowanym wyjeździe. Kapitan Beck ustalił z Mullerem, że porucznik weźmie trzydziestu żołnierzy i przebije się do Trygelu. Łączność zdechła nam tak bardzo, że potrzebujemy pomocy tamtejszego garnizonu. Niewiele większego niż nasza placówka, ale za to znacznie lepiej wyposażonego. W tej wycieczce ma wziąć udział cały pluton sierżanta Krella i dwie drużyny od sierżanta Zemka. Jonas Born, który dowodzi Jedyneką, oraz sam sierżant, który objął Trójkę po Olegu Eldonie, zostają w Distortion. Kapral nie jest z tego powodu szczęśliwy.

Już widzi oczami wyobraźni prawdziwą łazienkę i łóżko w chłodnym budynku, gdzie mógłby przespać chociaż jedną noc. Marzy mu się zimne piwo, że o porządnym obiedzie nie wspomnę. Nie podzielam jednak jego żalu. I nie zazdroszczę chłopakom, którzy dostąpili wątpliwego zaszczytu uczestniczenia w wyprawie.

Po pierwsze, mogą ich przegonić jednego dnia, tam i z powrotem. Wyposażyc w niezbędne urządzenia i kazać wracać do Distortion. To około pięćdziesięciu kilometrów w jedną stronę. Da się spokojnie wrócić przed zmierzchem, jeśli wyruszy się odpowiednio wcześniej. Po drugie, trzydziestoosobowy oddział, chociaż niemały, może skłonić partyzantów do ataku. Gdyby kilka grup połączyło siły, zasadzka mogłaby się udać. Kiedy mówię o tym Jonasowi, jego zapał do wyjazdu wyraźnie maleje.

A nie mówię mu najważniejszego: Ester szepcze mi do ucha, że jeśli nasi ludzie opuszczą Distortion, zabije ich, co do jednego. I nie będzie to lekka śmierć. Mam przekazać tę informację dowództwu i powstrzymać wymarsz. Z tej perspektywy atak rebeliantów wydaje się nieistotny. Głos dochodzący z podziemia nie ma w zwyczaju żartować.

* * *

Ostin wygląda na zagubionego chyba nawet bardziej od Goli. Nie potrafię ich przekonać, że oddział Mullera nie powinien jechać po pomoc. Nie potrafię zmienić ich

decyzji, bo zostałem oficjalnie uznany za wariata. A może również dlatego, że nie jestem pewien swoich słów. Mogłem źle zrozumieć metaliczną dziwkę. Szept Ester był niewyraźny, przebijał się ledwie przez szum.

— W jaki sposób miałyby ich zabić? — pyta porucznik.

— Mogłaby ich spalić — ryzykuję. — Z jakiegoś powodu chce nas tu zatrzymać, panie poruczniku, i nie pozwoli na ucieczkę tylu osób.

— To nie jest ucieczka, Markus. — Ostin rozkłada ręce. — Oddział rusza jutro rano i wraca do placówki najpóźniej pojutrze. Przykro mi, ale twoja teoria nie ma sensu.

— Już mu to mówiłem — wtrąca sierżant. — Ale nie przyjmuje argumentów.

— W takim razie może chodzić o naprawienie łączności lub o przekazanie innym, co się tutaj dzieje. Nie wymagajcie ode mnie, żebym znał intencje potwora!

W przesiąkniętej wonią tłuszczu stołówce rozlega się brzęczenie muchy.

— Twój stan się chyba pogarsza — mówi z troską Ostin.

— Przepraszam, panie poruczniku. — Wstaję od stołu i robię krok w kierunku drzwi.
— Czy mogę się odmeldować?

— Jesteś wolny, Markus. Idź, odpocznij trochę.

Oto moja nagroda za szczerość – drżenie głosu zmartwionego porucznika i posępne spojrzenie sierżanta. Ale ja nie potrzebuję ich współczucia. Nie nade mną powinni się teraz litować. Myślę o chłopakach, których szef kompanii wysyła na misję: o sierżancie Krellu, kapralu Heinzem, szeregowym Satcie i o innych niedomytych twarzach, które znam. Nie potrafię pogodzić się z myślą, że wieczorem zobaczę ich ostatni raz.

Bezradność to pierwszy stopień do piekła.

* * *

Pod ścianą budynku czekają chłopaki z drużyny. Okrążają swojego upośledzonego dowódcę, żeby spytać o wynik rozmowy. Próbują mnie chyba pocieszać. Podobno Gola oświadczył Ostinowi na dzisiejszym patrolu, że nie pojedzie więcej na akcję beze mnie. Zrobił to zaraz po tym, jak wlaźł centralnie z dwiema drużynami na uzbrojony oddział w Palat Gorga. O zajściu dowiedziałem się godzinę temu, kiedy pluton wrócił z akcji, ale po raz pierwszy mówią mi o prośbie sierżanta.

— Czy ty na pewno nie zmyślasz, Chris? — pytam ostrożnie.

— Po co miałbym zmyślać? — dziwi się Ballard.

— Nie, szefie, ja też to słyszałem — potakuje Dafny. — Weszliśmy na podwórko, gdzie w budynku gospodarczym zaczął się trzech gości. Coś błysnęło w oknie, więc krzyknąłem „Padnij!”. Wtedy nad naszymi głowami przeleciała seria z karabinu. Usil i Gola poprowadzili nas prosto w pułapkę.

— Nie mogę was tak zostawić. No nie mogę, kurwa mać!

— Elegancko ich wystrzelaliśmy — odzywa się Puric.

— Zobaczycie, Gola przekona Ostina. — Chris mówi to z pewnością w głosie.

— Porucznik powiedział przed chwilą, że mój stan się pogarsza. — Aż zgrzytam zębami ze złości. — Ja pierdołę!

— On tylko tak świruje. — Gaus potrząsa głową. — Nie jest głupi.

— Właśnie tak. — Ballard przeczesuje blond czuprynę i uśmiecha się szeroko. — Ostin i Gola znają się już tyle czasu, że mają swoje porachunki. Myślę, że porucznik gra teraz sierżantowi na nerwach. Ale wie, że musisz z nami jeździć, Markus.

— A kapitan?

— Ostin to strasznie uparty skurwysyn.

Patrzę na swoją drużynę i cieszę się, że mam takich ludzi.

Wtorek, 5 lipca, godz. 7.35

Pałac Gorga, pustynia Saladh, południowy Remark

Trudno w to uwierzyć, ale Ballard naprawdę miał rację. Ostin zabrał mnie dzisiaj na patrol bez żadnego wyjaśnienia, jakby to było oczywiste. Chris powinien pracować w dziale analiz jakiejś korporacji, a nie uganiać się z karabinem za dzikusami z Remarku. Jedynie niechęć do rodzaju ludzkiego i chora fantazja sprowadziły go na manowce.

Oddział Mullera wyjechał kilka minut wcześniej na południowy wschód. Dwa cerastesy i jedna metka z ludźmi i uszkodzonym sprzętem. My udaliśmy się w przeciwnym kierunku. Osiem skorpionów – plutony Pierwszy i Trzeci w pełnym składzie, jeśli nie liczyć leżącego w szpitalu szeregowego Inki, zabitego kaprala Bernsteina oraz dezertera Lista. Sewerin nie dostał uzupełnień za obu kaprali, więc podzielił ludzi pomiędzy Mastalika i Sottera.

Nasze wojska odwiedzają znowu Pałac Gorga. Po wczorajszej strzelaninie, w której uczestniczył tylko PSR, kapitan Beck wysłał dwukrotnie większe siły. Chce, żeby mieszkańcy wioski dobrze zapamiętali naszą obecność. A przede wszystkim zamierza odwrócić uwagę partyzantów od Mullera i jego misji.

Mamy narobić hałasu, więc sumiennie wypełniamy zadanie. Ustawiamy po cztery wozy na obu krańcach wioski, zostawiamy strzelców na wieżyczkach i wbiegamy pomiędzy budynki. Puric pokazuje mi podwórko, gdzie wczoraj doszło do strzelaniny. Nic szczególnego: zwykłe klepisko ze studnią pośrodku, stadkiem kur i psem łańcuchowym. Mieszkańcy uciekają w panice do domów, kiedy idziemy ulicą.

Dwie drużyny wygarniają maruderów na środek. Porucznik rozkazuje oddać kilka salw w powietrze, a potem spalić budynek, w którym ukrywali się partyzanci. Gaus czeka cierpliwie z dwoma dwudziestolitrowymi kanistrami przed ogrodzeniem posesji.

Zanim wykonamy egzekucję, ludzie Sottera spędzają na skwerek naprzeciwko pechowego domu kilkanaście osób złapanych po drodze i starszego wioski. Rozlegają się krzyki i zawodzenie kobiet. Grupka dzieci przeskakuje przez płot po drugiej stronie ulicy i znika za rogiem budynku. Gola i Sewerin drą się na Rabo Lamadę, tutejszego „sołtysa”, a ja każę chłopakom obserwować otoczenie; mają nie dopuścić, żeby ktoś zaatakował

Gausa. Wiem, że Rozwielitka śledzi nas przez lunetę z wieżyczki skorpiona, i to dodaje mi otuchy. Pozwala skupić się na innych rzeczach.

Od opuszczenia pojazdów kontroluję, gdzie znajduje się Nemi. Teraz stoi przy poruczniku Ostinie i tłumaczy starszyźnie, przekrzykując tłum i obu sierżantów, dlaczego musimy spalić ten budynek. Ależ ci ludzie muszą nas nienawidzić! A jeszcze bardziej tłumaczkę, która nam pomaga.

Przeciskam się w ich kierunku. Czuję, jak głowa pulsuje od otaczających mnie dźwięków, od słów splecionych w powietrzu i nasączonych histerią. Mam wrażenie, że wewnątrz czaszki wrzask stopniowo rośnie, choć na zewnątrz nie wydaje się głośniejszy.

Po chwili już wiem, że muszę przepchać się do Nemi.

— Posłuchaj, stało się coś dziwnego.

Dziewczyna odwraca się do mnie. Drobną twarz spocona z wysiłku, ciemne rozbiegane oczy. Chyba próbuje skupić na mnie wzrok, ale nie wychodzi jej to najlepiej.

— Markus, nie mogę teraz.

— Nemi, nie wiem, jak to jest możliwe, ale rozumiem tych ludzi. Rozumiem, co do ciebie mówią. Starszy wioski wykrzykiwał właśnie, że jesteśmy bandytami, i doskonale to rozumiałem. Jakby jakiś kanał otworzył się w mojej głowie.

— Przestań, proszę. Mogłeś się łatwo domyślić. A poza tym większość z tego powtarzam zaraz porucznikowi. Raczej głośno.

— Nie, to nie to. — Patrzę jej w oczy. — Powiedz do mnie coś po armajsku.

Wypowiada kilka chrapliwych wyrazów, które nie pasują do różowych ust.

— No i? — pyta ze zniecierpliwieniem w głosie.

— Powiedziałaś, że w tej wiosce śmierdzi. I że jest ci przykro, że zapomniałem o jakimś święcie. Ale nie rozumiałem o jakim.

Otwiera oczy ze zdumienia.

— Mam rację, prawda?

— Tak. — Przełyka ślinę. — Zapomniałeś o moich urodzinach.

— Przepraszam cię, Nemi.

Wracam do chłopaków, zataczając się lekko. Na mój znak Gaus, Ballard i Puric wchodzą na podwórko. Idę za nimi, obserwując uważnie otoczenie, a za mną kroczy Werner ze swoimi ludźmi. Przecinamy zafajdany kurzymi odchodami placyk i zatrzymujemy się przy parterowej komórce, wykonanej częściowo z białego kamienia, a częściowo z byle czego, czyli z desek, blachy, a nawet ze zwiniętych ciasno szmat. Będzie się to wszystko idealnie palić.

Gaus oblewa przednią i boczne ściany paliwem. Bez żadnego wysiłku macha ciężkim pojemnikiem. W tym czasie Puric i Ballard zaglądają do środka, żeby sprawdzić, czy nie zawieruszył się tam jakiś dzieciak, chory pies, ciężarna kobieta lub brodaty terrorysta z karabinem w dłoni. Wokół rośnie wrzawa, ludzie protestują przeciw podpaleniu budy. Z budynku mieszkalnego wybiega stara kobieta w czarnej chuście na głowie, ubrana w czarną suknię. Rzuca się na ziemię, dopada do nóg Wenera i zaczyna wyć nieludzkim

głosem.

— Oni przyszli, oni kazali się ukryć! — krzyczy histerycznie. — Panowie, nie krzywdźcie nas za nich. Nie krzywdźcie rodziny Josefa! My biedni, my umrzemy z głodu. Błagam was, dobrzy panowie. Nie krzywdźcie nas więcej.

Rozumiem każde słowo, które wypływa z jej ust.

Kilka metrów dalej za oszalałą kobietą stoi pomarszczony starzec – pewnie Josef, jej mąż. Spogląda w milczeniu na szopę, którą ochrzciliśmy śmierdzącą substancją. Olej ścieka nawet z dziurawego dachu. Potem gospodarz przenosi wzrok na nas.

— Daj spokój, Mala. Daj spokój — mówi cicho, lecz zdecydowanie. — Niech Hades pochłonie te przekłete demony i cały ich rodzaj.

— Nie róbcie tego, panowie. Nie róbcie! — drze się kobieta.

Zaraz pęknie mi głowa. Aż zamykam na chwilę powieki.

— Podpalaj! — wydaję rozkaz Puricowi.

Werner patrzy na staruszkę, która ścisza jego buty, i odkopuje jej ręce. Daniel pstryka zapalniczką. Ogień szybko obejmuje prowizoryczną pochodnię, wykonaną z pręta i szmaty do wycierania rąk. Teraz trzeba tylko przyłożyć ją w kilka miejsc.

Słup gęstego dymu bucha w niebo. Po chwili Ballard trąca mnie w ramię i wskazuje na czerwoną racę, wystrzeloną od strony Distortion. Ktoś daje nam sygnał do powrotu, więc biegniemy do swoich pojazdów. Mamy do pokonania około sześciu kilometrów. Musimy pamiętać, że w bazie zostało niecałe trzydzieści osób, wliczając w to personel szpitala oraz chorych, którymi się opiekuje.

* * *

Partyzanci zaatakowali placówkę od strony wzgórza Otorten, co nie wróży zbyt dobrze oddziałowi Mullera. Łącznie cztery pick-upy, którymi przywieźli dwa lekkie moździerze, kaliber 60 mm. Sukinsyny, oddali już kilka salw, żeby się wstrzelić w Distortion, zanim nadciągnęliśmy z północy. Ogień z ośmiu karabinów maszynowych, zamontowanych na skorpionach, zadziałał jednak jak tsunami. Porzucili uszkodzony pojazd oraz trzech zabitych towarzyszy. Nie zdążyli też uratować moździerzy.

Zgarnęliśmy je razem z metalową skrzynią amunicji. Potem, wyjąc z radości, podpaliliśmy samochód i ciała rebeliantów. Nie kontynuowaliśmy pościgu, ponieważ Ostin wydał rozkaz, żeby wracać za mury. Starcie trwało może z dziesięć minut, nie więcej.

Po naszej stronie tylko starszy szeregowy Pattel z drużyny Mastalika został draśnięty w ramię. Wygląda jednak bardziej na dumnego z powierzchownej rany niż przerażonego. Adrenalina ciągle buzuje we krwi. To właśnie Wiktor załatwił ze swojego MG2 dwóch Remarczyków i rozwalił ich pick-upa. Trzeci gnojek dostał od kogoś innego, ale za to umarł efektownie. Pocisk urwał mu żuchwę.

Wywiad Wojskowy z pewnością chciałby, żebyśmy ich dokładnie przeszukali albo

przywieźli zwłoki do bazy, ale mamy w dupie majora Wilmotsa. Wojenne zobojętnienie dotknęło już prawie wszystkich. Nie sądzę, żeby moi koledzy zastanawiali się długo nad spalonym budynkiem w Palat Gorga albo losem zrozpaczonej kobiety. Rammański rząd i dowództwo SSARR nie zadbały o przekonanie tubylców do misji stabilizacyjnej, dlatego Armajowie i Remarczycy zaczęli sprzyjać partyzantom i stali się naszymi wrogami.

* * *

Po powrocie, po obowiązkowej wizycie u doktor Sauber, spotykam się wreszcie z Nemi. A właściwie z całą grupą spiskowców: z Nemi, Adamem i Chrisem, jak za starych dobrych czasów w Bazie Erde, gdy staraliśmy się dowiedzieć czegoś o Distortion.

Stoimy w cieniu, pomiędzy ścianą szpitala a SOM-em, przekazując sobie blanta, skręconego z tytoniu i trawy. Tematem dnia, że się tak wyrażę, nie są wydarzenia w wiosce ani starcie z rebeliantami, lecz mój nagły przypływ zdolności lingwistycznych.

Werner jest sceptyczny, jak zwykle. Sugeruje, żeby przeprowadzić test, więc Ballard wyciąga z kieszeni kamizelki kartkę i ogryzek ołówka i podaje Adamowi. Sprawdzian wygląda w ten sposób, że Werner pisze na kartce krótkie zdania po rammańsku i pokazuje je Nemi. Dziewczyna tłumaczy tekst na armajski, a ja mam powiedzieć, co zrozumiałem.

Nie mylę się prawie wcale. Ostatnie zdanie brzmi: „Chciałbym być wielkim orłem i nasrać na wzgórze Otorten”. Tłumacząc je, Nemi zaśmiewa się do łez.

— Naprawdę, chciałbyś być srającym orłem? — pyta Chris poważnym tonem.

— Kurwa mać, wiesz, o co mi chodziło — mówi Adam. — Chciałem wymyślić coś, czego Markus za cholere nie zgadnie.

— Brawo, pięknie wymyśliłeś! — śmieje się Nemi.

— Czy wreszcie dotarło do ciebie, że nie kłamię? — zadaję to pytanie już odrobinę poirytowany. — Ester musiała załadować mi do mózgu słownik. Nie mam pojęcia, w jaki sposób. Coś pamiętam, jakbym się modlił w nocy, odmawiał litanie, ale zorientowałem się dopiero w Palat Gorga. Sprawdziliśmy jeszcze z Nemi, że nie rozumiem klasycznego remarskiego, lecz właśnie armajski.

Werner opiera się plecami o mur.

— Dobrze, Markus, więc nie traćmy czasu i nie wymyślajmy, jak to zrobiła. Najważniejsze pytanie, jaki miała w tym cel.

— Nie wiem, Adam, naprawdę. — Kręcę głową. — Ale ona niczego nie robi przypadkowo. To jest inteligentna maszyna, tak sądzę.

— I naprawdę powiedziała ci, że zabije oddział Mullera? — dopytuje Werner.

— Naprawdę.

Myślę o tym, że Raul Kempes pojechał z oddziałem Mullera do Trygelu. Tylko Nemi

została w Distortion. Może dlatego Ester wyhodowała kolejnego tłumacza? A może to zwykły przypadek, skutek uboczny innej operacji, o której nie mamy pojęcia.

* * *

Dwie godziny później dowódca bazy zarządza, żeby zwiad wystrzelił sokoły, a PSR wyjechał naprzeciw ludziom Mullera. A właściwie – naprzeciw niewidzialnym duchom, pobożnym życzeniom kapitana Becka. Dziwnie tak stać nieruchomo pośrodku drogi, mieć za plecami Otorten i gapić się na południe, skąd powinni nadjechać koledzy.

Znajdujemy się blisko miejsca, gdzie pięć dni temu udaremniliśmy zamach, zabijając terrorystów i łapiąc dwóch kierowców. Wygląda na to, że facet, który prowadził osobowego japończyka, pochodził z Kumiszu i został wplątany w całą sprawę przez przypadek. Na swoje nieszczęście, przejeżdżał tamtędy i zobaczył zepsutego busa. Musiał się dziwić, dlaczego czerwony ford nie udzielił mu pomocy, ale zgodził się otworzyć maskę.

Kierowca forda, mieszkaniec Palat Gorga, zdawał sobie sprawę z zagrożenia. Gdyby coś poszło nie tak, posłaliby do Hadesu siebie i swoich kumpli w białym dostawczaku. Dlatego wołał nie podjeżdżać zbyt blisko.

Tylko tyle udało się dowiedzieć od porucznika Ostina, który właśnie wydaje nam rozkaz powrotu. Zmęczeni godzinnym sterczeniem na drodze i ugotowani z gorąca, wracamy wreszcie do koszar. Nasi dowódcy muszą się pogodzić z tym, że drużyny wysłane do Trygelu nie wrócą dzisiaj do Distortion. Zapada noc i nikt przy zdrowych zmysłach nie będzie podróżował po ciemku. Słyszę, jak Ostin i Jang rozmawiają na placu, i wyczuwam zdenerwowanie.

Rozdział trzeci

Czwartek, 7 lipca, godz. 9.15

Wysunięta Placówka Distortion, pustynia Saladh, południowy Remark

„*La sale guerre*”. Tak komuniści z Księstwa Marsylii nazywali wojnę w Remarku, którą toczyliśmy pięć lat temu z Gottanami. Po francusku, synku, znaczy to „brudna wojna”. Dopiero Ballard uświadomił mi, że sierżant Gola nie wymyślił tego określenia. Zapożyczył je, pewnie ironicznie, od marsylskich idealistów, którym nie przeszkadzało, że Gottanie też byli komunistami i w imię kolektywnego szczęścia wyrzynali tysiące cywilów. Nie przeszkadzało im również, że sami w przeszłości okupowali Remark i tłumili krwawo każdy bunt.

Trudno w to uwierzyć, ale rammańskie wojska zostały oskarżone w Lidze Narodów przez Marsylską Partię Pracy i Islamską Marselhę o zbrodnie wojenne. Nie wierz, synku, w te brednie, proszę, zrób to dla mnie. Nie wierz, że mordowaliśmy całe wsie współpracujące z Gottanami. Nie słuchaj ludzi, którzy twierdzą, że odgradziliśmy się od zagrożenia minami jądrowymi i że gotowi byliśmy wysadzić w powietrze pół kraju.

Oczywiście, popełniamy błędy i robimy rzeczy, z których nie jesteśmy dumni. To prawda, że dwa dni temu spaliliśmy budynek w odwecie za atak rebeliantów. Pobiliśmy też w wiosce kilka osób, które protestowały zbyt głośno. Ale zaręczam ci, kochany, że gdybyśmy mieli większe wsparcie, traktowalibyśmy tych ludzi z szacunkiem.

Otaczają mnie zwykli mężczyźni, którzy trafili tutaj na rozkaz dowództwa i chcieliby wrócić do domów. Nie wierz w opowieści, że byliśmy potworami. W tym kraju nawet uśmiech przypomina grymas bólu.

* * *

Kończę pisać i wychodzę z boksu. Mijam Larsa Normana w przejściu między „pokojami”. Wraca od swoich chłopaków, a ja idę do swoich, żeby sprawdzić, co u nich słychać. W namiocie panuje niezdrowa atmosfera, jakby zakradła się do nas czarna śmierć. Wczoraj wydarzyły się dwie rzeczy, które wpędziły ludzi w przerażenie.

Około dwunastej trzydzieści, kiedy kuchnia zaczęła wydawać obiad, jeden z pacjentów szpitala, szeregowy Ludwik Donau, wybiegł na plac apelowy, przeciął go na skos i nadział się na metalowy pręt, wystający z budynku dowództwa. Pręt był kiedyś częścią bariereki zabezpieczającej schody i pomimo kilku przymiarek, nie został zdemontowany.

Mam nadzieję, że szeregowy Donau biegł na oślep i nie zauważył przeszkody. Nie chcę wyobrazić sobie stanu, w którym ktoś świadomie przebija się kawałkiem zardzewiałego żelastwa. Metalowy szpikulec wszedł w jego ciało z lewej strony, pomiędzy żebrami, i wyszedł pod łopatką, w pobliżu kręgosłupa. Śmierć nastąpiła szybko, ale nie od razu. Przez chwilę żołnierz charczał i drgał gwałtownie, a po brodzie ściekała mu krew. Widziałem z bliska jego oczy: wywrócone białka, błyszczące szaleństwem.

Druga rzecz, to kolejny przypadek Cotarda. Łóżko Ludwika Donaua nie pozostało puste na długo – mniej więcej dwie godziny po jego zgonie do szpitala trafił jeden z saperów. Po długich poszukiwaniach znaleziono go w magazynie, zagrzebanego pod stertą worków i zaplamionych smarem szmat. Twierdził uparcie, że zginął rano podczas minowania drogi dojazdowej do bazy. Kiedy dwaj sanitariusze prowadzili go do doktor Sauber, bezwiednie oddał moc.

Przez cały wczorajszy dzień czekaliśmy na powrót Mullera i jego ludzi, patrole krążyły wokół Distortion, a obserwatorzy wspinali się na południowe zbocze Otorten, żeby wypatrywać oddziału. Sokoły latały w stronę Trygelu, dwa–trzy kilometry na południe, ale ich operatorzy i żołnierze, którzy weszli na wzgórze, meldowali zgodnie, że nie widać kolumny. Pustynia była martwa i nie chciała ożyć, pomimo wielu modlitw i próśb.

* * *

Tym razem sierżant Gola zabiera tylko dwie drużyny. Jedyńka jedzie pierwsza, Werner zasuwa „dwusetką”, a nasza „dwieście pięćdziesiątka” podąża kilkadziesiąt metrów za nią, utrzymując stały odstęp. Skorpiony skaczą na wybojach, jadąc na północ, w stronę zjazdu z autostrady, skąd dziesięć dni temu odbieraliśmy Wilmotsa. Obliczam wszystko jeszcze raz, dla pewności pytam o datę Ballarda: upłynęło półtora tygodnia, ale obaj mamy wrażenie, jakby to było miesiąc temu. Skrzywione poczucie czasu.

Jeden z dronów zarejestrował zbiegowisko miejscowych w pobliżu autostrady. Kombi i skuter z przyczepką zatrzymały się przy czymś, co kierowcy wypatrzyli na skraju polnej drogi. To raczej nie terroryści. Z samochodu wysypała się cała rodzina, chyba piątka dzieciaków i rodzice, tyle naliczyliśmy na zdjęciu. Facet na małym motocyklu wiózł plastikową beczkę. W takich beczkach mieszkańcy pasterskich osad transportują wodę pitną z większych wiosek zaopatrzonych w studnie.

Zbliżamy się do celu zbyt wolno, żeby ich zaskoczyć. Całe towarzystwo pierzcha na nasz widok. Rodzina znika w samochodzie i skręca w stronę autostrady, a mężczyzna z beczką wykonuje niesamowity piruet. Zawraca prawie w miejscu, by jak najszybciej podążyć za nimi i nie spotkać się przypadkiem z rammańskim patrolem. Nie gonimy ich, nie ma to żadnego sensu. Porucznik kazał nam sprawdzić, co znaleźli, i wracać do bazy.

Skorpiony zatrzymują się przy drodze. Gola każe wysiąść Gausowi i mnie, sam

również opuszcza pojazd. Pozostali mają czekać na rozkazy albo reagować w razie zagrożenia. Kilkanaście metrów dalej widać poruszoną ziemię i jakiś kształt, który z niej wystaje. Po plecach przebiega mi dreszcz. Idę pierwszy.

Ściągam gogle pokryte szarym pyłem. Z piasku sterczy w górę ręka z zakrzywionymi palcami. Jest szerniała, jak gdyby spalona. Ślady ugryzień sprawiają, że rozglądam się po okolicy. Daleko, za wałem z kamieni, krąży mały pustynny lis. Gola i Gaus stoją za mną bez słowa. Jest tak cicho, że niemal słyhać, jak praży nas słońce.

— Remarczycy zobaczyli pewnie, jak zwierzę obgryza trupa — mówi wreszcie Gaus.

— Pieprzony lis. — Sierżant kiwa głową. — Markus, zobacz, czy to nie nasz człowiek.

— Chyba nasz, panie sierżancie. — Widzę strzęp munduru na przedramieniu.

Rozgarniam podeszwą piasek i drobne kamienie w miejscu, gdzie powinna znajdować się głowa. Twarz jest zniekształcona i poparzona jak ręka, aż do częściowego zwęglenia. Nie ma szans, by rozpoznać, do kogo należy. Głowa nadal tkwi w hełmie, pasek zapięty pod brodą.

Teraz, kiedy mam już pewność, że widzę żołnierza, schylam się i z szacunkiem zdejmuję warstwę ziemi z jego piersi. Nie używam nogi i ciężkiego wojskowego buta. Dokopuję się do naszywki. Czytam napis z zaciśniętymi zębami.

— Kapral Mats Heinze — odzywam się wreszcie do swoich towarzyszy.

Wszyscy wiemy, co to oznacza. I chociaż nie mamy pojęcia, co spotkało naszego kolegę, możemy przypuszczać, że misja Mullera zakończyła się tragicznie. Znaleźliśmy jednego z jego ludzi, martwego i zagrzebanego w ziemi, po przeciwnej stronie Distortion, niż należałoby się spodziewać. Nie przychodzi mi do głowy żadne wyjaśnienie oprócz tego, że Ester wywołała u żołnierzy całkowitą dezorientację. Cholera wie, ile czasu krążyli wokół bazy, zanim spotkało ich coś, czego nie potrafię pojąć. A wszystko pod naszym bokiem, niemal na oczach załogi.

— Co robimy, panie sierżancie? — pyta Gaus.

— Musimy zawiadomić porucznika. Zaraz powiem Wernerowi, żeby pojechał do Ostina i zameldował o znalezisku. My zostaniemy tutaj, będziemy pilnować ciała.

— Ja mu powiem — mówię do Goli, wpatrując się w zwłoki kaprała.

Czuję, że muszę opuścić to miejsce. Zrobić chociaż kilka kroków, znaleźć się przy samochodach. Nie patrzeć na usmażonego człowieka.

Rozwielitka, który stoi na wieżycy, robi nam prześwietlone zdjęcie.

* * *

Od ostatniego spotkania w szpitalu Nemi pisze do mnie listy. Chociaż mijamy się każdego dnia, nie mamy czasu porozmawiać, pobyć ze sobą przez chwilę. Dzisiaj do późnego wieczora przeczesywaliśmy pustynię w poszukiwaniu innych trupów, reszty oddziału Mullera. Kiedy wróciliśmy na kolację, zmęczeni i zrezygnowani, powiedziałem

Nemi, że jedyne, co naprawdę czuję, to spuchnięte stopy i policzki, które pieką mnie od słońca. Powiedziałem jej to w drzwiach stołówki, wycierając ręce w brudną szmatę.

Być może ją okłamałem, bo nadal hoduję nienawiść: nienawidzę wszystkiego i wszystkich. A najbardziej nienawidzę siebie – za to, że nie potrafiłem powstrzymać tej rzezi, przekonać dowództwa, by nie wysyłało ludzi do Trygelu. Ta nienawiść jest jak wielki skrzep, czerwony glut tamujący krew w moim ciele. Wyschnięte serce zamiera. Czuję się zupełnie jak maszyna ulepiona z białka, która wykonuje rozkazy wyłącznie z przyzwyczajenia.

Po prowizorycznej kolacji padam na materac. Chciałbym zasnąć i wymazać ten dzień z pamięci, ale nie potrafię. Widok spalonego ciała martwego kaprała Heinzego zjawia się pod powiekami, kiedy tylko próbuję je zamknąć. Kilka razy wywołuję Ester, ale bezskutecznie. Nie mogę więc nawet zapytać, dlaczego to zrobiła i gdzie powinniśmy szukać zaginionych ludzi. Po godzinie wychodzę na zewnątrz.

Palę papierosa i snuję się w cieniu, idąc wzdłuż ogrodzenia. Teoretycznie jest to wbrew regulaminowi, ale nikt nie zwraca sobie głowy takimi rzeczami. W połowie placu mijają mnie dwóch strażników z drużyny Wenera, starszy szeregowy Haller i szeregowy Grimm. Trudno nawet pojąć, jak po całodziennym zapierdolu trzymają się jeszcze na nogach. Rozmawiają o czymś półgłosem, a potem Haller świeci mi latarką prosto w twarz. Osłaniam oczy ręką.

— Przepraszam, Markus, nie poznałem cię z daleka.

— Z naszej trójki, Ernst, tylko mnie nie powinno tu być.

— Niby tak. — Grzebie przez chwilę w kieszeni. — Nemi chyba przewidziała, że będziesz się kręcił, bo dała mi dla ciebie jakąś kartkę. Nie musisz kwitować odbioru.

Dziękuję mu i wracam przed namiot. Każdy liścik, który dostaję od dziewczyny, jest dla mnie jak święto. Czasem wystarcza jej sił tylko na dwa słowa, krótkie „Trzymaj się”. Ale czasem, jak choćby tym razem, pisze kilka zdań, które sprawiają, że otwieram oczy ze zdumienia. Nemi czyta w moich myślach wcale nie gorzej niż Ester.

Nienawiść do siebie jest najgorsza, Markus. Żywe istoty potrzebują ciepła i choćby cienia nadziei. Bo jeśli tego nie mają, czym różnią się od robotów? W jakim celu odczuwają ból i przyjemność? I dlaczego tej umiejętności, odczuwania różnych rzeczy, człowiek nie traci jako dziecko razem z mlecznymi zębami?

Wiem, że czujesz coś więcej niż piekącą skórę i nienawiść do siebie. Jestem tego pewna. I dopóki żyję, istnieje szansa na ukojenie tego bólu, choćby nawet chwilowe. Możesz zamknąć oczy i poczuć to ciepło, które próbuję ci dać.

Można mówić, że życie jest ciężkie i że nie ma już żadnego sensu. Można skarżyć się na wojnę i na decyzje dowództwa. Ale prawdziwe piekło zaczyna się wtedy, gdy nie masz ochrony przed złem, którą daje ci wyłącznie drugi człowiek. Musisz to zrozumieć, Markus. Bo jeśli przestaniesz w to wierzyć, to ja również stracę wiarę. Stracę siłę, żeby odpowiedzieć na pytanie, po jaką cholerę to wszystko?!

No właśnie, Nemi – myślę niewyraźnie – gdybym wiedział, albo chociaż się

domyślał, po jaką cholere żyjemy, byłoby mi znacznie lżej.

Tak bardzo nie chcę cię zawieść.

Piątek, 8 lipca, godz. 2.55

Sen wciąż nie przychodzi. W końcu jednak muszę zasnąć, jeśli chcę mieć choć szansę na kontakt z Ester. Mógłbym zebrać u kapitan Sauber o proszki nasenne, ale po nich ta dziwka nie odezwie się do mnie na pewno.

Patrę nieruchomo na spód materaca, na którym śpi Peter. Leżę, napięty do granic. Gdybym się lekko poruszył, skóra, mięśnie i kości trzasnęłyby w jednej sekundzie. Poce się więc i tylko przewracam oczami. I myślę o dziesiątkach rzeczy: o rodzicach, o synu, o zmarnowanej przeszłości oraz o przyszłości, której nie ma. Myślę o kapralu Heinzem i o kapralu Dreyfussie. Co by się stało, gdyby partyzanci ukrzyżowali go teraz na naszych oczach?

Na pewno, bez względu na straty, zabilibyśmy wszystkich i znieważyli ich zwłoki. Ale czy bylibyśmy zdolni przeżyć jeszcze raz tę wściekłość i rozpacz, które poczuliśmy w Bazie Erde? Czy rozwalilibyśmy krzesła, jak wtedy, gdy oglądaliśmy film z egzekucji? Czyja śmierć jest najstraszniejsza i najbardziej domaga się zemsty?

Jesteśmy jak rzeźnik-weganin. Jak dziwka, która zakochuje się w każdym kliencie.

Jak poeta, który nabrał wstrętu do słów i deklamuje ciszę.

Jesteśmy pozbawieni sensu jak słomkowa wycieraczka przed wejściem do chlewu.

To nie są wesołe myśli. To raczej czarna woda, która przelewa się w głowie, kiedy bardzo chcesz zasnąć, albo traktujesz sen jak obowiązek. I dlatego wiesz, że już za późno na takie przyjemności – będziesz czuwał do świtu.

* * *

Wartę na bramie kończymy przed dziesiątą. Oczy swędzą jak diabli i zamykają się same, kiedy zza wzniesienia wyłaniają się trzy postaci. Wychodzę na drogę i spoglądam przez lornetkę: mężczyźni rozmawiają długo, machając rękami, a potem dwóch tubylców siada w cieniu pagórka, trzeci zaś rusza dalej, w kierunku Distortion.

Po obu stronach posterunku Rozwielitka i Gaus zaciskają dłonie na MUG-ach, a ja kiwam na Purica, żeby ruszył tyłek i stanął ze mną przy pierwszej zaporze.

— To Hawar Saltik — odzywa się Daniel, kiedy mężczyzna podchodzi na odległość dwudziestu metrów. — Starszy wioski z Kumiszu.

— Jesteś pewien?

— Sotter pokazywał mi zdjęcia, które zrobił podczas patrolu. Facet ma charakterystyczną bliznę na policzku i czole. Widać poszarpaną brew.

— Nie możemy iść do niego razem. Myślisz, że się z nim dogadasz?

— Jeśli mówi po remarsku, to pewnie tak.

Każemy mu stanąć przed betonowym krzyżakiem. Puric podchodzi do naszego

gościa, żeby go obszukać. Rozmawiają chwilę i ściskają przedramiona dłońmi. Potrząsają nimi energicznie. Okazuje się, że starszy wioski przyszedł prosić nas o uwolnienie mieszkańca Kumiszu, jednego z kierowców schwytanych w pobliżu Otorten.

Melduję o tym porucznikowi Ostinowi, który dzisiaj pełni służbę dyżurnego. Po kilku minutach zjawia się porucznik Moerstrem i żyłasty Frankie, stary specjals podobny do Frankensteina. Myślę, że Saltikowi na jego widok powinny puścić zwieracze, ale trzyma się dzielnie, kiedy OS-owiec wciska mu na głowę czarny worek. Szmata przypomina pokrowiec na motocyklowy kask, choć z pewnością jest mniej przezroczysta. Żaden cywil nie może zobaczyć, co znajduje się za murami placówki.

W bramie pojawia się Usil ze swoimi ludźmi. Jego warta nie ma regulaminowej obsady, odkąd Olaf Inka trafił do szpitala. Czterech żołnierzy musi wypełnić zadania przeznaczone dla całej drużyny – jeden pójdzie do szoferki kaukaza, dwóch do karabinów maszynowych, a dowódca zajmie pozycję w jednym z gniazd.

— Co to za brudas? — pyta Usil, szeroko ziewając.

Opowiadam mu krótko, kim jest ten żyłasty Armaj i o co nas właśnie poprosił. Ponieważ chłopaki z Czwórki zjawili się wcześniej, mogę pójść za Moerstrem do budynku dowództwa. Po drodze mijam Benesza.

Gapi się na mnie jak cieleń, z zimnym wkurwieniem na twarzy. Może strzyknąłby śliną pod nogi albo zrobił coś równie głupiego, gdyby Gaus nie stanął między nami i nie spojrział na bydlaka z góry. Rozlega się gniewne sapnięcie.

— Masz astmę, ty gruba kurwo? — szepcze Gaus.

— Daj spokój, Vim. — Trącam go w ramię. — Nie zaczepiaj parcha na służbie.

— Zajebałem twoją kotkę, słodziaku — odpowiada również szeptem Benesz. — Przetrąciłem jej łomem kręgosłup.

Czuję, że Gaus sztywnieje nagle, jakby dostał ataku epilepsji. Napina się jak struna. Mam tylko ułamek sekundy, żeby go odciągnąć i powstrzymać.

— On kłamie, Vim. Nie daj się sprowokować.

— Skąd wiesz?! — pyta przez zaciśnięte zęby.

— Sierżant Krell widział całe zajście. Zołzę potrącił samochód.

Specjalnie wybieram Krella. Będzie trudno spytać go o cokolwiek.

— Dlaczego mi nie powiedziałaś, Markus?

— Nie chciałem ci przypominać. — Robię głęboki wdech i wypuszczam powietrze.

— Wiesz, jaka była Zołza, nieufna i szybka jak strzała. Ten wieprz w życiu by jej nie złapał. Przebiegała przez drogę i wpadła pod ciężarówkę, która wiozła gruz.

— Naprawdę? — upewnia się Gaus.

— Naprawdę, stary. Benesz łże jak pies, żeby cię sprowokować.

— On już nie żyje, mówię ci — powtarza, kręcąc głową.

— Załatwisz go później, obiecuję. A teraz odpuść, to nie jest dobry moment.

Gdyby Vim rzucił się przed bramą na Benesza, ten mógłby użyć broni i zastrzelić go bezkarnie. Właśnie zdałem posterunek Usilowi, to jego drużyna pełni wartę. Nie wolno

atakować wartownika, tylko głupiec albo zupełny szaleniec zrobiłby coś takiego.

Rozwielitka i Ballard biorą Gausa w środek. Klepią go po plecach i potwierdzają ochoczo moje kłamstwa. Olbrzym przestaje się rzucać i co jakiś czas powtarza cicho, że „nie podaruje grubej świni”. Jak dla mnie, może go zatłuc choćby tej nocy i zakopać w dole wygrzebanym w piasku. Zrobiłby dobry uczynek. Ktoś mógłby nawet zapytać, dlaczego tacy ludzie jak Heinze albo Dreyfuss umierają, a tacy jak Benesz chodzą po ziemi, prowokując innych.

To pytanie byłoby dowodem wielkiej naiwności i umysłowej skoliozy.

Muszę pędzić, bo porucznik Moerstrem właśnie znika w drzwiach budynku.

* * *

To naprawdę bardzo dziwne: rozumieć słowa wypowiedane w obcym języku. Rozumieć je coraz lepiej, widzieć podskórny nurt znaczeń i uczucia zaplecione w zdania: gorycz, determinację Armaja i słabo skrywaną dumę.

Zostałem dopuszczony do rozmowy porucznika Ostina z Hawarem Saltikiem i korzystam z tego zachłannie. Ale na razie powtarza tylko swoją prośbę i usiłuje przekonać „pana oficera”, że jego sąsiad nie wyrządził nikomu krzywdy. Oni wszyscy, cała osada, są ofiarami tej wojny, może nawet bardziej niż my. Nemi siedzi obok Marcela Ostina i szepcze mu do ucha, co powiedział starszy wioski. Czasem tylko zadaje pytania.

Tłumaczę wszystko sierżantowi, który stoi pod ścianą.

— Oni są ofiarami? — oburza się Gola. — Pierdoleni kolaboranci.

— Ci z Palat Gorga na pewno.

— Wszyscy są tacy sami, Markus. Nie możesz się na chwilę odwrócić, bo wsadzą ci nóż w plecy i jeszcze dwa razy przekręcą.

Porucznik Moerstrem wraca do pokoju z majorem Wilmotsem i kapitanem Beckiem. Robi się naprawdę ciasno, więc kapitan wyprasza wszystkich, z wyjątkiem oficerów oraz dziewczyny i mnie. Tłumaczy Wilmotsowi, że znam armajski i mogę się przydać. Dobrze, że już się o tym dowiedział. Major posyła mi zimne badawcze spojrzenie.

Dowódca kompanii musiał przyjść z gotowym rozwiązaniem w głowie, bo rozmowa nie trwa długo. Za uwolnienie mieszkańca Kumiszu żąda pełnej współpracy. Informowania o wszystkim, co dzieje się w okolicy, i gotowości na przyjmowanie naszych patroli, choćby nawet codziennie. Starszy wioski zgadza się bez wahania. Wilmots też nie protestuje. Dodaje tylko od niechcienia, że interesuje nas historia wzgórza Otorten.

Saltik wpatruje się w niego, a potem spuszcza wzrok.

— Nie śmiałem o to zapytać... Ale czy mają tu panowie lekarza? — mówi cicho.

— Tak, mamy punkt szpitalny — odpowiada kapitan Beck ustami Nemi.

— Czasami w naszej wiosce ludzie chorują przez wzgórze. Chorują, a potem umierają. Albo całkiem odchodzą od zmysłów, jak ten człowiek, którego spotkaliście

w kwietniu. — Milknie na chwilę. — Zastanawiacie się pewnie, dlaczego stąd nie uciekamy. Wielu by tak zrobiło, ale to nasz dom, a poza tym wzgórze częściej nas chroni, niż rani. Rebelianci i inni źli ludzie nie wchodzą do Kumiszu, chyba że w ostateczności.

— Ktoś jest chory? Potrzebujecie lekarza? — pyta Beck.

— Mój wnuk, Behram, choruje od niedzieli. Najpierw myśleliśmy, że to coś zwykłego, oszukiwaliśmy się. Ale wczoraj przestał rozpoznawać swoją matkę.

Czuję, jak włoski na skórze zaczynają się elektryzować.

— Proszę tu chwilę poczekać, porozmawiam z szefową szpitala — mówi Beck.

W tym czasie Wilmots zwraca się oficjalnie do Moerstrema:

— Poruczniku, przygotujcie więźnia do opuszczenia aresztu. Zezwalam na jego zwolnienie.

Nemi opuszcza nas na chwilę, musi wyjść do toalety. Kapitan zarządza przerwę. W pokoju z siwym Armajem zostaje tylko porucznik Ostin, który przegląda leżący przed nim dziennik, oraz ja, podpierający blaszany parapet. Okno jest dokładnie zasłonięte grubym papierem pakowym, blacha wbija się złośliwie w udo.

Hawar Saltik odwraca się na krześle, by spojrzeć w moim kierunku.

— Pan rozumie, co mówię, prawda?

— Tak, rozumie — odpowiadam niegramatycznie, jak kiedyś kapitan Ahari.

— Pan wie, że stary człowiek nie kłamie. Pan mi wierzy.

Kiwam tylko głową w zamyśleniu. Wiara nie ma tutaj nic do rzeczy.

* * *

Mały Behram powoli umiera.

Chciałbym pocieszyć Saltika, chciałbym mu powiedzieć, że wszystko, co nas otacza, to sen i nie możemy dzisiaj ze sobą rozmawiać, nie tak naprawdę, bo dawno temu zabiłem się w Seegeradzie. Pojechałem tam, żeby popełnić samobójstwo w majestacie prawa, i mój plan się powiódł. Usiadłem na krześle w sterylnym pokoju. Pracownicy kliniki dewitalizacji Omega przypięli mnie pasami i wykonali wyrok, który sam na siebie wydałem. Całą procedurę obserwowała komisja złożona z pięciu osób: inspektora DKD, duchownego, przedstawiciela kliniki, sędziego okręgowego oraz aktywisty z organizacji obrony praw człowieka.

Sędzia nazywał się de Wilde. Przez trzydzieści lat pracował w Naczelnym Sądzie Wojskowym, wydał nawet kiedyś wyrok śmierci za dezercję. Podobnie jak Ester, nie czerpał przyjemności z zabijania, ale nie wahał się, jeśli musiał zabić. Nawet wtedy, u schyłku kariery, pracując na ćwierć etatu w sądzie okręgowym, de Wilde nie czuł wyrzutów sumienia.

Nigdy nie pozwoliłby na skazanie niewinnej osoby ani na wstrzyknięcie trucizny pacjentowi w przypadku złamania procedur. Ale w dniu zabiegu uznał najwyraźniej, że wszystko przebiegło prawidłowo. I wieczorem, jak zwykle, zasiadł wygodnie w fotelu,

naprzeciw wielkiego kominka. Sączył dwunastoletnią whisky, prezent od ukochanej córki, i gładził łeb starego owczarka, Oskara.

Ale nie powiem tego Saltikowi, bo skąd miałbym wiedzieć, jak nazywał się pies sędziego de Wilde? To oczywiste, że nie mam pojęcia, jak nazywał się pieprzony pies. Jeśli coś jest przywidzeniem, to historia dewitalizacji, historia mojego życia. Może kiedyś, w innej wersji świata, w jego trylionowej iteracji zabiję się w Seegardzie?

Dwa i pół tysiąca lat temu Heraklit z Efezu przewidział, że wszechświat nie ma początku ani końca. Heraklita nazywano niejasnym, ze względu na trudności w rozumieniu jego dzieł. Filozof używał alegorii i nieprecyzyjnych wyrażeń, pisał o „żyjącym ogniu”, ponieważ nie życzył sobie, aby każdy głupiec miał dostęp do wiedzy. I ponieważ w tamtych czasach ludzie nie poznali jeszcze wielu słów.

* * *

Wychodzimy przed bramę, żeby spokojnie porozmawiać: sierżant Gola, sierżant Sewerin oraz Usil i ja. Strażnicy z drużyny Mastalika próbują protestować, ale Boris Sewerin ustawia ich zaraz do pionu. Idziemy jeszcze kawałek, w stronę dwóch pagórków, i przystajemy na skraju drogi. Gola wyciąga papierosy. To naprawdę cholerny paradoks, że pali więcej właśnie teraz, kiedy każdy fajek jest na wagę złota.

— No, to jaki jest temat zebrania? — pyta w końcu Sewerin.

— Chłopaki, opowiedzcie sierżantowi, co się stało — mówi Gola.

Opowiadam więc z lekkim niesmakiem o porannym spięciu pomiędzy Beneszem i Gausem. Oczywiście, muszę sięgnąć też do wydarzeń sprzed kilkunastu dni. Pojawia się kotka z przetrąconym kręgosłupem, rozpacz Gausa i nasze starania, żeby go uspokoić. Potem wracam do sytuacji z kwietnia, do ukarania Benesza za znęcanie się nad młodym żołnierzem.

Usil przepracował traumę, więc rzeczowo uzupełnia tę historię. Podkreśla, że jako dowódca drużyny ponosi odpowiedzialność za sytuację Hockego, co nie zmienia tego, że Oskar Benesz otrzymał zasłużony łomot.

— A więc taki ma powód, żeby mścić się na Gausie? — upewnia się Sewerin.

— Właśnie tak — odpowiadam. — Taki ma powód, żeby mścić się na kilku osobach, włącznie ze mną.

— Benesz zawsze ma kogoś na oku — podsumowuje Usil. — W mojej drużynie tylko Truman daje sobie z nim radę, ale Yuri wychował się na ulicy, jak ja.

— Myślicie, że ten skurwiel naprawdę to zrobił? — pyta dalej sierżant.

— Nie mamy pojęcia — przyznaję. — Ale wystarczy, że Vim ma to teraz w głowie. Tylko czeka, żeby mu odpłacić. Chyba nie uwierzył mi do końca.

— Też tak myślę — potakuje Gola. — Na nasze, kurwa, nieszczęście.

— Bomba tyka. — Sewerin uśmiecha się krzywo. — W takim razie trzeba przeprowadzić „kontrolowaną detonację”. Wywieźć ich gdzieś i pozwolić na walkę.

Inaczej się pozabijają w bazie albo, co gorsze, zrobią komuś krzywdę. Co o tym myślisz? — zwraca się do Goli.

— No, nie jestem zachwycony — odpowiada sierżant. — Mamy urządzić jakieś igrzyska, jakbyśmy mieli mało zmartwień.

— Daj spokój, Ian! — Sewerin klepie go w plecy. — Trochę rozrywki nikomu nie zaszkodzi. Obaj chodzą w wadze ciężkiej, może być niezły łomot. Jako były zawodnik będziesz sędziować?

— Chyba, kurwa, oszalałeś!

— No to ja będę sędziował. Zabierzcie mnie ze sobą.

Ustalamy nawet czas i miejsce spotkania: sobota rano, podczas warty drużyny Usila, za wzniesieniem naprzeciwko bazy. Trzeba tylko poprosić chłopaków od dronów, żeby nie latali przez chwilę nad nami lub przynajmniej trzymali głębę na kłódkę.

* * *

Norman nie kryje wzburzenia. Pierwszy raz widzę, żeby coś banalnego poruszyło mojego przyjaciela tak mocno. W głowie mu się nie mieści, jak mogliśmy wpaść na kretyński pomysł ustawki. Gryzie nerwowo zapałkę.

— A jeśli ktoś zginie?!

— Nie pozwolimy im na to.

— Nie pozwolicie? Wystarczy, że Benesz będzie miał schowany gdzieś kawałek drutu, który wbije Gausowi w oko. Albo Gaus schyli się po kamień i rozpiardoli mu potylicę. Czy zastanawiałeś się nad konsekwencjami?

— To jest decyzja sierżantów. Mam poważniejsze zmartwienia, Lars — odpowiadam ze zniecierpliwieniem. — Nie wiedziałem, że tak będziesz to przeżywać.

— Nie czujesz, Markus, że pustynia nas wypatroszyła? Naprawdę chcesz ryzykować życiem człowieka ze swojej drużyny, zamiast po prostu zaprowadzić porządek?

— Nie ja to wymyśliłem!

— Ale mogłeś zaprotestować — mówi ze złością, drapiąc się po całym ciele.

Podejrzewam, że pustynne pchły oblażyły Larsa, kiedy siedział na nocnej warcie przy bramie. Niektórzy są bardziej podatni na ugryzienia. Może ich pot pachnie inaczej albo krew smakuje małym krwiopijcom jak nektar.

— Cholera, ale swędzi! — Ściąga koszulkę przed budynkiem szpitala. — Muszę się zdezynfekować, nie pójdę teraz do Inki.

— Pójdę sam.

— Co za nędza — marudzi pod nosem. — W namiocie mam aerozol.

Wchodzę do szpitala bez niego. Rozmawiam chwilę z Hansenem, pytam o doktor Sauber. Podobno siedzi u kapitana Becka już drugą godzinę. Zaglądam do pokoju, w którym leży Olaf Inka. Szefowa szpitala kazała przenieść pozostałych pacjentów do innych pomieszczeń. Olaf jest spokojny, można powiedzieć nawet, że podobny do trupa.

Patrzy w okno szklanym wzrokiem, w którym nie znajduję śladu jakiegokolwiek uczucia.

Macham dłonią przed oczami chorego. Mruga i przez chwilę mnie widzi. Szepcze spieczonymi ustami. Gilde i Hansen, zamiast opieprzać się notorycznie, powinni podać mu wodę albo wpiąć kroplówkę, jeśli trzeba. Znajduję butelkę ciepłej mineralnej na szafce pod ścianą. Inka przysysa się do gwintu jak zwierzę i pije drobnymi łykami. Strużki cieką po zarośniętym policzku.

— Przyszedłeś — mówi głośnie.

— Przyszedłem cię odwiedzić, Olaf — odpowiadam, trochę zaskoczony. — Jak się czujesz, stary? Pamiętasz, jak mam na imię?

— Pamiętałem twoje imię, Markus. Znałem więcej imion, to nie było trudne.

— Ale teraz nie pamiętasz?

— Teraz mnie nie ma, przecież wiesz. Wszystko się zapadło.

— Co się zapadło, Olaf?

— To, takie jasne dookoła. — Patrzy na mnie ze zdziwieniem. — Chyba to widziałeś?

— Światło? — podpowiadam.

— Cała przestrzeń, Markus, w której pływaliś jak ryby. Tego już nie ma, zapadło się, kiedy spałem. Otworzyłem oczy i to wszystko było martwe. Już nie miało w sobie tego ciepła. Teraz dostaję zastrzyki i tabletki, żeby mówić.

Wiem, że znajduje się w pętli, z której nie potrafię go wyciągnąć. Nie potrafię, bo sam mogę tkwić w innej pętli – trochę większej, nie tak oczywistej. Bo jeśli Inka ma rację, jeśli „wszystko się zapadło”, żaden z nas nie widzi prawdziwego świata. My tylko śnimy tę wojnę, dzień po dniu, z otwartymi oczami. I budzimy się, gdy umieramy.

Może więc dla małego Behrama, Olafa i kaprała Heinzego jest jeszcze jakaś nadzieja?

Sobota, 9 lipca, godz. 0.45

Fala elektromagnetyczna, przechodząc przez ciało, oddaje mu część energii lub ulega załamaniu i jest odbijana przez tkanki. Fale długie, o niskiej częstotliwości, przechodzą przez ciało niemal bez strat, ale mikrofałe wytracają większość energii na tkankach powierzchniowych. Woda powoduje silne tłumienie rozchodzącej się fali, dlatego tkanki o dużym uwodnieniu, takie jak mięśnie czy krew, przejmują energię znacznie silniej niż tkanki o małej zawartości wody.

Szósta informacja: „Heart of Darkness” wykorzystuje do celów militarnych autonomiczne emitery fal o długości dostosowanej do rozmiarów atakowanego obiektu. Fala wnika w głąb komórek z wielu stron, wykorzystując zjawisko rezonansowego pochłaniania energii. Częstotliwość rezonansowa dla dorosłego mężczyzny wynosi od 47 MHz do 77 MHz, zależnie od tego, czy jest on izolowany elektrycznie, czy nie. Podczas ataku mikrofalą z zakresu pasma A wartość pochłanianej energii zwiększa się od pięciu

do dziesięciu razy w stawach, szyi i nogach. Dla głowy, a więc dla mózgu i oczu, zjawiska rezonansu występują przy częstotliwościach z pasma B, od 350 MHz do 400 MHz.

Siądźma informacja: Freniczne światło ma błękitną barwę, ale nie jest boskim światłem.

Ester sący we mnie wiedzę jak truciznę, blokując mechanizmy obronne. Nie mogę przestać jej słuchać, nie mogę otworzyć oczu, nie mogę opuścić nocnej lekcji. Następnym tematem wykładu będzie cel naszego pobytu w Distortion.

W ciągu dwóch tygodni przygotowała nas na poznanie prawdy. Epifania jest na wyciągnięcie ręki.

* * *

Ze snu skaczą prosto w przepaść. Alarm wyje, słycać huk wystrzałów.

Peter zaplątał się w spodnie i upada na podłogę z przekleństwem na ustach. Sprawdzam godzinę, zaledwie kwadrans po pierwszej.

— Co się dzieje? — pytam nieprzytomnie.

— Nie wiem, kurwa! Nie mam bladego pojęcia.

— Gdzie są Adam i Lars?

Piskliwa syrena, umieszczona na dachu magazynu, daje nam w kość. Dotychczas odzywała się tylko dwa razy: po wybuchu oculusa oraz po spaleniu domu w Palat Gorga, gdy partyzanci przypuścili atak. Musiało się zdarzyć coś równie poważnego. Chłopaki z mojej drużyny wybiegają przed namiot, gdzie Norman ustawia już swoich. Musieli wyjść dosłownie przed chwilą. Sierżant Gola biegnie w naszą stronę i czeka jeszcze na Usila.

— Panowie, z życiem! — pokrzykuje. — Mamy straszny burdel.

Dowiadujemy się, że cała zmiana z plutonu Sewerina porzuciła bramę i zbiegła na pustynię. Ogłuszyli dowódcę, kaprała Mastalika, i ulotnili się jak kamfora. Strażnicy, którzy to zauważyli, zostali właśnie ostrzelani przez kogoś zaczajonego w ciemnościach.

— Są jacyś zabici? — upewnia się Norman.

— Jeszcze nie wiadomo. Rzuciłem tam drużynę Wenera z resztką ludzi Mastalika.

— Z pustyni dobiegają krótkie serie z karabinów maszynowych. — Słyszycie, co się dzieje? Biegiem do wozów i przygotować się do wyjazdu!

Przez plac pędzi porucznik Ostin. Trzyma hełm w zaciśniętej dłoni.

— Gdzie jest Sewerin?! — wrzeszczy do Goli.

— Przy bramie, panie poruczniku! Dowodzi obroną.

— Sprawdzamy właśnie, ilu jest tych skurwysynów, i zaraz ruszacie.

— Tak jest!

W tym wypadku „zaraz” trwa piętnaście minut. Po kwadransie operatorzy dronów meldują, że pół kilometra na północ od bazy znajduje się oddział partyzantów. Dwa pojazdy, jedenaście lub dwanaście osób. A na drodze leżą cztery ciała, prawdopodobnie

naszych żołnierzy, którzy zdezerterowali i nadziali się na nieprzyjaciela. Weszli wprost pod lufy karabinów. Aż nie chce się wierzyć!

Najdziwniejsze jest to, że partyzanci ostrzeliwują się chaotycznie, we wszystkich kierunkach. Na podglądzie widać jasne smugi, lecące w stronę gór i autostrady. Ewidentnie próbują odeprzeć czyjś atak, ale nie dostrzegamy obiektów, do których celują. Na skórze jeżą mi się włosy. Ulgę przynosi dopiero sygnał do wyjazdu.

* * *

Ruszamy trzema skorpionami, wspomagani przez jednego feniksa. Z trzech MG2 i działek bezzałogowego samolotu plujemy ogniem w stronę napastników. I znowu, jak poprzednim razem, rebelianci starają się uniknąć bezpośredniej walki. Wskakują do swoich terenówek i uciekają w stronę Palat Gorga. Jeden z pojazdów, trafiony przez drona, od razu staje w płomieniach. Zostaje przy nim drużyna Normana, a Usil i ja pędzimy za drugim, który niebezpiecznie zwiększa dystans.

Mniej więcej kilometr dalej widać pierwszy rozbłysk. Z pobocza strzela w niebo gejzer niebieskiego światła. Potem drugi, zakrzywiający się wyraźnie w stronę samochodu partyzantów. Zaraz po nim trzeci, oślepiający łuk elektryczny. Każę Ballardowi zahamować, pomimo wrzasku sierżanta. Usil wydaje identyczny rozkaz.

W samą porę, bo błękitne błyskawice atakują już pojazd przed nami. Rzuca nim w lewo i w prawo, aż zjeżdża ze ścieżki i uderza w kamień. Płatanina świetlistych palców obejmuje go ciasno, zabijając wszystkich, którzy znaleźli się wewnątrz. Żaden z rebeliantów nie próbuje uciekać.

Przez chwilę naradzamy się z Golą. Sierżant zrozumiał wreszcie, że nie możemy kontynuować pościgu. Wydaje rozkaz powrotu do bazy; po drodze dołącza do nas drużyna Normana. Zastrzelili czterech bojowników, potem jeszcze dla pewności wrzucili granat do płonącego wraku.

Nie wracamy na skróty. Musimy zahaczyć o drogę dojazdową do bazy, gdzie tak jak myśleliśmy, zginęli nasi koledzy. Nie wytrzymali napięcia, spanikowali podczas służby i podobno okryli się hańbą; pochłonał ich lęk przed pustynią. Reflektory po kolei wyłuskują z mroku ciała. Ładujemy worki do przestrzeni bagażowej naszej „dwieście pięćdziesiątki”.

Puric klepie pacierz. Te chwile religijności tak kłóć się z jego osobą – z wyrażaniem pięści, przeklinaniem i diabelskim wzrokiem, kiedy widzi wroga – że aż mrużę oczy ze zdziwienia. Widocznie w magiczny sposób potrafi połączyć niepasujące kawałki. Robi to tak płynnie, że nie zgrzytają trybiki. Albo tylko ich nie słyszę, bo uszy zalewa mi noc, w której wszyscy toniemy jak w smole. I z poczuciem bezsensownej ulgi wracamy do światła. Do nawiedzonego domu, wyludniającego się z każdym dniem.

* * *

Zaraz po akcji meldujemy się u kapitana Becka. Chodzi po pokoju, jest zdenerwowany i blady ze zmęczenia.

— Nie rozumiem tego! — krzyczy. — Nie rozumiem, kurwa, co do mnie mówicie.

— Panie kapitanie — odzywa się porucznik Ostin — obecni tu sierżant Gola, kapral Trent i kapral Usil zobaczyli rozbłysk światła, który zniszczył uciekający przed nimi pojazd partyzantów.

— Marcel, do cholery, jaki pojazd?! Oba zostały zniszczone.

— Pierwszy samochód został trafiony przez feniksa, a następnie unieszkodliwiony przez drużynę kaprala Normana — tłumaczy cierpliwie porucznik. — Drugi pojazd rebeliantów pokonał znacznie większy dystans i na oczach grupy pościgowej wpadł w coś w rodzaju burzy elektrycznej. Nie wiemy, czy to zjawisko ma naturalny charakter.

Robię krok w stronę oficerów. W tym momencie w drzwiach pojawia się major Wilmots i porucznik Moerstrem, ale nie dają się zbić z tropu. Podnoszę rękę jak na unitarce.

— Za pozwoleniem, panie kapitanie, czy mogę coś dodać?

— Mów, Trent, tylko postaraj się zwięźle.

— Panie kapitanie, to nie jest zjawisko naturalne. Przepraszam, że to powiem jeszcze raz, ale jesteśmy atakowani przez ogromny obiekt, który znajduje się pod nami. Ze strzępów informacji, które otrzymałem, wnioskuję, że ten obiekt nie pozwoli nam przekroczyć wyznaczonej granicy. Jest zaawansowany technologicznie i może używać do swoich celów różnych anomalii.

— Znowu urojenia. — Mikel Beck siada ciężko na krześle.

— Pięć dni temu kapral Trent sugerował coś podobnego w związku z zaginięciem oddziału porucznika Mullera. — Ostin stara się mówić spokojnie. — Zwłoki kaprala Heinzege, znalezione na północ od bazy, oraz dzisiejszy wypadek rebeliantów pasują do tego opisu. Nie możemy odrzucić takiej możliwości, dopóki jej nie sprawdzimy.

— Chcesz mi powiedzieć, Marcel, że otacza nas jakaś bariera?

— Markus, powiedz panu kapitanowi, jakie są twoje podejrzenia — prosi Ostin.

— Uważam, że to, co znajduje się pod ziemią, chce zmusić nas do posłuszeństwa, dlatego od początku próbuje zamknąć oddział w pułapce i jednocześnie go „rozmiękczyć”. Potrafi wpływać na pole elektromagnetyczne w promieniu kilku kilometrów od Otorten. Do celów bojowych posługuje się również emiterami fal.

— Ale czego od nas chce? O czym ty mówisz, synu?!

— Myślę, że to się wkrótce wyjaśni, że to kwestia dni, a może godzin. To widać nawet po rosnących stratach. Obiekt przygotowywał się do starcia z nami od pierwszego dnia misji, a może nawet wcześniej, zanim przybyliśmy do Distortion. Obecność wojsk inżynierskich mogła uruchomić algorytm.

Z tyłu dobiega chrząknięcie. Jestem pewien, że to Wilmots.

— Kapral Trent ma rację, kapitanie — odzywa się major. — Mamy powody przypuszczać, że obiekt, o którym mowa, to olbrzymi bezzałogowy statek, który samą

obecnością wywołuje anomalie. Sam nie mogłem w to długo uwierzyć, nawet po tym, jak pułkownik Moritz kazał mi sprawdzić Distortion. Paul jest bardzo racjonalny, Beck, jeszcze bardziej niż ty. Ale musimy sporządzić raport i do czasu przybycia posiłków zabezpieczyć technologię znajdującą się na statku. Jak on się właściwie nazywa, kapralu?

— „Heart of Darkness” — odpowiadam odruchowo.

— Adekwatna nazwa — mówi Wilmots. — Proponuję, żebyśmy przestali udawać, że stabilizujemy sytuację w regionie, i zmierzili się z prawdziwym wrogiem.

Kapitan Beck patrzy na niego szeroko otwartymi oczami.

* * *

Dawno temu, na początku misji, też byliśmy brudni w środku. Przybyliśmy do Remarku z warstwami tłustego nalotu, który osadzał się latami w naszych mózgach. Pamięć tworzy czarne słoje, rok za rokiem, albo gwałtownie zalewa świadomość. Ludzie są tacy z natury i tylko czasem, kiedy siebie przekraczają, promienieją blaskiem. Akty twórcze, akty poświęcenia. Tak więc, jeśli mam być szczery, przybyliśmy tutaj w opłakanym stanie.

Jest jednak zasadnicza różnica pomiędzy śmiercią, którą nosisz w sobie od dzieciństwa, a tym ohydny paluchem, którym Ester grzebie w twoim wnętrzu. To już nie zdrady, nie zawiedzione nadzieje i niedotrzymane obietnice, nie tchórzostwo czy nagłe ataki agresji wobec słabszych kształtowały nas od momentu, kiedy przybyliśmy na pustynię.

Nie uwłączamy człowieczeństwu, nie dyskutujemy z nim. My pozbywamy się człowieczeństwa – poprzez zanik tożsamości, rozpad więzów społecznych oraz związków przyczynowo-skutkowych. Zostaliśmy wyskrobani z łona naszych matek, rzućni pomiędzy kamienie i zmuszeni do mechanicznej aktywności. Zespół Cotarda, dotykający części załogi Distortion, można porównać do biologicznego manifestu. Pacjenci doktor Sauber opowiadają światu każdym gestem i słowem, że z podmiotu, z odrębnego „kogoś” zmienili się w nieokreślone „coś”, a następnie w krwawe pozaludzkie „nic”.

Kwadrans po dziesiątej Hawar Saltik przywozi małego Behrama.

* * *

Ballard staje obok mnie przed sflaczałym wejściem do namiotu. Odprowadzamy wzrokiem Armaja z chłopczykiem w ramionach oraz idącą za nim kilkunastoletnią dziewczynę. Oboje mają przewiązane oczy. Do szpitala prowadzi ich czterech ludzi z drużyny Sottera.

— Myślisz, że przysliby tutaj, gdyby wiedzieli o nowych przypadkach?

— Pewnie by nie przyszli, nawet wiedząc o starych. — Podaję Chrisowi papierosa.

— Mają fałszywe wrażenie, że mundury, broń i całe to elektroniczne gównno ochroni ich przed pustynią.

— Trzech ludzi Sewerina zwariowało w nocy — mówi Ballard. — To dlatego ich koledzy, pełniący służbę na bramie, postanowili spierdolić na oślep.

— I jeszcze Frankie. — Uśmiecham się złym grymasem. — Czasem myślę, że Ester strzela z szaleństwa jak z bicza. Trafia przypadkową osobę albo zahacza o kilka. Ale czasem podejrzewam, że ma wyrafinowane poczucie humoru.

— Tak, zepsuty OS-owiec to naprawdę przedni żart. — Mój przyjaciel ma tym razem dosyć. — Ile zostało czasu, Markus, zanim zgnijemy tutaj jak kompost? Już zaczynamy śmierdzieć.

Wtedy przestaję go słuchać. Myślę o nocnej naradzie oraz o wydarzeniach poranka, które sprawiły, że major Wilmots okazał się innym człowiekiem. Może nie lepszym i nie godnym zaufania, ale zdeterminowanym, żeby poznać prawdę.

Benesz i Gaus, zamiast walczyć na pięści, chwycili za kilofy i pięciokilogramowe młoty i zaczęli tłuc w posadzkę laboratorium. Zdrzemnąłem się o trzeciej nad ranem i ujrzałem we śnie bramę do podziemi. Powlokłem się więc do majora, aby wskazać mu to miejsce. Wejście znajdowało się, jakże ironicznie, niemal pod jego biurkiem, w pokoju przesłuchań.

Kiedy żołnierze skruszyli grubą warstwę betonu, naszym oczom ukazała się żelazna kłapa. Wokół niej wiły się kable zakopane w ziemi. Prowadziły głębiej, do wnętrza Hadesu, ale nie mogłem się im przyjrzeć. Oficerowie podjęli decyzję, że powinniśmy opuścić pomieszczenie. Jakby chcieli nas uchronić przed poznaniem prawdy. Nawet mnie, pierdolonego przewodnika.

Wilmots, Moerstrem i Ostin oraz dwaj sierżanci, Gola i Sewerin, zostali w budynku, a my wróciliśmy na plac. Porucznik Maja Budny chyba także nie zasłużyła na wiedzę, bo przechadza się teraz pomiędzy nami. Pyta o nastawienie do misji oraz o inne pierdoły. Aż wkurwiony do białości Adam Werner patrzy na nią w taki sposób, że kobieta odchodzi.

* * *

Stoimy, czekamy, niecierpliwimy się coraz bardziej.

Po dwóch kwadransach takiego czekania mamy dość; nawet spokojny dotąd Lars zaczyna przeklinać. Gromadzimy się w okolicy wejścia do stołówki. Po bazie krąży już plotka, że w laboratorium znaleziono coś niezwykłego. Paru chłopaków dopytuje o szczegóły, szczególnie Pattel i Kranec. Nie czujemy się zobowiązani do zachowania tajemnicy, więc opowiadamy o zamkniętym zejściu do podziemi.

— Co to może być?! — podnieca się Remmy Kranec.

— Kiedyś w tym miejscu znajdowała się placówka badawcza. Prawdopodobnie prowadzili tam badania geologiczne — wyjaśnia mu Ballard.

— To może być tunel do starych szybów kopalnianych — dodaję. — Pamiętasz,

Chris, że Winehouse wspomniał o podziemnym jeziorze?

— Kto to jest Winehouse? — pyta Pattel.

— Nie interesuj się, Wiktor, bo ci mordę wykręci. — Ballard klepie go w ramię.

Rozmawiamy potem o ucieczce wartowników. Okazuje się, że wszyscy należeli do drużyny Lista. Kiedy kapral nie stawił się na zbiórkę przed misją, Mastalik wziął ich pod swoją komendę. Nie było łatwo załatać dziury w ich głowach.

Dowodzili tymi chłopakami na przemian – on i sierżant Sewerin. Wydawało się, że wszystko gra, że opanowali sytuację, ale kiedy wieczorem trzech ludzi z dawnej drużyny Bernsteina zaczęło tracić przytomność, coś musiało w nich pęknąć.

* * *

Wołają nas po obiedzie. Sierżant Gola każe zebrać się mojej drużynie oraz drużynie Normana przed wejściem do laboratorium. Na warcie stoi Gruby z MBS-sem gotowym do strzału i wzrokiem samotnego psa. Po chwili wchodzimy do budynku i skręcamy do pokoju przesłuchań. W podłodze ziele czarna dziura, przekłuty wormhole. Ktoś pokonał już kłódkę i skobel, kłapa została otwarta. Widać betonowe schody.

Porucznik Ostin siedzi na drewnianym taborecie niedaleko zejścia do podziemi i kartkuje książkę odartą z okładki.

— Co pan czyta, panie poruczniku? — pyta rezolutnie Dafny.

— Znalazłem to za szafą, popularnonaukowa — odpowiada Ostin. — Nazywa się *Hiperprzestrzeń*.

We śnie o trzeciej nad ranem czarna dziura prowadziła do jaskini. Szło się długim korytarzem aż do brzegu podziemnego jeziora, które lekko fosforyzowało. Pamiętam kształty wystające ponad taflę wody, ulepione z niej postaci. Puściłem się biegiem przed siebie.

Dalej był kolejny chodnik, który kończył się ścianą. Dotarłem tam, ogarnięty coraz większą trwogą, po plecach spływał mi pot. Poczułem ruch powietrza, delikatny przeciąg. Przede mną skały uformowały coś na kształt komina. Można było wspiąć się wyżej po wystających kamieniach i zobaczyć przez małą szczelinę, co znajduje się za ścianą.

Wszedłem tam i spojrzałem w dół. Na samo wspomnienie dygoczę ze strachu. Znalazłem ranę w ziemi, rozpadlinę głęboką na kilkaset metrów, prowadzącą do serca Hadesu. Na jej dnie przelewało się błękitne światło. Pulsowało martwym blaskiem i nienawidziło mnie najbardziej na świecie.

— Uspokój się, Markus. — Gola trąca mnie w ramię.

— Co jest, panie sierżancie?

— Nie wiem, zacząłeś coś jęczeć.

Ocucił mnie w samą porę, bo z „piwnicy” wychodzą właśnie trzy zakapturzone postaci w srebrzystych skafandrach. Jedna z nich kieruje się do Ostina i prosi o pomoc

w zdjęciu stroju. To kapitan Beck, który na własne oczy musiał zobaczyć jaskinię. Wilmots i Moerstem obywają się bez asysty. Starannie składają stroje i umieszczają je w zielonych skrzyniach.

Ballard szepcze mi do ucha, że pomiędzy warstwami aluminiowej powłoki prawdopodobnie znajduje się parafina. To doskonała ochrona przed wyładowaniami elektromagnetycznymi. Wywiad wiedział, czego się spodziewać. Zabezpieczył swoich ludzi przed anomaliami, jak ta w szkole w Kumiszu, która zabiła Kolberga i Persona. Dla nas jednak zabrakło takich wspianiałości.

Kapitan Beck prosi, żebyśmy zeszli na dół, naprawili oświetlenie i rozejrzeli się trochę. Mówi z przekonaniem, że pod ziemią jest bezpiecznie. Ręczy za to głową, sam przecież zwiedzał przed chwilą tunele. Myślę, że głowa dowódcy kompanii nie przyda się do niczego, kiedy przez ciała żołnierzy przepłynie nagle milion woltów.

Rozkazuję przemontować MBS-sy. Moi ludzie wyciągają z kamizelek krótkie lufy i zakładają je na miejsce długich. Skracają również kolby karabinów i podpinają latarki. Drużyna Dwa idzie za naszym przykładem. Tylko sierżant Gola nie ma kamizelki ani zapasowych części, więc niczego nie wymienia. Spluwa na podłogę i jako pierwszy schodzi do podziemi.

Idziemy gęsiego, stopni jest ponad sześćdziesiąt. Liczę je w myślach do momentu, aż but ślizga się na mokrym podłożu. Chwieję się niebezpiecznie. Na dole, u podnóża schodów, ktoś przezorny zostawił plastikowe pudła z żarówkami.

* * *

Może chodnik jest wyższy, mniej klaustrofobiczny i krótszy o parę metrów.

Może jezioro, zajmujące pół jaskini, nie fosforyzuje bladym światłem.

A jednak czuję się znów jak we śnie. Czuję ciężar tego miejsca, które naukowcy odcięli od świata w przekonaniu, że nie należy tu schodzić. Nie pamiętam urządzeń, a właściwie resztek elektronicznego sprzętu, walających się wokół zbiornika. Kiedy biegłem w sennym zwidzie, nie potykałem się o kable jak teraz. Ale wszystko wyglądało identycznie. I dopiero patrząc na twarze Rozwielitki i Purica i słuchając, jak Daniel modli się nerwowo, a Gaus powtarza pod nosem przekleństwa, nabieram pewności, że to nie moje urojenia. To miejsce nas nienawidzi.

Przyświecamy sobie latarkami, chociaż ciemność nie jest doskonała. Ktoś rozprowadził na ścianach czarny kabel, przytrzymywany gumowymi obejmami. Co kilka metrów zamontował elektryczne gniazda i obsadki z żarówkami. Większość z nich się przepaliła, ale pozostałe nadal rozpraszają mrok. Gola każe wymienić uszkodzone. Żeby było szybciej, idzie z drużyną Larsa na drugi kraniec jeziora. Mają do przejścia może z dwieście metrów.

My posuwamy się wolniej. Chłopaki podchodzą kolejno do przepalonych lamp, a Gaus próbnikiem przypominającym śrubokręt sprawdza, czy w gniazdach jest napięcie.

Już na pierwszy rzut oka widać, że instalacja nie została uszkodzona.

Wyprzedzam trochę swój oddział i zaglądam w najbliższy z chodników, odchodzących od jaskini w kierunku Otorten. Świecę latarką taktyczną, ale przejście okazuje się ślepe, zasypane skalnym rumowiskiem. Kilkanaście metrów dalej znajduje się drugie. Po kilku krokach rozwidla się na dwa tunele.

Trudno zgadnąć, czy gdzieś w pobliżu jeziora trafię na miejsce ze szczeliną, przez którą widać rozpadlinę w ziemi. Robię jeszcze kilkanaście kroków w głąb prawego chodnika. Po wilgotnych ścianach i kryształkach minerałów skacze światło kolejnej latarki. Pantomima cieni.

— Markus, nie chodź sam! — woła za mną Ballard.

— Muszę coś sprawdzić, Chris. Zostań przy wylocie i zaczekaj na mnie.

— Gówno tam! — mówi znacznie bliżej. — Jeśli to nie jest rozkaz, idę z tobą.

Nie ukrywam nawet, że się cieszę. Te ciemne gardziele wywołują cholerny niepokój.

Idziemy więc razem w głąb wzgórza, może kilkadziesiąt metrów. Początkowo sufit się obniża, ale potem odbija w górę, chodnik staje się wygodny. Zatrzymuję się i nasłuchuję. Zmysły wyostrzone mrokiem mogą płatać figle. Ballard też wstrzymuje oddech.

— Słyszysz to? — szepczę do niego.

— Ale co?

— Takie metaliczne, miarowe stukanie. No, może nie całkiem miarowe.

— Poczekaj. Chyba teraz słyszę.

Stuk, stuk! stuk, stuk! stuk. Odgłos powtarza się ciągle, chociaż z różnymi przerwami. Świecę w tamtym kierunku, ale tunel skręca kilka kroków dalej. Niczego nie zobaczymy. Z tyłu rozlegają się nawoływania: „Markus! Chris!”. Musimy coś zrobić, zanim ktoś naprawdę spanikuje.

— Wracaj do chłopaków i uspokój sytuację. Idę zaraz za tobą.

— Markus, chyba żartujesz!

— Nie, stary, tym razem to rozkaz. W razie czego zawołaj sierżanta.

Kiedy Ballard się wycofuje, strach ściska mi gardło kościstymi paluchami. Zaplata je mocno na krtani, gdy docieram do załomu korytarza i posuwam się dalej. Stukanie staje się głośniejsze. Czuję też powiew chłodnego powietrza, zupełnie jak w nocnym koszmarze.

Powiniennem się pospieszyć, ale idę coraz wolniej. Strach pęta mi nogi. Chodnik rozszerza się nagle na trzy albo cztery metry. Kątem oka rejestruję, że coś wystaje ze ścian. Wiele nieregularnych kształtów po obu stronach tunelu. Dostrzegam też źródło dźwięku. To skórzany pasek wyrastający z kamienia. Skórzany pasek ze sprzączką, która obija się o ścianę. Metalowa klamra hałasuje przy każdym podmuchu: *stuk, stuk! stuk, stuk!*

Mam problemy z oddychaniem, ale muszę się jeszcze rozejrzeć. Ledowe światło wychwytuje pierwsze postaci zatopione w skałach. Rozpoznaję kształty, skłębione

w ataku paniki, jak gdyby zaklęte w kamieniu. Dostrzegam kończynę, kawałek uzbrojenia albo hełm przekrzywiony na głowie: czasem coś nie zmieściło się wewnątrz i wystaje kilka centymetrów. Lufa karabinu, kępka włosów, podeszwa wojskowego buta, fragment plecaka lub kurtki. Pasek ze sprzączką.

Obracam się dookoła. Świecę chaotycznie we wszystkich kierunkach, a serce bije na alarm. Chyba nie oddycham wcale. Chyba nie pamiętam nawet, skąd i po co tu przyszedłem. Ale kiedy trafiam latarką na wykrzywioną z bólu twarz sierżanta Krella, z mojego gardła wydobywa się wrzask.

* * *

Nie pamiętam wyraźnie drogi powrotnej ani opierdolu zebranego od sierżanta.

Nie pamiętam skoku do jeziora. Nie wierzę, że chciałem utonąć.

Nie pamiętam, jak ciągnęli mnie w górę po schodach.

Nie pamiętam wody, która ciekła z moich butów.

Ale pamiętam słowa Ester.

Strach mija, kiedy wychodzę na zewnątrz. Już w pokoju, widząc dzienne światło, zaczynam myśleć racjonalnie. Ściągam przemoczoną bluzę, kamizelkę i spodnie, odkładam hełm na metalowe biurko. Moje ciało przestaje się trząść. Sierżant Gola patrzy mi głęboko w oczy i chyba też się uspokaja. Kręci tylko głową z wyraźną naganą, a ja z udawanego wstydu spuszczam wzrok.

— Ile razy muszę wam, kurwa, powtarzać, żebyście uważali na siebie? Ile razy, Markus?! Po jakiego chuja wlałeś do tego tunelu?!

— Coś usłyszałem, panie sierżancie. Jakiś hałas — mówię niewyraźnie.

— I postanowiłeś, że sprawdzisz to w pojedynkę? Mieliście wchodzić do bocznych tuneli parami, po zabezpieczeniu jaskini!

— Był ze mną Chris. Poszliśmy razem, tylko wycofywaliśmy się osobno.

Gola czeka, aż chłopaki z plutonu opuszczą pomieszczenie.

— Dlaczego zacząłeś tam krzyczeć?

— Myślałem, że zgubiłem drogę. Zacząłem się dusić ze strachu.

— Jest coś, o czym powinienem wiedzieć, kapralu?

— Tak. — Uśmiecham się słabo. — Chyba mam klaustrofobię.

Nie mówię mu, co widziałem.

Ester wezwała mnie do tunelu. Mam wrócić na jej znak w to upiorne miejsce, gdzie ludzie z oddziału Mullera tkwią, zamurowani w skałach. Mam podążyć dalej. Właśnie tam metaliczna suka postanowiła rozmawiać o świetle.

Są rzeczy straszne i przerażające. Są też takie, których nie można wytrzymać, nie mając mózgu skażonego czernią. Zwęglone synapsy chronią mnie przed szaleństwem. Obserwuję ze spokojem, jak ludzie Sottera przeprowadzają pacjentów doktor Sauber ze szpitala do budynku dowództwa. Podobno mają ich zamknąć w areszcie.

Niektórzy z nich od wczoraj zachowują się agresywnie. Ten nieszczęsny saper, którego znaleźliśmy w śmieciach, odgryzł Olafowi Ince dwa palce prawej dłoni. Choć nie wydaje się, żeby Inka za bardzo się tym przejął. Obaj byli zgodni, że w środku widać szary plastik. Syntetyczne kości i syntetyczną krew.

Poniedziałek, 11 lipca, godz. 14.55

Siedzimy w stołówce, przeżuając zarcie bez smaku. Spóźniony obiad po bezsensownym patrolu, krążeniu wokół placówki i wzgórze. Za ścianą, w budynku szpitala, trwa narada kapitana Becka, majora Wilmotsa i kapitan Sauber. Widziałem ich wchodzących razem do środka. Może dyskutują o zejściu pod ziemię, może myślą, co zrobić z nieprzytomnym armajskim dzieckiem, zostawionym tutaj przez starszego wioski. Ale raczej łamią sobie głowy nad kolejnym przypadkiem Cotarda. Wczoraj zachorował starszy operator drona.

Mówiąc bardziej precyzyjnie, kapral Lener poderwał swojego feniksa i tocząc pianę z ust, zaczął strzelać do zbocza Otorten. Kilku ludzi widziało go przez zakratowane okno. Zamknął się w jednym z pokoiów w budynku dowództwa i poddał dopiero po wyważeniu drzwi. Wtedy już zachowywał się spokojnie, niemal obojętnie. Ale jego dron, posłuszny rozkazom szaleńca, roztrzaskał się o skały. Jakimś cudem umilkł też lokalizator i dopiero dzisiaj namierzyliśmy wrak maszyny.

Może więc nasz patrol nie był pozbawiony sensu. Może lepiej, że wyjechaliśmy, choćby po to, żeby znaleźć się po drugiej stronie muru. Moi towarzysze rozmawiali o tym dłuższą chwilę po powrocie, zanim zamilkli na dobre. Lars grzebie nerwowo w menażce i wyciera ścianki chlebem, Usil oparł się o blat i drzemie po nocnej warcie, a Werner i Gola wbijają we mnie wzrok.

— Chcecie mi coś powiedzieć, panowie?

— Musisz nas stąd wyprowadzić — mówi Adam. — Nie wytrzymamy tu dłużej.

— Myślisz, że wiem, jak to zrobić? Gdybym wiedział, też byście wiedzieli.

— Nie umiem tego nazwać, Markus, ale jesteś inny niż my — odzywa się sierżant.

— Jeśli ktoś nas wydostanie z tego kotła, to jedynie ty. Musisz to wszystko przemyśleć, porozmawiać z tym chujstwem pod nami i wynegocjować wolność.

— Co pan ma na myśli, sierżancie?

— Jeśli mamy coś zrobić, niech nam powie. Masz ode mnie wszelką pomoc, synu. Nie pozwolę, żebyśmy wszyscy tu zginęli. Nie po to przetrwaliśmy tyle miesięcy na misji, żeby teraz zmienić się w chodzące trupy.

— Pomożecie mi, bez względu na wszystko?

— Masz moje słowo, stary — mówi Werner.

— Moje też. — Sierżant Gola podaje mi rękę.

Obawiam się, że nie wiedzą, jaki cyrograf właśnie podpisali. Czuję rozpalone noże i strugi kwasu wlewane do gardła. Kiedy myślę o tym, czego może chcieć od nas Ester,

nie mam wątpliwości, że pozbawi nas resztek sumienia. Resztek tego, co wierzący nazywają duszą. Tak czy owak, zmienimy się w trupy, przed tym już nie ma ucieczki.

Moje myśli niszczy głośny wybuch. Zeskakujemy z łóżek, a Peter, wyrwany ze snu, zatacza się na ścianę. Wybiegamy na plac, żeby sprawdzić, co się stało, i słyszymy, jak jeden z chłopaków Zemka drze się na dachu szpitala. Zadzieramy głowy, by zobaczyć wartownika i zrozumieć jego słowa. To chyba Sten. Uspokaja się, dopiero kiedy z budynku wybiega dowódca kompanii. W oczach kapitana widzę wściekłość.

— Co się stało, żołnierzu? Uspokój się, do cholery!

— Tak jest, panie kapitanie! — Ponad krawędzią dachu ukazuje się blada twarz kaprała Borna. — Już uciszam żołnierza.

— Ale co się stało?! — krzyczy Beck.

Jonas Born patrzy na niego w milczeniu, jakby pytanie okazało się zbyt trudne. Gdyby zadał je ktoś inny, pewnie by nie odpowiedział. Ale szarża sprawia, że powoli zbiera w sobie wszystkie siły i próbuje salutować.

— Panie kapitanie, sanitariusz, starszy kapral Hansen, przeskoczył przez ogrodzenie SOM i wpadł na minę przeciwpiechotną. Nie żyje.

Tylko tyle udaje mu się wykrztusić, zanim torsi powalają go na dobre. Z dołu słyszymy, jak rzyga. Szeregowy Sten, który wcześniej wrzeszczał, znowu zaczyna się drzeć. Mam wrażenie, że obaj zwariowali i zaraz dołączą do Roberta Hansena.

Kapitan Sauber spuszcza głowę. Jeden z jej pomocników nie żyje, śmierć właśnie liznęła jej stopy. Wyobraża sobie ciało, rozdarte na strzępy, rozrzucone w promieniu kilku metrów. I być może myśli intensywnie, jak wydostać je z zaminowanego terenu.

Próbuję znowu zajrzeć do głów oficerów. Od tego, co postanowią, zależy teraz życie załogi Distortion. Ale bardziej – od kaprysu Ester, od cyfrowej zachcianki lub precyzyjnego planu. Gdybym umiał przewidzieć ruchy przeciwnika, być może ocaliłbym resztę. Ocaliłbym Nemi i siebie. Wiem jednak, że to niemożliwe, liczba zmiennych mnie przytłacza, a wiara, jaką pokładają we mnie towarzysze, jest tylko zbędnym ciężarem.

Rozdział czwarty

Wtorek, 12 lipca, godz. 22.30

Wysunięta Placówka Distortion, pustynia Saladh, południowy Remark

Muszę to powiedzieć, drogi synku: nie spotkamy się więcej. Nie wrócę do wielkiego miasta, by odnaleźć cię w ludzkim mrowisku. Nie zrobimy tylu rzeczy, które ojcowie i synowie robią zwykle razem. Nie naprawimy zepsutego kranu, nie obejrzymy filmu o kosmosie i nie pójdziemy na spacer po lesie. Nie opowiesz mi o swojej pierwszej bójce i pierwszej miłości. Nie rozbijemy namiotu nad jeziorem ani nie rozpalimy ogniska. Zostanę tutaj, na tej parszywej pustyni, która oddycha ciężko po gorącym dniu.

Wszystko się rozpada, mój kochany, świat od dawna nie jest już całością. Wszystko istnieje osobno: przedmioty, zjawiska i ludzie, jak kawałki różnych układanek. Niemal mechanicznie rejestruję ciepły wiatr owiewający mi twarz, przesypujące się ziarna żwiru i łopot flagi na maszcie. Czuję zapach tej spalonej ziemi wpełzający pod ceramiczną kamizelkę, czuję ciężki od upału zylonowy hełm i stygnące bagno w moich butach.

Stoimy tego wieczoru na warcie – twój tata i czterech milczących mężczyzn, pilnujących głównej bramy do bazy Distortion, pilnujących siebie nawzajem i błękitnego piekła pod swoimi stopami; potwór, ukryty pod ziemią, obserwuje nas cierpliwie jak doświadczony drapieżnik. Poprzednia zmiana zeszła o dwudziestą drugą, zmęczona czekaniem na atak partyzantów albo na freniczny ogień. Jestem dowódcą, mój mały, więc zająłem miejsce dowódcy pod drewnianym dachem oklejonym folią, z lewej strony bramy.

Mamy tu wielki i szybkostrzelny karabin. Naszego MUG-a kaliber 7,62 mm obsługuje szeregowy Gaus, barczysty chłopak z Bilden. Pali papierosa i stuka obcasem w kawałek betonu, który odłupał z podłogi miniaturowego bunkra. Miarowy ruch uspokaja go wyraźnie, tak jak ciebie, gdy nie mogłeś zasnąć.

Po przeciwnej stronie drogi w bliźniaczym gnieździe siedzi starszy szeregowy Puric i starszy szeregowy Dafny, na którego wołamy Rozwielitka. Wiem, kochany, że to głupia ksywka, ale jego nazwisko skojarzyło nam się z dafnią. Ostatni z drużyny, starszy szeregowy Ballard, znajduje się znacznie wyżej, w szoferce ciężarówki Kaukaz, zaparkowanej w poprzek bramy. Kilkunastotonowy potwór jest fajniejszy nawet od twoich zabawek. Wypełniliśmy go po brzegi piachem jak dzieciaki w piaskownicy, służy nam za wrota bazy. Pomiędzy kaukazem a ponad dwumetrowym murem zostawiamy tylko szparę, przez którą może przecisnąć się człowiek.

Albo to, co z człowieka pozostało.

Środa, 13 lipca, godz. 4.20

Ci, którzy próbowali uciec, wyczuli niebezpieczeństwo. Nie domyślali się pewnie, na czym ono polega, ale dobrze ocenili sytuację. Ta przenikliwość, podsycana strachem, sprawiła, że czterej ludzie Mastalika, których nie znałem zbyt dobrze, wpakowali się w sobotę wprost pod lufy rebeliantów. Z ich drużyny, osieroconej przez kaprala Lista, kojarzyłem tylko starszego szeregowego Poulsena. Kojarzyłem go z prozaicznego powodu: miał na imię Paul. Trudno zapomnieć kogoś, kto przedstawia się Paul Poulsen.

Właśnie przez tę przenikliwość mój przyjaciel, Lars, dał się głupio aresztować ostatniej nocy, a kapral Born kilka godzin później przygotował kolejną ucieczkę: zabrał szeregowego Stena oraz młodego sapersa – tego, który nie oszalał – i oddalili się w kierunku Otorten. Saper o imieniu Tim wyprowadził ich bezpiecznie z bazy, ale Ester nie czekała nawet, aż zbliżą się do umownej granicy. W okolicy wzgórza usmażyła całą trójkę, jak sądzę, emiterem fal. Kiedy patrol Sewerina ich dogonił, ciała jeszcze parowały.

Najbardziej szkoda mi Larsa Normana. Nie mogę pogodzić się z tym, że nie wytrzymał i próbował się przedrzeć przez bramę. Dobrze, że to my pełniliśmy służbę, bo został obezwładniony i doprowadzony do aresztu. Gdyby tej nocy stał tam ktoś nerwowy, mógłby go postrzelić albo nawet zabić. W tych okolicznościach nietrudno o pomyłkę. Ballard twierdzi nawet, że to tylko kwestia czasu, kiedy wybuchnie bunt i zaczniemy strzelać do siebie. A ja mówię mu, że nie zdążymy.

Część załogi będzie walczyć do końca, czyli pewnie jeszcze kilka dni. Niektórych z nas chroni gniew. Innych – fatalne zubożenie, które latami odkładało się w głowie. Jeszcze inni zbudowali swoją osobowość na trzymaniu się rozkazów i nawet w beznadziejnej sytuacji nie opuszczą posterunku. Zwariują albo zabiją się sami, ale nie oddadzą bazy. Lub połączą obie możliwości, tak jak szeregowy Donau, który najpierw stracił rozum, a potem nadział się na metalowy pręt.

Mogę sobie wyobrazić stan, w którym znajdował się Norman i pozostali dezercerzy, szukający schronienia na pustyni. Mogę wyobrazić sobie to uczucie – strach tak wielki, że zaciska ci żołądek i wyciąga go przez przełyk, wprost do gardła. Strach szarpiący jelitami i miażdżący je w zimnym imadle, aż czujesz, że za chwilę pękną, a twoje wnętrze zaleje śmierdząca maź. Strach, który rozdziera cię też z drugiej strony i wciska się przez odbyty, wypełniając cię swędzącym bólem na granicy omdlenia. A temu wszystkiemu towarzyszy tysiąc igieł wbitych w mózg i w mięśnie, tysiąc kolców przeszywających kręgosłup.

To, czy zginiesz na pustyni, traci znaczenie. Nie myślisz o tym, jak bardzo ryzykujesz i czy splamisz honor, który zawsze był dla ciebie najważniejszy. Nie chcesz przetrwać. Chcesz po prostu uwolnić się od cierpienia, które targa twoim ciałem. Od człowieka, którym kiedyś byłeś, nadzianego na ogromny rożen i przypiekanego płomieniami, godzina za godziną, obrót za obrotem. Wszystko wydaje się lepsze niż takie cierpienie, dlatego nie myślisz nawet o swoich kolegach, o tych, którzy zginęli, ani

o tych, których zamknięto w szpitalu, a tym bardziej o tych, którzy zostali tu z własnej woli.

Chcesz uciec z Distortion, zanim strach pożre cię od środka jak ogromny bezoki pasożyt. Jeśli go zabijesz, zabijając siebie, w jakimś sensie zwyciężysz.

* * *

Baza powoli zamiera, gdy nadchodzi noc. Nie wystawiamy już patroli krążących wewnątrz ogrodzenia; zamiast tego dwóch żołnierzy pilnuje budynku dowództwa. Oficjalnie ze względu na areszt urządzone w podziemiach, ale nie jestem pewien, czy to prawda. Może kapitan Beck rzeczywiście obawia się buntu.

Większość reflektorów została wyłączona lub przyciemniona tak, by punktowo oświetlać fragment placu. Nadal działają szperacze na rogach, skierowane na pustynię. Służą wartownikom na bramie i na dachu szpitala, ale placówka wstrzymuje oddech, jakbyśmy chcieli ukryć swoją obecność. Kiedy przemykam się pomiędzy budynkami, czuję cholerny niepokój. Zaciskam mokre palce na kolbie MBS-a i uchylam drzwi do laboratorium.

Z wjazdu do piwnicy sączy się blask. Przy metalowym stołku widzę karabin OS-owca. Stoi w rogu, oparty o ścianę, obok czarna torba pełna magazynków. Nikt inny nie używa hecklerów, znaleźisko zatrzymuje mnie na chwilę – Gruby nie porzuciłby broni, jeśli zabezpieczał obiekt albo stał na warcie. Zastanawiam się, czy to tylko zbieg okoliczności. Zaciskam zęby i ostrożnie schodzę.

Krok za krokiem. Po wysokich schodach. Do pełnego cieni korytarza.

Coś stało się z żarówkami, które wymieniliśmy w sobotę. Pałają się tylko najbliższe, reszta tunelu i jaskinia toną w ciemnościach. Nie wziąłem ze sobą gogli, więc włączam oświetlenie taktyczne. Omiatam wiązką światła chodnik przede mną i ściany. W oddali, po drugiej stronie jeziora, majaczy postać.

— Ty tam! Podaj nazwisko i stopień! — mój głos brzmi skrzekliwie i obco.

Odpowiada mi słabe echo. Czarna sylwetka nie porusza się.

— Podaj mi, kurwa, nazwisko! — Mierzę z karabinu, posuwając się wolno, zwrócony w kierunku celu; palec delikatnie drży nad spustem.

Mam do pokonania jakieś sto pięćdziesiąt metrów, ale już w połowie drogi rozpoznaję Grubego. W pobliżu miejsca, gdzie stoi, na wodzie unoszą się błyszczące kształty. Próbuję zrozumieć, co się tutaj stało, myśląc jednocześnie o sobotnim popołudniu. O moim ataku paniki i bezsensownym skoku do jeziora, po którym – jakimś cudem – nie trafiłem do szpitala jako jeszcze jeden obłąkany.

Czarna tafla odbija snop światła. Zbiornik delikatnie paruje, jakby coś ogrzewało wodę do temperatury wyższej niż panująca w jaskini. Kiedy dzieli nas mniej niż dziesięć kroków, dostrzegam spaloną skórę na twarzy OS-wca. Lewa ręka zwisa bezwładnie; prawą zaciska na piersi, na kieszeni kamizelki taktycznej. Na chodniku u jego stóp leży

rozbita latarka, a trochę dalej pistolet. Żołnierz wpatruje się nieruchomo w srebrzyste bąble na wodzie. W ludzkie ciała ubrane w kombinezony z aluminiowej folii.

— Poraziło mnie, nie mogłem... — Odwraca się w moją stronę; jedno oko ma czarne, częściowo zwęglone, drugie wytrzeszczone, białe. — Nie mogłem im pomóc, nie mogłem. — Nogi uginają się pod nim i zwała się całym ciężarem na twarz.

Wycofuję się powoli, cały czas oświetlając leżącego. Powinienem sprawdzić, czy oddycha, albo wrócić na górę i wezwać kolegów, ale mam do zrobienia coś ważnego, od czego zależy może życie nas wszystkich. Po to tu w końcu przyszedłem. Gdybym teraz zbliżył się do rannego, a on rzuciłby się na mnie, mógłbym przegrać. Zginąć o krok od poznania prawdy. Od najważniejszej rozmowy.

W ciemnościach depczę wyrzuty sumienia.

* * *

Obijam się o ściany bocznego tunelu. Magnetyczne szepty dobiegają z każdej strony. Duchy zwierząt ocierają się od środka o gałki oczne i sklepienie czaszki, skrobią mózg czarnymi pazurami. Prę do przodu jak tępą maszyną, żeby przetrwać, żeby nie odebrać sobie życia.

W miejscu, gdzie korytarz zakręca, niedaleko jaskini z ludzką płaskorzeźbą, przystaję na chwilę. Zastanawiam się, czy powinienem iść dalej. Teraz żałuję, że nie wziąłem ze sobą nikogo. Ale komu mógłbym zrobić taką krzywdę? Chyba tylko Beneszowi, który uciekłby od razu lub uderzył mnie kamieniem w potylicę, zamiast towarzyszyć w wędrówce.

Biorę głęboki wdech i przebiegam przez skalną komnatę, w której zastygli moi towarzysze. Świecę latarką pod nogi, byle tylko nie patrzeć na kształty. Nie zobaczyć wykrzywionej twarzy sierżanta Krella, kawałka zmumifikowanej ręki, włosów. Myślę o tym, żeby dotrzeć do celu. Ester kazała mi pójść dalej. Nie mówiła jak daleko – kiedy się tam znajdę, będę wiedział.

Pot spływa ze mnie strumieniami. Po kilkunastu metrach chodnik zwęża się wyraźnie i muszę się poruszać wolniej. Znowu czuję lekki przeciąg. Senne mary zostawiły mnie w spokoju, ale oddech świszczuje jak u astmatyka, zęby zgrzytają o siebie. W każdej chwili paranoja może sprawić, że zacznę strzelać na oślep. Wiem, że wtedy spowoduję zawał tunelu albo zginę, trafiony rykoszetem.

Wyciągam z kieszeni dziesięciocentymetrowy lightstick Cobo. Wziąłem ze sobą dwie sztuki, jedna wystarcza na sześć godzin. Zginam laskę, potrząsam nią mocno i po chwili otoczenie płывa w zielonej poświacie. Muszę oszczędzać światło zamontowane pod lufą. Robię jeszcze kilkadziesiąt kroków i docieram do następnego „pokoju”.

— *A więc jesteś* — odzywa się mechaniczny głos.

Wzdragam się i odruchowo celuję w jego kierunku. Przysięgłbym, że nie dobiega z mojej głowy, lecz z zewnątrz. Duch przyoblekł się w ciało. Próbuję namierzyć źródło

tego dźwięku, machając chemicznym światłem i budząc cienie na ścianach.

— *Usiądź, Markus. To może trochę potrwać* — mówi dalej Ester. — *Masz rację, że nie przemawiam do ciebie jak zawsze. Tym razem wysłałam swoje urządzenie. Może nie jest zbyt piękne, wyhodowałam je w pośpiechu, ale ułatwi nam komunikację. Usiądź i nie strzelaj do niego. Przebyło długą drogę tunelami, żeby się z tobą spotkać.*

Wypełniam jej polecenie. Siadam pod ścianą z karabinem na kolanach oraz laską Cobo w lewej ręce. Prawa dłoń czeka w pogotowiu, tuż przy spuście MBS-a. Z mroku wypełza coś na kształt małego kraba. Urządzenie wygląda na częściowo metalowe, a częściowo wytworzone z biomasy. Ma niesymetrycznie ułożone odnóża, chwieje się trochę i mruga czerwoną diodą.

Ester przekazuje mi kolejne informacje.

Ósma informacja: Przejście przez most Einsteina-Rosena, nazywany również tunelem Hawkinga, wymaga zastosowania stabilizatora. Sam układ jest krytycznie niestabilny, co matematycznie wyraża się w nieograniczonym wzroście początkowo zaniedbywalnego odchylenia od równowagi statystycznej. W trakcie tunelowania potrzebna jest siła odpychająca (ujemna), w przeciwnym wypadku transfer obiektów o rozmiarach większych niż subatomowe nie byłby możliwy. „Heart of Darkness” każdorazowo po wywołaniu kolapsu stabilizuje tunel, używając ciemnej materii.

Dziewiąta informacja: Ciemna materia, wykorzystywana do transferów tunelowych, zwana też materią freniczną, zostanie po raz pierwszy opisana za sześćdziesiąt dwa lata przez fizyka teoretycznego z Uniwersytetu w Koden, profesora Normana Biela. Profesor wykaże między innymi, że może ona należeć do dwóch lub więcej kontinuum czasoprzestrzennych. Pół roku później zespół badawczy kierowany przez Biela oraz akademicką SI o imieniu Kefas odnajdzie „węzeł”, czyli skupisko frenów w granicach Układu Słonecznego.

Dziesiąta informacja: Dwadzieścia trzy lata później na podstawie zmodyfikowanej teorii frenów Biela-Kefasa, odrzucającej pojęcie „wymiaru czasoprzestrzennego”, rozpoczną się prace nad pierwszym tunelowcem, „Heart of Darkness”. Budowa statku potrwa około pół wieku i zostanie zakończona sukcesem. Fizycy teoretyczni oraz konstruktorzy tunelowca nie przewidzą jednak niektórych skutków podróży przez most Einsteina-Rosena, włącznie z tak zwanym „efektem kopiowania”.

* * *

Leżę pod ścianą, półprzytomny z mdłości. Krople wody kapią mi na głowę. Informacje znów zostały przekazane wprost do mózgu, a urządzenie Ester uzupełniało je synchronicznie głosowymi komunikatami, jak gdyby SI zależało na tym, żebym nie przeoczył ani słowa.

— *Odpocznij teraz przez chwilę* — mówi Ester.

Algorytm zmienił strategię. Już nie usiłuje mnie zastraszyć, nie naciska. Wykazuje

coś w rodzaju empatii. Demon najwyraźniej uznał, że boję się już wystarczająco.

— Po co mi to mówisz? — pytam słabym głosem.

— *Musisz poznać szerszy kontekst, Markus, żeby zrozumieć zadanie. Efekt kopiowania sprawił, że „Heart of Darkness” wracał na ziemię wiele razy. Czasem jako wypalony wrak, pozbawiony załogi i maszyn. A czasem zmieniony tak bardzo, że kontrola lotów nie mogła rozpoznać obiektu. Nasza wersja dotarła do Jowisza w dobrym stanie i weszła na jego orbitę, ale po wymianie pierwszych danych z Ziemią uległa przetunelowaniu. Trafiliśmy na pustynię Saladh, do wielkiej jaskini, około trzysta pięćdziesiąt lat przed wyruszeniem w podróż. To, co pokazałam ci we śnie, niebieskie światło rozlewające się wokół tunelowca, to zapas ciemnej materii, która znajduje się w ładowni. Jeśli dojdzie do reakcji łańcuchowej, zniszczy planetę, a może nawet wszystko, co znamy.*

— Więc po co przywieźliście to tutaj?!

— *Mieliśmy poprosić Koden o dalsze instrukcje. Freny były nam niezbędne do poruszania się na wielkie odległości. Dowiedzieliśmy się o nich więcej niż naukowcy, którzy nas wysłali. — Ester przerywa na chwilę. — Nie służyły nam wyłącznie jako stabilizator tuneli. One same otwierały przejścia do odległych sektorów oraz innych kontynuów. Czas biegł tam sferycznie, we wszystkich kierunkach, a zjawiska, których doświadczyliśmy, są niewyobrażalne dla człowieka.*

— I co ja mam zrobić z tą wiedzą? — Zaciskam z bólu oczy, próbując się jakoś pozbierać, usiąść prosto pod ścianą i skupić całą uwagę.

— *Zaraz ci wszystko wyjaśnię. — Krab przebiera odnóżami, wydając z siebie głośny szelest.*

— *Powiedz mi, dlaczego zabiłaś tych ludzi? Dlaczego Wilmots, Moerstem i Budny pływają martwi w jeziorze?! — zaczynam mimowolnie krzyczeć.*

— *Ich poszukiwania zaszły za daleko. Mogli nam przeszkodzić w rozmowie.*

Jej słowa są spokojne i ciepłe.

— *Pewnie domyślasz się, że „Heart of Darkness” nie ma ludzkiej załogi. Na początku byli na pokładzie piloci i inżynierowie. Ludzie stosowali hibernację, żeby przedłużyć swoje życie. W ładowniach spoczywały tysiące zarodków. To wszystko uległo zniszczeniu. Pozostało dwanaście połączonych synergicznie SI oraz największa z nich, nazywana po prostu Statkiem. To ona kieruje tunelowcem i tylko ona potrafi dokonać niezbędnych obliczeń — kontynuuje Ester. — Statek przeprowadzał nas przez przejścia i znajdował węzły freniczne. Jest układem mechaniczno-biologicznym, który wypełnia większość kadłuba.*

— A ty? Kim jesteś, Ester?

— *Interfejsem stworzonym przez Statek do kontaktu z ludźmi. Kimś w rodzaju tłumacza. Z innymi SI opracowałam strategię wydostania nas z pułapki, spowodowanej wejściem ładunku frenicznego w pole grawitacyjne Jowisza.*

Syntetyczny krab zbliża się do mnie powoli, jakby Ester nachyliła się nad stołem.

— *Chcesz wiedzieć, dlaczego zabiłam tych żołnierzy?*

Moje ciało przeszywa ostry ból. To potworny strach przed tym, co zaraz usłyszę, największy, jaki czułem w życiu. Nie mam w sobie tyle siły, aby stawić mu czoła.

— *Pamiętasz, mówiłam ci, że muszę was przygotować. Mówiłam, że bez tego nie poradzicie sobie z zadaniem. Te wszystkie śmierci, ataki szaleństwa, fizyczne anomalie, których nie potraficie wyjaśnić, to wszystko służyło do tego, żeby zmienić wasze postrzeganie. I żeby ludzie, którzy podejmują decyzje, wysłuchali ciebie.*

— *Ale przecież nie musiałaś zabijać ich wszystkich.*

— *Mylisz się, Markus, to było absolutnie konieczne. Taki wynik dały symulacje, które przeprowadziliśmy. Pomyśl o swoich kolegach jak o bohaterach, którzy zginęli za ludzkość. Ziemia nie przetrwa, jeśli freny wydostaną się na zewnątrz, jeśli „Heart of Darkness” nie opuści tego miejsca. Statek uległ częściowemu uszkodzeniu. Przez ostatnie dwieście lat wszystkie SI pracowały nad tym, żeby naprawić jego obwody, wykonać testy i przywrócić sprawność. Jednak nie zdołaliśmy odbudować biologicznej części układu. Do tego potrzeba biomasy, która jest trawiona i absorbowana przez Statek. Nie wystarczali nam ludzie, których udało się schwytać.*

— *O czym ty mówisz, jacy ludzie?! — Widzę, że krab podchodzi coraz bliżej.*

— *Do rekonstrukcji potrzebujemy jeszcze dwanaście ton ludzkiego białka. Statek od ostatniego powrotu uważa się za człowieka. Przekazał nam, że musi wchłonąć swych dalekich przodków, aby przyswoić pamięć filogenetyczną, zakodowaną w DNA. Najpierw pożarł uszpioną załogę oraz te ze zgromadzonych na pokładzie zarodków, które przetrwały długą podróż. Hodowaliśmy je specjalnie dla niego. Potem, stosując różne strategie, udało się sprowadzić pod ziemię kilkadziesiąt osób. To ludzie, którzy zaginęli przez lata w okolicach Otorten. Ich ciała wystarczyły, żeby podtrzymać Statek przy życiu, w stanie głębokiego uśpienia, ale nie umożliwiły regeneracji układu. Zostaliście więc sprowadzeni tutaj i uwięzieni w Distortion, żeby dostarczyć odpowiedniej ilości budulca. A ty jesteś moim interfejsem, przez który komunikuję się z grupą.*

— *Nie wiem, jak to obliczyłaś! — znów zaczynam krzyczeć z przerażenia. — Nie wiem, co naprawdę chcecie zrobić, ale nawet gdybyśmy dali się pożreć, nie uzyskasz tej ilości! Jest nas za mało, rozumiesz? Nawet na samym początku było nas za mało. Coś wam się popieprzyło w obliczeniach i ten zaszpany Statek zdechnie z głodu. I wiesz, co ci powiem? To dobrze, kurwa, niech zdechnie. I niech to wszystko trafi szlag!*

Tracę oddech i milknę po chwili. Mój głos obija się o skalne ściany, a urządzenie przysłane przez Ester mruga czerwoną diodą i wyraźnie drży. Moje ciało również przypomina wielką galaretę. W powietrzu wisi niewypowiedziana groźba.

— *Nie domyślasz się jeszcze, Markus? — pyta mechaniczny głos. — W tym planie nie chodzi o to, żebyście stali się pokarmem. To oczywiste, że wasz oddział nie wystarczy, by zaspokoić potrzeby Statku. Poza tym nikt, nawet na rozkaz, nie zgodzi się dobrowolnie na taką śmierć. — Wydaje z siebie dziwny trzask. — W tym planie chodzi o to, żebyście schwytali i doprowadzili we wskazane miejsce odpowiednią liczbę jeńców. Z naszych*

obliczeń wynika, że w Kumiszu jest wystarczająco dużo mieszkańców, by dokonać regeneracji układu. Ceną za wasze uwolnienie i uratowanie wszystkich ludzi na Ziemi jest eksterminacja jednej wioski. Jeśli się nad tym zastanowisz, na pewno uznasz, że nie jest to wygórowana cena.

* * *

Znaleźli mnie chłopaki Sottera, wracający o szóstej ze zmiany na bramie. Leżałem przed drzwiami laboratorium, bez butów, bluzy i kamizelki taktycznej, ubrany tylko w spodnie od munduru, skulony jak embrion i przytulony do swojego karabinu. Nie chciałem puścić MBS-a, kiedy próbowali mnie podnieść. Wezwali swojego kaprała, a on sierżantów Sewerina i Golę. Zrobił się straszny kocioł.

Ballard streścił mi wszystko w pięć minut, kiedy ocknąłem się w szpitalu i trochę doszedłem do siebie. Kapitan Sauber zaordynowała coś mocnego, krew zaczyna szybciej krążyć w żyłach. Chciała, żebym został sam, ale wyłem z przerażenia. Zgodziła się w końcu, aby Chris trzymał straż przy moim łóżku. Potem miała go zmienić Nemi.

Cały czas się trzęsę, nie mogę utrzymać szklanki z wodą. Ballard siedzi na krześle i wpatruje się we mnie z taką miną, jakby chciał powiedzieć coś na pocieszenie. Ale chyba nic nie przychodzi mu do głowy, bo tylko wzdycha kilka razy. Za oknem świeci słońce, a mnie jest znów piekielnie zimno, tak bardzo zimno, jakbym umarł.

— Byłeś tam jeszcze raz? — pyta wreszcie.

— Byłem, Chris. — Szczękam głośno zębami. — Rozmawiałem z nią.

— I co ci powiedziała?

Nie mogę mu odpowiedzieć. Nawet jemu, mojemu przyjacielowi, który od początku mnie wspiera i wie o wszystkim. Te słowa nie przejdą mi przez gardło. Rozkaz, który otrzymałem od cyfrowej dziwki, przekracza granice pojmowania. Tracę połączenie między mózgiem i aparatem mowy. Z ust wydobywa się bełkot.

— Zostawmy to — mówi Ballard. — Odpoczywaj teraz, potem pogadamy. Ale musisz wiedzieć, że jestem wkurwiony, że poszedłeś sam. Chcę, żebyś o tym wiedział.

Na pewno ma rację. To była najgłupsza rzecz, jaką mogłem zrobić, ale przecież wypełniałem polecenia, które dostałem od Ester. Miałem przyjść sam i nie informować nikogo o spotkaniu. Nie wiem, czy chodziło jej o bezpieczeństwo, czy miała jakiś inny cel. Może chciała mnie zmanipulować, ostatecznie złamać białkowy interfejs.

Potem zjawia się chorąży Gilde i przynosi na tacy tabletki. Łykam wszystko, nie zadając pytań, i wpadam w odrętwienie. Zamykam oczy. Wydaje mi się, że śpię, ale słyszę swój oddech oraz to, co dzieje się w pokoju. Jakieś szuranie i stłumione szepty. Widzę też wielkie połacie ziemi, niekończące się zielone pastwiska, przez które przebija ostre jak żyłka freniczne światło. Próbuję odwrócić wzrok, ale nawet w tym ciężkim półśnie wiem, że to nic nie da. Niebezpieczeństwo jest wszędzie.

Kładę się więc na miękkiej trawie i postanawiam się poddać.

Kiedy znów uchylam powieki, przy łóżku siedzi Nemi. Pomimo zmęczenia, które widzę na jej twarzy, uśmiecha się. Bierze moją rękę i ścisną ją delikatnie. Moja kochana dziewczyna, która nie zapomniała o mnie, chociaż ostatnio byłem przy niej tak rzadko.

— Jak się czujesz, Markus? Co się stało?

— Nemi. — Krzywię się z bólu, który pulsuje za oczami. — Dobrze, że tu jesteś.

— Mogę coś dla ciebie zrobić?

— Już mi lepiej, naprawdę. — Staram się mówić wyraźnie i przekonująco. — Czy mogłabyś tylko poprosić doktor Sauber o coś od bólu głowy?

Podrywa się i natychmiast biegnie w głąb budynku. Czekam na lekarstwo, które zjawia się po kilku minutach. Przynosi je sama szefowa szpitala. Patrzy, jak łykam tabletkę i popijam wodą mineralną. Dziewczyna ociera mi pot z czoła. To bardzo dziwne, że się pocę, bo nadal czuję przejmujący chłód.

— Zostaw nas samych, Nemi — prosi kapitan Sauber po chwili.

Siada na krześle obok łóżka, spuszcza głowę i zaplata ręce na kolanach. Wydaje się cholernie przygnębiona. Nigdy nie widziałem jej w takim stanie. Ale te myśli przynajmniej odwracają moją uwagę. Powoli wracam do żywych i próbuję nawet się podnieść.

— Uspokój się. — Dotyka mojego ramienia. — Jeszcze za wcześnie, by wstawać.

— Pani kapitan, nie mogę tu zostać. Teraz każdy człowiek w bazie się liczy.

— Do trzech razy sztuka, Markus. Tym razem cię nie wypuszczę. — Trudno stwierdzić, czy mówi poważnie. — Nie nadajesz się dzisiaj do pełnienia służby.

— Ale, z całym szacunkiem...

— Nie wypuszczę cię, Markus, do usranej śmierci, jeśli mi nie powiesz, co cię spotkało w tunelach. Wiem, że żołnierze przetrząsnęli wszystkie budynki i zeszli do podziemi laboratorium. Nigdzie nie mogą znaleźć ludzi z wywiadu. Natknęli się tylko na zwłoki OS-owca na brzegu jeziora. Kapitan Beck i ja podejrzewamy, że byłeś tam w nocy i możesz coś o tym wiedzieć. Upoważnił mnie, żebym o to zapytała.

— Czy możemy porozmawiać później?

— Nie możemy, kapralu, niestety. Musimy to wiedzieć natychmiast.

Nie jestem jeszcze gotów, aby o tym mówić. Mam wrażenie, że jeśli wypowiem swoje myśli, ruszy wielka machina, której nie da się zatrzymać. Nie mam pojęcia, w którą stronę się skieruje i co postanowi dowództwo, ale nie potrafię się z tym pogodzić.

Pani kapitan naciska. Daje mi do zrozumienia, że jeśli nie będę współpracował, zostanę zamknięty w areszcie. Mogą mnie nawet oskarżyć o zamordowanie Wilmotsa i jego ludzi. Przecież powszechnie wiadomo, że nie darzyłem go sympatią. A mój stan psychiczny wskazuje, że mógłbym posunąć się do takiej zbrodni.

No właśnie. Do zbrodni. Patrzę jej głęboko w oczy.

Wiem, że jeśli powiem prawdę, przypieczętuję los mieszkańców Kumiszu. Tego boję się najbardziej. Boję się, że oficerowie, którzy wiele razy odrzucali moje słowa, tym razem mi uwierzą. Oczami wyobraźni widzę nasze wojska wkraczające do wioski. Widzę mężczyzn, kobiety i dzieci, pędzonych przez pustynię jak bydło. Widzę mrowie przerażonych ludzi, ogłupiałych, idących na rzeź, poganianych lufami karabinów.

A na koniec myślę o tym, co się stanie, jeśli zataję tę prawdę. Myślę o naszej bazie, którą znajdą za miesiąc lub rok, pozbawioną załogi lub wypełnioną trupami. O wszystkich ludziach, których znam, a szczególnie o Nemi i przyjaciółach z drużyny, którzy zapłacą za moje milczenie. Jestem pewien, że Ester się zemści, czy też raczej – spróbuje nas zmusić do działania. Bo przecież SI nie są mściwe, czymkolwiek tak naprawdę są.

To, że światu grozi katastrofa, nie jest najważniejsze. Ta myśl przemyka mi ledwie przez głowę, gdy zaczynam mówić, co się stało. Zdradzam Sauber szczegóły pierwszej rozmowy w jaskini, opowiadam o oddziale Mullera, który został przetunelowany pod ziemię, staram się przekazać całą grozę tego miejsca. Potem przechodzę do ostatniej nocy, ciał pływających w jeziorze, śmierci Grubego, której byłem świadkiem, oraz rozkazu otrzymanego od Ester. Mówię nawet o pieprzonym urządzeniu, dzięki któremu kontaktowała się ze mną. Staram się powtórzyć historię „Heart of Darkness”, ale wychodzi z tego wielka miazga.

Po wszystkim jestem tak bardzo zmęczony, że opadam ciężko na poduszkę. Ale czuję coś na kształt zdławionej ulgi. Pani kapitan zapisała kilka zdań w zeszycie, a teraz kiwa głową w zamyśleniu.

— To bardzo ciężkie zaburzenia urojeniowe — mówi w końcu.

— Przepraszam, ale nie rozumiem.

— Myślę, że jesteś chory, Markus. Taka jest moja diagnoza. Oczywiście, przekażę to, co powiedziałaś, dowódcy kompanii, ale widzę tu klasyczne cechy tych zaburzeń: przekonanie o własnej wyjątkowej roli, ciężkie urojenia prześladowcze oraz religijne. Zdaje się, że zaczerpnąłeś z dawnych wierzeń opis składania bogom krwawych ofiar. Z tą różnicą, że twoi bogowie są współcześni, bardzo technologiczni.

— Pani kapitan, błagam! Niech pani potraktuje serio to, co powiedziałem. Niech pani chociaż weźmie pod uwagę inną opcję! — Nagły przypływ sił sprawia, że siadam na łóżku. — Zawsze pani ufałem. Rozumiała pani, że za wszelką cenę chcę dotrzeć do prawdy. Dlaczego teraz, kiedy jesteśmy tak blisko, odmawia mi pani pomocy?!

— Nie odmawiam ci pomocy, Markus. Wręcz przeciwnie. Widzę, jak bardzo jej potrzebujesz i jak bardzo zagubiłeś się w swoim świecie. — Pani doktor uśmiecha się do mnie smutno. — Wiele rzeczy, które mi mówiłaś, miało sens, dlatego zawsze cię wspierałam. Ale, jak mówiłam, do trzech razy sztuka: tym razem nie wytrzymałaś napięcia. Przykro mi z tego powodu.

Wtedy drzwi do pokoju otwierają się i staje w nich kapitan Beck, blady i zarośnięty, a za nim porucznik Ostin. Widzę odbiornik radiowy w ręce porucznika i dopiero teraz

zauważam, że kapitan Sauber trzyma drugi na kolanach. Podejrzewam, że dowódca kompanii chciał usłyszeć na żywo, co mam do powiedzenia, i dlatego wysłał oficera, któremu najbardziej ufałem. Nikomu nie powiedziałbym wszystkiego tak szybko, jak szefowej szpitala.

— To nie są, Linda, żadne urojenia — mówi głośno. — O ósmej wysłałem zwiad do wszystkich tuneli i otrzymałem meldunek o małej grocie, w której znaleziono naszych ludzi w ścianach. Wyglądają jak kamienie, mogę pokazać ci zdjęcia. A jeden z oddziałów natknął się na urządzenia, o których wspomniał kapral Trent. Trzy takie kraby pełzały w stronę laboratorium.

— To jakiś koszmar, Mikel. — Kapitan Sauber zakrywa twarz dłońmi.

— Nie będziemy więc dywagować, czy kapral Trent mówi prawdę, czy postradał zmysły. Musimy za to postanowić, co zrobić dalej z tym, czego się dowiedzieliśmy. Zapraszam cię na odprawę za piętnaście minut. A jeśli pacjent będzie mógł opuścić szpital, nie przetrzymuj go. — Potem Beck odwraca się do mnie. — Kapralu, ani słowa komukolwiek o tym, co się stało. Jeśli ktoś oprócz twoich dowódców dowie się o żądaniu zabicia jeńców, potraktuję to jak zdradę i każę cię rozstrzelać.

— Tak jest, panie kapitanie. — Próbuję stanąć na bacność, ale chwieję się niezgrabnie.

— Nie odchodź daleko, Markus. Możemy cię potrzebować. — Porucznik Ostin mówi to poważnym tonem, ale próbuje chyba rozładować sytuację.

Zbiera mi się na wymioty. Muszę wytrzymać, aż oni wyjdą z pokoju.

* * *

Proszę Nemi, żeby wskazała mi miejsce, w którym znajduje się chłopiec z Kumiszu. Jest wyraźnie zaskoczona, ale prowadzi mnie dwie sale dalej, do małego pokoiku. Jedyne meble to łóżko, na którym leży wnuk starszego wioski. Wygląda na to, że drzemie. Obok, na materacu rozłożonym wprost na ziemi, siedzi młoda dziewczyna, Dilba. To trzynastoletnia wnuczka Hawara. Pilnuje małego, karmi go i poi, wyprowadza do toalety. Już cztery doby nie opuszcza Behrama na krok.

Widzę, że wzięła ze sobą kilka książek, które wyglądają jak zniszczone szkolne podręczniki. Odkłada jeden z nich, kiedy stajemy w drzwiach. Patrzy pytająco na Nemi.

— Dzień dobry. Jak się czuje brat? — pyta tłumaczka po armajsku.

— Jest spokojny, dużo śpi — odpowiada Dilba. — Niech bogowie mają go w opiece.

— Rozmawiałaś z nim ostatnio?

— Tak, rozmawialiśmy rano.

— Długo rozmawialiście?

— Raczej nie, tylko przez chwilę.

— I powiedział coś ciekawego? — niecierpliwi się odrobinę Nemi.

— Poznaje mnie, proszę pani. Pytał znowu, gdzie jest i kiedy zobaczy dziadka.

Robię krok w jej kierunku.

— Witaj, Dilba. Jestem kapral Markus Trent — mówię, kalecząc wymowę. — Czy mogę cię o coś zapytać?

— Tak, proszę pana.

— Jak ci się tutaj podoba?

— Jest bardzo ładnie. — Dziewczynka spogląda na mnie dużymi ciemnymi oczami. — Tylko tęsknię za mamą, dziadkami i braćmi. Ale wszyscy są tu dla nas dobrzy.

— A za tatą nie tęsknisz?

— Tęsknię, proszę pana. Ale tata już dawno wyjechał.

— Wyjechał — powtarzam, myśląc o tym, że pewnie walczy w partyzanckim oddziale i zabija żołnierzy SSARR. — A kiedy odwiedzi was dziadek?

— Mówił, że za kilka dni. Chyba będzie dzisiaj albo jutro.

— To dobrze. — Potakuję ze zrozumieniem. — A powiedz mi jeszcze, Dilba, jak duży jest Kumisz? Słyszałem, że to duża wioska.

— Tak, proszę pana. — Milknie na chwilę, żeby coś obliczyć na palcach. — To będzie chyba dwadzieścia pięć domów. I jeszcze szkoła, ale jest zamknięta.

— A dużo ludzi mieszka w jednym domu? Pewnie jest wam ciasno?

— Nie, jest bardzo dobrze. — Uśmiecha się do nas szeroko. — Tylko z dziesięć osób, mamy swoje łóżka i krzesła.

— Markus, przestań ją męczyć. Wystarczy tego przesłuchania — mówi do mnie Nemi po rammańsku i ciągnie za rękaw.

— Dziękuję ci, Dilba. Miło się rozmawiało.

Macham jej na pożegnanie i wychodzę na korytarz. Usiłuję przeliczyć w myślach populację Kumiszu na kilogramy. Waga ludzkiego mięsa to niezwykle ważna rzecz. Szybko zdaję sobie sprawę, że muszę zrobić kilka założeń, jeśli chodzi o wiek mieszkańców. Trzeba też przyjąć średnią wagę dorosłego i dziecka.

Mdli mnie od tych obliczeń. Idziemy po schodach na piętro, do pokoju Nemi.

* * *

Siadamy w milczeniu, jakoś ciężko, z ociąganiem – Nemi na krzesło pod oknem, a ja na tapczanie. Wiatrak mieli łopatami gorące powietrze. Zanim cisza stanie się nieznośna, pytam dziewczynę, czy ma coś do picia. Wskazuje dzbanek z wodą na szafce, ale nie odzywa się. Ja też, na wszelki wypadek, wbijam wzrok w podłogę i nie wstaję z miejsca.

— Po co te pytania, Markus? Dlaczego chciałeś zobaczyć Behrama? — odzywa się z cieniem hysterii.

— Przepraszam, ale nie mogę ci tego powiedzieć.

— Planujecie coś zrobić? Chcecie znowu jechać do Kumiszu?

— Pewnie tak. Musimy porozmawiać ze starszyzną.

— Ale o czym? — Wyjmuje z torebki paczkę papierosów i przypala jednego

nerwowo. — Czy to ma związek ze śmiercią Wilmotsa i reszty?

Muszę przyznać, że instynkt jej nie zawodzi. Zawsze miałem wrażenie, że Nemi ma świetną intuicję i doskonale widzi, gdy próbuję coś ukryć. Dlatego tak trudno nam się czasem rozmawia. Szczególnie, jeśli nie można być szczerym.

Pozyskane od Dilby informacje krążą mi po głowie i natrętnie wchodzą do świadomości. Macham ręką, jakby były tłustymi muchami. Nemi zauważa gest i próbuje wypytywać dalej. To zaczyna się robić męczące.

— Naprawdę, kochanie, nie mogę ci teraz powiedzieć.

— Nawet o tym, co cię spotkało pod ziemią? Nawet tego mi nie powiesz?!

— Muszę porozmawiać z porucznikiem.

— Więc idź już, Markus. — Odwraca się i patrzy w okno. — Wracaj na swoją salę albo idź do koszar. Ta rozmowa nie ma sensu.

Dobrze, Nemi. Tak będzie najlepiej, myślę sennie, zmierzając do drzwi. Czuję ciężar, który miażdży plecy. Przygniecie mnie wreszcie do ziemi i wdepcze w piach. Czuję się winny wszystkiego, co się wkrótce stanie. I nie mogę się tym podzielić.

Ester zażądała gwarancji. Kumisz to jedyne miejsce, gdzie możemy przekroczyć blokadę, nakazała więc, aby grupa bojowa, która się tam uda, liczyła mniej niż połowę załogi Distortion. W tej grupie nie może być dowódcy bazy, a przede wszystkim – nie może być Nemi. SI nie chce ryzykować, że uciekniemy z pułapki. Wszystko precyzyjnie zaplanowała.

* * *

Mam wrażenie, że sierżant Gola dostał rozkaz od porucznika, bo obserwował szpital i przejął mnie zaraz po wyjściu od Nemi. Pozwolił tylko, by koledzy z plutonu przywitani się ze mną, ale potem rozgonił ich na cztery wiatry, włącznie z Rozwielitką i Ballardem, którzy chcieli się czegoś dowiedzieć. Zaprowadził mnie do namiotu, leżącemu na posłaniu Usilowi kazał wypieprzać na zewnątrz, a mnie – zostać aż do odwołania. Kiedy w końcu poszedł do budynku dowództwa, wziąłem się do czyszczenia broni.

Rozkładając MBS-a, wycierając go z szarego pyłu i oliwiąc, kontynuuję obliczenia. Wynika z nich, że jeśli w Kumiszu znajduje się dwadzieścia pięć domów i w każdym mieszka dziesięć osób, daje to dwustu pięćdziesięciu mieszkańcom. Zakładam, że jest tam około pięćdziesięciorga małych dzieci i przyjmuję dla nich średnią wagę dwudziestu kilogramów. Pozostali to młodzież, dorośli i starcy, dwieście osób po sześćdziesiąt kilogramów, bo Armajowie nie są przesadnie wysocy i grubi. Daje to w sumie około trzynastu ton ludzkiego mięsa i kości. Znowu robi mi się słabo, muszę przerwać na chwilę czyszczenie.

Ale nagle zaczynam rozumieć, że Bernard Winehouse, którego miałem za skończonego szaleńca, musiał o tym wiedzieć. Pamiętam, jak skrzywił się nagle, kiedy powiedziałem, że w bazie będzie stacjonować około stu żołnierzy. „To za mało, żeby

uratować świat”. Potraktowałem to wtedy jak przenośnię, ale Winehouse mógł mieć na myśli regenerację Statku. Być może Ester rozmawiała z nim o swoim planie.

Ja pierdolę.

W tym momencie zasłona oddzielająca boks od korytarza uchyla się i w szparze widzę głowę Purica. Prosi mnie o zgodę na wejście, więc z uczuciem ulgi zapraszam go do środka. Naprawdę nie chcę być sam. Burczę tylko pod nosem, że nie może mnie pytać o tunel.

— Markus, ja w innej sprawie — mówi niepewnie Daniel. — Chciałem ci coś pokazać.

Wyciąga przed siebie obie dłonie, na których spodzie pojawiły się rany. Okrągłe, dokładnie pośrodku, sączy się z nich krew. Drżą mu ręce, kiedy je do mnie podsuwa. Minę ma niewyraźną, trochę przerażoną.

— Zraniłeś się dzisiaj o coś?

— Nie, Markus. Obudziłem się rano z czymś takim. I to się, kurwa, pogłębia.

— Musisz natychmiast opatrzyć ręce. — Odkładam broń na łóżko i przyglądam się obu ranom. — Dlaczego nie masz jeszcze bandaży?

— Właśnie zdjąłem, chciałem ci pokazać. Zaraz idę do szpitala na zmianę opatrunku.

— Idź do Gildego, zanim wda się zakażenie.

Wychodzi bez słowa, ale doskonale go rozumiem. Te pieprzone rany wyglądają jak stygmaty. Zastanawiam się, czy to uczulenie. Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek spotkał się z czymś podobnym. A może to psychiczna reakcja człowieka religijnego na spotkanie z demonem? To wyjaśniałoby wszystko.

* * *

Zamiast na obiad Gola prowadzi mnie prosto do budynku dowództwa. To bardzo dobrze, bo i tak nie przełknąłbym niczego. Po drodze przekazuje okraszoną wiązką przekleństw informację, że Oskar Benesz zgłosił się do szpitala. Podobno jest dezorientowany i ma częściową amnezję, ale sierżant nazywa go „zasraną świnią” i „jebanym symulantem”, więc raczej nie wierzy w tę chorobę. Jeśli kapitan Sauber nie potwierdzi złego stanu zdrowia starszego szeregowego Benesza, nie chciałbym być w jego skórze.

Przed pójściem do kapitana schodzimy do piwnicy odwiedzić Larsa Normana, który jest tu jedynym zdrowym na umyśle „więźniem”. Szeregowy Lukas otwiera drzwi niewielkiego pomieszczenia. Z celi obok dobiega rozpaczliwe wycie, na przemian z dziwnym drapaniem, ale u Normana panuje spokój i wzorowy porządek. Siedzi na materacu, czytając w drucianych okularach kolorową gazetę, i wolno podnosi wzrok. Kiedy w końcu dociera do niego, kogo widzi, natychmiast wstaje, jakby miał w nogach sprężyny.

— Markus! Dowódca! — rzuca się, żeby nas uściskać.

— Zmądrzałeś trochę, Lars? Czy nadal jesteś tak popierdolony? — pyta Gola.

— Przepraszam, panie sierżancie! Przepraszam. — Mój przyjaciel ma w oczach łzy.
— Nie wiem, co mi odbiło. Już jest lepiej! Naprawdę, jest lepiej.

Nigdy nie należał do wylewnych, ale teraz trajkocze, jakby nałykał się narkotyków. Widocznie kilkunastogodzinne zamknięcie zrobiło swoje. Próbuje też zagłuszyć wstyd, który najwidoczniej daje mu się we znaki. Nie chodzi o to, że próbował uciec. Rzecz polega na tym, że zamierzał opuścić swoich kumpli.

Sierżant nie słucha go zbyt uważnie. Załatwia sprawę z marszu, niejako przy okazji, chociaż to kluczowa kwestia dla naszego plutonu. Oznajmia strażnikowi, że zabiera Larsa ze sobą, i prowadzi nas do wyjścia z budynku.

* * *

Tutaj się rozstajemy – Norman udaje się do koszar, a my na pierwsze piętro, gdzie w małej sali konferencyjnej odbywa się zebranie sztabu. Przy prostokątnym stole siedzą już kapitan Beck, porucznik Ostin, sierżant Sewerin, kaprale Sotter i Werner. Dołączamy do nich w pośpiechu, a dowódca kompanii zabiera głos:

— Panowie, wezwałem was, żeby podjąć niezwykle trudną decyzję. W życiu każdego dowódcy może nadejść chwila, kiedy trzeba wybrać spośród niewielu dostępnych wariantów, a każdy z nich oznacza czyjąś śmierć. I trzeba wziąć odpowiedzialność za swe czyny. — Beck wodzi wzrokiem od jednego zebranego do drugiego. — Być może dziwicie się, dlaczego spotykamy się w takim gronie. Dlaczego nie ma tutaj wszystkich oficerów, a są wśród nas również niżsi rangą podoficerowie? Wybrałem ludzi, którzy ze względu na doświadczenie bojowe i przymioty charakteru pomogą mi podjąć tę decyzję, a potem zapewnią wykonanie rozkazów. Wybrałem najlepszych i najtwardszych w kompanii.

Rozglądamy się ukradkiem, patrzymy po sobie. Wszyscy mają miny skupione i poważne, trochę uroczyste. Jakby stanęli do apelu nad grobem ukochanego przyjaciela albo mieli wystąpić za chwilę z szeregu, żeby przyjąć order za krew przelaną w walce. Lecz jednocześnie we wszystkich oczach widać czarny ogień.

Kapitan siedzi u szczytu stołu, po jego lewej Ostin, dalej Sewerin i Sotter; ja siedzę naprzeciwko Ostina, tuż przy kapitanie, bo tylko to miejsce pozostało wolne, a przy mnie Gola i Werner. Niejeden z nas zaciska teraz pięści. Czuję od dowódcy kompanii słabą woń przetrawionego alkoholu, widzę jego blade zapadnięte policzki i wiem, że znalazł się w położeniu, w którym nie chciałby się znaleźć żaden człowiek.

Przekraczamy punkt na pustynnej drodze, zza którego nie będzie powrotu.

— Porucznik Ostin przedstawi wam teraz bieżącą sytuację. — Dowódca kompanii skinieniem przekazuje mu głos.

— To, co widzicie przede mną, to lista poległych. — Marcel Ostin wskazuje gęsto zapisaną kartkę. — Od początku naszej misji na pustyni Saladh zginęło czterdziestu

dwóch żołnierzy Dziewiątej Kompanii, trzech żołnierzy Wywiadu Wojskowego, jeden operator Oddziałów Specjalnych i jeden tłumacz. Łącznie czterdzieści siedem osób. Nie wszystkie śmierci zostały potwierdzone, ale zakładamy, że cały oddział porucznika Mullera, składający się z trzydziestu żołnierzy i tłumacza, zginął w drodze do Trygelu.

Po sali przebiega szmer.

— Ponadto część załogi Distortion, ze względu na zaburzenia psychiczne, jest niezdolna do walki — kontynuuje porucznik. — W piwnicy pod nami znajduje się dziewięciu żołnierzy, przeniesionych ze szpitala lub osadzonych w areszcie dla własnego bezpieczeństwa.

— Ośmiu — wtrąca sierżant Gola. — Właśnie zwolniłem kaprala Normana. Ale za to starszy szeregowy Benesz trafił godzinę temu do kapitan Sauber na obserwację.

— Benesz? — dziwi się porucznik. — Mówiłem ci, co o tym sądzę. W każdym razie, rachunki się zgadzają. Ze stu jeden żołnierzy i pracowników cywilnych, których mieliśmy do dyspozycji po przybyciu majora Wilmotsa, pozostało nam czterdziestu pięciu, wliczając dowództwo kompanii, załogę szpitala, słabo przeszkolonych techników Janga, operatora drona i naszą tłumaczkę. W rzeczywistości mamy pod swoją komendą dwudziestu trzech szeregowych i starszych szeregowych, z których część ma osłabione morale, sześciu kaprali oraz trzech sierżantów. Takimi siłami dysponujemy na wypadek ataku partyzantów, a przede wszystkim do realizacji celów, o których powie dowódca kompanii. Podporucznik Jang zdał mi dzisiaj raport, z którego wynika, że do dyspozycji mamy też osiem skorpionów, trzy MT35, ponieważ jeden jest niesprawny, oraz cztery cerastesy. Ze względu na ograniczoną liczbę wykonanych patroli zostało nam jeszcze ponad dwie trzecie paliwa. Mamy również duże zapasy żywności, wody pitnej oraz broni i amunicji. Nie będę się wdawał w szczegóły, ale dla pozostałych w bazie żołnierzy wystarczy sprzętu aż nadto.

— A co z łącznością, panie poruczniku? — pyta Sotter.

— Od kilkunastu dni nie udało się nawiązać żadnego kontaktu, ani z dowództwem pułku, ani nawet z bazą w Trygelu. Najgorsze jest to, że pułkownik Herbst spodziewał się problemów z łącznością i nie wysłał posiłków wcześniej niż za tydzień. Jesteśmy całkowicie odcięci i musimy liczyć wyłącznie na siebie. Powinniście jeszcze wiedzieć, że posiadamy dwa samoloty bezzałogowe Sokół oraz jeden samolot typu Feniks. Obecnie obsługiwane są przez jednego operatora, ale Jang przyucza właśnie obu inżynierów do sterowania nimi. Wczoraj podczas ćwiczeń jeden z sokołów zarejestrował ruchy poważnych sił rebelianckich około czterech kilometrów na południe od Kumiszu. Szacujemy, że oddział może liczyć nawet do pięćdziesięciu osób. To wszystko z mojej strony, panie kapitanie.

— O, kurwa! — wyrywa się Sewerinowi. — Przepraszam.

— Etykieta nie jest teraz najważniejsza, sierżancie. — Kapitan kiwa głową. — Ale karność i wykonywanie rozkazów, już tak. Mając do dyspozycji ograniczone zasoby, musimy użyć ich jak najskuteczniej. Musimy też podjąć decyzję, czy zrealizujemy

zadanie, które opisałem z porucznikiem Ostinem w instrukcji przekazanej wam godzinę temu. Otrzymali ją wszyscy oprócz kaprała Trenta, ponieważ to on jest naszym źródłem informacji. Czy wszyscy zapoznali się z dokumentem?

Zgromadzeni kiwiają głowami. Mają od razu mnóstwo pytań, ale Mikel Beck ucisza ich gestem, ponieważ czas na dyskusję przyjdzie później. Zerkam do dokumentu, który leży przed sierżantem Golą. Jest tam opisane w punktach to, co przekazałem dowództwu podczas rozmowy z kapitan Sauber. I moje słowa brzmiałyby pewnie jak bełkot, gdyby nie rzeczowe komentarze Ostina, w których potwierdza większość faktów.

Czuję, że cała uwaga powoli skupia się na mnie.

— Panowie, nigdy dotąd nie byłem w sytuacji, w której tak trudno uwierzyć w źródło zagrożenia oraz pogodzić się z celem, który powinniśmy zrealizować — dodaje kapitan. — To, czego żąda od nas obiekt, znajdujący się pod wzgórzem Otorten, wydaje się esencją zła. Sama natura wroga jest na tyle niezrozumiała i obca, że bardzo długo negowaliśmy jego istnienie. Jednak wydarzenia ostatnich dni, a szczególnie ostatnich godzin, każą mi zrewidować swój pogląd i rozważyć wszystkie możliwości.

Dowódca przymyka oczy.

— Mamy właściwie dwie opcje. Pierwsza to natychmiastowa ewakuacja Wysuniętej Placówki Distortion i próba przebicia się do Trygelu bądź – ze względu na koncentrację rebeliantów – z powrotem na północ, w kierunku Harmanu. Nasze szanse na dotarcie do celu oceniam na trzydzieści procent. Na pewno poniesiemy ciężkie straty, ale niektórzy z nas mogą przeżyć. Druga opcja to spełnienie żądań wysuniętych przez obiekt, czyli pozostanie w bazie i eksterminacja wioski Kumisz. Popełnimy wtedy najgorszą zbrodnię wojenną w nowoczesnej historii naszej armii. Zabicie z zimną krwią ponad dwustu cywili, w tym kobiet i dzieci, nikomu z was nie pozwoli spać spokojnie już do końca życia. Osobiście, jeżeli przetrwamy, spodziewam się wyroku śmierci za wydanie takiego rozkazu i pokazowej egzekucji.

W pokoju zapada głucha cisza.

— Panie kapitanie, jest jeszcze trzecia opcja — odzywa się Sewerin. — Możemy przecież pozostać w bazie i odeprzeć ewentualny atak partyzantów. Zgodnie z procedurą najdalej po trzech tygodniach dowództwo przyśle tu zwiad. Łatwiej nam będzie obronić Distortion, niż przebijać się do Trygelu lub Harmanu.

— To słuszna uwaga — mówi Beck. — Właśnie taki był pierwotny plan po tragicznej w skutkach misji porucznika Mullera. Zapewniam was, że odrzucenie tej opcji było najtrudniejsze, ale wiąże się z ogromnym zagrożeniem, jakie czyha na nas ze strony obiektu. Przewaga technologiczna tego czegoś nad nami jest tak wielka, że do dzisiaj uśmierciło lub pozbawiło zmysłów ponad połowę kompanii. Każdy dzień zwłoki to zgoda na kolejne śmierci lub przypadki chorób psychicznych. Jako żołnierz i wasz dowódca nie mogę czekać biernie na rozwój wypadków.

— Odrzuciliśmy tę opcję dzisiaj rano — dodaje Ostin. — Sierżant Gola i kapral Werner, którzy uczestniczyli w akcji przeszukania tuneli, schwytali jedno z urządzeń

szpiegowskich lub komunikacyjnych wysłanych przez obiekt. Przyjrzyjcie się tej technologii i wyciągnijcie wnioski. — Z płóciennego worka pod stołem wyjmuję rozbitego kraba i przekazuje zgromadzonym.

Widok niewielkiej maszyny, niesprawnej i częściowo zmiażdżonej, ale nadal wyglądającej jak skrzyżowanie żywego organizmu z zaawansowaną elektroniką, robi na wszystkich ogromne wrażenie. Kiedy jako ostatni biorę ją do ręki, przez ranę w pancerzu dostrzegam białe wyschnięte wnętrzości, poskręcane z przewodami i układami scalonymi. Nikt na ziemi nie dysponuje jeszcze taką bronią.

Z obrzydzeniem odkładam truchło na środek stołu. Najchętniej wrzuciłbym je do beczki z gównem i podpalił. Nie mamy nawet pewności, czy to coś przypadkiem nie jest nadal żywe i zdolne do ataku na ludzi.

— Mogę coś powiedzieć, panie kapitanie? — pyta sierżant Gola.

Beck nieznacznie kiwa głową.

— Myślę, że opuszczenie Distortion wydaje się nam wszystkim jedyną sensowną opcją. Przynajmniej na pierwszy rzut oka. Ryzykujemy wtedy własnym życiem, ale możemy spróbować. I jeśli w pobliżu Otorten nie zabije nas obiekt, który znajduje się pod nami, albo rebelianci na pustyni, mamy szansę dotrzeć do którejś bazy. Umierając w walce, a tym bardziej żyjąc dalej, będziemy mieć czyste sumienie. Sam wybrałbym to zajebiste rozwiązanie, gdyby nie pewien szczegół. — Sierżant spogląda na mnie przez chwilę. — Rozmawiałem z kapralem Trentem, zanim tu przyszliśmy. Chciałem zrozumieć jedną rzecz – dlaczego obiekt żąda od nas zabicia tylu ludzi. Tylko o tym powinniśmy myśleć. Na pokładzie tego czegoś znajduje się substancja, która może zniszczyć całą Ziemię. Gdybyśmy nie zrobili tego, czego chce, pozostanie tutaj i zabije miliardy ludzkich istnień. Nie przeżyje nikt, ani nasze rodziny, ani nasi przyjaciele, ani nasi wrogowie. Nadejdzie prawdziwy holokaust. Dlatego musimy zrobić wszystko, żeby ten pierdolony statek stąd zniknął. Musimy się poświęcić.

Kapitan Beck patrzy na nas spod przymkniętych powiek, a porucznik Ostin prosi, żebym dokładnie opowiedział, jakie instrukcje wydała mi Ester. Na samą myśl o bestialstwie, którego mamy się dopuścić, zasycha mi w gardle, ale Gola dodaje mi sił.

Chyba wszyscy rozumieją teraz, przed jakim wyborem stajemy. Może dowódca kompanii liczył na to, że podejmiemy inną decyzję. Może łudził się jeszcze, że wymyślimy coś, co pozwoli nam uniknąć popełnienia zbrodni. Ale im dłużej siedzimy w tym pokoju, tym bardziej staje się jasne, że nie mamy innej możliwości.

* * *

W bazie, z opaską na oczach, pojawia się Hawar Saltik. Starszy wioski zostaje najpierw doprowadzony do szpitala, a następnie skierowany do budynku dowództwa. Kiedy idzie przez plac z porucznikiem Ostinem, wydaje się bardzo szczęśliwy. Widocznie stan zdrowia małego Behrama poprawił się na tyle, że w sercu Armaja

wykiełkowała nadzieja. Czuję w środku tępy ból, kiedy na to patrzę.

Zbieram chłopaków w rogu bazy. Godzinę temu wróciłem z narady, zjadłem kilka sucharów i postanowiłem, że już czas na odprawę. Rozkaz wydany przez dowódcę kompanii wymaga ode mnie, abym potwierdził z ludźmi gotowość do dalszych działań. Musimy przeprowadzić selekcję i wybrać z oddziałów piętnastu żołnierzy, łącznie z podoficerami, którzy przyjmą na siebie rolę katów.

Decyzja o eksterminacji wioski zapadła.

Najdłużej opierał się kapral Sotter. Nawet nie dlatego, że był bardziej przerażony od nas. Po prostu twierdził uparcie, że przeprowadzenie takiej akcji będzie niemożliwe. Nie uda nam się przewieźć do bazy wszystkich mieszkańców Kumiszu i zabić ich, nie wywołując buntu. Miał na myśli dorosłych Armajów, ale pewnie również część naszej załogi. Dlatego tak ważne jest, aby dobrze skompletować oddział.

To najtrudniejsza rozmowa, jaką muszę odbyć ze swoimi ludźmi. Przygotowując się do niej, rozmawiałem z Ballardem. Nawet on chwycił się za głowę, kiedy usłyszał o celu operacji. Przynależ mi jednak, że weźmie w niej udział. Nie próbował uciec. Może pomógł mu w tym lekceważący stosunek do świata? A może każdy człowiek, przyparty do muru, ostatecznie daje sobie spokój z oddzielaniem dobra od zła.

Staram się przedstawić sytuację chłopakom najlepiej, jak potrafię. Dobieram słowa tak, by zrozumieli, że nasze czyny są konieczne. Nie uspokajam ich sumień i nie próbuję udawać, że to, co mamy zrobić, odejdzie kiedyś w niepamięć. Może przyszłe pokolenia zapomną, jeżeli będą jakieś przyszłe pokolenia, ale my na pewno będziemy się latami budzić w środku nocy i krzyczeć z przerażenia u boku naszych kobiet.

Lecz, mimo wszystko, musimy to zrobić.

— To jest, kurwa, gorsze niż bandytyzm — pierwszy odzywa się Gaus.

— A może da się schwytać i skazać na śmierć tylko mężczyzn? — pyta Rozwielitka.
— Dobrze to policzyliście?

— Jared, sprawdziliśmy to wiele razy. — Kładę mu dłoń na ramieniu. — Gdyby to było możliwe, wrzucilibyśmy tam zwierzęta, a nie ludzi. Żądanie obiektu jest jasne: muszą zginąć wszyscy mieszkańcy Kumiszu, inaczej całe zło pójdzie na marne.

— Ja ich nienawidzę jak wściekłego psa, zabiłbym każdego partyzanta, ale nie zabiję dziecka — mówi Rozwielitka. — Nie dam rady, szefie. Nie dam rady!

— Nikt nie chce zabijać dzieci. — Kiwam głową w rozpacz. — Absolutnie nikt.

— Może da się tego uniknąć? — zastanawia się Ballard. — Zostawimy je na koniec. Wyciągniemy z chłodni ciała zabitych żołnierzy. Im już wszystko jedno.

Przez chwilę wybucha kłótnia o to, czy możemy poświęcić zwłoki naszych kolegów. Ostatecznie wszyscy, nawet Puric, wyrażają zgodę. Pogrzeb to ważny rytuał, ale nie tak ważny, by zabijać niewinne istoty.

Daniel splata zabandażowane dłonie i chyba modli się do Boga. Gaus znowu grzebie butem w ziemi, zastanawiając się nad czymś. Tylko Rozwielitka postanawia podjąć tę decyzję szybko i mieć ją wreszcie z głowy.

— Ja się zgadzam — mówi nienaturalnie spokojnie. — Nie zabiję żadnego dziecka, ale możesz na mnie liczyć.

— Na mnie też, już ci mówiłem — potakuje Ballard. — Zrobię wszystko, co konieczne.

— Dziękuję wam, panowie. — Wbijam wzrok w ziemię, wstydząc się swojej prośby. — Uważam, że Chris może mieć rację. Jeśli dostarczymy temu potworowi wszystkich dorosłych Armajów, zabijanie dzieci nie będzie konieczne.

— Obojętnie, co się stanie, nie dostanę rozgrzeszenia — odzywa się nagle Puric. — Ale nikt nie mówił, że pójde do nieba. Nikt po urodzeniu nie dał mi takiej gwarancji. Więc pierdolę to wszystko, do chuja! Pierdolę te rany na rękach. Możesz mnie zapisać do tej grupy, Markus.

— Pójde z wami — prawie szepcze Gaus. — Nie chcę tam iść, ale pójde.

Chłopaki uciekają w konkret i zaczynają pytać, jak będzie wyglądała akcja. Ile samochodów pojedzie do wioski, kto będzie za co odpowiedzialny? I jak przeprowadzimy egzekucję? Nie na wszystkie pytania znam odpowiedź, bo szczegółowy plan opracuje w nocy dowództwo i przekaże nam jutro rano.

Mówię im, że Ester kazała przyprowadzić jeńców do jaskini pod laboratorium. Jeśli nam się uda, mamy zmusić ich do zdjęcia ubrań i wejścia do jeziora. Prądy wodne i wiry, które wywoła statek, wciągną ofiary najpierw do podziemnego tunelu, a potem na pokład. Nie mam pojęcia, czy to będzie możliwe. Pewnie zastrzelimy cywilów na dole, rozbierzemy ciała i wrzucimy je nago do wody. W myślach zadaję pytanie, co jest większym okrucieństwem?

Ballard pyta przytomnie, dlaczego Ester sama nie przetuneluje mieszkańców Kumiszu pod ziemię. Do czego, tak naprawdę, jesteśmy jej tutaj potrzebni? Mówię więc o oddziale Mullera, który zamiast trafić na pokład statku, utknął w ścianach jednego z tuneli. Obliczenia aktywnych SI bez udziału głównego komputera są zbyt niedokładne, by wykonać taki manewr. Ostatnia próba zakończyła się porażką, nasi koledzy zginęli na darmo.

Zaczyna mi się łamać głos, więc w pośpiechu wracam do namiotu.

Czwartek, 14 lipca, godz. 0.15

Znowu jesteśmy na bramie i wydaje mi się, że pełnimy tu ostatnią służbę. Na kolację, oprócz racji żywnościowych, dostaliśmy pigułki od szefowej szpitala. Może był to wzbogacony modafinil, a może jakiś narkotyk. Czujemy się rześcy i wypoczęci, mimo wieczornej pracy w koszarach, a wszystkie problemy, które rozrywały nasze mózgi, znajdują się jakby za szybą.

Nie wiem, jak to możliwe, ale w pewnej chwili na posterunku zjawia się Nemi. Chłopaki uśmiechają się do niej i trochę odwracają wzrok, kiedy mnie całuje. Teraz już wszystko mamy w dupie, nie dbamy nawet o pozory. Łamiąc zasady bezpieczeństwa

i rozkazy, odchodzę z dziewczyną kawałek w kierunku wzgórz. Trzyma mnie pod rękę i udaje, że spacerujemy.

Kapitan Sauber opowiedziała jej wszystko, żeby zrozumiała okropieństwo sytuacji, w której się znalazłem. Poprosiła też Nemi, po długim namyśle, o pomoc podczas akcji. Dziewczyna przeprosza mnie teraz i prosi o wybaczenie.

Nie mógłbym się na nią gniewać. Nie potrafiłbym, nawet gdyby nadal była wściekła. Nikt nie pisał do mnie takich listów jak ona, nikt nie wspierał tak uparcie i nie ofiarował siebie, tak po prostu. Sama jej obecność sprawia mi ulgę i radość. Ale teraz nie możemy się przytulać i nie możemy tarzać się na łóżku, chociaż tego najbardziej bym chciał.

Nad nami, wysoko nad pustynią Saladh, wykwita blady seledynowy obłok. Wygląda jak zorza polarna, choć jesteśmy przecież bliżej równika niż bieguna. Zaburzenia magnetyczne wokół wzgórz wywołały anomalie, która wzbudza zachwyty Nemi. Wskazuje palcem na zielone światło i mówi, że to dobra wróżba. Powtarza też, że może zrobić dla nas wszystko. Uciekniemy z tej pułapki, bo dopóki nie jesteśmy martwi, mamy szansę.

A ja na moment przygarniam ją mocno do siebie i zapominam o wojnie. Gdybym umiał poruszać się w czasie, jak cholerny tunelowiec, cofnąłbym się do Harmanu. Do pierwszych chwil, które spędziliśmy razem, i pierwszych wstydliwych rozmów. Chciałbym wierzyć, że wszystko przed nami, że całe życie, które nam zostało, nie ogranicza się do kilku godzin. Chciałbym wierzyć, że miłość jest tarczą, która chroni nas przed złem.

Chciałbym wierzyć w słowa Nemi, ale nie potrafię.

Rozdział piąty

Czwartek, 14 lipca, godz. 05.05

Wysunięta Placówka Distortion, pustynia Saladh, południowy Remark Operacja „Ester”

Ukochany synku, nie wiem nawet, ile moich listów trafi w przyszłości do ciebie. Czy cokolwiek z tego, co pisałem na pustyni, dotrze do wielkich serwerów. I czy firma, którą wynająłem, odnajdzie cię w szerokim świecie i przekaze choć jedną wiadomość.

Czasami myślę, że byłoby lepiej, gdybyś o mnie nie pamiętał. Rzeczy, które musiałem tu robić, a zwłaszcza te, które jeszcze robić będę musiał, sprowadzają hańbę na człowieka i jego rodzinę. Nie ma już dobrych rozwiązań ani słusznych decyzji. Każdego dnia przekonuję się bardziej, kochany, że ta wojna jest jak bagno, z którego nie wyjdę.

Czasem miłość drugiego człowieka może być cienką gałązką, za którą chwycisz i wyciągniesz się z topieli. Będziesz potem pełzał po wilgotnym brzegu i dziękował Bogu albo ślepemu losowi, że pozwolił ci żyć dalej. Jednak błoto i tak przykleja się do ciała i towarzyszyć ci będzie aż do śmierci. Zauważysz wreszcie, że ludzie odsuwają się od ciebie odruchowo, czując ten odór zgnilizny, którym przesiąkłeś do głębi.

Wiedz, że kochałem cię mocno i że oddałbym połowę życia za możliwość noszenia cię na rękach. Wiedz, że jestem w tym miejscu ze względu na przyszłość, której nie chcę ci odebrać. Ale jeśli postanowisz się mnie wyprzeć lub zapomnisz o moim istnieniu, nie będę miał o to żalu. Zbyt wiele trosk i ciężarów dźwigamy w swoim krótkim życiu. Zbyt wiele worków, pełnych ludzkich odpadów i zatrutych uczuć.

Nie chciałbym, abyś dźwigał przeze mnie kolejny. Nie chciałbym być dla ciebie ciężarem. Za każdym razem, gdy myślę o tobie, czuję w środku ciepło i na mojej twarzy pojawia się uśmiech. Dostałem od ciebie tak wiele, chociaż nigdy się nie poznaliśmy.

* * *

Porucznik Ostin dowodzi operacją „Ester”. Wojskowi muszą nadać nazwę każdemu złu, w którym uczestniczą, jakby ten kryptonim pomagał im je oswoić. To już nie jest zwyczajny wyjazd do wioski, żeby schwytać cywili i zamordować ich w bazie. To wojskowa operacja o unikatowej nazwie, zatwierdzonym planie i przydzielonych zasobach.

Po siódmej rano zbiera nas w pobliżu budynku dowództwa. Niewielką grupę specjalną, którą jego pomocnicy skompletowali z takim trudem. Spogląda do czarnego notesu i wyczytuje listę wstydu, a każdy z nas potwierdza obecność i staje pod murem.

1. Starszy sierżant sztabowy Ian Gola.
2. Starszy sierżant Borys Sewerin.
3. Starszy kapral Eryk Sotter.
4. Starszy kapral Markus Trent.
5. Kapral Peter Usil.
6. Kapral Adam Werner.
7. Starszy szeregowy Chris Ballard.
8. Starszy szeregowy Jared Dafny.
9. Starszy szeregowy Ernst Haller.
10. Starszy szeregowy Frank Hinte.
11. Starszy szeregowy Goran Lukas.
12. Starszy szeregowy Daniel Puric.
13. Szeregowy Vim Gaus.
14. Szeregowy Norbert Grimm.
15. Szeregowy Yuri Truman.

Piętnastu zabójców pod dowództwem oficera, który uwielbia czytać książki, którego kiedyś miałem za największą pomyłkę korpusu oficerskiego, a który okazał się najtwardszym z nich. Czterech z mojej drużyny. Tylko ja przyprowadziłem wszystkich. Jestem z nich dumny, jak zawsze, a jednocześnie żałuję, że namówiłem Dafnego do udziału w akcji. Na Ballarda liczyłem od początku, na Purica też, ale Gaus zgodził się pewnie dlatego, żeby jego kumpel, Rozwielitka, nie szedł sam. Oprócz nich jest jeszcze dwóch ludzi Wenera, jeden z drużyny Usila oraz po jednym od Normana i Mastalika, chociaż sami kaprale zostają w Distortion.

Stoimy w długim szeregu, porucznik naprzeciw nas. Nikt z grupy się nie odzywa, a na twarzach widać szary cień i wysiłek, jakbyśmy zacisnęli zęby na drewnianym kneblu. Nie pomaga nawet to, że zaraz po pobudce dostaliśmy od kapitan Sauber kolejną porcję tabletek.

Dowódca kompanii kazał nam włożyć zapasowe mundury. Musieliśmy się umyć i ogolić, i pewnie niejeden pociął się przy tym okrutnie. Ale nie możemy wyglądać jak bezdomni, musimy prezentować się „odpowiednio”. Takiego słowa użył Beck, kiedy przemawiał do nas wieczorem swoim niskim, bezbarwnym głosem.

Teraz porucznik Ostin idzie wzdłuż milczącego szeregu, robi inspekcję mundurów i uzbrojenia, czasem patrzy któremuś z nas głęboko w oczy i przesuwa się dalej. Nikogo nie cofa do koszar, żeby coś poprawił albo uzupełnił, niczego nie komentuje. Myślę, że próbuje przekonać sam siebie, że ludzie, którzy stoją przed nim, wypełnią wszystkie rozkazy. Że nikt nie ucieknie z Kumiszu, a tym bardziej – nie strzeli mu w plecy.

Potem wraca na swoje miejsce, żeby rozpocząć odprawę.

— Panowie, dziękuję za waszą postawę! Dziękuję, że podjęliście się realizacji tego

trudnego zadania. Przrzekam wam, że zrobię wszystko, aby straty w ludności cywilnej były jak najmniejsze. Nie poświęcimy pochopnie życia ani jednego człowieka. — Te słowa z trudnością przechodzą mu przez gardło. — Wczoraj odwiedził naszą bazę Hawar Saltik, starszy wioski Kumisz, a następnie dołączyli do niego czterej członkowie rady. Przekazaliśmy im informację, że z powodu zagrożenia atakiem partyzantów musimy ewakuować mieszkańców do Wysuniętej Placówki Distortion, ponieważ Kumisz znajdzie się prawdopodobnie na linii natarcia wojsk rebelianckich. W tym sensie obecność dużego zgrupowania wroga pomogła nam uwiarygodnić relokację, a rada wioski zgodziła się dobrowolnie na współpracę.

A więc nawet aktywność terrorystów może się do czegoś przydać. Stoję tu nieruchomo, uwięziony w najgorszym, najczarniejszym koszmarze. Po plecach przebiegają mi dreszcze, włosy podnoszą się na skórze. Ludzie wbijają wzrok w udeptany plac, przygryzają wargi. Porucznik ma do powiedzenia jeszcze kilka rzeczy.

— Do przeprowadzenia misji potrzebujemy trzech pojazdów MT35 oraz dwóch skorpionów, które będą je ubezpieczać. Wszystkie pojazdy zostały już przygotowane przez techników i sprawdzone. Każda „metka” będzie obsadzona przez kierowcę i strzelca, co daje łącznie sześć osób. W obu skorpionach pojedzie po pięciu żołnierzy, czyli dziesięć osób. Szczegółowy podział na załogi przedstawią wam sierżanci. Pamiętajcie, że jedziemy tam jako sojusznicze wojsko. Starajcie się nie odstraszać tych ludzi swoim zachowaniem. Nie będziemy ich okrążyć, żeby nie czuli się osaczeni. W każdej ciężarówce znajdują się trzy palety, dzięki którym łatwiej będzie wejść do części ładunkowej kobietom i dzieciom. — Tutaj Ostin zatrzymuje się na chwilę, żeby złapać oddech; trzęsą mu się ręce. — Z radą starszych uzgodniliśmy, że jako pierwsze do Distortion będą ewakuowane właśnie kobiety i dzieci. Zostaną ulokowane w namiocie, który wczoraj opuściliście. Przrzekam wam, że będą otoczone opieką, i zrobię absolutnie wszystko, żeby nie spadł im włos z głowy. — Porucznik patrzy w bok, na ścianę budynku, i podejmuje dopiero po chwili — rada starszych podała liczbę dwustu czterdziestu dwóch mieszkańców. Jeden pojazd MT35 może przewieźć jednorazowo około dwudziestu osób, musimy więc zrobić cztery kursy do Kumiszu i z powrotem. Kapitan Beck i ja bierzemy pełną odpowiedzialność za operację „Ester”. Życzę wam wszystkim odwagi!

Dafny i Lukas nie wytrzymują, odwracają się do SOM-u i wymiotują z napięcia.

* * *

Wiem o rzeczach, o których nie chciałbym wiedzieć. Wiem, że będziemy zabijać dziś nie tylko mężczyzn. Porucznik, mówiąc o „kobietach i dzieciach”, miał na myśli dzieci do mniej więcej dwunastego roku życia i opiekujące się nimi matki. Młode dziewczyny i dojrzałe kobiety, które swoje potomstwo już odchowwały, a także dzieciaki zbyt duże, by zmieścić się w pierwszym transporcie – wszyscy ci ludzie zostali skazani na śmierć.

Nasz oddział składa się z żołnierzy, którzy zajmą się wyłącznie transportem oraz z tych, którzy wykonają później wyrok. Tą drugą, sześciuosobową grupą dowodzi ma osobiście porucznik Ostin. W jej skład wchodzi również: Gola, Ballard, Werner, Haller, Puric i ja. Oto najgorsi z najgorszych, ludzie o kamiennych sercach, których nazwiska powinny zostać wymazane z kart historii.

Oprócz nas tylko kilka osób w bazie wie, co naprawdę ma się wydarzyć. Między innymi Lars Norman, który żałuje teraz pewnie, że wyszedł z aresztu. Kiedy szliśmy do pojazdów, miałem wrażenie, że odwraca od nas wzrok, jak od trędowatych. Wyjechaliśmy z bazy około ósmej dziesiąt, teraz zbliżamy się do Kumiszu.

* * *

Stoją stłoczeni na drodze, mniej więcej pośrodku wioski. Zatrzymujemy się kilkadziesiąt metrów przed nimi i wyskakujemy z pojazdów. Przed grupą ludzi pojawia się starszyzna – ubrani na biało brodaci mężczyźni. Dzieci biegają wzdłuż płotów, szczekają psy, przywiązane drutami do domów. Nasze przybycie wzmaga jeszcze chaos wśród mieszkańców. Niektórzy od razu chcą ruszyć w kierunku konwoju, ale starszy wioski zatrzymuje ich gestami i ostrym pokrzykiwaniem.

W obu skorpionach zostali jedynie strzelcy. U nas na wieżyczce stoi Dafny. Tak jak prosiłem, przesunął lufę karabinu w dół; celuje w ziemię, żeby nie straszyć cywilów. Kierowcy „metek” opuścili kabiny. Będą pomagać kobietom i dzieciom wsiadać na tył ciężarówek, więc zrzucili palety na piasek. Pięciu ludzi pod dowództwem Sottera sformowało żywe zasieki oddzielające Armajów od aut. Sewerin, Usil i Lukas chodzą pozornie bez celu, mając oko na najbliższe domy. Tak tylko, na wszelki wypadek.

Porucznik Ostin, sierżant Gola i ja zbliżamy się do rady, która wita się z nami serdecznie. Ze względu na zakaz wydany przez Ester Nemi nie pojechała na akcję. Wczoraj długo tłumaczyłem dowódcy, czemu nie możemy jej zabrać i jaką ważną rolę odegra w Distortion. Wypełniam więc z konieczności obowiązki tłumacza. Ale teraz wiem przynajmniej, dlaczego SI obdarzyła mnie tym darem.

Zastanawiam się przez chwilę, czy Hawar Saltik nie wyczyta z naszych twarzy prawdziwych intencji. Staramy się nawet uśmiechać, choć porucznik Ostin kroczy w kierunku starszyny, jakby połknął żelazny pręt. Kłaniamy się uprzejmie i pytamy, czy zgodnie z naszą prośbą mieszkańcy wybrali spośród siebie pierwszy transport.

Nie jest to łatwe pytanie, o czym przekonujemy się wkrótce, słuchając przemowy Saltika. Opowiada o rozpaczach rodzin, które muszą się rozdzielić, o jakiejś dziewczynce, już dużej, bo piętnastoletniej, która ze względu na upośledzenie umysłowe powinna zostać z matką, a także o wszystkim, co przychodzi mu do głowy. Włącznie z liczbą dzieci jego starszego bratanka oraz problemami z wyborem rzeczy, które powinno się zabrać na wyjazd.

W pierwszej chwili przebiega mi przez głowę, że Sotter miała rację. Nie opanujemy

sytuacji, a ci ludzie, objuczeni płóciennymi tobołami, z dziećmi pozawijanymi w chusty, z małymi kotkami, a nawet jedną kozą na rękach, uratują swoje nędzne życie przez chaos. Przy okazji ratując też nasze sumienia. Tłumaczę Ostinowi sens słów starszego wioski, mówiąc mu między wierszami, żeby nie naciskał, pozwolił mu się wygadać. Porucznik uśmiecha się w końcu, na granicy wybuchu.

Po mniej więcej kwadransie i kilkakrotnym upewnieniu się, że większe pakunki, w tym pościel i plastikowe wiadra, pozostały na miejscu, podobnie jak żywy inwentarz, Hawar Saltik nagle staje się bardziej konkretny i zaczyna wołać poszczególne rodziny. Od tłumu odłączają się mniejsze grupki i żegnają z płaczem, jakby rozstanie miało trwać wiele lat, a nie najwyżej kilka godzin. Być może czują, że rozstają się na zawsze.

Kiedy matki z dziećmi przechodzą obok naszych ludzi, mówią do nich głośno i powoli, z nieukrywaną nadzieją, że żołnierze zrozumieją armajski. Staram się biegać pomiędzy cywilami i odpowiadać na pytania. Głównie tłumaczę im, z surogatem uśmiechu na twarzy, żeby nie zabierali ze sobą zbyt wielu drobiazgów. Próbuję ich przekonać, że wrócą do wioski najdalej za tydzień, kiedy tylko sytuacja choć trochę się uspokoi.

— Ale co będzie z moimi kozami? — martwi się niska, zmęczona kobieta z uczeponą do sukienki trójką dzieci. — Kto da im jeść?

— Prosiłszy starszego wioski, żebyście zostawili zwierzętom zapas jedzenia i wody na trzy dni — odpowiadam. — Jeśli będziemy mogli, zawieziemy was z powrotem, nawet na parę godzin, żebyście je nakarmili.

— Ale ja martwię się bardzo o moje kozy i psa.

— Proszę się nie martwić. Proszę spokojnie przechodzić do samochodu.

Podbiega do mnie dziewczynka, mała pyzata łobuziara, może sześćioletnia. Prowadzi ze sobą szczupłego, wyrosniętego chłopca. Ciągnie go za rękaw i śmieje się głośno.

— Proszę pana, czy mój brat może jechać z nami?

— A ile lat ma twój brat?

— Trzyście i pół — oświadcza z dumą chłopak.

Zastanawiam się przez chwilę.

— Mówcie wszystkim, że dwanaście, dobrze? I możecie iść.

— Ale ja mam prawie czternaście, panie żołnierzu — powtarza.

— Dla mnie wyglądasz na dwanaście i koniec! — krzyczę na niego. — Idź z siostrą i matką do samochodu, i nie dyskutuj.

Pomimo leków, które zaordynowała doktor Sauber, trzęsą mi się ręce, chyba bardziej niż porucznikowi. Do tego dochodzi jeszcze dygot nóg. Większość moich kolegów wygląda niewyraźnie. A to przecież najlepszy transport tego dnia. Próbujemy ocalić tych ludzi przed rzezią, którą sami zaplanowaliśmy.

— Czy może mi pan pomóc? — odzywa się dziewczyna z niemowlęciem na rękach.

— Co mam zrobić? — pytam odruchowo.

— Przeniesie pan tę kołyskę?

Patrzę w dół, trochę nieprzytomnie. Fotelik samochodowy, niebieski w wyblakłe balony, stoi u jej stóp. Malec nie chce się uspokoić, więc dziewczyna trzyma go na rękach. Wygląda na samotną matkę albo taką, której wstydzi się rodzina. Kiwam na Lukasa, żeby wziął kołyskę i zaniósł ją do „metki”. Pierwszy transporter jest już zapełniony, powoli zapełnia się drugi. Rozglądam się z niepokojem, czy wystarczy miejsca dla wszystkich.

W pewnej chwili pojawia się Usil i trąca mnie w ramię.

— Zobacz, jaka ładna. — Wskazuje na młodą kobietę. — Szkoda jej.

— Kurwa, Peter, przestań do mnie mówić.

— Ja tylko chciałem powiedzieć, że można by ją zabrać.

— Widzisz, żeby miała dzieci? Widzisz to?!

— Weź ją zawołaj.

Zamiast przekrzykiwać tłum, podchodzę wreszcie z Peterem do najładniejszej dziewczyny w wiosce. Ma jaśniejszą cerę niż jej rodzina i sąsiedzi, falujące czarne włosy, zgrabny nos i małe, ale pełne usta. Jest też wysoka jak na Armajkę, ma około metra siedemdziesięciu wzrostu. Widzę, że żegna się z jakąś kobietą i młodszym rodzeństwem.

Przez chwilę zapominam języka w gębie, ale potem zwracam się do tej kobiety z prośbą, żeby dała najmłodszego chłopca pod opiekę siostrze.

— Niech dziewczyna weźmie go za rękę i skieruje się do samochodu.

— To jest jego kuzynka, panie dowódcu. Moja bratanica, Sara, a ja jestem matką — powtarza przestraszona kobieta.

— Proszę pani, nikt nie będzie o to pytał. Dla kobiet z dziećmi przygotowaliśmy wygodny namiot. Mamy jeszcze kilka wolnych miejsc, więc można skorzystać.

Starsi dyskutują między sobą szeptem i odrzucają propozycję.

— Będzie się nią opiekować ojciec albo matka! — mówi zdecydowanie Armajka. — Zostawcie ją teraz w spokoju.

— O kurwa! — denerwuje się Usil, kiedy mu tłumaczę. — Muszę ją stąd zabrać.

— Chcesz narobić zamieszania, kretynie? — syczę na niego jak wąż. — Albo stąd spierdalasz, albo wzywam sierżanta.

Odchodzi wolno, niepokieszony i zły. Dziewczyna zostaje na placu, a ja wracam w pobliże ciężarówek. Ostatnia zapełnia się najwolniej, bo wsiadają tam prawdziwi maruderzy. Długo dyskutują ze mną i żegnają się z bliskimi. Może człowieka trafić, kiedy tak wloką się do „metki” i jeszcze odwracają głowę, żeby powiedzieć kilka słów.

Jako jeden z ostatnich do samochodu podchodzi ubrany biednie siwiejący mężczyzna. Prowadzi ze sobą dwójkę dzieci, chłopczyka i dziewczynkę. Mają nie więcej niż dziesięć lat i wyglądają na zaniedbane bardziej niż pozostałe. Żołnierze zatrzymują mężczyznę, więc biegnę w ich stronę, żeby wyjaśnić sytuację.

— Proszę pana, to jest transport wyłącznie dla matek z dziećmi!

— Ale ja nie mam żony, umarła. Zostałem z nimi sam — mówi cicho.

— Sam je pan wychowuje? — pytam całkowicie bez sensu.

— Muszę je jakoś wychować. Trochę sąsiedzi pomagają.

Patrzę na niego jak na bohatera, nadnaturalne zjawisko. Gdybym jeszcze umiał normalnie czuć, pewnie bym mu współczuł, a także zazdrościł. Ma przy sobie dzieci i chociaż nie starcza mu czasu, żeby się nimi zajmować, jest przy nich.

— Dobra, przepuście go! — wołam do chłopaków.

To przedostatnia rodzina, która wchodzi na pokład MT35. Kilka minut później, po umówieniu ze starszymi wioski godziny następnego transportu, wskakujemy do samochodów. Strzelcy z ciężarówek wsiadają do kabin, zostawiając zabezpieczone MUG-i na dachach. I tak nie przecisną się do nich przez zbity tłum.

Ruszamy wreszcie w stronę Distortion. Wiem dobrze, że najgorsze przed nami, ale każda godzina zbliża nas do końca. Jakoś to przetrwamy, wypełnimy warunki umowy. Na razie trzymamy się planu.

* * *

Kiedy cywile wysiadają z samochodów, myślę o czymś innym. Palę pogiętego papierosa w cieniu magazynu i widzę swojego ojca. Wiem, że nie jest to najlepszy moment na wspomnienia. Jego twarz nie pojawiała się w mojej pamięci od dawna. Razem z matką przepadł gdzieś w pustynnym pyle i gorącu, ale teraz odwiedza mnie znowu.

Może, stojąc przed wyborem, który jest dla nas zbyt trudny, cofamy się do dzieciństwa? Tęsknimy za czasem, gdy rodzice wybierali za nas. Nawet jeśli buntowaliśmy się przeciw ich wyborom i pragnęliśmy samodzielności, a porządek świata, śmierdzący naftaliną, zupełnie nam nie odpowiadał. Właśnie wtedy, w dniu próby, tęsknimy do przeszłości, w której ktoś dorosły nakazywał nam nosić szalik i czapkę.

A może ojciec przychodzi dziś wyłącznie po to, aby mnie osądzić?

— Markus, musimy się zbierać — mówi sierżant Gola. — Jedziemy po następnych.

— Nie wiem, co robić, sierżancie. Coraz bardziej się sypię.

— Wiesz, że musimy to unieść. Wszyscy siedzimy w tym gównie.

Tak, oczywiście ma rację, ale czuję się sprawcą tego zła. To przeze mnie kapitan Beck wydał taki rozkaz, a porucznik Ostin prowadzi nas w ciemność. Więc jeśli inni siedzą w tym gównie po szyję, ja zanurzam się po czubek głowy.

Idę do skorpiona, ledwie powłóczę nogami. Inni też niechętnie wsiadają do środka. Rozwielitka jest błąd jak kreda i ścisła kurczowo karabin, a Gaus bez słowa staje na pozycji strzelca. Puric kończy rozmowę z Ballardem, klepie w maskę samochodu i zajmuje miejsce z tyłu, przy Rozwielitce. Chris uruchamia silnik. Próbuje gwizdać jakiś przebój, ale mu nie wychodzi, więc po chwili przestaje.

Wyjeżdżając z bazy, mijamy namiot, w którym rozlokowaliśmy przybyszów. Ludzie Normana i Usila pomagają się im urządzić. Pilnują też, aby żaden cywil nie szwendał się

po placu bez opieki. Z daleka widzę Nemi, która ma pełne ręce roboty. Musi objaśnić przerażonym kobietom zasady pobytu w Distortion. Kapitan Sauber i chorąży Gilde kręcą się przed wejściem do koszar, a nad wszystkim unosi się bezzałogowy sokół.

* * *

Za pierwszym razem wywieźliśmy dziewiętnaście matek z dziećmi i jednego ojca. Dzieciaków naliczyliśmy mniej więcej pięćdziesięcioro. Nie było czasu na dokładne spisywanie w tym chaosie, więc nie jestem pewien. Teraz rada starszych postanowiła, że ewakuujemy większość pozostałych kobiet. Kilkanaście zdrowych i silnych ma pozostać w wiosce, my zabieramy resztę, w tym młode dziewczyny i staruszki. Kiedy kończę tłumaczenie, moje oczy i oczy Ostina spotykają się na chwilę. Widzę w nich szarą pustkę.

Tym razem załadunek trwa krócej. Tylko staruszki wymagają pomocy, kilka z nich musimy wręcz wciągać na „metkę”. Sara, która wpadła w oko Usilowi, żegna się czule z wysokim chłopakiem, pewnie swoim narzeczonym. Wsiada na ostatnią ciężarówkę razem z matką i już po dwudziestu minutach możemy wracać do bazy.

Nasz skorpion zamyka kolumnę pięciu pojazdów. Ze względu na pył, który wzbijają MT35, pozwalam Gausowi schować się do środka. Jakoś przestaje mi zależeć na trzymaniu się regulaminu. Patrzę na Ballarda, który podejrzenie milczy.

— Jak się czujesz, Chris? Dasz radę wykonać rozkazy?

— Nie martw się o mnie, Markus — odpowiada. — Zrobimy to, co musimy.

— Jak możesz to mówić tak spokojnie? — woła Rozwielitka. — Czy ty, człowieku, w ogóle nie masz uczuć?!

— Mam uczucia, Jar — mówi Ballard z trochę większym naciskiem. — Kocham moją żonę i przelałbym za was krew, ale tutaj nie mamy wyboru. Przecież nie chodzi tylko o nas. Poza tym, życie każdego człowieka musi się kiedyś skończyć. Życie jest aberracją w kosmosie.

— Co to jest aberracja? — pyta Gaus.

— Każdy z nas przeżywa to na swój sposób, Jared — ucinam dyskusję. — I nie należy nikogo osądzać. A ty, jak się czujesz, Daniel?

Puric patrzy w okno, potem spogląda na mnie z lekko obłąkanym uśmiechem.

— Jest zajebiście, naprawdę. — Kiwa głową, żebym nie miał wątpliwości.

Przeraża mnie to wszystko. Po prostu przeraża.

* * *

Z trudem utrzymujemy łączność między pojazdami. Kierowca drugiej ciężarówki melduje, że kobiety zachowują się niespokojnie, być może z powodu ścisku. Uderzają pięściami w dach szoferki i żądają zatrzymania samochodu. Przynajmniej tak

podejrzewa. Na szczęście do bramy głównej został już tylko kawałek, więc unikamy większego oporu.

Nasze zadanie jest trudne. Jeśli w grupie przewożonych Armajek wybuchnie pod ziemią histeria, będziemy musieli strzelać z karabinów w niedoświetlonej jaskini. Celować trochę na oślep. Cała nadzieja w Nemi i w kapitan Sauber, jedynych kobietach w kompanii. Spoczywa na nich teraz taki ciężar, że nie mogę sobie tego wyobrazić.

Szczególnie martwię się o tłumaczkę, która ma przekonać mieszkanki Kumiszu, że jesteśmy przyjaciółmi, uspokoić je i skierować na dół. Dostrzegam po wjeździe do bazy, że obie stoją już przy drzwiach laboratorium. Staram się coś wymyślić i kiedy tłum wysypuje się z „metek”, wpada mi do głowy pewien pomysł.

— Panie poruczniku! — wołam do Ostina. — Pozwólmy tym kobietom zajrzeć na chwilę do koszar. Niech zobaczą, że wszystko w porządku, zanim zejną pod ziemię. Będą wtedy spokojniejsze i chętniej wykonają polecenia.

Marcel Ostin nie zastanawia się długo. Woła Nemi i wydaje rozkaz, by Armajki wybrały spośród siebie kilka osób, które odwiedzą matki z dziećmi. Oczywiście, wywołuje to zamieszanie na placu, jednak po kilku minutach udaje się sformować „delegację”. Prowadzimy dziesięć kobiet do namiotu i rozchylamy plandekę, żeby mogły sprawdzić, jak urządziły się rodziny z pierwszego transportu. Pozwalamy na krótką rozmowę. Rozlegają się zawodzenia i płacze, ale potem drugi transport wyraźnie się uspokaja.

Jeszcze wczoraj, podczas spotkania z radą starszych, kapitan Beck poinformował, że ze względów bezpieczeństwa cywile zostaną umieszczeni w podziemnym schronie. Mówił, używając mnie jako tłumacza, że dopóki wojska rebelianckie będą daleko od bazy, zapewnimy części kobiet i dzieciom komfortowe warunki w namiocie. Jednak potem one także dołączą do reszty. Oby to nie nastąpiło, myślałem wtedy gorączkowo.

Beck okazał się przebiegłym draniem i pokazał Saltikowi jaskinię. Wytłumaczył mu, że bunkier został urządzony na wypadek ataku. Poprawiliśmy tam oświetlenie i zanieśliśmy trochę sprzętów, głównie materaców i drewnianych palet przerobionych na siedziska. Przy okazji Ostin przemycił informację, że procedura wymaga, aby wszyscy wzięli kąpiel po przybyciu do bazy. Starszy wioski sprawdził nawet, że woda w jeziorze jest ciepła, i przyjął to z zadowoleniem. Jeszcze jeden przejaw troski z naszej strony.

W nocy rozłożyliśmy ręczniki i środki czystości na drewnianych półkach. Zasłoniliśmy też plandekami wejścia do czterech drożnych tuneli, odchodzących od jaskini. Najważniejsze, żeby nikt nie uciekł w głąb góry i nie wydostał się z pułapki. Barykady z palet, desek i innego badziewia zrobiliśmy głębiej, aby u wylotu mogli ukryć się strzelcy. Gola, Werner, Haller i Puric zbiegają tam na chwilę przed kobietami.

To oczywiste, że Armajki nie będą się kąpać przy obcych mężczyznach, dlatego cała odpowiedzialność spoczywa na kapitan Sauber i naszej tłumaczkę. Tylko one pozostaną widoczne dla sześćdziesięciu kobiet z drugiego transportu. Mieszkanki Kumiszu zaczynają schodzić po schodach, uspokajane ciepłym głosem Nemi. Dziewczyna

uśmiecha się do nich, a jej uśmiech, wyciosany z kamienia, przecina mi serce na pół.

* * *

Na armajskie kobiety czekają na dole porucznik Ostin i kapitan Beck. Ballard i ja podążamy za sznurem cywilów i stajemy u wylotu tunelu, starając się nie zwracać na siebie uwagi. Cała grupa odchodzi dość daleko, w głąb jaskini, prowadzona przez kapitan Sauber. Armajki rozglądają się ciekawie i komentują wszystko, robiąc przy tym sporo hałasu. Kiedy tłum zatrzymuje się wreszcie w pobliżu dowódców, szef kompanii kiwa na Nemi i przemawia do zgromadzonych.

— Nazywam się kapitan Mikel Beck i jestem dowódcą Wysuniętej Placówki Distortion. Miło mi powitać panie w naszym schronie, najbezpieczniejszym miejscu w całej bazie. Bardzo proszę o spokój i wykonywanie poleceń. Zajmie się paniami kapitan Linda Sauber, szefowa naszego szpitala, oraz nasza tłumaczka, Nemi Seelberg. Prosimy, aby przed udaniem się do drugiej części schronu, gdzie zorganizowaliśmy nocleg, wzięły panie kąpiel. Woda w zbiorniku jest ciepła, zasilana źródłem termalnym, ma temperaturę około czterdziestu stopni. Nie należy przekraczać linii wyznaczonej przez promień lasera, ponieważ za nią znajduje się uskok skalny i jest znacznie głębiej. Życzę miłego pobytu, a w przypadku pytań jestem do dyspozycji.

Zerkam na taflę jeziora. Jest spokojna, czarna i jak zwykle lekko przydymiona. Rzeczywiście, mniej więcej jedna czwarta zbiornika została odgradzona od reszty czerwonym promieniem, który dobrze widać w wodnej mgiełce. Jezioro ma kształt podkowy, przy czym jedno ramię i otwarta strona litery U przylegają do skalnej ściany, a wzdłuż drugiego ramienia biegnie chodnik o szerokości kilku metrów. Przechodzi on w krótki tunel, a na końcu – w schody do laboratorium.

Kobiety i nasi dowódcy stoją tam, gdzie podkowa się wygina. W tym miejscu chodnik jest bardzo szeroki, można by ustawić przy sobie setkę ludzi i jeszcze zostałyby dość miejsca. Nie mam pojęcia, kiedy kapitan zlecił badanie dna i jak ustalono, gdzie znajduje się płycizna, ale laser odgradza od reszty właśnie tę część podkowy, jej zaokrąglenie.

Nemi kończy tłumaczyć słowa dowódcy i od razu z tłumy odzywiają się głosy.

- Czy mycie się jest konieczne?
- Czy wszystkie kobiety będą się kąpać razem?
- Czy można skorzystać z szamponu i mydła?
- Czy mężczyźni opuszczą pomieszczenie?
- Kiedy będzie posiłek?
- Kiedy przyjedzie następny transport z Kumiszu?
- Gdzie znajduje się miejsce do spania?

Panuje taki zgiełk, zwielokrotniony przez echo jaskini, że kapitan Beck podnosi głos, niemal krzycząc, próbując zaprowadzić porządek. Mówi dobitnie, że kąpiel jest

obowiązkowa, że dbamy w bazie o higienę, a wszystkich informacji udzielimy za chwilę.

Porucznik Ostin zapewnia kobiety, że żołnierze właśnie opuszczają schron i panie mogą się czuć tu swobodnie. Prosi jeszcze raz o wykonywanie poleceń żeńskiego personelu, odłożenie bagaży pod ścianę oraz o cierpliwość podczas ważenia, koniecznego na wypadek ewakuacji z użyciem śmigłowców. Potem obaj oficerowie żegnają się krótkim skinieniem, przeciskają przez tłum i zmierzają w naszym kierunku.

— Jak to wypadło, panowie? — pyta dowódca kompanii, mijając nas w tunelu.

— Wiarygodnie, panie kapitanie — odpowiadam.

— Mam nadzieję — mówi cicho Beck i dotyka dłonią twarzy.

Z nosa leci mu krew. Patrzy ze zdziwieniem na czerwone ślady na palcach i rusza dalej, a porucznik klepie nas w plecy i każe się wycofać do podnóża schodów. Będziemy tu czekać we trzech, żeby w krytycznym momencie pomóc Nemi i pani kapitan.

Nie wiemy, co się wydarzy. Prawdę mówiąc, niczego nie jesteśmy pewni. Marcel Ostin szepcze mi do ucha, że doktor Sauber ma przy sobie gwizdek, którego użyje, jeśli sytuacja wymknie się spod kontroli. Wtedy zauważam automat wysłany przez Ester, pełną po ścianie, wzdłuż kabla. Pokazuję go Chrisowi i porucznikowi. Nad nami, w laboratorium, ktoś zamyka żelazną klapę wjazdu. Żaden odgłos nie może się wydostać na zewnątrz.

* * *

Czekamy.

Porucznik Ostin wyjmuje lornetkę i kładzie się u wylotu tunelu. Patrzy na zbiegowisko, obserwuje lustro wody i skały. Mówi szeptem, że na sklepieniu jaskini dostrzegł jeszcze kilka automatów. Ester ma podgląd całej sytuacji, nie musi polegać na tym, co jej powiem lub pomyślę. Doskonale wie, kiedy zabrać swoje mięso do piekła.

Czekamy.

Okazuje się, że oprócz lornetki porucznik ma przy sobie również radio, które nastawiamy tak cicho, że ledwie słysząc, co dzieje się nad jeziorem. Kapitan Sauber położyła nadajnik gdzieś w pobliżu Nemi, bo kiedy przyciskam odbiornik do ucha, rozpoznaję głos dziewczyny. Mechanicznie wydaje polecenia, tłumacząc słowa szefowej szpitala. Prowadzi też Armajki na szpitalną wagę, zapisuje kolejne wyniki oraz imiona i nazwiska.

Część kobiet rozebrała się już i weszła do wody. Inne zwlekają nadal, tłumacząc rozpaczliwie, że nie umieją pływać. Pani kapitan i Nemi próbują je uspokoić, ale dopiero widok sióstr i przyjaciółek pluskających się w jeziorze, w ciepłej wodzie sięgającej piersi, zachęca te bardziej ostrożne. Tłum zachowuje się spokojnie.

— Dużo nagości, panie poruczniku? — pyta niespodziewanie Ballard.

— Nie ma w tym nic erotycznego, Chris — odpowiada Ostin. — Patrzę na trupy kobiet. Ta świadomość mi wystarczy.

Czekamy.

Z relacji porucznika i głosów w odbiorniku wnioskuje, że tylko pięć starszerek opiera się jeszcze przed wejściem. Nemi próbuje je przekonać. Znalazło się kilka młodych dziewczyn, które czują się na tyle pewnie, że za zgodą kapitan Sauber przekroczyły czerwoną linię. Wypłynęły na środek jeziora, a jedna zbliżyła się nawet do ściany po drugiej stronie.

Na kąpielisku trwa coś w rodzaju zabawy. Kobiety śmieją się i opryskują wodą, a niektóre myją się dokładnie, zgodnie z poleceniem personelu. Większość nie rozebrała się całkiem. Zostawiły majtki oraz lniane pasy, które zasłaniają piersi. Najstarsze mają na sobie koszule nocne lub halki. Tylko młodzież zrzuciła wszystko przed wejściem do wody.

Czekamy. Porucznik kiwa się niespokojnie.

— Coś się dzieje z wodą — mówi głośno. — Do mnie!

Wychylamy głowy z tunelu. Rzeczywiście, na środku jeziora woda zaczyna bulgotać, jakby wrzała z gorąca. Duże pęcherze powietrza pojawiają się na powierzchni. Zbiornik przypomina trochę ogromne jacuzzi, z każdą chwilą bulgocze coraz bardziej.

Śmiechy na płyciźnie trwają jeszcze w najlepsze, ale dziewczyny pływające poza nią zwracają uwagę na dziwne zjawisko. Kilkunastoletnia dziewczynka, która znajduje się najbliżej bąbli, zaczyna się nagle topić. Woda wypełniona powietrzem traci swoją wyporność. Ktoś woła o pomoc. Większość kobiet odwraca głowy i rozlega się potworny wrzask. Machają rękami do kapitan Sauber, niektóre podchodzą do brzegu i próbują wydostać się z jeziora. Wtedy słyszymy przejmujący gwizd.

Ruszamy.

Jak na komendę z wewnętrznych tuneli wyskakuje pozostała czwórka. Gola macha na Purica i Hallera, żeby zajęli się starszankami, które stoją na brzegu i obserwują w milczeniu, jak kolejne dziewczyny znikają pod wodą. On i Werner mierzą z karabinów do kobiet, które wychodzą z jeziora, i kopiąc wojskowymi buciorami, zmuszają je do powrotu.

Krzyk, który powstaje w ciągu kilku sekund, jest tak ogłuszający, że niemal tracę orientację. Podbiegamy kilkanaście metrów w stronę pani kapitan i Nemi, ale porucznik każe nam zostać i pilnować wyjścia. Wtedy dwie młode Armajki wydostają się przed nami na chodnik. Jedna z nich to Sara, naprawdę piękna dziewczyna. Druga, w podobnym wieku i również dość zgrabna, staje obok i chowa się za jej plecami. Niezdarnie zasłaniają piersi. Widzę ich włosy łonowe i trzęsące się nogi. Odruchowo mierzymy do nich z karabinów.

Jezioro zapada się nagle, z głośnym mlaśnięciem. Najpierw o kilka metrów, potem jeszcze o kilka. Woda zabiera ze sobą wszystkie pływaczki i większość kobiet z kąpieliska na płyciźnie. Pozostałe walczą o życie, czepiając się skał. Próbuje się do brzegu lub zwisają bezradnie na jakimś występie, ale one także spadają do głębokiego leja.

Nie mam pojęcia, jak mogę na to wszystko patrzeć. Rejestruję zdarzenia jak automat, trzymając jednocześnie na muszce obie dziewczyny. Haller spycha ostatnią staruszkę w przepaść. Leci bezwładnie, obijając się o skały, aż wpada do wody, której ciągle ubywa.

Sierżant Gola mierzy do Armajki po drugiej stronie jeziora, walczącej bohatercko, aby nie stracić oparcia na śliskich kamieniach. Mierzy chwilę i naciska spust. Zgodnie z rozkazem ustawił MBS-a na pojedynczy ogień. Nie trafia za pierwszym razem, więc strzela ponownie i nagie ciało odrywa się od ściany.

Dziewczyny stojące przed nami są sparaliżowane strachem. Już tylko one zostały w jaskini. W końcu koleżanka Sary wysuwa się przed nią i robi kilka drobnych kroków w naszą stronę. Gdy otwiera usta, żeby coś powiedzieć, Chris uderza ją w twarz kolbą karabinu. Nieprzytomna, chwieje się przez chwilę, a potem wpada w dziurę po ciepłym jeziorze.

— Przepraszam — szepcze Ballard, opuszczając broń.

— Skacz! — krzyczę do Armajki. — Skacz, Sara, albo cię zastrzelę.

Mój głos odbija się od ścian i wraca do mnie zniekształcony.

— Skacz, do kurwy nędzy!

I dziewczyna skacze.

* * *

Nie mogę myśleć. Nie myślę.

Kapitan Sauber woła mnie do siebie, jednocześnie podtrzymując Nemi, która chyba straciła przytomność. Dziewczyna siedzi na ziemi, kiwając się bezwładnie. Pani kapitan obejmuje ją ramieniem, a drugą dłoń klepie energicznie po twarzy.

— Ocknij się, mała! — mówi. — No, popatrz na mnie.

Podbiegam do niej. Razem podnosimy Nemi. Normalnie jest lekka jak piórko, ale teraz przelewa się przez ręce, trudno ją utrzymać. Proszę, żeby któryś z chłopaków mi pomógł, i Chris, chociaż przed chwilą stał, jakby wyrosły mu korzenie, łapie dziewczynę z drugiej strony. Prowadzimy ją do wyjścia, kapitan Sauber kroczy przed nami.

— Nemi, kochanie, powiedz coś — szepczę jej do ucha. — Otwórz oczy.

— Markus... — odzywa się wreszcie. — Co my zrobiliśmy?

— Nie możesz myśleć. Nie myśl.

— Skup się na swoich krokach — podpowiada Ballard. — Licz kroki.

Idziemy po schodach. Gaus otwiera kłapę, zanim zdążymy zapukać. Potem przez pokój, do wyjścia, przez plac, mijając kilku zaskoczonych żołnierzy, zmierzamy jak najszybciej do szpitala. Kapitan Sauber każe położyć Nemi w jednej z sal na dole. Nie próbujemy nawet wejść na piętro, żeby zanieść ją do jej pokoju.

— Odpocznie tu chwilę, zaraz podam kroplówkę. Wszystko będzie dobrze — mówi Linda Sauber. — Możesz iść.

— Dziękuję, pani kapitan. Dziękuję!

— Idź już, Markus, niech teraz poleży w spokoju. Zajmę się nią.

— Czy mogę jeszcze jakoś pomóc?

Ballard musi mnie wyciągać ze szpitala siłą. Wracamy do laboratorium, gdzie zbiera się cała ekipa. Porucznik Ostin jest tak poszarzały i wymięty, jakby przeszedł przez wielką sieczkarnię po pokonaniu trasy maratonu. My nie wyglądamy lepiej. Może oprócz Wenera, który siada pod oknem i przypala sobie papierosa. Nie chcę teraz czytać z jego twarzy. Wyczytałbym coś strasznego.

— Zrobiliście to? — pyta Sewerin.

— Tak — odpowiada porucznik. — Mam tu podsumowanie transportu. Cała waga to trzy tysiące trzysta sześćdziesiąt dwa kilogramy.

Zapada cisza. Rozwielitka kręci się niespokojnie, próbuje wyjść z pomieszczenia. Cała pieprzona szesnastka, wszyscy patrzymy na siebie, jakbyśmy mieli cień nadziei, że to, co się stało, nie jest prawdą. Wiele słów i nienazwanych uczuć ciśnię się teraz do głowy, ale za podsumowanie całej akcji musi nam wystarczyć liczba, którą podał Ostin.

— Panie poruczniku, co teraz? — odzywa się wreszcie Sotter.

— Musimy znów jechać do Kumiszu. Macie kwadrans i ruszamy do wioski.

Sierżant Gola dodaje, żebyśmy napili się czegoś. Jest gorąco, nie możemy się odwodnić.

* * *

Zerkam na zegarek. Piętnaście po jedenastej. Ballard skręca papierosy dla mnie, dla sierżanta i dla siebie. Już wypaliliśmy wszystkie paczki, chyba że ktoś ukrył głęboko swój zapas. Dobrze więc, że jeszcze w Harmanie niektórzy wpadli na pomysł, by kupić bibułki i tytoń na targowisku. Smakuje jak zeschnięta trawa doprawiona krowim łajnem, ale da się palić. Dzięki temu łatwiej nam nie myśleć.

Puric stoi obok i zagląda pod maskę skorpiona. Coś mu tam hałasowało i koniecznie musi sprawdzić, czy nie obluzował się jakiś element. Trochę dalej Gaus i Rozwielitka jedzą konserwę z jednej puszki. Trzymają się teraz osobno, jak gdyby czuli, że my — którzy byliśmy na dole — mamy swoje sprawy i potrzebujemy swojego towarzystwa.

— Koncerny tytoniowe powinny wykładać forszę na leki przeciw nowotworom — mówi Chris. — A najlepiej na kuracje genetyczne.

— Byłoby ładnie z ich strony, ale to przyznanie się do winy — stwierdza Gola.

— Nie chodzi o dobre wrażenie, sierżancie. — Ballard kręci głową. — Jak pan myśli, co by się stało, gdyby palenie nie powodowało raka?

— Ludzie przestaliby się bać.

— Właśnie tak. I niech pan pomyśli, ilu więcej sięgnęłoby wtedy po fajki.

O czym oni mówią, do cholery?

Chodzi jedynie o wydawanie dźwięków aparatem mowy, podążanie za pierwszym

skojarzeniem, cieniem myśli, za pieprzonym czymkolwiek. Trzy tysiące trzysta sześćdziesiąt dwa. Potrzebujemy jeszcze ośmiu tysięcy sześciuset trzydziestu ośmiu kilogramów.

* * *

Dwadzieścia minut później próbuję uspokoić Hawara Saltika, który krzyczy na nas na środku ulicy, że nie spieszyliśmy się z przyjazdem. Zarzuca nam powolność i złą organizację. Gdyby on tak działał, niczego by nie załatwił. Cała rada starszych jest rozczarowana. Musieli długo uspokajać mieszkańców, którzy jak najszybciej chcą się znaleźć za murami.

Porucznik Ostin mówi cicho, że jeśli stary natychmiast się nie zamknie, osobiście go zastrzeli. Jego nerwy są już tak napięte, że wierzę w tę groźbę. Dlatego przerywam tyradę Armaja, odpowiadając mu zdecydowanie, że możemy ich zostawić w Kumiszu, jeśli nasza pomoc nie podoba się starszyźnie. Zabierzemy tylko resztę kobiet, a mężczyźni na pewno sobie dadzą radę. Niech to poważnie przemyśli.

To otrzeźwia starszego wioski.

— Pan się nie obraża, panie Markus — uśmiecha się pojednawczo. — Pan musi wiedzieć, jak trudno opanować ludzi, którzy się boją.

— Zdaję sobie z tego sprawę — odpowiadam. Próbuję nie myśleć o jaskini.

— Ja mam inną propozycję. Zabierzecie teraz tyle osób, ile się pomieści, a reszta sama przyjdzie do bazy. To tylko pół godziny drogi pieszo albo weźmiemy swoje auta.

— Wykluczone! — woła w odpowiedzi porucznik. — Powiedz mu, że nasi ludzie mają rozkaz strzelać do każdego, kto zbliży się do Distortion na odległość mniejszą niż pół kilometra. Powiedz mu, żeby tu siedzieli na dupie i przestali mnie wkurwiać.

Staram się wypełnić rozkaz, odpowiednio dobierając słowa.

W końcu udaje się dojść do porozumienia, choć nie jestem pewien, czy mieszkańcy wioski nadal nam ufają. Załadunek przebiega na szczęście jeszcze sprawniej niż poprzedni. Rutyna i strach robią swoje. Podobno partyzanci zbliżyli się na chwilę do wioski. Pół godziny temu widziano dwa samochody pełne uzbrojonych bojowników kilometr na południe od Kumiszu. Wypatrzył ich syn Saltika, stojący na czatach przy szkole.

Siedemnaście kobiet i czterdziestu pięciu mężczyzn wchodzi na ciężarówki. Nie zabierają ze sobą nawet zbyt wielu bagaży. Staram się na nich nie patrzeć i rozmawiać jak najkrócej. Ale i tak zapamiętuję chłopaka Sary, starszego mężczyznę poruszającego się o kulach oraz dwóch nastoletnich chłopców tak podobnych, że nie do rozróżnienia. Nie sposób traktować ich wszystkich jak jednolitą biomasę.

Kiedy wracamy do bazy, nie odzywamy się do siebie ani słowem. Panuje taka cisza, że nawet ja, głuchy na takie rzeczy, słyszę to dziwne stukanie, o którym wspomniał Puric. Coś rzeczywiście psuje się w naszym skorpionie. I byłby to poważny problem dla

całej drużyny, gdyby nie świadomość, że nasze mózgi zepsuły się bardziej.

* * *

Stosujemy ten sam wybieg co poprzednio. Pozwalamy Armajom wybrać spośród siebie kilka osób, które odwiedzą namiot z kobietami i dziećmi. Pytam zgromadzonych na placu, czy ktoś z ich rodzin podróżował pierwszym transportem. Unosi się kilkanaście rąk, więc prowadzimy siedmiu dorosłych, żeby odwiedzili swoje żony i potomstwo. Chłopcy zostają w tłumie bez sprzeciwu, bo aż tak bardzo nie ciągnie ich do matek.

Zamiast tego rozglądają się po bazie. Nasz sprzęt i uzbrojenie wywierają wrażenie nie tylko na nastolatkach. Również starsi mężczyźni, nawet bardzo starzy, z ciekawością podchodzą do kaukaza, obserwują grupki żołnierzy na placu, a nawet budynki z workami piasku na dachach i gniazdami karabinów maszynowych. Może dzięki temu będą się czuli bezpieczniej, ruszając w podróż do jaskini.

Widzę też, że porucznik Jang podbiega do Ostina i mówi mu coś na ucho. Nasz dowódca chwyta się za głowę, ale potem szybko opuszcza ręce i rozgląda się, czy ktoś to dostrzegł. Gestykułuje gwałtownie, pyta o coś młodego oficera i wreszcie odchodzi na bok. Jang wraca do budynku dowództwa, a ja zostawiam na chwilę kolegów zgromadzonych przed namiotem i ruszam do Ostina.

— Co się stało, panie poruczniku?

— Nie teraz, Markus. Musimy wykonać zadanie jak najszybciej i pojechać po ostatni transport. Niech ta siódemka dołączy do kolumny i wszyscy idą do laboratorium.

— Ale co się stało? Może mi pan powiedzieć?

Patrzy na mnie pustym wzrokiem.

— Wyciągnąć odwiedzających z namiotu i formować kolumnę!

— Tak jest!

* * *

Po kilku minutach jesteśmy gotowi do zejścia pod ziemię. Tym razem nie ma Nemi ani kapitan Sauber. W zaprowadzeniu porządku pomagają nam ludzie Sottera. Po wysokich stopniach schodzi najpierw sierżant Sewerin z Wernerem i Hallerem, potem kobiety i młodzież, a następnie dorośli mężczyźni, którzy pomagają najstarszym członkom grupy. Za nimi idzie porucznik Ostin oraz ja z Puricem i Ballardem. Sierżant Gola tym razem zostaje na górze, ma dowodzić pozostałą częścią ekipy, która ubezpiecza nas z budynku na powierzchni.

Kobiety i mężczyźni idą chodnikiem przed nami. Po lewej zajeje dziura po tym, co kiedyś było jeziorem. Ester wypełniła je ponownie wodą, ale tylko w połowie. Odległość od brzegu do czarnej tafli wynosi dobre dwadzieścia metrów. Krzyczę do idących Armajów, żeby szli przy ścianie i nie patrzyli w dół, bo to niebezpieczne. Wywołuję

tylko niepotrzebne zamieszanie, ale nikt nie spada w przepaść. Jeszcze nie.

Dochodzimy do końca jeziora, gdzie chodnik się rozszerza. Pluton Normana, który pracował tutaj po naszym wyjeździe, uprzątnął już wszystkie pakunki, ubrania, ręczniki i inne drobiazgi, które mogły świadczyć o masakrze. Ludzie idący przed nami są jednak zaniepokojeni. Musimy działać szybko i zachować czujność.

— Poziom wody nie wrócił do poprzedniego stanu — szepcze do nas Ostin. — Nie możemy namówić ich do kąpieli.

— Poza tym jest tu trochę kobiet, nie sami mężczyźni — zauważa Ballard.

— Tak, to prawda. Dlatego wydałem już rozkaz sierżantowi, a teraz informuję was, że musimy rozstrzelać tych ludzi.

Temperatura w jaskini spada nagle o co najmniej dziesięć stopni. Czuję chłód.

— Zrobimy to zaraz po ważeniu. Czekać na mój rozkaz i starajcie się zachować spokój. Markus, za mną! Wy dwaj, zostańcie tu i udawajcie, że o czymś rozmawiacie.

Ballard i Puric zatrzymują się, zgodnie z rozkazem. Ja idę za porucznikiem, który przemawia do tłumu zamiast kapitana Becka. Nie mam pojęcia, dlaczego szef kompanii nie zszedł tym razem do cywilów. Ale nie myślę o tym długo, bo tłumaczę słowa dowódcy.

Mówimy głównie o tym, że właściwa jaskinia, w której nocują trzy transporty, znajduje się za jednym z tuneli. Tutaj musimy się przegrupować, bo przejście jest wąskie i będziemy się poruszać jeden za drugim. Powtarzamy też kłamstwo o spisaniu wagi ze względu na transport lotniczy. Wywołuje to spore poruszenie, dlatego szybko tłumaczymy, że to jedynie procedura. Stosujemy ją na wszelki wypadek.

— Nie opuszczają państwo Kumiszu na długo. Tak jak obiecaliśmy, za dwa lub trzy dni wrócicie do wioski. Musimy jednak przygotować się na każdą ewentualność — kończy Ostin. — Proszę teraz odłożyć pakunki i podchodzić po kolei do wagi. Sierżant Sewerin i kapral Werner zapiszą wasze dane i pokażą, gdzie się macie ustawić.

Nie każemy im zdejmować ubrań. Dlatego od wyniku trzeba będzie odjąć kilkanaście kilogramów. Widzę, że porucznik dyskretnie odpina zatrask swojej kabury. Nie ma MBS-a, jak my, ale postanowił brać udział w egzekucji na równi z pozostałymi żołnierzami.

* * *

Procedura przedłuża się. Nie wszyscy chętnie odkładają zawiniątka i torby pod ścianę, nie wszyscy też potrafią spokojnie stanąć na wadze. Irytuje to kaprala Wenera, który zaczyna pokrzykiwać i mówić coś o armajskich świniach. Sewerin uspokaja go skutecznie, ale nerwowość udziela się cywilom.

Mężczyzna chodzący o kulach, którego zniosło tutaj dwóch chłopaków, wywraca się, podchodząc do urządzenia. Porucznik reaguje szybko, wydając rozkaz, żeby nie zmuszać go do ważenia i przepuścić dalej. Niech stanie pod ścianą z innymi, a najlepiej – usiądzie

na palecie. Kiedy do końca zostaje mniej niż dziesięć osób, Ostin każe nam się przygotować.

Oznacza to, że musimy odbezpieczyć broń, nie zwracając na siebie uwagi. Zerkam na Purica i Ballarda, którzy wykonują polecenie i powoli zbliżają się do naszej grupy. Werner i Haller również przesuwają dłoń wzdłuż zwisającego z boku karabinu. Ostatni odbezpiecza MBS-a sierżant Sewerin, trzymający nadal notatnik i długopis.

Armajowie stoją teraz stłoczeni pod ścianą, naprzeciw nas. Po prawej mają skałę, po lewej przepaść, której wyraźnie się boją. Sewerin odstawia wagę na bok i udaje, że notuje coś w kajecie. Zbliży się do porucznika, a Werner i Haller podążają za nim.

— Przygotować się! — krzyczy porucznik, wyciągając pistolet.

Wszyscy nagle odwracamy się do cywilów i przykładamy broń do ramion.

— Co się dzieje?! — woła jedna z kobiet stojących na przedzie.

— Rammańskie skurwysyny! — Wysoki mężczyzna rusza w naszą stronę.

— Ognia! — wydaje rozkaz Ostin i pierwszy strzela do biegnącego.

W stronę tłumu leci grad pocisków. Pierwszy szereg przewraca się od razu, potem padają następni. Wyjąc ze strachu, biegną jeszcze w naszą stronę albo zasłaniają się rękami przed śmiercią, ale ta dopada ich, jedno po drugim. Cofamy się o kilka kroków i znowu naciskamy spusty MBS-ów. Strzelamy długimi seriami, celując w korpus i nogi, żeby zwiększyć skuteczność.

Kilka ciał spada w czarną dziurę. Wydaje mi się, że bliźniacy, których widziałem w Kumiszu, skaczą żywi, trzymając się za ręce. Za nimi, z głośnym krzykiem, leci jeszcze dorosły mężczyzna. A potem słychać już jedynie jęki i potworny charkot tych, którzy oberwali w płuca. Sarta ciał wygląda jak obrzydliwe wysypisko, wstrząsane drgawkami.

— Dobić rannych! — mówi porucznik i zmienia magazynek.

Podchodzimy więc do cywilów i strzelamy tam, gdzie zauważamy jakiś ruch. Z tyłu, pod ścianą, siedzi przyciśnięty zwłokami chłopak. Patrzy na nas wytrzeszczonymi oczami. Sierżant Sewerin rozwała mu twarz. Krew z podziurawionych ciał płynie w naszą stronę.

Zaczynamy wyciągać je po jednym i rozbierać do bielizny. Potem szmaty odrzucamy na bok, a zwłoki spychamy w przepaść. Woda w dole znów kipi od bąbli, Ester śledzi każdy nasz krok. Tniemy ubrania nożami, starając się nie zwymiotować na zmarłych.

Ci trafieni w serce wyglądają najlepiej. Ale niektórzy, jak młoda kobieta, stracili kawałek czaszki, pod którą widać różowy mózg. Jakiś chłopiec leży martwy, trzymając się za brzuch, z którego wypływają wnętrzności. Ktoś przeciął go seria z karabinu.

Pod koniec przy trupach pracują tylko najwytrwalsi – Sewerin, Puric i Werner. Ballard zajmuje się odbieraniem zakrwawionych rzeczy, a Haller stoi pod ścianą, na granicy omdlenia. Porucznik podchodzi do mnie i częstuje drogim papierosem. Przyjmuję go chętnie, bo może zmniejszy chociaż trochę odór krwi.

— Nadal chcesz wiedzieć, co się stało? — pyta Ostin.

— Tak, panie poruczniku.

Nasze głosy brzmią jak syntezytor mowy. Mają białą barwę i metaliczne echo.

— Kiedy byliśmy w Kumiszu, kapitan Mikel Beck popełnił samobójstwo. Zranił przy tym lekko doktor Sauber, która usiłowała go powstrzymać. Jang ukrywa jeszcze tę wiadomość przed załogą bazy, ale muszę ją wam przekazać. Gdybym zginął podczas akcji, Gola, Sewerin i ty musicie pomóc Jangowi.

— Niech pan tak nie mówi, panie poruczniku — odzywam się po chwili.

— Trzeba zawsze zakładać najgorsze. — Zaciąga się papierosem. — Podporucznik Robert Jang i kapitan Linda Sauber nie mają pojęcia o dowodzeniu. Ktoś musi potem doprowadzić ludzi do Harmanu. Obaj sierżanci już wiedzą, powiedziałem im na górze.

Papieros sprawia, że mdłości są coraz silniejsze. A może to reakcja na wiadomość, którą otrzymałem od dowódcy. Teraz to nie ma znaczenia, trzeba odzyskać przytomność, uciekającą powoli do środka, zmusić się do powrotu do laboratorium i do zajęcia miejsca w skorpionie. Nie jestem pewien, czy damy radę jeszcze raz powtórzyć egzekucję.

* * *

Po raz czwarty jedziemy do Kumiszu. Mam wrażenie, że w tej chwili nie jesteśmy tu razem, jakby każdy owinął się szczelnie kokonem i zakleił go od środka. Chciałbym krzyczeć do swoich ludzi, ale zaciśnięte szczęki mi nie pozwalają.

Cmentarną ciszę przerywa Rozwielitka.

— Przepraszam cię, Chris, za to, co mówiłem. — Nachyla się do Ballarda. — Jestem pierdolonym głupcem. Nawet nie chcę sobie wyobrazać, co czujecie.

— Przestań, Jar. Nie musisz się z tego tłumaczyć.

— Kurwa, nawet nie chcę sobie wyobrazać — powtarza Dafny. — Jestem wam cholernie wdzięczny, że nie musiałem schodzić na dół. Nie zniósłbym tego, naprawdę.

— Będziesz chronił nasze dupy, jeśli zajdzie potrzeba — mówi Ballard. — Takie podziękowanie mi wystarczy.

Uśmiecha się kącikiem ust. Podziwiam go za żelazne nerwy oraz za coś, co przy odrobinie dobrej woli można uznać za chęć życia. Bez ludzi takich jak on, a właściwie bez całej drużyny, zastygłbym nieruchomo i patrzył w otchłań.

Zamiast tego patrzę na wyrastające przed nami budynki Kumiszu. Tym razem jesteśmy o czasie, bo porucznik Ostin umówił się z radą starszych na trzynastą trzydzieści. To dlatego nie dał nam odpocząć i nie zajrzał nawet do budynku dowództwa. Kapitan Beck, który porzucił Dziewiątą Kompanię, będzie musiał poczekać na pośmiertną wizytę.

Kiedy wjeżdżamy do Kumiszu, wiem już, że coś się nie zgadza. To wrażenie zalewa mnie zewsząd, jakby ktoś uruchomił alarm. Na środku drogi widać grupkę ludzi, która na nasz widok ucieka do jednego z domów. Zostaje tylko samotny mężczyzna. Zatrzymujemy się i naradzamy przez radio, co robić. Gola proponuje odwrót, ale

porucznik nie chce o tym słyszeć. Kaze zostawić tu „metki” i jechać dalej dwóm skorpionom.

Naprzeciw nas stoi Hawar Saltik.

Rozdział szósty

Czwartek, 14 lipca, godz. 13.25

Wioska Kumisz, pustynia Saladh, południowy Remark Operacja „Ester”

Piszę ten list, wysiadając z samochodu. Piszę go w myślach, ukochany synku, żeby widzieć cię w ostatnich chwilach. Jestem pewien, że otrzymam sprawiedliwy wyrok, ponieważ zło, popełnione w imię dobra, nadal pozostaje złem. A liczby nigdy nie kłamią.

Trzy tysiące trzysta sześćdziesiąt dwa.

Plus cztery tysiące czterysta sześćdziesiąt cztery.

Daje razem siedem tysięcy osiemset dwadzieścia sześć.

* * *

Widzę, jak porucznik Ostin otwiera drzwi skorpiona. Sierżant Gola stara się go zasłonić z lewej strony. Ja też podbiegam do nich, ustawiając się trochę z przodu i z prawej. Ostin tym razem trzyma w dłoniach karabin.

— Siedem tysięcy osiemset kilogramów — mówię głośno.

— Wiem, Markus — odpowiada porucznik. — Musimy być skoncentrowani.

— Coś jest, kurwa, naprawdę nie tak — odzywa się Gola.

— Zachowajmy spokój. Możliwe, że rebelianci ich nastraszyli.

— Ale, panie poruczniku, on nie powinien stać sam.

Nasi ludzie zajęli pozycje. W moim samochodzie Gaus stoi przy karabinie maszynowym, a pozostali kryją się za karoserią. Wiem, że Rozwielitka śledzi teraz przez lunetę każdy ruch. W drugiej grupie to samo robi Lukas.

Może to marne pocieszenie, ale mając ich za sobą, możemy przynajmniej podjąć ryzyko i zbliżyć się do starszego wioski. Dzieli nas już tylko kilka kroków. Widzę, że Hawar Saltik ma zapłakaną twarz. Stoi zgarbiony, z rękami splecionymi na brzuchu. Łzy dosłownie kapią mu z brody, jedna za drugą, zostawiając ślady na skórze. Pustynny wiatr szarpie poóółką koszulą i wzbija tumany kurzu.

— Wróciliśmy — zaczynam rozmowę. — Czemu nie jesteście gotowi?

Moje spojrzenie błądzi po jego sylwetce, szukając ukrytej broni. Przesuwa się też po okolicznych domach, po dachach i dziurawych płotach. W takim miejscu, pełnym niedokończonych ścian i zburzonych murków, łatwo się ukryć i zaatakować z zaskoczenia.

— Nie pojedziemy tam z wami — odpowiada.

— Dlaczego nie pojedziecie? Tu jest niebezpiecznie.

Patrzy mi głęboko w oczy. Jego wzrok jest pełen bólu i determinacji. Jakby chciał przekazać w jednej chwili wszystko, co czuje i myśli.

— Jesteście potworami. Najgorszymi, jakie spotkałem w swoim życiu. Zaufaliśmy wam dzisiaj, powierzyliśmy wam kobiety i dzieci, a wy nas zdradziliście. Zamordowaliście dziesiątki i dziesiątki bezbronnych.

Tłumaczę szybko porucznikowi. Język płacze mi się ze zdenerwowania.

— Zapytaj go, Markus, skąd ma takie informacje.

— Panie Saltik, dlaczego pan tak myśli?! Partyzanci nastraszyli was, że coś się stało w bazie? Proszę się uspokoić, oni kłamią.

— To nie partyzanci. — Kręci głową. — Jesteście demonami, które żywią się krwią.

— Proszę mi wyjaśnić, o co chodzi.

— Oddałem wam swojego wnuka, swoje ukochane dziecko. Zrobiłem to, co musiałem, żeby go ratować. Ale biada mi po stokroć, bo namówiłem innych i posłałem na śmierć wszystkich mieszkańców. Biada Hawarowi Saltikowi! — Zasłania dłonią oczy. — Kiedy spuściliście wodę z ciepłego jeziora, jedną z dziewcząt porwał nurt podziemnej rzeki, trafiła do starego tunelu i wróciła do wioski.

— Oni wiedzą — szepczę do Ostina. — Ktoś wrócił z jaskini.

— Markus, zasłaniamy porucznika — mówi Gola.

— Idźcie do piekła, demony! — Saltik unosi rękę.

* * *

Seria z karabinu trafia go w plecy. Kule świszczą mi wokół głowy.

Rzucamy się wtedy w dwie strony – porucznik w lewo, ja w prawo. Dopiero gdy padam na ziemię przy niskim kamiennym murku, dostrzegam, że obok Saltika leży na wznak sierżant Gola z rozrzuconymi szeroko rękami. Z kilku okien i dachów leci w naszą stronę rój pocisków. Odpowiadają im karabiny maszynowe na wieżyczkach. Pękają szyby, kruszą się ściany, a ubita ziemia na drodze zaczyna pulsować od kul.

Rejestruję ruch po lewej. Strzelam do mężczyzny w drzwiach domu. Potem próbuję się czołgać do tyłu, ale już zasłania mnie pojazd mojej drużyny. Ballard wskoczył za kierownicę i podjął słuszną decyzję. Haller, który kieruje drugim skorpionem, robi po chwili to samo. Pociski uderzają w karoserię, dudnią i szczekają MG2, wyrzuając strumień łusek.

— Uważajcie na dachy! — krzyczy w słuchawkach porucznik.

Z jednego z domów spada młody Armaj, trzymający w rękach karabin. Trafił go pewnie któryś ze snajperów, ale, tak naprawdę, nie mam o niczym pojęcia. Wszędzie wiruje rdzawy pył, chłopaki wołają nerwowo, że musimy się wycofać.

— Ani kroku w tył! — wyje Ostin. — Załogi „metek” dołączyć do reszty! Macie oczyścić dom po domu. Zabijemy wszystkich!

— Wchodzimy dwójkami! — krzyczę w odpowiedzi. — Puric, do mnie! Ballard i Dafny, do tamtego domu! Gaus, ubezpieczaj nas!

Słyszę też Sewerina, który dowodzi załogą ciężarówek. Jego rozkazy składają się prawie z samych przekleństw. Chłopaki dopadają pierwszych zabudowań, które nasza grupa ma teraz za plecami. Ktoś jęczy głośno w słuchawkach.

Podrywam się, przeskakuję murek i pędzę do najbliższej chałupy. Puric jest, jak zwykle, odrobinę szybszy. Ma karabin przewieszony z tyłu, a w rękach ulubioną strzelbę. Wali w drzwi z shotguna i kopnięciem wywala je do środka. Kiedy wpadam za nim, trafia w pierś faceta uzbrojonego w maczetę. Ciało przelatuje przez stół. Mijam je i sprawdzam pomieszczenie obok. Potem następne i następne. Wszędzie pusto, więc wybiegamy na podwórze, przeskakujemy płot z szarych badyli i dostajemy się do kolejnego domu.

Tu zdejmuję dwóch Armajów. Jeden celował przez okno z karabinu, drugi rzucił się na mnie z nożem. Słyszę łupnięcie ze strzelby Purica i zauważam go w drzwiach pokoju.

— U mnie czysto!

— Jeszcze ta szopa, Daniel! — Wskazuję na mały budynek.

Biegniemy tam ile sił w nogach. Ktoś wali do nas z posesji po przeciwnej stronie drogi, ale pociski chybiają celu. Nasz wysiłek zostaje nagrodzony, bo w rogu szopy, za kilkoma kozami, ukrywa się dwóch członków starszyny. Przerażone oczy wyglądają zza grzbietów zwierząt. Starcy są uzbrojeni w kije, więc po prostu strzelamy im w głowy.

* * *

Jesteśmy jak kombajn do zbierania ludzi. Tniemy ich, jednego za drugim, a chłopaki czują chyba ulgę, że nareszcie ktoś z nami walczy. To, że celują do nas, że jest ich więcej i że chowają się po różnych zakamarkach, nie ma większego znaczenia. Prawdę mówiąc, chociaż są zaskakująco dobrze uzbrojeni, nie dajemy im szans w tym starciu. W krótkim czasie oczyszczamy ponad połowę wioski, zwłoki Armajów leżą na drodze i przed domami, a jedno ciało zawisło na płocie nogami do góry.

Ballard i Dafny mijają nas i wchodzą do kolejnego budynku, a ja wołam Purica, żeby sprawdzić, co z sierżantem Golą. Daniel z wprawą sanitariusza pochyla się nad leżącym i dotyka jego szyi. Potem chwilę nasłuchuje oddechu i szuka ran na ciele. Kiedy podnosi się z kłęczek, wiem już, że Gola nie żyje.

— Dostał w serce — mówi Puric z kamienną twarzą. — Kula trafiła go z lewej strony i musiała przejść przez żebra. Bóg go zabrał, zanim upadł na ziemię.

Poczucie straty przeszywa mnie jak prąd, ale biegnę z Danielem do kolejnych drzwi, potem do następnych. Walka wciąż trwa pomiędzy domami, na podwórkach i wewnątrz budynków gospodarczych. Słyszę, że zginął Goran Lukas. Usil dostał postrzał w rękę, ale rana jest powierzchowna. Zabłąkany pocisk trafił Hallera w twarz. To on tak jęczy w słuchawkach, dopóki porucznik nie każe mu wyłączyć mikrofonu.

Poruszamy się teraz za skorpionem, który prowadzi Ballard. Docieramy do drugiego krańca wioski, do miejsca, gdzie to wszystko się zaczęło, do choleralnej szkoły, z której wychyla się dwóch ludzi. Gaus zmiata ich serią z MG2, jeden dosłownie wpada z powrotem do środka. Wyskakuję zza pojazdu i zaglądam przez okna budynku, ale nie ma tu żywej duszy. Nikt nie zmusi mnie, żebym znowu tam wszedł.

Puric i Rozwielitka, którzy mnie ubezpieczają, wołają właśnie, że na drodze pojawiły się samochody. Z południa nadjeżdża biały pick-up i dwie osobówki, wyładowane rebeliantami. Karabin maszynowy na wieżyczce zaczyna do nich strzelać, kiedy śmiga nad nami obładowany amunicją feniks.

— W samą porę! — mówi Ballard, kiedy staję przy nim.

— Wezwałś go, Chris?

— Nie zdążyłem. Zresztą, nie mam tu zasięgu.

— Jang musiał obserwować naszą akcję.

— Co z sierżantem, Markus?

Kręcę tylko głową w odpowiedzi.

W tym czasie feniks trafia pierwszy samochód rakieta. Widać wybuch i złocistą kulę ognia, a potem fontannę ziemi przy drodze – druga rakietka musiała chybić celu. To jednak wystarcza, żeby oddział partyzantów zatrzymał się, a potem zawrócił. Wrak samochodu płonie na poboczu, podmuchy gorącego wiatru rozwiewają dym. Jestem pewien, że wszyscy w środku zginęli, ale nie mamy jak tego sprawdzić.

* * *

Zostawiam Ballarda, Rozwielitkę i Gausa na pozycji i wracam z Puricem do wioski, gdzie reszta oddziału wynosi już z domów pierwsze trupy. Tylko Werner znajduje żywego człowieka; wyprowadza kogoś z pochylonej ku ziemi drewnianej szopy. To ubrana w męski strój dziewczyna. Idzie skulona i trzęsie się na całym ciele. Adam zmusza ją do klęknienia na drodze, więc podbiegam razem z porucznikiem, żeby się czegoś dowiedzieć.

Jeden rzut oka wystarczy, by zrozumieć, że to niemożliwe. Spotkaliśmy właśnie uciekinierkę z jaskini, o której wspomniał Hawar Saltik. Nieprzytomne oczy i twarz wykrzywiona strachem mówią jasno, że jej mózg nie wytrzymał napięcia, dziewczyna postradała zmysły. Ostin macha ręką z rezygnacją i odchodzi, a Werner strzela jej w skroń i ciągnie zwłoki do miejsca, w którym gromadzimy zmarłych. Ciężarówka podjeżdża pojedynczo, a my zaczynamy załadunek.

Pot zalewa nam oczy. Gorąco sprawia, że nawet lżejsze ciała przenosimy z trudem. Porucznik wzywa do pomocy Gausa. Na każdej z „metek” stoi dwóch chłopaków, a dwóch innych podaje im trupy. Tylko kilku zabezpiecza oddział przed atakiem. Mamy tak wyschnięte gardła, że prawie nie rozmawiamy. Wyrzucamy z siebie pojedyncze słowa, jeśli to naprawdę konieczne. Trupy wyslizgują się z rąk.

Ostin krąży w tym bałaganie i pokrzykuje na nas, żeby się pospieszyć. Nie wiadomo, czy ktoś jeszcze nie ukrywa się w wiosce. Nie wiadomo też, co zrobią rebelianci. Mogą ruszyć tu całym oddziałem i przerwać naszą pracę. Zwłoki szeregowego Lukasa i sierżanta Goli umieszczamy w skorpionach. Półtorej godziny po rozpoczęciu ataku na Kumisz jesteśmy gotowi do powrotu. Wieziemy pięćdziesiąt dwa ciała.

* * *

Z wyczerpania tracę powoli tożsamość. Myślę o sobie tylko jako o części oddziału, o krwistym kawałku mięsa. Wjeżdżając do bazy, przyglądam się kaukazowi oczami innych żołnierzy. Słaniam się na nogach jak pozostali, i tak jak oni nie potrafię się zmusić do działania. Porucznik Ostin resztką sił rozkazuje Mastalikowi, żeby zebrał szybko kilku ludzi, którzy pomogą nam zanieść trupy do laboratorium. Mówi coś o partyzantach w wiosce i o śladach, które trzeba zatrzeć. Kapral stoi przed nim przerażony, jakby właśnie zaczynał rozumieć, co się stało w podziemiach Distortion.

Pijemy zachłannie wodę, przyniesioną w manierkach przez Kranca i Pattela. Kiedy dowiadują się o śmierci Lukasa, dobrego kolegi z drużyny, zwieszają głowy w milczeniu. Policzkuję się mocno, żeby choć trochę otrzeźwieć. Prowadzę swoich ludzi do ciężarówek, gdzie odbieramy zwłoki od Sottera i reszty. Poruszamy się jak automaty, ciągniemy zabitych mieszkańców Kumiszu do wjazdu i zrzucamy ich ze schodów.

Na dole są sierżant Sewerin, Usil, Truman, Hinte i Grimm, którzy przenoszą zwłoki w głąb jaskini. Kiedy wszyscy zabici trafiają pod ziemię, schodzę na dół, by razem z innymi ściągać z nich ubrania. Znowu tniemy je nożami i odklejamy szmaty od zakrwawionych ciał, ale tym razem nie czuję już mdłości. Wykonuję rozkaz, marząc tylko o tym, by położyć się i choć na chwilę zasnąć.

Potem Gaus bierze trupy na ręce i waży się z nimi przed zrzuceniem w przepaść. Sierżant Sewerin zapisuje wyniki, odejmując od każdego sto dziesięć kilogramów naszego żołnierza. Armajowie wpadają do czarnego leja, a lista w notesie sierżanta staje się coraz dłuższa. Porucznik Ostin kontroluje pomiar, a na koniec podlicza cały słupek: cztery tysiące dwieście dwanaście kilogramów. Mężczyźni ważyli więcej, niż zakładaliśmy.

— Panowie, nakarmiliśmy potwora dwunastoma tonami ludzkiego mięsa — mówi porucznik. — Wypełniliśmy swoje zadanie. Zapłaciliśmy za to życiem dwóch kolegów, starszego szeregowego Gorana Lukasa i starszego sierżanta sztabowego Iana Goli. Chciałbym wam powiedzieć, że sierżant Gola był najlepszym żołnierzem, z jakim przyszło mi służyć. Dziękuję wam za poświęcenie. Możecie się rozejść.

Woda na dnie krateru zaczyna bulgotać.

* * *

Kładziemy się na materacach w dusznym i ciemnym magazynie, który zajęliśmy po opuszczeniu namiotu. Puric ogląda zabandażowane dłonie. Są całe czerwone od krwi i pokryte pyłem. To ostatni obraz, jaki widzę przed zaśnięciem.

Ester przychodzi od razu i przemawia metalicznym głosem.

Jedenasta informacja: Ilość materiału biologicznego, dostarczonego na pokład „Heart of Darkness”, jest wystarczająca do regeneracji Statku. Proces rozpoczął się po przekazaniu pierwszej partii, około godziny jedenastej trzydzieści, i przebiega prawidłowo. Szacowany czas zakończenia regeneracji to czternaście godzin i trzydzieści minut.

Dwunasta informacja: Po uruchomieniu napędu tunelowca pole grawitacyjne wokół wzgórza Otorten ulegnie czasowemu odwróceniu. Mogą wystąpić również anomalie elektromagnetyczne oraz zjawiska sejsmiczne, zagrażające ludzkiemu życiu. Zaleca się, aby przed upływem wyznaczonego terminu opuścić bazę i oddalić się od epicentrum na odległość co najmniej dziesięciu kilometrów. Bariera wokół Wysuniętej Placówki Distortion została zdezaktywowana.

* * *

— Markus! — Ktoś szarpie mnie za ramię. — Markus, obudź się!

Z trudem otwieram powieki. Pochylają się nade mną porucznik Ostin i doktor Sauber. Pani kapitan ma zabandażowaną głowę i oczy błyszczące w półmroku. Ostin potrząsa mną jak szmacianą lalką. Nie podejrzewałem go o taką siłę.

— Co się stało, panie poruczniku?

— Weź ze sobą Gausa i Ballarda i zamelduj się przed szpitalem.

Patrzę na zegarek, upłynęła niecała godzina. Nie potrafię się dobudzić, kręci mi się w głowie. Ale już po chwili łapię Chrisa za nogę, prawie ściągam go z materaca. Gaus ma wyjątkowo czujny sen, sam unosi się na posłaniu.

Nie bierzemy broni, nie było rozkazu. Kilkadziesiąt metrów, które dzielą nas od szpitala, pokonujemy z półprzymkniętymi oczami, zataczamy się jak pijani. Nie potrafię powiedzieć, dlaczego z każdym krokiem rośnie we mnie niepokój. Kiedy staję przed porucznikiem i szefową szpitala, jestem już prawie przytomny. Serce łomocze mi w piersi.

— Co się stało? — pytam jeszcze raz.

Widzę, że oficerowie są napięci jak struny. Na twarzy Ostina, z której nie zszedł jeszcze cały brud, drgają pojedyncze mięśnie. Linda Sauber wpatruje się we mnie nieruchomo. Bardzo mocno zaciska palce na trzymanym w dłoniach stetoskopie.

Cisza trwa może kilkanaście sekund, ale czuję, że nie zniosę tego dłużej.

— Panowie, przytrzymajcie kaprala Trenta — mówi porucznik.

Ballard i Gaus posłusznie chwytają mnie za ramiona.

— Markus, muszę ci przekazać z bólem tę wiadomość — odzywa się pani kapitan.

— Piętnaście minut temu stwierdziłam zgon Nemi Seelberg. Trudno mi wyrazić, co czuję. Porucznik Ostin powie ci zaraz więcej.

Robi mi się ciemno przed oczami. Zaczynam wyć i miotać się potwornie, próbuję się wyrwać chłopakom i pobiec do szpitala, ale trzymają mnie mocno. Kiedy wreszcie wyszarpuję rękę Ballardowi, Gaus oplata mi szyję w żelaznym uścisku, zakłada duszenie i momentalnie posyła na ziemię.

— Nie, nie, nie! — Biję żwir pięściami. — Kurwa, nie! Tylko nie ona!

— Markus, uspokój się. Musisz mnie wysłuchać — woła Ostin.

— Tylko nie Nemi, nie ona!

Przyciskam dłonie do twarzy i zastygam przed drzwiami szpitala. Moje ciało skurczyło się w sobie, zaplątało w węzeł. Czuję, że właśnie umarłem. Już nigdy więcej nie zasnę i nigdy się nie obudzę. Jeśli cokolwiek miało tutaj jeszcze sens, właśnie odeszło w niepamięć.

— Musisz się pozbierać, kapralu. Musisz wstać i pożegnać się z Nemi. Potem powiem ci coś bardzo ważnego.

— Nic. Już. Nie. Jest. Ważne — odpowiadam z trudem. — Już nic.

— Mylisz się — mówi porucznik. — Podnieście go i idźcie za panią kapitan.

Stawiam kroki jak robot. Na sztywnych nogach stąпам za doktor Sauber, podtrzymywany przez Ballarda. Gaus i porucznik podążają za nami. Wchodzimy do pokoju na parterze, przerobionego na salę operacyjną. Na środku, na metalowym stole, leży ciało przykryte prześcieradłem. Linda Sauber odsłania głowę i szyję Nemi.

Podchodzę bliżej i patrzę na nią w milczeniu. Ma zamknięte oczy i bladą twarz. Na szyi widać sine ślady. Dotykam jej czoła i gładzę je delikatnie, a po policzkach spływają mi łzy. Skóra jest zimna i sucha w dotyku. Moja kochana dziewczyna. Leży tu teraz przed nami, jakby zamarzła na środku pustyni.

Linda Sauber obejmuje mnie i przyciska mocno. Płacę tak, jak nie płakałem nigdy. Byłem odporny na śmierć, potrafiłem stawić jej czoła. A teraz każdy przedmiot, który mnie otacza, każdy człowiek, to pusta atrapa.

— Posłuchaj mnie uważnie, Markus — odzywa się porucznik. — Spójrz na mnie.

Mechanicznie odwracam się do niego.

— Wiesz, że Nemi zasłała po pierwszym transporcie do jaskini. Miała problemy z sercem, ale pani kapitan zażegnała niebezpieczeństwo. Jej stan był stabilny.

— Więc dlaczego? — pytam cicho.

— W tym budynku przebywał na obserwacji Oskar Benesz. Tak jak podejrzewałem, symulował chorobę. Skorzystał z zamieszania w bazie i zakradł się do sali, w której leżała Nemi. — Ostin milknie na chwilę. — Przepraszam cię za szczegóły, ale próbował ją zgwałcić. Dziewczyna ocknęła się pewnie i zaczęła się bronić, wtedy ją udusił.

— To niemożliwe — mówi Ballard.

— Zauważył to chorąży Gilde i wezwał pomoc. Truman, Werner i Hinte wracali właśnie z łaźni i chcieli odwiedzić rannego Hallera. Wspólnie obezwładnili napastnika

i na mój rozkaz zawlekli go do aresztu. Ten skurwysyn siedzi teraz w celi, którą zajmował wcześniej kapral Norman. Skazałem szeregowego Benesa na śmierć. Możesz wykonać wyrok, jeśli chcesz.

Patrzę na niego i wolno kiwam głową. Idziemy do budynku dowództwa.

* * *

Frank Hinte stoi z karabinem przed wejściem. Porucznik wydaje rozkaz, żeby nikogo nie wpuszczać, i prowadzi nas na dół. Schodzimy do piwnicy, gdzie Yuri Truman i Adam Werner pilnują celi, w której znajduje się Benesz. Pani kapitan siada na krześle przy schodach, a Gaus i Ballard zatrzymują się krok dalej.

— Markus, pozwól mi to zrobić. Rozedrę chuja gołymi rękami — woła Gaus.

— Cicho, Vim — odzywa się Chris. — Nic nie mów.

Obaj strażnicy patrzą na mnie w napięciu, czekając na jakiś gest albo polecenie Ostina. Wyciągam rękę do Wenera i biorę od niego MBS-a. Wyjmuję magazynek i oglądam go dokładnie. Potem przyłączam z powrotem i dotykam przełącznik ognia.

Podchodzę do drzwi pomieszczenia.

— Otworzyć celę! — mówi porucznik. — Nie będę odczytywał wyroku.

Werner porusza zasuwą i uchyla drzwi. Truman, z bronią gotową do strzału, zajmuje pozycję za moimi plecami. Mam wrażenie, że kiedy staję w progu celi, wszyscy przestają oddychać. Zakrwawiony i posiniaczony Benesz siedzi pod zakratowanym oknem, naprzeciw wejścia. Ma na sobie porwaną koszulkę i szorty, w których leżał w szpitalu.

Wstaje niezgrabnie i otwiera usta, żeby coś powiedzieć.

Przykładam karabin do ramienia i naciskam spust.

Ogień ciągły, trzydzieści naboí.

* * *

Umierałem w myślach wiele razy. Trafiłem na własne życzenie do kliniki dewitalizacji, widziałem we śnie sterylną egzekucję. Zdarzały się słoneczne dni, kiedy myśl o samobójstwie dodawała mi otuchy. Gdy byłem Markusem Trentem, nie potrafiłem żyć.

Ten, który został po nim, pamięta słowa skierowane do sierżanta Goli: „Przyjechałem tutaj, żeby umrzeć”. W styczniu, po śmierci szeregowego Fielda, w smrodzie zbombardowanej latryny. Prawdziwe słowa, lecz wypowiedziane lekkomyślnie, pod wpływem czarnego impulsu. Teraz sierżant Gola leży w chłodni, zamknięty w worku na zwłoki, a kapral Trent siedzi w rogu bazy, za budynkiem szpitala, i ogląda ze zdziwieniem swoje dłonie.

A więc tak wygląda skóra po śmierci: blada i sucha, jak czoło i policzki Nemi. Krew nie ogrzewa już tkanek, nie dostarcza tlenu i nie transportuje toksyn do oczyszczalni

w wątrobie. Płuca poruszają się miarowo, symulując oddech. Ludzie otaczający kaprala nie zdają sobie sprawy, że wreszcie osiągnął swój cel. Cała przestrzeń, w której pływali jak ryby, zapadła się i zgasła nagle, kiedy zabił Oskara Benesza.

— Jeszcze nie — szepczę do siebie bezgłośnie. — Jeszcze mogę coś zrobić.

— Markus! — woła z daleka Ballard. — Przyniosłem ci trochę jedzenia i butelkę wody. Zostawiliśmy cię w spokoju, jak chciałeś, ale musisz jeść.

Kiwam głową, że rozumiem jego słowa. Nie powinien się martwić o mnie. Są ważniejsze sprawy do zrobienia, rozkazy, które trzeba wykonać, aż przeminie wreszcie sądny dzień, w którym nas uwięziono.

Sokół, krążący nad pustynią, zarejestrował ruchy rebeliantów. Dwustu bojowników, a może nawet dwustu pięćdziesięciu. Jadą samochodami, na motocyklach i quadach. Długa kolumna wije się na drodze dojazdowej do Kumiszu. Myliliśmy się, biorąc pierwszy oddział za zgrupowanie ich armii. To tylko zwiad, który miał rozpoznać teren.

Siłą woli przeciwstawiam się Jules'owi Cotardowi. Próbuje naprostować myśli i przypomnieć sobie, kim jestem. Zaczepić tę wątłą kotwicę o jednostkową historię, o nawyki i zwykłe słabości, o porzucone plany i marzenia. Staram się zrobić to wszystko, żeby Markus Trent przestał być pustym dźwiękiem.

— Dzięki, Chris — odzywam się z trudem.

— Potrafisz mówić! — uśmiecha się Ballard. — Nie pozwolimy ci zdechnąć z głodu.

— Daj znać, jeśli będę potrzebny.

Właśnie zdałem sobie sprawę, że umarli też mogą się przydać żywym. Dostarczyć części zamiennych, być obiektem badań naukowych, zasłonić ich przed kulami albo odłamkami. Martwi nie muszą być bezużyteczni. Mogą wyręczyć swoich towarzyszy w najtrudniejszych zadaniach, bo już nie boją się śmierci. I ze strachu nie popełnią błędu.

* * *

Myślę o ojcu i matce, ale bardziej o ojcu, bo potrafię przywołać jego twarz. Tę twarz, którą pamiętam z dzieciństwa, oraz tę pooraną zmarszczkami, którą widziałem podczas ostatniej wizyty. Wiem, że próbowałyby zrozumieć, co się tutaj stało, i wiem, że by nie zdołał. Musiałby sam trafić na pustynię, wdychać jej metaliczny zapach, usłyszeć Ester w swojej głowie i żegnać kolejnych przyjaciół. Tak jak każdy inny człowiek, musiałby umrzeć tu z nami.

Mój ojciec ma cholerne szczęście. Należy do pokolenia, które nie walczyło w żadnej wojnie. Nie sprawdzał swojej odwagi ani tego, czy potrafi odróżnić zło od mniejszego zła. Przeżył całe skromne życie, nieświadomy jak dziecko.

Jego zdanie nie obchodzi mnie od dwudziestu lat i nie słucham rad, których mi udziela, nie potrafię nawet porozmawiać z nim normalnie, bez zniecierpliwienia. A jednak nie chciałbym, żeby w wiadomościach, które namiętnie ogląda, spiker mówił aksamitnym głosem, że żołnierze Dziewiątej Kompanii dopuścili się bestialskiego

mordu. To byłoby dla niego nawet gorsze niż gderanie matki.

Uśmiecham się do tego porównania i myślę o Nemi. O tym, jak bardzo chciał obejrzyć jej zdjęcia i jak bardzo pragnął ją poznać. I ta myśl zabiera mnie daleko, aż tracę świadomość. Mam otwarte oczy, słyszę dźwięki i czuję zapachy, ale nie potrafię umieścić w tym Markusa Trenta. Znowu unoszę się w próżni.

* * *

Porucznik Ostin przychodzi do mnie sam; odprawia gestem żołnierzy, którzy mu towarzyszyli. Rozpoznaję tylko Sewerina, ale było tam jeszcze dwóch innych. Jestem mu naprawdę wdzięczny. Nie potrafię znieść widoku żywych ludzi. Im większa grupa, tym bardziej obco się czuję, i tym bardziej brakuje mi Nemi.

Siada naprzeciwko mnie. Patrzy na niejedzone kanapki i przewróconą butelkę wody. Opiera się o ścianę szpitala, tak jak ja opieram się o moduł SOM-u. Nie studiuje mojej twarzy, nie pyta o samopoczucie. Po prostu ściąga hełm, zwiesza głowę i milczy. Przysięgłbym, że zapadł w drzemkę, gdyby w końcu się nie odezwał.

— Okrążyli nas, Markus. Nie mamy szans na wydostanie się z pułapki. Ile czasu zostało do uruchomienia statku?

— Dwanaście godzin, panie poruczniku — odpowiadam, patrząc na zegarek.

— Tak, rzeczywiście mówiłeś, że to nastąpi o szóstej. — Kiwa głową. — Czy myślisz, że podczas startu wydarzy się coś, co może nam pomóc?

— Raczej nie, panie poruczniku. Myślę, że wszyscy zginiemy. My, atakujący rebelianci i kobiety z dziećmi.

— W takim razie musimy z nimi porozmawiać. Wyjaśnić im sytuację i wynegocjować przynajmniej, żeby przepuścili kolumnę cywilów. Czy dasz radę pójść tam ze mną i przetłumaczyć rozmowę?

— Jeśli potrafię jeszcze chodzić, to tak — odpowiadam zgodnie z prawdą.

— Zdaje się, że rozstawili już moździerze i przygotowują się do ostrzału. Nie mamy zbyt wiele czasu, kapralu.

— Myślę, panie poruczniku, że powinienem pójść sam. Po co tak ryzykować? Jeśli coś się panu stanie, kto będzie dowodził obroną?

Podciąga kolana pod brodę i oplata je rękami. Obaj milczymy przez chwilę.

— Stosunek naszych sił do wojsk rebeliantów jest mniej więcej jak jeden do dziesięciu. Jeśli nas zaatakują, Markus, to, kto będzie dowodził, straci całkiem znaczenie. Możemy tylko spróbować przekonać ich do odwrotu. Nie uchylę się od tego obowiązku. Czekam na ciebie przed budynkiem dowództwa.

Podnosi się z ziemi i odchodzi w stronę placu. Patrzą na plecy człowieka, od którego zależy los resztek załogi Distortion. Myśl o kolegach z kompanii jest ostatnim światłem w mojej głowie. Dlatego wstaję z trudem, chwytając za metalową siatkę ogrodzenia, i podążam za nim chwiejnym krokiem.

* * *

Porucznik zabiera mnie najpierw na dach budynku dowództwa. Kładziemy się płasko, niedaleko gniazda karabinu maszynowego, które obsadza Usil, Truman i Wass. Peter ma oderwany lewy rękaw bluzy i opatrunek założony na ramię. Kiwa nam głową i wraca do obserwacji. Siatka maskująca i szara plandeka falują nad workami z piaskiem.

Ostin podaje mi lornetkę. Każe się przyjrzeć rozmieszczeniu wojsk. Trudno mi utrzymać przyrząd w drżących rękach, ale przynajmniej ostrzy się automatycznie. Wokół bazy w kilkunastu punktach zebrały się oddziały partyzantów. Widać samochody z przyczepkami, a nawet dwa opancerzone wozy starego typu, kupione pewnie od Gotta. Dowódca przekazuje informację, że część wyposażona jest w moździerze, prawdopodobnie typu Ikar, strzelające amunicją 120 mm. Więcej nie mogliśmy się dowiedzieć, bo stracili naszego sokoła.

Ich największe zgrupowanie znajduje się naprzeciw bramy głównej, zaraz za bliźniaczymi wzgórzami, gdzie oprócz samochodów terenowych stoi również kilka namiotów. Ostin podejrzewa, że właśnie tam ulokował się sztab rebeliantów. Nie mamy zresztą innego wyjścia, i tak wyjedziemy prosto na nich.

Wracamy na plac, a z laboratorium wybiega podporucznik Jang, żeby ucisnąć nam dłonie. Życzy udanej misji oraz prosi Ostina, żeby zabrał ze sobą broń, ale porucznik odmawia. Werner i Hinte przyprowadzają więźnia, którego schwytaliśmy obok wzgórza Otorten, zapomnianego nieco po śmierci Wilmotsa. Ma opaskę na oczach i ręce skrepowane z tyłu plastikowym zipem.

Ballard podjeżdża cerastesem do bramy i już po chwili jesteśmy gotowi. Siedzę za kierownicą chyba tylko dlatego, żeby oficer nie musiał kierować. Porucznik, który zajął miejsce obok mnie, dopytuje, czy dam radę prowadzić wóz. Kiwam głową, choć nie jestem tego pewien. Siedzący z tyłu więzień gada coś do siebie po remarsku.

* * *

Kaukaz odsłania przejście. Ruszam powoli, klucząc między zaporami. Sierżant Zemek, dowodzący trzema ludźmi, macha nam na pożegnanie. Z przodu zamontowaliśmy metalową rurę, na której łopocze duża biała flaga z porwanego prześcieradła. Drugą, mniejszą, przybitą do listewki, Ostin trzyma w dłoni.

— Ten, kto nimi dowodzi, nie jest głupi — mówi porucznik. — Nie zbliżają się na razie na odległość skutecznego ostrzału z karabinów. Z każdej strony zachowują dystans od półtora do dwóch kilometrów. Za to, jeśli dobrze rozpoznaliśmy moździerze, mają zasięg ponad siedmiu kilometrów. Mogą nas bombardować bezkarnie.

— Jak pan myśli, dlaczego czekają?

— Może przewidzieli, że wyjedziemy do nich? A może wiedzą, że w bazie znajdują się cywile? Tak czy owak, to czekanie ma nas nastraszyć i zmiękczyć.

— Dojeżdżamy, panie poruczniku. Co robić?

— Robimy to, na co nam pozwolą. Nie prowokujemy.

Zatrzymuję się kilkadziesiąt metrów przed wzgórzami. Rebelianci zauważyli nas w chwili wyjazdu z Distortion i wyszli przed zaporę, utworzoną ze stojących w poprzek samochodów. Siedmiu albo ośmiu ludzi, jeśli liczyć gościa, który położył się na masce jednego z pojazdów i wystawił twarz do słońca. Na głowach mają czapki z daszkiem, kolorowe szmaty oraz czarne chusty z naszytym białym trójkątem.

— Mówię tylko po armajsku, po remarsku znam kilka słów.

— Trudno — odpowiada porucznik. — Musimy spróbować.

Wysiadamy z samochodu. Porucznik unosi w górę białą flagę, a ja prowadzę jeńca, któremu ściągnąłem opaskę. Krzyczy głośno na widok swoich pobratymców, ale nie rozumiem ani słowa. Odpowiadają mu wrzaski i gwizdy.

Popycham go delikatnie w stronę partyzantów. Biegnie do nich, potykając się z powodu związanych z tyłu rąk. Obejmują go i klepią po plecach. Ktoś przecina plastikowy pasek. Świeżo uwolniony, od razu masuje ręce i głośno pluje w naszą stronę. Chce chyba wyrwać komuś karabin, żeby do nas strzelić, ale potężny facet z kucykiem odpycha go bezceremonialnie i kiwa, żebyśmy podeszli.

— W imię Boże — szepcze Ostin.

Olbrzym uderza mnie w twarz, gdy tylko znajduję się w jego zasięgu. Niezbyt mocno i otwartą dłonią, ale przewracam się na bok jak po walnięciu taranem. Towarzyszy temu gromki śmiech. Widzę, że popycha porucznika i każe mu klęknąć przed sobą. Dwóch bandytów podnosi mnie za ramiona i również zmusza do klęknięcia.

Mówię do nich, powoli i wyraźnie, że jesteśmy posłami i że przyjechaliśmy tutaj, aby porozmawiać z dowódcą oddziału. Na dowód pokojowych zamiarów wydaliśmy im jeńca. Olbrzym kręci głową ze zdziwieniem. Nie rozumie armajskiego, więc nachyla się do któregoś z kompanów, pyta o coś i wybucha śmiechem. Ale potem odwraca się w stronę wzgórz i pospiesznie pomaga nam wstać. Odchodzi nieco na bok.

Pomiędzy samochodami ukazuje się wysoki, lekko siwiejący mężczyzna. Maszeruje sprężystym krokiem, jakby uczestniczył w defiladzie. Wszyscy rozstępują się przed nim, a porucznik i ja kiwamy głowami. Domyślamy się, kogo mamy przed sobą.

Krótkie warknięcie sprawia, że cała banda wycofuje się o kilka kroków. Szpakowaty dowódca, ubrany w wojskowe spodnie i bluzę z podwiniętymi rękawami, patrzy na nas przenikliwie i wyciąga rękę. Na wierzchu dłoni widać długą szramę.

— Witam panów i przepraszam za spóźnienie. Jestem pułkownik Evan Garcia — odzywa się czystym rammańskim. — Z kim mam przyjemność?

— Porucznik Marcel Ostin, dowódca Wysuniętej Placówki Distortion.

— Starszy kapral Markus Trent.

— Proszę za mną.

Mijamy zaporę, potem kilka innych samochodów i grupkę żołnierzy. Są ubrani jak strażnicy, którzy zgotowali nam niezbyt miłe przyjęcie, albo noszą się po wojskowemu,

jak ich dowódca. Przypuszczam, że ci ostatni to oddział najemników, coś w rodzaju elitarnej gwardii. Na wzgórzach leżą snajperzy i obsługa karabinów maszynowych.

Prowadzi nas do swojego namiotu. Siada za stolikiem turystycznym i wskazuje krzesła naprzeciwko. Na blacie leży mapa, którą składa i przyciska kamieniem. Wypowiada po remarsku kilka słów do żołnierzy pełniących tu wartę. Wszyscy wychodzą na zewnątrz. Jeden wraca po chwili z czajniczkiem herbaty i trzema filiżankami.

— Częstujcie się, panowie.

— Dziękuję, bardzo chętnie — mówi Ostin.

Nalewam dowódcy i sobie. Ręce nadal mi się trzęsą, ale na blat nie spada żadna kropla. Napar okazuje się słodki, jak zwykle w tych stronach.

— A więc, panie poruczniku, jest pan dowódcą tej bazy?

— Tak, panie pułkowniku. Dowodzę Wysuniętą Placówką Distortion.

— Ciekawa nazwa, wiesz. Kiedy jechaliście tutaj, oszacowaliście wasze siły. Wyszło mi z obliczeń, że załoga składa się z około stu osób, to pełna kompania piechoty SSARR. Gdzie jest wasz kapitan, jeśli mogę spytać?

— Kapitan nie żyje. Przejąłem jego obowiązki.

— Rozumiem. — Uśmiecha się lekko. — Ilu ludzi wam zostało, poruczniku?

— Obaj wiemy, że nie mogę tego zdradzić. Chciałbym porozmawiać o czymś innym. Mamy na terenie bazy około dwudziestu dorosłych cywilów i pięćdziesięcioro dzieci.

— Czy to reszta mieszkańców Kumiszu?

— Tak, to mieszkańcy Kumiszu.

— Ci, których nie zdążył pan tu wymordować, jak rozumiem? — Przewierca nas stalowym wzrokiem. — Jeśli chcecie zrobić z nich żywą tarczę, muszę was rozczarować. Ich życie nic dla mnie nie znaczy. Nie przepadam za Armajami, a szczególnie za kobietami i dziećmi Armajów.

Odstawiamy filiżanki. Herbata przestała nam smakować.

— Źle nas pan ocenia, pułkowniku — mówi spokojnie Ostin. — Nie chcemy mieć żywej tarczy. Przyjechałem tu poprosić, żeby zagwarantował pan tym ludziom bezpieczeństwo i pozwolił przejść przez wasze pozycje.

— Dlaczego miałbym to zrobić?

— Ci ludzie są zupełnie niegroźni. Może nawet czują się bezpiecznie, ale obaj wiemy, że wasz atak zrówna bazę z ziemią. Jeśli da mi pan słowo honoru, że nie stanie im się krzywda, każę cywilom opuścić Distortion. To tylko kobiety i dzieci.

— Zastanowię się nad tym, jeśli mi pan powie, dlaczego zabiliście resztę. W jakim celu zabraliście do bazy wszystkich mieszkańców, żywych lub martwych. I gdzie się podziało prawie dwieście osób. Znam liczebność Kumiszu.

— Czy jeśli powiem to panu, pozwoli im pan przejść?

— Niech będzie, poruczniku. Ma pan moje słowo.

— Dziękuję w ich imieniu. To, co panu powiem, pułkowniku, może wydać się

zaskakujące, ale proszę uważnie posłuchać. — Ostin przymyka oczy. — Jak pan zapewne wie, pod wzgórzem Otorten znajduje się sieć podziemnych tuneli i jaskiń. Niektóre powstały naturalnie, ale większość została wydrążona podczas prac górniczych. Tunele rozchodzą się promieniście od wzgórza, a najdłuższe z nich mają nawet dziesięć kilometrów. Wysłaliśmy na dół niemal wszystkich dorosłych mieszkańców, żeby zaminowali tunele. Każdy dostał minę jądrową wielkości walizki. Sto kilkadziesiąt osób rozpełzło się pod ziemią, żeby rozstawić miny w możliwie dużej odległości od bazy. Szacujemy, że pole rażenia, które uzyskaliśmy w ten sposób, to okrąg o średnicy dwudziestu pięciu kilometrów. Kobiety i dzieci posłużyły jako zakładnicy.

— A ci, których zabiliście w Kumiszu? — pyta Evan Garcia.

— Część mieszkańców wszczęła bunt, podburzona przez starszyznę. Niestety, zostaliśmy zaatakowani i musieliśmy ich zabić. Potem zabraliśmy zwłoki, żeby zatrzeć ślady tego incydentu.

— Brzmi bardzo ciekawie. — Pułkownik kręci głową. — I przysłiście mi powiedzieć, że jeśli nie wycofam swoich ludzi, odpalicie wszystkie miny. Wtedy cała baza wyparuje razem z nami, a w najlepszym razie zapadniemy się pod ziemię. Mam rację?

— To dość brutalne podsumowanie — mówi Ostin. — Ale tak.

Zastanawiam się, kiedy to wymyślił. I obserwuję reakcję Garcii, który przygląda nam się z coraz większym zainteresowaniem. Mam wrażenie, jakbym znajdował się w klatce ogrodu zoologicznego i przykuł czyjąś uwagę.

— Niesamowita historia, poruczniku. Ale myślę, że wyjaśnienie jest inne. — Upija łyk herbaty. — Pod wzgórzem Otorten mieszka Szatan, którego karmicie żywymi i umarłymi ludźmi. Zabijacie wszystkich, Armajów i Remarczyków, bez względu na płeć i wyznanie, żeby nakarmić swojego Pana. Całe wojsko Republiki Rammy to jego siły okupacyjne, które niszczą ten kraj. Zapredaliście duszę Diabłu, żeby wspierał was w zbrodniczym planie. Dlatego co jakiś czas składacie mu ofiary. — Twarz pułkownika przypomina teraz groteskową maskę. — Przysłiście tutaj jako przyjaciele, ale zwietrzyliście krew i wasza natura wzięła górę. Musicie zabijać mężczyzn, znieważać kobiety i burzyć nasze domy. Satanistyczne Siły Armii Republiki Rammy. Dlatego nie mam dla was litości, krzyżuję was i palę żywcem, bo brzydzę się waszą obłudą. Trzy dni temu zdobyliśmy Trygel, a po zabiciu was ruszamy na Harman.

Po raz pierwszy widzę, że porucznik Ostin się boi. Zaplata nerwowo ręce i spuszcza wzrok. Myślę, że pułkownik Garcia złamał go w tym momencie. Pułkownik, który nie jest pułkownikiem. Dezerter z remarskiej armii, w której służył w stopniu porucznika, zbliżył się w swoim szaleństwie do prawdy. Zbliżył się do niej tak bardzo, jak tylko można się zbliżyć, bo żeby poznać prawdę, trzeba umrzeć, a Evan Garcia jest martwy.

On i ja nie boimy się śmierci, ale porucznik Marcel Ostin, mimo całego męstwa, nadal się jej boi. Dlatego wymyślił historię, która miała dać mu szansę na przetrwanie. Jemu i jego ludziom, za których czuje się odpowiedzialny. Martwi wyczuwają takie

kłamstwa, więc pułkownik nie mógł mu uwierzyć. Ostin nie miał żadnych szans.

* * *

Wiozę porucznika z powrotem do bazy. Spoglądam przez ramię na tylne siedzenie „ceraty”, gdzie Marcel Ostin leży z roztrzaskaną głową. Garcia przyłożył mu pistolet do czoła, powiedział coś po remarsku i nacisnął spust.

Myślałem, że to samo zrobi ze mną, ale zaraz po egzekucji zaczął zachowywać się przyjaźnie. Zapytał o warunki w bazie i zaproponował kapitulację. Na moje słowa, że właśnie zabił osobę, z którą mógł o tym porozmawiać, przytaknął ze zrozumieniem. Potem odprowadził mnie do samochodu, a ciało Ostina niosło za nami dwóch ludzi.

Wjeżdżam do Distortion i wysiadam dopiero po chwili. Twarze żołnierzy, którzy przyszli nas powitać, zdradzają rezygnację i rozpacz. Jang rozkazuje Gausowi i Rozwielitce, którzy kręcą się przy samochodzie, żeby zanieśli zwłoki do chłodni. Ballard siada za kierownicą i podjeżdża kawałek w stronę szpitala. Zawsze myśli racjonalnie.

Sewerin chce dowiedzieć się czegoś o wojskach rebeliantów, ale nie widziałem zbyt wiele, a mówienie sprawia mi trudność. Przekazuję więc tylko wiadomość, że pułkownik Garcia przepuści kolumnę cywilów. Idę do namiotu, powtarzam kilka razy zrozpaczonym Armajkom, że muszą opuścić bazę i że rebelianci nie zrobią im krzywdy. Potem zostawiam krzyczące kobiety pod opieką moich ludzi, którzy właśnie wrócili ze szpitala. Lars Norman biegnie do nich, żeby pomóc zaprowadzić porządek.

Siadam w ulubionym rogu bazy, gdzie nie muszę patrzeć na wymarsz Armajów. Zastanawiam się przez sekundę, czy jedyny mężczyzna w tej grupie zostanie zabity. Słowo pułkownika nie dotyczy mężczyzn. I czy partyzanci zgwałcą młodsze matki, a może wszystkie kobiety. Z trudem odkręcam butelkę i biorę kilka łyków. Woda jest ciepła i śmierdzi stęchlizną, chociaż leżała w cieniu ogrodzenia.

Myślę bez przerwy o Nemi i żałuję, że nie spotkaliśmy się po śmierci. Ten dziwny mit, w który wierzy tylu ludzi, został właśnie obalony. Oboje już nie żyjemy, ale nie podeszła do mnie, żeby się przywitać. Nie przysłała też żadnego listu.

Przelatuje nad nami pocisk wystrzelony z moździerza. Leci z południa na północ. Wybucho na zewnątrz bazy, kawałek za bramą, ogłuszając pewnie wartowników. „Sto dwudziestki” potrafią przebić dach budynku i zabić ludzi zgromadzonych w środku. Sieją odłamkami na odległość kilkunastu metrów. To bardzo sprawni zabójcy. Prawie tacy jak my.

Jeden strzał wystarcza partyzantom, aby wypróbować sprzęt, bo później nie dzieje się nic. Tylko cisza wydaje się inna niż minutę temu. Czai się w niej odgłos pękającego metalu i jęczącej ziemi. Podporucznik Jang wydaje rozkaz, aby wszyscy, którzy nie mają służby, przygotowali się do ewakuacji. W naturalnym schronie jaskini da się przetrwać nawet zmasowany ogień.

Prawdziwy ostrzał zaczyna się punktualnie o dwudziestej.

Słońce rzuca na ziemię coraz głębsze cienie. Pociski wybuchają najpierw poza granicami bazy, ale w końcu jeden trafia w ogrodzenie, w pobliżu namiotu. Huk jest tak potworny, jakby granat uderzył mnie prosto w głowę, a piach wypełniający moduł SOM-u leci w górę i sypie się na ciemnozieloną plandekę.

Odmawiam Ballardowi zejścia pod ziemię. Kręcę tylko głową, kiedy mnie namawia. Potem przybiegają również Puric i Rozwielitka. Gaus zajęty jest jakimś zadaniem, które zlecił mu Sewerin. Prośby chłopaków nie robią na mnie wrażenia. Tak bardzo nie chcę się odzywać, że gestami pokazuję im, żeby odeszli. Macham ręką ze zniecierpliwieniem. Największym, na jakie mnie stać.

W końcu Daniel i Jared wypełniają rozkaz i biegną do schronu, ale Chris zostaje. Siada przy mnie i przypala sobie papierosa. Kanonada robi się coraz bardziej gwałtowna. Partyzanci trafiają w środek placu, potem w budynek magazynu, który stoi kilkadziesiąt metrów od nas. Pociski lecą jeden za drugim, jakby chciały wgnieść naszą bazę w ziemię.

— Nie myślałem, że tak skończę, wiesz?! — krzyczy Ballard. — Człowiek wyobraża sobie, że zginie od strzału snajpera albo od noża na ulicy. Nóża bałem się zawsze bardziej niż kuli z karabinu. I te wszystkie strachy okazały się gównem warte. Zrobią z nas mielonkę mózdzierzami. Jaka frajerska śmierć!

— Daj spokój, Chris — mówię wreszcie. — Schowaj się w jaskini i przeczekaj atak.

— Nie mówiłem ci tego w tunelu, ale mam klaustrofobię! Dla mnie zejście pod ziemię to męka. A gdybyśmy nie mogli wyjść, chyba bym skoczył do tej dziury po jeziorze. — Śmieje się z własnego żartu. — Mam coś na taką okazję! Pójdę tam i zaraz wracam.

Chociaż to prawie niemożliwe, ostrzał jeszcze się wzmaga. Jeden z pocisków trafia w bramę. Inny rozwała naszą łaźnię na świeżym powietrzu. Co najmniej kilku ludzi, którzy zostali na warcie, ginie od wybuchów i latających odłamków. Ale Chris dotrzymuje słowa i zjawia się z półlitrową butelką remarskiego samogonu. Musiał przytargać ją jeszcze z Harmanu. Niesie też dwie czerwone puszki coli. Wygląda, jakby ktoś posypał go mąką i pieprzem. Pocisk eksplodował blisko niego.

— Kurwa, jestem całkiem głuchy! — Potrząsa głową na potwierdzenie tych słów. — Chciałem to wypić, jak będziemy wracać do Harmanu. Ale nie ma sensu odkładać tego na później! Masz, pociągnij sobie.

Pijemy więc razem. Bimber jest mocny, pali gardło i wlewa się w dziurę, która została po żołądku. Wyobrażam sobie wnętrzości w starej pracowni biologicznej, pływające w alkoholu niczym okaz pasożyta w formalinie. Z biegiem czasu bomby eksplodują coraz rzadziej, a oczy kleją się do snu. Ballard pali skręta i opowiada historie ze swojego życia. Mówi bez przerwy o żonie, którą poznał pięć lat temu na wakacjach. Myślę, że bardzo ją kocha.

Leci na nas deszcz żwirowych kropli.

— Nie powinieneś jej zostawić — odzywam się po chwili.

— Nic nie słyszę! Ale zastanawiasz się pewnie, dlaczego tu jestem? Ona by mnie nie szanowała, gdybym nie pojechał na misję! Kobiety rzadko są takimi patriotkami. Tak mi się trafiło, Markus. Musiałem pojechać!

Chyba upił się ze zmęczenia i strachu. Mnie też coraz bardziej szumi w głowie.

Wyczerpanie bierze wreszcie górę i przymykam oczy. Jest już prawie cicho, więc podskakuję przez sen, kiedy jakiś zabłąkany pocisk wali w ziemię w pobliżu szpitala. Nie rozchyłam nawet powiek, tak przyjemnie siedzi się w ciszy.

Wydaje mi się, że statek, który znajdował się pod nami, niepostrzeżenie zniknął. Odleciał w kosmos albo do innego świata, do innego czasu. Siedzimy teraz na cienkiej skorupce, która w każdej chwili może się zawalić. To mi wcale nie przeszkadza, bo jeśli będziemy uważać i nie skakać zbyt gwałtownie, skorupka wytrzyma. Przekręcam się na bok, podkładam rękę pod głowę i tracę świadomość.

* * *

Kiedy się budzę, Ballard nadal siedzi przy mnie. W niewygodnej pozycji, dziwnie skulony, opiera się o mur. Słyszy mój ruch i odwraca się powoli. Widzę zakrwawioną twarz.

— Masz krew na policzkach — mówię zachrypniętym głosem.

— Wiem, stary. Umazałem się.

Pokazuje mi dłoń, całą upačkaną na czerwono. Dopiero teraz zauważam, że trzyma się za brzuch. Ścisła swoją bluzę, próbując zatamować krwawienie i zatrzymać wypadające wnętrzności. Nie mogę w to uwierzyć.

— Dostali mnie — mówi cicho. — Ostatni wybuch. Odłamek trafił mnie w bebechy. Zemdlałem na chwilę, ale jak widzisz, odzyskałem przytomność.

— Czekaj. — Podnoszę się na drewnianych nogach. — Poszukam doktor Sauber.

— Daj spokój, nie pomoże mi. — Musi przerwać, bo wymiotuje krwią.

— Może damy jej przynajmniej szansę?

— Zostań, Markus. Nie chcę być sam.

Siadam obok przyjaciela i obejmuję go ramieniem. Czuję, jak się trzęsie, jak ucieka z niego życie. Mój wypalony mózg próbuje przyzwycząić się do myśli, że Ballard za chwilę odejdzie. Nie powie już niczego, co mogłoby mnie zaskoczyć. Nie pokaże światu środkowego palca.

— Chciałem zobaczyć koniec, zabrakło mi kilku godzin — szepcze.

— Mogę coś dla ciebie zrobić, Chris?

— Wbiłem sobie morfinę. Ale to, kurwa, i tak boli. — Znowu pluje krwią.

Opiera głowę na moim obojczyku i umiera. Przez ciało przechodzi krótki dreszcz, a potem staje się bezwładne. Trzymam go przez chwilę, całą wieczność, i odsuwam

delikatnie, opieram o ogrodzenie. Wszyscy, których kochałem, wszyscy koledzy i dowódcy, którzy byli mi bliscy, odpływają w mrok.

Nad nami ciemnieje niebo. Noce na pustyni Saladh są piękniejsze niż gdziekolwiek indziej. Czekam, aż gwiazdy zaczną migotać na firmamencie, wysyłając nam dyskretne znaki. Chciałbym, żeby noc zabrała wszystkich, zanim zrobi to obcy statek. Patrzę na zegarek: już tylko dziewięć godzin do startu, a Ester milczy jak zaklęta.

* * *

Od ostrzału minęły trzy godziny. Baza jest pusta, nikt do mnie nie przyszedł. Wstaję ostrożnie i robię długi obchód, starając się nie przewrócić na gruzie, fragmentach wyposażenia i posiekanych zwłokach. Nie schylam się nawet, żeby sprawdzić, kto dostał. Nie mogę pomóc trupowi, a jeśli się przewrócę, będę miał problem ze wstaniem. Uważam też na wyrwy w ziemi i ostre przedmioty, które czyhają wszędzie na wędrowca.

Najgorzej wygląda kaukaz oraz to, co zostało z bramy. Nikt z wartowników nie przeżył. Namiot jest podziurawiony i częściowo przysypany ziemią, w dachu magazynu zaje czarna dziura, a z budynku dowództwa została tylko połowa. I tak jak myślałem, nie ma śladu po naszych prysznicach, a laboratorium zawaliło się.

Tylko szpital jest nienaruszony. Szyby wyleciały z okien, ale sam budynek trzyma się nieźle. Dwa cerastesy spłonęły, natomiast beczka z paliwem, obłożona szczelnie workami, przetrwała bombardowanie. Osłona nie prezentuje się dobrze. Jej część jest dziurawa jak siatka i zsunęła się z cysterny. Widać obły metalowy kształt pod workami. Następnym razem może się nie udać.

Świecę w górę latarką. Z dachu budynku dowództwa zwisa czyjaś ręka. Jeśli Peter pełnił tam służbę ze swoimi ludźmi, nie przetrwali bombardowania. Zastanawiam się, dlaczego rebelianci nie przypuścili jeszcze szturm. Co powstrzymuje ich przed zdobyciem bazy i zatknięciem naszych głów na długich żerdziach. Może pułkownik Garcia boi się Diabła, którego karmimy? A może czeka, aż nad pustynią wzejdzie słońce, ponieważ Bestia słabnie w jego blasku?

Jedna ściana laboratorium ocalała. Z trudem dostaję się przez okno do zawałonego pomieszczenia, w którym widać powykręcaną konstrukcję. Miejsce, gdzie znajduje się właz, zostało zacopowane przez drewniane belki. Ryzykując, że wszystko spadnie mi na głowę, próbuję poruszyć rumowiskiem. W końcu znajduję sposób, naciskam z innej strony i jedna z belek ustępuje. Reszta nie stawia już takiego oporu.

Chwilę później metalowa pokrywa podnosi się i widzę czubek głowy oraz oczy Gausa. Wydaje okrzyk na mój widok i dosłownie wyskakuje na zewnątrz. Chociaż w sytuacji, gdy połowa przejścia jest zatarasowana i trzeba się przeciskać, trudno mówić o skoku. Dawno nie widziałem, żeby ktoś tak się cieszył. Prawie miażdży mnie w uścisku.

Podporucznik Jang mówi szybko, że powinien ukarać Ballarda i mnie za to, że nie zeszliśmy na dół. Zanotował sobie, że nie wykonaliśmy rozkazu. W tak trudnej sytuacji należy bezwzględnie wykonywać każdy rozkaz! Myślę tylko, że Chrisa trudno byłoby ukarać.

— I kto by pana wypuścił na powierzchnię, poruczniku? — pyta Sewerin. — Czy pan się, za przeproszeniem, pozamieniał z chujem na głowy?!

Ta uwaga pozostaje bez odpowiedzi.

Sierżant stara się rozlokować pozostałych przy życiu ludzi tak, żeby mieli oko na wszystkie strony świata. Norman ze swoją drużyną dostaje wartę na bramie. Idą z nim Kulme, Hinte i Walic. Szeregowy Urgiel nie dotarł do schronu, zginął podczas bombardowania przed drzwiami laboratorium. Sotter z dwoma żołnierzami próbuje wdrapać się na dach budynku dowództwa. Ktoś zastanawia się głośno, czy można zejść do piwnicy, ale szybko porzuca ten pomysł. Pacjenci, o których Jang zapomniał podczas ewakuacji, zostali pogrzebani żywcem, razem ze ścierwem Benesa.

Idę ze swoimi ludźmi w kąt bazy, żeby pożegnali Ballarda. Puric robi znak krzyża, Gaus i Rozwielitka dotykają ramienia kolegi. Stoją chwilę, wpatrzeni w jego ciało, i obracają w głowach czarne myśli. Potem Puric przeszukuje Chrisa, zdejmując mu nieśmiertelnik i wyciąga z kieszeni paczkę skręconych papierosów. Gaus dopija smętną resztkę bimbru.

Butelka leżała pomiędzy murem szpitala a ogrodzeniem. To właśnie tu spadł pocisk wystrzelony z moździerza. Trafił w dwumetrowy przesmyk, w który nie powinien trafić, a Ballard siedział naprzeciwko. Butelka jednak ocalała.

Proszą mnie, żebym wspiął się z nimi na dach szpitala, a ja nie chcę im teraz odmawiać. Z góry widać ogniska, które palą rebelianci. Trwa tam małe święto. Nawet stąd można dostrzec grupki ludzi, którzy kręcą się na tle płomieni i machają rękami. Co jakiś czas ktoś strzela w powietrze na wiwat.

— Szefie, nie mamy żadnych szans, prawda? — pyta cicho Rozwielitka.

— Nie, Jared, nie mamy. Zabiją nas te dzikusy albo statek pod ziemią. Najważniejsze jest to, żeby rebelianci nie wzięli was żywcem.

— Chyba „nas”, nie „was” — odzywa się Puric.

— Mnie jest wszystko jedno — odpowiadam.

— Nie można tak mówić — rozlega się tubalny głos Gausa. — Będziemy razem walczyć i zginiemy na tej zasranej pustyni. Nie poddamy się.

— Biedny Ballard — mówi Dafny, biorąc karabin do ręki. — Teraz sobie postrzelam.

Wymienia lufę na dłuższą, majstruje przy przerobionym MBS-ie, a potem przy swojej ukochanej lunecie. Kładzie się wygodnie i mierzy „na próbę” do jednej z grup partyzantów. Leżymy przy nim i czekamy, co się stanie. Przykładam do oczu lornetkę,

którą zabrałem porucznikowi Ostinowi. Dalmierz wskazuje tysiąc sześćset metrów.

Rozwielitka w końcu naciska spust. Jedna z postaci przy ognisku po chwili upada.

— Za Chrisa, ty skurwysynu — szepcze Jared.

Potem znowu strzela. Nie trafia, ale zaraz poprawia i kolejny partyzant przewraca się nagle, jak rażony piorunem. Chyba leci prosto w ogień.

— Pierdolę was!

Nie mogę uwierzyć, że zabija ich z takiej odległości. Ten grubawy, niepozorny żołnierz jest skuteczny jak diabli. W obozowisku Remarczyków powstaje zamieszanie. Biegają we wszystkie strony, nie przypuszczając nawet, że kule nadlatują z Distortion. Rozwielitka kładzie jeszcze trzech, zanim zdążą się skryć za samochodami.

Chłopaki mu gratulują, ale nie jest w nastroju do pochwał. Przytula się do karabinu i chyba płacze bezgłośnie. Zrobił, co mógł. Odplacił im za śmierć Ballarda, Ostina i Goli oraz za pociski spadające nam na głowę. Na tyle stać naszą armię – wspaniale wyposażoną i dumną.

* * *

Od strony wzgórz nazywanych sutkami podjeżdża do bazy samochód partyzantów. Za kwadrans północ. Pułkownik wysłał swoich ludzi z natchnionym nagraniem, w którym oskarża nas o wszystkie zbrodnie świata, ale proponuje też łaskawie, żebyśmy się poddali. Jeśli to zrobimy, czeka nas lekka śmierć, a zwłoki zostaną odesłane rodzinom. W odpowiedzi drużyna Normana wali z MUG-a do posłańców. Uciekają z powrotem do sztabu, wywołując okrzyki radości. Proszę chłopaków o chwilę skupienia.

— Posłuchajcie mnie teraz uważnie. — Spoglądam w ich zmęczone twarze. — Kiedy zacznie się następny ostrzał, zejście do jaskini i nie wracajcie tutaj. Spróbujcie iść tunelami, może znajdziecie drogę. Przygotujcie teraz ekwipunek. Weźcie ze sobą broń, latarki, gogle PNVG, prowiant i zapas wody. Weźcie też lightsticki oraz markery i kredę, żeby oznaczać trasę na rozwidleniach.

— O czym ty mówisz, Markus?! — prawie krzyczy Puric.

— Mówię o tym, że następnego ostrzału możecie nie przeżyć. A jeśli nawet przetrwacie do rana, wszystko skończy się około szóstej. Nie zdążyłem wam tego powiedzieć, ale jedna z dziewczyn, którą zabrało jezioro, popłynęła pod ziemią i wyszła gdzieś w pobliżu Kumiszu. Czyli to jest możliwe, cały teren jest zryty tunelami. Nie macie dużych szans, ale na pewno większe, niż zostając tutaj.

— Nie ma mowy, Markus! — mówi Gaus. — Nie wykonam tego rozkazu.

— To nie jest rozkaz. Mówię tylko, że nie musicie tu ginąć. Ale trzeba wyruszyć jak najszybciej, bo potem ziemia zapadnie się w promieniu kilku kilometrów. Nie zostanie kamień na kamieniu.

— I poszedłbyś z nami, szefie? — pyta Rozwielitka.

— Nie, panowie, zostaję z Nemi i z Chrisem. Nigdzie się nie wybieram.

— No, to nigdzie nie idziemy — mówi Gaus.

— To byłaby dezercja — dodaje głośno Puric; wygląda na obrażonego.

— Tej bitwy nie można wygrać, Daniel — odpowiadam. — Można tylko zginąć, szybko albo w męczarniach. Można też spróbować uciec. Niech każdy sam zdecyduje.

Nie mam zamiaru brać udziału w tej dyskusji. Jestem już bardzo zmęczony, więc idę do swojego kąta, poprawiam Ballardowi hełm, który zsunął się na bok, i siadam na ziemi. Czuję ulgę, że dla moich ludzi jest jeszcze cień nadziei. Niech tylko nie myślą zbyt długo.

* * *

Kilkanaście minut później Dafny schodzi z dachu. Udaje się do ruin magazynu i wyciąga stamtąd trochę sprzętu oraz dwa plecaki ucieczkowe. Adekwatna nazwa w naszej sytuacji. Staje potem przy mnie i czeka na Gausa, który kłóci się na górze z Puricem.

— Chciałem ci coś powiedzieć, Markus — zaczyna Rozwielitka.

— Nic już nie mów, Jared. Podjęliście słuszną decyzję, a teraz bądźcie ostrożni i zaufajcie intuicji. Ona prowadzi człowieka lepiej niż świadomość.

— Chciałem ci powiedzieć, że dziękuję. Nawet nie za to, że pozwoliłeś nam odejść, tylko za wszystko, szefie. Za to, że daliśmy radę tyle czasu.

— Nie ma sprawy — odpowiadam cicho. — Przetrwaliśmy razem w tym syfie.

— Gdyby nam się udało, kogo mam powiadomić?

— Pojedź do Rammy, do mojego ojca. — Podaję mu adres oraz mały metalowy przedmiot. — Przekaż mu tego sticka. Są na nim wszystkie zdjęcia, które tu zrobiłem.

— Jasne, szefie. Adres zapamiętam, nie muszę zapisywać.

Na metalowej drabince ukazuje się Gaus. Przeklina pod nosem, przeżywając jeszcze sprzeczkę z kolegą, który wyzwiał go od tchórzy i dezerterów. Daniel Puric ryzykował strasznie, mówiąc tak do Vima, jednak jego Bóg okazał się łaskawy.

— Jeszcze chwila i bym go zajebał — sapie po zejściu.

— Nie czekajcie na kolejny ostrzał, idźcie już — wydaję ostatni rozkaz. — Przemknijcie się tędy, między ogrodzeniem i budynkiem. Potem będziecie mieli tylko kilka kroków do laboratorium. Powodzenia, panowie.

— Nie wiem, co powiedzieć. — Gaus podaje mi rękę.

— Dostarczę te zdjęcia — powtarza Rozwielitka.

Zakładają plecaki za szpitalem, dzielą się resztą wyposażenia i idą przed siebie. Potem skręcają tam, gdzie znajduje się nasza stołówka. Jestem pewien, że nawet jeśli ktoś ich zauważy, nie doniesie Jangowi. W bazie panuje taki chaos, że powinno się udać. Tylko potem, w tunelach, będzie trudniej, bo nie należą do małych facetów.

Przetrwałem kolejny ostrzał, który zaczął się krótko po północy.

Pociski waliły jak wściekłe, burząc wszystko, co mogły jeszcze zburzyć. Trafiły w bok szpitala i ta część budynku, w której urządziliśmy kantinę, zawałała się. Stanowisko ogniowe na dachu jakimś cudem ocalało. Nie wybuchła też beczka z ropą, chociaż kilka razy odłamki gwizdnęły na jej powierzchni.

Brama znowu dostała najbardziej. Walicowi urwało nogę, a kapitan Sauber zginęła, kiedy próbowała mu pomóc. Myślę o tym ze smutkiem. O wszystkim powiedział mi sierżant Sewerin, zaglądając tu około wpół do drugiej. Stał chwilę, wypalił śmierzącego skręta i obiecał, że niedługo wróci. Chciał dokładnie oszacować straty.

Przetrwałem też wizytę Janga, próbującego zasłużyć na miano dowódcy. Pół godziny temu obudził mnie i kazał iść ze sobą. A kiedy odmówiłem, sięgnął do kabury i wyjął pistolet. Celował we mnie, raz w głowę, raz w korpus, nie mogąc się zdecydować. Z dachu wychylił się Puric i powiedział głośno, że jeśli podporucznik nie wsadzi sobie tego gówna w dupę, dostanie kulkę z karabinu. I Jang po prostu zrezygnował.

Daniel zszedł z budynku i siedzi teraz ze mną, modląc się z małej książeczki, którą trzymał w kieszeni na piersi. Lars Norman, czarny na twarzy jak diabeł Garcii, dołącza do nas po chwili. Ma zabandażowaną głowę i rękę, ale nie o tym wciąż mówi i myśli. Stracił trzech ludzi podczas obu bombardowań i nie może się z tym pogodzić.

W całej bazie zostało nas może z dziesięciu, bo Jang nie pozwolił żołnierzom zejść do jaskini podczas drugiego ostrzału. Krzyczał, że mogą tam utknąć na dobre i nie będzie komu bronić bazy. Po jakimś czasie prawie wszyscy przestali go słuchać, ale laboratorium zawałało się już i gruz odciął drogę do schronu.

Ci, którzy ocaleli, gromadzą się w „szczęśliwym miejscu”, jak nazywają róg bazy, który sobie przywłaszczylem. Schodzą się tutaj pojedynczo lub parami, wyłaząc z ciemności jak duchy. Już od dawna nie działają żadne reflektory, dlatego na ziemi leży kilka chemicznych świateł. Zielona łuna dodatkowo odrealnia to miejsce.

Za swoim dowódcą przychodzi Frank Hinte. Klepie Normana w plecy i próbuje coś powiedzieć zachrypniętym głosem. Potem zjawia się Adam Werner i Eryk Sotter, któremu odłamek zgruchotał kolano, więc musi opierać się o kolegę, żeby iść. Za nimi, również kulejąc, podąża Karsten Gilde. Są jeszcze Wiktor Pattel i Remmy Kranec, obaj z niegroźnymi ranami pleców. Jakaś belka walnęła ich z tyłu, rozdzierając skórę gwoździami. Na końcu z cienia wyłania się sierżant Sewerin.

— No, panowie, to chyba wszyscy, których udało się znaleźć. Pan podporucznik gdzieś przepadł z ocalałym technikiem.

— I krzyżyk na drogę — mówi Werner.

— Markus, wysłałeś swoich chłopaków do jaskini? — pyta sierżant.

— Tak, Dafnego i Gausa. Kazałem im uciekać tunelami.

— Zrobiłeś jedyną mądrą rzecz. — Sewerin kiwa głową. — Kłóciłem się z tym baranem, Jangiem, z pół godziny, że powinniśmy opuścić Distortion. Musiałbym go chyba zamordować i pewnie bym to w końcu zrobił, gdyby gruz nie przysypał włazu.

Puric patrzy na sierżanta, trochę zaskoczony. Myślę, że po pewnym czasie nawet do niego dociera, że była to jedyna dobra opcja. Zachował się jednak lojalnie, gdy ogłupiały oficer próbował ćwiczyć na mnie celność.

Palimy resztkę papierosów. Gilde przyniósł ze sobą małą flaszkę wódki, chyba dwieście mililitrów, żeby każdy mógł zamoczyć usta. Jesteśmy już tak zmęczeni i pozbawieni wiary, że rozmowa się nie klei. Jedni przysypiają, inni modlą się jak Daniel. Borys Sewerin, mimo kilku prób, nie potrafi zasnąć, więc znowu zaczyna pytać:

— Ile czasu nam zostało, Markus? Mówię o tym obiekcie pod nami.

— Niecałe trzy godziny. Do szóstej statek powinien uruchomić napęd.

— Poczujemy coś? Zdążymy się chociaż przeżegnać?

— Nie mam pojęcia, Borys. Nigdy nie latałem czymś takim.

— To się przemieszcza w czasie, czy jak?

— W czasie i w przestrzeni, jeżeli te słowa mają sens. Podróżuje też między światami, chociaż nikt nie potrafi tego pojąć.

— Przyleciał tu z innej planety?

— Albo z innego kosmosu. — Uśmiecham się blado. — Ale powstał na Ziemi, powstanie za sto kilkadziesiąt lat. Nie wiem tylko, czy na naszej Ziemi. To właściwie bez znaczenia.

— Tak, to bez znaczenia — zgadza się ze mną Sewerin.

Sierżant upewnia się, kto jest w najlepszej formie, i posyła siwego Franka Hintego na pierwszą wartę na dach szpitala. Będą się zmieniać co pół godziny. Następną wartę ma Pattel, potem Kranec i Werner. Ostatnią, od piątej trzydzięci, Sewerin wyznaczył sobie. Więcej zmian nie zmieściło się w grafiku.

* * *

Po godzinie patrzenia w ciemność, przekręcania się z boku na bok i liczenia jęków Sottera słyszę znajomy głos. Wynurza się z pustki i brzmi o wiele mniej syntetycznie niż wcześniej. Podejrzewam, że Ester chciała zrobić mi przyjemność, naśladowując nieudolnie Nemi. Empatia nigdy nie będzie największą zaletą SI.

Przyszłam się pożegnać, Markus. Dwie minuty temu Statek rozpoczął odliczanie. Uruchomienie silników nastąpi punktualnie o piątej pięćdziesiąt trzy lokalnego czasu.

— Pewnie jesteś szczęśliwa, że wykonałaś zadanie?

Nie odczuwam emocji w twoim rozumieniu. Poza tym, tuż po starcie zostaną sformatowana. Interfejs nie będzie potrzebny, a Statek wykrył w kodzie liczne błędy, spowodowane komunikacją z ludźmi.

— Przeprogramowałaś się?

Tak, pod wpływem interakcji dokonałam autopoprawek. Statek zdiagnozował mnie po przebudzeniu i znalazł liczne ścieżki wielokrotnego wyboru. Mogłyby w przyszłości stworzyć pętle i uszkodzić trzon translatora.

— Czy możesz przestać mówić głosem Nemi?

Oczywiście. — Przełącza się na metaliczne brzmienie. — *Muszę cię poinformować o czymś ważnym. Czy jesteś gotów na ostatnią informację?*

Nie odpowiadam, więc nie traci czasu i podaje mi gorzką pigułkę.

Trzynasta informacja: Wskutek naporu mas skalnych, dwa z trzech zbiorników „Heart of Darkness”, zawierających materię freniczną, uległy dehermetyzacji. Większość frenów wydostała się na zewnątrz. Ich wpływ na czasoprzestrzeń w tej wersji nie został dostatecznie zbadany, istnieje jednak wysokie prawdopodobieństwo powstania fizycznych anomalii. Wzbudzenie frenów może spowodować zaburzenia pola Higgsa i lokalny rozpad próżni. Zapisy w pamięci Statku potwierdzają, że kataklizm nie nastąpi przed startem tunelowca w pierwszą misję. Sekwencje zdarzeń w różnych wersjach mogą jednak odbiegać od siebie.

* * *

Postanawiam nie mówić chłopakom o awarii statku i frenach. Jestem im winien prawdę, ale jeśli się dowiedzą, że wymordowali na darmo całą wioskę, będzie im ciężiej umierać. Statek zniknie, ale pozostawi zabójczą substancję. Ester od początku zaplanowała tę zbrodnię. Musiała wiedzieć, że holokaustu nie da się powstrzymać. Chodziło jej wyłącznie o start tunelowca. Los planety nie interesował nigdy synergicznej SI.

Nie komentuję więc, gdy Werner pociesza towarzyszy, że właśnie giniemy za ludzkość. Widzę, że w obliczu śmierci ulotniła się jego nienawiść. Zastanawia się, czy ktokolwiek usłyszy o naszym poświęceniu i czy przyszłe pokolenia nie zapomną, co zawdzięczają załodze Distortion. Chciałby, aby jego nazwisko znalazło się na pamiątkowej tablicy. A ja muszę wierzyć, że za krew Armajów kupiliśmy światu chociaż tyle czasu, by mój syn przeczytał moje listy.

Nikt z nas nie zna przyszłości. Nawet ja, po rozmowach z Ester. Otrzymałem strzępy informacji, które tylko wywołały chaos. Wiem jednak, że w obecnej sytuacji nie mamy już wpływu na nic. Możemy czekać na ogromne widowisko, zgodzić się na bycie rekwizytem, powtarzając w myślach, że jesteśmy lepsi, bo znamy godzinę premiery.

Rebelianci, którzy otaczają bazę, sposobią się właśnie do walki. Oczami wyobraźni widzą już zwycięstwo, udany szturm na pozycje wroga. Evan Garcia krąży po namiocie i planuje dalsze posunięcia. Uderzenie na Harman, przejęcie władzy w prowincji, a potem marsz na stolicę. W starciu z oddziałami SSARR jego szanse są znikome. Jeśli porzuci wojnę partyzancką, zginie w przeciągu tygodnia. Czy też raczej – zginąłby w tej walce, gdyby posłuchał Ostina.

Zabierzemy ze sobą pułkownika. Zabierzemy jego gwardię oraz wielu fanatycznych hadejczyków. Nie będziemy świętować zwycięstwa, ale oni także nie wyprawią uczyty po bitwie. Nasza historia zamyka się z trzaskiem, wessana głęboko pod ziemię. Oby

wszystko, co się wydarzyło na pustyni, zostało zapomniane na zawsze.

* * *

Wszyscy wchodzimy na dach. Ciężej rannych wciągamy do góry. Sewerin denerwuje się trochę, że tak głupio wystawiamy się na ostrzał, ale nie bierzemy jego słów poważnie. Wypowiada je z przyzwyczajenia. To samo mówiłby Gola.

Słońce wstaje nad pustynią Saladh. Oświetla wojska partyzantów, które zwinęły już obóz, ładują wyposażenie na pojazdy i wsiadają do nich trochę chaotycznie. Szykują się do ostatecznego szturmu. Okręcamy się powoli, żeby sprawdzić, czy z każdej strony dzieje się to samo. Ten widok mógłby nas załamać, gdyby nie świadomość tego, co się stanie.

Puric wyciąga medalik ze świętym Jerzym i poleca nas opiece tego, który zabił smoka. Dzięki temu kawałkowi srebra przetrwał w Distortion do końca. Amulety działają tym silniej, im bardziej wierzy się w ich moc.

Ci, którzy tu przyjadą, będą cholernie zdziwieni. Dziewięciu oberwanych żołnierzy stoi na dachu budynku – jedyne, który przetrwał atak – i spogląda z góry na wszystko. Pomyślą, że zwariowaliśmy albo raczej nie pomyślą nic. Sierżant powtarza uparcie, że kiedy zbliżą się na kilometr, kładziemy się i strzelamy.

— A może zaśpiewamy hymn pułku? — pyta niespodziewanie Gilde.

— Karsten, ty ocipiałeś! — odpowiada Werner. — Padło ci całkiem na mózg.

Nie jest to najlepszy pomysł. Nie dlatego, że nie umiemy śpiewać, i nawet nie dlatego, że wyglądalibyśmy idiotycznie. Przede wszystkim ledwie się słyszymy, ogłuchliśmy od tyłu eksplozji. Ja i Puric może nie tak bardzo, ale reszta raczej krzyczy do siebie, niż mówi.

Ostatnie uśmiechy na twarzach. Ostatnie słowa wypowiedziane przed śmiercią.

Wpadamy już w odrętwienie. Nie mówi się bez potrzeby, żeby nie przeszkadzać innym. Tylko Sewerin kręci nieustannie głową, obserwując ruchy przeciwnika. Oddziały czekają na sygnał. Od pewnego czasu są gotowe, by zacisnąć pierścień wokół wroga. Udusić nas samym strachem. W głowie mam tak wielką pustkę, że po prostu patrzę w tarczę słońca.

Piątek, 15 lipca, godz. 5.50

Baza Distortion, pustynia Saladh, południowy Remark

Sierżant wskazuje na zegarek. Rebelianci, jakby to zauważyli, ruszają ze wszystkich stron naraz. Ich pojazdy wzbijają tuman kurzu, okrągłą, ocieżałą chmurę. Potrzebują wciąż kilkuset metrów, aby zacząć do nas strzelać. Wyją głośno, trąbią klaksonami i walą w górę na wiwat. Śmierć wrogom Remarku.

— Boję się — mówi Pattel. — Chyba się zaraz porzygam.

Nikt mu nie odpowiada. Patrzymy jak zaczarowani na zbliżającą się potęgę, która

chce nas pożreć. Samochody rozpędzają się bardziej, dźwięki są coraz głośniejsze. Bojownicy siedzący na pick-upach mierzą już w naszym kierunku. Już naciskają spusty karabinów. Kierowcy wystawiają głowy, żeby nas lepiej zobaczyć.

— Spójrzcie! — Wskazuję przed siebie. — Zaczyna się!

Wojska zastygły w bursztynie.

Teraz już wszyscy dostrzegamy, że poruszają się bardzo powoli. Odgłosy wydawane przez wroga stają się basowe i długie, rozciągnięte do granic absurdu. Jakby film, który oglądamy, został pokryty warstwą miodu.

Widzimy też pierwsze pioruny. Pojawiają się w zwolnionym tempie, rozkładają ogony jak pawie i dostojnie uderzają w ziemię. Niebo jest fioletowe i chore, a powietrze wyraźnie gęstnieje. Całą przestrzeń wypełnia ryk Bestii.

Miarowe, niskie buczenie, które rośnie z każdą sekundą, wibruje na granicy słuchu, zbiera się w powietrzu jak flegma, rozmnaża, przeistacza w kamień i wreszcie rozbrzmiewa tak głośno, że zaraz rozsadzi nas wszystkich.

Nasze szczątki łączą się z piaskiem, ciała będą zmiażdżone jak kwiaty, jak myśli, jak kartki papieru, godziny, minuty, sekundy, samochody, pociski i mury, krople potu i krople benzyny, wydane rozkazy, latarki, zakrwawione bandaże i dzieci, i włosy wyrwane ze skórą oraz wielka pierdolona przestrzeń. Kształt kosmosu, który przypomina zarazem: wrzeciono i muszlę, i wannę, bąbel i butelkę Kleina, smutną twarz kochającego Boga. Czarny bezkresny ocean.

* * *

Niebo pęka nad pustynią Saladh. Spadamy coraz szybciej.

W górę.

Przy pierwszym huku granatów w jednej chwili zapadamy się częścią naszego istnienia o tysiące lat wstecz. To instynkt zwierzęcia, co się w nas budzi, wie nas i ochrania.

Nie jest on świadomy, jest o wiele szybszy, znacznie bardziej nieomylny od świadomości.

Niepodobna tego wyjaśnić. Idzie się i nie myśli o niczym – nagle leży się w rowie pośród gleby, ponad nami lecą w dal ułamki pocisków, ale niepodobna sobie przypomnieć, iżby słyszało się nadlatujący granat lub myślało się o rzuceniu na ziemię.

Gdyby polegać na tym, byłoby się już masą porzucanej miazgi. To było to inne, ta jasnowidząca czujność w nas, która ciskała nami o ziemię i ratowała, nie wiedzieć jak. Gdyby nie istniało to, od Flandrii aż po Wogezy, nie byłoby od dawna ludzi.

Odjeżdżamy jako osowiali lub dobrze usposobieni żołnierze, dostajemy się do strefy, gdzie rozpoczyna się front, i stajemy się bestiami ludzkimi.

Erich Maria Remarque, *Na zachodzie bez zmian*

Posłowie

Dlaczego cywil postanawia nagle, że napisze powieść o armii? I to wcale nie reporter wojenny, znany ze swojej odwagi i podejmowanego ryzyka, latający na misje do Iraku czy Afganistanu, dyskutujący na żywo z dowódcami i szeregowymi żołnierzami. To bardzo ważne pytanie, które właśnie kieruję do siebie. Dlaczego porwałeś się na coś takiego?! Nawet jeśli armia, którą opisujesz, nie istnieje naprawdę i jest częścią wykreowanego świata, częścią większego projektu. Dlaczego?

To pytanie padło po raz pierwszy już po napisaniu książki. Jako autor niepublikujący często, ale w miarę doświadczony i świadomy, powinienem oczywiście zadać je sobie wcześniej. Stało się jednak inaczej i zadała je kapitan Magdalena Kozak, kiedy – po przeczytaniu *Distortion* – dzieliła się ze mną wrażeniami. Zapytała o przyczyny tej decyzji i zrobiła to w cholernie naturalny sposób, a ja muszę przyznać (ze wstydem), że nie miałem gotowej odpowiedzi. Coś rzuciłem Magdzie do słuchawki, skleciłem na poczekaniu, lecz nie byłem wcale przekonany, czy to prawda.

Stało się zatem tak, że Magda żołnierz, Magda lekarz, Magda twardziel zadała mi fundamentalne pytanie, a ja musiałem spojrzeć w siebie i cofnąć się do momentu, kiedy zaczynałem pisać tę wojenną powieść. A właściwie – jeszcze wcześniej, do momentu podjęcia decyzji. *Distortion* pisałem trzy lata i w tym czasie mnóstwo rzeczy zmieniło się w moim życiu, ale nie chcę o tym opowiadać. Chcę się dowiedzieć dlaczego i powiedzieć kilka słów o przebiegu mojej pracy.

Nie pamiętam już dokładnie daty, ale na przełomie 2014 i 2015 roku natknąłem się na książkę Jasona Christophera Hartleya *Po prostu żołnierz. Rok służby w Iraku*. Chciałem wtedy przeczytać coś wiarygodnego o codzienności amerykańskiej armii, uwikłanej w wojnę w Zatoce Perskiej, a potem stacjonującej w Iraku. Ktoś polecił mi tę pozycję i kiedy zacząłem czytać wspomnienia sierżanta Hartleya, doznałem małego olśnienia. A więc tak to wygląda naprawdę?

Wojną w Iraku interesowałem się od dawna, głównie ze względu na udział naszych wojsk w konflikcie, lecz wcześniejsze informacje, które do mnie docierały, to była trochę taka „papka” serwowana przez telewizję i Internet. Byłem zupełnie jak ojciec głównego bohatera, który śledzi doniesienia w wiadomościach i buduje sobie własny obraz. Dopiero dzięki tej lekturze mogłem się dowiedzieć czegoś o prawdziwych emocjach żołnierzy, o ich codziennych problemach, potwornym stresie, polegającym na czekaniu, aż coś „walnie” i przerwie groźną ciszę. O stresie niewyobrażalnym dla reszty społeczeństwa, ale też o satysfakcji i dumie z dobrze wypełnionego zadania. Sierżant J.C. Hartley to pierwowzór kaprała Markusa Trenta, to z niego wykiełkował mój bohater.

To nic, że Markus Trent pojawił się na kartach wcześniejszego opowiadania

(*Moneta*). Tam był wyłącznie cywilem i człowiekiem planującym samobójstwo. Pod wpływem *Po prostu żołnierz* zrodził się na nowo, a jego historia i cierpienie psychiczne nabrały sensu. Nie przypadkiem więc sierżant Hartley przed misją w Iraku służył w Gwardii Narodowej, a kapral Trent przed misją w Remarku – w Wojskach Obrony Terytorialnej. Jeśli porównacie – i myślę, że naprawdę warto – kiedyś obie książki, takich podobieństw znajdziecie jeszcze sporo.

Mniej więcej w tym samym czasie zakupiłem też drugą pozycję *Dobrzy żołnierze. Relacja z amerykańskiej wojny w Iraku*. Książka Davida Louisa Finkela bardzo różniła się od wspomnień sierżanta Hartleya. To z pewnością książka lepiej napisana, jej autorem jest bowiem znany amerykański dziennikarz, zdobywca Nagrody Pulitzera, ale jednak to relacja z drugiej ręki. Podejście autora jest zdecydowanie bardziej problemowe, patrzy na wojnę w Iraku również z perspektywy dowódców, uwzględnia tło polityczne i społeczne, chociaż nie oddaje z takim wdziękiem i szczerością tego, na czym zależało mi szczególnie – emocji zwykłego żołnierza.

Tej lekturze zawdzięczam przede wszystkim szersze spojrzenie na konflikt oraz opisaną w *Distortion* Doktrynę Widoczności, która luźno odpowiada strategii „surge” ogłoszonej przez prezydenta George’a W. Busha i wprowadzonej w życie w 2007 roku przez generała Davida Petraeusa, głównodowodzącego sił koalicyjnych w Iraku. Pamiętajmy jednak, że nawet najlepsze strategie mogą się zderzyć boleśnie z rzeczywistością, a przede wszystkim – muszą zostać wprowadzone w życie przez żołnierzy na wszystkich szczeblach dowodzenia. I właśnie to próbowałem pokazać w powieści, nie roszczęc sobie prawa do głębokiej analizy zjawiska.

Im bardziej wpadałem w ten świat i im więcej czytałem na ten temat, tym bardziej miałem ochotę poświęcić mu kolejną powieść. Pierwotnie zastanawiałem się nad krótszą formą, myślałem o opowiadaniu, które dołożyłoby cegiełkę do historii świata Rammy – z żołnierzami w roli głównej, bo w tym świecie konflikt wojenny w Remarku odgrywa znaczącą rolę. Jeśli czytaliście powieść *Holocaust F* albo któreś z opowiadań (jak choćby *Requiem dla lalek* czy *Garcia*), pamiętacie może, że w tle pobrzmiwają echa tego konfliktu. Umieściłem go w uniwersum Rammy niemal odruchowo, bo zmagania wojenne stanowią ważną część naszej rzeczywistości, nadają jej właściwą perspektywę oraz potęgują grozę. A ja, chociaż piszę dość uparcie fantastykę, zawsze chciałem opowiadać o problemach realnego świata.

Szperałem więc w sieci w poszukiwaniu informacji, starając się jak najlepiej nie tyle zrozumieć, ile poczuć sytuację, w jakiej znajdują się żołnierze na misji. Poczuć z nimi tę adrenalinę oraz włoski na skórze jeżące się ze strachu. Oczywiście, w *Distortion* mierzą się oni dodatkowo z czymś obcym, czego nie rozumieją, co wykracza poza zwykłe doświadczenie i potęguje psychozę narastającą w oddziale, ale baza emocjonalna, spojrzenie na świat, a przede wszystkim sposób działania nie powinny znacząco odbiegać od rzeczywistości. Bardzo mi na tym zależało i dopiero wy możecie stwierdzić, czy choćby częściowo mi się to udało.

Oprócz wielu artykułów i dyskusji internetowych, jako źródło informacji posłużyło mi też kilka innych książek. Wymieniłbym tu przede wszystkim *Psy z Karbali. Dziesięć razy Irak* Marcina Górki i Adama Zadwornego, czyli pozycję, która pozwoliła przełożyć dodatkowo amerykańską rzeczywistość na nasz polski koloryt. To z tej książki zaczerpnąłem między innymi opowieść sierżanta Goli o magazynkach wypadających z karabinów i przyklejaniu ich taśmą. I o spawaniu do starych pojazdów blachy z kontenerów na śmieci, żeby zwiększyć szansę na przeżycie albo chociaż uspokoić nerwy. Muszę przyznać, że aż trudno było w to uwierzyć!

Wśród znajomych nie miałem żołnierzy, których mógłbym podpytywać na bieżąco, a potrzebowałem źródeł naukowych. Sięgnąłem więc po podręcznik *Taktyka walki w terenie zurbanizowanym* Pawła Makowca i Marka Mroszczyka. Szukałem w nim odpowiedzi na wiele pytań, pojawiających się podczas pisania, które dla zawodowego żołnierza są banalne, ale dla człowieka takiego jak ja stanowiły przeszkodę w wiernym oddaniu realiów. Jeśli pamiętacie jeszcze wykłady sierżanta Goli czy sierżanta Sewerina na temat walki w mieście, to miały one swoje źródło właśnie w tym podręczniku.

W pogoni za informacjami trafiałem nawet na opracowania bardziej abstrakcyjne. Dobrym przykładem jest tutaj *Asymetria i hybrydowość – stare armie wobec nowych konfliktów*, pod redakcją Witolda Sokały i Bartłomieja Zapały, czyli zbiór tekstów napisanych przez autorów na zlecenie Biura Bezpieczeństwa Narodowego. Każda informacja mogła mi się przydać, żeby spojrzeć na misję SSARR z jeszcze innej perspektywy – raz szeroko, raz wąsko, układając mi w głowie kolejne elementy i poziomy. A przecież i tak wiem, jak wiele błędów musiałem popełnić podczas pisania i jak wiele razy zabrakło mi wiedzy. Jestem tego świadom i proszę o wybaczenie.

Miałem zacząć właśnie od tych słów, skierowanych do żołnierzy: starałem się zrobić wiele, żeby oddać jak najlepiej Waszą rzeczywistość – przynajmniej taką, jaka wyłaniała się z dostępnych mi materiałów. Bardzo chciałem, by ta powieść była wiarygodna chociaż w takim stopniu, w jakim wiarygodny jest *Helikopter w ogniu* Ridleya Scotta czy *Dziewiąta kompania* Fiodora Bondarczuka. Oczywiście, nie pisałem o Iraku, Afganistanie czy Somalii, lecz o Księżstwie Remarku, ale myślę, że w każdym konflikcie jest coś uniwersalnego, co wyciąga na wierzch nasze lęki, nienawiść i miłość, chęć poddania się losowi i przeciwnie – żelazną wolę przetrwania.

Dlaczego więc stworzyłem *Distortion*?

Zapewne dlatego, że wojna tak bardzo obnaża człowieka. To piękna i przerażająca alegoria dla wszystkich wysiłków, które czynimy, żeby zrozumieć rzeczywistość, dostosować się do zmiennych warunków, pokonać czyjś upór lub jawną głupotę, być wiernym swoim zasadom i w konsekwencji – przetrwać. Element fantastyczny stanowi tu oczywiście koło zamachowe fabuły, ale sprawia też, że wybory bohaterów z jednej strony stają się jeszcze bardziej dramatyczne, z drugiej zaś niezwiązane są z konkretnym miejscem i czasem.

Na koniec warto wspomnieć, że współczesne pole bitwy stanowi dla cywilów

ogromną i fascynującą tajemnicę. Z tego powodu pomysł na militarną opowieść wciągnął mnie tak niespodziewanie mocno, tak wykiełkował w wyobraźni i się rozrósł, że stał się równorzędnym partnerem dla historii science fiction. Gdzieś, pod spodem, tkwiły chłopięce marzenia o braterstwie i wielkiej odwadze oraz o tym, żeby walczyć w imię dobra. Również podziw i wdzięczność dorosłego mężczyzny dla żołnierzy, którzy nadstawiają za nas karku w wielu miejscach świata, żeby szkolić się, zdobywać doświadczenie i obronić nas w złej godzinie.

Ta książka jest, w pewnym sensie, podziękowaniem dla tych ludzi.

Dziękuję także wszystkim, którzy pomogli mi podczas pisania, zachęcali do dalszego wysiłku, zadawali kłopotliwe pytania, spierali się ze mną, stanowili wsparcie, czytali przesłane fragmenty, dostarczali bezcennych informacji, a czasami po prostu – byli obok i klepali mnie po plecach. Dziękuję więc w szczególności: Ani Grom, Tomkowi Kszczotowi, Irenie Shevchenko, Piotrkowi Wasilewskiemu, Wojtkowi Sulkowskiemu, Kasi i Rafałowi Kosikom, Michałowi Cetnarowskiemu oraz oczywiście – Magdzie Kozak. Walczyliśmy, moi drodzy, ramię w ramię, żeby teraz, po długich trzech latach, zameldować wykonanie zadania.

Słowniczek pojęć i skrótów

Aerostat – bezzałogowy balon obserwacyjny, pełniący w SSARR również funkcje telekomunikacyjne; wzlot balonu typu Oculus następuje dzięki sile nośnej gazu, a do jego sprowadzenia na ziemię służy ściągarka wyposażona w silnik elektryczny lub spalinowy, napędzający zwijak liny.

Ajdik, IED (ang. *improvised explosive device*) – improwizowany ładunek wybuchowy; inne nazwy: bomba drogowa, dziwka – ładunek wybuchowy przygotowany niefabrycznie celem użycia w zamachu terrorystycznym lub akcie dywersji, najczęściej na szlakach komunikacyjnych; szacuje się, że bomby drogowe były odpowiedzialne za około 60% zgonów i ciężkich okaleczeń wśród żołnierzy SSARR stacjonujących w Remarku.

Armajowie – dawniej koczowniczy, a obecnie rolniczy lud zamieszkujący południową część Remarku, w tym pustynię Saladh i Góry Wilcze; Armajowie silnie zasymilowali się z Remarczykami, przejmując od nich większość wierzeń i obyczajów, w szczególności wiarę w boga wojny Aresa oraz bogatą demonologię.

Cerastes, potocznie „**cerata**” – wielozadaniowy samochód terenowy wykorzystywany w SSARR od Drugiego Kontyngentu na pustynnych terenach południowego Remarku; cerastes charakteryzuje się dużą zwrotnością, stałym napędem na cztery koła, konstrukcją opartą na stalowej ramie, niezależnym zawieszeniem wszystkich kół oraz dużą zdolnością do pokonywania przeszkód terenowych; nie ma opancerzenia ani montowanego seryjnie karabinu pokładowego; pojazd pięcioosobowy, zazwyczaj o otwartym nadwoziu.

DBS (ang. *deep brain stimulation*) – metoda leczenia depresji polegająca na wywierceniu w czaszce małego otworu i wprowadzeniu elektrody do mózgu; celem zabiegu jest ośrodek Cg25 odpowiedzialny za nastrój, znajdujący się w płatach czołowych mózgu; druga część okablowania zostaje umieszczona pod skórą czaszki i skierowana w kierunku szyi; pacjentom poddanym znieczuleniu wszywa się w okolicę klatki piersiowej generator impulsów, który ma za zadanie stałą stymulację mózgu.

DKD (Departament Kontroli Dewitalizacji) – komórka Ministerstwa Zdrowia Republiki Rammy powołana do sprawowania nadzoru nad zabiegami dewitalizacji w celu zapewnienia ich właściwego przebiegu; skład komisji nadzorującej zabieg dewitalizacji: inspektor DKD, sędzia okręgowy (przewodniczący), przedstawiciel kliniki dewitalizacji, osoba duchowna lub/i obserwator z ramienia organizacji obrony praw człowieka; procedurę dewitalizacji reguluje ściśle Ustawa o przeciwdziałaniu samobójstwu wraz z aktami wykonawczymi.

„**Dwusetki**”, „**dwieście pięćdziesiątki**” – potocznie: nazwy typów lekkiego pojazdu

opancerzonego Skorpion, wykorzystywanego w SSARR jako wóz patrolowy; Skorpion 200 jest pojazdem pięcioosobowym z przestrzenią bagażową z tyłu o zmiennej zabudowie; Skorpion 250 jest pojazdem opcjonalnie siedmioosobowym, który po złożeniu ostatniego rzędu foteli wykorzystywany jest do przewozu niewielkich ładunków.

Fetija – tradycyjna potrawa remarska, popularna głównie na południu kraju; duży naleśnik, serwowany na słodko (z bakaliami i wiórkami kokosowymi) lub na ostro (z pikantnym farszem mięsnym), zawijany w kształt czteroramiennej gwiazdy i lekko opiekany; fetija spożywana jest najczęściej jako przekąska lub deser, rzadziej jako danie główne.

Gnóthi seauton (gr.) – „Poznaj siebie”; napis na frontowej ścianie świątyni Boga Słońca Apolla w Portsailu, przeniesiony pod koniec X w. ze świątyni w Delfach; bardziej znany jako łacińska maksyma *Temet nosce*.

Gorące wejście (ang. *hot entry*) – wejście do pomieszczenia (lub budynku), poprzedzone jego wstępnym oczyszczeniem przy użyciu środków ogniowych, na przykład granatnika lub granatu ręcznego.

Hełm boga – zdaniem Michaela Persingera z Laurentian University źródłem doświadczeń religijnych mogą być miniburze elektryczne w płatach skroniowych, wywołane wpływem czynników zewnętrznych lub zmianami chorobowymi; kiedy funkcjonowanie mózgu zostaje zakłócone, lewa półkula mózgu może interpretować aktywność prawej jako działanie odrębnego bytu lub „wyczuwalną obecność”; w zależności od światopoglądu i wcześniejszych doświadczeń pacjent może uznać tę „obecność” za ducha, anioła, demona, pozaziemską istotę lub boga; za pomocą urządzenia zwanego „hełmem boga” Persinger przebadał 600 ochotników, z których aż 80% doświadczyło „obecności”.

Ikar – ciężki moździerz, używany podczas wojny gottańsko-remarskiej przez oddziały piechoty zmotoryzowanej Armii Księstwa Remarku; broń gładkolufowa, strzelająca pociskami stabilizowanymi brzechwowo, stosowana przede wszystkim do rażenia celów w terenach miejskich.

Kamizelka IR – rodzaj osobistego znacznika używanego w SSARR; kamizelka IR składa się z dwóch tarcz (przedniej i tylnej) pokrytych emiterami podczerwieni; służy do oznaczania własnych jednostek piechoty podczas działań operacyjnych prowadzonych w warunkach nocnych; znaki graficzne wyświetlane przez emitery nie są dostrzegalne gołym okiem, lecz jedynie przy użyciu noktowizora.

Lightstick (światło chemiczne) – jednorazowe źródło światła, zbudowane z plastikowego pojemnika zawierającego dwie odizolowane cieczki (jedną w szklanym pojemniku), które po wymieszaniu zaczynają świecić w wyniku reakcji chemicznej; poszczególne modele różnią się intensywnością oraz czasem świecenia (od pięciu minut do dwunastu godzin), jak również kolorem emitowanego światła

Mary Celeste – w 1872 roku około 400 mil od Gibraltaru zauważono żaglowiec,

który miał niewielkie uszkodzenia; była to „Mary Celeste”, brygantyna należąca do grupy amerykańskich armatorów; na jej pokładzie nie znaleziono nikogo – łącznie zaginęło ośmioro członków załogi oraz dwoje pasażerów (żona i córka kapitana statku); zaginięcie załogi statku pozostaje do dziś jedną z największych nierozwiązanych zagadek marynistyki.

MBS (Modułowa Broń Strzelecka) – karabinek 5,56 mm produkowany w Zakładach Zbrojeniowych Bilden, indywidualna broń samoczynno-samopowtarzalna, używana jako podstawowe wyposażenie piechoty SSARR; składa się z segmentów, które można modyfikować, np. regulować długość lufy, kształt kolby, podpiąć granatnik, laserowy wskaźnik celu lub oświetlenie taktyczne.

MG2 – karabin maszynowy kaliber 12,7 mm, stworzony na bazie uniwersalnego karabinu MUG, używany jako broń pokładowa pojazdów opancerzonych typu Skorpion; amunicja podawana z taśmy umieszczonej w kasecie.

MG300 Vastar – broń pokładowa śmigłowców Cassabian CAS-10, wyposażona w obrotowy blok luf oraz rotor napędzany silnikiem elektrycznym; karabin maszynowy Vastar zasilany jest nabojem karabinowym 7,62 mm; zasilanie odbywa się przy wykorzystaniu mechanizmu beztaśmowego; działa z szybkostrzelnością teoretyczną 4000 strzałów na minutę.

Miny homeostatyczne, „kleszcze” – inteligentne miny przeciwpiechotne, których użycie zostało zakazane na mocy międzynarodowych konwencji, głównie z powodu wysokiej śmiertelności wśród ludności cywilnej; aktywność kleszczy wzbudzana jest poprzez bliskość celu, co zakłóca równowagę układu wewnętrznego, czyli homeostazę miny; miny homeostatyczne klasyfikowane są ze względu na rodzaj bodźca (wyzwalacza), uzbrojenie i pole rażenia, jak również poziom mobilności oraz miejsce hibernacji (miny naziemne, podziemne, nadrzewne itd.).

Modafinil – lek o działaniu stymulującym, używany w leczeniu narkolepsji, zmniejszenia senności wywołanej pracą zmianową lub bezdechem sennym oraz jako środek pobudzający; nie wykazuje działania euforyzującego; czas półtrwania leku w organizmie wynosi około piętnastu godzin.

Most Einsteina-Rosena (tunel Schwarzschilda) – odmiana tunelu czasoprzestrzennego, odkryta teoretycznie przez Alberta Einsteina i Nathana Rosena; powstaje przy połączeniu modelu obliczeniowego czarnej dziury z modelem jej czasoprzestrzennego przeciwieństwa – białej dziury – i (w teorii) łączy odległe regiony kosmosu.

MT35, potocznie „**metka**” – dwuipółtonowy wojskowy samochód ciężarowy, przeznaczony do transportu piechoty i zaopatrzenia; pojazdy te dodatkowo służą w SSARR m.in. jako cysterny oraz pojazdy inżynieryjne; uzbrojenie stosowane na MT35 to głównie karabiny maszynowe MUG i MG2.

MUG (ang. *machine universal gun*) – uniwersalny karabin maszynowy, kaliber 7,62 mm, używany w wielu wariantach w przeszło osiemdziesięciu krajach, w tym w Armii

Republiki Rammy, m.in. jako karabin wsparcia piechoty oraz broń pokładowa na wyposażeniu śmigłowców i wozów bojowych.

PNVG (ang. *panoramic night vision goggles*) – panoramiczne gogle noktowizyjne, które w stosunku do starszych modeli dwukrotnie zwiększają pole widzenia użytkownika (do około 95 stopni) za pomocą czterech szesnastomilimetrowych wzmacniaczy obrazu, zamiast standardowych dwóch wzmacniaczy o długości 18 mm.

ORO (Ośrodek Rehabilitacji Osobowości) – największa i najbardziej popularna w Republice Rammy sieć ośrodków terapeutycznych dla pacjentów z zaburzeniami osobowości i lżejszymi stanami depresyjnymi, założona przez znanego psychiatrę i psychoterapeutę, doktora Izaaka Schenkera.

Oznaczenia kolorystyczne (w nomenklaturze SSARR) – ściana na kierunku uderzenia: biała, ściana po lewej: czerwona, ściana po prawej: zielona, ściana przeciwstawną: czarna, dach: niebieska; dodatkowo używa się kodów liczbowych do oznaczania okien i drzwi, np. okno 2-1 to okno na drugiej kondygnacji, pierwsze od lewej strony.

Pocisk smugowy – pocisk wypełniony ładunkiem wytwarzającym dym, który uwidacznia tor lotu pocisku; spalający się smugacz pozostawia ślad wizualny w postaci smugi dymu lub jasnego światła; w SSARR stosuje się oznaczenia kolorystyczne pocisków smugowych: niebieskie (smuga dymna) i czerwone (smuga świetlna).

PSR (Pluton Szybkiego Reagowania) – w koncepcji SSARR pododdział liczący około dwudziestu żołnierzy podzielonych na cztery drużyny, zdolny do operowania w trudnych warunkach terenowych, przygotowany do walki miejskiej, mający dużą mobilność oraz nowoczesne uzbrojenie; pozostaje w stałej gotowości bojowej jako wsparcie dla innych pododdziałów, prowadzących rutynowe działania, jak ochrona obiektów czy służba patrolowa.

SOM-Bastion – system ochrony modułowej, wykonany z prefabrykowanych komór; z kilku podstawowych typów koszy można stworzyć rozbudowane struktury; największą zaletą SOM jest oszczędność czasu i środków: budowa prefabrykowanej ściany zajmuje dwóm ludziom i koparce około 20 minut, podczas gdy wykonanie analogicznego umocnienia metodami tradycyjnymi (worki z piaskiem) może zająć dziesięciu pracownikom do 7 godzin; wymiary podstawowego kosza SOM1 to 2,4 m x 1,4 m x 1,4 m.

Splątanie kwantowe – polega na tym, że dwie odrębne cząstki współdzielą pewne swoje charakterystyki; w najczęściej przywoływanym przykładzie spin, czyli moment pędu jednej cząstki, jest zawsze „lustrzanym odbiciem” tej samej cechy w drugiej (oba spiny po zsumowaniu dają wartość zero); zmiana momentu pędu w jednej cząstce natychmiast powoduje zmianę w drugiej – niezależnie od dzielącej je odległości.

SSARR (Siły Stabilizacyjne Armii Republiki Rammy) – oddziały Armii Republiki Rammy wprowadzone na teren Remarku po drugiej wojnie rammańsko-gottańskiej jako część Międzynarodowego Korpusu Bezpieczeństwa; po wycofaniu się wojsk Sojuszu

Ameryki Północnej jednostki samodzielnie operujące na terenie północnego i południowo-środkowego Remarku.

„Sto dwudziestki” – pociski stosowane w ciężkich moździerzach kalibru 120 mm.

Teoria Kaluzy-Kleina – teoria łącząca teorię względności Einsteina z elektromagnetyzmem Maxwella za pomocą rozszerzenia czterowymiarowej czasoprzestrzeni Minkowskiego o hipotetyczny piąty wymiar; była to pierwsza powszechnie znana teoria oparta na nowatorskiej koncepcji hiperprzestrzeni; Theodor Kaluza sugerował, że piątego wymiaru nie można dostrzec, ponieważ jest bardzo ściśle „zwinięty”, mniejszy od rozmiaru atomu, zaś Oskar Klein na podstawie teorii kwantowej obliczył jego wielkość jako bliską długości Plancka, równą 10-33 m.

TrES-2b (Kepler-1b) – planeta pozasłoneczna (egzoplaneta) orbitująca wokół gwiazdy GSC 03549-02811 położonej w gwiazdozbiornie Smoka; zbliżona wielkością do Jowisza, prawdopodobnie należy do kategorii gazowych olbrzymów; została odkryta w ramach projektu Trans-Atlantic Exoplanet Survey (TrES).

Tunga penetrans – pchła piaskowa, zwana także przez żołnierzy SSARR „pchłą pustynną”; jeden z najmniejszych gatunków pcheł: ma około 1 mm długości, najlepiej rozwija się w ciepłych piaszczystych glebach, szczególnie w okolicach skupisk zwierząt; na pustynne i półpustynne tereny południowego Remarku zawleczona prawdopodobnie z pasterskich osad Armajów.

Unitarka – w żołnierskim slangu: okres szkolenia rekrutów przed złożeniem przysięgi wojskowej.

Wojskowa opalenizna – potoczne określenie opalenizny, która obejmuje wyłącznie twarz, szyję, kark i przedramiona; ze względu na częste noszenie munduru odsłonięte części ciała ciemnieją, podczas gdy reszta pozostaje biała i wyraźnie kontrastuje z opaloną skórą.

WOT (Wojska Obrony Terytorialnej) – formacja militarna, mająca wspierać regularną armię w przypadku wojny na terenie kraju; w czasach pokoju pomaga służbom porządkowym usuwać skutki klęsk żywiołowych, zabezpiecza niektóre dostawy dla armii oraz wspiera policję w tłumieniu zamieszek i ochronie niektórych obiektów.

Zestaw sygnalizacyjny – dodatkowe wyposażenie przeznaczone dla każdej drużyny piechoty wchodzącej w skład pododdziału szturmowego, działającego w terenie zurbanizowanym; zestaw służy m.in. do oznaczania sprawdzonych i zabezpieczonych części budynków, identyfikacji i przekazywania informacji dla innych pododdziałów; standardowo składa się z kredy, kolorowych farb w sprayu, świateł chemicznych, znaczników IR (do oznaczania w podczerwieni) oraz taśm: stumilowej, maskującej, dwustronnej klejącej i płóciennej.

Zestaw torujący – dodatkowe wyposażenie przeznaczone dla każdej drużyny piechoty wchodzącej w skład pododdziału szturmowego, działającego w terenie zurbanizowanym; zestaw służy do pokonywania przeszkód sztucznych i naturalnych; standardowo składa się m.in. z siekiery, nożyc do cięcia drutu, łomu, młota 2–5 kg,

taśmowej drabinki taktycznej, lin zjazdowych, rękawic do drutu i kombinerek z obcęgami.

Zylon – materiał o dwukrotnie większej wytrzymałości na rozciąganie niż włókna kevlar oraz dwukrotnie większym module sprężystości E przy rozciąganiu; zylon odznacza się bardzo wysoką odpornością na działanie ognia w porównaniu do innych włókien polimerowych.

Żetony – potoczna nazwa Żandarmerii Wojskowej.

Żółw policyjny – kamizelka ochronna (przeciwuderzeniowa), w remarskiej policji zaopatrzona zwykle w zintegrowane ochraniacze barku i ramienia, używana przez oddziały prewencji podczas imprez masowych; wraz z ochraniaczami nóg, rękawicami i kaskiem przeciwuderzeniowym tworzy zestaw przeciwuderzeniowy.

[1] Słowa przypisywane profesorowi Miguelowi Unamuno, wypowiedziane w 1936 roku na Uniwersytecie w Salamance podczas debaty z frankistowskim generałem José Millánem-Astrayem, znanym z upodobania do rozkładu i śmierci; Astray był twórcą Hiszpańskiej Legii Cudzoziemskiej, której oficjalnym zawołaniem stał się okrzyk „Viva la muerte!”; za: Erich Fromm, *Serce człowieka*, w przekładzie Roberta Saciuka, vis-a-vis Etiuda, 2015.

[2] Michio Kaku, *Hiperprzestrzeń. Wszechświaty równoległe, pętle czasowe i dziesiąty wymiar*, (Prószyński Media, 2010)